

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**HONORIUSZ BALZAC**

**KOMEDIA LUDZKA**

**VI**

**Studia obyczajowe  
SCENY Z ŻYCIA PRYWATNEGO**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**HONORIUSZ BALZAC**

**PULKOWNIK CHABERT**

**MSZA ATEUSZA**

**KURATELA**

**KONTRAKT ŚLUBNY**

**DRUGIE STUDIUM KOBIETY**

Tytuły oryginałów francuskich:

LE COLONEL CHABERT

LA MESSE DE L'ATHEE

L'INTERDICTION

LE CONTRAT DE MARIAGE

AUTRE ÉTUDE DE FEMME

# PULKOWNIK CHABERT

---

*Przełożył*  
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*PANI HRABINIE  
IDZIE DE BOCARMÉ  
Z DOMU DU CHASTELER*

## OD TŁUMACZA<sup>1</sup>

Znowu historia małżeństwa! Świetny kawaler, piękna panna, oboje młodzi, bogaci, mający wszelkie warunki szczęścia, słowem, sielanka! Niejeden powieściopisarz nakreśliłby dzieje tego dojrzewającego uczucia i zakończyłby rzecz postawiwszy młodą parę przed ołtarzem. Otóż widzieliśmy nieraz, że dla Balzaka świat zdarzeń, świat uczuć zaczyna się tam, gdzie dla innych on się kończy. Uczynił w obliczu małżeństwa to zdumiewająco proste odkrycie, że ono nie zamyka życia, ale je otwiera, że nie jest ani stanem spoczynku, ani definitywnym rozwiązaniem, ale stanem czynnym, stanem walki, zmaganiem się dwóch różnych interesów; że harmonia rodzinna bywa powłoką, pod którą kryją się sprzeczności i nienawiści. Dramat dnia powszedniego to sfera, której Balzac jest odkrywcą i w której jest mistrzem. I czyż dziw, że wszędzie w tym dramacie napotyka pieniądź? I tu, w tym małżeństwie, pieniądź jest nie tylko elementem, ale wręcz aktorem dramatu. Balzac stwarza wrażenie mistyki pieniądza. W jego koncepcji życia widzimy, jak pieniądź, wymyślony na to, aby służył ludziom, staje się ich panem, ujarzma ich; jak skombinowany z potężną grą społecznych urojeń pcha w nieszczęście ludzi mających, zdawałoby się, wszystkie warunki do szczęścia. Tu pieniądź ucieleśnia się niejako w osobach dwóch rejentów: gdy młoda para grucha w saloniku, oni, niby jej ironiczne sobowtóry, zmagają się jak dwaj wrogowie wysilający swą inteligencję, aby się wzajem oszwabić i podejść. I Balzac umie owym drobnym walkom dać taką dramatyczną głębię, że pochłania się te najeżone prawniczymi terminami perypetie jak najbardziej pasjonujący romans.

I znów w „Pułkowniku Chabert” mamy historię małżeńską. Ale o ile terenem „Kontraktu ślubnego” była codzienność, tutaj znajdujemy się w sferze najbardziej fantastycznej niezwykłości, mimo że jest ona udramatyzowaniem autentycznego faktu. Znów, jak tylekroć u Balzaka, zdumiewa bogactwo materiału. Czegóż tu nie widzimy! Rzut oka na przeobrażenie, jakiego terenem była ówczesna Francja, na fantastyczne kariery nie tylko mężczyzn, ale i kobiet: dawna dziewczyna publiczna, która poprzez napoleońskiego żołnierza staje się jedną z władczyń najświetniejszego monarchicznego towarzystwa. I ów dramat pułkownika Chabert, jeden z tych, których tyle musi stwarzać wojna, dramat człowieka-bohatera, który wróciwszy po latach widzi, że nie ma już dlań miejsca na ziemi! I kawał epopei napoleońskiej, ukazanej nam w jednym błysku. I jeszcze raz owo wnętrze kancelarii adwokackiej, w którym Balzac spędził (i nie na darmo!) kilka lat za młodu i w którym streszczają się wszystkie brutalności, wszystkie ohydy społeczeństwa, zgęszczonego w wielką stolicę. Te dwa opowiadania kontrastem swoim jeszcze raz uwydatniają wszechstronność geniuszu Balzaka, w którego rękach jednako twórczym materiałem stawała się zarówno najpospolitsza codzienność, jak i najbardziej patetyczna wyjątkowość życia.

Warszawa, w grudniu 1926

---

<sup>1</sup> W „Bibliotece Boya” układ poszczególnych utworów Balzaka był inny niż w niniejszym wydaniu; m. in. „Kontrakt ślubny” poprzedzał „Pułkownika Chabert”. (Red.)

Oho! Znowu nasza stara pelerynka!

Ten wykrzyknik wydarł się pisarczykowi, z gatunku, który nazywa się w kancelarii g o - n i a c z e m . Chłopak gryzł w tej chwili z apetytem pajdę chleba; urwał nieco ośrodka, zrobił kulkę i rzucił ją drwiąco przez okno, o które się opierał. Dobrze wymierzona kulka odskoczyła prawie na wysokość okna, ugodziwszy w kapelusz nieznanego, który mijał dziedzińiec domu, gdzie mieszkał adwokat Derville.

– Słuchaj no, Simonnin, nie rób no figłów ludziom, bo cię wyrzucę za drzwi. Choćby klient był najbiedniejszy, zawsze to człowiek, u diabła! – rzekł naczelny dependent, przerywając sumowanie rachunku kosztów.

G o n i a c z jest to zazwyczaj, jak właśnie Simonnin, chłopak trzynasto- lub czternastoletni, poddany we wszystkich kancelariach bezpośredniej władzy pierwszego dependenta, którego polecenia i bileciki miłosne załatwia, roznosząc zarazem pozwy do komorników i akta do sądu. Ma coś z paryskiego ulicznika przez swoje narowy, a z palestranta przez swoje losy. Dzieciak ten jest prawie zawsze bez litości, bez hamulca, nieokiełzany, koncepciarz, kpiarz, chciwiec i leń. Mimo to prawie każdy pisarczyk ma starą matkę, mieszkającą na piątym piętrze, z którą dzieli swoich trzydzieści lub czterdzieści franków miesięcznej płacy.

– Jeżeli to człowiek, czemu go pan nazywa starą pelerynką? – rzekł Simonnin z miną uczniaka, który przyłapał swego nauczyciela.

I zabrał się na powrót do chleba z serem, opierając się o okno, odpoczywał bowiem, stojąc, jak konie przy dylizansie, z nogą założoną o nogę.

– Co to za psikusa moglibyśmy wypłatać temu mandarynowi? – rzekł z cicha trzeci dependent, nazwiskiem Godeschal, zatrzymując się w połowie argumentów, jakimi stroił podanie naszkicowane przez czwartego dependenta, z którego to podania sporządzali kopie dwaj nowicjusze z prowincji. Po czym ciągnął dalej swą improwizację: – „...Ale, w swojej szlachetnej i łaskawej mądrości. Jego Królewska Mość Ludwik XVIII (piszcie pełnymi literami; hej tam, Desroches, panie uczone, który robisz concept!), w chwili gdy objął wodze swego królestwa, zrozumiał... (co on rozumiał, ten stary kawalarz?) wysoką misję, do jakiej go powołała Opatrzność!..... (wykrzyknik i sześć kropek: mają w trybunale na tyle religii, aby nam je przebaczyć) i jego pierwszą myślą było, jak tego dowodzi data pomienionego dekretu, naprawić niedole zrodzone z okropnych i smutnych klęsk epoki rewolucyjnej, wracając swoim wiernym i licznym sługom („licznym” to pochlebstwo, które musi się spodobać w Trybunale) ich wszystkie dobra nie sprzedane, czy to znajdują się w posiadaniu publicznym, czy znajdują się w zwyczajnym lub nadzwyczajnym posiadaniu Korony, czy wreszcie znajdują się w dotacjach instytucji publicznych, utrzymujemy bowiem i czujemy się w prawie utrzymywać, że taki jest duch i taka myśl owego słynnego i tak szlachetnego dekretu wydanego w...” Czekaj-

cie – rzekł Godeschal do trzech dependentów – to szelmowskie zdanie zajęło mi cały koniec stronicy. No więc – podjął, wilżąc językiem papier, aby obrócić grubą kartę stemplowego papieru – jeśli chcecie mu wypłatać kawał, trzeba powiedzieć, że pryncypał przyjmuje klientów tylko między drugą a trzecią rano; zobaczymy, czy przyjdzie, ten stary opryszek! – I Godeschal rozpoczął zaczęte zdanie: – „...wydanego w...” Macie już? – spytał.

– Tak! – krzyknęli trzej kopiści.

Wszystko szło równocześnie, podanie, gawęda i spisek.

– „Wydanego w ...” He, Boucard, jaka jest data dekretu? Trzeba kłaść kropki nad i, kroćset bomb! Z tego robią się stronice.

– „Kroćset bomb!” – powtórzył jeden z kopistów, zanim szef kancelarii Boucard odpowiedział.

– Jak to, napisałeś „kroćset bomb?” – wykrzyknął Godeschal patrząc na jednego z nowicjusów z miną surową i jowialną zarazem.

– Ależ tak – rzekł czwarty dependent, Desroches, nachylając się nad kopią sąsiada – napisał: „Trzeba kłaść kropki nad i” i „Kroćset bąb” przez ą.

Wszyscy dependenci parsknęli śmiechem.

– Jak to, panie Huré, pan bierzesz „kroćset bomb” za termin prawny i powiadasz pan, że jesteś z Mortagne! – wykrzyknął Simonnin.

– Wymaż pan to dobrze – rzekł pierwszy dependent. – Gdyby sędzia mający taksować akty zobaczył coś podobnego, powiedziałby, że sobie kpimy ze świętego Gryzmoła. Ściągnąłby pan przykrości na pryncypała. No, niech pan już nie robi takich głupstw, panie Huré. Normandczyk nie powinien pisać podania bez głowy. Toż to jest „Prezentuj broń” palestry!

– „Wydanego w... w...?” – spytał Godeschal. – Powiedźże mi, kiedy, Boucard?

– Czerwiec 1814 – odparł pierwszy dependent, nie przerywając pracy.

Pukanie do drzwi przerwało frazes tego wielomównego podania. Pięciu dependentów z ostrymi zębami, z żywymi i drwiącymi oczyma, z kędzierzawymi głowami, zadarło nosy ku drzwiom, krzyknawszy głosem ministrantów: „Proszę”. Boucard nie oderwał głowy zanurzonej w kupie aktów i dalej sporządzał rachunek.

Kancelaria był to wielki pokój, ozdobiony klasycznym piecem, który stroi wszystkie jaskinie palestry. Rury przechodziły skośnie przez pokój i biegły do ślepego kominka, na którego okapie spoczywały kawałki chleba, sera, kotlety wieprzowe, szklanki, kieliszki, butelki oraz filiżanka czekolady naczelnego dependenta. Woń tych prowiantów zlewała się tak skutecznie z zaduchem pieca rozgrzanego bez miary, z zapachem właściwym biurom i starym papierem, że nie poczułoby się tu ani fetoru lisa. Podłoga była już pełna błota i śniegu naniesionego przez dependentów. Koło okna znajdowało się biurko „naczelnego”, do którego to biurka przytykał stolicek przeznaczony dla drugiego dependenta. Drugi stawał w tej chwili w sądzie. Mogła być ósma lub dziewiąta rano. Kancelaria miała za całą ozdobę owe wielkie żółte afisze, oznajmiające zajęcia nieruchomości, sprzedaże, licytacje, przysądzenie tymczasowe lub ostateczne, chwała kancelarii! Za pierwszym dependentem znajdowała się olbrzymia półka na akty, strojąca całą wysokość ściany; każda przegroda była wypchana plikami, od których zwisała niezliczona ilość etykiet i czerwonych nitek, dających właściwą fizjonomię aktom sądowym. Niższe półki pełne były tek, poźółkłych od użycia, oklejonych niebieskim papierem; widniały na nich nazwiska „grubych” klientów, których soczyste sprawy pichciło się w tej chwili. Brudne szyby w oknach przepuszczały ledwie trochę światła. Zresztą w lutym istnieje w Paryżu bardzo mało kancelaryj, gdzieby można było pisać bez lampy przed dzieśiątą. Lokale te znajdują się w stanie dość zrozumiałego zaniedbania: wszyscy tam przechodzą, nikt nie zostaje, żaden osobisty interes nie wiąże się z tym, co jest niejako niczyje; ani adwokatowi, ani stronom, ani dependentom nie zależy na wykwincie miejsca, które dla jednych jest klasą, dla drugich przejściem, dla pryncypała zaś warsztatem. Niechlujne urządzenie przechodzi z adwokata na adwokata z taką dokładnością, że niektóre kancelarie posiadają



jeszcze skrzynki na papiery, worki pochodzące od prokuratorów Chlet, skrócenie słowa Châtelet, która to jurysdykcja przedstawiała w dawnym porządku rzeczy dzisiejszy trybunał pierwszej instancji. Ta kancelaria, ciemna, tłusta od kurzu, miała tedy, jak wszystkie inne, coś odpychającego dla klientów, coś, co z niej czyniło jedną z najwstrętniejszych potworności Paryża. Zaiste, gdyby nie istniały wilgotne zakrycie, gdzie modlitwy waży się i sprzedaje jak wiktuały, gdyby nie istniały tandeciarnie, w których wiszą łańcuchy kalające wszelkie złudzenia życia, przez to iż pokazują nam, gdzie kończą się nasze zabawy, gdyby nie istniały owe dwie kloaki poezji, ze wszystkich kramów społecznych kancelaria adwokacka byłaby najokropniejsza. Ale to samo jest z domami gry, z sądem, z biurami loterii i z domami publicznymi. Cemu? Może w tych miejscach dramat, rozgrywając się w duszy człowieka, sprawia, iż akcesoria są mu obojętne, co tłumaczyłoby również abnegację wielkich myślicieli i ludzi pożeranych ambicją.

– Gdzie mój scyzoryk?

– Jem śniadanie!

– Idźże do kata, pasztet na podaniu!

– Cyt! panowie.

Wykrzykniki te rozległy się równocześnie, w chwili gdy stary klient zamknął drzwi z ową charakterystyczną pokorą, która wynaturza ruchy człowieka nieszczęśliwego. Nieznajomy próbował się uśmiechnąć, ale mięśnie jego twarzy zastygły, podczas gdy na próżno szukał jakiegoś śladu życzliwości na obojętnych twarzach sześciu dependentów. Przywykły zapewne orientować się w ludziach, zwrócił się uprzejmie do goniacza, sądząc, że ten dzieciak odpowie mu przychylnie.

– Proszę pana, czy można widzieć się z mecenasem? Złośliwy urwis odpowiedział nieborakowi, jedynie przytykając się palcami lewej ręki w ucho, jak gdyby dla powiedzenia: „Głuchy jestem”.

– Czego pan sobie życzy? – spytał Godeschal, który zadając to pytanie łykał równocześnie kęs chleba wielki jak nabój armatni, potrząsał nożem i zakładał nogę na nogę, zadzierając niemal powyżej głowy tę, która była w powietrzu.

– Przychodzę, proszę pana, po raz piąty – odparł pacjent. – Pragnę mówić z panem Derville.

– W interesie?

– Tak, ale mogę przedstawić rzecz jedynie samemu...

– Pryncypał śpi; jeśli pan chce się go poradzić co do pewnych trudności, pracuje serio jedynie o północy. Ale gdyby pan zechciał opowiedzieć nam swoją sprawę, moglibyśmy również dobrze...

Nieznajomy pozostał niewzruszony. Rozglądał się skromnie wkoło niby pies, który, wśliznąwszy się do obcej kuchni, boi się cięgów. Ze zrozumiałych powodów dependenci nigdy nie obawiają się złodziei, nie podejrzewali tedy człowieka z pelerynką i pozwolili mu oglądać lokal, gdzie szukał daremnie krzesła, aby usiąść, bo był widocznie znużony. Z umysłu adwokaci zostawiają niewiele krzeseł w kancelarii. Pospolity klient, zmęczony stanem, odchodzi mrużąc, ale nie zabiera czasu, który, wedle wyrażenia pewnego starego obrońcy, nie podlega taksie.

– Panie – odpowiedział – miałem już zaszczyt uprzedzić, że mogę przedstawić swoją sprawę jedynie samemu panu Derville, zaczekam, aż wstanie.

Boucard skończył sumować. Uczuł woń swojej czekolady, wstał z trzcinowego fotela, podszedł do kominka, zmierzył oczami starego człowieka, spojrzął na pelerynkę i zrobił nieopisany grymas. Pomyślał, że w jakikolwiek sposób ścisnęłoby się tego klienta, nie podobna by wydobyć zeń bodaj centyma; odezwał się tedy zwięźle, w intencji oczyszczenia kancelarii z lichego nabytku.

– Powiedziano panu prawdę. Pryncypał pracuje tylko w nocy. Jeśli pańska sprawa jest poważna, radzę panu przyjść o pierwszej z rana.

Interesant popatrzał na naczelnego dependenta z ogłupiałą miną i stał jakiś czas nieruchomy. Przywykli do wszystkich zmian fizjonomii i do charakterystycznej mimiki spowodowanej wahaniem lub zadumą, które cechują procesowiczów, dependenci jedli dalej, robiąc szczękami hałas godny koni przy żłobie, i nie zwracali już uwagi na starca.

– Dobrze, przyjdę w nocy – rzekł wreszcie stary, który wytrwałością właściwą ludziom nieszczęśliwym chciał upokorzyć ludzkość.

Jedyne szyderstwo, które dozwolone jest nędzy, to zmusić Sprawiedliwość i Dobroczynność do tego, by zadały fałsz samym sobie. Przekonawszy społeczeństwo o kłamstwie, nieszczęśliwi tym żarliwiej chronią się na łono Boga.

– Cóż za wspaniały czerep! – rzekł Simonnin, nie czekając, aż starzec zamknie drzwi.

– Wygląda, jakby go z grobu odkopano – odparł któryś dependent.

– To jakiś pułkownik, który prawuje się o zaległy żołd – rzekł naczelny.

– Nie, to eks-odźwierny – rzekł Godeschal.

– Założmy się, że to szlachcic! – wykrzyknął Boucard.

– Zakładam się, że był stróżem – odparł Godeschal. – Jedyne odźwiernych wyposażyła natura w surduty zniszczone, zatłuszczone i obstrzępione u dołu jak u tego starego. Czyście nie widzieli butów bez obcasów, z otwartymi paszczami, ani krawata, który mu służy za koszulę? On musiał sypiać pod mostem.

– Mógł być szlachcicem i stróżem – wykrzyknął Desroches. – Bywali tacy.

– Nie – odparł Boucard wśród powszechnego śmiechu – ja twierdzę, że on był piwowarem w 1789, a pułkownikiem za Republiki.

– Haha! zakładam się o teatr dla całej kompanii, że to nie żołnierz – rzekł Godeschal.

– Stoi – odparł Boucard.

– Panie! panie! – krzyknął smarkacz, otwierając okno.

– Co ty robisz, Simonnin? – spytał Boucard.

– Wołam go, aby spytać, czy był pułkownikiem, czy odźwiernym; musi przecież wiedzieć.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Co się tyczy starca, szedł już z powrotem po schodach.

– Co my mu powiemy? – wykrzyknął Godeschal.

– Zostawcie to mnie – rzekł Boucard.

Biedny człowiek wszedł nieśmiało, spuszczać oczy, może aby nie zdradzić swego głodu zbyt chciwym wpatrywaniem się w prowianty.

– Szanowny panie – rzekł Boucard – czy zechce pan podać swoje nazwisko, aby pryncypał wiedział, czy...

– Chabert.

– Czy pułkownik, który zginął pod Eylau<sup>2</sup>? – spytał Huré, który nie odezwawszy się dotąd nie chciał pozostać w tyle za dowcipniami.

– Ten sam – odparł starzec z rzymską prostotą. I wyszedł.

– Tam do licha!

– To ci dał!

– Haha!

– Hoho!

– Huhu!

– Hihi!

– A, stary ladaco!

– Hip, hip, hurra!

– Wpadliśmy!

---

<sup>2</sup> Eylau (Preussisch-Eylau) – Hława Pruska, miasteczko w Prusach Wschodnich, gdzie w r. 1807 Napoleon odniósł zwycięstwo nad Prusakami i Rosjanami.

– Panie Desroches, pójdzie pan do teatru gratis – rzeki Huré do czwartego dependenta, waląc go w grzbiet z siłą zdolną położyć nosorożca.

Powstał zgiełk krzyków, śmiechów, wybuchów, na którego oddanie trzeba by zużyć wszystkie onomatopeje naszego języka.

– Do jakiego teatru pójdziemy?

– Do Opery – odparł naczelny.

– Przede wszystkim – odparł Godeschal – teatr nie był wyszczególniony. Mogę, jeżeli zechcę, zaprowadzić was do pani Saqui<sup>3</sup>.

– Pani Saqui to nie jest przedstawienie – rzekł Desroches.

– Co to jest przedstawienie? – odparł Godeschal. – Ustalmy najpierw stan faktyczny. O co się założyłem, panowie? O widowisko. Co to jest widowisko? Coś, co się widzi...

– Ależ, wedle tej teorii, mógłby się pan wypłacić pokazując nam wodę płynącą pod mostem – przerwał Simonnin.

– Co się widzi za pieniądze – ciągnął Godeschal.

– Za pieniądze widzi się wiele rzeczy, które nie są widowiskiem. Określenie nie jest ściśle – rzekł Desroches.

– Ależ słuchajcie!

– Bredzisz, mój drogi – rzekł Boucard.

– Czy Kurcusz to jest widowisko? – rzekł Godeschal.

– Nie – odparł naczelny – to muzeum figur woskowych.

– Zakładam się o sto franków przeciw jednemu su – odparł Godeschal – że gabinet Kurcjusza stanowi zbiór rzeczy, którym się daje miano widowiska. Zawiera rzeczy do oglądania po rozmaitych cenach, zależnie od miejsca, które się chce zająć.

– Bum cyk, bum cyk, bum cyk, cyk, cyk – zanucił Simonnin.

– Uważaj, żebyś nie oberwał po głębie, ty! – rzekł Godeschal.

Dependenci wzruszyli ramionami.

– Zresztą nie jest dowiedzione, że ta stara małpa nie zakpiła sobie z nas – rzekł, przerywając swój wywód, stłumiony śmiechem reszty dependentów. – Faktem jest, że pułkownik Chabert naprawdę nie żyje; żona jego wyszła powtórnie za mąż za hrabiego Ferraud, radcę stanu. Pani Ferraud jest klientką naszej kancelarii!

– Odkłada się sprawę do jutra – rzekł Boucard. – Do roboty, panowie. Kroćset bomb! Nic się tu nie robi. Kończcież swoje podanie, musi być wniesione przed sesją w czwartej Izbie. Sprawa idzie na stół dziś. Dalej, na koń!

– Gdyby to był pułkownik Chabert, czyżby nie zaaplikował kopniaka temu kawalarzowi Simonnin, kiedy mu odstawiał głuchego? – rzekł Desroches, uważając tę refleksję za istotniejszą od uwag Godeschala.

– Skoro rzecz jest nie rozstrzygnięta – powiedział Boucard – zgódźmy się, że pójdziemy na drugie piętro do Komedii Francuskiej zobaczyć Talmę jako Nerona<sup>4</sup>. Simonnin pójdzie na parter.

Za czym naczelny usiadł przy biurku, a wszyscy poszli za jego przykładem.

– „...Wydanego w czerwcu roku tysiąc osiemset czternastego” (pełnymi literami) – rzekł Godeschal – macie już?

– Tak – odparli dwaj kopiści, których pióra zaczęły znów skrzypieć po stemplowym papierze, czyniąc w kancelarii hałas stu chrząszczy zamkniętych przez sztubaków w papierowej torbie.

– „I mamy nadzieję, iż Wysoki Trybunał...” – ciągnął dyktujący. – Stój! Muszę odczytać zdanie, nie rozumiem już sam siebie.

<sup>3</sup> P a n i S a q u i – popularna w tej epoce akrobatka, która popisywała się tańcem na linie.

<sup>4</sup> J o s e p h T a l m a (1768–1826) – wybitny aktor francuski, ulubieniec Napoleona, podziwiany zwłaszcza w tragediach klasycznych, m. in. w „Brytanniku” Racine'a, gdzie odtwarzał postać Nerona.

– Czterdzieści sześć... To musi się zdarzać często!... a trzy, czterdzieści dziewięć – rzekł Boucard.

– „Mamy nadzieję – podjął Godeschal odczytawszy wszystko – że Wysoki Trybunał nie okaże się mniej wielkoduszny od dostojnego twórcy dekretu i że da odprawę niewczesnym pretensjom zarządu Wielkiej Kancelarii Legii Honorowej, ujmując rozpoznanie sprawy na szerokiej platformie, którą my tu ustalamy”.

– Panie Godeschal, chce pan szklankę wody? – rzekł pisarczyk.

– Ladaco ten Simonin! – rzekł Boucard. – Słuchaj, przygotuj swoje konie na podwójnych zolach, bierz ten pakiet i fruwnij do Inwalidów.

– „Którą tu ustalamy” – podjął Godeschal. – Dodajcie: „w interesie pani...” (pełnymi literami) „wicehrabiny de Grandlieu...”

– Jak to! – wykrzyknął naczelny. – Ty ważysz się wnosić podanie w sprawie wicehrabiny de Grandlieu przeciw legii honorowej, w sprawie na rachunek kancelarii, podjętej ryczałtem? A to z ciebie ostry ciemięga! Schowajcie zaraz do szuflady te kopie i swój koncept, zachowaj to na sprawę książąt Navarreins przeciw szpitalom. Późno już, ja zrobię naprędce małe placet z obfitym Z w a ż y w s z y, i pójdę sam do sądu...

Ta scena odtwarza jedną z tysięcy uciech, które później każą wzdychać, wspominając młodość: „To były dobre czasy!”

Około pierwszej po północy rzekomy pułkownik Chabert zapukał do drzwi adwokata Derville, adwokata przy trybunale pierwszej instancji departamentu Sekwany. Odźwierny powiedział mu, że pan Derville jeszcze nie wrócił. Starzec powołał się na umówioną godzinę i podążył po schodach do sławnego prawnika, który mimo swej młodości uchodził za jedną z najtęższych głów w trybunale. Zadzwoniwszy, nieufny interesant zdziwił się niemało, widząc, jak pierwszy dependent układa w jadalni pryncypała na stole liczne akta spraw przypadających na dzień następny. Dependent, nie mniej zdziwiony, skłonił się pułkownikowi, prosząc, by usiadł, co też interesant uczynił.

– Na honor, myślałem, że pan żartuje wczoraj, naznaczając mi tak wczesną godzinę – rzekł starzec z fałszywą wesołością bankruta, który silił się na uśmiech.

– Chłopcy żartowali i równocześnie mówili prawdę – odparł prawnik, nie odrywając się od pracy. – Pan Derville obrał tę godzinę na rozpatrywanie spraw, orientowanie się w aktach, wyciąganie wniosków, rozdzielanie obrony. Jego zadziwiająca inteligencja swobodniejsza jest w owej chwili, jedynej, w której może mieć spokój i ciszę potrzebne do skupienia myśli. Pan jest, od czasu jego adwokatury, trzecim przykładem konsultacji o tej porze. Za powrotem przedyskutuje każdą sprawę, przeczyta wszystko, spędzi może cztery lub pięć godzin przy pracy; potem zadzwoni na mnie i powie mi swoje decyzje. Rano, od dziesiątej do drugiej, przyjmuje klientów; resztę dnia konferencje. Wieczorem bywa w świetle dla podtrzymania stosunków. Ma więc tylko noc na to, aby badać procesy, przetrząsać arsenał kodeksu i tworzyć plany bitwy. Nie chce przegrać ani jednej sprawy, kocha swoją sztukę. Nie przyjmuje, jak jego koledzy, każdego procesu. Oto jego życie, szalenie czynne. Toteż zarabia dużo.

Słuchając tego, starzec siedział w milczeniu, a dziwna jego twarz przybrała wyraz takiej tępoty, że dependent, spojrzawszy nań, przestał się nim zajmować. W chwilę później wszedł Derville w stroju balowym; naczelny dependent otworzył mu drzwi i wrócił do klasyfikowania aktów. Młody adwokat przystanął chwilę zdziwiony, widząc w półmroku osobliwego klienta. Pułkownik Chabert był nieruchomy jak woskowa figura w owym gabinecie Kurcju-sza, dokąd Godeschal chciał zaprowadzić kolegów. Nieruchomość ta nie byłaby tak zdumiewająca, gdyby się z nią nie łączył fantastyczny wygląd tej osobistości. Stary żołnierz był kościsty i chudy. Czoło jego, rozmyślnie zakryte włosami gładkiej peruki, dawało mu coś tajemniczego. Oczy zdawały się pokryte przezroczystym bielmem; rzekłbyś, brudna perłowa masa, której odcienie migotały w blasku świec. Twarz blada, sina, o ostrych rysach, zdawała się martwa. Szyja tkwiła w czarnym jedwabnym krawacie, bardzo zniszczonym. Reszta, po-

niżej ciemnej linii tego łachu, była tak ukryta w cieniu, że człowiek o bujnej wyobraźni wziąłby tę starą głowę za jakąś fantastyczną sylwetkę lub za portret Rembrandta bez ramy. Rondo kryjące czoło starca rzuciło ciemną smugę na górną część twarzy. Ta dziwna, mimo że naturalna gra światła i cienia uwydatniała siłą kontrastu białe zmarszczki, sine bruzdy, wyblakły ton tej trupiej fizjonomii. Wreszcie, brak wszelkiego ruchu, wszelkiego blasku w spojrzeniu godził się z wyrazem smutnego szaleństwa, z haniebnymi cechami zidiocenia, i czynił z tej postaci coś okropnego, czego żadne słowo ludzkie nie zdołałoby wyrazić. Ale obserwator, a zwłaszcza adwokat, dostrzegłby w tym złamanym człowieku oznakę głębokiej bóleści, oznakę nędzy, która spodiła tę twarz, jak krople wody spadające na piękny marmur zeszpeca go stopniowo. Lekarz, powieściopisarz, poeta, sędzia odgadłby cały dramat widząc tę wspaiałą ohydę, podobną do owych fantazji, które malarze kreślą dla zabawy na ramie kamienia litograficznego, gwarząc z przyjaciółmi.

Widząc adwokata, nieznajomy wzdrygnął się konwulsyjnym ruchem podobnym gestowi poety, gdy nieoczekiwany szmer wyrwie go w ciszy nocnej z płodnej zadumy. Starzec odkrył szybko głowę i wstał, aby się skłonić młodemu adwokatowi; skóra wyścielająca wnętrze kapelusza była zapewne bardzo tłusta, tak iż bez jego wiedzy peruka przylepiła się do niej; nieznajomy błysnął nagością czaszki straszliwie zeszpeconej poprzeczną blizną, która zaczynała się w tyle głowy, a kończyła u prawego oka, tworząc na całej przestrzeni gruby, sterczący szew. Nagłe uchylenie brudnej peruki, którą biedak nosił, aby ukryć swą ranę, nie zbudziło bynajmniej ochoty do śmiechu w dwóch prawnikach; widok tej rozłupanej czaszki był okropny. Pierwsza myśl, jaką budził obraz tej rany, była: „Tędy uciekła inteligencja!”

„Jeśli to nie jest pułkownik Chabert, musi to być tęgi wiarus!” – pomyślał Boucard.

– Proszę pana – rzekł Derville – z kim mam zaszczyt?

– Pułkownik Chabert.

– Który?

– Ten, który zginął pod Eylau – odparł starzec.

Słyszając te szczególne słowa, dependent i adwokat wymienili spojrzenie, które znaczyło: „To wariat!”

– Proszę pana – dodał pułkownik – pragnąłbym jedynie panu powierzyć tajemnicę swego położenia.

Rzeczą godną uwagi jest nieustraszoność właściwa adwokatom. Czy to nawyk przyjmowania wielu osób, czy głębokie poczucie ochrony, jakiej użycza im prawo, czy ufność w swoje posłannictwo – wchodzi oni wszędzie bez żadnej obawy, jak kapłani i lekarze. Derville dał znak Boucardowi, który znikł.

– Proszę pana – rzekł adwokat – w dzień nie rachuję się zbyt z czasem, ale w nocy minuty są mi drogie. Zatem niech pan będzie zwięzły i treściwy. Niech pan przystąpi do rzeczy bez kołowań. Ja sam poproszę pana o wyjaśnienia, które mi się wydadzą potrzebne. Mów pan!

Usadowiwszy osobliwego klienta, młody człowiek sam usiadł przy stole, ale, słuchając baczenie nieboszczyka Chabert, przeglądał akta.

– Proszę pana – rzekł zmarły – wiadomo panu może, że ja dowodziłem pułkiem kawalerii pod Eylau. Przyczyniłem się wiele do sukcesu słynnej szarży Murata, która rozstrzygnęła o wygranej. Niestety dla mnie, śmierć moja jest faktem historycznym, zanotowanym w „Zwycięstwach i podbojach”<sup>5</sup>, gdzie ją opisano szczegółowo. Rozłupaliśmy na dwoje trzy szeregi rosyjskie, które, sformowawszy się na nowo, zmusiły nas do tego, aby się przebić, przez nie z powrotem. W chwili gdy, rozproszywszy Moskali, wracaliśmy do cesarza, spotkałem korpus nieprzyjacielskiej kawalerii. Skoczyłem na tych uparciuchów. Dwaj oficerowie

<sup>5</sup> „Zwycięstwa i podboje” – wielotomowa historia wojenna Francji, opublikowana po raz pierwszy w latach 1817 do 1821, dzieło generałów Beauvais, Thiébauta i Parisota; ta nieudolna kompilacja, poświęcona głównie wojnom okresu rewolucji i Cesarstwa, stała się jednym ze źródeł legendy Napoleońskiej.

ruscy, dwa istne olbrzymy, rzucili się na mnie równocześnie. Jeden rąbnął mnie w głowę szablą, rozciął wszystko aż do jedwabnej czapeczki i otworzył mi głęboko czaszkę. Spadłem z konia. Murat przybiegł mi na pomoc, przejechał po mnie, on i cała jego kawaleria, tysiąc pięćset ludzi, bagatela! Oznajmiono moją śmierć cesarzowi. Cesarz, przez ostrożność (lubił mnie dosyć mój pryncypał), chciał się upewnić, czy nie ma jakich widoków ocalenia człowieka, któremu zawdzięczał ten energiczny atak. Posłał dla rozpoznania i przeniesienia mnie do ambulansu dwóch chirurgów, powiadając im, może zbyt niedbale, bo miał robotę: „Idźcie no popatrzeć, czy mój biedny Chabert przypadkiem nie dycha?” Te szelmy konowały, które widziały przed chwilą, jak po mnie przejechały całe dwa pułki, nie fatygowali się z pewnością z obmacywaniem pulsu i orzekli, że jestem trup. Akt zgonu sporządzono tedy prawdopodobnie wedle formalności wojskowych.

Słyszając, iż klient wyraża się zupełnie jasno i opowiada fakty tak prawdopodobne, mimo że szczególne, młody adwokat porzucił akta, oparł głowę na rękę i popatrzył bystro na pułkownika.

– Czy pan wie – przerwał – że ja prowadzę interesy hrabiny Ferraud, wdowy po pułkowniku Chabert?

– Mojej żony? Tak, panie. Toteż po stu daremnych krokach u prawników, którzy brali mnie wszyscy za wariata, zdecydowałem się przyjść do pana. Opowiem panu o swoich nieszczęściach później. Niech mi pan pozwoli najpierw ustalić fakty, wytłumaczyć panu raczej, jak musiały się stać, niż jak się stały. Pewne okoliczności, znane tylko Ojcu Przedwiecznemu, zmuszają mnie do przedstawienia niektórych wydarzeń w formie hipotezy. Zatem, proszę pana, rany moje spowodowały prawdopodobnie tęzec lub pogrążyły mnie w stanie zwanym, jeśli się nie mylę, katalepsją. Inaczej jak pojąć, że zostałem obyczajem wojennym odarty z ubrania i rzucony do wspólnego dołu przez grabarzy? Tutaj niech mi pan pozwoli wspomnieć pewien szczegół; mogłem się go dowiedzieć dopiero po wypadku, który trzeba nazwać m o j ą ś m i e r c i ą . Spotkałem w r. 1814, w Stuttgarcie, dawnego kwatermistrza mego pułku. Ten złoty człowiek, jedyny, który zechciał mnie poznać i o którym opowiem za chwilę, wytłumaczył mi cud mego ocalenia, powiadając, że mój koń otrzymał kulę w bok, w chwili gdy mnie raniono. Zwierzę i jeździec runęli tedy obaj jak domek z kart. Kiedym się zwałił bądź na prawo, bądź na lewo, z pewnością koń pokrył mnie swym ciałem, co mnie ocaliło od zdeptania przez inne konie lub dosięgnięcia kulą. Kiedym odzyskał przytomność, proszę pana, byłem w pozycji i w atmosferze, o której nie mógłbym panu dać pojęcia, choćbym opowiadał do jutra. Odrobina powietrza, którą oddychałem, była zgniła. Chciałem się ruszyć i nie znajdowałem miejsca. Kiedym otworzył oczy, nie ujrzałem nic. Brak powietrza był mi najgroźniejszy i oświecił mnie co do mego położenia. Zrozumiałem, że tam, gdzie tkwię, powietrze nie odnawia się i że przyjdzie mi umrzeć. Ta myśl odjęła mi poczucie niewysłowionego bólu, który mnie obudził. W uszach dzwoniło mi gwałtownie. Usłyszałem lub zdawało mi się, że słyszę – nie chcę nic twierdzić – jęki wydawane przez kupę trupów, pośród których leżałem. Mimo że świadomość tych chwil jest bardzo mglista, mimo że wspomnienia moje są bardzo mętne, mimo pamięci głębszych jeszcze cierpień, które miałem poznać i które zmałyły moją głowę, są noce, w których wydaje mi się, że jeszcze słyszę te zdławione westchnienia!

Ale było coś okropniejszego niż krzyki; to cisza, taka, jakiej nie spotkałem nigdzie, cisza grobu. Wreszcie, podnosząc ręce, macając zmarłych, uczułem próżnię między swoją głową a nawozem ludzkim wyżej niej. Mogłem tedy zmierzyć przestrzeń, którą mi zostawił nieznaną przypadkiem. Zdaje się, że dzięki niedbalstwu czy też pośpiechowi, z jakim rzucono nas na kupę, dwa trupy skrzyżowały się nade mną jak dwie karty wsparte o siebie przez dziecko, które układa domki. Rozpatrując się śpiesznie w położeniu, bo nie było czasu na zabawę, spotkałem na szczęście ramię, które nie trzymało się niczego, ramię herkulesowe! Grubą kość, której winien byłem ocalenie. Bez tej niespodziewanej pomocy byłbym zgubiony! Ale z wściekłością, którą pan pojmuje, zacząłem ryc się przez trupy, które mnie dzieliły od warstwy ziemi z

pewnością rzuconej na nas; powiadam „na nas”, tak jakby tam byli żywi! Pracowałem tego, proszę pana, skoro tu jestem! Ale nie wiem dzisiaj, w jaki sposób zdołałem przebić pokrywę mięsa, która tworzyła zapórę między życiem a mną. Powie pan, że miałem trzy ręce! Ta dźwignia, którą posługiwałem się zręcznie, dawała mi bądź co bądź trochę powietrza między trupami, które usuwałem; starałem się oddychać oszczędnie. Wreszcie ujrzałem światło dzienne, ale poprzez śnieg, słyszy pan! W tej chwili spostrzegłem, że mam rozciętą głowę. Na szczęście, moja krew, krew moich towarzyszy lub może okaleczona skóra mego konia, czy ja wiem co! Krzepnąc opatrzyła mnie jakby naturalnym plastrem. Mimo tej skorupy zemdlałem, skoro czaszka moja zetknęła się ze śniegiem. Bądź jak bądź, odrobina ciepła, która mi pozostała, stopiła śnieg dokoła mnie; kiedym odzyskał przytomność, znalazłem się w małym otworze, przez który krzyczałem tak długo, jak mogłem. Ale w tej chwili wstawało dopiero słońce, mało było tedy widoków, aby mnie usłyszano. Czy byli już ludzie w polu? Wspinałem się czyniąc z nóg sprężynę, której punktem oparcia byli umarli mający tęgie bary. Pojmuje pan, że to nie była chwila, aby im mówić: „Cześć nieszczęśliwej odwadze!”

Krótko mówiąc, napatrzywszy się długo z bólem – jeżeli to słowo może oddać mą wściekłość – długo, och, długo! jak te przeklęte Szwaby zmykały, słysząc głos, a nie widząc człowieka, doczekałem się uwolnienia. Uwolniła mnie kobiecina dość śmiała lub dość ciekawa, aby się zbliżyć do mej głowy, która wyrosła w jej oczach z ziemi niby grzyb. Poszła po męża i we dwoje przenieśli mnie do swej lepianki. Zdaje się, że tam nastąpił nawrót katalepsji (niech pan daruje to wyrażenie, określam nim stan, o którym nie mam żadnego pojęcia, ale sądzę, z relacji moich gospodarzy, że podobny jest do tej choroby). Leżałem tam pół roku między życiem a śmiercią, nie mówiąc wcale lub bredząc. Wreszcie moi gospodarze umieścili mnie w szpitalu w Heilsbergu. Rozumie pan, że wyszedłem z owej czeluści nagi, jak mnie matka porodziła, tak iż w pół roku potem, kiedy pewnego pięknego poranka przypomniałem sobie, że jestem pułkownik Chabert, i kiedy odzyskując świadomość chciałem uzyskać od pielęgniarki więcej względów, niż ich używała biednemu przybłądzie, towarzysze szpitalni zaczęli się ze mnie śmiać. Szczęściem dla mnie, chirurg zaręczył, przez ambicję, za moje wyleczenie; tym samym zainteresował się swoim chorym. Kiedy mu zacząłem rozsądnie mówić o swym dawnym życiu, zacny człowiek, nazwiskiem Sparchmann, kazał stwierdzić, wedle form prawnych jego kraju, cudowny sposób, w jaki wydostałem się z trupiego dołu, dzień i godzinę, w której mnie odnalazła moja dobrodziejka i jej mąż, rodzaj i dokładne umiejscowienie ran, dołączając do tych protokołów opis mej osoby.

Otóż, proszę pana, nie mam ani tych ważnych papierów, ani oświadczenia, jakie złożyłem u rejenta w Heilsbergu celem ustalenia mej tożsamości! Od dnia, w którym wyгнаły mnie stamtąd wypadki wojenne, błądziłem wciąż jak włóczęga, zebrząc chleba, traktowany jak wariat, kiedym opowiadał swą przygodę, nie znalazłszy ani nie zarobiwszy grosza, aby się wystarać o te akty, które mogły dowieść moich słów i wrócić mi społeczne prawo bytu. Często cierpienia moje zatrzymywały mnie całe miesiące po miasteczkach, gdzie użyczano opieki choremu Francuzowi, ale śmiano mu się w nos, kiedy twierdził, że jest pułkownikiem Chabert. Długi czas te śmiechy, te powątpiewania wprawiły mnie we wściekłość, która mi zaszkodziła i która sprawiła, że mnie zamknięto w domu obłąkanych w Stuttgarcie. W istocie, słuchając mego opowiadania może pan sądzić, że dość w nim było wystarczających racji, aby przymknąć człowieka! Po dwóch latach zamknięcia, które musiałem wycierpieć, słysząc tyśiąć razy, jak moi stróże mówili: „A, to ten biedny człowiek, któremu się zdaje, że jest pułkownikiem Chabert!” – na co ludzie odpowiadali: „Biedny człowiek!” – przekonałem się o niemożliwości własnej przygody. Stałem się smutny, zrezygnowany, spokojny i wyrzekłem się tożsamości z pułkownikiem Chabert, aby się wydostać z więzienia i wrócić do Francji. Och, panie, ujrzyć znów Paryż! To było upojenie, którego nic...

Nie dokończywszy pułkownik Chabert popadł w głęboką zadumę, którą Derville uszanował.

– Zatem pewnego pięknego dnia – ciągnął klient – na wiosnę, dano mi wolność i dziesięć talarów pod pozorem, że mówię rozsądnie o wszystkim i że nie twierdzę już, iż jestem pułkownik Chabert. Na honor, w owej epoce i jeszcze chwilami dzisiaj moje nazwisko mi obrzydło. Chciałbym nie być sobą. Świadomość moich praw mnie zabija. Gdyby moja choroba odjęła mi całą pamięć minionej egzystencji, byłbym szczęśliwy! Byłbym wrócił do służby pod Jakimkolwiek nazwiskiem i kto wie? Zostałbym może feldmarszałkiem w Austrii albo w Rosji.

– Doprawdy – rzekł adwokat – w głowie mi się miesza, kiedy pana słucham. Zdaje mi się, że śnię. Jeśli łaska, przerwijmy na chwilę.

– Jest pan – rzekł melancholijnie pułkownik – jedyną osobą, która mnie tak cierpliwie wysłuchała. Żaden prawnik nie chciał wyłożyć dziesięciu napoleonów na sprowadzenie z Niemiec aktów potrzebnych na rozpoczęcie mego procesu.

– Co za procesu? – rzekł adwokat, który zapomniał o bolesnej sytuacji swego klienta, słysząc opowieść o jego minionych niedolach.

– Ależ panie, czyż hrabina Ferraud nie jest moją żoną? Ma trzydzieści tysięcy funtów renty, które należą do mnie, i nie chce mi dać ani szeląga. Kiedy mówię te rzeczy adwokatowi, ludziom rozsądnym, kiedy proponuję, ja, żebrak, wytoczenie procesu hrabiemu i hrabinie, kiedy powstają, ja, nieboszczyk, przeciw aktowi śmierci, przeciw aktowi małżeństwa i aktom urodzin, pozbywają się mnie, zależnie od swego charakteru, bądź to z ową zdawkową uprzejmością, którą panowie umiecie przybrać, aby się uwolnić od nieszczęśliwego, bądź też brutalnie, jak ludzie, którym się zdaje, że mają do czynienia z intrygantem lub wariatem. Byłem zagrzebany pod trupami, ale obecnie jestem zagrzebany pod żywymi, pod aktami, pod faktami, pod całym społeczeństwem, które chce mnie wepchnąć z powrotem pod ziemię!

– Proszę, zechce pan mówić dalej – rzekł adwokat.

– *Z e c h c e p a n* – wykrzyknął nieszczęśliwy starzec, ujmując rękę młodego człowieka – oto pierwsze uprzejme słowo, jakie słyszę od czasu...

Pułkownik rozplakał się. Wdzięczność dławiała jego głos. Ta przejmująca i niewysłowiona wymowa, która tkwi w spojrzeniu, geście, milczeniu nawet, do reszty przekonała Derville'a i wzruszyła go.

– Niech pan posłucha – rzekł do klienta – wygrałem dziś wieczór trzysta franków, mogę obrócić połowę tej sumy na to, aby stworzyć szczęście człowieka. Rozpocznę poszukiwania i kroki, aby się wystarać panu o potrzebne akty; do ich przybycia będę panu dawał pięć franków dziennie. Jeśli pan jest pułkownikiem Chabert, wybaczy pan szczupłość tej pożyczki młodemu człowiekowi na dorobku. Proszę, niech pan mówi dalej.

Rzekomy pułkownik stał chwilę nieruchomy i zdumiony: bezgraniczne nieszczęście zniszczyło zapewne jego wiarę. Jeśli uganiał się za swą sławą wojskową, za swym majątkiem, za sobą samym, to może z pobudek owego niewytłumaczonego uczucia, tkwiącego w sercu ludzi, któremu zawdzięczamy dociekania alchemików, namiętność sławy, odkrycia astronomiczne, fizyczne, co pcha człowieka do spotęgowania swego istnienia przez pomnożenie go faktami lub ideałami. *Ego*, ja, było w jego pojęciu już tylko drugorzędnym przedmiotem, jak ambicja lub rozkosz wygranej stają się droższe zakładającemu się niż przedmiot zakładu. Słowa młodego adwokata były jak cud dla tego człowieka, odtrącanego dziesięć lat przez żonę, przez trybunały, przez całe społeczeństwo. Znaleźć u adwokata owych dziesięć sztuk złota, odmawianych mu tak długo, przez tyle osób i na tyle sposobów! Pułkownik podobny był do owej damy, która, mając gorączkę przez piętnaście lat, sądziła, że wpadła w nową chorobę w dniu, w którym ozdrowiała. Są szczęścia, w które się już nie wierzy; skoro się zdarzą, są jak piorun, walą człowieka z nóg. Toteż wdzięczność nieboraka była zbyt żywa, aby ją mógł wyrazić. Wydałaby się zimna ludziom powierzchownym, ale Derville odgadł całą uczciwość w tym osłupieniu. Szalbierz byłby znalazł głos.



- Gdzie ja byłem? – rzekł pułkownik z naiwnością dziecka lub żołnierza, bo często jest dziecko w prawdziwym żołnierzu, a prawie zawsze żołnierz w dziecku, zwłaszcza we Francji.
- W Stuttgarcie. Wyszedł pan z więzienia – odparł adwokat.
- Zna pan moją żonę? – spytał pułkownik.
- Tak – odparł Derville, skłaniając głowę.
- Jaka ona jest?
- Zawsze urocza.

Starzec uczynił gest, jakby pożerał jakąś tajemną zgryzotę z ową poważną i uroczystą rezygnacją, która charakteryzuje ludzi doświadczonych we krwi i ogniu bitew.

– Panie – rzekł z odcieniem wesołości, oddychał bowiem biedny pułkownik, wstał po raz drugi z grobu, przebił warstwę śniegu trudniejszą do stopienia niż ta, która niegdyś mroziła mu głowę, i wdychał powietrze tak, jakby opuszczał więzienie. – Panie – rzekł – gdybym był ładnym chłopcem, żadne z moich nieszczęść nie byłoby mi się zdarzyło. Kobiety wierzą ludziom, którzy szpikują słowa westchnieniami miłości. Wówczas drepcą, biegają, stają na głowie, intrygują, świadczą, poruszają piekło dla tego, który im się podoba. Jakim cudem zdołałbym zainteresować kobietę? Miałem twarz nieboszczyka, byłem ubrany jak oberwaniec, podobniejszy byłem do Eskimosa niż do Franucyza, ja, który niegdyś uchodziłem za najładniejszego lalusia, w r. 1799! Ja, Chabert, hrabia Cesarstwa!

Zatem w dniu, w którym rzucono mnie na bruk jak psa, spotkałem kwatermistrza, o którym już panu mówiłem. Kamrat nazywał się Boutin. Ten nieborak i ja to była razem najładniejsza para szkap, jaką kiedy widziałem; spotkałem go na przechadzce, ja go poznałem, ale on nie mógł zgadnąć, kto ja jestem. Poszliśmy razem do szynku. Tam, kiedy wymieniłem swoje nazwisko, gęba Boutina rozwarła się w szerokim śmiechu na kształt pękającego móżdżka. Ta wesołość, proszę pana, to był jeden z moich największych bólów w życiu. Mówiła mi bez ogródek o zmianach, jakie zaszły we mnie! Byłem tedy nie do poznania, nawet dla najskromniejszego i najwdzięczniejszego z moich przyjaciół! Niegdyś ocaliłem Boutinowi życie, ale to był tylko rewanż. Nie powiem panu, w jaki sposób oddał mi tę przysługę. Rzecz działa się we Włoszech, w Rawennie. Dom, w którym Boutin ocalił mnie od pchnięcia sztyltem, to nie był dom bardzo przyzwoity. W owej epoce nie byłem pułkownikiem, byłem prostym kawalerzystą, jak Boutin. Na szczęście, ta historia miała szczegóły, które mogliśmy znać tylko my dwaj; kiedy mu je przypomniałem, niedowiarstwo jego osłabło. Następnie opowiedział mi koleje swego dziwnego życia. Mimo że oczy moje, głos mój były, jak mówił, znacznie zmienione, mimo że nie miałem już ani włosów, ani zębów, ani brwi, że byłem biały jak albinos, po tysiącu pytań, na które odpowiedziałem zwycięsko, poznał wreszcie w żebraku swego pułkownika. Opowiedział mi swoje przygody, były nie mniej niezwykle od moich: wracał z krańców Chin, kędy chciał się przedostać uciekający z Syberii. Opowiedział mi klęskę rosyjską i pierwszą abdykację Napoleona. Ta wiadomość była z tych, które mi sprawiły największej bólu! Byliśmy niby dwa ciekawe szczątki toczone po globie, jak się toczą w oceanie kamyki niesione burzą od brzegu do brzegu. We dwóch widzieliśmy Egipt, Syrię, Hiszpanię, Rosję, Holandię, Niemcy, Włochy, Dalmację, Anglię, Chiny, Tartarię, Syberię, brakło nam jedynie Indii i Ameryki! Wreszcie, lepiej ode mnie władający nogami Boutin podjął się iść najszybciej jak zdoła do Paryża, powiadomić moją żonę o moim losie. Napisałem do pani Chabert bardzo szczegółowy list. Był to już czwarty, proszę pana! Gdybym miał krewnych, wszystko to nie byłoby się może trafiło; ale, muszę panu wyznać, jestem podrzutkiem, żołnierzem, który za ojcowiznę miał tylko swoje męstwo, za rodzinę cały świat, za ojczyznę Francję, za opiekuna Boga.

Źle mówię! Miałem ojca, cesarza! Och, gdyby on żył, kochany człowiek, i gdyby ujrzął swego Chaberta, jak mnie nazywał, w podobnym stanie, ależ byłby wpadł w furję! Cóż pan chce, nasze słońce zaszło, zimno jest nam wszystkim. Ostatecznie, wypadki polityczne mogły usprawiedliwić milczenie żony!

Boutin ruszył w drogę. On był szczęśliwy! Miał dwa białe niedźwiedzie, wspaniale tresowane, z których żył. Nie mogłem mu towarzyszyć: cierpienia moje nie pozwalały mi na odbywanie długich marszów. Płakałem, proszę pana, kiedyśmy się żegnali; towarzyszyłem mu tak długo, jak tylko stan mój pozwalał mi dotrzymywać kroku niedźwiedzim i jemu. W Karlsruhe miałem napad newralgii w głowie, leżałem sześć tygodni na słomie w oberży! Nie skończyłbym, proszę pana, gdyby mi trzeba było opowiadać niedole swego żebraczego życia. Ale cierpienia moralne, przy których bledną cierpienia fizyczne, budzą mniej współczucia, bo się ich nie widzi. Przypominam sobie, że płakałem przed hotelem w Strasburgu, gdzie wydałem niegdyś bal i gdzie nie dostałem nic, nawet kawałka chleba. Ustaliwszy z Boutinem drogę, którą miałem iść, wstępowałem do każdego biura pocztowego pytać, czy nie ma dla mnie listu i pieniędzy. Zaszedłem aż do Paryża, nie znalazłszy nic. Ile rozpacz trzeba mi było pokonać! „Boutin musiał umrzeć” – powiadałem sobie. W istocie, nieborak padł pod Waterloo. Dowiedziałem się o jego śmierci później, przypadkiem. Jego poselstwo do mojej żony było zapewne daremne. Wreszcie wszedłem do Paryża równocześnie z kozakami. Dla mnie była to boleść po boleści. Widząc Moskali we Francji, nie pamiętałem już, że nie mam trzewików na nogach ani pieniędzy w kieszeni. Tak, panie, odzież moja była w strzępach. W wilię przybycia musiałem biwakować w lasach Claye. Chłód nocny przyprawił mnie najwidoczniej o atak jakiejś choroby, która mnie chwyciła, kiedy przechodziłem przez Przedmieście Saint-Martin. Padłem prawie zemdlony w bramie handlarza żelazem. Kiedy się obudziłem, byłem w łóżku w szpitalu. Tam spędziłem miesiąc dość szczęśliwy. Niebawem wypuszczono mnie, byłem bez pieniędzy, ale zdrowy i na kochanym bruku Paryża. Z jaką radością i pośpiechem udałem się na ulicę Mont-Blanc, gdzie żona musiała mieszkać w moim pałacyku! Ba! Ulica Mont-Blanc stała się ulicą Chaussée-d'Antin. Nie ujrzałem już swego pałacyku, sprzedano go, zburzono. Speculanci zbudowali kilka domów w moim ogrodzie. Nie wiedząc, że żona wyszła ponownie za mąż za pana Ferraud, nie mogłem uzyskać żadnej informacji. Wreszcie udałem się do starego adwokata, który niegdyś prowadził moje sprawy. Pocziwiec umarł odstąpiwszy klientelę młodemu następcy. Ten oznajmił mi, ku memu zdumieniu, o otwarciu spadku po mnie, o jego likwidacji, o małżeństwie mojej żony i o urodzeniu dwojga dzieci. Kiedym wyznał, że jestem pułkownik Chabert, zaczął się śmiać tak szczerze, że opuściłem go nie rzekłszy nic. Moje zamknięcie w Stuttgartarcie nasunęło mi myśl o Charenton<sup>6</sup>, postanowiłem być ostrożny. Za czym dowiedziawszy się, gdzie mieszka żona, udałem się do jej pałacu z sercem pełnym nadziei. Wie pan – rzekł pułkownik z odruchem zdławionej wściekłości – nie przyjęto mnie, kiedym się kazał oznajmić pod przybranym nazwiskiem, w dniu zaś, gdy podałem moje własne, zabroniono mnie wpuszczać. Aby ujrzeć hrabinę wracającą z balu lub z teatru nad ranem, stałem całe noce przylepiony do ściany przy bramie. Wpatrywałem się we wnętrze powozu, który przemykał przed mymi oczyma z szybkością błyskawicy: ledwie mogłem dojrzeć tę kobietę, która jest moja, a która już nie należy do mnie. Och! od tego dnia żyłem dla zemsty – wykrzyknął starzec głucho, prostując się w oczach Derville'a. – Ona wie, że istnieje; otrzymała ode mnie, od mego powrotu, dwa listy pisane moją własną ręką. Nie kocha mnie już! Ja, ja nie wiem, czy ją kocham, czy jej nienawidzę! Pragnę jej i przeklinam ją na przemian. Winna mi jest swój los, szczęście i ot, nie przesłała mi nawet najlżejszej pomocy! Chwilami nie wiem już, co się dzieje ze mną!

Przy tych słowach stary żołnierz padł na krzesło i leżał jak martwy. Derville milczał, wpatrując się w klienta.

– Sprawa jest poważna. Ale, przypuściwszy autentyczność dokumentów, które mają się znajdować w Heilsbergu, nie jestem wcale przeświadczony, abyśmy od razu wygrali. Proces pójdzie przez trzy instancje. Trzeba się zastanowić spokojnie nad podobną sprawą, jest zupełnie wyjątkowa.

---

<sup>6</sup> Charenton – miejscowość pod Paryżem, gdzie mieści się zakład dla umysłowo chorych.

– Och – rzekł zimno pułkownik, podnosząc dumnie głowę – jeśli padnę, potrafię umrzeć, ale w towarzystwie.

Tu starzec jakby odmłodził. Oczy energicznego mężczyzny zabłyśły rozpalone płomieniem żądz i zemsty.

– Trzeba będzie może się układać – rzekł adwokat.

– Układać! – powtórzył pułkownik Chabert. – Czy ja żyję, czy umarłem?

– Mam nadzieję – rzekł adwokat – że pan będzie słuchał moich rad. Pańską sprawę będę uważał za własną. Przekona się pan niebawem o współczuciu, jakie mam dla pańskiego położenia, prawie bez przykładu w kronikach sądowych. Na razie dam panu słówko do mego re-jenta, który panu wypłaci, za pokwitowaniem, pięćdziesiąt franków co dziesięć dni. Nie byłoby właściwe, abyś pan tu przychodził po wsparcie. Jeśli pan jest pułkownikiem Chabert, nie powinienesz być na niczyjej łasce. Dam tym zaliczkom formę pożyczki. Ma pan prawo do majątku, jest pan bogaty.

Ta ostatnia delikatność wycisnęła łyzy starcowi. Derville wstał nagle – nie było może przyjęte, aby adwokat okazywał wzruszenie – udał się do gabinetu, skąd wyszedł z nie zapieczętowanym listem, który oddał hrabiemu Chabert. Kiedy biedny człowiek wziął list, uczył przez papier dwie sztuki złota.

– Czy zechce mi pan wyszczególnić akta, podać mi nazwę miasta, królestwa? – rzekł adwokat.

Pułkownik podyktował wskazówki, poprawiając ortografię miejscowości, następnie wziął kapelusz, popatrzył na Derville'a, podał mu drugą rękę, rękę zgrubiałą, i rzekł z prostotą:

– Na honor, po cesarzu jest pan człowiekiem, któremu będę najwięcej winien. Jest pan chwyt.

Adwokat uderzył dłonią w dłoń pułkownika, odprowadził go na schody i poświecił mu.

– Boucard – rzekł Derville do pierwszego dependenta – usłyszałem historię, która będzie mnie może kosztowała dwadzieścia pięć ludwików. Jeżeli mnie nabrano, nie będę żałował swoich pieniędzy, ujrzałem najtęższego aktora naszych czasów.

Kiedy pułkownik znalazł się pod latarnią, wydobył z listu dwie dwudziestofrankówki i popatrzył na nie chwilę w świetle. Pierwszy raz od dziewięciu lat oglądał złoto.

– Będę tedy mógł palić cygara – powiedział sobie.

Może w trzy miesiące po tej nocnej konsultacji rejent mający wypłacać żołąd, który adwokat wyznaczył swemu osobliwemu klientowi, zaszedł do Derville'a, aby z nim pogadać o jakiejś ważnej sprawie. Na początek upomniał się o sześćset franków, danych staremu żołnierzowi.

– Bawisz się tedy w utrzymywanie dawnej armii? – rzekł, śmiejąc się rejent, nazwiskiem Crottat, młody człowiek, który kupił kancelarię, gdzie był pierwszym dependentem, gdy właściciel uciekł, zostawiając straszliwe bankructwo.

– Dziękuję ci, mój drogi – odparł Derville – żeś mi przypomniał tę sprawę. Moja filantropia nie posunie się poza dwadzieścia pięć ludwików; lękam się już, że padłem ofiarą mego patriotyzmu.

W chwili gdy Derville domawiał tych słów, ujrzał na biurku papiery, które położył tam pierwszy dependent. Uderzyły go natychmiast pieczęcie podłużne, kwadratowe, trójkątne, czerwone, niebieskie, przyłożone na liście przez pocztę pruską, austriacką, bawarską i francuską.

– A! – rzekł, śmiejąc się – oto rozwiązanie komedii, zaraz zobaczymy, czym wpadł.

Wziął list i otworzył go, ale nie mógł nic wyczytać, pisany był po niemiecku.

– Boucard, idź sam, daj przetłumaczyć ten list i wracaj prędko – rzekł Derville, uchylając drzwi i podając list dependentowi.

Rejent z Berlina, do którego się zwrócił adwokat, oznajmiał, że akta, o których wysłanie proszono, nadejdą za kilka dni. Akta (powiadał) są zupełnie w porządku, najformalniej zale-

galizowane. Prócz tego donosił, że prawie wszyscy świadkowie stwierdzonych protokolarnie aktów żyją w Preussisch-Eylau; kobieta, której hrabia Chabert zawdzięcza życie, mieszka jeszcze na przedmieściu w Heilsbergu.

– To zaczyna być poważne – wykrzyknął Derville, kiedy Boucard wyłuszczył mu treść listu. – Ale słuchaj no, stary – dodał, zwracając się do rejenta – będę potrzebował wskazówek, które muszą być w twojej kancelarii. Czy to nie u tego starego łajdaka Roguin...

– My mówimy: biedny, nieszczęśliwy Roguin – wtrącił Crottat ze śmiechem.

– Czy to nie u tego nieszczęśliwego, który świeżo ukradł osiemset tysięcy franków klientom i wtrącił kilka rodzin w nędzę, sporządzano likwidację spadku po Chabercie? Zdaje mi się, że coś podobnego widziałem w naszych aktach hrabiostwa Ferraud.

– Tak – odparł Crottat – byłem wówczas trzecim dependentem, przepisywałem te akta i wystudkowałem je dobrze. Róża Chapotel, małżonka i wdowa po Jacku zwanym Chabert, hrabi Cesarstwa, wielkim oficerze legii honorowej; pobrali się bez kontraktu, zatem we wspólności majątkowej. O ile mogę sobie przypomnieć, aktywa sięgały sześciuset tysięcy franków. Przed ślubem hrabia Chabert zrobił testament na rzecz przytułków paryskich, którym przyznał ćwierć majątku posiadanego w chwili ewentualnego zgonu, skarb odziedziczył drugą ćwierć. Nastąpiła licytacja, sprzedaż i podział, adwokaci jechali ostro. W chwili likwidacji potwór, który władał wówczas Francją, zwrócił osobnym dekretem część skarbową wdowie po pułkowniku.

– Zatem majątek osobisty hrabiego Chabert nie przekroczyłby trzystu tysięcy.

– Słusznie, mój stary! – odparł Crottat. – Wy, adwokaci, widzicie czasami bystro, mimo że wam zarzucają, iż pacycie sobie zdrowy rozum robiąc z czarnego białe i na odwrót.

Hrabia Chabert, którego adres widniał na pokwitowaniu rejenta, mieszkał w Dzielnicy Saint-Marceau, przy ulicy du Petit-Banquier, u starego kwatermistrza gwardii cesarskiej, który został handlarzem wiktuałów; nazywał się Vergniaud. Dotarłszy tam, Derville musiał się udać pieszo na poszukiwanie swego klienta; stangret wzdragał się zapuszczać w ulicę nie brukowaną, z koleinami zbyt głęboko wyjeżdżonymi dla kół kabrioletu. Rozglądając się na wszystkie strony, adwokat znalazł wreszcie, tam gdzie ulica schodziła się z bulwarem, między dwoma murami zbudowanymi z szutru i gliny, dwa nędzne słupy kamienne, wyszczerbione przez wozy, mimo dwu kawałków drzewa pomieszczonych dla ochrony. Słupy te podtrzymywały belkę pokrytą dachówkami, na której wypisane były czerwono słowa „Vergniaud, wiktuały”. Na prawo od tego nazwiska widniały jajka, na lewo krowa, wszystko malowane białą. Brama była otwarta, jak z pewnością przez cały dzień. W głębi dość obszernego dziedzińca wznosił się na wprost bramy dom, o ile w ogóle to miano przystoi budwie, jednej z tych, które sterczą na przedmieściach Paryża. Budy tej nie da się porównać z niczym, nawet z najlichszą wiejską chałupą, której posiada nędzę, nie mając jej poezji. W istocie, w polu chata ma jeszcze ów wdzięk, jaki jej dają czyste powietrze, zieloność, widok pól, pagórek, ścieżka, winnica, żywopłot, mech porastający strzechę, narzędzia rolnicze; ale w Paryżu nędza czerpie wyraz jedynie w swej ohydzie. Mimo że świeżo zbudowany, dom ten niemal się rozpadał. Żaden z materiałów nie był dlań przeznaczony; wszystko pochodziło z burzeń, które co dzień odbywają się w Paryżu. Na okiennicy, sporządzonej z desek jakiegoś szyldu, Derville przeczytał: „Magazyn nowości”. Okna były każde inne i dziwacznie umieszczone. Parter (jak się zdawało, część mieszkalna domu) był z jednej strony dość wysoki, gdy z drugiej pokoje kryły się w ziemi wskutek wzniesienia gruntu. Między bramą a domem znajdowało się bajoro z gnojówką, dokąd spływała deszczówka i pomyje. Ściana, na której wspierało się to wątłe mieszkanie, mocniejsza widocznie od innych, strojna była klatkami, w których króliki mnożyły się obficie. Na prawo od bramy była obora, nad nią strych na paszę; między oborą a domem mleczarnia. Na lewo podwórze, stajnia i chlewek, którego daszek zrobiony był, jak i dach domu, z prostych desek pozbijanych i niedbale krytych trzcina. Jak wszystkie prawie miejsca, gdzie się pitrasi wielki obiad pochłaniany co dzień przez Paryż, dziedziniec, w który

wszedł Derville, zdradzał ślady pośpiechu nałożonego przez przymus zdążenia na minutę. Wielkie powyginane cynowe bańki, w których przewozi się mleko, oraz garnki przeznaczone na śmietankę leżały porzucone przed mleczarnią wraz z płóciennymi szmatami. Dziurawe łąchy, służące do wycierania ich, bujały w słońcu na sznurkach przywiązanych do palików. Spokojny koń, którego rasę zmonopolizowali mleczarze, odszedł o kilka kroków i stał pod stajnią, której drzwi były zamknięte. Koza szczypała nędzne i zakurzone wino, strojące żółtą i odrapaną ścianę. Kot przycupnął pod garnkami ze śmietanką i lizał je. Kury, wystraszone przybyciem Derville'a, pierzchły z krzykiem, a pies podwórzowy zaszczekał.

– Człowiek, który rozstrzygnął zwycięstwo pod Eylau, miałby być tutaj! – rzekł sobie Derville, obejmując jednym rzutem oka całość tego plugawego widoku.

Dom pozostał pod opieką trzech urwisów. Jeden, wdrapawszy się na wózek naładowany paszą, rzucał kamienie w komin sąsiedniego domu, w nadziei, że wpadną do garnków. Drugi próbował zwabić świnię na deskę z wozu dotykającą ziemi, gdy trzeci, uczepony drugiego końca, czekał, by świnią weszła na nią, aby ją unieść w górę przeważając deskę. Kiedy Derville spytał, czy tu mieszka pan Chabert, żaden nie odpowiedział; wszyscy trzej patrzyli nań sprytnym i tępym wzrokiem, jeżeli wolno jest łączyć te dwa przymiotniki. Derville powtórzył pytanie bez skutku. Zniecierpliwiony drwiącą miną smyków, zaczął im wesoło wymyślać, ot, jak młody człowiek dzieciom; urwisy odpowiedziały brutalnym śmiechem. Derville rozgniewał się. Pułkownik, który go usłyszał, wyszedł z izdebki obok mleczarni i ukazał się w progu z niewysłowioną żołnierską flegmą. W ustach miał prostą glinianą fajeczkę, dobrze „opaloną”, jak powiadają palacze. Podniósł daszek straszliwie zatłuszczonego kaszkietu, spostrzegł Derville'a i przebył gnojówkę, aby szybciej dotrzeć do swego dobroczyńcy, krzyżując przyjaźnie do urwisów: – Cicho tam w szeregach! – Dzieci umilkły natychmiast, z uszanowaniem świadczącym o wpływie, jaki miał na nie stary żołnierz.

– Czemu pan do mnie nie napisał – rzekł do Derville'a. – Niech pan idzie koło obory! O, tędy, ścieżka jest brukowana – wykrzyknął, widząc wahanie adwokata, który nie miał ochoty zamoczyć nóg w gnojówce.

Skacząc z kamienia na kamień, Derville dotarł do drzwi, z których wyszedł pułkownik. Chabert zdawał się bardzo nierad, że musi go przyjąć w pokoju, który zajmował. W istocie, Derville ujrzał tam jedno krzesło. Łóżkiem pułkownika było kilka wiązek słomy, na których gospodyni rozciągnęła strzepy owych starych dywanów, zebranych lichy wie gdzie, którymi mleczarki wyścielają ławki w swoich wózkach. Podłoga była po prostu ubitą gliną. Mury okwitłe saletrą, zielonkawe i popękane, ziały taką wilgocią, że ściana, przy której sypiał pułkownik, była obita trzciniową matą. Wieczny płaszcz z pelerynką wisiał na gwoździu. Dwie liche pary butów leżały w kącie. Ani śladu bielizny. Na zbutwiałym stole „Biuletyny Wielkiej Armii”, w przedruku Planchera, leżały otwarte; stanowiły widocznie lekturę pułkownika, którego fizjonomia była spokojna i pogodna wśród całej tej nędzy. Wizyta u Derville'a jak gdyby odmieniła wyraz jego twarzy, na której adwokat odnalazł ślad szczęśliwej myśli, osobliwy błysk zbudzony nadzieją.

– Czy fajka panu nie przeszkadza? – rzekł, podając adwokatowi wytłoczone krzesło.

– Ale, pułkowniku, pan tu fatalnie mieszka.

Zdanie to nasunęła Derville'owi wrodzona nieufność adwokatów oraz żalosne doświadczenie, nabyte w tajemnych i strasznych dramatach, których bywają świadkami.

„Oto – myślał sobie – człowiek, który obrócił moje pieniądze na zaspokojenie trzech cnót teologicznych żołnierza: gra, wino i kobiety!”

– To prawda, proszę pana, nie błyszczymy tu zbyt. Jest to biwak osłodzony przyjaźnią, ale... – Tu żołnierz objął prawnika głębokim spojrzeniem. – Ale nikomu nie zrobiłem krzywdy, nie zapałem się nigdy nikogo i śpię spokojnie.

Adwokat pomyślał, że nie byłoby delikatnie żądać od klienta rachunku z sum, które mu zaliczył, poprzestał tedy na uwadze:

– Czemu pan nie wolał się przenieść do Paryża, gdzie mógłby pan żyć równie tanio jak tutaj, a gdzie byłoby panu wygodniej?

– Ależ – rzekł pułkownik – ci dzielni ludzie, u których jestem, przygarnęli mnie, żywili mnie gratis od roku; jak było ich opuścić w chwili, gdy miałem trochę pieniędzy? Przy tym ojciec tych trzech urwisów to stary e g i p c j a n i n ...

– Jak to Egipcjanin?

– Nazywamy tak wiarusów, ocalałych z wyprawy egipskiej, w której też brałem udział. Nie tylko ci wszyscy, którzy wrócili stamtąd, są po trosze braćmi, ale Vergniaud był wówczas w moim pułku, dzieliliśmy z sobą wodę w pustyni. Wreszcie nie skończyłem jeszcze uczyć czytać jego szkrabów.

– Mógłby pana lepiej pomieścić za pańskie pieniądze.

– Ba – odparł pułkownik – dzieci sypiąją tak jak ja, na słomie! Żona i on nie mają lepszego łóżka, oni są bardzo biedni, widzi pan. Wzięli interes ponad ich siły. Ale jeśli odzyskam majątek!... Co tam zresztą gadać!

– Pułkowniku, mam otrzymać jutro lub pojutrze pańskie akta z Heilsbergu. Pańska oswo-bodzicielka żyje jeszcze!

– Przekłete pieniądze! Licho nadało, że ich nie mam! – wykrzyknął, rzucając fajkę o zie-mię.

Fajka opalona jest cenna dla palacza, ale gest ten był tak naturalny, odruch tak szlachetny, że wszyscy palacze – nawet sama Dystrybucja – przebaczyliby tę zbrodnię obrazy tytoniu. Aniołowie zebraliby może szczątki tej fajki.

– Pułkowniku, sprawa pańska jest nader skomplikowana – rzekł Derville, wychodząc z po-koju i przechadzając się na słońcu pod domem.

– Mnie się wydaje – rzekł żołnierz – niezmiernie prosta. Uważano mnie za umarłego, je-stem z powrotem, oddajcie mi żonę i majątek, dajcie mi stopień generała, do którego mam prawo, bo zostałem pułkownikiem gwardii cesarskiej w wilię bitwy pod Eylau.

– Tak rzeczy nie idą w świecie sądowym – odparł Derville. – Niech pan posłucha. Jest pan hrabią Chabert, wierzę chętnie, ale chodzi o to, żeby tego dowieść prawnie ludziom, którzy mają interes w tym, aby przeczyć pańskiemu istnieniu. Tak więc akta pańskie będą zakwe-stionowane. Ta dyskusja pociągnie za sobą dziesięć albo dwanaście wstępnych dochodzeń. Wszystkie pójdą w drodze apelacji aż do najwyższego trybunału i będą przedmiotem dziesię-ciu kosztownych procesów, które będą się wlokły, choćbym je najenergiczniej prowadził. Pańscy przeciwnicy zażądadają śledztwa, od którego nie będziemy mogli się uchylić i które będzie może wymagało wysłania komisji śledczej do Prus. Ale przypuśćmy najlepszy wynik: przypuśćmy, że sądy uznają pana rychło za pułkownika Chabert. Czy my wiemy, w jaki spo-sób zostanie rozstrzygnięta kwestia wynikająca z niezawinionego dwumęstwa popełnionego przez hrabinę Ferraud? W pańskim wypadku kwestia prawna znajduje się poza ramą kodeksu i może być sądzona przez sędziów jedynie wedle sumienia, jak czyni sąd przysięgłych w nie-zwykłych konfliktach społecznych. Otóż pan ze swego małżeństwa nie masz dzieci, a hrabia Ferraud ma ich dwoje, sędziowie mogą tedy unicestwić małżeństwo, w którym istnieją jedy-nie słabsze węzły, na korzyść małżeństwa, w którym są silniejsze, z chwilą gdy ci, co je za-warli, działali w dobrej wierze. Czy to będzie ładna rola, w pańskim wieku i w danych oko-licznościach, domagać się gwałtem żony, która pana już nie kocha? Będzie pan miał przeciw sobie własną żonę i jej męża, dwie znaczne osoby, które będą wpływać na trybunały. Proces tedy może się wlec. Będzie pan miał czas się zestarzeć w najdotkliwszych zgryzotach.

– A mój majątek?

– Pan sądzi tedy, że pan ma wielki majątek?

– Czyż nie miałem trzydziestu tysięcy renty?

– Mój drogi pułkowniku, zrobiłeś pan w roku 1799, przed swoim małżeństwem, testament, który oddawał ćwierć majątku szpitalom.

– Prawda.

– Zatem, skoro pana uważano za umarłego, czy nie trzeba było przystąpić do inwentarza, do likwidacji, aby dać tę czwartą część szpitalom? Pańska żona nie czyniła sobie skrupułu z oszukaniem biedaków. Inwentarz, w którym z pewnością nie kwapiła się deklorować gotowizny, klejnotów, sreber, w którym ruchomości oszacowano na trzecią część prawdziwej wartości, bądź to aby jej iść na rękę, bądź aby zapłacić mniejszy podatek spadkowy, a także dlatego, że komisarz szacunkowy odpowiedzialny jest za swe oszacowanie, inwentarz tedy ustalono na sześćset tysięcy. Wdowa miała prawo do połowy. Wszystko sprzedano i wszystko ona odkupiła, zyskując na wszystkim, a przytulki dostały swoich siedemdziesiąt pięć tysięcy franków. Następnie, ponieważ skarb dziedziczył po panu (ile że pan nie wymienił żony w testamentie), cesarz osobnym dekretem przekazał pańskiej wdowie część przypadającą skarbowi państwa. A teraz do czego masz prawo? Tylko do trzystu tysięcy po odciążeniu kosztów.

– I pan to nazywasz sprawiedliwością? – rzekł pułkownik, osłupiały.

– Ależ oczywiście...

– Ładna sprawiedliwość!

– Taka jest, drogi pułkowniku. Widzi pan, że to, co panu się wydawało łatwe, nie jest łatwe. Pani Ferraud może nawet chcieć zachować część, którą jej dał cesarz.

– Ależ ona nie była wdową, dekret jest nieważny...

– Zgoda. Ale o wszystko można się prawować. Niech mnie pan posłucha! W tych okolicznościach sędzę, że ugoda byłaby i dla pana, i dla niej najlepszym rozwiązaniem. Pan zyskasz na tym majątek znaczniejszy niż ten, do którego miałbyś prawo.

– To by znaczyło sprzedać swoją żonę!

– Z dwudziestoma czterema tysiącami franków renty i pozycją znajdzie pan kobiety, które panu lepiej się nadadzą niż własna żona i które panu dadzą więcej szczęścia. Zamierzam dziś udać się do hrabiny Ferraud, aby wybadać grunt; ale nie chciałem uczynić tego kroku nie uprzedziwszy pana.

– Chodźmy razem.

– Tak jak pan wygląda? – rzekł adwokat. – Nie, pułkowniku, nie. Mógłby pan tam całkowicie przegrać swój proces...

– Czy mój proces jest do wygrania?

– Na wszystkich punktach – odparł Derville. – Ale, drogi pułkowniku, pan nie bierze w rachubę jednej rzeczy. Ja nie jestem bogaty, nie spłaciłem jeszcze swojej kancelarii. Jeżeli trybunały przyznają panu prowizję, to znaczy zaliczkę na rachunek pańskiego majątku, nie przyznają ci jej wprzód, aż kiedy cię uznają hrabią Chabert, wielkim oficerem legii honorowej.

– Prawda, to ja jestem wielkim oficerem legii honorowej, nie myślałem już o tym – rzekł naiwnie.

– A więc aż do tej pory – ciągnął Derville – czyż nie trzeba się procesować, płacić adwokatów, ponosić koszty sądowe, smarować łapę woźnym, no i żyć? Koszty wstępnych instancji wyniosą, tak na oko, dwanaście do piętnastu tysięcy franków. Ja ich nie mam, jestem wyczerpany olbrzymimi procentami, które płacę temu, kto mi pożyczył pieniędzy na kupno kancelarii. A pan? Skąd je pan weźmie?

Grube łzy spłynęły ze zmęczonych oczu biednego żołnierza i potoczyły się po zmarszczonych licach. Na widok tych trudności stracił odwagę. Ustrój społeczny i sądowy ciążyły mu na piersiach jak zhora.

– Pójdę – wykrzyknął – pod kolumnę na placu Vendôme i będę krzyczał: „Ja jestem pułkownik Chabert, który rozbił czworobok Moskali pod Eylau!”. Ten posąg z brązu mnie pozna!

– I, ani chybi, zamkną pana w Charenton.

Na to straszliwe miano podniecenie żołnierza opadło.

– Czy nie byłoby dla mnie jakich widoków w ministerium wojny?

– Ministerium! – rzekł Derville. – Idź pan tam, ale mając w doskonałym porządku wyrok sądowy obalający akt pańskiego zgonu. Rząd rad by schować pod ziemię niedobitków Cesarstwa.

Pułkownik stał jakiś czas osłupiały, nieruchomy, patrząc, a nie widząc, pogrążony w rozpaczy bez dna. Sprawiedliwość wojskowa jest szczerą, szybka, rozstrzyga na sposób turecki i sądzi prawie zawsze dobrze; ta sprawiedliwość to była jedyna, jaką znał Chabert. Widząc labirynt trudności, w który trzeba się było zapuścić, widząc, ile trzeba pieniędzy, aby go przebyć, biedny żołnierz otrzymał śmiertelny cios w ową swoistą ludzką władzę, która nazywa się wolą. Wydało mu się niemożliwe żyć pieniacząc się; tysiąc razy prostsze było dlań zostać biednym, żebrakiem, wstąpić jako prosty kawalerzysta do wojska, jeśli jaki pułk go zechce. Cierpienia moralne i fizyczne podkopały już jego organizm. Miał zaród jednej z owych chorób, dla których medycyna nie ma nazwy, których siedziba jest do pewnego stopnia zmienna jak system nerwowy, najbardziej ze wszystkich organów podlegający działaniu choroby, którą trzeba by nazwać splinem nieszczęścia. Mimo że ta choroba, niewidoczna, ale rzeczywista, była już bardzo ciężka, była jeszcze do uleczenia przez szczęśliwy obrót wypadków. Aby zniszczyć zupełnie ten silny organizm, wystarczyła nowa przeszkoda, jakiegoś nieprzewidzianego faktu, który by skruszył te zwątląłe sprężyny i spowodował owe wahania, owe niepojęte, połowiczne akty, obserwowane przez fizjologów u istot zniszczonych zgryzotą. Spostzegając objawy głębokiego przygnębienia u swego klienta, Derville rzekł:

– Niech pan będzie dobrej myśli, rezultat może być dla pana tylko pomyślny. Jedyne niech pan rozważy, czy pan może mi użyczyć całego swego zaufania i przyjąć ślepo wynik, który będę uważał za najlepszy.

– Niech pan robi, jak pan chce – rzekł Chabert.

– Tak, ale czy zdaje się pan na mnie jak człowiek, który idzie na śmierć?

– Czyż nie trzeba mi będzie zostać bez praw, bez nazwiska? Czy to jest do zniesienia?

– Ja tego tak nie rozumiem – odparł adwokat. – Będziemy się starali polubownie o wyrok, który by unieważnił pański akt zgonu i pańskie małżeństwo, tak abyś pan odzyskał swoje prawa. Będzie pan nawet, dzięki stosunkom hrabiego Ferraud, wciągnięty na listę armii jako generał i otrzyma pan z pewnością pensję.

– Dobrze więc – odparł Chabert – zdaję się na pana.

– Przyślę panu pełnomocnictwo do podpisu – rzekł Derville. – Żegnam pana tymczasem, dobrej otuchy! Jeśli panu będzie trzeba pieniędzy, licz pan na mnie.

Chabert uściskał gorąco rękę Derville'a i stał oparty o ścianę, nie mając siły odprowadzić go inaczej jak tylko oczami. Jak wszyscy ludzie słabo orientujący się w sprawach sądowych, czuł lęk przed tą nieprzewidzianą walką. W czasie owej narady wysunęła się kilka razy zza bramy twarz człowieka czatującego na wyjście Derville'a; jakoż człowiek ten przystąpił do adwokata, skoro ów wyszedł. Był to starzec w niebieskiej kurcie, w białej marszczonanej bluzie podobnej do bluzy piwowara, w futrzanej czapce. Twarz jego była ciemna, poorana, pomarszczona, ale zaczerwieniona na policzkach od nadmiernej pracy oraz ogorzała od powietrza.

– Daruję pan – rzekł do Derville'a, zatrzymując go – że pozwalam sobie pana zagadnąć, ale domyśliłem się, widząc pana, że pan jest przyjacielem naszego generała.

– No i co – rzekł Derville – w czym on pana obchodzi? Ale kto pan jest? – dodał nieufny adwokat.

– Ludwik Vergniaud – odparł. – I chciałbym panu powiedzieć dwa słowa.

– To pan pomieścił hrabiego Chabert w ten sposób?

– Przepraszam łaski pana, on ma najpiękniejszy pokój. Byłbym mu oddał własny, gdybym miał tylko jeden. Poszedłbym spać do stajni. Człowiek, który wycierpiał tyle, co on, który uczy czytać moich smyków, generał, egipcjanin, pierwszy porucznik, pod którym służyłem, jeszcze by też?... Wcale nie, on ma najlepsze pomieszczenie. Podzieliłem z nim, co miałem.



Na nieszczęście, to nie było dużo: chleb, mleko, jajka; na wojnie jak na wojnie! Z serca. Ale on nam zrobił despekt.

– On?

– Tak, proszę pana, despekt, co się zowie. Podjąłem zadanie nad siły, on to widział; to mu robiło przykrość i uparł się czyścić mi konia! Ja mu powiadam: „Ależ, generale!” – „Ba – powiada – nie chcę tak siedzieć z założonymi rękami, a z czyszczeniem koni znamy się od dawna”. Wystawiłem tedy weksle na spłatę mojej obórki niejakiemu Grados... Czy go pan zna?

– Ależ, moi drodzy, ja nie mam czasu was słuchać. Powiedzcie mi tylko, w jaki sposób pułkownik zrobił wam despekt?

– Zrobił despekt, proszę pana, tak jak nazywam się Vergniaud; moja stara aż płakała z tego. Dowiedział się od sąsiadów, że nie mamy ani grosza na wykupienie weksla. Nic nie mówiąc, stary wiarus zebrał wszystko, co mu pan dawał, zaczął się na ten weksel i wykupił go. Ta chytróść! A ja i moja żona wiedzieliśmy, że on nie ma tytoniu, biedny stary, i że się obchodzi smakiem. Och! Teraz co rano ma cygaro; raczej bym się zaprzedał... Tak, mieliśmy zgryzotę. Zatem chcieliśmy panu proponować, niby że on nam powiedział, że pan jest zacności człowiek, żeby nam pan pożyczył sto talarów, z gwarancją na naszym interesie, abyśmy mu sprawili ubranie, abyśmy mu urządzili pokój. On myślał, że nas spłacił, prawda? Otóż nie, właśnie że nas obdłużył i sprawił nam zgryzotę! Nie powinien nam być robić tego despektu. Sprawił nam zgryzotę, i to przyjaciołom! Słowo uczciwego człowieka, jakem Ludwik Vergniaud, raczej bym się zaprzedał, niżbym miał panu nie oddać tych pieniędzy...

Derville popatrzał na handlarza wiktuałów, cofnął się o kilka kroków, aby ujrzeć jeszcze raz dom, podwórze, gnojówkę, oborę, króliki, dzieci.

– Na honor, zdaje mi się, że jedną z właściwości cnoty jest to, że nie jest kapitalistką – powiedział sobie. – Dobrze, dostaniesz, stary, swoich sto talarów, i więcej nawet. Ale to nie ja ci je dam, pułkownik będzie dość bogaty, aby ci dopomóc, a ja nie chcę mu odbierać tej przyjemności.

– Czy to rychło będzie?

– Ależ tak.

– Mój Boże, jaka moja stara będzie kontenta!

I ogorzała twarz mleczarza rozpromieniła się.

„A teraz – rzekł do siebie Derville, siadając do kabrioletu – udajmy się do przeciwnika. Nie zdradzajmy naszej gry, starajmy się poznać jego karty i wygrać partię od jednego zamachu. Trzeba by ją przerazić. To kobieta. Czego najbardziej zleknie się kobieta? Ależ kobietę przeraża jedynie...”

Zaczął rozważać położenie hrabiny i popadł w ową zadumę, jakiej oddają się wielcy politycy tworząc swoje plany, starając się przejrzeć tajemnicę nieprzyjaciela gabinetów. Czyż adwokaci to nie są poniekąd mężowie stanu, dźwigający interesy prywatne? Rzut oka na położenie hrabiego Ferraud i jego żony jest tu potrzebny, aby objaśnić instynkt adwokata.

Hrabia Ferraud był synem dawnego rajcy parlamentu paryskiego, który wyemigrował za Terroru i który, ocaliwszy głowę, stracił w zamian majątek. Wrócił za Konsulatu i pozostał stale wierny interesom Ludwika XVIII, do którego otoczenia ojciec jego należał przed Rewolucją. Należał tedy do tej części Saint-Germain<sup>7</sup>, która z godnością oparła się pokusom Napoleona. Opinia, jaką zyskały sobie zdolności młodego hrabiego, wówczas po prostu zwanego panem Ferraud, uczyniła go przedmiotem zabiegów cesarza, który często był równie szczęśliwy ze swoich zdobyczy na arystokracji, co z wygranej na polu bitwy. Przyrzeczone hrabiemu zwrot tytułu, zwrot nie sprzedanych dóbr, błysnięto godnością ministra albo senatora. Wszystko na próżno. Pan Ferraud był to w chwili śmierci hrabiego Chabert człowiek dwudziestosześcioletni, bez majątku, ujmującej powierzchowności, który miał powodzenie u kobiet i którego Saint-Germain przyjęło jako jedną ze swoich chwał; ale hrabina Chabert umiała

<sup>7</sup> Saint-Germain – dzielnica Paryża, od XVIII w. zamieszkała przez arystokrację.

tak dobrze zakrzętać się koło spadku po mężu, że w półtora roku wdowieństwa posiadała około czterdziestu tysięcy franków renty. Jej związek z młodym hrabią nie był nowiną dla wielkiego świata. Rad z tego małżeństwa, które odpowiadało jego pojęciom o mieszanu się klas, Napoleon zwrócił pani Chabert udział skarbu w spadku po pułkowniku; ale nadzieje Napoleona znów spotkały się z zawodem. Pani Ferraud kochała w młodym człowieku nie tylko swego kochanka, ale skusiła ją także nadzieja wejścia w owo nieprzystępne towarzystwo, które mimo swego poniżenia górowało nad cesarskim dworem. Małżeństwo to odpowiadało wszystkim jej próżnościom jak i wszystkim uczuciom. Miała się stać kobietą z towarzystwa. Kiedy Saint-Germain dowiedziało się, że małżeństwo młodego hrabiego nie jest odstępstwem, salony otwarły się dla jego żony.

Przyszła Restauracja. Kariera polityczna hrabiego Ferraud nie była szybka. Rozumiał położenie, w jakim znajdował się Ludwik XVIII, był z liczby wtajemniczonych, którzy czekali, aż otchłań rewolucyj się zamknie, to bowiem wyrażenie króla, przedmiot tyłu drwinek liberałów, kryło głęboki sens polityczny. Mimo to dekret, cytowany w tasiemcu dependenckim rozpoczynającym tę historię, zwrócił mu dwa lasy i jeden majątek, którego wartość znacznie wzrosła w czasie sekwestru.

W tej chwili, mimo że hrabia Ferraud był radcą stanu, generalnym dyrektorem, uważał swoją pozycję jedynie za początek kariery. Pochłonięty ambicją, przygarnął jako sekretarza zrujnowanego eks-adwokata nazwiskiem Delbecq, człowieka więcej niż zręcznego, który wybornie znał wszystkie zaufki pieniactwa; jemu oddał hrabia prowadzenie swoich spraw prywatnych. Szczwany kauzyperda zrozumiał na tyle swoje położenie wobec hrabiego, aby być uczciwym przez wyrachowanie. Spodziewał się dobić jakiejś posady przez wpływy swego patrona, dbał więc o jego fortunę jak o własną. Postępowanie to było tak sprzeczne z jego dawniejszym życiem, że uchodził za człowieka spotwarzonego. Z taktem i zręcznością, który posiadają mniej więcej wszystkie kobiety, hrabina, przejrząwszy swego intendenta, czuwała nad nim zręcznie i umiała tak dobrze go zażywać, że już znalazła w nim znaczną pomoc dla pomnożenia swego osobistego majątku. Umiała przekonać Delbecq, że ona trzyma w ręku męża, i przyrzekła mu nominację na prezydenta trybunału pierwszej instancji w jednym z większych miast Francji, jeśli jej zechce służyć bez zastrzeżeń. Nadzieja stanowiska, które by mu pozwoliło dobrze się ożenić i zdobyć mandat otwierający karierę polityczną, uczyniła Delbecq wiernym sługą hrabiny. Nie przepuścił dla niej żadnej okazji, które giełda oraz zwyczajka cen realności nastroczały w Paryżu obrotnym ludziom w pierwszych trzech latach Restauracji. Potroił kapitały swej protektorki, i to tym łatwiej, iż wszystkie środki były dobre hrabinie dla zdobycia fortuny. Pensje hrabiego obracała na utrzymanie domu, aby móc kapitalizować swoje dochody, a Delbecq szedł na rękę tej chciwości, nie siląc się wytłumaczyć sobie jej pobudek. Tacy ludzie interesują się jedynie tymi tajemnicami, w których odkryciu widzą dla siebie korzyść. Znajdował zresztą wystarczające motywy w gorączce złota, jaką dotknięta jest większość paryżanek; trzeba było wreszcie tak wielkiego majątku, aby nastarczyć pretensjom hrabiego Ferraud, że intendent sądził chwilami, iż chciwość hrabiny płynie z jej oddania mężowi, w którym wciąż była zakochana.

Hrabina zagrzebała sekret swego postępowania na dzień serca. Tam tkwiły tajemnice, które były dla niej życiem i śmiercią, i tam znajdował się węzeł tej historii. Z początkiem roku 1818 Restauracja spoczywała na podstawach na pozór niezachwianych; zasady jej, zrozumiane przez wyższe umysły, zdawały się wróżyć Francji erę nowej pomyślności; wówczas społeczeństwo paryskie odmieniło fizjonomię. Okazało się, że przypadkowo hrabina Ferraud, wychodząc za męża z miłości, zrobiła zarazem doskonały mariaż pod względem majątku i ambicji. Jeszcze młoda i ładna, stała się jedną z m o d n y c h k o b i e t; żyła w atmosferze dworu. Bogata sama, bogata przez męża, który, sławiony jako jeden z najzdolniejszych ludzi partii rojalistycznej, przyjaciel króla, był upatrzonym filarem przyszłego ministerium, należała do arystokracji i dzieliła jej splendory. Wśród tego triumfu żarł ją rak moralny. Są uczucia, które

kobiety odgadują mimo starania, z jakim mężczyźni siłą się je ukryć. Od powrotu króla hrabia Ferraud żałował nieco swego małżeństwa. Wdowa po pułkowniku Chabert nie dała mu żadnej paranteli, był sam, bez oparcia, w karierze pełnej raf i pełnej wrogów. Może też, kiedy mógł sądzić spokojnie swoją żonę, spostrzegł w niej jakieś braki wychowania, które czyniły z niej nieodpowiednią towarzyszkę. Jedno słowo męża z okazji małżeństwa Talleyranda oświeciło hrabinę; zrozumiała, że gdyby jej małżeństwo nie było faktem dokonanym, nigdy nie została-by hrabiną Ferraud. Któż kobieta przebaczy taki żal? Czyż nie mieści on w zarodku wszystkich zniewag, wszystkich zbrodni, wszystkich zdrad? Ale jakąż ranę musiało zadać to słowo hrabinie, jeśli się przypuści, że lękała się powrotu pierwszego męża! Wiedziała, że żyje, zaparła się go. Następnie, długo nie słysząc już o nim, rada była wierzyć, że zginął pod Waterloo wraz z orłami cesarskimi, jak Boutin. Mimo to postanowiła przywiązać do siebie hrabiego najsilniejszym z węzłów, złotym łańcuchem; chciała być tak bogata, aby jej majątek uczynił drugie jej małżeństwo nierozzerwalnym, w razie gdyby przypadkiem Chabert zjawił się jeszcze. I zjawił się; nie umiała sobie tylko wytłumaczyć, czemu walka, której się obawiała, nie zaczyna się jeszcze. Cierpienia, choroba oswobodziły ją może od tego człowieka. Może na wpół oszalał; szpital obłąkanych w Charenton mógłby ją może uwolnić od niego. Nie chciała wciągać w tę sprawę Delbecqą ani policji, z obawy, aby się nie wydać w czyjeś ręce lub nie przyspieszyć katastrofy. Istnieje w Paryżu wiele kobiet, które, jak hrabina Ferraud, żyją z tajemnym czerwem moralnym w sercu lub kroczą nad przepaścią; rana ich zasklepia się z wierzchu i mogą jeszcze śmiać się i bawić!

„Jest coś osobliwego w położeniu hrabiego Ferraud – mówił sobie Derville, budząc się z zadumy, w chwili gdy jego kabriolet zatrzymał się w ulicy de Varennes, przed bramą hrabiego. – Jakim cudem on, tak bogaty, w takich łaskach u króla, nie jest jeszcze parem Francji? To prawda, że król, jak mi mówiła pani de Grandlieu, ma w tym swoją politykę, aby podnosić urok parostwa oszczędnym szafowaniem. Zresztą, syn rajcy parlamentu to nie Crillon ani Rohan<sup>8</sup>. Hrabia Ferraud może wejść do Izby Parów jedynie ukradkiem. Ale gdyby jego małżeństwo unieważniono, czy nie mógłby, ku wielkiemu zadowoleniu króla, odziedziczyć parostwa po którymś ze starych senatorów mających tylko córki? Oto doskonały straszak na naszą hrabinę” – dodał, wstępując na schody.

Derville położył bezwiednie palec na tajemnej ranie, zanurzył rękę we wrzód, który poze- rał panią Ferraud. Przyjęła go w ładnej jadalni zimowej, gdzie śniadała właśnie, bawiąc się z małpką przywiązaną na łańcuszku do słupka z żelaznymi szczeblami. Hrabina miała na sobie wykwintny peniuar; włosy jej, niedbale upięte, wymykały się spod czepeczka, dając jej dzie- cinnie wyraz. Była świeża i pełna uśmiechów. Srebro, kryształ, perłowa masa błyszcząły na stole; dokoła niej stały rzadkie rośliny we wspianiałych porcelanowych wazonach. Widząc żonę hrabiego Chabert zubożoną jego spadkiem, otoczoną zbytkiem, na wyżynach, gdy nie- szczęśliwy mieszkał kątem u biednego mleczarza wraz z bydlętami, adwokat powiedział so- bie: „Sens tego jest, że ładna kobieta nie zechce nigdy poznać swego męża, a nawet kochanka w kimś, kto chodzi w starym kubraku, w wyleniałej peruce i w dziurawych butach”. Gryzący uśmiech wyrażał owe na wpół filozoficzne, na wpół drwiące myśli, które musiały przyjść do głowy człowiekowi mającemu tyle sposobności, aby poznać grunt rzeczy mimo kłamstw, pod jakimi większość paryskich rodzin kryje swą egzystencję.

– Dzień dobry, panie Derville – rzekła, karmiąc dalej małpę kawą.

– Pani – rzekł prosto z mostu adwokat, podrażnił go bowiem tonik, jakim hrabina rzuciła owo „Dzień dobry, panie Derville” – przychodzę pomówić z panią w dość poważnej sprawie.

– To fa t u m, ale hrabiego nie ma w domu...

– To bardzo szczęśliwie, proszę pani. Byłoby fa t a l n e, gdyby był obecny przy naszej rozmowie. Wiem zresztą przez Delbecqą, że pani lubi załatwiać swoje interesy sama, nie kłopotąc nimi hrabiego.

---

<sup>8</sup> Crillon, Rohan – stare arystokratyczne rody francuskie.

– Więc zawołam Delbecqą – rzekła.

– Na nic by się tu zdał, mimo swego sprytu – odparł Derville. – Niech pani posłucha; jedno słowo wystarczy, aby pani wzięła rzecz poważnie. Hrabia Chabert żyje.

– Czy takimi głupstwami chce mnie pan skłonić do powagi? – rzekła, parszkając śmiechem.

Ale w tej samej chwili sparaliżowała hrabinę jasność wzroku, jakim Derville przejrzał ją, zdając się czytać w głębi jej duszy.

– Pani – odparł z zimną i przenikliwą powagą – nie zna pani rozmiarów niebezpieczeństwa, które jej grozi. Nie będę pani mówił o niewzruszonej autentyczności dokumentów ani o pewności dowodów, które stwierdzają istnienie hrabiego Chabert. Nie jestem zdolny podjąć się złej sprawy, wie pani o tym. Jeżeli pani się sprzeciwi naszemu odwołaniu się od fałszywego aktu zgonu, przegra pani ten pierwszy proces, a skoro raz ten punkt będzie przesądzony, wygramy wszystkie inne.

– O czym pan tedy chce mówić?

– Ani o pułkowniku, ani o pani. Nie wspomnę nawet o memoriałach, jakie mogliby sporządzić sprytni adwokaci, uzbrojeni w ciekawe fakty tej sprawy, ani o sposobie, w jaki wyzyskaliby listy, które pani otrzymała od pierwszego męża przed wstąpieniem w drugie śladło.

– To fałsz! – rzekła z całą gwałtownością rozpieszczonej kobiety. – Nigdy nie otrzymałam listu od hrabiego Chabert. Jeżeli ktoś podaje się za pułkownika, to może być tylko jakiś oszust, jakiś zbiegły galernik, może jaki nowy Cogniard<sup>9</sup>. Dreszcz przechodzi na samą myśl o tym. Czyż pułkownik może zmartwychwstać? Bonaparte złożył mi kondolencje przez adiutanta swego i do dziś jeszcze otrzymuję trzy tysiące franków pensji uchwalonej dla jego wdowy przez Izbę. Miałam tysiąc racji, aby odtrącić wszystkich Chabertów, którzy się zjawili, i odtrącę wszystkich, którzy się zjawiają.

– Szczęściem, pani, jesteśmy sami. Możemy kłamać do woli – rzekł chłodno, drażniąc rozmyślnie hrabinę, aby z niej wydrzeć jakieś niedyskrecje: zwykła metoda adwokatów, przywykłych zachowywać spokój, gdy ich przeciwnicy lub klienci się unoszą.

„Spróbujemy się, moja pani” – rzekł sobie w duchu, obmyślając naprędce pułapkę, aby wykazać hrabinie jej słabość. – Dowód doręczenia pierwszego listu, proszę pani, istnieje – rzekł głośno. – List zawierał pieniądze...

– Och! pieniędzy żadnych nie było.

– Dostała pani zatem ów list – odparł Derville z uśmiechem. – Wpadła pani w pierwszą pułapkę, jaką zastawił adwokat, i sądzi pani, że zdołasz walczyć ze sprawiedliwością...

Hrabina zaczerwieniła się, zbladła, ukryła twarz w rękach. Następnie otrząsnęła się ze wstydu i odparła z zimną krwią właściwą temu typowi kobiet:

– Skoro pan jest adwokatem rzekomego Chaberta, niech mi pan łaskawie powie...

– Pani – przerwał Derville – jestem jeszcze adwokatem zarówno pani, jak adwokatem pułkownika. Czy pani sądzi, że chciałbym stracić klientkę tak cenną jak pani? Ale pani mnie nie słucha...

– Proszę, niech pan mówi – rzekła uprzejmie.

– Pani majątek pochodzi od hrabiego Chabert, a pani męża odtrąciła. Ma pani olbrzymią fortunę, a pozwala mu pani zebrać. Pani hrabino, adwokaci są bardzo wymowni, kiedy sprawa jest wymowna sama przez się; są tutaj okoliczności zdolne poruszyć przeciw pani opinię.

– Ależ, proszę pana – rzekła hrabina zniecierpliwiona sposobem, w jaki Derville obracał ją na wolnym ogniu – przypuściwszy, że pański Chabert istnieje, trybunały utrzymają moje drugie małżeństwo przez wzgląd na dzieci; co najwyżej zwrócę panu Chabert dwieście dwadzieścia pięć tysięcy franków.

<sup>9</sup> Pierre Cogniard albo Coignard (1779–1831) – przestępca, zbiegły galernik, potem oficer napoleoński, za Restauracji podawał się za hrabiego de Sainte-Hélène i został mianowany pułkownikiem; zdemaskowano go w r. 1819 i skazano na dożywotnie galery.

– Pani, nie wiemy, jakimi oczami sąd spojrzy na kwestię uczuciową. O ile, z jednej strony, mamy matkę i dzieci, o tyle z drugiej mamy człowieka przygniecionego nieszczęściami, zniszczonego przez panią, przez pani nieczułość. Gdzie znajdzie żonę? A przy tym, czy sędziowie mogą deptać prawa? Pani małżeństwo z pułkownikiem ma za sobą prawo, pierwszeństwo. Ale jeżeli panią odmalują we wstrętnych kolorach, może pani znaleźć przeciwnika, którego się pani nie spodziewa. Tu jest niebezpieczeństwo, od którego chciałbym panią uchronić.

– Nowego przeciwnika – rzekła – kogo?

– Hrabiego Ferraud.

– Pan Ferraud jest do mnie nadto przywiązany, nadto mnie zaś szanuje jako matkę swoich dzieci...

– Niech pani nie mówi o tych głupstwach – przerwał Derville – adwokatom nawykłym czytać w głębi serc. W tej chwili hrabia Ferraud nie ma najmniejszej ochoty zerwać małżeństwa i jestem przekonany, że panią ubóstwia; ale gdyby mu ktoś powiedział, że jego małżeństwo może być unieważnione, że jego żona stanie jako zbrodniarka wobec opinii publicznej...

– Broniłby mnie!

– Nie, pani.

– Jakąż rację miałby mnie opuścić?

– Ależ tę, aby zaślubić jakąś jedynaczkę para Francji, po którym odziedzyczyłby parostwo mocą królewskiego dekretu...

Hrabina zbladła.

„Trafililiśmy! – powiedział sobie w duchu Derville. – Mam cię, sprawa biednego pułkownika wygrana”. – Zresztą – dodał głośno – miałby o tyle mniejsze skrupuły, że człowiek okryty sławą, generał, hrabia, wielki oficer legii honorowej, nie byłby takim nieszczęściem; jeśli ten człowiek zażąda od niego swojej żony...

– Dosyć! dosyć! – rzekła. – Zostanie pan zawsze moim adwokatem. Co czynić?

– Układać się! – rzekł Derville.

– Czy on mnie kocha jeszcze? – rzekła.

– Ależ nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej.

Słyszając to hrabina podniosła głowę. Błysk nadziei zamigotał w jej oczach; umyśliła może zagrać na czułości pierwszego męża, aby wygrać sprawę jakąś sztuczką kobiecą.

– Będę czekał pani rozkazów, aby wiedzieć, czy mam pani urzędownie oznajmić nasze kroki, czy też pani zechce przybyć do mnie, aby ustalić podstawy ugody – rzekł Derville z ukłonem.

W tydzień po dwóch wizytach prawnika, w piękny poranek czerwcowy, małżonkowie, rozdzieleni nadprzyrodzonym niemal wypadkiem, ruszyli z dwóch przeciwnych punktów Paryża, aby się spotkać w kancelarii wspólnego adwokata. Zaliczki, jakich hojnie udzielił Derville pułkownikowi Chabert, pozwoliły mu ubrać się odpowiednio do swego stanowiska. Nieboszczyk przybył w bardzo przyzwoitym kabriolecie. Na głowie miał perukę dostosowaną do swej fizjonomii, miał niebieski sukieny surdut, cienką bieliznę, na kamizelce zaś lśniła czerwona wstęga wielkiego oficera legii honorowej. Wracając do nawyków dostatku, odzyskał dawną wojskową elegancję. Trzymał się prosto. Poważna i tajemnicza jego twarz, na której malowało się szczęście i wszystkie jego nadzieje, zdawała się młodsza i pełniejsza. Nie był podobny do Chaberta w starym kubraku, tak jak wytarty grosz nie jest podobny do świeżo wybitej czterdziestofrankówki. Widząc go, przechodnie z łatwością poznaliby jeden z owych pięknych szczątków naszej dawnej armii, jednego z owych bohaterów, w których odbija się nasza narodowa chwała, tak jak ułamek lustra oświecony słońcem zdaje się odbijać wszystkie jego promienie. Ci starzy żołnierze to wraz obrazy i książki.

Kiedy hrabia wysiadł z powozu, aby się udać do Derville'a, wyskoczył lekko jak młodzieniec. Zaledwie kabriolet nawrócił, zajechał zgrabny powozik z herbami na drzwiczkach. Wysiadła hrabina Ferraud w toalecie prostej, ale obmyślonej tak, aby uwydatnić jej młodą figurę.

Kapotka podbita różowym jedwabiem wdzięcznie okalała jej twarz, odmładzając ją. O ile klienci odmłodnieli, kancelaria została, czym była, i przedstawiała obraz, od którego zaczęło się to opowiadanie. Simonnin jadł śniadanie wsparty o otwarte okno; patrzył w niebo przez wylot dziedzińca, otoczonego czterema czarnymi ścianami.

– Haha – wykrzyknął malec – kto się założy o bilety do teatru, że pułkownik Chabert jest generałem i wielkim oficerem legii?

– Diabelny czarodziej z naszego patrona – rzekł Godeschal.

– Nie wolno mu dziś tedy płać figlów? – spytał Desroches.

– Zajmie się tym jego żona, hrabina Ferraud! – rzekł Boucard.

– Ba! – rzekł Godeschal – więc hrabina Ferraud będzie musiała nastarczyć dwom...

– O wilku mowa!... – rzekł Simonnin.

W tej chwili wszedł pułkownik i spytał o adwokata.

– Oczekuje pana, panie hrabio – odparł Simonnin.

– Już nie jesteś głuchy, urwisie? – rzekł Chabert biorąc malca za ucho i ciągnąc je ku zadowoleniu dependentów, którzy zaczęli się śmiać, patrząc na pułkownika z ciekawością, jaką budziła ta szczególna osobistość.

Hrabia Chabert był u Derville'a w chwili, gdy jego żona wchodziła do kancelarii.

– Powiedz, Boucard, co za scena rozegra się w gabinecie starego! Kobieta, która może chodzić w dni parzyste do hrabiego Ferraud, a w nieparzyste do hrabiego Chabert!

– W lata przestępne – rzekł Godeschal – rachunek się zgodzi.

– Cicho, panowie, mogą usłyszeć – rzekł surowo Boucard. – Nie widziałem jeszcze kancelarii, w której by kpiono, jak wy to czynicie, z klientów.

Derville wpuścił pułkownika do sypialni, w chwili gdy hrabina miała wejść.

– Pani – rzekł – nie wiedząc, czy pani będzie miło spotkać hrabiego Chabert, rozdzieliłem państwa. Gdyby wszakże pani sobie życzyła...

– Dziękuję panu za tę delikatność.

– Przygotowałem koncept aktu, którego warunki będzie pani mogła przedyskutować z hrabią Chabert natychmiast. Będę chodził kolejno do niego i do pani, aby państwu zakomunikować wzajemne odpowiedzi.

– Słucham pana – rzekła hrabina, czyniąc mimowolny gest zniecierpliwienia.

Derville zaczął czytać:

*Między podpisanymi,*

*Panem Jackiem, rzekomo Chabert, hrabią, generałem brygady i wielkim oficerem legii honorowej, zamieszkałym w Paryżu przy ulicy Petit-Banquier, z jednej strony;*

*A panią Różą Chapotel, małżonką wyżej wymienionego hrabiego Chabert, urodzoną...*

– Niech pan pominie wstępy – rzekła przejdźmy do warunków.

– Wstęp, proszę pani – rzekł adwokat – wyluszcza szczegółowo położenie, w jakim się państwo znajdujecie oboje. Następnie, w pierwszym punkcie, uznaje pani w obecności świadków – dwaj rejenci i mleczarz, u którego mieszkał pani mąż – którym zwierzyłem tajemnicę i którzy zachowują najgłębsze milczenie, uznaje pani, powiadam, że osobnik wskazany w aktach – którego stan jest zresztą stwierdzony aktem tożsamości wygotowanym u pana Aleksandra Crottat, rejenta pani – jest hrabią Chabert, jej pierwszym małżonkiem. W drugim punkcie Chabert, w interesie pani szczęścia, zobowiązuje się nie czynić użytku ze swych praw inaczej niż w wypadkach przewidzianych przez sam akt. (– A te wypadki – rzekł Derville, czyniąc nawias – są nie inne niż uchybienie klauzulom tego tajemnego układu). Ze swej strony – podjął – pan Chabert zgadza się w porozumieniu z panią wszcząć kroki o wyrok sądu unieważniającego jego akt zgonu, a zarazem rozwiązujący jego małżeństwo.

– To mi wcale nie odpowiada – rzekła hrabina, zdziwiona – ja nie chcę procesu. Pan wie, czemu.

– Punktem trzecim – ciągnął adwokat z niewzruszonym spokojem – zobowiązuje się pani upewnić na imię Jacka, hrabiego Chabert, dożywotnią rentę w kwocie dwudziestu czterech tysięcy franków, wpisaną w Wielką Księgę Długu Państwowego, której kapitał przypadnie pani po jego śmierci...

– Ależ to o wiele za drogo – rzekła hrabina.

– Czy zdoła pani ułożyć się taniej?

– Może.

– Czegóż tedy pani chce?

– Ja chcę... ja nie chcę procesu, chcę...

– Aby został nieboszczykiem – przerwał żywo Derville.

– Proszę pana – rzekła hrabina – jeżeli mam płacić dwadzieścia cztery tysiące rocznie, pójdziemy do sądu...

– Tak, pójdziemy do sądu – wykrzyknął głucho pułkownik, który otworzył drzwi i ukazał się nagle żonie, z jedną ręką zatkniętą za kamizelkę, a drugą wyciągniętą ku podłodze, gestem, któremu pamięć jego przygody dawała straszliwą wymowę.

„To on” — rzekła w duchu hrabina.

– Za drogo! – ciągnął stary żołnierz. – Ja ci dałem blisko milion, a ty targujesz się o moje nieszczęście. Więc dobrze, teraz ja chcę ciebie i twego majątku! Pobraliśmy się na zasadzie wspólności majątkowej, nasze małżeństwo nie przestało istnieć...

– Ależ to nie jest pułkownik Chabert! – wykrzyknęła hrabina, udając zdziwienie.

– A – rzekł starzec z gryzącą ironią – chcesz dowodów? Wziąłem cię z Palais-Royal<sup>10</sup>...

Hrabina zbladła. Widząc, jak blednie pod różem, stary żołnierz, wzruszony cierpieniem, jakie zadawał kobiecie niegdyś namiętnie kochanej, wstrzymał się; ale spojrzała nań tak ja-dowicie, że podjął nagle:

– Byłaś u...

– Przepraszam – rzekła hrabina do adwokata – pozwoli pan, że się oddalę. Nie przyszedłem po to, aby słuchać podobnej ohydy.

Wstała i wyszła. Derville rzucił się do kancelarii. Hrabina odleciała jakby na skrzydłach. Wróciwszy do gabinetu, adwokat zastał pułkownika w przystępie gwałtownej wściekłości, przechadzającego się wielkimi krokami.

– W owym czasie każdy brał żonę, gdzie chciał – rzekł – ale ja popełniłem ten błąd, że źle wybrałem, zawierzyłem pozorom. Ona nie ma serca.

– I cóż, pułkowniku, nie miałem racji prosząc pana, byś nie przychodził? Jestem obecnie pewien pańskiej tożsamości. Kiedyś się pan ukazał, hrabina uczyniła gest, którego znaczenie nie może być wątpliwe. Ale przegrałeś pan swój proces, żona pańska wie, że jesteś nie do poznania!

– Zabiję ją...

– Szaleństwo! Poszedłbyś pan na gilotynę jak zbrodniarz. Zresztą może byś pan chybił! To byłoby nie do przebaczenia; nie powinno się nigdy chybić swojej żony, kiedy się chce ją zabić. Pozwól mi pan naprawić swoje głupstwa, stary dzieciaku! Proszę wrócić do domu. Niech pan uważa na siebie, ona byłaby zdolna wciągnąć pana w pułapkę i zamknąć w Charenton. Doręczę jej urzędownie nasze akty, aby pana zabezpieczyć od wszelkiej podrywki.

Biedny pułkownik usłuchał swego młodego dobroczyńcy i wyszedł, szepcząc słowa prosiń. Zwolna zstępował po ciemnych schodach, zatopiony w posepnych myślach, zmiażdżony może ciosem, jaki otrzymał, ciosem dlań najokrutniejszym, najgłębiej wnikałym w serce. Zeszedłszy na sam dół, usłyszał szelest sukni i ujrzał żonę.

---

<sup>10</sup> P a l a i s - R o y a l – pałac królewski, który pod koniec XVIII w., przebudowany na bazar, stał się ruchliwym miejscem zakupów i spotkań paryskich szumowin.

– Niech pan pójdzie – rzekła, biorąc go pod ramię ruchem, który był jej właściwy niegdyś. Gest hrabiny, głos jej, który odzyskał swój wdzięk, wystarczyły, aby uśmierzyć gniew pułkownika, który dał się zaprowadzić do powozu.

– No, niech pan wsiada – rzekła hrabina, kiedy lokaj spuścił stopień.

I znalazł się, jakby czarami, obok swej żony w karecie.

– Dokąd jaśnie pani każe jechać? – spytał lokaj.

– Do Groslay – rzekła.

Konie ruszyły i przebyły cały Paryż.

– Panie! – rzekła hrabina do pułkownika głosem, który zdradzał niezwykle wzruszenie.

W takich chwilach serce, nerwy, fizjonomia, dusza i ciało, wszystko, każde włókno drży. Mamy wrażenie, że życie nie jest w nas; wychodzi z nas, tryska, udziela się zaraźliwie, przelewa się spojrzeniem, głosem, gestem, narzucając naszą wolę innym. Stary żołnierz zadrżał, słysząc to jedyne słowo, to pierwsze, to okrutne: „Panie!” Ale też to był równocześnie wyrzut, prośba, przebaczenie, nadzieja, rozpacz, zapytanie, odpowiedź. To słowo obejmowało wszystko. Trzeba było być urodzoną aktorką, aby wlać tyle wymowy, tyle uczucia w jedno słowo. Prawda nie jest pełna w swoim wyrazie, nie dobywa wszystkiego na zewnątrz, ukazuje tylko, co jest wewnątrz. Pułkownik zawstydzził się swoich podejrzeń, swoich żądań, swego gniewu i spuścił oczy, aby nie zdradzić pomieszczenia.

– Panie – podjęła hrabina po niedostrzegalnej pauzie – poznałam pana!

– Rozyno – rzekł stary żołnierz – to słowo zawiera jedyny balsam, jaki mógł mi dać zapomnieć o moich nieszczęściach.

Dwie grube, gorące łzy stoczyły się na rękę jego żony, które przycisnął z wyrazem ojcowskiej czułości.

– W jaki sposób – podjęła – nie odgadł pan, że mnie straszliwie dużo kosztowało pokazać się przed obcym w tak fałszywym położeniu? Jeżeli się muszę rumienić za moją rolę, niech to choć będzie w rodzinie. Czy ta tajemnica nie powinna była zostać pogrzebana w naszych sercach? Wybaczysz mi, mam nadzieję, moją pozorną obojętność na nieszczęścia urojonego Chaberta, w którego istnienie nie mogłam „wierzyć. Dostałam twoje listy – rzekła żywo, czytając na twarzy męża myśl, która się na niej odbiła – ale przyszły w trzynaście miesięcy po bitwie pod Eylau; były otwarte, brudne, pismo nie do poznania. Uzyskawszy podpis Napoleona na moim nowym kontrakcie ślubnym, musiałam myśleć, że to jakiś zręczny intrygant igra sobie ze mną. Aby nie mącić spokoju hrabiego Ferraud i nie naruszać więzów rodzinnych, musiałam tedy zabezpieczyć się przed fałszywym Chabertem. Czy nie miałam racji, powiedz?

– Tak, miałaś rację, to ja jestem głupiec, bydlę, zwierzę, że nie umiałem lepiej rozważyć skutków takiego położenia. Ale dokąd my jedziemy? – rzekł pułkownik, widząc rogatkę.

– Do mnie na wieś, koło Groslay, w dolinie Montmorency. Tam zastanowimy się nad tym, co trzeba nam przedsięwziąć. Znam swoje obowiązki. O ile należę do ciebie wobec prawa, nie należę już faktycznie. Czyżbyś pragnął, abyśmy się stali bajką całego Paryża? Nie wciągajmy publiczności w to położenie, które rzuca na mnie cień śmieszności, i umiejmy zachować godność. Kochasz mnie jeszcze – podjęła, rzucając na pułkownika smutne i słodkie spojrzenie – ale ja... czyż nie miałam prawa zawrzeć innych związków? W tym szczególnym położeniu tajemny głos szepce mi, abym polegała na twojej dobroci, którą tak znam. Czy źle uczyniłam, biorąc cię za jedyne sędziego mego losu? Bądź sędzią i stroną. Zawierzam się twojej szlachetności. Zdobędziesz się na tę wspaniałomyślność, aby mi przebaczyć skutki niewinnych błędów. Wyznam ci zatem: kocham pana Ferraud. Sądziłam, że jestem w prawie go pokochać. Nie rumienię się, czyniąc ci to wyznanie; rani cię, ale nie przynosi nam ujmy. Nie mogę ci ukrywać faktów. Kiedy przypadek zostawił mnie wdową, nie byłam matką.

Pułkownik gestem nakazał żonie milczenie; w ciągu pół mili siedzieli obok siebie, nie mówiąc ani słowa. Chabert miał uczucie, że widzi przed sobą dwoje małych dzieci.

– Rozyno!



– Co, mój drogi?

– Zmarli źle tedy czynią, jeśli wracają?

– Och, nie! Nie sądź, że jestem niewdzięczna. Tylko że zastajesz kochankę, matkę tam, gdzie zostawiłeś żonę. Jeżeli nie jest w mojej mocy kochać cię, wiem wszystko, co ci jestem winna, i mogę ci ofiarować całe przywiązanie córki.

– Rozyno – odparł starzec łagodnie – nie mam już do ciebie urazy. Zapomnimy o wszystkim – dodał z owym uśmiechem, którego wdzięk jest zawsze odbiciem pięknej duszy. – Nie jestem na tyle niedelikatny, aby wymagać pozorów miłości od kobiety, która już nie kocha.

Hrabina rzuciła mu spojrzenie nabrzmiałe taką wdzięcznością, że biedny Chabert byłby wolał wrócić do swego dołu w Eylau. Są ludzie mający duszę dość silną do takich poświęceń, których nagrodę mieści dla nich pewność, iż stworzyli szczęście kochanej osobie.

– Mój drogi, pomówimy o tym wszystkim później i spokojnie – rzekła hrabina.

Rozmowa przybrała inny bieg, nie podobna było długo ciągnąć jej na ten temat. Mimo że małżonkowie wracali często do swego dziwnego położenia, bądź to w aluzjach, bądź otwarcie, odbyli uroczą podróż, przypominając sobie epizody swego minionego związku oraz epokę Cesarstwa. Hrabina umiała dać słodki czar tym wspomnieniom, barwiąc rozmowę odcieniem melancholii, potrzebnym dla zachowania jej powagi. Wskrzesiła miłość, nie podsycając pragnienia, ukazała pierwszemu mężowi wszystkie bogactwa duchowe, jakich nabyła, starając się go oswoić z myślą o ograniczeniu się do tych słodczy, jakich doznaje ojciec obok ukochanej córki. Pułkownik znał hrabinę Cesarstwa, obecnie oglądał hrabinę Restauracji. Wreszcie małżonkowie dotarli boczną drogą do parku położonego w dolince dzielącej wzgórze Margency od wioski Groslay. Hrabina posiadała tam rozkoszny domek, gdzie pułkownik ujrzał wszystko jakby przygotowane na jego gościnę. Nieszczęście jest rodzajem talizmanu, mającym tę właściwość, iż potęguje naszą pierwotną naturę: wzmacnia nieufność i złość u pewnych ludzi, jak pomnaża dobroć tych, którzy mają złote serce. Niedola uczyniła pułkownika jeszcze szlachetniejszym i lepszym, niż był wprzód; mógł tedy wnikać w tajemnicę cierpień kobiecych, nie znanych większości mężczyzn. Jednak, mimo swej ufności, nie mógł się wstrzymać, aby nie powiedzieć:

– Byłaś tedy tak pewna, że mnie tu przywieziesz?

– Tak – odparła – o ile bym znalazła pułkownika Chabert w nieznanym.

Szczerota tej odpowiedzi rozproszyła lekkie podejrzenia, jakie hrabia powziął ku swemu zawstydzeniu. Przez trzy dni hrabina była czarująca ze swym pierwszym mężem. Tkliwymi staraniami i niezmienną słodyczą chciała niejako zatrzeć pamięć jego cierpień; chciała uzyskać przebaczenie za nieszczęścia, które, wedle swego wyznania, niewinnie mu sprawiła. Roztaczała dlań, wciąż zachowując odcień melancholii, ów wdzięk, o którym wiedziała, że jest dlań nieodparty; wszyscy bowiem jesteśmy szczególnie tkliwi na pewne uroki serca lub umysłu. Chciała go zainteresować swym położeniem i roztkliwić go na tyle, aby nim opanować całkowicie. Zdecydowana na wszystko, aby dojść do celu, nie wiedziała jeszcze, co począć z tym człowiekiem, ale to pewna, że chciała go unicestwić. Wieczorem trzeciego dnia uczuła, że mimo swych wysiłków nie może ukryć niepokoju o rezultat tych zabiegów. Aby wypocząć chwilę, udała się do siebie, siadła przy sekretarzyku, zdjęła maskę, którą zachowywała wobec hrabiego Chabert, jak aktorka, która, wracając zmęczona do garderoby po ciężkim piątym akcie, pada wpółmartwa i zostawia w sali obraz samej siebie, do którego już nie jest podobna. Siadła, aby skończyć list do Delbecqa, któremu polecała, aby w jej imieniu zażądał u Derville'a aktów pułkownika Chabert, skopiował je i przybył natychmiast do Groslay. Ledwie skończyła, usłyszała w korytarzu kroki pułkownika, który, zaniepokojony, szukał jej.

– Och – rzekła głośno – chciałabym nie żyć! Moje położenie jest nie do zniesienia...

– Co tobie? Co się stało? – spytał poczciwiec.

– Nic, nic – odparła.

Wstała, zostawiła pułkownika i zeszła, aby pomówić bez świadków z panną służącą, którą wysłała do Paryża, polecając jej, aby oddała sama Delbecqowi list i aby odwiozła list z powrotem, skoro ten go przeczyta. Następnie siadła na ławce w miejscu dość widocznym, aby pułkownik mógł ją łatwo znaleźć. Pułkownik, który już szukał żony, przybiegł i siadł obok niej.

– Rozyno – rzekł – co tobie?

Nie odpowiedziała. Był to wspaniały wieczór czerwcowy, którego harmonia rozlewa tyle słodyczy o zachodzie słońca. Powietrze było czyste, dokoła cisza, tak iż można było słyszeć w parku głosy dzieci, które wplatały jakby nową melodię w uroki krajobrazu.

– Nie odpowiadasz mi? – spytał pułkownik żony.

– Mężu... – rzekła hrabina, zawahała się i przerwała, aby go spytać rumieniąc się: – Jak powiem, mówiąc o panu Ferraud?

– Nazywaj go swoim mężem, biedne dziecko – odparł pułkownik z dobrocią. – Czyż nie jest ojcem twych dzieci?

– A więc – ciągnęła – jeśli on mnie zapyta, co ja tu robiłam, jeśli się dowie, że się zamknęłam z nieznanym, co mu powiem? Proszę pana – dodała, przybierając postawę pełną godności – niech pan rozstrzyga o moim losie, jestem gotowa na wszystko...

– Moje dziecko – rzekł pułkownik, ujmując dłonie żony – postanowiłem poświęcić się całkowicie dla twego szczęścia...

– To niemożliwe – wykrzyknęła czyniąc mimo woli konwulsyjny gest. – Pomyśl, musiałbyś wówczas wyrzec się samego siebie, i w sposób legalny...

– Jak to – rzekł pułkownik – moje słowo ci nie wystarcza?

Słowo legalny ugodziło w serce starca i zbudziło w nim mimowolne podejrzenia. Zwrócił na żonę wzrok, pod którym się zarumieniła, spuściła oczy; on zląkł się, że będzie musiał nią gardzić. Hrabina bała się, że uraziła delikatność, uczciwość człowieka, którego charakter i przymioty знаła. Mimo że te myśli powlekły na chwilę chmurą ich czoła, niebawem wróciła harmonia. Oto jak. Krzyk dziecka rozległ się w oddali.

– Julku, zostaw siostrę w spokoju! – wykrzyknęła hrabina.

– Jak to, twoje dzieci są tutaj? – spytał pułkownik.

– Tak, ale zabroniłam im naprzykrzać się tobie.

Stary żołnierz zrozumiał delikatność, takt kobiety zawarty w tej uprzejmości, ujął rękę hrabiny, aby ją ucałować.

– Niechże przyjdą – rzekł.

Dziewczynka przybiegła, aby się poskarżyć na brata.

– Mamo!

– Mamo!

– To on...

– To ona...

Ręce wyciągnęły się ku matce i dwa głosy dziecięce zmieszały się. Niespodziany i rozkoszny obrazek!

– Biedne dzieci! – wykrzyknęła hrabina, nie wstrzymując już łez. – Trzeba je będzie opuścić; komu sąd je przyzna? Nie da się podzielić serca matki, ja chcę je mieć.

– Czy przez ciebie mama płacze? – rzekł Julek, spoglądając gniewnie na pułkownika.

– Cicho, Julku! – wykrzyknęła matka rozkazującym tonem.

Dzieciaki stały w milczeniu, przyglądając się matce i obcemu panu z niepodobną do opisaną ciekawością.

– Och tak, jeśli mnie rozłączą z mężem, niech mi zostawią dzieci, a poddam się wszystkiemu...

Te słowa były rozstrzygające, uzyskała cały sukces, jakiego się po nich spodziewała.

– Tak – wykrzyknął pułkownik, jak gdyby kończył zdanie rozpoczęte w myśli – trzeba mi wrócić pod ziemię! Już to sobie powiedziałem.

– Czy ja mogę przyjąć takie poświęcenie? – odparła hrabina. – Jeśli zdarzyło się, że ktoś umarł, aby ocalić honor kochanki, dał życie tylko raz. Ale ty dawałbyś życie co dzień! Nie, nie, to niemożliwe! Gdyby chodziło tylko o twoje istnienie, toby nie było nic; ale podpisać, że nie jesteś pułkownikiem Chabert, uznać, że jesteś szalbierzem, oddać swój honor, popełniać kłamstwo o każdej godzinie, tak daleko poświęcenie ludzkie nie sięga. Pomyśl tylko! Nie! Gdyby nie moje biedne dzieci, byłabym już z tobą uciekła na koniec świata...

– Ależ – odparł Chabert – czy ja nie mogę żyć tutaj w tym małym domku jak gdyby twój krewny? Jestem zużyty jak stara armata, trzeba mi jedynie trochę tytoniu i numeru „Constitutionnela”<sup>11</sup>

Hrabina zalała się łzami. Wywiązał się między hrabiną Ferraud a pułkownikiem Chabert pojedynek szlachetnych, z którego żołnierz wyszedł zwycięzcą. Jednego wieczora, patrząc na tę matkę w otoczeniu dzieci, pułkownik uległ czarowi rodzinnego obrazka, na wsi, w ciszy i cieniu; postanowił pozostać umarłym i, nie przerażając się już autentycznością aktu, spytał, co trzeba uczynić, aby zapewnić nieodwołalne szczęście tej rodzinie.

– Rób, jak chcesz! – odparła hrabina. – Ja oświadczam, że nie mieszam się do tej sprawy. Nie mogę, nie powinnam.

Delbecq przybył od kilku dni; w myśl instrukcji hrabiny intendent umiał pozyskać zaufanie starego żołnierza. Nazajutrz rano tedy pułkownik Chabert pojechał z eks-adwokatem do Saint-Leu-Taverny, gdzie Delbecq kazał przygotować u rejenta akt ułożony w formie tak brutalnej, że wysłuchawszy lektury pułkownik opuścił gwałtownie kancelarię.

– Kroćset bomb! Ładny byłby ze mnie ananas! Ależ ja bym uchodził za fałszerza! – wykrzyknął.

– Proszę pana – rzekł Delbecq – nie radzę panu podpisywać za szybko. Na pańskim miejscu wycisnąłbym co najmniej trzydzieści tysięcy franków renty z tego procesu, bo pani by je dała.

Spiorunowawszy starego hultaja spojrzeniem uczciwego człowieka, pułkownik uciekł miotany tysiącem uczuć. Znow stał się nieufny, oburzał się, uspokajał. W końcu wszedł do parku przez wylom w murze, aby odpocząć i podumać swobodnie w kiosku, z którego widać było drogę do Saint-Leu. Ponieważ ścieżka była wysypana żółtym piaskiem, którego się używa zamiast żwiru, hrabina, siedząca w saloniku w tym małym domku, nie słyszała pułkownika. Zbyt była zajęta powodzeniem swej sprawy, aby zwrócić uwagę na lekki szmer kroków. Stary żołnierz również nie spostrzegł żony.

– No i cóż, panie Delbecq, podpisał? – spytała hrabina intendenta, skoro ujrzała go na ścieżce.

– Nie, pani hrabino. Nie wiem nawet, co mu się stało. Stary koń stanął dęba.

– Trzeba go będzie tedy wpakować do Charenton, skoro go mamy w rękę.

Pułkownik, który odzyskał młodzieńczą sprężystość, aby przeskoczyć rów, znalazł się w mgnieniu oka przed intendentem, któremu wymierzył najpiękniejszą parę policzków, jaka kiedykolwiek rozległa się na licach kauzyperdy.

– Dodaj, że stare konie umieją wierzgać – rzekł. Wyładowawszy gniew, pułkownik nie czuł już siły, aby przeskoczyć rów.

Prawda ukazała się w całej nagości. Słowa hrabiny i odpowiedz Delbecq odsłoniły mu spiszek, którego miał być ofiarą. Czułość, jaką go otoczono, była przynętą, aby go chwycić w pułapkę. Słowa te były niby kropla subtelnej trucizny, która spowodowała u starego żołnierza nawrót fizycznych i moralnych cierpień. Wrócił do kiosku bramą parkową, idąc wolno jak człowiek złamany. Zatem nie ma dlań spokoju ani spoczynku! Trzeba mu było rozpocząć z tą

---

<sup>11</sup> „Constitutionnel” – dziennik założony w r. 1814, za Restauracji był organem liberalnej i antyklerykalnej opozycji.

kobietą wstrętą wojnę, o której mówił mu Derville, żyć procesami, karmić się żółcią, pić co rano kielich goryczy. A przy tym, okropna myśl, gdzie znaleźć pieniądze, aby opłacić kosztą pierwszych instancji? Chwycił go taki wstręt do życia, że gdyby była w pobliżu woda, byłby się w nią rzucił; gdyby miał pod ręką pistolety, byłby sobie wypalił w łeb. Następnie popadł znów w zamęt myśli, jaki tuż po rozmowie z Derville'em u mleczarza przeobraził jego duszę. Przybywszy wreszcie do kiosku, wszedł na górę do saloniku, którego szklane rozety otwierały czarujący widok na całą dolinę; zastał żonę siedzącą na krześle. Hrabina patrzyła w przestrzeń, zachowując zupełny spokój, z owym nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jaki umiejają przybrać kobiety gotowe na wszystko. Wytarła oczy, jak gdyby płakała, bawiła się bezmyślnie różową szarfą u paska. Jednakże, mimo pozornego spokoju, nie mogła się wstrzymać od drżenia, widząc swego czcigodnego dobroczyńcę, wyprostowanego, ze skrzyżowanymi ramionami, z bladą twarzą i surowym czołem.

– Pani – rzekł wpatrzywszy się w nią bystro i zmusiwszy ją do rumieńca – pani, ja cię nie przeklinam, ja tobą gardzę. Dziękuję teraz przypadkowi, który nas rozłączył. Nie czuję nawet żądzy zemsty, nie kocham cię już. Nie chcę od ciebie nic. Żyj spokojnie na wiarę mego słowa, więcej ono warte niż gryzmoły wszystkich rejentów. Nie upomnę się nigdy o nazwisko, które może uświetniłem. Jestem od dziś biedak imieniem Jacek, który pragnie jedynie jakiegoś kąta, aby żyć... Żegnaj.

Hrabina rzuciła się do stóp pułkownika i chciała go wstrzymać ściskając mu rękę, ale odepchnął ją ze wstrętem, powiadając:

– Nie dotykaj mnie!

Hrabina uczyniła niepodobny do oddania gest, skoro usłyszała oddalające się kroki męża. Następnie, z ową głęboką przenikliwością, jaką daje instynkt zbrodni lub dziki egoizm świata, osądziła, że może żyć w spokoju na wiarę przyrzeczenia i wzgardy tego uczciwego żołnierza.

Chabert znikł w istocie. Mleczarz zbankrutował i został doróżkarzem. Może i pułkownik obrał sobie to samo zajęcie. Może, podobny do kamienia rzuconego w przepaść, zatracił się stopniowo w owym błocie łachmanów, które kłębią się na ulicach Paryża.

W pół roku po tym wypadku Derville, nie słysząc już ani o pułkowniku Chabert, ani o hrabinie Ferraud, pomyślał, że zapewne doszło między nimi do porozumienia, które przez zemstę hrabina kazała sporządzić w innej kancelarii. Za czym pewnego rana zsumował kwoty zaliczone rzeczonemu Chabert, doliczył kosztą i poprosił hrabinę Ferraud, aby się upomniała u hrabiego Chabert o uregulowanie tego rachunku, w przypuszczeniu, że zna adres pierwszego męża.

Nazajutrz intendent hrabiego Ferraud, świeżo mianowany prezydentem trybunału pierwszej instancji w jakimś większym mieście, wystosował do Derville'a tę beznadziejną odpowiedź:

*Szanowny Panie!*

*Hrabina Ferraud poleca mi uwiadomić Pana, że Pański klient najzupełniej nadużył Pańskiego zaufania. Osobnik mieniący się hrabią Chabert przyznał się, iż bezprawnie przywłaszczył sobie fałszywe tytuły. Raczy Pan przyjąć etc.*

*DELBECQ*

– Zdarzają się ludzie, którzy są doprawdy za głupi, niegodni chrztu świętego! – wykrzyknął Derville. – Bądźże ludzki, wspaniałomyślny, bądź filantropem i adwokatem, a wpakujesz się! Oto sprawa, która mnie kosztuje przeszło dwa tysiączki.

W jakiś czas po tym liście Derville szukał w sądzie adwokata, do którego miał pilny interes i który bronił właśnie kogoś w policji poprawczej. Przypadek chciał, że Derville wszedł właśnie do Szóstej Izby w chwili, gdy prezydent skazywał włóczęgę nazwiskiem Jacek na

dwa miesiące więzienia z tym, aby go następnie odstawiono do przytułku w Saint-Denis; wyrok, który, wedle jurysprudencji prefektów policji, równa się dożywotniemu skazaniu. Na imię J a c e k Derville spojrział na delikwenta siedzącego między dwoma żandarmami na ławie oskarżonych i poznał w skazanym pułkownika Chabert. Stary żołnierz był spokojny, nieruchomy, prawie roztargniony. Mimo swych łachmanów, mimo nędzy wypisanej na jego fizjonomii odbijała się w niej szlachetna duma. Spojrzenie jego miało wyraz stoicyzmu, który sędzia powinien był umieć odczytać; ale z chwilą gdy człowiek popadnie w ręce sprawiedliwości, staje się już tylko abstrakcją, kwestią prawną lub faktyczną, jak w oczach statystyków staje się cyfrą. Kiedy żołnierza odprowadzono do Furty, aby go później zabrać z kupą włóczęgów, których sądzono w tej chwili, Derville skorzystał z prawa, które pozwala adwokatom wchodzić wszędzie w gmachu sądowym, udał się za nim do Furty i patrzył długą chwilę na niego zarówno jak na indywidua, wśród których się znajdował. Przedpokój Furty przedstawiał wówczas widok, jakiego na nieszczęście ani prawodawcy, ani filantropi, ani malarze, ani pisarze nie zachodzą studiować. Jak wszystkie laboratoria palestry, przedpokój ten jest to ciemna i cuchnąca izba, której ściany stroi drewniana ławka szerniała od ciągłego pobytu nieszczęśliwych, przybywających na tę schadzke nędz świata, na którą żaden z nich nie chybi. Poeta powiedziałby, że słońce wstydzi się oświecać ten straszliwy ściek, przez który spływa tyle niedoli! Nie ma ani jednego miejsca, gdzieby nie usiadła jakaś kielkująca lub dojrziała już zbrodnia, ani jednego miejsca, gdzieby się nie znalazł jakiś człowiek, który, wtrącony w rozpacz lekką plamą, jaką sprawiedliwość naznaczyła jego pierwszy błąd, zaczął egzystencję wiodącą w końcu na gilotynę lub wciskającą w dłoń pistolet samobójczy. Wszyscy, którzy stoczą się na bruk Paryża, objijają się o te żółte mury, gdzie filantrop (gdyby nie był spekulantem) mógłby wyczytać usprawiedliwienie licznych samobójstw, nad którymi biadają obłudne pismaki, niezdolne zrobić nic, aby im zapobiec. Usprawiedliwienie to znajduje się wypisane w tym przedpokoju, przedmowie do dramatów Morgi lub placu de Grève<sup>12</sup>. W tej chwili pułkownik Chabert siedział wśród owych ludzi o wyrazistych twarzach, ludzi odzianych w straszliwą liberię nędzy, milczących lub rozmawiających z cicha, gdyż trzech służbowi żandarmi przechadzali się dzwoniąc szablami po kamiennej posadzce.

– Poznaje mnie pan? – rzekł Derville do starego żołnierza, stając przed nim.

– Poznając, tak – odparł Chabert, wstając.

– Jeśli pan jesteś uczciwym człowiekiem – rzekł Derville z cicha – jak pan mógł nie zwrócić mi swego długu?

Stary żołnierz zaczerwienił się niby młoda dziewczyna złapana przez matkę na schadzce.

– Jak to? Pani Ferraud nie zapłaciła panu? – wykrzyknął głośno.

– Zapłaciła! – rzekł Derville. – Napisała mi, że pan jest szalbierz.

Pułkownik podniósł oczy wspaniałym odruchem zgrozy i przekleństwa, jak gdyby pozrywając przed trybunał nieba to nowe oszustwo.

– Panie – rzekł tak zmienionym, że aż spokojnym głosem – niech pan uzyska u żandarmów, aby mi pozwolili wejść do kancelarii, napiszę panu przekaz, który z pewnością będzie zapłacony.

Na słówko, które Derville szepnął sierżantowi, pozwolono mu zaprowadzić klienta do kancelarii, gdzie Jacek napisał kilka słów do hrabiny Ferraud.

– Niech pan to prześle – rzekł żołnierz – a otrzyma pan zwrot kosztów i zaliczek. Niech mi pan wierzy, że jeśli nie okazałem wdzięczności za pańską uczynność, tkwi ona niemniej tu – rzekł, kładąc rękę na sercu. – Tak, ona jest tu, pełna i wielka. Ale co może człowiek nieszczęśliwy? Kocha, to wszystko.

– Jakim sposobem – rzekł Derville – nie zastrzegł pan sobie jakiejś renty?

– Niech mi pan o tym nie mówi! – odparł stary wojskowy. – Nie może pan mieć pojęcia, do jakiego stopnia gardzę materialnym życiem, które jest wszystkim dla większości ludzi.

---

<sup>12</sup> M o r g a – kostnica w Paryżu; na p l a c u d e G r è v e w Paryżu odbywały się publiczne egzekucje.

Nagle owładnęła mną choroba, wstręt do ludzkości. Kiedy pomyślę, że Napoleon jest na Św. Helenie, wszystko mi jest obojętne. Nie mogę już być żołnierzem, oto moje całe nieszczęście. Wreszcie – dodał z gestem, który miał coś dziecinnego – lepszy jest zbytek w uczuciach niż w ubraniu. Ja nie obawiam się niczyjej wzgardy.

I pułkownik usiadł z powrotem. Derville wyszedł. Kiedy wrócił do kancelarii, posłał Godeschala, wówczas drugiego dependenta, do hrabiny Ferraud, która przeczytawszy pismo kazała natychmiast wypłacić należną sumę.

W r. 1840, pod koniec czerwca, Godeschal, już adwokat, jechał do Ris w towarzystwie Derville'a, swego poprzednika. Skoro znaleźli się w alei wiodącej na gościniec do Bicêtre, spostrzegli pod więzaniem przy drodze jednego z owych oszczędziwych i złamanych nędzarzy, którzy zyskali buławę marszałkowską żebraków żyjąc w Bicêtre, jak ubogie kobiety żyją w Salpêtrière. Człowiek ten, jeden z dwóch tysięcy nieszczęśników pomieszczonych w „Przytułku dla Starców”, siedział na kamieniu przydrożnym i skupiał całą swą inteligencję w czynności dobrze znanej inwalidom, a polegającej na tym, aby suszyć w słońcu zatabaczoną chustkę do nosa, może aby nie potrzebować jej prać. Fizjonomia tego starca była interesująca. Ubrany był w ów brunatny kitel, który przytułek daje swoim klientom niby ohydną liberię.

– Patrz pan, Derville – rzekł Godeschal do towarzysza podróży – spójrz na tego starca. Czy nie podobny jest do owych pociesznych figurek, które wyrabiają w Niemczech? I taki żyje i może jest szczęśliwy!

Derville wziął lornetkę, spojrział na biedaka, uczynił gest zdziwienia i rzekł:

– Ten starzec, mój drogi, to cały poemat lub, jak powiadają romantycy, dramat. Czy spotkałeś kiedy hrabinę Ferraud?

– Tak, inteligentna kobieta i bardzo miła, tylko trochę dewotka – rzekł Godeschal.

– Ten stary żebrak to jej prawy mąż, hrabia Chabert, były pułkownik; z pewnością umieściła go tutaj. Jeżeli jest w tym przytułku zamiast mieszkać w pałacu, to jedynie dlatego, że przypomniał pięknej hrabinie Ferraud, że ją wziął niegdyś jak dorożkę, na rogu ulicy. Przypominam sobie tygrysie spojrzenie, jakim zmierzyla go wówczas.

Ten początek obudził ciekawość Godeschala, Derville opowiedział mu tedy poprzedzającą historię. W dwa dni później, w poniedziałek rano, wracając do Paryża, dwaj przyjaciele spojrzeli na Bicêtre; Derville zaproponował, aby odwiedzić pułkownika Chabert. Będąc w połowie alei, spotkali na pniu ściętego drzewa siedzącego starca, który trzymał kij i zabawiał się rysowaniem na piasku. Skoro mu się przyjrzeliby bystro, spostrzegli, że musiał śniadać gdzie indziej niż w przytułku.

– Dzień dobry, pułkowniku Chabert – rzekł Derville.

– Nie Chabert, nie Chabert, nazywam się Jacek – odparł starzec. – Nie jestem już człowiekiem, jestem numer 164, siódma sala – dodał, patrząc na Derville'a niespokojnie, z trwogą starca lub dziecka. – Idzie pan zobaczyć skazanego na śmierć? – rzekł po chwili milczenia. – On nie jest żonaty! Szczęśliwy...

– Biedny człowiek – rzekł Godeschal. – Chcecie pieniędzy na trochę tytoniu?

Z całą naiwnością paryskiego ulicznika pułkownik kolejno wyciągnął chciwie rękę do nieznanomych, którzy dali mu po dwudziestofrankówce; podziękował tępyim spojrzeniem, mówiąc:

– Dzielne wiarusy!

Stanął w pozycji, udał, że mierzy do nich z fuzji, i wykrzyknął z uśmiechem:

– Ognia z dwu armat! Niech żyje Napoleon! – I opisał łaską w powietrzu fantastyczny zygzak.

– Zdziecinniał od rany, którą otrzymał – rzekł Derville.

– On zdziecinniał! – rzekł stary mieszkaniec przytułku, który patrzył na nich. – Och, są dni, w których niebezpiecznie byłoby mu nastąpić na nogę. To stary filut, kawałek filozofa, poety. Ale dziś, cóż panowie chcecie? Zakropił się trochę biedaczysko. On tu już był w roku

1820. W owym czasie oficer pruski, którego kolaska jechała pod górę do Villejuif, przechodził tędy pieszo. Siedzieliśmy obaj z Jackiem przy drodze. Ten oficer szedł rozmawiając z drugim, Moskałem czy innym takim bydlakiem. Zobaczywszy starego, Prusak, chcąc się bawić w dowcipnisią, odezwał się: „Ten stary wiarus musiał być pod Rossbach”. – „Za młody byłem na to – odparł Jacek – ale zdążyłem być pod Jena”. Na to Prusak zwinął ogon pod siebie i poszedł, nie pytając już o nic.

– Co za los! – rzekł Derville. – Wyszędłszy z domu podrzutków, kończy w przytułku dla starców, pomógłszy, między jednym a drugim, Napoleonowi zdobyć Egipt i świat. Czy ty wiesz, mój drogi, że istnieją w naszym społeczeństwie trzej ludzie, ksiądz, lekarz i prawnik, którzy nie mogą szanować świata? Noszą czarne suknie, może dlatego, że noszą żałobę po wszystkich cnotach, po wszystkich złudzeniach. Najnieszczęśliwszy ze wszystkich trzech to adwokat. Kiedy człowiek idzie do księdza, idzie tam party skruczą, wyrzutem, wiarą, które czynią go interesującym, większym i które są pociechą dla duszy pośrednika: zadanie jego niewolne jest od słodczy, oczyszcza, godzi, naprawia. Ale my, adwokaci, patrzymy na potwarzające się złe uczucia, nic ich nie poprawia, nasze kancelarie to ścieki, których nie da się oczyścić. Iluż rzeczy dowiedziałem się pełniąc swoje rzemiosło! Widziałem ojca umierającego na poddaszu bez grosza, bez koszuli, opuszczonego przez dwie córki, którym dał czterdzieści tysięcy franków renty. Widziałem, jak palono testamenty; widziałem matki ograbiające swoje dzieci, mężów okradających żony, żony zabijające mężów miłością, jaką w nich rozpałały, aby ich doprowadzić do obłędu lub zidiocenia i żyć spokojnie z kochankiem. Widziałem kobiety zaszczepiające synowi z pierwszego małżeństwa skłonności, które miały go uśmiercić, po to, aby wzbogacić dziecię miłości. Nie mogę ci opowiedzieć wszystkiego, com widział, bo widziałem zbrodnie, wobec których sprawiedliwość ludzka jest bezsilna. Słowem, wszystkie okropności, które powieściopisarze rzekomo wymyślają, są zawsze poniżej prawdy. Poznasz jeszcze ładne rzeczy, wierz mi; ja osiadam z żoną na wsi. Brzydzą się Paryżem.

– Widziałem już dosyć u Desroches'a – odparł Godeschal.

Paryż, luty – marzec 1832

# MSZA ATEUSZA

---

*Przełożył*  
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*AUGUSTOWI DE BORGET  
POŚWIĘCA JEGO PRZYJACIEL  
DE BALZAC*



Lekarz, któremu wiedza zawdzięcza piękną teorię fizjologiczną który, młody jeszcze, zasiadł między świecznikami szkoły paryskiej, ośrodka nauki, któremu oddaje hołd cała Europa, doktor Bianchon, długo uprawiał chirurgię, zanim się poświęcił medycynie wewnętrznej. Pierwsze studia odbywał pod kierunkiem jednego z największych chirurgów francuskich, wielkiego Desplein, który przeszedł w nauce na kształt meteoru. Godzą się na to jego wrogowie, iż zabrał z sobą do grobu metodę, której nie da się przekazać. Jak wszyscy ludzie genialni, nie miał spadkobiercy: nosił i uniósł wszystko z sobą.

Sława chirurgów podobna jest do sławy aktorów, którzy istnieją jedynie za życia i których talentu nie podobna ocenić, gdy znikną. Aktorzy i chirurdzy, jak i wielcy śpiewacy, jak wirtuosi, którzy dziesięciokrotnie zwiększają swoim wykonaniem potęgę muzyki, są wszyscy bohaterami chwili. Desplein jest dowodem podobieństwa losu owych przemijających geniuszów. Nazwisko jego, tak sławne wczoraj, dziś prawie zapomniane, pozostanie w jego specjalności nie przekraczając jej granic. Ależ czyż nie trzeba niesłychanego zbiegu okoliczności, aby nazwisko uczonego przeszło ze sfery wiedzy do powszechnej historii ludzkości? Czy Desplein miał ową uniwersalność, która czyni z człowieka słowo lub fizjonomię epoki? Desplein posiadał boski rzut oka: przenikał chorego i chorobę intuicją nabytą lub wrodzoną, która pozwalała mu stawiać diagnozę indywidualną, określić ścisły moment, godzinę, minutę, w której trzeba operować, uwzględniając warunki atmosferyczne oraz wrażliwość chorego. Aby się tak zestroić z naturą, czy on studiował nieustanną wibrację elementarnych istot i substancji zawartych w atmosferze lub dostarczanych przez ziemię człowiekowi, który je wchłania i przetwarza, aby wydobyć z nich swoje soki? Czy wspomagał się ową potęgą dedukcji i analogii, z której urodził się geniusz Cuviera<sup>13</sup>? Jak bądź się rzeczy miały, człowiek ten stał się spowiednikiem ciała, ogarniał je w przeszłości, wspierając się na teraźniejszości. Ale czy streścił całą wiedzę w swojej osobie, jak uczynił Hipokrat, Galen, Arystoteles? Czy powiódł całą szkołę ku nowym światom? Nie.

O ile nie podobna temu niestrudzonemu obserwatorowi chemii ludzkiej odmówić starożytnej wiedzy magizmu, to znaczy znajomości stapiających się pierwiastków, przyczyn życia, życia przed życiem, tego, czym ono będzie przez swoje tajemne przygotowania – nieszczeniściem wszystko w nim było osobiste. Ponieważ zizolował się w życiu przez egoizm, egoizm zabija dziś jego chwałę. Grobu jego nie uwieńczy dźwięczna statua, powtarzająca przyszłości tajemnice, których geniusz szuka kosztem siebie. Ale może talent Despleina był zrośnięty z jego wierzeniami i tym samym śmiertelny. Dla niego atmosfera ziemska to był worek rodny: widział ziemię niby jajko w jego skorupie, nie mogąc zaś wiedzieć, czy pierwsze było jajko,

---

<sup>13</sup> Georges C u v i e r (1769–1832) – wybitny francuski uczoney, przyrodnik i paleontolog.

czy też kura, nie wierzył ani w koguta, ani w jajko. Nie wierzył ani w zwierzę przed człowiekiem, ani w ducha po nim. Desplein nie wątpił tedy, on twierdził. Jego czysty i szczery ateizm podobny był do ateizmu wielu uczonych, najlepszych ludzi w świecie, ale zabitych ateuszów, ateuszów takich, w jakich istnienie nie chcą wierzyć ludzie religijni. Nie mogło być inaczej u człowieka nawykłego od najmłodszych lat sekcjonować istotę ludzką w każdym sensie, przed, podczas i po życiu, badać wszystkie jej narządy, nie znajdując owej jedynej duszy, tak koniecznej dla religii. Uznawał w człowieku centr mózgowy, centr nerwowy i centr oddychania i krążenia, z których dwa pierwsze tak dobrze zastępują się wzajem, iż Desplein na schyłku życia był przekonany, że słuch nie jest konieczny do słyszenia ani wzrok do widzenia i że zwój słoneczny zastępuje je bez najmniejszej wątpliwości. Znajdując w człowieku dwie dusze, umocnił z tego faktu swój ateizm, mimo że on nie przesądza nic o Bogu. Ten człowiek wytrwał, powiadają, do końca w bezbożności, w jakiej umiera niestety wielu świetnych geniuszów, którym oby Bóg przebaczył!

Życie tego tak wielkiego człowieka kryło wiele małości, aby użyć wyrażenia, jakim posługiwali się jego wrogowie, żądni pomniejszyć jego chwałę. Właściwiej byłoby je nazwać pozornymi niekonsekwencjami. Zawsze nieświadomi pobudek, które władają niepospolitymi ludźmi, zawistni lub naiwni, czepiają się powierzchownych sprzeczności, aby wygotować akt oskarżenia, wedle którego ich natychmiast sądzą. Jeżeli później powodzenie uwieńczy te tak zwalczane idee, ukazując związek między przygotowaniem a wynikiem, zawsze przyłgnie trochę dawnych potwarzy. Tak za naszych czasów potępiali współcześni Napoleona, wówczas gdy rozwijał orle skrzydła nad Anglią; trzeba było roku 1822, aby wytłumaczyć rok 1804.

U Despleina – ponieważ jego sława i wiedza były nie do zaczepienia – wrogowie czepiali się jego dziwactw, jego charakteru, gdy on miał po prostu ową właściwość, którą Anglicy nazywają *excentricity*<sup>14</sup>. To wspaniale ubrany jak tragiczny Crébillon<sup>15</sup>, to zdradzający dziwną obojętność w kwestii stroju; widywano go to w powozie, to pieszo. Na przemian porywczy i dobry, na pozór szorstki i skąpy, ale zdolny ofiarować własne mienie swym wygnanym panom, którzy uczynili mu ten zaszczyt, że przyjęli je na kilka dni – nikt nigdy nie budził sprzeczniejszych sądów. Mimo iż zdolny, dla otrzymania orderu, o który lekarze nie powinni by zabiegać, upuścić na dworze z kieszeni książkę do nabożeństwa, wierzcie mi, iż w duchu drwił sobie ze wszystkiego. Miał głęboką wzdarcie dla ludzi, przyjrzawszy się im z góry i z dołu, przejrzawszy ich w ich prawdziwych pobudkach, w najuroczystszych i najmizerniejszych aktach egzystencji. U wielkiego człowieka przymioty są często solidarne. Jeżeli wśród tych kolosów któryś ma więcej talentu niż inteligencji, i tak inteligencja jego jest jeszcze szersza niż u tego, o którym się mówi po prostu: „To inteligentny człowiek”. Wszelki geniusz wymaga wzroku moralnego. Wzrok ten może się sprowadzać do jakiejś specjalności, ale kto widzi kwiat, musi widzieć i słońce. Ten, który słyszał ocalonego przez siebie dyplomata, gdy pyta: „Jak się ma cesarz”? I odpowiedział: „Dworak się ocknął, ocknie się i człowiek”, ten jest nie tylko chirurgiem i lekarzem, ale jest także i niepospolicie bystrym człowiekiem. Toteż cierpliwy i pilny obserwator ludzkości usprawiedliwi wygórowane pretensje Despleina i uwierzy, jak on sam wierzy o sobie, że umiałby być równie wielkim ministrem, jak był chirurgiem.

Pośród zagadek, jakie w oczach wielu współczesnych następcza życie Despleina, wybraliśmy jedną z najbardziej interesujących, ponieważ klucz do niej znajduje się w końcu opowiadania i pomści go za wiele głupich oskarżeń.

Ze wszystkich uczniów, jakich Desplein miał w swoim szpitalu, najżywiej przywiązał się do Horacego Bianchon. Nim został internem w „Szpitalu Bożym”, Horacy Bianchon był mło-

<sup>14</sup> *Excentricity* (ang.) – ekscentryczność.

<sup>15</sup> Prosper Crébillon (1674–1762) – francuski autor dramatyczny, „tragik” w odróżnieniu od swego syna, też Prospera (1707–1777), autora bardzo swawolnych utworów z życia arystokracji.

dym studentem medycyny, mieszkającym w nędznym pensjonacie w Dzielnicy Łacińskiej, znanym pod nazwą pensjonatu pani Vauquer. Biedny chłopak poznał tam szpony owej dotkliwej nędzy, owego tygla, z którego wielkie talenty wychodzą czyste i nieskalane. Są to niby diamenty, które zniosą każde uderzenie bez rysy. W żywym ogniu rozpętanych namiętności wyrabiają w sobie nieskazitelną uczciwość; ustawiczną pracą, jaką opancerzyli swoje nie zaspokojone pragnienia, zaprawiają się do walk, jakie czekają geniusza. Horacy był to chłopak uczciwy, niezdolny paktować w rzeczach honoru, idący bez frazesów do rzeczy, gotów dla przyjaciela zastawić płaszcz, jak również oddać mu swój czas i bezsenne noce. Słowem, był to jeden z owych przyjaciół, którzy nie troszczą się o to, co otrzymują w zamian za to, co dają, pewni, iż kiedyś z kolei otrzymają więcej, niż będą dawać. Większość przyjaciół miała dlań ów głęboki szacunek, jaki budzi cnota bez popisu; wielu bało się jego sądu. Ale przymioty te Horacy roztrzącał bez pedanterii. Ani purytanin, ani kaznodzieja, kłął z wdziękiem, udzielając rady i nie wylał za kołnierz, skoro się nastęrczyła sposobność. Dobry kompan, niepłochliwszy w hulance od kirasjera, szczery i łatwy (nie jak marynarz, bo marynarz jest dziś szczywanym dyplomata, ale jak dzielny chłopak, który nie potrzebuje nic ukrywać w życiu), szedł z podniesioną głową i śmiejącymi się oczyma. Wreszcie, aby wszystko wyrazić w jednym słowie, Horacy był Pyladem niejednego Oresta, jako iż wierzyciele stanowią dziś najrzeczywistszy obraz starożytnych Furi. Znosił swoją nędzę z ową wesołością, która jest może jednym z głównych czynników tężyny, i, jak wszyscy, którzy nie mają nic, robił niewiele długów. Wstrzemięźliwy jak wielbłąd, rączy jak jeleń, był stały w swoich poglądach i postępowaniu. Szczęście Bianchona zaczęło się w dniu, w którym znakomity chirurg ocenił jego przymioty i wady, jednako czyniące go szacownym dla przyjaciół. Kiedy sam profesor weźmie pod swoje skrzydło młodego chłopca, ów młody ma, jak powiadają, nogę w strzemienu. Desplein nie zapominał nigdy o Bianchonie, gdy chodziło o asystę w bogatych domach, gdzie prawie zawsze jakaś gratyfikacja wpadła w sakiewkę interna i gdzie dziecię prowincji zaznajamiali się nieznacznie z tajemnicami paryskiego życia. Trzymał go u siebie w gabinecie w czasie konsultacji i zatrudniał go; czasami posyłał go z jakim bogatym chorym do wód; słowem, wyrabiał mu praktykę. Rzecz prosta, że po upływie jakiegoś czasu tyran chirurgii zyskał w uczniu wiernego Seida<sup>16</sup>. Ci dwaj ludzie, jeden na szczytach kariery i wiedzy, zażywający olbrzymiego majątku i olbrzymiej sławy, drugi skromny student bez majątku i rozgłosu, stali się przyjaciółmi. Wielki Desplein mówił wszystko swemu internowi; intern wiedział, czy taka a taka kobieta siedła przy mistrzu na krześle, czy też na sławnej kanapie w gabinecie, na której Desplein sypiał; Bianchon znał tajemnice tego temperamentu lwa i byka, który w końcu wydał nadmiernie biust wielkiego człowieka i spowodował jego śmierć z rozstrzeni serca. Zgłębił dziwactwa tego tak czynnego życia; kombinacje jego brudnego skąpstwa, nadzieje polityka utajonego w człowieku nauki; mógł przewidzieć zawody, jakie czekały jedyne uczucie, zagrzebane w sercu nie tyle z brązu, ile powleczonym brązem.

Jednego dnia Bianchon powiedział Despleinowi, że biedny nosiwoda z Dzielnicy Saint-Jacques cierpi straszliwą chorobę, spowodowaną trudami i nędzą; biedny Owerniak nie jadł nic prócz kartofli przez straszliwą zimę r. 1821. Desplein zostawił wszystkich pacjentów. Co koń wyskoczy pomknął wraz z Bianchonem do biedaka i kazał go sam przenieść do lecznicy słynnego doktora Dubois. Odwiedzał tego człowieka, a kiedy go wyleczył, wręczył mu sumę potrzebną na kupno konia i becзки. Owerniak ten odznaczył się jednym oryginalnym rysem. Przyjaciel jego zachorował: prowadzi go co rychlej do Despleina, powiadając do swego dobroczyńcy:

„Nie zniósłbym, aby poszedł do kogo innego”. Mimo iż bardzo opryskliwy, Desplein uściśnął rękę woziwody powiadając: „Sprowadź mi ich wszystkich”. I przyjął nieboraka do „Szpitala Bożego”, gdzie opiekował się nim troskliwie. Bianchon już parę razy zauważył u swego mistrza sympatię do Owerniaków, a zwłaszcza nosiwodów; ale ponieważ Desplein

<sup>16</sup> S e i d – niewolnik Mahometa, potem jeden z jego pierwszych i najgorliwszych wyznawców.

miał pewną ambicję na punkcie swoich kuracji w „Szpitalu Bożym”, uczeń nie widział w tym nic szczególnego.

Pewnego dnia, przechodząc przez plac Saint-Sulpice około dziewiątej rano, Bianchon spostrzegł swego szefa wchodzącego do kościoła. Desplein, który nigdy nie robił kroku bez swego powoziku, był pieszo; wsunął się bramą od ulicy Petit-Lion, tak jakby wchodził do podejrzanego domu. Zdjęty zrozumiałą ciekawością, intern, który znał przekonania swego mistrza i który był dyabelskim cabanistą<sup>17</sup> (dyabelskim przez y, co jest u Rabelais'go wyższym stopniem diabelstwa), wsunął się do kościoła i zdziwił się niepomału, widząc wielkiego Despleina, owego ateusza bez litości dla aniołów niedostępnych jego skalpelowi, nie mogących mieć fistuła ani przepuklin, słowem tego nieustraszonego szydercę, klęczącego pokornie, i to gdzie?... W kaplicy Matki Boskiej. Wysłuchał przed ołtarzem mszy, dał na kościół, dał na biednych, poważny, jak gdyby chodziło o operację.

– Nie przyszedł tu chyba po to, aby wyświecić tajemnicę porodu Najświętszej Panny – mruknął Bianchon, którego zdumienie nie miało granic. – Gdybym go widział w Boże Ciało niosącego baldachim, można by się uśmieć, ale o tej godzinie, sam, bez świadków, nad tym można w istocie podumać!

Bianchon nie chciał, aby się zdawało, że szpieguje naczelnego chirurga „Szpitala Bożego”, więc odszedł. Przypadkiem Desplein zaprosił go tego samego dnia na obiad do restauracji.

Przy deserze Bianchon, zrećnie naprowadziwszy rozmowę, zaczął mówić o mszy, mieniając ją komedią i błazeństwem.

– Błazeństwo, które kosztowało chrześcijan więcej krwi niż wszystkie bitwy Napoleona i wszystkie pijawki kolegi Broussais<sup>18</sup>! Msza to wymysł papieski, który sięga nie dawniej niż VI wieku i który oparto na *Hoc est Corpus*<sup>19</sup>. Ileż strumieni krwi trzeba było wylać, aby ustanowić święto Bożego Ciała, którym kuria rzymska chciała stwierdzić swoje zwycięstwo w sprawie Istotnej Obecności, szyzmy, która przez trzy wieki trawiła Kościół! Wojny hrabiego Tuluzy i albigenski<sup>20</sup> są następstwem tej sprawy. Waldeńcy<sup>21</sup> i albigenski nie chcieli uznać tej innowacji.

Słowem, Desplein rozwinął całą werwę niedowiarka; był to istny potok wolterowskich konceptów lub, aby rzec lepiej, obrzydliwa kopia „Cytatora”<sup>22</sup>

„Tam do licha! – powiedział sobie Bianchon w duchu – gdzież jest mój bigot z dzisiejszego rana?”

Nie rzekł nic, zwątpił, czy to w istocie swego szefa widział w kościele Saint-Sulpice. Desplein nie byłby się trudził kłamać przed Bianchonem; zanadto się dobrze znali; nieraz już w równie ważnych kwestiach wymieniali myśli, dyskutowali systemy *de natura rerum*<sup>23</sup>, zgłębiając je lub sekcjonując nożem i skalpelem niedowiarstwa. Upłynęły trzy miesiące. Bianchon nie doszedł do żadnych wniosków co do tego faktu, mimo że pozostał on wryty w jego pamięci. Któregoś dnia jeden z lekarzy „Szpitala Bożego” ujął Despleina przy Bianchonie pod ramię.

– Co pan robił w kościele Saint-Sulpice, drogi mistrzu? – rzekł.

<sup>17</sup> C a b a n i s t a – tj. zwolennik Pierre-Jean-Georges Cabanisa (1757–1808), lekarza i filozofa-materialisty.

<sup>18</sup> François-Joseph-Victor Broussais (1772–1838) – zrazu lekarz armii napoleońskiej, potem profesor w paryskim Val-de-Grâce, podważył wiele teorii medycyny swoich czasów.

<sup>19</sup> H o c e s t C o r p u s (łac.) – to jest ciało.

<sup>20</sup> A l b i g e n s i – sekta chrześcijańska odrzucająca dogmat o Trójcy św. i zmartwychwstaniu, wytępiona w XIII w. przez zorganizowaną przeciw niej wyprawę krzyżową.

<sup>21</sup> W a l d e ń c y c y (waldensowie) – sekta chrześcijańska założona przez Petrusa Waldusa (Valdez) w Lyonie w r. 1176, głosząca powrót do ubóstwa i prostoty apostoelskiej, uległa prześladowaniom religijnym w początkach w. XIII.

<sup>22</sup> „C y t a t o r” – wydany w r. 1803 pamflet Pigault Lebruna, skierowany przeciw duchowieństwu katolickiemu i zwalczający je za pomocą cytatów z różnych dzieł.

<sup>23</sup> D e n a t u r a r e r u m (łac.) – o istocie rzeczy.

– Byłem u księdza, który ma próchnicę kolana i którego księżna d'Angoulême raczyła mi polecić – odparł Desplein.

Lekarz zadowolił się tym wykrętem, ale Bianchon nie.

„Haha! On teraz ogląda próchnicę kolana w kościele! Był na mszy” – powiedział sobie intern.

Bianchon postanowił sobie śledzić Despleina; przypomniał sobie dzień, godzinę, w której zeszedł go wchodzącego do Saint-Sulpice, i postanowił przyjść na rok następny w tym samym dniu i o tej samej godzinie, aby się przekonać, czy go spotka znowu. W takim razie ta periodyczna dewocja uprawniałaby naukowe zbadanie; nie mogło bowiem być u takiego człowieka jaskrawej sprzeczności między myślą a czynem. Następnego roku, w wiadomym dniu i godzinie, Bianchon, który nie był już internem Despleina, ujrzał powozik chirurga zatrzymujący się na rogu ulicy du Tournon i ulicy Petit-Lion, skąd przyjaciel jego sunął jezucikiem krokiem wzdłuż murów Saint-Sulpice. Wszedł i znowuż wysłuchał mszy przed ołtarzem Najświętszej Panny. Był to Desplein, naczelny chirurg, ateusz *in petto*<sup>24</sup>, bigot z przypadku. Intryga wikłała się. Wytrwałość tego znamienitego uczonego komplikowała wszystko. Kiedy Desplein wyszedł, Bianchon zbliżył się do zakrystiana, który robił porządek w kaplicy, i spytał go, czy ten pan często tu bywa.

– Jestem tu dwadzieścia lat – rzekł zakrystian – i od tego czasu pan Desplein przychodzi cztery razy na rok wysłuchać tej mszy, to on ją ufundował.

– Jego fundacja! – rzekł Bianchon, oddalając się. – To się równa tajemnicy Niepokalanego Poczęcia, rzecz, która sama przez się musi obudzić sceptycyzm lekarza.

Upłynął jakiś czas, a Bianchon, mimo że tak zażyły z Despleinem, nie miał sposobności wspomnieć mu o tej zagadce. Kiedy się spotykali na konsylium albo w salonie, trudno było znaleźć ową chwilę swobody i samotności, kiedy to, siedząc z nogami wyciągniętymi przed kominkiem, z głową wspartą o fotel, dwaj mężczyźni zwierają sobie swoje tajemnice. Wreszcie, w siedem lat później, po rewolucji r. 1830, kiedy lud rzucał się na arcybiskupstwo, kiedy podszepty republikańskie judziły go, aby niszczył złocone krzyże, które jaśniały niby błyskawice nad tym oceanem domów, kiedy niedowiarstwo pod ramię z buntem przewalało się po ulicach, Bianchon znowuż ujrzał Despleina wchodzącego do Saint-Sulpice. Lekarz wszedł i stanął obok niego, przy czym Desplein nie okazał najmniejszego zdziwienia. Obaj wysłuchali ufundowanej mszy.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, drogi mistrzu – rzekł Bianchon, kiedy wyszli z kościoła – jaka jest przyczyna tej twojej dewocji? Trzy razy już zdybałem cię idącego na mszę, ciebie! Musisz mi wyjaśnić tę tajemnicę i wytłumaczyć rażącą sprzeczność między twymi poglądami a twoim postępowaniem. Nie wierzysz w Boga, a chodzisz na mszę. Drogi mistrzu, musisz, powinieneś mi odpowiedzieć.

– Podobny w tym jestem do wielu dewotów, ludzi głęboko religijnych na pozór, a w gruncie takich samych niedowiarków jak ty i ja.

I trysnął z jego ust strumień żarcików na kilka osobistości politycznych, z których najbardziej znana jest, w naszej epoce, nowym wydaniem „Świętoszka” Moliera.

– Nie pytam o to wszystko – rzekł Bianchon – ja chcę wiedzieć, co ty tutaj robisz i po co ufundowałeś tę mszę.

– Dalibóg, drogi przyjacielu, jestem już nad grobem, mogę ci tedy opowiedzieć początki mego życia.

W tej chwili Bianchon i wielki człowiek znajdowali się przy ulicy Quatre-Vents, jednej z najokropniejszych ulic w Paryżu. Desplein ukazał szóste piętro jednego z owych domów podobnych do obelisku, których wąska brama prowadzi na korytarz, kończący się ciemnymi kręconymi schodami. Na parterze tego zielonkawego domu mieszkał handlarz mebli, na każ-

---

<sup>24</sup> *In petto* (wł.) – w sercu, w głębi duszy.

dym zaś piętrze gnieździła się jakaś inna nędza. Podnosząc rękę wymownym gestem, Desplein rzekł do Bianchona:

– Mieszkałem tam dwa lata!

– Wiem o tym, d'Arthez tu mieszkał, bywałem tu za młodu co dzień; nazywaliśmy wówczas ten dom słojem wielkich ludzi. I co dalej?

– Msza, której wysłuchałem, wiąże się z wypadkami, które działy się wówczas, gdy mieszkałem na poddaszu, gdzie, jak mi powiadasz, mieszkał d'Arthez, w tym oknie, w którym buja w tej chwili bielizna na sznurku, nad doniczką z kwiatami. Początki moje były tak ciężkie, drogi Bianchon, że mogę z każdym walczyć o palmę pierwszeństwa mąk paryskich. Zniosłem wszystko: głód, pragnienie, brak pieniędzy, brak ubrania, trzewików i bielizny, wszystko, co nędza ma najdotkliwszego. Chuchałem w zdrętwiałe palce w tym słoju wielkich ludzi, który chciałbym odwiedzić z tobą. Pracowałem przez jedną zimę, widząc, jak mi się kurzy z głowy i oglądając parowanie mego ciała, tak jak się widzi parowanie koni w mroźny dzień. Nie wiem, skąd czerpie się siłę, aby znieść takie życie. Byłem sam, bez pomocy, bez grosza na kupno książek i na opłacenie kursów, bez przyjaciela; charakter mój, porywczy, drażliwy, niespokojny, zrażał do mnie. Nikt nie chciał widzieć w mojej nerwowości cierpienia i pracy człowieka, który z dna społecznego, gdzie się znajduje, miota się, aby się wydobyć na powierzchnię. Ale miałem, mogę ci to powiedzieć, tobie, przed którym nie potrzebuję nic udawać, miałem ten podkład dobrych uczuć i żywej wrażliwości, które zawsze będą przywiłajem ludzi dość silnych, aby się wdrapać na jakikolwiek szczyt, po długim brodzeniu w bajorach nędzy. Nie mogłem nic wydobyć z mojej rodziny ani z moich stron poza chudą pensyjką, którą mi wyznaczono. Słowem, w owej epoce jadłem rano bulkę, którą piekarz z ulicy Petit-Lion sprzedawał mi taniej, bo była wczorajsza albo przedwczorajsza, i drobiłem ją w mleku; tak więc śniadanie kosztowało mnie tylko dwa su. Jadałem obiad tylko raz na dwa dni, w pensjonacie, gdzie obiad kosztował szesnaście su. W ten sposób wydawałem tylko dziewięć su dziennie. Wiesz równie dobrze jak ja, jak musiałem dbać o buty i oszczędzać ubranie! Nie wiem, czy później doznajemy tyle zgryzoty przekonując się o zdradzie kolegi i przyjaciela, co kiedy ujrzymy ironiczny grymas buta, który się pruje, lub usłyszemy pęknięcie szwu u surduta. Piłem tylko wodę, miałem zabobonna cześć dla kawiarni. Zoppi wydawał mi się Ziemią Obiecaną, gdzie jedynie Lukullusy Dzielnicy Łacińskiej mają prawo wstępu. „Czy będę mógł kiedy – powiadałem sobie czasem – wypić tam filiżankę kawy ze śmietanką, zagrać partyjkę domina?”

Na razie przelewałem w naukę całą wściekłość, jaką budziła we mnie moja nędza. Starałem się nagromadzić wiadomości, pomnożyć moją wartość osobistą, aby zasłużyć na miejsce, które spodziewałem się zdobyć w dniu, w którym wyjdę z mojej nicości. Zużywałem więcej oliwy niż chleba; światło, które świeciłem w te zaciekle noce, kosztowało mnie więcej niż moje utrzymanie. Ten pojedynek był długi, uparty, bez żadnej osłody. Nie budziłem sympatii dokoła siebie. Aby mieć przyjaciół, czyż nie trzeba żyć z rówieśnikami, mieć parę groszy, aby z nimi popić, chodzić wszędzie, gdzie chodzą studenci! Nie miałem nic! A nikt w Paryżu nie wyobraża sobie, że nic to jest nic. Kiedy chodziło o to, aby odłonić moją nędzę, czułem w gardle ów nerwowy skurcz, który daje chorym wrażenie kuli wstępującej im z przetyku do gardła. Później spotykałem owych ludzi bogatych od urodzenia, którzy, nigdy nie zaznawszy braku, nie znają problemu tej reguły trzech: młody człowiek ma się do zbrodni tak, jak pięciofrankówka ma się do X. Ci pozłacani głupcy mówią mi: „Czemużeś robił długi? Czemuś zaciągał te uciążliwe zobowiązania?” Przypominają mi ową księżniczkę, która słysząc, że lud nie ma chleba, mówiła: „Czemuż nie kupią sobie biszkoptów?” Chciałbym widzieć jednego z owych bogaczy, którzy się skarżą, że biorę zbyt drogo za operację, chciałbym ich widzieć bez grosza, samych w Paryżu, bez przyjaciela, bez kredytu, zmuszonych pracować dziesięcioma palcami, aby żyć! Co by robili? Gdzieby poszli nasycić swój głód? Bianchon, jeżeli mnie kiedy widziałeś gorzkim i twardym, sumowałem wówczas moje pierwsze cierpienia z bezlitos-

nym egoizmem, którego miałem tysiące dowodów w wyższych sferach, lub też myślałem o przeszkodach, jakie nienawiść, zawiść, zazdrość wzniosły między triumfem a mną. W Paryżu, kiedy pewni ludzie widzą, że jesteś bliski włożyć nogę w strzemień, jedni ciągną cię za poję, inni przecinają rzemień, iżbyś rozbił sobie łeb padając, jeden rozkuwa ci konia, drugi kradnie ci szpicróżgę; najmniejszy zdrajca to jeszcze ten, który podchodzi wprost, aby wygarnąć do ciebie z pistoletu. Masz dość talentu, drogi chłopcze, aby poznać niebawem straszliwą nieustanną bitwę, jaką miernota wydaje niepospolitemu człowiekowi. Jeżeli przegrasz jednego wieczora dwadzieścia pięć ludwików, jutro okrzyczą cię, że jesteś graczem, i najlepsi przyjaciele ogłoszą, żeś przegrał w wilię dwadzieścia pięć tysięcy franków. Niech cię głowa boli, będziesz uchodził za wariata. Uniesiesz się, powiedzą, że nie potrafisz żyć z ludźmi. Jeżeli, aby się oprzeć temu batalionowi karłów, zbierzesz w sobie wszystkie siły, przyjaciele powiedzą, że chcesz wszystko pożreć, że masz pretensję panować, tyranizować. Słowem, przymioty twoje zmieniają się w wady, każda wada stanie się występkiem, a cnota zbrodnią. Jeżeli ocaliłeś kogo, powiedzą, żeś go zabił; jeśli chory wyjdzie, orzekną, żeś dla terażniejszości poświęcił jego przyszłość; jeżeli nie umarł, umrze. Zachwiej się, padniesz! Wynaleź cokolwiek, upominaj się o swoje prawa, staniesz się karierowiczem, filutem, który nie chce dopuścić młodych. Tak, mój drogi, o ile nie wierzę w Boga, jeszcze mniej wierzę w człowieka. Czy nie znasz Despleina zupełnie innego niż ten Desplein, na którego każdy wymyśla? Ale nie poruszajmy tego błota. Zatem, mieszkałem w tym domu; pracowałem, aby przebyć pierwszy egzamin, a nie miałem szeląga. Rozumiesz? Doszedłem do tej ostateczności, w której człowiek powiada sobie: „Zaciągnę się do wojska!” Miałem nadzieję. Oczekiwałem z domu skrzynki z bielizną, podarku starej ciotki, jednej z owych ciotek, które, nie mając pojęcia o Paryżu, myślą o twoich koszulach, wyobrażając sobie, że z trzydziestoma frankami na miesiąc siostrzeniec jada bażanty. Skrzynka przybyła, gdy byłem na wykładzie; porto wynosiło czterdzieści franków; odźwierny, szewc Niemiec mieszkający w suterenie, zapłacił porto i zatrzymał skrzynkę. Przechadzałem się po ulicy des Fossés-Saint-Germain-des-Prés i po ulicy de L'Ecole-de-Médecine, nie mogąc wynaleźć podstępu, aby odzyskać moją skrzynkę bez wydatku czterdziestu franków, które bym oczywiście zwrócił sprzedawszy bieliznę. Mój brak sprytu wskazał mi, że mym jedynym powołaniem jest chirurgia. Tak, mój chłopcze, subtelnym duszom, których siła objawia się w wyższej sferze, brak jest owego zmysłu intrygi, owego sprytu obfitującego w sztuczki, w kombinacje; ich geniusz to traf, one nie szukają, one znajdują. Wreszcie wróciłem w nocy, w chwili gdy wracał również mój sąsiad, nosiwoda nazwiskiem Bourgeat, wieśniak z Saint-Flour. Znaliśmy się tak, jak się znają dwaj lokatorzy mieszkający w kłitkach na tym samym piętrze; słyszą się wzajem, jak śpią, kaszlą, ubierają się, aż w końcu przywykną do siebie. Mój sąsiad oznajmił mi, że gospodarz, któremu byłem winien za kwartał, wyrzucił mnie: trzeba mi się wynosić jutro. Jego również wygnano z przyczyny jego rzemiosła.

Spędziłem najboleśniejszą noc w życiu. „Skąd wziąć posłańca, aby zabrał moje biedne sprzęty, moje książki, jak zapłacić tego posłańca i odźwiernego, do kogo się udać?” Te beznadziejne pytania powtarzałem we łzach, tak jak wariaci powtarzają swoje piosenki. Usnąłem. Nędza ma swój boski sen, pełen cudnych marzeń. Nazajutrz rano, w chwili gdy miałem się do mojej miseczki chleba moczzonego w mleku, wszedł Bourgeat i rzekł z kiepska po francusku:

– Panie studencie, ja jestem biedny człowiek, podrzutek ze szpitala w Saint-Flour, bez ojca i matki, za biedny, aby się ożenić. Pan też, jak widzę, nie masz za wiele rodziny ani też tego, co potrzeba. Słuchaj pan, mam na dole ręczny wózek, który wynająłem pięć groszy godzina; nasze wszystkie rzeczy zmieszczą się tam; jeżeli pan zechce, poszukamy pomieszczenia razem, skoro nas stąd wygnano. Ostatecznie, nie było nam tu jak w raj.

– Wiem dobrze, mój zacny Bourgeat – odparłem. – Ale jestem w wielkim kłopotcie. Mam na dole skrzynkę zawierającą za trzysta franków bielizny, mógłbym tym spłacić to, com winien gospodarzowi i odźwiernemu, a nie mam ani talara.

– Ba, ja mam parę groszy – odparł wesoło Bourgeat pokazując mi starą zatłuszczoną portmonetkę. – Niech pan zachowa swoją bieliznę.

Bourgeat zapłacił mój kwartał komornego, swoje komorne, pokrył za mnie odźwiernego. Następnie złożył nasze sprzęty, moją bieliznę na wózek i ciągnął go zatrzymując się przed każdym domem, gdzie widniała karta. Ja wchodziłem, aby zobaczyć, czy mieszkanie się nam nada. O południu błądziliśmy jeszcze w okolicy, nie znalazłszy nic. Cena była wielką przeszkodą. Bourgeat zaproponował mi śniadanie w traktierni, u której progu zostawił wózek. Pod wieczór odkryłem w dziedzińcu Rohan, w pasażu Handlowym, na samym szczycie poddasza, dwa pokoje przedzielone schodami. Na każdego z nas wypadło sześćdziesiąt franków komornego rocznie. I oto mieliśmy dach nad głową z moim skromnym przyjacielem. Zjedliśmy obiad razem. Bourgeat, który zarabiał około półtrzecia franka dziennie, miał blisko sto talarów; niedługo miał ziścić swoje marzenie, kupując konia i beczkę. Dowiedziawszy się o moim położeniu (wyciągnął bowiem ze mnie moje sekrety z ową dobroduszną chytryością, na której wspomnienie do dziś ściska mi się serce), wyrzekł się na jakiś czas ambicji swego życia: uprawiał swoje rzemiosło dwadzieścia dwa lata, poświęcił swoich sto talarów dla mojej przyszłości.

Tu Desplein ścisnął silnie za ramię Bianchona.

– Dał mi pieniądze na egzaminy! Ten człowiek, mój przyjacielu, zrozumiał, że ja mam mijsię, że potrzeby mojej inteligencji większe są od jego potrzeb. Zajął się mną, nazywał mnie swoim małym, pożyczal mi na książki, opiekował się mną jak matka. Skąpe i liche pożywienie, na jakie byłem skazany, zastąpił zdrowym i obfitym pokarmem. Bourgeat, mężczyzna blisko czterdziestoletni, miał fizjonomię średniowiecznego mieszczanina, wydatne czoło, głowę, którą malarz mógłby wziąć za model głowy Likurga. Biedny człowiek miał serce wezbrane od nie zużytego przywiązania; kochał dotąd w życiu jedynie psa, zdechłego od dawna, o którym mówił mi zawsze, pytając, czy sądzę, że Kościół pozwoli odprawiać msze za jego duszę. Pies jego był (opowiadał) prawdziwym chrześcijaninem, który przez dwanaście lat towarzyszył mu zawsze do kościoła; ani nie szczeknął, słuchając organów; nie otwierał pyska i siedział w kucki przy nim, z miną pozwalającą mniemać, że się modli.

Ten człowiek przelał na mnie wszystkie swoje przywiązania: przygarnął mnie jak istotę samotną i cierpiącą, stał się dla mnie najtkliwszą matką, najdelikatniejszym dobroczyńcą, słowem, ideałem owej cnoty, która się kocha w swoim dziele. Kiedy go spotkałem na ulicy, rzucał mi spojrzenie nabrzmiałe niewymowną szlachetnością; udawał wówczas, że idzie tak, jakby nie niósł nic, widocznie był szczęśliwy, że mnie widzi w dobrym zdrowiu, dobrze ubranym. Słowem, było to oddanie ludu, miłość gryzетки przeniesiona w wyższą sferę uczuć. Bourgeat załatwiał moje sprawunki, budził mnie w nocy o wskazanej godzinie, czyścił moją lampę, froterował się, równie dobry służący jak dobry ojciec, a schludny jak Angielka. Zajmował się gospodarstwem. Jak Filopemen<sup>25</sup>, rznął drzewo, wszystkie swoje czynności załatwiał z prostotą, z godnością, jak gdyby rozumiał, że cel uszlachetnia wszystko. Kiedy rozstałem się z tym zacnym człowiekiem, aby wstąpić jako intern do „Szpitala Bożego”, uczuł tępy ból na myśl, że nie może dzielić mego życia; ale pocieszył się nadzieją zebrania pieniędzy potrzebnych na koszt doktoratu. Kazał mi przyrzec, że go będę odwiedzał w wolne dni. Bourgeat był dumny ze mnie, kochał mnie dla mnie i dla siebie. Gdybyś odszukał moją tezę, zobaczyłbyś, że jemu jest poświęcona. W ostatnim roku internatu zarobiłem dość pieniędzy, aby oddać wszystko, com był winien temu zacnemu wieśniakowi, kupując mu konia i beczkę. Wpadł w straszny gniew dowiadując się, że się wyprułem z pieniędzy; a zarazem był zachwy-

<sup>25</sup> F i l o p e m e n (Filopoimen, 253–189 p.n.e.) – wódz grecki, zwany „ostatnim z Hellenów”, wzór prostoty, prawości i patriotyzmu.



cony, że się jego marzenia ziściły. Śmiał się i lajał mnie, patrzył na swego konia, na beczkę i ocierał łzy mówiąc:

– To bardzo niepięknie! Ha! jaka ładna beczka! Źle pan uczynił! Ale koń silny jak czterdzieści chłopów!

Nie widziałem nic bardziej wzruszającego niż ta scena. Bourgeat uparł się koniecznie kupić mi to wykładane srebrem etui, które widziałeś w moim gabinecie i które jest dla mnie najdroższą pamiątką. Mimo że pierwsze moje sukcesy upoiły go, nigdy nie wymknęło mu się najłżejsze słowo, najłżejszy gest, który by mówił: „To ja stworzyłem tego człowieka”. A przecie bez niego nędza byłaby mnie zabiła. Biedny człowiek zamęczał się dla mnie: jadał tylko chleb z odrobiną czosnku, abym ja mógł mieć kawę na moje bezsenne noce. Zachorował. Spędzałem, jak możesz sobie wyobrazić, noce przy jego łóżku, uratowałem go za pierwszym razem, ale w dwa lata potem przyszła recydywa i mimo najusilniejszych starań, mimo wszelkich wysiłków wiedzy choroba pożarła go. Nigdy żadnego króla nie pielęgnowano tak jak tego człowieka. Tak, Bianchon, aby wydrzeć to życie śmierci, ważyłem się na rzeczy niesłychane. Chciałem go utrzymać dość długo, aby mógł być świadkiem swego dzieła, aby się ziściły wszystkie jego marzenia, abym mógł dopełnić jedynej wdzięczności, jaka wypełniała mi serce, zagasić ogień, który do dziś jeszcze mnie pali!

Bourgeat – dodał po pauzie Desplein, widocznie wzruszony – umarł na moich rękach, zostawiając mi wszystko, co posiadał, testamentem sporządzonym u publicznego pisarza i datowanym z roku, w którym zamieszkaliśmy razem. Ten człowiek był ślepo wierzący. Kochał Najświętszą Pannę tak, jakby kochał swoją żonę. Sam żarliwy katolik, nigdy nie pozwolił sobie ani słowa wyrzutu za moje niedowiarstwo. Kiedy znalazł się w niebezpieczeństwie, prosił mnie, bym nie oszczędzał niczego, aby mu zapewnić pomoc Kościoła. Kazałem co dzień odprawiać mszę za niego. Często w nocy spowiadał mi się z obaw o swoją przyszłość, bał się, że nie żył dość cnotliwie. Kochany człowiek pracował od rana do wieczora. Dla kogoż byłby raj, gdyby był raj? Przysposobił się na śmierć jak istny święty i śmierć jego była godna życia. Ja jeden szedłem za jego trumną. Kiedy złożyłem w ziemi mego jedyne go dobroczyńcę, starałem się wypłacić wobec niego; spostrzegłem, że nie miał ani rodziny, ani przyjaciół, ani żony, ani dzieci. Ale wierzył, miał przekonania religijne; czyż miałem prawo dyskutować nad nimi? Wspomniał mi nieśmiało o mszach, jakie odprawia się za umarłych; nie chciał nakładać mi tego obowiązku, sądząc, że to by znaczyło kazać sobie płacić za swoje usługi. Skoro tylko mogłem ponieść kosztą fundacji, złożyłem w kościele Saint-Sulpice potrzebną sumę, aby tam odprawiano cztery msze na rok. Ponieważ jedyną rzeczą, jaką mogę ofiarować Bourgeatowi, jest zadowolenie jego pobożnych pragnień, przeto w dniu, w którym odprawia się ta msza, z początkiem każdej pory roku, powiadam z całą uczciwością sceptyka:

„Mój Boże, jeśli istnieje sfera, w której mieścisz po śmierci tych, co byli doskonali, pomyśl o biednym Bourgeat; a jeżeli jest coś, co trzeba zań wycierpieć, ześlij na mnie te cierpienia, iżby mógł wejść szybciej do tego, co się nazywa rajem”.

Oto, mój drogi, na co człowiek z moimi przekonaniem może sobie pozwolić. Bóg musi być dobry chłop, nie weźmie mi tego za złe. Przysięgam ci, dałbym cały majątek za to, aby wiara Bourgeata mogła mi wleźć do głowy.

Bianchon, który pielęgnował Despleina w ostatniej chorobie, nie śmie dziś twierdzić, czy znakomity chirurg umarł ateuszem. Ludzie wierzący radzi będą pomyśleć, że skromny wozioda przyszedł mu otworzyć bramę niebios, jak mu niegdyś otworzył ziemską bramę frontonu, gdzie napisano: „Wielkim ludziom – wdzięczna ojczyzna”.

Paryż, styczeń 1836

# KURATELA

---

*Przełożył*  
TADUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*KONTRADMIRAŁOWI BAZOCHE  
GUBERNATOROWI WYSPY BURBOŃSKIEJ  
WDZIĘCZNY AUTOR  
DE BALZAC*

## OD TŁUMACZA

Drobniejsze opowiadania Balzaka są dla wiernych czytelników „Komedii ludzkiej” bardzo cenne. Tworzą one niby wiązania między członami tego olbrzymiego cyklu. Niejedna postać, naznaczona epizodycznie w którejś z wielkich powieści, zyskuje w mniejszym utworze swoją monografię, np. ów sędzia Popinot, tak dobrze znany czytelnikom „Cezara Birotteau”, a którego odnajdą w „Kurateli”. Figury Balzaka żyją tak pełnym życiem, że wydają się nam niemal rzeczywiste, toteż wszystko, co przynosi nowe oświetlenie ich postępów i pobudek, chłoniemy tak, jakbyśmy się dowiedzieli rewelacyjnej tajemnicy o bliskich znajomych. I tak bohaterka pierwszego z tych opowiadań, pani d'Espard, występuje w wielu powieściach Balzaka, zawsze na dalszym planie. Znamy tę wielką damę, zręczną, zimną, wyrachowaną, złą, lawirującą w paryskim świecie i dokazującą cudów ekwilibrystyki, aby w dość trudnym położeniu utrzymać swoje stanowisko. Słyszeliśmy nieraz o jakiejś kompromitującej historii w jej życiu, o jakimś procesie z mężem, który skończył się jej zawstydzeniem, ale nie znaleźliśmy bliżej szczegółów sprawy. Tutaj dowiadujemy się wszystkiego, poznajemy niezaszczytne sekrety tej świetnej egzystencji.

Zarazem w takich pomniejszych opowiadaniach znajdujemy nieraz cenny komentarz do idei Balzaka. Oryginalna figura margrabiego d'Espard jest ilustracją jego socjalnych poglądów. Widzimy, że jeżeli Balzac, ten pisarz tak a n t y d e m o k r a t y c z n y w swoich doktrynach, rad by oprzeć ustrój społeczny na przywileju wybranych, stawia bądź co bądź tym uprzywilejowanym wysokie żądania moralne. I to spotkanie się dwóch nieskazitelnych ludzi, plebejusza i arystokraty, wielkiego pana i sędziego, ma swoją wymowę.

„Kuratela” jest jednym z nielicznych opowiadań Balzaka, gdzie zaci ni ludzie są w większości. Zazwyczaj w jego powieściach więcej jest cieni niż światła; przewaga jest po stronie łajdaków. Można też powiedzieć, że ciemne figury u Balzaka mają nieskończenie więcej plastyki, wżerają się w pamięć, gdy jego postacie dodatnie – nieraz przeschłachetnione – zanadto trącą abstrakcją. Ale to jest dość powszechny los pisarzy. Zauważono, że sam Dante, niezrównany malarz piekła, załamał się na niebie...

Mimo to Balzac bardzo był czuły na zarzuty, jakie mu robiono, że umie malować tylko zepsucie i zbrodnię. Mamy ciekawy dokument w tej mierze, mianowicie przedmowę jego do drugiego wydania „Ojca Goriot”. Balzac rozprawia się tam ironicznie z pretensjami do niego, że przeczernia kobiety, że nie dość oddaje hołdu cnocie. Drwi z obłudy oburzającej się, gdy powieściopisarz maluje to, co widzi dokoła. Ale Balzac nie poprzestaje na tym: podejmuje w

owej przedmowie dość zabawny arytmetyczny dowód, że „cnota” – nawet ilościowo – przeważa u niego występki.

Otóż kryteria, jakie przyjmuje dla określenia cnoty, są bardzo charakterystyczne. Nieraz w ostatnich czasach – w dobie dzisiejszego rewizjonizmu obyczajowego – czyniono uwagę, jak bardzo, pod wpływem antyfizycznej koncepcji życia, wyrodziło się znaczenie cnoty. Szczególnie w zastosowaniu do kobiety cnota, moralność stały się wręcz synonimem wstrzemięźliwości płciowej. Kobieta może być zbiorem wszystkich przywar i grzechów; jeżeli uparcie odmawia swego ciała lub też nie ma sposobności go używać, jest cnotliwa. Balzac w swojej argumentacji potwierdza ten przesąd. Robi kreskę przez całą stronicę, po czym po jednej stronie wylicza typy kobiet cnotliwych, po drugiej kobiet występnych. Do cnotliwych zalicza i hrabinę Fedorę z „Jaszczura”, i ową panią Chabert, która tak nikczemnie postąpiła z pierwszym mężem, i nawet „mamę Vauquer”, właścicielkę pensjonatu z „Ojca Goriot”, która cuchnie wszelką zbrodnią! Przy tej jednak Balzac uważał za potrzebne zrobić ten paradny odsyłacz: „Ta jest wątpliwa”...

Warszawa, październik 1931

W r. 1828, około pierwszej w nocy, dwie osoby wychodziły z pałacu położonego przy ulicy du Faubourg-Saint-Honoré, niedaleko Elizeum: jedną z nich był sławny lekarz Horacy Bianchon, drugą jeden z najmodniejszych elegantów paryskich, baron de Rastignac, dwaj starzy przyjaciele. Obaj odesłali powozy, nie było zaś w okolicy żadnej dorożki; ale noc była ładna, a bruk suchy.

– Chodźmy pieszo aż do bulwarów – rzekł Eugeniusz de Rastignac do Bianchona – weźmiesz powóz pod klubem, stoją tam do rana. Odwieszysz mnie.

– Doskonale.

– No i cóż, mój drogi, co powiadasz?

– O tej kobiecie? – odparł zimno doktor.

– Poznaję mego Bianchona – wykrzyknął Rastignac.

– No, co takiego?

– Ależ ty mówisz, mój drogi, o margrabinie d'Espard jak o chorej ze swojego szpitala.

– Chcesz wiedzieć, co ja myślę, Geniu? Jeśli porzucisz panią de Nucingen dla tej margrabinie, zamienisz konia z jednym okiem na ślepego.

– Pani de Nucingen ma trzydzieści sześć lat, mój drogi.

– A ta ma trzydzieści trzy – odparł żywo doktor.

– Jej najzaciętsze nieprzyjaciółki dają jej dwadzieścia sześć.

– Mój kochany, kiedy zależy ci na tym, aby wiedzieć, ile kobieta ma lat, patrz na skronie i na koniec nosa. Co bądź by wyprawiały kobiety z kosmetykami, nie zdołają przekupić tych nieubłaganych świadków ich wzruszeń. Kiedy skronie stają się miękkie, prążkowane, przywędle w pewien charakterystyczny sposób, kiedy na końcu nosa znajdują się owe drobne punkciki, podobne do niedostrzegalnych, czarnych pyłków sypiących się w Londynie z kominów, w których pali się węglem – sługa uniżony, dama przekroczyła trzydziestkę. Będzie piękna, będzie dowcipna, będzie wszystko, co zechcesz, ale minęła trzydziestkę, wkracza w okres dojrzałości. Nie ganię tych, którzy się przywiązują do kobiet w tej fazie; ale człowiek tak niepospolity jak ty nie powinien brać lutowej renety za świeże jabłuszko, które uśmiecha się z gałęzi i zaprasza, aby je ukąsić. Miłość nie radzi się metryki; nikt nie kocha kobiety dlatego, że ma tyle a tyle lat, że jest ładna lub brzydka, głupia lub sprytna; kocha się, bo się kocha.

– Otóż ja się kocham dla innych przyczyn. Jest margrabiną d'Espard, jest z domu Blamont-Chauvry, jest modna, ma duszę, ma nóżkę niebrzydszą od księżnej de Berry, ma może sto tysięcy franków renty i wreszcie, może się z nią kiedyś ożenić! Słowem, stworzy mi pozycję, w której zdołam może spłacić swoje długi.

– Myślałem, że jesteś bogaty – wtrącił Bianchon.

– Ba! mam dwadzieścia tysięcy franków renty, właśnie tyle, ile trzeba na utrzymanie stajni. Wykiwali mnie, mój drogi, w aferze Nucingena, opowiem ci to kiedyś. Wydałem za mąż siostry, oto najczystszy zysk z tego, co zarobiłem od czasu, jakeśmy się widzieli ostatni raz; wolę wiedzieć, że one mają zapewniony los, niż mieć sto tysięcy franków renty. A teraz cóż chcesz, abym poczał? Mam ambicję. Dokąd mnie może zaprowadzić pani de Nucingen? Jeszcze rok, a będę zaprotokołowany, zadomowiony jak człowiek żonaty. Mam wszystkie przykrości małżeństwa i wszystkie niewygody kawalerstwa bez korzyści jednego i drugiego; położenie fałszywe, do którego dochodzą ci, którzy się za długo trzymają jednej spódnicy.

– Et, i wydaje ci się, że tutaj znalazłeś rajskiego ptaka – rzekł Bianchon. – Twoja margrabina, mój drogi, zupełnie mi się nie podoba.

– Twoje liberalne przekonania macą ci wzrok. Gdyby pani d'Espard była panią Roubourdin...

– Słuchaj, mój drogi: czyby była szlachcianką, czy mieszczką, zawsze byłaby bez duszy, zawsze byłaby najdoskonalszym typem egoizmu. Wierz mi, lekarze przywykli sądzić sprawy i ludzi; najzdolniejsi z nas spowiadają duszę spowiadając ciało. Mimo tego ładnego buduaru, w którym spędziliśmy wieczór, mimo zbytku tego pałacu, możebne jest, że pani margrabina siedzi w długach.

– Z czego wnosisz?

– Nie twierdzę, przypuszczam. Mówiła o swojej duszy tak, jak nieboszczyk Ludwik XVIII mówił o swoim sercu. Słuchaj mnie! Ta kobieta wątła, biała, jasnowłosa, która się skarży, aby jej żałować, posiada zdrowie żelazne, wilczy apetyt, siłę i podłość tygrysa. Nigdy gaza, jedwab i muślin zręczniejsze nie drapowały kłamstwa! *Ecco*<sup>26</sup>.

– Przerażasz mnie, Bianchon! Zatem nauczyłeś się tak wiele od czasu naszego mieszkania u mamy Vauquer?

– Tak, od tego czasu, mój drogi, widziałem, och, ileż widziałem marionetek, lalek i pajaców! Znam trochę obyczaj tych pięknych pań, których pielęgnujemy ciało i to, co mają najdroższego, ich dziecko (o ile je kochają) lub ich twarz, którą ubóstwiają zawsze. Spędzasz noce przy ich łóżku, zadajesz sobie nieskończone trudy, aby im oszczędzić najmniejszej szkazy, mniejsza o to gdzie; udało ci się to, dochowujesz im tajemnicy jak grób, proszą cię o rachunek i znajdują, że to straszliwie drogo. Kto je ocalił? Natura! Zamiast cię popierać obmawiają cię, bojąc się, abyś nie został lekarzem której z ich przyjaciółek. Mój drogi, te kobiety, o których wy mówicie: „To anioł!” – ja je widziałem rozebrane z minek, pod którymi kryją swą duszę, jak i ze szmatek, pod którymi skrywają swoje niedostatki; bez manier i bez sznurówki – nie są piękne. Zaczęliśmy od tego, żeśmy widzieli wiele żwiru, wiele paskudztw pod falą światła, kiedyśmy osiedli na skale u mamy Vauquer; to, cośmy tam widzieli, to jeszcze nic! Od czasu jak bywam w wielkim świecie, spotkałem potworności odziane atłasem, panny Michonneau w białych rękawiczkach, Poiretów w orderach, wielkich panów uprawiających lichwę lepiej od starego Gobsecka! Na hańbę ludzi, kiedy chciałem ucisnąć rękę Cnocie, znalazłem ją drżącą z zimna na poddaszu, ściganą potwarzami, żyjącą z półtora tysiąca franków rocznie i uchodzącą za wariatkę, za dziwaczkę lub za idiotkę. Słowem, mój drogi, margrabina jest kobietą modną, a ja właśnie brzydzę się tym rodzajem kobiet. Chcesz wiedzieć, czemu? Kobieta, która ma duszę podniosłą, szlachetny smak, łagodny charakter, bogate serce, która prowadzi życie skromne, nie ma żadnych widoków zostania kobietą modną. A konkluzja? Sam ją wyciągnij! Kobieta modna i mężczyzna przy władzy to dwie analogie, ale z tą różnicą, że przymioty, które wynoszą mężczyznę nad innych, podnoszą go i są jego chlubą, gdy przymioty, którymi kobieta dochodzi do swego jednodniowego panowania, to są okropne przywary. Wynaturza się, aby ukryć swój charakter; aby wieść bojowe życie świata, musi mieć żelazne zdrowie pod wątłymi pozorami. Jako lekarz wiem, że dobry żołądek wyklucza dobre serce. Twoja modna kobieta nie czuje nic, szal uciech ma swoje źródło w potrzebie

---

<sup>26</sup> Ecco (wł.) – oto.

rozgrzania jej zimnej natury; chce wzruszeń i użycia jak starzec wysiadujący przed rampą Opery. Ponieważ ma więcej głowy niż serca, poświęca dla swego triumfu prawdziwe uczucia i przyjaciół, jak generał posyła w ogień swoich najwierniejszych oficerów, aby wygrać bitwę. Kobieta modna nie jest już kobietą; nie jest ani matką, ani żoną, ani kochanką; to jest pleć w mózgu, mówiąc po lekarsku. Toteż twoja margrabina ma wszystkie cechy potworności, ma dziób drapieżnego ptaka, oko Jasne i zimne, głos słodki; jest gładka jak stal w trybach maszyny, porusza wszystko z wyjątkiem serca.

– Jest coś prawdy w tym, co mówisz, Bianchon.

– Coś prawdy! – odrzekł Bianchon. – Sama prawda! Czy ty myślisz, że ja nie odczułem impertynenckiej grzeczności, z jaką dała mi odczuć idealny dystans, jaki tworzy między nami urodzenie? Że nie patrzałem z politowaniem na jej kocią przymilność, mającą wyraźnie jakiś cel? Za rok nie napisałaby ani słówka, aby mi oddać najlżejszą przysługę, a dziś wieczór przekarmiła mnie uśmiechami, myśląc, że ja mogę wpłynąć na wuja mego Popinot, od którego zależy wygrana jej procesu...

– Mój drogi, czy wolałbyś, żeby ci nagadała głupstw? Godzę się z twoją filipiką przeciw „modnym kobietom”; ale nie trafiasz w sedno kwestii. Wolałbym zawsze za żonę margrabinę d'Espard od najczystszej, najcichszej, najbardziej kochającej istoty w świecie. Żenić się z aniołem! Ależ trzeba by zagrzebać się ze swoim szczęściem gdzieś na zapadłej wsi! Żona człowieka politycznego to maszyna do rządzenia, automat z komplementami, ukłonami; jest pierwszym, najwierniejszym instrumentem, jakim posługuje się człowiek ambitny; słowem, to przyjaciel, który może się skompromitować bez niebezpieczeństwa i którego można się wyprzeć bez konsekwencji. Wyobraź sobie Mahometa w Paryżu, w dziewiętnastym wieku! Żoną jego byłaby jakaś Rohan, sprytna i przymilna jak ambasadorowa, przebiegła jak Figaro. Twoja kochająca kobieta nie prowadzi do niczego, kobieta światowa prowadzi do wszystkiego; jest niby diament, którym mężczyzna kraje wszystkie szyby, kiedy nie ma złotego klucza, którym otwiera się wszystkie drzwi. Zostawmy mieszcuchom cnoty mieszczańskie, ludziom ambitnym przywary ambicji. Zresztą, mój drogi, czy sądzisz, że miłość jakiejś księżnej de Langeais czy de Maufrigneuse, jakiejś lady Dudley nie daje olbrzymich rozkoszy? Gdybyś wiedział, ile ceny zimne i surowe wzięcie tych kobiet przydaje najmniejszemu dowodowi uczuć! Co za radość widzieć pierwiosnek kielkujący spod śniegu! Uśmiech rzucony spod wachlarza zadaje kłam udanej surowości i wart jest wszystkich niepohamowanych wylewów twoich mieszczek o hipotetycznej zdolności poświęceń; bo w miłości poświęcenie bliskie jest wyrachowania. Przy tym kobieta modna z domu Blamont-Chauvry ma też swoje atuty! Jej atuty to majątek, wpływy, blask, wzgarda dla wszystkiego, co jest poniżej niej...

– Dziękuję – rzekł Bianchon.

– Stary mieszcuchu! – odparł, śmiejąc się Rastignac. – No, nie bądź pospolity, rób jak twój przyjaciel Desplein: zostań baronem, bądź kawalerem orderu Św. Michała, zostań parem Francji i wydaj swoje córki za książąt.

– Wolałbym, żeby pięćkroć sto tysięcy diabłów...

– Ech, ech, jesteś wielki tylko w medycynie; doprawdy przykrość mi sprawiasz.

– Nienawidzę tego rodzaju ludzi; pragnąłbym rewolucji, która by nas od nich uwolniła na zawsze.

– Zatem, drogi Robespierre z lancetem, nie pójdziesz jutro do wuja Popinot?

– Owszem – rzekł Bianchon – kiedy chodzi o ciebie, poszedłbym z wiadrem po wodę do piekła...

– Drogi przyjacielu, rozczulasz mnie; przysiągłem, że margrabia dostanie się pod kuratelę! Patrz, jeszcze znajduję w oku jakąś starą łzę, aby ci podziękować.

– Ale – ciągnął Horacy – nie przyrzekam ci, że coś wskóram u Jana Juliusza Popinot. Ty go nie znasz! Przyprowadzę go pojutrze do twojej margrabiny, niech go omota, jeśli zdoła. Wątpię. Wszystkie trufle, wszystkie księżne, wszystkie pulardy i wszystkie gilotyny mogłyby

się tam znaleźć w całej krasie swoich pokus; król mógłby mu przyrzec parostwo, Pan Bóg mógłby mu ofiarować inwestyturę raju i dochody czyścica; żadna z tych potęg nie uzyskalaby od niego, aby przeniósł bodaj ździebełko z jednej szali na drugą. On jest sędzią, tak jak śmierć jest śmiercią.

Dwaj przyjaciele przybyli pod ministerium spraw zagranicznych na rogu bulwaru des Capucines.

– Jesteś u siebie – rzekł Bianchon, śmiejąc się i pokazując pałac ministra. – A oto mój powóz – dodał, pokazując dorożkę. – W ten sposób streszcza się dla każdego z nas przyszłość.

– Będiesz szczęśliwy na dnię wód, gdy ja będę zawsze walczył na powierzchni z burzami, aż w końcu tonąc przyjdę cię poprosić o miejsce w twojej grocie, mój stary!

– Do soboty – odparł Bianchon.

– Do soboty – rzekł Rastignac. – Przyrzekasz mi Popinota?

– Tak, uczynię wszystko, na co mi pozwoli moje sumienie. Może ten wniosek o kuratelę kryje jakie małe *d r a m a*, aby sobie przypomnieć tym słówkiem nasze dobre złe czasy.

„Biedny Bianchon! To będzie zawsze tylko porządny człowiek” – powiedział sobie Rastignac, patrząc za odjeżdżającą dorożką.

– Rastignac obarczył mnie najtrudniejszą z negocjacji – mruknął Bianchon przypominając sobie przy obudzeniu delikatne zlecenie, jakie mu powierzono. – Ale nigdy nie prosiłem wuja o najmniejszą usługę w sądzie, a zrobiłem dla niego więcej niż tysiąc wizyt gratis. Zresztą my między sobą nie robimy ceremonii. Powie mi tak albo nie, i sprawa skończona.

Po tym małym monologu sławny doktor skierował się, już o siódmej rano, na ulicę du Fouarre, gdzie mieszkał Jan Juliusz Popinot, sędzia przy trybunale pierwszej instancji departamentu Sekwany. Ulica du Fouarre (wyraz, który oznaczał niegdyś ulicę de la Paille) była w trzynastym wieku najznamienitszą ulicą Paryża. Tam znajdowały się gmachy uniwersyteckie, kiedy głos Abélarda i Gersona<sup>27</sup> rozlegał się w uczonym świecie. Dziś jest to jedna z najbrudniejszych ulic dwunastego okręgu, najbiedniejsza dzielnica Paryża, ta, w której dwie trzecie ludności nie ma drzewa w zimie, która najwięcej dostarcza dzieci „Podrzutkom”, najwięcej chorych szpitalom, najwięcej żebraków ulicy, która wysyła najwięcej szmaciarzy na podwórza, najwięcej chorych starców pod mury, gdzie grzeje słońce, najwięcej aresztantów do policji poprawczej. Przy tej ulicy, zawsze wilgotnej, której rynsztok toczy ku Sekwanie brudną wodę z paru farbiarni, znajduje się stary dom, z pewnością odrestaurowany gdzieś za Franciszka I i zbudowany z cegieł obramionych ciosowym kamieniem. O jego trwałości świadczy konfiguracja zewnętrzna, jaką nierzadko spotyka się w domach paryskich. Jeśli wolno użyć tego słowa, ma on jak gdyby brzuch stworzony wzdęciem, jakie czyni pierwsze piętro przytłoczone ciężarem drugiego i trzeciego, ale podparte silnym murem parteru. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ściany między oknami, mimo że wzmocnione obramieniem kamiennym, pękają; ale niebawem obserwator spostrzeże, że z tym domem jest tak jak z wieżą bolońską; stare cegły i stare, nadzarte kamienie zachowują niezmożenie swój środek ciężkości. O każdej porze roku tęgie podmurowanie parteru posiada żółtą barwę oraz ową niedostrzegalną warstwę potu, jaką wilgoć daje kamieniowi. Przechodzień odczuwa chłód idąc pod murem, gdzie wyszczerbione słupki licha chronią go od kół kabrioletów.

Jak we wszystkich domach zbudowanych przed epoką powozów, brama tworzy arkadę nadzwyczaj niską, dość podobną do wrót więzienia. Na prawo od tej bramy znajdują się trzy okna, opatrzone z zewnątrz kratą żelazną o oczkach tak gęstych, że nie podobna jest ciekawym dojrzeć przeznaczenia wilgotnych i ciemnych izb przez szyby, brudne zresztą i zakurzone; na lewo dwa podobne okna, z których jedno, czasem otwarte, pozwala dojrzeć odzwierne-go, jego żonę i dzieci. Wszystko to kłębi się, pracuje, gotuje, je i krzyczy w brudnej izbie wybitej deskami, gdzie wszystko rozpada się w strzępy i dokąd schodzi się po dwóch stopniach:

<sup>27</sup> Pierre Abélard (1079–1142) i Jean Charlier zwany Gerson (1362–1428) – teolodzy i filozofowie francuscy.



wyraz stałego podnoszenia się ulic paryskich. Jeżeli w dzień deszczowy przechodzień schroni się pod długie sklepienie z wystającymi i bielonymi belkami, wiodące od bramy do schodów, musi go uderzyć obraz, jaki przedstawia wnętrze tego domu. Na lewo znajduje się kwadratowy ogródek, w którym nie da się zrobić więcej niż cztery kroki wzdłuż i wszerz; ogródek z szarą ziemią, gdzie wegetują pędy wina bez liści i gdzie, z braku roślinności, wschodzą w cieniu dwóch drzew papiery, stare szmaty, ogryzki, kawałki cegły spadłe z dachu; ziemia nieurodzajna, gdzie czas rzucił na mury, na pnie drzew i na ich gałęzie ślad pyłu, podobny do zimnej sadzy. W dwu prostokątnych skrzydłach, z których składa się dom, okna wychodzą na ten ogródek, wciśnięty między dwa sąsiednie domy, odrapane, grożące ruiną, gdzie na każdym piętrze widnieją jakieś jaskrawe dokumenty rzemiosł uprawianych przez lokatorów. Tu długie rusztowanie podtrzymuje olbrzymie pasma suszącej się farbowanej wełny; tam na dwóch sznurach kołysze się wyprana bielizna; wyżej – spiętrzone tomy książek ukazują świeżo marmurkowane brzegi, kobiety śpiewają, mężowie gwizdzą, dzieci krzyczą; stolarz piłuje drzewo, mosiężnik skrzypi swoim metalem, wszystkie rzemiosła łączą się, aby stworzyć zgiełk, który liczba instrumentów potęguje do obłędu.

Ogólny system zdobniczy tego pasażu, który nie jest ani dziedzińcem, ani ogrodem, ani sklepieniem, a który ma coś z tego wszystkiego, polega na słupach drewnianych wspartych na kamieniu i tworzących łuki. Dwie arkady wychodzą na ogródek; dwie inne, na wprost bramy, ukazują drewniane schody, których wymyślnie kowana poręcz była niegdyś cudem ślusarstwa, a których zużyte stopnie drżą pod nogami. Drzwi każdego mieszkania posiadają odrzwia ciemne od brudu, tłuszczu, kurzu i są opatrzone długimi drzwiami, wybitymi utrechckim aksamitem i usianymi deseniem żółtych gwoździ. Te resztki świetności świadczą, że za Ludwika XIV dom ten służył za mieszkanie jakiemuś rajcy parlamentu lub bogatemu księdzu. Ale te ślady dawnego zbytku budzą uśmiech swoim osobliwym kontrastem między przeszłością a terażniejszością.

Jan Juliusz Popinot mieszkał na pierwszym piętrze tego domu, w którym ciemność, właściwą pierwszym piętróm domów paryskich, potęguje ciasnota ulicy. To stare mieszkanie znane było całemu dwunastemu okręgowi, któremu Opatrzność dała tego sadownika, tak jak daje zbawcze rośliny, aby leczyć lub łagodzić każdą chorobę. Oto szkic tej osobistości, którą chciała omotać świetna margrabina d'Espard.

W charakterze sadownika, pan Popinot był zawsze odziany czarno: kostium ten czynił go śmiesznym w oczach ludzi przywykłych wszystko sądzić powierzchownie. Ludzie pragnący zachować godność, jaką narzuca ten strój, powinni otaczać go ciągłym i drobiazgowym staraniem, ale przezacny Popinot niezdolny był przestrzegać purytańskiej czystości, jakiej wymaga kolor czarny. Spodnie, zawsze wytarte, podobne były do krepy, materii, z której sporządza się togę adwokackiej; długie zaś użycie odcisnęło się na nich mnogością fałdów. Białawe, zrudziałe lub błyszczące miejsca na tej części garderoby świadczyły o brudnym sknerstwie lub o najbardziej zaniedbanym ubóstwie. Grube wełniane pończochy tkwiły – zawsze krzywo – w niekształtnych trzewikach. Bielizna miała ów rudy odcień, jaki daje długi pobyt w szafie, świadczący, iż nieboszczka pani Popinot miała manię bielizny; flamandzkim obyczajem zadawała sobie z pewnością jedynie dwa razy na rok kłopot prania. Frak i kamizelka sędziego były w harmonii ze spodniami, trzewikami, pończochami i bielizną. Miał stałe szczęście w swoim zaniedbaniu: w dniu bowiem, w którym wkładał nowe ubranie, dostrajał je do całości swojej toalety, plamiąc je z niewytłumaczoną szybkością. Poczciwiec czekał z kupnem nowego kapelusza, aż kucharka zwróci mu uwagę na zgrzybiałość tegoż. Krawat był zawsze skręcony niedbale; kołnierz skrzywiony pod sędziowskim rabatem. Nie dbał wcale o swą siwą czuprynę, a golił się tylko dwa razy tygodniowo. Nie nosił nigdy rękawiczek i pakował za zwyczaj ręce w kieszenie, których brzeg, brudny i najczęściej podarty, podkreślał jeszcze wrażenie ogólnego niechlujstwa. Ktokolwiek bywał w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu, miejscu, gdzie można obserwować wszystkie odmiany czarnego stroju, może sobie wyobrazić

wygląd pana Popinot. Zwyczaj siedzenia przez całe dni zmienia mocno ciało, tak samo jak nuda nie kończących się obron adwokackich oddziaływa na wyraz twarzy sędziów. Zamknięty w salach niemożliwie ciasnych, szpetnych, bez powietrza, sędzia paryski nabywa z konieczności fizjonomii zgryźliwej, zmiętej od nateżenia uwagi, zachmurzonej nudą. Cera jego wędnie, robi się zielonkawa albo ziemista, zależnie od danego temperamentu. Po jakimś czasie najbardziej kwitnący młodzieniec staje się wyblakłą machiną paragrafów, mechanizmem aplikującym kodeks do wszystkiego, z flegmą wagi u zegara. Jeśli tedy natura obdarzyła pana Popinot rysami niezbyt powabnymi, zajęcie nie upiękniło go. Zbudowany był bez wdzięku. Grube kolana, wielkie stopy, duże ręce stanowiły kontrast z księżą fizjonomią, przypominającą nieco głowę cielęcą, łagodną aż do mdłości, blado rozświetloną wylupiastymi oczami, bezkrwistą, przeciętą płaskim i prostym nosem, uwieńczoną niemniej płaskim czołem, a ozdobioną parą olbrzymich, odstających uszu. Nędzne i rzadkie włosy odsłaniały czaszkę w kilku nieregularnych bruzdach. Jeden jedyny rys zalecał tę czaszkę fizjonomiście: na ustach tego człowieka oddychała niebiańska dobroć. Były to poczciwe, grube, czerwone wargi z tysiącem fałdów, ruchliwe, usta, w których natura złożyła piękne uczucia; usta, które mówiły do serca i które zwiastowały w tym człowieku inteligencję, bystrość, dar jasnowidzenia, anielski rozum; toteż źle by go osądził ten, kto by go sądził jedynie z płaskiego czoła, z wyblakłych oczu i z całej niewydarzonej postaci.

Życie jego odpowiadało powierzchowności; było pełne tajemnych prac i kryło cnoty świętego. Jego znajomość prawa była tak znana, że kiedy Napoleon reorganizował sądownictwo w r. 1806 i 1811, wówczas na wniosek Cambacérèsa<sup>28</sup> wpisano Popinota jako jednego z pierwszych kandydatów do sądu apelacyjnego w Paryżu. Popinot nie był intrygantem. Za każdym nowym żądaniem, za każdą nową prośbą minister odsuwał Popinota, który nigdy nie pojawił się ani u arcykanclerza, ani u Wielkiego Sędziego. Z apelacji przeniesiono go na listę zwykłych sędziów trybunału, po czym przez intrygi ludzi czynnych i ruchliwych pchnięto go na ostatni szczebel. Mianowano go młodszym sędzią. Powszechny krzyk podniósł się w palestrze: „Popinot młodszym sędzią!” niesprawiedliwość ta uderzyła cały świat sądowy, adwokatów, komorników, wszystkich, wyjąwszy Popinota, który się nie skarżył. Skoro pierwszy krzyk minął, wszyscy uznali, że dzieje się jak najlepiej na najlepszym z możliwych światów, którym musi być z konieczności świat sądowy! Popinot był młodszym sędzią aż do dnia, w którym najsłynniejszy kanclerz Restauracji<sup>29</sup> pomścił krzywdy wyrządzone temu skromnemu i cichemu człowiekowi przez Wielkich Sędziów Cesarstwa. Spędziwszy dwanaście lat na stanowisku zastępcy, Popinot miał szansę umrzeć jako zwykły sędzia przy trybunale Sekwany.

Aby wytłumaczyć garbaty los jednego z najwybitniejszych przedstawicieli sądownictwa, trzeba nam zapuścić się w pewne szczegóły, które pozwolą odsłonić jego życie, jego charakter, pokazując zarazem niektóre kółka owej wielkiej maszyny zwanej Sprawiedliwością. Trzech prezydentów, których miał kolejno trybunał Sekwany, wpakowało Popinota w szufladkę „praktyka”. Nie zyskał u przełożonych reputacji talentu, którą prace jego zdobyły mu już pierwej. Tak jak malarz bywa nieodmiennie zamykany w kategorii pejzażystów, portrecistów, malarzy historycznych, morskich lub rodzajowych przez ogół artystów, znawców lub dudków, którzy, bądź z zazdrości, bądź z despotyzmu krytyki, bądź z przesądów, barykadują go na jednym podwórku, sądząc, że istnieją przegródki we wszystkich mózgach – ciasnota, którą świat stosuje do pisarzy, do polityków, do wszystkich, którzy zaczynają od specjalności, nim ich obwołają uniwersalnymi – tak samo Popinot miał swoje przeznaczenie i został zamknięty w swoim kręgu. Sędziowie, adwokaci, obrońcy, wszystko, co pasie się na łączce są-

<sup>28</sup> Jean-Jacques książę de Cambacérès (1753–1824) – za rewolucji członek Konwentu, potem jeden z trzech konsulów, za Cesarstwa arcykanclerz państwa; był też współtwórcą kodeksu Napoleona.

<sup>29</sup> Najsłynniejszy kanclerz Restauracji – Etienne-Denis baron Pasquier (1767–1862), znany ze zręczności, dzięki której utrzymał się na powierzchni życia politycznego w okresie od Cesarstwa do r. 1848.

dowej, rozróżniają w każdej sprawie dwa czynniki: Prawo i Słuszność. Słuszność wynika z faktów, prawo jest zastosowaniem zasad do faktów. Ktoś może mieć rację wedle słuszności, nie mieć jej wedle prawa, bez winy ze strony sędziego. Między sumieniem a faktem istnieje przepaść pobudek nie znanych sędziemu, pobudek potępiających lub usprawiedliwiających fakt. Sędzia nie jest Bogiem; obowiązkiem jego jest dociągnąć fakty do zasad, sądzić wypadki nieskończenie rozmaite, posługując się określoną miarą. Gdyby sędzia miał moc czytania w sumieniu i jego pobudkach, aby wydać sprawiedliwy wyrok, każdy sędzia byłby wielkim człowiekiem. Francja potrzebuje około sześciu tysięcy sędziów: żadne pokolenie nie ma sześciu tysięcy wielkich ludzi na swoje usługi; tym bardziej nie może ich znaleźć dla swoich trybunałów. Popinot był pośród ludności paryskiej bardzo zręcznym kadim<sup>30</sup>, który przez dary swoich zdolności i przez usilne tarcie litery prawa o ducha faktów przejrzał braki doraźnych i stanowczych orzeczeń. Ten jasnowidzący sędzia przenikał powłokę podwójnego kłamstwa, pod jakim strony kryją istotę procesu. Był sędzią tak, jak znakomity Desplein był chirurgiem; przenikał sumienia, jak ten uczony przenikał ciała. Życie jego i obyczaje doprowadziły go do ścisłej oceny najtajniejszych myśli w drodze badania faktów. Rył się w procesie, jak Cuvier rył się w *humus*<sup>31</sup> globu. Podobnie jak ten wielki myśliciel, kroczył od dedukcji do dedukcji, zanim przyszedł do konkluzji, i odtwarzał przeszłość sumienia, jak Cuvier odbudowywał jakieś *anoplotheria*<sup>32</sup>. Z powodu jakiejś sprawy budził się często w nocy, zaskoczony iskierką prawdy, która błysła nagle w jego mózgu. Uderzony głębokimi niesprawiedliwościami kończącymi walki, w których wszystko obraca się przeciw uczciwemu człowiekowi, a idzie na rękę hultajom, orzekał często wbrew prawu na rzecz słuszności we wszystkich okazjach, gdzie chodziło niejako o kwestię wyczucia. Uchodził tedy u swoich kolegów za umysł mało praktyczny; racje jego, obszernie wywodzone, przedłużały zresztą obrady; skoro Popinot zauważył niechęć, z jaką go słuchają, wyrażał swą opinię krótko. Mówiono, że źle sądzi tego rodzaju sprawy; że jednak talent jego w badaniu bił w oczy, że jego sąd był jasny, a przenikliwość głęboka, uznano go za człowieka posiadającego szczególne zdolności do uciążliwych funkcji sędziego śledczego. Miał być tedy sędzią śledczym przez większą część swojej kariery sędowniczej.

Mimo że był doskonale uzdolniony do tego trudnego zawodu mając opinię głębokiego kryminologa zamiłowanego w swoim fachu, dobroć serca wydawała go ustawicznie na tortury: znajdował się między sumieniem a współczuciem niby w żelaznej obręczy. Jakkolwiek lepiej wynagradzane niż urząd sędziego cywilnego, funkcje sędziego śledczego nie kuszą nikogo; są zanadto absorbujące. Popinot, człowiek skromny i rzetelnej wiedzy, bez ambicji, niestrudzony pracownik, nie skarżył się na swój los; poświęcił dla dobra publicznego swoje upodobania, swoje współczucie i pozwolił się wygnać w laguny śledztwa kryminalnego, gdzie umiał być zarazem surowy i dobroczynny. Czasami pisarz jego wręczał podsądnemu pieniądze, aby sobie kupił tytoniu lub ciepłe ubranie w zimie, odprowadzając go z gabinetu sędziego do „Łapki na myszy”, tymczasowego więzienia, w którym trzyma się uwięzionych do dyspozycji sędziego śledczego. Umiał być nieugiętym sędzią i miłosiernym człowiekiem. Toteż nikt łatwiej od niego nie potrafił wydobyć zeznań bez uciekania się do sądowych sztuczek. Miał subtelny dar obserwacji. Ten człowiek, którego dobroć zdawała się na pozór głupkowata, prosty i roztargniony, przenikał chytrych weteranów galer, paraliżował sztuczki najsprytniejszych dziewcząt i giął zbrodniarzy w rękę. Niezwykłe okoliczności wyostrzyły jego przenikliwość; aby je objaśnić, trzeba wejść w jego życie prywatne, bo sędziostwo to była jego strona społeczna; ale był w nim jeszcze inny człowiek, większy, a mniej znany.

Na dwanaście lat przed dniem, w którym zaczyna się ta historia, w r. 1816, podczas owego straszliwego głodu, który zeszedł się fatalnie z pobytem tak zwanych Sprzymierzonych we

<sup>30</sup> K a d i – sędzia w krajach muzułmańskich.

<sup>31</sup> H u m u s (łac.) – próchnica, czarnoziem.

<sup>32</sup> A n o p l o t h e r i a (łac.) – odnaleziona przez Cuviera odmiana ssaków.

Francji, Popinot był przewodniczącym nadzwyczajnej komisji dla rozdzielania pomocy biedakom w tej dzielnicy. Mianowano go w chwili, gdy zamierzał opuścić ulicę du Fouarre, gdzie pobyt nie podobał się zarówno jemu, jak jego żonie. Ten wielki prawnik, ten głęboki kryminolog, którego wyższość wydawała się jego kolegom aberracją, widział od pięciu lat fakty sądowe, nie widząc ich przyczyn. Drapiąc się na poddasza, poznając nędze, śledząc okrutne konieczności, które wiodą stopniowo biedaków do występnych czynów, zgłębiając wreszcie ich długie walki, uczuł w sercu współczucie. Ten sędzia stał się wówczas świętym Wincentym à Paulo tych wielkich dzieci, tych cierpiących robotników. Przeobrażenie to nie dokonało się od jednego razu. Dobroczynność ma swoje szczeble, „jak występki mają swoje. Miłosierdzie pożera sakiewkę świętego, jak ruletka zjada majątek gracza, stopniowo. Popinot szedł od nieszczęścia do nieszczęścia, od jałmużny do jałmużny; następnie, kiedy uchylił wszystkie łachmany stanowiące dla tej publicznej nędzy niby opatrunek, pod którym jętrzy się gorączkowa rana, stał się po upływie roku opatrzością swojej dzielnicy. Został członkiem komitetu dobroczynności i biura dobroczynnego. Wszędzie, gdzie były jakieś bezpłatne funkcje do spełniania, przyjmował je i działał bez emfazy, na sposób „człowieka w błękitnym płaszczu”<sup>33</sup>, który żyje tym, że nosi zupę tam, gdzie znajdują się ludzie głodni. Popinot miał to szczęście, że działał na szerszej przestrzeni i w wyższej sferze; czuwał nad wszystkim, uprzedzał zbrodnie, dawał robotę nie zatrudnionym robotnikom, lokował kaleki, rozdelał roztropnie zasiłki na wszystkich zagrożonych punktach, stając się doradcą wdowy, opiekunem bezdomnych dzieci, finansistą drobnego przemysłu. Nikt w sądzie ani w Paryżu nie znał tego sekretnego życia Popinota. Istnieją cnoty tak jasne, że znoszą ciemność; ludzie siłą się schować je pod kocem. Co się tyczy ludzi, którym świadczył dobrodziejstwa, ci, pracując w dnie i zmęczeni w nocy, niewiele mieli sposobności, aby go wysławiać; byli niewdzięczni jak dzieci, które nigdy nie mogą się wypłacić, bo za wiele są dłużne. Istnieją musowe niewdzięczności; ale czyż serce, które sieje dobro, aby zebrać wdzięczność, mogłoby się mienić wielkim? Od drugiego roku swego tajemnego apostołatu Popinot zmienił na rozmównicę magazyn na parterze w swoim domu, ten, który miał trzy okna opatrzone żelazną kratą. Ściany i sufit tej wielkiej izby były wybielone wapnem, urządzenie składało się z ławek podobnych do ławek w szkole, z prostej szafy, orzechowego biurka i fotela. W szafie znajdowały się rejestry dobroczynności, bony na chleb i dziennik. Prowadził książki handlowe, aby nie dać się oszukać swemu sercu. Wszystkie nędze całej dzielnicy były tam ujęte w cyfry, pomieszczone w książce, gdzie każde nieszczęście miało swoje konto, jak u kupca każdy wierzytel. Kiedy miał wątpliwości co do jakiejś rodziny, co do człowieka proszącego o wsparcie, sędzia miał do swego rozporządzenia informacje policji. Lavienne, służący stworzony dla tego pana, był jego adiutantem. Wykupywał lub odnawiał kwity lombardowe, biegał w miejsca najbardziej zagrożone, gdy pan jego pracował w sądzie. Od czwartej do siódmej rano w lecie, od szóstej do dziewiątej w zimie sala ta była pełna kobiet, dzieci, biedaków, którym Popinot udzielał audiencji. Nie było tam potrzeba pieca w zimie; cisnęło się tyle ludzi, że było gorąco; Lavienne kładł jedynie nieco słomy na zbyt wilgotnej podłodze. Po jakimś czasie ławki stały się gładkie jak politurowany mahoń; następnie, na wysokość człowieka, ściana nabrała jakiegoś ciemnego pokostu od łachmanów lub zniszczonej odzieży tych biedaków. Nieszczęśliwi ci tak kochali Popinota, że kiedy przed otwarciem bramy skupiali się nad ranem w zimie – kobiety grzejące się fajerkami, mężczyźni machający rękami, aby się rozgrzać – nigdy żaden szmer nie zamącił snu sędziego. Szmacciarze, ludzie pracujący w nocy, znali to mieszkanie i widzieli często światło w gabinecie sędziego o niemożliwie późnych godzinach. Złodzieje nawet mówili przechodząc: „To jego dom” – i respektowali go. Ranek należał do biednych, dzień do zbrodniarzy, wieczór do prac sądowych.

Geniusz obserwacji, jaki posiadał Popinot, był tedy siłą rzeczy dwoisty: odgadywał cnotliwą nędzę, zdeptane dobre uczucia, chybione piękne uczynki, nieznane poświęcenia, tak jak

<sup>33</sup> Człowiek w błękitnym płaszczu – Edme Champion (1764– 1852), głośny filantrop paryski.

szukał w głębi sumień najlżejszych zarysów zbrodni, najcieńszych nitek występków, aby zawsze we wszystkim rozróżniać. Ojcowizna Popinota wynosiła tysiąc talarów renty. Żona jego, siostra starego Bianchon, lekarza w Sancerre, wniosła mu dwa razy tyle. Umarła przed pięciu laty, zostawiając majątek mężowi. Ponieważ płaca zastępcy sędziego jest szczupłą, Popinot zaś był rzeczywistym sędzią dopiero od czterech lat, łatwo odgadnąć przyczyny jego oszczędności we wszystkim, co tyczyło jego osoby lub życia, kiedy się widziało, jak skromne były jego dochody, a jak wielka dobroczynność. Zresztą obojętność na punkcie ubrania, rozumiała u człowieka tak zaabsorbowanego, czyż nie jest swoistą cechą głębokiej wiedzy, namiętnie uprawianej sztuki, myśli wciąż czynnej? Aby dokończyć ten portret, wystarczy dodać, że Popinot był z małej liczby sędziów trybunału Sekwany, którzy nie mieli krzyża legii.

Taki był człowiek, któremu prezydent drugiej izby trybunału (Popinot był od dwóch lat przydzielony do spraw cywilnych) polecił przesłuchanie margrabiego d'Espard, na skargę przedłożoną przez jego żonę celem uzyskania kurateli.

Ulica du Fouarre, gdzie roilo się tylu biedaków od wczesnego rana, pustoszała o dziesiątej i odzyskiwała swój wygląd ponury i nędzny. Bianchon popędził tedy konia, aby zdybać wuja w czasie jego audiencji. Nie bez uśmiechu myślał o osobliwym kontraście, jakim będzie obecność sędziego u pani d'Espard; ale przyrzekł sobie skłonić go do zrobienia toalety, w której nie byłby zbyt śmieszny. „Czy wujaszek ma bodaj jakie nowe ubranie? – powiedział sobie Bianchon, wjeżdżając w ulicę du Fouarre, gdzie z okien rozmównicy padało blade światło. – Dobrze będzie, jak sądzę, porozumieć się w tej kwestii z Lavienne'em”.

Słyszac turkot kabrioletu, dziesiątek zdziwionych biedaków wyszedł z bramy: odkryli głowy, poznajac lekarza, Bianchon bowiem, który leczyl darmo chorych poleconych mu przez sędziego, byl dobrze znany zebranim tutaj nieszczęśliwym. Bianchon spostrzegł wuja w rozmównicy, gdzie ławki byly w istocie pełne biedaków, odznaczających się niezwykłą oryginalnością stroju, która uderza na ulicy przechodniów najdalszych od arcyzmu. To pewna, że rysownik – jakiś Rembrandt, gdyby istniał za naszych czasów – stworzyłby wspaniałą kompozycję widząc te naiwnie zgrupowane i milczące nędze. Tutaj surowa twarz starca o siwej brodzie, apostołskiej czaszce przedstawiała żywy obraz świętego Piotra. Pierś jego, na wpeł odkryta, ukazywała wydatne mięśnie, oznakę żelaznego organizmu, który pozwolił mu udźwignąć cały poemat nieszczęść. Tam młoda kobieta podawała pierś najmłodszemu dziecku, aby mu nie dać krzycheć, drugie zaś, może pięcioletnie, trzymała na kolanach. Ta pierś, której biel lśniła pośród tych łachmanów, to dziecko o przezroczystej cerze i brat jego, którego poza zapowiadała przyszłego ulicznika, wszystko to przemawiało do duszy niemalże wdzięcznym kontrastem z długim sznurem twarzy zaczerwienionych od chłodu. Dalej stara kobieta, blada i zimna – odpychająca maska zbuntowanej nędzy, gotowej pomścić w dzień buntu wszystkie minione niedole. Był tam i młody robotnik, wężły, leniwy, którego inteligentne oko świadczyło o wielkich zdolnościach, zniszczonych przez daremnie zwalczane potrzeby; dławił, milcząc swoje cierpienia, bliski śmierci z niemożności przedostania się przez kraty olbrzymiego zwierzyńca, gdzie kłębią się te pożerające się wzajem nędze. Przeważały kobiety; mężowie ich, śpiesząc do warsztatów, zostawiali im z pewnością troskę walczenia za sprawę rodziny, z ową inteligencją, która cechuje kobietę z ludu, prawie zawsze królowę na swoim śmietniku. Ujrzelibyście tam na wszystkich głowach podarte fulary, suknie zaszargane błotem, chustki w strzępach, brudne i dziurawe kaftaniki; ale wszędzie oczy błyszczące jak żywe płomienie. Straszliwa gromada, której widok budził zrazu wstręt, ale która rychło rozdziła lęk, z chwilą gdy się widziało, że rezygnacja tych dusz, zmagających się z potrzebami życia, była czysto okolicznościową spekulacją na miłosierdzie. Dwie łojówki, które oświecały rozmównicę, migotały w rodzaju mgły wytworzonej przez cuchnącą atmosferę tego źle wietrzonego miejsca.

Sam sędzia był nie najmniej malowniczą figurą w tym zebraniu. Miał na głowie wełnianą zrudziałą szlafmycę. Ponieważ był bez krawata, szyja jego, czerwona od zimna i pomarszczo-

na, sterczała nad wystrzępionym kołnierzem starego szlafroka. Zmęczona twarz miała ów na wpół głupkowaty wyraz, właściwy ludziom mocno czymś zajęтым. Usta jego, jak u wszystkich, którzy pracują, były ściągnięte na kształt sakiewki z zaciśniętym sznurkiem. Zmarszczone czoło zdawało się dźwigać brzemie wszystkich tych zwierzeń; czuł, ważył i sądził. Oczy jego, baczne jak oczy lichwiarza, odrywały się od ksiązek i regestrów, aby wnikać w samą głąb ludzi, których obejmował owym chybkiem wzrokiem, jakim skąpcy wyrażają swoje niepokoje. Stojąc za swoim panem, gotów wykonać jego rozkazy, Lavienne pełnił widocznie straż i przyjmował nowo przybyłych, dodając im otuchy.

Kiedy ukazał się lekarz, zrobiło się poruszenie na ławkach, Lavienne odwrócił głowę i zdziwił się mocno, widząc Bianchona.

– A, to ty, mój chłopcze – rzekł Popinot, przeciągając się. – Co cię sprowadza o tej porze?

– Bałem się, wuju, abyś nie podjął, nim zobaczysz się ze mną, pewnej wizyty urzędowej, w której przedmiocie chcę z tobą pomówić.

– No, matusiu – rzekł sędzia, zwracając się do tęgiej kobiety, która stała przy nim – jeśli mi nie powiecie, o co wam chodzi, ja tego nie zgadnę.

– Spieszcie się – rzekł Lavienne – nie zabierajcie czasu innym.

– Proszę pana – rzekła wreszcie kobieta, czerwieniąc się i zniżając głos tak, aby ją słyszeli tylko Popinot i Lavienne – ja jestem straganiarką i mam dziecko, za które jestem winna u mamki. Schowałam tedy swoich parę groszy...

– I co? Wasz chłop wam je zabrał? – rzekł Popinot, zgadując koniec spowiedzi.

– Tak, proszę pana.

– Jak się nazywacie?

– La Pomponne.

– A mąż?

– Toupinet.

– Ulica du Petit-Banquier – mruknął Popinot, sprawdzając rejestry. – Jest w więzieniu – rzekł, odczytując uwagę na marginesie arkusza, na którym ta para była wpisana.

– Za długi, wielmożny panie.

Popinot potrząsnął głową.

– Ale, proszę pana, ja nie mam za co kupić towaru, właściciel przyszedł wczoraj i zmusił mnie, aby mu zapłacić, inaczej wyrzuciłby mnie na bruk.

Lavienne nachylił się do pana i szepnął mu kilka słów.

– No i co, ile wam trzeba, aby kupić owocu w Halach?

– Hm, wielmożny panie, żeby móc dalej handlować, trzeba by mi dziesięć franków.

Sędzia dał znak służącemu, który wydobyl z wielkiego worka dziesięć franków i dał je kobiecie, gdy sędzia zapisywał pożyczkę w rejestrze. Widząc gest radości, jaki uczyniła zakupka, Bianchon odgadł obawy, które z pewnością miały kobietą, kiedy szła do tego domu.

– Teraz wy – rzekł Lavienne do starca z siwą brodą.

Bianchon odciągnął służącego na stronę i zapytał, ile czasu zajmie ta audyencja.

– Pan miał dwieście osób dziś rano, jeszcze zostało do zrobienia tych osiemdziesiąt – rzekł Lavienne – pan doktor miałby czas odbyć swoje pierwsze wizyty.

– Mój chłopcze – rzekł sędzia, odwracając się i ujmując Horacego za ramię – masz oto dwa adresy niedaleko stąd, jeden przy ulicy de Seine, drugi de l'Arbalète. Przy ulicy de Seine młoda dziewczyna się zaczadziła, a tam znów znajdziesz człowieka, którego przyjmiesz do swego szpitala. Czekam cię ze śniadaniem.

Bianchon wrócił za godzinę. Ulica du Fouarre była już pusta, zaczynał się robić dzień, sędzia wracał do mieszkania. Ostatni biedak, którego ranę opatrzył, odchodził, a worek służącego był próżny.

– No i cóż, jak się mają? – zapytał sędzia na schodach.

Człowiek umarł, dziewczyna się wylize – odparł Bianchon.

Od czasu kiedy zbrakło oka i dłoni kobiety, mieszkanie pana Popinot przybrało wygląd zgodny z fizjonomią właściciela. Abnegacja człowieka pochłoniętego jedną myślą wyciskała dziwaczne piętno na wszystkim. Wszędzie odwieczny kurz, wszędzie owo pomieszczenie przeznaczonych rozmaitych przedmiotów, właściwe kawalerskiemu gospodarstwu. Były tam papiery w wazonach na kwiaty, puste butelki z atramentu na meblach, zapomniane talerze, słowem wszystkie góry i doliny spowodowane podjętymi i poniechanymi zamiarami zrobienia porządku. Gabinet sędziego, szczególnie nawiedzony tym nieustannym bezładem, odbijał roz-targnienie człowieka przywalonego zajęciami, wziętego w krzyżowy ogień kłócących się z sobą zatrudnień. Biblioteka była jak po pożarze; książki wałęsały się, jedne wsadzone w drugie, inne rzucone otwarte na ziemię; pakiety aktów rozłożone szeregiem zawały podłogę, nie froterowaną od dwóch lat. Stoły i meble były obładowane wotami, znoszonymi przez wdzięczną nędzę. Bukiety sztucznych kwiatów, obrazy, na których widniały cyfry Popinota w otoczeniu serc i nieśmiertelników, stroiły ściany. Tu jakieś puzderka pretensjonalnie wykonane i niezdatne do niczego; tam jakiś przycisk w stylu robótek, jakie wykonują więźniowie w swej celi. Te arcydzieła cierpliwości, te rebusy wdzięczności, zeschłe bukiety dawały gabinetowi i sypialni sędziego wygląd sklepu z zabawkami. Poczciewicz robił sobie *memorandum*<sup>34</sup> z tych sprzętów; zapełniał je notatkami, zapomnianymi piórami i drobnymi świstkami. Te szczytne świadectwa anielskiego miłosierdzia były pełne kurzu, nieświeże, brudne. Kilka ptaków, doskonale wypchanych, ale zjedzonych przez mole, sterczało w tym lesie fatalasz-ków, gdzie królował kot angora, ulubieniec pani Popinot, któremu z pewnością jakiś naturalista bez grosza wrócił wszystkie pozory życia, płacąc w ten sposób wiekuistym skarbem drobną jałmużnę.

Jakiś miejscowy artysta, którego serce sprowadziło pędzel na bezdroża, wykonał portrety obojga państwa Popinot. Nawet w alkowie sypialni widziało się haftowane poduszcзки, krajobrazy z koralików, krzyże z gnieczonego papieru, których ornamenty świadczyły o szalonej pracy. Firanki były szerniałe od dymu, portiery nie miały już żadnego koloru. Między kominkiem i długim stołem, przy którym pracował sędzia, kucharka postawiła na stoliczku dwie filiżanki kawy z mlekiem. Dwa mahoniowe fotele obite włosiem oczekiwały wuja i siostrzeńca. Ponieważ światło dzienne nie dochodziło do tego miejsca, kucharka zostawiła tam dwie łożówki, których nieproporcjonalnie wybujałe knoty obrosły grzybem i rzucały owo czerwone światło, które oszczędza świecę, spalając ją wolno; wynalazek skąpców.

– Drogi wuju, powinien byś się cieplej ubierać, kiedy schodzisz do rozmównicy.

– Nie lubię dawać czekać tym biednym ludziom! No i co, co masz za interes?

– Hm! Przychodzę wuja zaprosić na jutro na obiad do margrabiny d'Espard.

– To nasza krewna? – spytał sędzia tonem tak naiwnego roztargnienia, że Bianchon parsknął śmiechem.

– Nie, wuju, margrabina d'Espard to jest dostojna i znamienita dama, która wniosła skargę do trybunału celem oddania męża pod kuratelę. Wujowi właśnie powierzono...

– I ty chcesz, abym ja szedł do niej na obiad? Czyś ty oszalał? – rzekł sędzia, chwytając kodeks. – Masz, czytaj paragraf, który zabrania sędziemu jeść i pić u jednej ze stron, które ma sądzić. Niech przyjdzie do mnie twoja margrabina, jeśli ma mi coś do powiedzenia. Mam w istocie iść jutro przesłuchać jej męża, skoro przestudiuję sprawę przez noc.

Wstał, wziął plik aktów znajdujący się pod przyciskiem i rzekł przeczytawszy nagłówek:

– Oto akta. Skoro ta dostojna i znamienita dama interesuje cię, zobaczmyż tę skargę!

Popinot zawiązał szlafrok, który otwierał się ciągle, obnażając pierś, umoczył rogalik w wystygłej kawie i wyszukał skargę, którą przeczytał, pozwalając sobie na małe nawiasy i na dyskusje, w których siostrzeniec jego brał udział.

---

<sup>34</sup> M e m o r a n d u m (łac.) – notatnik.

*Do Pana Prezydenta trybunału cywilnego pierwszej instancji departamentu Sekwany, zasiadającego w Pałacu Sprawiedliwości.*

*Pani Joanna Klementyna Atenais de Blamont-Chauvry, małżonka pana Karola Maurycego Marii Andoche, hrabiego de Nègrepelisse, margrabiego d'Espard (dobra szlachta), właściciela ziemskiego; rzeczona pani d'Espard, mieszkająca przy ulicy du Faubourg-Saint-Honoré nr 104, rzeczony zaś pan d'Espard przy ulicy de la Montagne-Sainte-Geneviève nr 22 (prawda, prezydent mówił mi, że to w mojej dzielnicy!), przy czym jako adwokat powódki występuje pan Desroches...*

– Desroches! Aferzysta, człowiek źle widziany w sądzie i u swoich kolegów, człowiek, który szkodzi swoim klientom!

– Biedny chłopak – rzeki Bianchon – nieszczęściem jest bez majątku i wije się jak diabeł w kropielnicy, to wszystko.

*...ma zaszczyt Panu przedstawić. Panie Prezydencie, że od roku zdolności moralne i umysłowe pana d'Espard, jej męża, uległy tak głębokiej zmianie, iż przedstawiają obecnie stan szaleństwa i zidiocenia przewidziany artykułem 486 kodeksu cywilnego i domagają się, dla dobra jego mienia, jego osoby i w interesie jego dzieci, które chowają się przy ojcu, zastosowania postanowień wymaganych w tym samym paragrafie;*

*Że w istocie stan umysłowy pana d'Espard, który od kilku lat budził, poważne obawy, zrodzone przyjętym przez niego systemem prowadzenia swoich interesów, przebiegi, zwłaszcza w tym ostatnim roku, oplakane szczerze upadku, że zwłaszcza wola ucierpiała od postępów choroby i że jej porażenie wydała pana d'Espard wszystkim niebezpieczeństwom nieudolności stwierdzonej następującymi faktami;*

*Od dłuższego czasu wszystkie dochody z dóbr margrabiego d'Espard idą, bez zrozumiałej przyczyny i bez korzyści, nawet czasowej, do rąk starej kobiety, której odpychająca brzydota jest powszechnie stwierdzona, nazwiskiem pani Jeanrenaud, mieszkającej to w Paryżu przy ulicy de la Vrillière numer 8, to w Villeparisis w pobliżu Claye, departament Seine et Marne, i na rzecz jej syna, mającego trzydzieści sześć lat, oficera eks-gwardii cesarskiej, którego przez swoje stosunki margrabia d'Espard umieścił w gwardii królewskiej w charakterze dowódcy szwadronu w pierwszym pułku kirasjerów. Te osoby, wtrącone przez rok 1814 w ostateczną nędzę, nabyły kolejno nieruchomości znacznej ceny, między innymi w ostatnim czasie dom przy Grande rue Verte, gdzie imć Jeanrenaud czyni obecnie wielkie wkłady, aby tam zamieszkać z imć Jeanrenaud, jego matką, w zamiarze małżeństwa, jaki żywi; które to wydatki sięgają przeszło stu tysięcy franków. Małżeństwo to nawiązało się dzięki staraniom margrabiego d'Espard u jego bankiera, imć pana Mongenod, o którego siostrzenicy rękę poprosił dla rzeczzonego imć Jeanrenaud, przyrzekając, iż przez swoje wpływy wyrobi mu tytuł barona. Nominację tę ziścił w istocie dekret Jego Królewskiej Mości z dnia 29 grudnia ubiegłego roku, na prośbę margrabiego d'Espard, jak to może zaświadczyć Jego Dostojność pan Minister Sprawiedliwości, o ile by trybunał uznał, za właściwe uciec się do jego świadectwa;*

*Iż żadne, racje, nawet zaczerpnięte wśród tych, które są potępione zarówno przez moralność, jak przez prawo, nie mogą usprawiedliwić wpływu, jaki rzeczona wdowa Jeanrenaud zdobyła na margrabiego d'Espard, który zresztą widuje ją nader rzadko, ani też wytłumaczyć jego szczególnego przywiązania do rzeczzonego barona Jeanrenaud, z którym stosunki jego również są rzadkie; mimo to wpływ ich okazuje się tak wielki, iż za każdym razem, kiedy potrzebują pieniędzy, chociażby na zaspokojenie zwyczajnego kaprysu, ta dama lub jej syn...*

– He he! Racje, które potępia zarówno moralność, jak prawo! Co on chce nam podsunać, ten pan dependent czy też adwokat? – rzekł Popinot.



Bianchon zaczął się śmiać.

*...ta dama lub jej syn uzyskują bez najmniejszej trudności od margrabiego d'Espard to, czego żądają; w braku zaś gotowizny pan d'Espard podpisuje weksle, eskontowane przez imię pana Mongenod, który ofiarował się powódce zaświadczyć ten fakt;*

*Że zresztą, na potwierdzenie tych faktów, zdarzyło się świeżo, w czasie odnowienia dzierżawy dóbr Espard, że gdy dzierżawcy wypłacili dość znaczne sumy odnawiając swoje kontrakty, imię Jeanrenaud natychmiast kazał je sobie przekazać;*

*Że wola margrabiego d'Espard ma tak mały udział w przelewie tych sum, iż kiedy mu wspomniano o nich, wręcz nie przypominał sobie tego; że za każdym razem, kiedy osoby poważne zapytywały go o pobudki jego przywiązania do tych dwojga osobników, odpowiedzi jego świadczyły o tak zupełnym bezładzie jego myśli i interesów, iż musi istnieć w tej sprawie tajemna przyczyna, na którą powódka pragnie ściągnąć oko sprawiedliwości, zważywszy, iż niepodobieństwem jest, aby ta przyczyna nie była zbrodnicza, występna i przymusowa lub też przyrody domagającej się oceny lekarzy sądowych, o ile wszelako powolność ta nie jest z rzędu tych, które wchodzą w zakres nadużycia władz moralnych i których nie można określić inaczej, niż posługując się jaskrawym terminem opętania...*

– Tam do licha! – rzekł Popinot. – Cóż ty na to, mój chłopcze? To są bardzo osobliwe fakty.

– Mogłyby – odparł Bianchon – być skutkiem władzy magnetycznej.

– Więc ty wierzysz w głupstwa Mesmera<sup>35</sup>, w jego stoliki, w widzenie przez ściany?

– Tak, wuju – odrzekł poważnie doktor. – Słuchając tego pozwu, myślałem o tym. Powiadam ci, że stwierdziłem – w innej sferze działania – wiele analogicznych faktów, dowodzących bezgranicznej władzy, jaką może jeden człowiek zdobyć nad drugim. Jestem, sprzecznie z mniemaniem moich kolegów, zupełnie przeświadczony o potędze woli jako siły motorycznej. Widziałem, z wykluczeniem wszelkiej baśni i wszelkiej szarlatanerii, objawy takiego opętania. Uczynki, przyrzeczone magnetyzerowi we śnie, medium jego skrupulatnie spełniało na jawie. Wola jednego stała się wolą drugiego.

– Postępki wszelkiego rodzaju?

– Tak.

– Nawet zbrodnicze?

– Nawet.

– Gdyby mi to mówił kto inny niż ty, wzruszyłbym po prostu ramionami.

– Mogę ci to pokazać naocznie – rzekł Bianchon.

– Hm, hm – rzekł sędzia. – Przyjmując, że przyczyna tego rzekomego opętania należy do tej kategorii faktów, trudno byłoby stwierdzić to i dowieść tego prawnie.

– Jeżeli ta pani Jeanrenaud jest w istocie tak szpetna i stara, nie widzę, jaki inny wpływ mogłaby posiadać – rzekł Bianchon.

– Ale – odparł sędzia – w roku 1814, kiedy te uroki zaczęły działać, ta kobieta musiała mieć o czternaście lat mniej. Jeżeli stosunki jej z panem d'Espard sięgały dziesięć lat wstecz, daty te cofają nas o dwadzieścia cztery lata, w której to epoce dama ta mogła być młoda, ładna i mogła zdobyć środkami bardzo naturalnymi dla siebie i dla swego syna na margrabiego d'Espard wpływ, któremu niektórzy mężczyźni nie umieją się oprzeć. O ile przyczyna tego wpływu jest naganna w oczach sprawiedliwości, jest ona usprawiedliwiona w oczach natury. Pani Jeanrenaud mogła się pogniewać o małżeństwo zawarte prawdopodobnie w owym czasie przez margrabiego d'Espard z panną de Blamont-Chauvry; słowem, na dzień tego wszystkiego może być jedynie kobieca rywalizacja, skoro margrabia nie mieszka już od dawna z żoną.

<sup>35</sup> Friedrich Anton Mesmer (1734–1815) – lekarz niemiecki, twórca pseudonaukowej metody leczenia chorób za pomocą hipnozy i sugestii.

- Ale ta odpychająca brzydota, wuju?
- Siła uroków – odparł sędzia – jest w prostym stosunku do brzydoty, stara rzecz! A ospa, doktorze? Ała czytajmy dalej.

*Iż, od roku 1815, aby dostarczyć sum wymaganych przez te dwie osoby, margrabia d'Espard zamieszkał z dwojgiem swoich dzieci przy ulicy de la Montagne-Sainte-Genève w mieszkaniu, którego ubóstwo niegodne jest jego nazwiska i stanu... (Każdy mieszka, jak mu się podoba!)... iż wychowuje tam swoich dwóch synów, hrabiego Klemensa d'Espard i wicehrabiego Kamila d'Espard, w sposobie życia niezgodnym z ich przyszłością, z ich nazwiskiem i ich majątkiem; iż często brak pieniędzy dochodzi tak daleko, że niedawno imć Maraist zajął meble znajdujące się w mieszkaniu; że kiedy tę drogę pościgu wdrożono w jego obecności, margrabia d'Espard pomagał komornikowi, którego traktował jak człowieka z najlepszej sfery, obsypując go wszystkimi oznakami grzeczności i szacunku, jakie miałby dla osoby stojącej wyżej od niego...*

Wuj i siostrzeniec spojrzeli po sobie, śmiejąc się.

*Iż zresztą wszystkie akty jego życia, nawet poza faktami przytoczonymi odnośnie wdowy Jeanrenaud i imć pana barona Jeanrenaud, jej syna, są nacechowane szaleństwem; iż blisko od dziesięciu lat zajmuje się tak wyłącznie Chinami, ich zwyczajami, obyczajami, ich historią, że odnosi wszystko do zwyczajów chińskich; że, zapytywany w tej mierze, miesza sprawy współczesne, wczorajsze wypadki z faktami tyczącymi Chin; iż krytykuje akty rządu i postęпки króla, mimo iż zresztą kocha go osobiście, porównując je z polityką chińską;*

*Że ta monomania popchnęła margrabiego d'Espard do czynów sprzecznych z rozsądkiem; że wbrew obyczajom swego stanu, wbrew własnym, nieraz wyrażanym pojęciom o obowiązkach szlachty wdał się w przedsięwzięcie handlowe, na które wciąż podpisuje terminowe zobowiązania zagrażające dziś jego czci i majątkowi, ile że oblekają go w charakter kupca i mogą, w braku zapłaty, postawić go w stanie bankructwa; że te zobowiązania zaciągnięte wobec papierników, drukarzy, litografów i kolorystów, którzy dostarczyli elementów potrzebnych do tej publikacji, zatytułowanej „Historia Chin w obrazach” i ukazującej się zeszytami, są tak znaczne, iż sami ci dostawcy, chcąc ocalić swoje wiarygodności, błagali powódkę, aby domagała się kurateli nad margrabią d'Espard...*

- To jakiś wariat! – wykrzyknął Bianchon.
- Tak myślisz? – rzeki sędzia. – Trzeba go przesłuchać. *Audiatur et altera pars*<sup>36</sup>.
- Ależ zdaje mi się... – rzekł Bianchon.
- Ależ zdaje mi się – rzekł Popinot – iż gdyby ktoś z moich krewnych chciał zagarnąć zarząd mojego majątku i gdybym zamiast być prostym sędzią, którego stan umysłowy koledzy mogą stwierdzić co dzień, był księciem i parem, wówczas jakiś sprytny adwokat, jak ten Desroches, mógłby wygotować podobną skargę przeciw mnie.

*Że wychowanie dzieci ucierpiało od tej monomanii i że ich nauczył, sprzecznie z wszystkimi zasadami wychowania, faktów z historii chińskiej, sprzeciwiających się naukom religii katolickiej, dalej nauczył ich dialektów chińskich...*

- Tu już Desroches przeholował – rzekł Bianchon.
- Skargę wygotował jego dependent Godeschal, którego znasz i który nie jest zbyt tęgi Chińczyk – rzekł sędzia.

<sup>36</sup> *Audiatur et altera pars* (łac.) – należy wysłuchać i przeciwnej trony.

*Iż zostawia swoje dzieci pozbawione najniezbędniejszych rzeczy; że powódka mimo swoich próśb nie może ich widywać; iż margrabia d'Espard przyprowadza je jej tylko raz do roku; iż wiedząc, w jakim żyją ogółeniu, czyniła daremne usiłowania, aby im dostarczyć sprzętów najniezbędniejszych do życia, których im zbywało...*

– Och, pani margrabino, to już są kpiny. Kto chce za wiele dowieść, nie dowodzi niczego. Mój drogi chłopcze – rzekł sędzia, kładąc akty na kolanach – gdzie jest matka, której by brakło serca, sprytu, krwi, aby sprostać najprostszemu instynktowi zwierzęcemu? Matka ma tyle chytrkości, gdy chodzi o to, aby dotrzeć do swoich dzieci, ile jej ma młoda dziewczyna w swojej intryżce miłosnej. Gdyby twoja markiza chciała nakarmić albo odziać swoje dzieci, sam diabeł nie byłby jej z pewnością przeszkodził. Trochę za długi jest ten tasiemiec, aby go przełknął stary sędzia. Jedźmy dalej.

*Że wiek, do którego dochodzą rzeczne dzieci, wymaga bezzwłocznie, aby podjęto kroki celem usunięcia ich od zgubnego wpływu tego wychowania; aby pokierowano nimi wedle wymagań ich stanu i aby nie miały przed oczami przykładu, jaki im daje postępowanie ich ojca.*

*Że na poparcie powyżej przytoczonych faktów istnieją dowody, których trybunał uzyska z łatwością stwierdzenie; po wiele razy pan d'Espard nazwał sędziego pokoju dwunastego okręgu mandarynem trzeciej klasy; po wiele razy nazwał profesorów kolegium Henryka IV „uczeńcami” (oni się o to gniewają!). Z okazji najprostszych rzeczy powiada, że nie tak się dzieje w Chinach; w trakcie zwyczajnej rozmowy czyni aluzje bądź to do pani Jeanrenaud, bądź do wypadków zaszyłych za Ludwika XIV i wpada wówczas w najczarniejszą melancholię: wyobraża sobie czasami, że jest w Chinach. Wielu jego sąsiadów, w szczególności imć Edmund Becker, student medycyny, Jan Baptysta Frémot, nauczyciel, zamieszkali w tym samym domu, myśli na podstawie styczności z margrabią d'Espard, że jego monomania we wszystkim, co się odnosi do Chin, jest następstwem planu powziętego przez barona Jeanrenaud oraz jego matkę celem ostatecznego unicestwienia władz umysłowych margrabiego d'Espard, zważywszy, iż jedyną usługą, jaką oddaje margrabiemu pani Jeanrenaud, jest to, iż dostarcza mu wszystkiego, co się odnosi do cesarstwa Chin;*

*Iż wreszcie powódka podejmuje się dowieść Trybunałowi, że sumy pochłonięte przez oboje Jeanrenaud od 1814 do 1828 sięgają kwoty nie mniejszej niż milion franków.*

*Na potwierdzenie poprzedzających faktów powódka ofiarowuje Panu Prezydentowi świadectwo osób, które widują stale margrabiego d'Espard, a których nazwiska i stan wyszczególnione są poniżej, z których wiele błagało ją, aby zyskała ubezwłasnowolnienie margrabiego d'Espard, jako jedyny sposób ubezpieczenia majątku od jego oplakanego zarządu, dzieci zaś od zgubnego wpływu ojca.*

*Zważywszy to, co powiedziano, oraz mając na względzie dołączone alegaty, powódka wnosi wobec tego, że poprzedzające fakty dowodzą jasno stanu niepoczytalności i szaleństwa margrabiego d'Espard, aby Pan Prezydent raczył nakazać, by, celem uzyskania ubezwłasnowolnienia tegoż, powyższą prośbę: oraz załączone na jej poparcie akty przedłożono panu prokuratorowi królewskiemu oraz wydelegowano jednego z sędziów trybunału, by wygotował raport na dzień, który Pan Prezydent zechce łaskawie oznaczyć, iżby Trybunał postanowił wszystko w duchu swoich uprawnień i wymierzył sprawiedliwość etc.*

– I oto – rzekł Popinot – zlecenie prezydenta, który deleguje mnie! No i co, czego chce ode mnie margrabina d'Espard? Wiem wszystko. Pójdę jutro z moim pisarzem do margrabiego, bo to mi się zupełnie nie wydaje jasne.

– Słuchaj, drogi wujaszku, nigdy cię nie prosiłem o najmniejszą przysługę, która by dotyczyła twoich funkcji sędziego; otóż proszę cię, abys okazał pani d'Espard względy, na jakie zasługuje jej stanowisko. Gdyby przyszła tutaj, wysłuchałbyś jej?

– Tak.

– A więc idź, wysłuchaj jej u niej w domu; pani d'Espard to kobieta chorowita, nerwowa, delikatna, źle by się czuła w twojej norze. Pójdź tam wieczór zamiast przyjąć zaproszenie na obiad, skoro prawo broni ci jeść i pić u swoich podśądnych.

– A wam czy prawo nie broni przyjmować zapisów od waszych zmarłych? – rzekł Popinot, który dostrzegł odcień ironii na ustach siostrzeńca.

– No, wujaszku, chociażby po to, aby dojść do jądra prawdy w tej historii, zgódź się na moją prośbę! Przyjdiesz jako sędzia śledczy, skoro rzecz nie wydaje ci się jasna. Do kata! Przesłuchanie margrabiny jest nie mniej potrzebne niż przesłuchanie męża.

– Masz słuszość – rzekł sędzia. – Może to ona ma bzika. Pójdę.

– Zайдę po ciebie; zapisz w swoim notatniku: „Jutro wieczór, o dziewiątej, u pani d'Espard”. Dobrze – rzekł Bianchon, widząc, że wuj zanotował schadzke.

Nazajutrz wieczór, o dziewiątej, doktor Bianchon wdrapał się na zakurzone schody wuja i zastał go nad redakcją jakiegoś trudnego wyroku. Nie przyniesiono od krawca ubrania zamówionego przez Lavienne'a, tak że Popinot wziął stary, zaplamiony frak i wystąpił jako ów Popinot *incomptus*<sup>37</sup>, widokiem swoim budzący śmiech wszystkich, którzy nie znali jego sekretnego żyda. Bianchon osiągnął bodaj tyle, że doprowadził do ładu krawat wuja i zapiął mu frak; w ten sposób ukrył plamy, zapinając od prawej do lewej i wystawiając na front nową jeszcze część materii. Ale niebawem sędzia rozchylił frak na piersiach, zakładając wedle zwyczaju ręce za kamizelkę. Frak, nadmiernie pofałdowany z przodu i z tyłu, utworzył niby garb na grzbiecie, między kamizelką zaś a spodniami przestrzeń wolną, którą wyszła na wierzch koszula. Na swoje nieszczęście Bianchon spostrzegł te okropności aż w chwili, gdy wkraczali do margrabiny.

Lekki szkic życia osoby, do której udawali się w tej chwili doktor i sędzia, jest tutaj konieczny dla zrozumienia konferencji, jaką Popinot miał z nią odbyć.

Pani d'Espard była od siedmiu lat bardzo w modzie w Paryżu, gdzie moda wywyższa i strąca osoby, które na przemian to wielkie, to małe, to znaczy kolejno na świeczniku lub w cieniu, stają się później nieznośnymi figurami, jak wszyscy upadli ministrowie i zdetronizowane wielkości. Uciążliwi przez swoje zmurszałe pretensje, owi dworacy przeszłości wiedzą wszystko, szkalują wszystko i, jak zrujnowani marnotrawcy, są przyjaciółmi całego świata. Ponieważ panią d'Espard mąż opuścił w r. 1815, musiała tedy wyjść za mąż gdzieś w roku 1812. Dzieci jej musiały mieć jedno piętnaście, drugie trzynaście lat. W jaki sposób matka rodziny, mając blisko trzydzieści trzy lata, była kobietą modną? Mimo że moda jest kapryśna i nikt nie może z góry wskazać jej ulubieńców, mimo iż często wywyższy jakąś bankierową lub inną osobę wątpliwej urody i smaku, zdaje się czymś nadnaturalnym, aby moda przyjęła obyczaje konstytucyjne, uznając *prezydenturę z wieku*. Tutaj moda postąpiła tak jak wszyscy: uznała panią d'Espard za młodą kobietę. Margrabina miała trzydzieści trzy lata w metryce, a dwadzieścia dwa wieczorem w salonie. Ale ile starań i sztuczek! Sztuczne pukle kryły jej skronie. Skazywała się w domu na półmrok, udając chorą, aby pozostać w dobroczynnym cieniu światła przepuszczonego przez muślin. Jak Diana de Poitiers<sup>38</sup>, używała zimnej wody do kąpieli; jak ona również sypiała na włosianym materacu, z głową na skórzanych poduszkach, aby szanować włosy; jadła mało, piła tylko wodę, oszczędzała ruchów, aby uniknąć zmęczenia, i wprowadziła klasztorną punktualność w najdrobniejsze sprawy życia. Ten surowy system posunęła pewna znakomita Polka<sup>39</sup> aż do używania lodu zamiast wody i

<sup>37</sup> *Incomptus* (łac.) – zaniedbany.

<sup>38</sup> *Dianę de Poitiers* (1499–1566) – faworyta króla francuskiego Henryka II.

<sup>39</sup> *Znakomita Polka* – żona generała Józefa Zajączka, który od r. 1815 był namiestnikiem Królestwa Pol-

do jądania zimnych potraw; jest to osoba, która za naszych czasów łączy życie liczące już blisko wiek z zajęciami i obyczajami elegantki. Mając żyć tak długo jak Marion de Lorme<sup>40</sup>, której biografowie dają sto trzydzieści lat, eks-wicekrólowa Polski posiada, licząc lat blisko sto, młodą duszę i młode serce, uroczą twarz, czarującą kibić; w rozmowie, której dowcip skrzy się jak iskry w ogniu, może porównywać dzisiejszych ludzi i książki z ludźmi i książkami osiemnastego wieku. Z Warszawy zamawia swoje czepeczki u pani Herbault. Ta wielka dama posiada entuzjazm młodej dziewczyny; pływa, biega jak student, umie się rzucić na kozetkę równie wdzięcznie jak młoda zalotnica; drwi w oczy śmierci i śmieje się z życia. Ona, która zdumiewała niegdyś cesarza Aleksandra, może dziś zdumiewać cesarza Mikołaja wspaniałością swoich balów. Jeszcze umie wycisnąć łzy jakiemuś zakochanemu młodzikowi, gdyż ma tyle lat, ile chce, i nieodparty sentyment gryzетки. Słowem, jest to istna bajka o wrózkach, o ile sama nie jest wrózką z bajki.

Czy pani d'Espard znała panią Zajączek? Czy chciała odtworzyć jej życie? Jak bądź się rzeczy mają, margrabina stanowiła dowód skuteczności tego trybu, płeć miała świeżą, czoło bez zmarszczek, ciało jej zachowało, jak ciało kochanki Henryka II, gibkość, świeżość, tajemne powaby, które ściągają i utrwalają miłość. Te tak proste zabiegi systemu wskazanego przez sztukę, przez naturę, może i przez doświadczenie, trafiły zresztą u niej na organizację, która wzmacniała ich skuteczność. Margrabinę cechowała głęboka obojętność na wszystko, co nie było nią; mężczyźni bawili ją, ale żaden nie dał jej owych wielkich wzruszeń, które wstrząsają głęboko obie natury i łamią jedną o drugą. Nie znała ani nienawiści, ani miłości. Obrażona, mściła się na zimno i spokojnie, ze smakiem wyczekując sposobności zadowolenia złych uczuć, jakie zachowywała dla każdego, kto źle się zaznaczył w jej wspomnieniu. Nie krzątała się, nie rzucała się, mówiła tylko, bo wiedziała, że dwoma słowami kobieta może zabić trzech ludzi. Kiedy margrabia d'Espard ją porzucił, przyjęła to z zadowoleniem: wszak zabierał z sobą dwoje dzieci, które na razie nudziły ją, a później mogły szkodzić jej pretensjom! Jej najbliżsi przyjaciele, tak jak jej najmniej wytrwali zalotnicy, nie widząc koło niej żadnego z owych klejnotów *à la Kornelia*<sup>41</sup>, które biegają po domu głosząc bezwiednie wiek matki, brali ją wszyscy za młodą kobietę. Dwoje dzieci, którymi margrabina tak bardzo jakoby interesowała się w swoim pozwie, były, zarówno jak ich ojciec, nie znane światu tak, jak przesynek północno-wschodni nie znany jest marynarzom. Pan d'Espard uchodził za oryginała, który rzucił żonę, nie mając przeciw niej najmniejszego powodu do skargi. Zostawszy w dwudziestu dwu latach panią siebie i panią swego majątku, który przedstawiał dwadzieścia sześć tysięcy franków renty, margrabina wahała się długo, zanim powzięła jakieś postanowienie i obrała kierunek życia. Mimo iż korzystała z wkładów, jakie jej mąż poczynił w pałacu, mimo iż zachowała meble, ekwipaże, konie, słowem, urządzenie całego domu, wiodła zrazu ciche życie. Były to owe lata 1816, 17 i 18, epoka, w której rodziny odbudowywały się po klęskach spowodowanych przewrotami politycznymi. Margrabinie, która należała zresztą do jednego z najznamienitszych i najmożniejszych rodów Dzielnicy Saint-Germain, krewni poradzili, aby się zamknęła w domu po przymusowej separacji, na jaką skazał ją niewytlumaczony kaprys męża.

W r. 1820 margrabina wyszła ze swego letargu; pojawiła się na dworze, na balach i zaczęła przyjmować u siebie. Od r. 1821 do 1827 prowadziła wielki dom, wysunęła się na pierwszy plan smakiem i strojem, miała swój dzień, swoje godziny przyjęć; niebawem zasiadła na tronie, na którym przedtem błyszczwały wicehrabina de Beauséant, księżna de Langeais, pani Firmiani (ta po swoim małżeństwie z panem de Camps oddała berło w ręce księżnej de Mauffrigeuse, której znowuż wydarła je pani d'Espard). Świat nie wiedział nic więcej o prywat-

---

skiego.

<sup>40</sup> Marion de Lorme (1611–1650) – słynna z urody faworyta króla Ludwika XIII.

<sup>41</sup> Klejnoty *à la Kornelia* – Kornelia, Rzymianka, matka Grakchów, na prośbę, aby pokazała swoje kosztowności, kazała zawołać swoich synów i powiedziała: „Oto moje klejnoty”.

nym życiu margrabiny. Zdawało się, że będzie długo trwać na horyzoncie paryskim, jak słońce bliskie zachodu, ale nie zachodzące nigdy. Margrabina była w zażyłej przyjaźni z pewną księżną, nie mniej sławną przez swą piękność, jak przez swoje oddanie pewnemu księciu, wówczas będącemu w niełasce<sup>42</sup>, ale przywykłemu stale wchodzić jako władca w tworzące się rządy. Pani d'Espard była również przyjaciółką cudzoziemki, w której pobliżu znamienity i chytry dyplomata rosyjski<sup>43</sup> śledził bieg spraw. Wreszcie pewna stara hrabina, nawykła tasoować karty wielkiej gry politycznej, przybrała ją niejako za córkę. Dla każdego, kto umiał patrzeć, jasne było, że pani d'Espard, po głośnym i błahym panowaniu, jakie zawdzięczała modzie, gotuje się zagarnąć cichy, ale rzeczywisty wpływ. Salon jej nabierał znaczenia politycznego. Te słowa: „Co o tym mówią u pani d'Espard? Salon pani d'Espard jest przeciw takim a takim postanowieniom” – zaczynały się powtarzać w ustach dość wielkiej ilości głupców, aby dać jej garstce wiernych powagę stronnictwa. Kilku inwalidów politycznych, opatrzonych, pielęgnowanych przez nią, jak ów faworyt Ludwika XVIII, który nie mógł odzyskać znaczenia<sup>44</sup>, oraz dawni ministrowie bliscy powrotu do władzy głosili o pani d'Espard, że jest równie tęgą dyplomatką jak żona ambasadora rosyjskiego w Londynie<sup>45</sup>. Kilka razy margrabina podsunęła posłom lub parom słowa, myśli, które z trybuny rozległy się w Europie. Często trafnie osądziła jakieś wypadki, co do których przyjaciele jej nie śmieli wydać sądu. Filary dworu przychodziły do niej wieczorem na wista. Błędy jej zresztą miały swe zalety. Uchodziła za dyskretną i była nią. Przyjaźń jej zdawała się niewzruszona. Popierała swoich protegowanych z uporem, który dowodził, że nie tyle zależy jej na zdobywaniu popleczników, ile na utrwaleniu swego mniemanego wpływu. Pobudką tego postępowania była jej dominująca namiętność: próżność. Zdobycze i przyjemności, na które tak łase są kobiety, dla niej były jedynie środkami: chciała żyć na wszystkich punktach największego kręgu, jaki może opisać życie. Wśród ludzi jeszcze młodych, do których należała przyszłość i którzy się cisnęli w jej salonach w dniu wielkich przyjęć, można było zauważyć panów de Marsay, de Ronquerolles, de Montriveau, de la Roche-Hugon, de Sérisy, de Ferraud, Maksyma de Trailles, pana de Listomère, dwóch Vandenesse, pana du Châtelet etc. Często przyjmowała kogoś, a nie przyjmowała jego żony, a władza jej była już dość silna, aby narzucić te twarde warunki pewnym ambitnym osobnikom, takim jak dwaj sławni bankierzy rojalistyczni, de Nucingen i Ferdynand du Tillet. Tak dobrze wystudiowała silne i słabe strony paryskiego życia, że zawsze postępowała w sposób nie dający żadnemu mężczyźnie najmniejszej nad nią przewagi. Można by ofiarować ogromną sumę za bilecik albo list, w którym się skompromitowała, a nie znalazłoby się takiego z pewnością. O ile wrodzona oschłość pozwalała jej grać tę rolę w sposób naturalny, fizjonomia jej była nie mniej szczęśliwa. Figurę miała wciąż młodą. Głos jej był na zawołanie gibki i świeży, jasny, twardy. Cudownie posiadała tajemnice owego arystokratycznego wzięcia, którym kobieta maże przeszłość. Margrabina знаła sztukę stwarzania olbrzymiej przestrzeni między sobą a człowiekiem, który sądził, że ma prawo do poufałości po przygodnej chwili szczęścia. Imponujące jej spojrzenie umiało wszystkiemu zaprzeczyć. W rozmowie wielkie i piękne uczucia, szlachetne decyzje zdawały się swobodnie płynąć z czystej duszy i serca; ale w istocie wszystko było w niej rachubą; zdolna była zohydzić człowieka niezręcznego w swoich kombinacjach, gdy ona sama spekulowała bez wstydu na rzecz swoich osobistych interesów. Starając się związać z tą kobietą, Rastignac odgadł w niej naj-

<sup>42</sup> Z pewną księżną... – mowa o księżnie de Talleyrand-Périgord, która prowadziła dom stryja swego męża, Talleyranda, nawet wówczas, gdy ten słynny polityk popadł w niełasce.

<sup>43</sup> Dyplomata rosyjski – zapewne hr. Karol Pozzo di Borgo (1764 – 1842), Korsykanin z pochodzenia, od r. 1802 wstąpił w służbę rosyjską.

<sup>44</sup> Faworyt Ludwika XVIII – to Elie książę Decazes (1780 – 1861), umiarkowany rojalista, premier i minister spraw zagranicznych w latach 1819 – 1820, zmuszony do ustąpienia po zabójstwie księcia de Berry, gdyż zarzucano mu, że swą liberalną polityką umożliwił ten zamach.

<sup>45</sup> Żona ambasadora rosyjskiego w Londynie – księżna Benckendorff, która prowadziła w Londynie salon, gdzie gromadziły się wybitne osobistości świata politycznego.

sprawniejszy instrument, ale nie użył go jeszcze; nie tylko nie umiał nim poruszać, ale już dostał się w jego tryby. Ten młody *condottiere*<sup>46</sup> inteligencji, skazany jak Napoleon na to, że musiał wciąż wydawać bitwę wiedząc, że jedna klęska jest grobem jego fortuny, spotkał w swojej protektorce groźnego przeciwnika. Pierwszy raz w swoim burzliwym życiu rozgrywał poważną partię z partnerem godnym siebie. W zdobyciu pani d'Espard widział tekę ministra; toteż służył jej, zanim się nią posłużył: niebezpieczny początek.

Pałac pani d'Espard wymagał licznej służby; margrabina prowadziła znaczny dom. Wielkie przyjęcia były na parterze, ale margrabina mieszkała na pierwszym piętrze. Obszerna klatka schodowa wspaniale zdobiona, apartamenty w szlacheckim stylu, jakim niegdyś oddychał Wersal, zwiastowały ogromny majątek. Kiedy sędzia ujrzał, jak wielka brama otwiera się przed kabrioletem jego siostrzeńca, objął szybkim rzutem oka łożę odźwiernego, szwajcara, dziedzińiec, stajnie, rozkład tej rezydencji, kwiaty strojące schody, wykwinną czystość poręczy, ścian, dywanów i policzył lokajów w liberii, którzy na odgłos dzwonu wyszli do sieni. Oczy jego, które poprzedniego dnia zgłębiały w rozmównicy rozmiar nędzy pod zabłoconym łachmanem ludu, objęły z tą samą ścisłością umeblowanie i urządzenie salonów, aby w nich dostrzec nędze wielkości.

– Pan Popinot. – Pan Bianchon.

Te dwa nazwiska padły u wejścia do buduaru, gdzie się znajdowała margrabina: był to ładny pokoik, świeżo przemeblowany, wychodzący na ogród. W tej chwili pani d'Espard siedziała w jednym z owych dawnych fotelów rokoko, które Madame<sup>47</sup> wprowadziła w modę. Rastignac siedział koło niej na foteliku, w którym usadowił się jak *primo*<sup>48</sup> włoskiej damy. Przy kominku stała jeszcze trzecia osobistość. Jak uczony doktor odgadł, margrabina była kobietą o temperamencie suchym i nerwowym; gdyby nie dieta, cera jej przybrałaby ów czerwony ton, jaki daje ustawiczna „gorącość humorów”; ale umiała podkreślić jeszcze swoją sztuczną białość barwami materyj, którymi się otoczyła lub w które się ubierała. Kolory ciemnoczerwony, kasztanowaty, brązowy z odcieniem złota były jej cudownie do twarzy. Buduar, skopiowany z buduaru pewnej modnej wówczas londyńskiej lady, miał obicia aksamitne koloru kasztana; ale pamiętała o tym, aby wdzięcznym rysunkiem ornamentów złagodzić zbytnią pompę tego królewskiego koloru. Uczesana była jak młoda osoba, w dwa pasma kończące się puklami, które uwydatniały długi nieco owal jej twarzy; o ile okrągłość jest plebejska, o tyle kształt podłużny jest majestatyczny. Owe podwójne zwierciadła, które dowoli wydłużają lub spłaszczają twarz, stanowią oczywisty dowód tego prawidła, odnośnie do fizjonomii. Widząc Popinota, który zatrzymał się w drzwiach jak wystraszone zwierze, z wyciągniętą szyją, z lewą ręką za kamizelką, z prawą zbrojną zatłuszczonym kapeluszem, margrabina rzuciła Rastignakowi spojrzenie nabrzmiałe drwiną. Ciemnogowata nieco mina nieboraka tak dobrze godziła się z jego pocieszną postacią, z wystraszoną miną, że widząc zatroskaną twarz Bianchona, który wstydił się za wuja, Rastignac nie mógł się wstrzymać od śmiechu, odwracając głowę. Margrabina przywitała ich skinieniem głowy i uczyniła mozolny wysiłek, aby się podnieść z fotela, na który opadła nie bez wdzięku, jak gdyby tłumacząc się ze swej niegrzeczności udaną niemocą.

Równocześnie jegomość, który stał między kominkiem a drzwiami, skłonił się lekko, przysunął krzesła doktorowi i sędziemu, następnie, kiedy usiedli, oparł się z powrotem plecami o ścianę i założył ręce. Słówek o tym człowieku. Istnieje za naszych czasów malarz, Decamps, który posiada w najwyższym stopniu sztukę zainteresowania tym, co odtwarza, czy to będzie kamień, czy człowiek. Pod tym względem ołówek jego jest uczeńszy niż pędzel. Niech wyrysuje nagi pokój i zostawi miotłę pod ścianą, jeżeli zechce, zadrżycie; uwierzycie, że ta miotła

<sup>46</sup> *Condottiere* (wł.) – kondotier, we Włoszech w XIV i XV w. zawodowy dowódca opłacany przez poszczególne miasta.

<sup>47</sup> *Madame* – tytuł używany przez księżnę de Berry (1798–1870), żonę drugiego syna Karola X.

<sup>48</sup> *Primo* (wł.) – oficjalny kochanek.

była narzędziem zbrodni i że jest zmoczona krwią: to będzie miotła, którą wdowa Bancal sprzątała salę, gdzie zamordowano Fualdès<sup>49</sup>. Tak, malarz nastroszy miotłę niby człowieka w gniewie; zjeży ją tak, jak gdyby to były wasze drżące włosy; uczyni z niej jakby łącznik między tajemną poezją swojej wyobraźni a poezją, która zrodzi się w waszej. Przeraziwszy was widokiem tej miotły, jutro narysuje inną, a przy niej kota śpiącego, ale tajemniczego w swoim śnie, i wmówi wam, że na tej miotle żona niemieckiego szewca jeździ na Łysą Górę. Lub też będzie to jakaś spokojna miotła, na której zawiesi ubranie urzędnika skarbu. Decamps ma w swoim pędzlu to, co Paganini miał w smyczku: udzielającą się siłę magnetyczną. Otóż trzeba by wlać w swój styl ten przejmujący talent, ten c h w y t ołówka, aby odmalować człowieka prostego, chudego i wysokiego, ubranego czarno, z długimi czarnymi włosami, który stał, nic nie mówiąc. Człowiek ten miał twarz ostrą jak nóż; zimną, drapieżną; cera jego podobna była do wód Sekwany, kiedy jest mętna i kiedy toczy węgle z jakiegoś zatopionego statku. Patrzył w ziemię, słuchał i sądził. W pozie jego było coś przerażającego. Był tam niby owa sławna miotła, której Decamps kazał oskarżać zbrodnię. Chwilami margrabina próbowała w czasie konferencji uzyskać jakąś milczącą wskazówkę, wlepiając na chwilę oczy w tego człowieka; ale mimo całej żywości jej niemych pytań on został poważny i sztywny jak posąg komandora.

Zacny Popinot, siedząc na rożku krzesła na wprost ognia, z kapeluszem między kolanami, patrzył na złocone grubo kandelabry, na zegar, na cacka stojące na kominku, na materie i haft portier, słowem, na wszystkie tak kosztowne drobiazgi, którymi otacza się modna kobieta. Z tej mieszczańskiej kontemplacji wyrwała go pani d'Espard, która rzekła pieszczonym głosem;

– Panie sędzio, jestem panu winna tysiąc podziękowań...

„Tysiąc – pomyślał pocziwiec – to za wiele, nie wierzę ani w jedno.”

– ...Za trud, jaki pan raczył...

„Raczył! – pomyślał. – Ona kpi sobie ze mnie.”

– ...Raczył sobie zadać odwiedzając biedną powódkę, zbyt cierpiącą, aby móc...

Tu sędzia przerwał margrabinie, obejmując ją spojrzeniem inkwizytora, którym zbadał stan zdrowia biednej powódki. „Zdrowa jest jak rydz” – powiedział sobie.

– Pani – odrzekł tonem pełnym szacunku – nie jest mi pani winna nic. Mimo iż mój krok nie jest w zwyczajach trybunału, nie powinniśmy niczego oszczędzać, aby w tego rodzaju sprawach dojść do poznania prawdy. Sąd nasz jest wówczas wyrazem nie tyle brzmienia praw, ile poczucia naszego sumienia. Czy szukam prawdy w moim gabinecie, czy tutaj, byłem ją znalazł, wszystko będzie dobrze.

Podczas gdy Popinot mówił, Rastignac ścisnął dłoń Bianchona, a margrabina skinęła w stronę doktora głową łaskawym gestem.

– Kto jest ten pan? – rzekł Bianchon do ucha Rastignaka, wskazując czarnego jegomościa.

– Kawaler d'Espard, brat margrabiego.

– Pański siostrzeniec powiedział mi – odparła margrabina sędziemu – jak bardzo pan jest zajęty; wiem także, że pan jest na tyle dobry, aby chcieć ukryć dobrodziejstwo dla oszczędzenia wdzięczności obdarowanym. Zdaje się, że ten sąd męczy pana bardzo. Ale bo też czemu nie podwoją liczby sędziów?

– Och, proszę pani, zdałoby się, zdało – rzekł Popinot. – Od przybytku głowa nie boli. Ale kiedy to będzie? Jak mi tu włosy wyrosną!

Słyszając to zdanie, tak dobrze licujące z fizjonomią sędziego, kawaler d'Espard zmierzył go wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Z tym nieborakiem łatwo sobie damy rady”.

Margrabina spojrziała na Rastignaka, który się nachylił do niej.

– Oto – szepnął młody fircyk – jak wyglądają ludzie powołani, aby wyrokować o życiu i mieniu drugih.

---

<sup>49</sup> W d o w a B a n c a l – właścicielka domu publicznego, w którym zamordowany został przez dwu aferzystów Antoine-Bernardin F u a l d è s (1761–1817), były prokurator cesarski.



Jak większość ludzi osiwiących w swoim rzemiośle, Popinot rad poddawał się swoim przyzwyczajeniom, płynącym zresztą z pracy myśli. Rozmowa jego trąciła sędzią śledczym. Lubił zadawać pytania, brać w krzyżowy ogień niespodzianych wniosków, wyciągać z ludzi więcej, niż chcieli powiedzieć. Pozzo di Borgo zabawiał się podobno wyciąganiem tajemnic z osób, z którymi rozmawiał, aby je wikłać w swoje dyplomatyczne sieci; w ten sposób z mimowolnego nałogu dawał folgę swej wyostrzonej w tym duchu inteligencji. Skoro tylko Popinot zmaczał, aby tak rzec, teren, na którym się znajdował, uznał, iż konieczne jest uciec się do najsubtelniejszych chytrości, do najlepiej zamaskowanych sztuczek praktykowanych w sądzie celem wydobycia prawdy. Bianchon siedział zimny i surowy, jak człowiek, który postanowił cierpieć w milczeniu; ale w duszy życzył wujowi, aby przydeptał tę kobietę, jak się przystępuje zmię: porównanie, które mu nastęrczała długa suknia, wygięta poza, długa szyja, mała główka i węzowe ruchy margrabiny.

– Drogi panie, jakkolwiek obcy jest mojej naturze egoizm, zbyt długo cierpię, abym nie miała pragnąć rychłego zakończenia tej sprawy. Czy mogę się prędko spodziewać szczęśliwego rozwiązania?

– Proszę pani, zrobię wszystko, co zależy ode mnie, aby to skończyć – rzekł dobroduszenie Popinot. – Czy pani nie zna przyczyny, która spowodowała separację między panią a panem d'Espard? – zapytał sędzia patrząc na margrabinę.

– Owszem – odparła, przybierając pozę, aby rozpocząć przygotowane opowiadanie. – W początkach roku 1816 pan d'Espard, który od trzech miesięcy zadziwiająco się zmienił, zaproponował mi, aby się przenieść do jego majątku Briançon, nie biorąc w rachubę mego zdrowia, które ten klimat zniszczyłby zupełnie, nie licząc się z moimi przyzwyczajeniami. Odmówiłam. Odmowa moja ściągnęła wymówki tak nieuzasadnione, że od tej chwili miałam podejrzenia co do stanu jego umysłu. Nazajutrz opuścił mnie, zostawiając mi swój pałac, swobodę rozrządzania mymi dochodami i zamieszkał przy ulicy Montagne-Sainte-Geneviève, zabierając dzieci.

– Przepraszam panią – przerwał sędzia – jakie były te dochody?

– Dwadzieścia sześć tysięcy funtów renty – odparła niedbale. – Poradziłam się natychmiast starego Bordin, co mam uczynić – dodała – ale zdaje się, że trudność odebrania ojcu wychowania dzieci jest zbyt wielka! Musiałam się pogodzić z tym, że zostanę sama w dwudziestym drugim roku, w wieku, w którym niejedna kobieta zdolna byłaby robić głupstwa. Czytał pan z pewnością moją prośbę; zna pan główne fakty, na których się opieram, aby uzyskać kuratelę nad panem d'Espard.

– Czy pani czyniła – zapytał sędzia – jakieś kroki, aby odzyskać swoje dzieci?

– Tak, panie sędzio, ale wszystko na próżno. Bardzo jest ciężko dla matki być pozbawioną przywiązania dzieci, zwłaszcza kiedy mogą dać słodczye tak drogie wszystkim kobietom.

– Starszy musi mieć szesnaście lat – rzekł sędzia.

– Piętnaście! – odparła żywo margrabina.

Bianchon spojrział na Rastignaka. Pani d'Espard przygryzła sobie wargi.

– W czym pana obchodzi wiek moich dzieci?

– Proszę pani – rzekł sędzia, niby to nie zdając sobie sprawy z wagi swoich słów – chłopak piętnastoletni i jego brat, liczący zapewne trzynaście lat, mają nogi i spryt, mogliby panią odwiedzać po kryjomu; jeżeli nie przychodzą, są posłuszni ojcu, aby zaś słuchać go do tego stopnia, muszą go bardzo kochać.

– Nie rozumiem pana – rzekła margrabina.

– Nie wie pani może – odparł Popinot – iż jej adwokat utrzymuje w pani skardze, że pani drogie dzieci są bardzo nieszczęśliwe u ojca.

Pani d'Espard odparła z czarującą niewinnością:

– Nie wiem, co mój adwokat wkłada mi w usta.

– Daruje mi pani te wnioski, ale sprawiedliwość waży wszystko – ciągnął Popinot. – To, o co pytam, płynie z chęci dobrego poznania sprawy. Wedle pani, pan d'Espard opuścił panią pod bardzo błahym pozorem. Zamiast udać się do Briançon, dokąd chciał panią zabrać, został w Paryżu. Ten punkt nie jest jasny. Czy on znał tę Jeanrenaud przed małżeństwem z panią?

– Nie, proszę pana – odparła margrabina z odcieniem niezadowolenia, widocznym jedynie dla Rastignaka i dla kawalera d'Espard.

Drażniło ją, że znalazła się na śledztwie przed tym sędzią, którego zamierzała ugnieść w palcach; że jednak Popinot dzięki swemu zaabsorbowaniu minę miał wciąż jednak niemądrą, przypisała tę jego indagację owej manii pytań, jaką Wolter dał swemu posłowi w „Prostaczku”.

– Rodzice moi – ciągnęła – wydali mnie za mąż w szesnastym roku za pana d'Espard, którego nazwisko, majątek, obyczaje odpowiadały temu, co moja rodzina życzyła sobie znaleźć w moim przyszłym mężu. Pan d'Espard miał wówczas dwadzieścia sześć lat, był dżentelmem w angielskim znaczeniu słowa; podobało mi się jego wzięcie, zdawało się, że jest bardzo ambitny, a ja lubię ludzi ambitnych – rzekła, spoglądając na Rastignaka. – Gdyby pan d'Espard nie był spotkał owej pani Jeanrenaud, jego przymioty, jego wiedza, wykształcenie byłyby go doprowadziły, zdaniem jego przyjaciół, do zaszczytnego udziału w rządzie. Król Karol X (wówczas brat królewski) cenił go wysoko; parostwo, urząd dworski, wybitne stanowisko czekały go niezawodnie. Ta kobieta obłąkała go i zniszczyła przyszłość całej rodziny.

– Jakie były wówczas przekonania religijne pana d'Espard?

– Był – rzekła – i jest jeszcze człowiekiem wysoce nabożnym.

– Nie sądzi pani, aby pani Jeanrenaud mogła oddziaływać na niego w drodze mistycyzmu?

– Nie, proszę pana.

– Pani ma piękny pałac – rzekł nagle Popinot, wydobywając ręce zza kamizelki i wstając, aby rozsunać poły surduta i ogrzać się. – Ten budurek jest wcale, wcale, wspaniałe te krzesła... Apartament luksusowy! Musi pani cierpieć w istocie, mieszkając tutaj, ze świadomością, że dzieci pani są źle pomieszczone, źle odziane i źle żywione. Dla matki nie wyobrażam sobie nic okropniejszego.

– Och, tak! Tak bardzo chciałabym dać jakąś przyjemność biednym malcom, których ojciec trzyma od rana do wieczora nad tym oplakany dziełem o Chinach.

– Wydaje pani piękne bale, bawiliby się na nich, ale nabraliby może narowów rozrzutności. Bądź co bądź, ojciec mógłby ich pani przysłać raz albo dwa razy w ciągu zimy.

– Przyprawia mi ich w Nowy Rok i w dzień moich urodzin. W te dni pan d'Espard robi mi tę łaskę, że zostaje z dziećmi u mnie na obiedzie.

– To bardzo osobliwe – rzekł Popinot z miną człowieka przekonanego. – Czy pani widziała kiedy tę Jeanrenaud?

– Jednego dnia szwagier mój, który przez troskliwość o brata...

– A – rzekł sędzia, przerywając – pan jest bratem pana d'Espard?

Kawaler skłonił się bez słowa.

– Pan d'Espard, który znał tę sprawę, zaprowadził mnie do Oratorium, dokąd ta kobieta chodzi na kazanie, bo to jest protestantka. Widziałam ją, nie ma nic pociągającego, podobna jest do rzeźniczki: bardzo tłusta, straszliwie zeszpecona ospą, ręce i nogi jak u mężczyzny, zezuje, słowem – potwór.

– Niepojęte! – rzekł sędzia, robiąc wrażenie najgłupszego z sędziów całej Francji. – I ta baba mieszka blisko stąd, w pałacu! Nie ma już mieszczaństwa!

– W pałacu, gdzie jej syn poczynił szalone wkłady.

– Proszę pani – rzekł sędzia – ja mieszkam na Przedmieściu Saint-Marceau, nie mam pojęcia o tego rodzaju wydatkach; co pani nazywa: szalone wkłady?

– Ależ – rzekła margrabina – stajnia, pięć koni, trzy powozy, karoca, powóz, kabriolet.

– To tak słono kosztuje? – spytał sędzia ze zdziwioną miną.

– Potwornie – przerwał Rastignac. – Podobny tryb życia wymaga, na stajnię, na utrzymanie powozów i liberię, piętnastu do szesnastu tysięcy franków.

– Sądzi pani? – rzekł sędzia wciąż zdziwiony.

– Tak, co najmniej – odparła margrabina.

– A urządzenie pałacu też musiało słono kosztować?

– Więcej niż sto tysięcy franków – odparła margrabina, która nie mogła się wstrzymać od uśmiechu z trywialności sędziego.

– Sędziowie, proszę pani – podjął pocziwiec – są dość niedowierzający, płacą ich nawet za to; ja też taki jestem. Baron Jeanrenaud i jego matka musieliby w takim razie straszliwie złupić pana d'Espard. Sama stajnia kosztowałaby, wedle pani, szesnaście tysięcy rocznie. Stół, służba, grubsze wydatki na dom musiałyby wynosić dwa razy tyle, co wymagałoby pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy rocznie. Czy pani myśli, że ci ludzie, niegdyś tak biedni, mogą mieć tak znaczny majątek? Milion daje ledwie czterdzieści tysięcy renty.

– Proszę pana, ci Jeanrenaud umieścili kapitały dane przez pana d'Espard w rencie państwowej wówczas, gdy stała na 60 czy 80. Sądzę, że ich dochód musi wynosić więcej niż sześćdziesiąt tysięcy. Syn ma zresztą bardzo ładną pensję.

– Jeżeli oni wydają sześćdziesiąt tysięcy franków – rzekł sędzia – ileż wydaje pani?

– Ja? – rzekła pani d'Espard. – Mniej więcej tyleż samo.

Kawaler drgnął, margrabina zaczerwieniła się. Bianchon spojrział na Rastignaka; ale sędzia przybrał wyraz dobroduszny, który zwiódł panią d'Espard. Kawaler nie brał już żadnego udziału w rozmowie, ujrzał, że wszystko stracone.

– Tych ludzi, proszę pani – rzekł Popinot – można by pozwać przed sąd.

– Tak i ja sądziłam – rzekła margrabina zachwycona. – Zagroźeni policją poprawczą, weszliby w układy.

– Proszę pani – rzekł Popinot – kiedy pan d'Espard panią porzucił, czy nie dał pani pełnomocnictwa na prowadzenie i administrowanie pani majątkiem?

– Nie rozumiem celu tych pytań – rzekła żywo margrabina. – Zdaje mi się, że gdyby pan miał na względzie położenie, w jakie mnie wtrąca szaleństwo mego męża, powinien by się pan zajmować nim, a nie mną.

– Proszę pani – rzekł sędzia – właśnie zmierzamy do tego. Zanimby trybunał powierzył pani lub komu innemu zarząd dóbr pana d'Espard (w razie poddania go kurateli), musi wiedzieć, w jaki sposób pani zawiadowała własnym majątkiem. Jeżeli pan d'Espard dał pani pełnomocnictwo, okazał pani zaufanie i trybunał oceniłby tę okoliczność. Czy ma pani pełnomocnictwo? Czy może pani kupowała lub sprzedawała swoje nieruchomości, lokowała kapitały?

– Nie, panie, nie jest w zwyczaju domu Blamont-Chauvry handlować – rzekła, żywo dotknięta w szlacheckiej dumie i zapominając o swej sprawie. – Moje dobra zostały nienaruszone, a pan d'Espard nie dawał mi pełnomocnictwa.

Kawaler przyłożył rękę do oczu, aby nie zdradzić żywego niezadowolenia, jakie sprawiała mu nieopatrzność szwagierki, która grzebała się swymi odpowiedziami. Popinot szedł prosto do celu mimo kołowań swego badania.

– Pani – rzekł sędzia, wskazując kawalera – ten pan jest z pewnością pani krewnym? Możemy mówić szczerze w obecności tych panów.

– Niech pan mówi – rzekła margrabina, zdziwiona tymi ostrożnościami.

– A więc, proszę pani, przyjmuję że pani wydaje tylko sześćdziesiąt tysięcy na rok, a ta suma wyda się usprawiedliwiona każdemu, kto widzi pani stajnię, pałac, liczną służbę oraz przyzwyczajenia domu, którego zbytek, o ile mogę sądzić, przewyższa zbytek pani Jeanrenaud.

Margrabina skinęła głową.

– Otóż – podjął sędzia – jeżeli pani posiada tylko dwadzieścia sześć tysięcy franków renty, mogłaby pani, mówiąc między nami, mieć jakieś sto tysięcy franków długów. Trybunał byłby tedy w prawie sądzić, że w pobudkach, jakie panią skłaniają do żądania kurateli nad mężem, gra rolę interes osobisty, konieczność zapłacenia długów, gdyby... je... pani... miała. Rekomendacje z pewnych stron zainteresowały mnie pani sytuacją; niech ją pani dobrze rozpatrzy, niech się pani wypowiedzi. Byłby jeszcze czas (w razie gdyby moje przypuszczenia były słuszne) uniknąć skandalu nagany<sup>50</sup>, którą trybunał miałby prawo wyrazić w motywach swego wyroku, o ile by pani nie określiła swego położenia jasno i wyraźnie. Jesteśmy zmuszeni zgłębiać pobudki skarżących, zarówno jak słuchać obrony człowieka zagrożonego kuratelą; badać, czy strona skarżąca nie powoduje się namiętnością, czy nie działa pod wpływem chciwości, niestety, aż nazbyt częstej...

Margrabina była jak na rozżarzonych węglach.

– ...Toteż potrzebuję mieć wyjaśnienia w tym przedmiocie – ciągnął sędzia. – Ja, pani margrabino, nie chcę od pani rachunków; chciałbym jedynie wiedzieć, w jaki sposób nastarczyła pani trybowi życia wymagającemu sześćdziesięciu tysięcy renty, i to od kilku lat. Istnieją kobiety, które spełniają ten cud w swoim gospodarstwie, ale pani nie jest z liczby tych kobiet. Niech pani mówi, może pani mieć środki zupełnie godziwe, darowizny królewskie, jakieś sumy czerpane w świeżo przyznanych indemnizacjach; ale w takim razie upoważnienie męża było konieczne, aby je zrealizować.

Margrabina milczała.

– Niech pani pomyśli – rzekł Popinot – że pan d'Espard może się bronić i że jego adwokat będzie miał prawo dochodzić, czy pani ma długi. Ten buduar jest świeżo umeblowany; w pani apartamentach są inne meble niż te, które pani zostawił w r. 1816 pan margrabia. Jeżeli, jak pani raczyła mi powiedzieć, urządzenie domu jest rzeczą kosztowną dla państwa Jeanrenaud, jest ono jeszcze kosztowniejsze dla pani, wielkiej damy. Jestem sędzią, ale jestem tylko człowiekiem: mogę się mylić, niech mnie pani oświeci. Niech pani pomyśli o obowiązkach, jakie nakłada mi prawo, o surowym śledztwie, jakiego wymaga, gdy chodzi o kuratelę nad ojcem rodziny, i to w sile wieku. Toteż daruje mi pani margrabina obiekcje, jakie mam zaszczyt jej przedłożyć i co do których łatwo będzie pani dać mi parę wyjaśnień. Kiedy kogoś bierze się pod kuratelę z przyczyny niepoczytalności, trzeba mu kuratora; kto byłby kuratorem?

– Jego brat – rzekła margrabina.

Kawaler skłonił się. Nastąpiła chwila milczenia, zenującego dla obecnych. Bawiąc się sędzia, odsłonił ranę tej kobiety. Dobroduszna twarz Popinota, z której margrabina, kawaler i Rastignac mieli ochotę się śmiać, nabrała w ich oczach swego prawdziwego wyrazu. Patrząc nań ukradkiem, wszyscy troje zrozumieli tajemnicę tych wymownych ust. Pocieszny człeczyzna stawał się przenikliwym sędzią. Ścisłość, z jaką oszacował buduar, tłumaczyła się: aby przeniknąć ten zbytek, wyszedł z punktu złożonego słonia podtrzymującego zegar i przejrzał dno serca tej kobiety.

– Jeżeli margrabia d'Espard oszalał na punkcie Chin – rzekł Popinot, wskazując garnitur na kominku – widzę z przyjemnością, że produkty tego kraju i pani podobają się również. Ale to może panu margrabiemu zawdzięcza pani te śliczne drobiazgi chińskie? – rzekł, wskazując kosztowne cacka.

Subtelne te drwiny spowodowały uśmiech Bianchona; Rastignac skamieniał, margrabina przygryzła cienkie wargi.

– Proszę pana – rzekła pani d'Espard – zamiast być obrońcą kobiety, której grozi strata majątku i dzieci albo też podejrzenie, że działa na szkodę swego męża, pan mnie oskarża! Pan podejrzewa moje intencje! Niech pan przyzna, że pańskie postępowanie jest dziwne...

– Pani – odparł żywo sędzia – ostrożność, jaka rozwija trybunał w tego rodzaju sprawach, zesłałaby pani w każdym innym sędzi krytyka może mniej pobłażliwego ode mnie. Zresztą,

<sup>50</sup> N a g a n a - hańbiąca kara w dawnym sądownictwie francuskim.

czy pani przypuszcza, że adwokat pana d'Espard wdzije rękawiczki? Czy nie potrafi zatruć intencji, które mogą być czyste i bezinteresowne? Pani życie będzie należało do niego, będzie w nim szperał, w swoich dociekaniach nie zachowując pełnych szacunku względów, jakie ja mam dla pani.

– Dziękuję panu – rzekła ironicznie margrabina. – Przypuśćmy na chwilę, że mam trzydzieści tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy franków długów; po pierwsze, to byłaby bagatelka dla domów d'Espard i Blamont-Chauvry; ale gdyby mój mąż był niespełna rozumu, czy to byłaby przeszkoda do oddania go pod kuratelę?

– Nie, pani – rzekł Popinot.

– Mimo że zadawał mi pan pytania z perfidią, której nie mogłam podejrzewać u sędziego, w kwestii, w której szczerść wystarczyła, aby się dowiedzieć wszystkiego, i mimo że miałabym wszelkie prawo nie mówić panu już nic, odpowiem po prostu, że moje stanowisko w świecie, że wszystkie te wysiłki czynione dla zachowania stosunków sprzeczne są z moimi upodobaniami. Zaczęłam życie od tego, że bardzo długo żyłam samotnie; ale dobro moich dzieci przeważyło, zrozumiałam, że powinnam zastąpić im ojca. Przyjmując moich przyjaciół, podtrzymując wszystkie te stosunki, zaciągając długi, zapewniłam im przyszłość, przygotowałam im świetne kariery, w których znajdą pomoc i oparcie; aby mieć to, co moi chłopcy nabyli w ten sposób, wielu spekulantów, dygnitarzy lub bankierów zapłaciłoby chętnie tyle, ile mnie to kosztowało.

– Oceniam pani poświęcenie – odparł sędzia. – Zaszczyt przynosi ono pani; nie potępiam w niczym pani postępowania. Sędzia należy do wszystkich, musi wszystko znać, trzeba mu wszystko zważyć.

Spyt margrabiny oraz jej bystrość w ocenianiu ludzi pozwoliły jej odgadnąć, że na sędziego Popinot nie zdołają mieć wpływu żadne względy. Liczyła na jakiegoś ambitnego karierowicza, spotkała człowieka z sumieniem. Natychmiast pomyślała o innych środkach zapewnienia sobie wygranej. Lokaje wnieśli herbatę.

– Czy pani życzy sobie jeszcze udzielić jakich wyjaśnień? – zapytał Popinot, widząc te przygotowania.

– Panie sędzio – odrzekła wyniośle – niech pan pełni swój obowiązek, niech pan przesłucha pana d'Espard. Pożałuje mnie pan, jestem tego pewna...

Podniosła głowę, patrząc na Popinota z impertynencką dumą. Poczciwina skłonił się z szacunkiem.

– Miły jest twój wujaszek – rzekł Rastignac do Bianchona. – Czyż on nic nie rozumie, czy nie wie, co to jest margrabina d'Espard, czy nie zna jej wpływów, jej podziemnej władzy? Jutro będzie miała na obiedzie ministra sprawiedliwości...

– Mój drogi, cóż ja na to poradzę – rzekł Bianchon. – Czy cię nie uprzedzałem? To nie jest człowiek wygodny.

Doktor musiał pożegnać margrabinę i jej niemego kawalera, aby biec za Popinotem, który, niezdolny tkwić w dwuznacznej sytuacji, dreptał przez salony.

– Ta kobieta ma trzysta tysięcy długów – rzekł sędzia, wsiadając do kabrioletu siostrzeńca.

– Co wuj myśli o tej sprawie?

– Ja – rzekł sędzia – nie mam nigdy opinii, zanim wszystkiego nie zbadam. Jutro wcześniej rano wezwę do siebie panią Jeanrenaud do mego gabinetu, na czwartą, aby zażądać od niej wyjaśnień co do faktów, które jej tyczą, bo ona jest tu wystawiona na sztych.

– Chciałbym bardzo znać koniec całej tej sprawy.

– Ech, Boże, czy ty nie widzisz, że margrabina jest narzędziem tego wysokiego, chudego, który nie pisnął ani słówka? Jest w nim coś z Kaina, który szuka swojej maczugi w trybunale, gdzie, na nieszczęście, mamy kilka mieczów Samsona.

– Och! Rastignac – wykrzyknął Bianchon – co ty robisz w tej jaskini?

– Przywykliśmy widywać te małe spiski rodzinne: nie mija rok, aby nie oddalono jakiegoś wniosku o kuratelę. W naszym społeczeństwie tego rodzaju próby nie okrywają hańbą, podczas gdy wysyłamy na galery biedaka, który stłukł szybę dzielącą go od niecułki złota. Nasz kodeks nie jest bez wad.

– Ale fakty, które zawiera ta skarga?

– Mój chłopcze, czy ty nie znasz jeszcze romansów, jakie klienci opowiadają swoim adwokatom? Gdyby adwokaci mieli przedstawiać tylko prawdę, nie opędziliby kosztów kancelarii.

Nazajutrz o czwartej po południu gruba paniusia, dosyć podobna do beczki, na którą by włożono suknię i pasek, pocąc się i sapiąc drapała się na schody sędziego Popinot. Z wielkim trudem wygramoliła się z zielonej landary, z którą jej było cudownie do twarzy; niepodobna było sobie wyobrazić tej kobiety bez landary ani landary bez tej kobiety.

– To ja, drogi panie – rzekła, zjawiając się we drzwiach gabinetu – ja, wdowa Jeanrenaud, którą pan wezwał ni mniej ni więcej jak jaką złodziejkę.

Te pospolite słowa wyrzeczone były pospolitym głosem, przerywane astmatycznym gwizdem i zakończone napadem kaszlu.

– Kiedy przechodzę przez wilgotne miejsca, nie ma pan pojęcia, panie sędzio, jak mi jest niedobrze. Niedługo przyjdzie człowiekowi wyciągnąć kopytka, z przeproszeniem pana sędziego. Ale jestem.

Sędzia zdumiał się na widok tej mniemanej marszałkowej d'Ancre<sup>51</sup>. Pani Jeanrenaud miała twarz pocętkowaną mnóstwem dziurek, bardzo czerwoną, z niskim czołem, zadartym nosem, twarz okrągłą jak kula; bo u tej zacnej kobiety wszystko było okrągłe. Miała żywe oczy wieśniaczki, minę dobroduszną, jowialne wysłowienie, ciemne włosy przytrzymane siatką pod zielonym kapeluszem, strojnym w bukietik sztucznych kwiatów. Jej obfite piersi budziły śmiech, nasuwając obawę komicznej eksplozji przy każdym napadzie kaszlu. Grube nogi były z tych, które każą ulicznikom paryskim mówić o kobiecie, że jest zbudowana na palach. Wdowa miała zieloną suknię przybraną szynszylą; robiło to wrażenie plamy smaru na welonie panny młodej. Wszystko wreszcie było u niej w zgodzie z jej wyrażeniem „wyciągnąć kopytka”.

– Proszę pani – rzekł Popinot – jest pani podejrzana, że pani oddziaływała na margrabiego d'Espard, aby wydobyć od niego znaczne sumy.

– Czego, czego? Oddziaływała! Ależ, drogi panie, pan jest godny człowiek, zresztą jako sędzia musi pan mieć olej w głowie; niech pan na mnie spojrzy! Niech pan powie, czy jestem zdolna na kogokolwiek oddziałać. Nie mogę związać tasiemki u trzewików ani się schylić. Dwadzieścia lat już będzie. Bogu dzięki, jak nie mogę włożyć gorsetu pod groźą nagłej śmierci. Byłam cienka jak szparag w siedemnastym roku i ładna: mogę to panu dziś powiedzieć. Wysłałam tedy za mego Jeanrenaud, zacny człowiek, przewoźnik promów z solą. Miałam z nim syna; ładny chłopak, to moja duma; nie chwalcę się, to najpiękniejsza moja robota. Mój mąż był żołnierzem, który przynosił zaszczyt Napoleonowi, służył w gwardii cesarskiej. Niestety, śmierć mego starego, który utonął, poruszyła we mnie humory: dostałam ospy, dwa lata nie ruszałam się z pokoju i wysłałam gruba, jak mnie pan widzi, brzydka na wiek wieków i nieszczęśliwa jak ten kamień... To moje „oddziaływanie”.

– Ależ, proszę pani, jakie pobudki może mieć pan d'Espard, aby pani dawać sumy...

– Olbrzymie, panie sędzio, niech pan powie, na to zgodzę się chętnie; ale co do pobudek, nie mam prawa ich zdradzić.

---

<sup>51</sup> Marszałkowa d'Ancre (Leonora Galigal) – słynna intrygantka, żona Concino Concini, marszałka d'Ancre, włoskiego awanturnika, który zdobył ogromny wpływ na królową Marię Medycejską, od r. 1610 sprawującą rządy za swego małoletniego syna, Ludwika XIII; za sprawą magnatów, zazdroścących im wpływów i bogactwa, zginęli oboje w r. 1617: Concini zamordowano, jego żonę zaś uwikłano w proces o czary i spalono na stosie.

– Żle pani czyni. W tej chwili rodzina, słusznie zaniepokojona, skarży margrabiego...

– Boże litosierny! – wykrzyknęła dobra kobieta, wstając żywo. – Czyżby mu groziło, że go będą nękać z mojego powodu? Najlepszy z ludzi, człowiek, który nie ma równego w świecie! Nimby go miało spotkać najmniejsze zmartwienie, śmiem powiedzieć, nimby mu miał włosk jeden spaść z głowy, raczej oddalibyśmy wszystko, panie sędzio. Niech pan to zapisze w swoich papierach. Boże litosierny, lecę powiedzieć synkowi, co się święci. A to ładna ładność!

I korpulentna dama wstała, wyszła, stoczyła się po schodach i znikła.

„Ta nie kłamie – rzekł w duchu sędzia. – Ano, dowiem się wszystkiego jutro, bo jutro pójdę do margrabiego d'Espard.”

Ludzie, którzy minęli wiek, gdy człowiek rozrzuca swoje życie na prawo i lewo, znają wpływ, jaki na bieg doniosłych wypadków wywierają zdarzenia na pozór obojętne, i nie zdziwią się wadze, jaką przywiązujemy do następującego faktu: nazajutrz Popinot miał katar, chorobę zresztą bez znaczenia. Nie mogąc przewidzieć ważności odwołki, sędzia, który miał trochę gorączki, został w domu i nie poszedł przesłuchać margrabiego d'Espard. Ten stracony dzień był w owej sprawie tym, czym w dniu zwanym *Journée des Dupes*<sup>52</sup> była filiżanka bulionu Marii Medycejskiej, która to filiżanka bulionu, opóźniając jej widzenie z Ludwikiem XIII, pozwoliła Richelieuowi przybyć wcześniej do Saint-Germain i pochwyć swego królewskiego jeńca. Zanim udamy się z sędzią i jego pisarzem do margrabiego d'Espard, trzeba nam będzie rzucić okiem na dom, na mieszkanie i na interesy tego ojca rodziny, przedstawionego za wariata w skardze jego żony.

Spotyka się tu i ówdzie w starych dzielnicach Paryża budowle odsłaniające archeologowi niejaką chęć ozdobienia miasta oraz owo zamięłowanie własności, które każe dbać o trwałość budowli. Dom, w którym mieszkał wówczas pan d'Espard przy ulicy Montagne-Sainte-Geneviève, był to jeden z owych starożytnych budynków z ciosowego kamienia, o architekturze nie pozbawionej pewnego przepychu; ale czas poczercił kamień oraz skaził zewnętrzny i wewnętrzny wygląd domu. Skoro dostojne osobistości, które mieszały niegdyś w dzielnicy uniwersyteckiej, opuściły ją wraz z wielkimi instytucjami duchownymi, starożytna ta siedziba przygarnęła rzemiosła i mieszkańców, dla których nigdy nie była przeznaczona. W zeszłym wieku drukarnia splugawiła posadzki, pobrudziła boazerie, poczerzyła ściany, zniszczyła urządzenia wewnętrzne. Ten pański dom, niegdyś pałac kardynała, był dziś wydany pokątnym lokatorom. Styl architektury wskazywał, że go zbudowano za panowania Henryka III, Henryka IV i Ludwika XIII, w epoce gdy budowano w okolicy pałace Mignon, Serpente, pałac księżnej Palatynatu i Sorbonę. Starzec jakiś przypominał sobie, że słyszał w zeszłym wieku, jak go nazywano pałacem Duperron. Było prawdopodobne, że ten znamienity kardynał zbudował go lub tylko w nim mieszkał. Jest w istocie w dziedzińcu ganek o kilku stopniach, którym wchodzi się do domu, schodzi się zaś do ogrodu drugim gankiem, zbudowanym w środku wewnętrznej fasady. Mimo uszkodzeń zbytek rozwinięty przez architekta w balustradach tych dwóch ganków zwiastuje naiwną intencję utrwalenia nazwiska właściciela: rodzaj rzeźbionego kalamburu, na jaki pozwalali sobie często nasi przodkowie. Wreszcie na poparcie tego dowodu archeologowie mogą dojrzeć w tympanach zdobiących dwie główne fasady jakiś ślad sznurów kardynalskiego kapelusza.

Margrabia d'Espard zajmował parter z pewnością dlatego, aby mieć używalność ogrodu, który mógł uchodzić w tej dzielnicy za obszerny i znajdował się od południa: dwie korzyści, których nieodzownie wymagało zdrowie jego dzieci. Położenie domu przy ulicy, której nazwa świadczy o bystrym spadku, sprawiało, iż na parterze tym, dość wysokim, nie było nigdy wilgoci. Pan d'Espard najął zapewne swoje mieszkanie za bardzo skromną sumę, czynsze bo-

<sup>52</sup> *Journée des Dupes* – tzn. „dzień oszukanych”: tak nazywa się spiszek, który w r. 1630 uknuła przeciw kardynałowi Richelieuowi Maria Medycejska, matka Ludwika XIII, a który Richelieu zdołał na czas udaremnić, dzięki czemu utrzymał się przy władzy.

wiem były niskie w epoce, gdy osiadł w tej dzielnicy, aby być w pobliżu szkoły i czuwać nad wychowaniem synów. Zresztą stan, w jakim wziął ten lokal, gdzie wszystko trzeba było naprawiać, musiał skłonić gospodarza do ustępstw. Pan d'Espard mógł tedy, nie ściągając na siebie zarzutu szaleństwa, poczynić w mieszkaniu nieco wkładów, aby się urządzać przyzwyczajcie. Wysokość pokoi, ich rozmieszczenie, boazerie, z których zostały jedynie ramy, deseń sufitów, wszystko oddychało ową wielkością, jaką Kościół wycisnął na rzeczach podjętych lub stworzonych przez siebie, a którą artyści odnajdują dziś w najdrobniejszych pozostałych fragmentach, choćby to była tylko książka, strój, ściana biblioteki lub fotel. Malowania, zarządzane przez margrabiego, utrzymane były w owych tonach umiłowanych Holandii i dawnemu mieszczaństwu paryskiemu, a które dziś kuszą pędzel rodzajowych malarzy. Obicie było z gładkiego papieru, harmonizującego z malaturą. W oknach firanki z materii niedrogiej, ale dobranej tak, aby była w zgodzie z całością. Mebli niewiele, ale rozmieszczone ze smakiem. Ktokolwiek wchodził do tego mieszkania, nie mógł się oprzeć jakiemuś miłemu i kojącemu uczuciu, wzbudzonemu głębokim spokojem, ciszą, która tam panowała, dyskrecją i jednością koloru w tym znaczeniu, jak rozumieją ten wyraz malarze. Pewna wytworność szczegółów, nieskazitelna czystość mebli, doskonała harmonia między ramą a mieszkańcami, wszystko składało się na to uczucie słodczy. Mało kto był dopuszczony do tych apartamentów zamieszkałych przez margrabiego i jego dwóch synów, których życie mogło się zdawać tajemnicze całemu sąsiedztwu.

W części mieszkania wychodzącej na ulicę, na trzecim piętrze, znajdowały się trzy wielkie pokoje w stanie zniszczenia i komicznego niemal ogołocenia, w jakim je zostawiła drukarnia. Te trzy pokoje, przeznaczone na produkcję „Historii Chin w obrazach”, były urządzone tak, aby mogły pomieścić biuro, magazyn i gabinet, w którym spędzał pan d'Espard część dnia; po śniadaniu bowiem, aż do czwartej, margrabia zamykał się w gabinecie na trzecim piętrze, aby czuwać nad swoim wydawnictwem. Osoby, które doń zachodziły w odwiedziny, zastawały go przeważnie tam. Często, wróciwszy ze szkoły, dzieci udawały się do tego biura. Pokoje na parterze tworzyły sanktuarium, gdzie ojciec i synowie przebywali do obiadu. Życie rodzinne margrabiego było tedy bardzo zamknięte. Za całą służbę miał kucharkę, starszkę z dawna przywiązaną do domu, oraz czterdziestoletniego lokaja, jeszcze z kawalerskich czasów margrabiego. Niania dzieci została przy nich. Drobiazgowość starania, o jakich świadczył wygląd apartamentu, dowodziły poczucia porządku, macierzyńskiej czułości tej kobiety dla całego domu, dla pana i jego dzieci. Tych troje znacznych ludzi – wszyscy poważani i mało udzielający się – zdawało się pojmywać myśl, jaka przyświecała życiu margrabiego. Kontrast między ich obyczajem a nawykami większości służących stanowił osobliwość, która dawała temu domowi coś tajemniczego i wiele się przyczyniła do potwarzy, jakim sam pan d'Espard dawał pokarm. Chwalebne pobudki skłoniły go do unikania znajomości z innymi mieszkańcami domu. Podejmując wychowanie chłopców, pragnął ich ustrzec od wszelkiej styczności z obcymi. Może chciał także uniknąć nudy sąsiedzkich obowiązków. W człowieku jego urodzenia, w epoce, gdy liberalizm skupiał się zwłaszcza w Dzielnicy Łacińskiej, postępowanie to musiało budzić przeciw margrabiemu drobne namiętności, uczucia, których głupotę można porównać jedynie z ich małością – stąd plotki kuchenne, jadowite, sąsiedzkie komentarze, o których pan d'Espard i jego służba nie mieli pojęcia. Jego służący uchodził za jezuitę, kucharka za szelmę, bona porozumiewała się z panią Jeanrenaud, aby obłupić wariata! Wariatem był margrabia. Lokatorzy uznali stopniowo za szaleństwo mnóstwo rzeczy spostrzeżonych u pana d'Espard i przesianych przez sito ich sądów. Nie wierząc w powodzenie jego wydawnictwa o Chinach, wmówili w gospodarza domu, że pan d'Espard jest bez grosza, skoro przez zapomnienie, częste u ludzi zajętych, dopuścił do tego, że poborca przesłał mu pozew o zapłacenie zaległej raty. Właściciel zażądał wówczas z dniem 1 stycznia czynszu, przesyłając kwit, który odzwierciedla z umysłu przetrzymała. Piętnastego doręczono nakaz płatniczy, odzwierciedla oddała go późno panu d'Espard, który wziął ten akt za nieporozumienie, nie przypuszczając złej woli



ze strony człowieka, u którego mieszkał od dwunastu lat. Dokonano u margrabiego zajęcia, w chwili właśnie gdy jego służący udał się z komornym do właściciela. Zajęcie to, złośliwie opowiedziane osobom, z którymi był wówczas w stosunkach wydawniczych, zaniepokoiło niektórych wątpiących już wprzód o wypłacalności pana d'Espard z przyczyny olbrzymich sum, które (jak mówiono) wyłudzał od niego Jeanrenaud wraz z matką. Podejrzenia lokatorów, wierzycieli i właściciela były zresztą niemal usprawiedliwione ścisłą oszczędnością, jaką margrabia stosował w swoim trybie życia. Żył tak jak człowiek zrujnowany. Służba jego płaciła gotówką wszystkie potrzeby i postępowała tak, jak ludzie, którzy nie chcą kredytu; gdyby chcieli wziąć cokolwiek na słowo, może by im odmówiono, tak bardzo oszczercze plotki zyskały wiarę w sąsiedztwie. Często kupcy lubią kundmanów, którzy im płacą źle, ale z którymi są w stałych stosunkach, podczas gdy nienawidzą wybornych klientów, którzy onieśmielają ich swą dumą. Ludzie są tacy. Prawie we wszystkich klasach użyczają lichym ludziom, którzy im schlebiają, względów i łask odmawianych ludziom wyższym, których wyższość rani ich zawsze, bez względu na sposób, w jaki się objawia. Sklepiarz, który pyskuje na dwór, ma swoich dworaków.

Tryb życia margrabiego i jego dzieci musiał nastroić nieprzychylnie sąsiadów i doprowadzić ich nieznacznie do tego stopnia niechęci, w którym ludzie nie cofają się już przed podłością, byle zaszkodzić wrogowi, którego sobie wyroili. Pan d'Espard był szlachcicem, żona jego była wielką damą: dwa wspaniałe typy tak rzadkie we Francji, że można by policzyć osoby będące pełnym ich wcieleniem. Te dwa typy wspierają się na zasadach, na wierzeniach niejako wrodzonych, na przyzwyczajeniach nabranych od dzieciństwa; ale dziś już się ich nie spotyka. Aby wierzyć w czystą krew, w uprzywilejowaną rasę, czyż nie trzeba się wznieść myślą ponad innych, czy nie trzeba od samego urodzenia mieć zmierzyć przestrzeń, jaka dzieli patrycjuszów od ludu? Aby rozkazywać, trzeba nie znać sobie równych. Czyż nie trzeba wreszcie, aby wychowanie wszczepiło idee, które natura tchnie w wielkich ludzi, wkładając im na czoło koronę, zanim matka zdąży złożyć na nim pocałunek? Te pojęcia i to wychowanie nie są już możliwe we Francji, gdzie od czterdziestu lat przypadek przywłaszczył sobie prawo czynienia z ludzi szlachty, kąpiąc ich we krwi bitew, złocąc ich chwałą, wieńcząc aureolą geniuszu; gdzie zniesienie majoratów, rozdrabnianie dziedzictwa, zmusza szlachcica do zajmowania się swoimi sprawami zamiast sprawami państwa i gdzie wyniesienie osobiste może być tylko nabyte po latach cierpliwej pracy: era zupełnie nowa. Brany jako szczątek owego wielkiego ciała nazwanego feudalizmem, pan d'Espard zasługiwał na podziw i szacunek. Jeżeli się uważał za wyższego krwią od innych, wierzył również we wszystkie obowiązki szlachectwa; posiadał cnoty i siłę, jakich ono wymaga. Wychował synów w swoich zasadach i udzielił im od kolebki religii swojej kasty. Głębokie poczucie swojej godności, duma z nazwiska, pewność, że są wielcy przez samych siebie, zrodziły w nich królewską dumę, odwagę rycerzy i opiekuńczą dobroć kasztelanów, panów zamku; formy ich, będące w harmonii z ich pojęciami, formy, które wydałyby się urocze u książąt krwi, drażniły cały świat z ulicy Monitagne-Sainte-Geneviève, krainy równości, gdzie zresztą uważano pana d'Espard za bankruta i gdzie od najmniejszego do największego wszyscy odmawiali szlachectwa szlachcicom bez pieniędzy z tej samej racji, z jaką każdy pozwala je uzurpować zubożonym mieszczuchom. Tak więc brak styczności między tą rodziną a innymi osobami istniał zarówno pod względem moralnym jak fizycznym.

U ojca jak u synów zewnętrzna postać i dusza harmonizowały z sobą. Pan d'Espard, wówczas liczący około pięćdziesięciu lat, mógł służyć za typ arystokracji rodowej w XIX wieku. Był to szczupły blondyn; rysunek twarzy oraz jej ogólny charakter miały ową wrodzoną dystynkcję, która zwiastuje szlachetność uczuć, ale miała ona wyraz rozmyślnego chłodu, który zbytnio nakazywał szacunek. Jego orli nos był nieco skrzywiony na końcu, lekka nieprawidłowość nie bez wdzięku; niebieskie oczy, wysokie i wydatne czoło, na którym linia brwi tworzyła gęsty sznurek zacieniający oczy, zdradzały duszę prawą, zdolną do wytrwałości,

nieskazitelną uczciwość, ale dawały zarazem dziwny wyraz jego fizjonomii. To wysklepienie czoła mogło istotnie czynić wrażenie jakiejś odrobiny szaleństwa, a jego gęste, zrosnięte brwi podkreślały jeszcze ten dziwaczny pozór. Ręce miał białe i arystokratycznie wypiełgnowane, stopy wąskie, wysokie na podbiciu. Jego jak gdyby wahająca się mowa nie tylko w wymowie trąciła jękami, ale i w wyrażaniu myśli. Myśli jego i słowa budziły w słuchaczu wrażenie człowieka, który krąży, który – aby użyć pospolitego słowa – *maca*, dotyka wszystkiego, przerywa sobie gestami i niczego nie kończy. Ta wada, czysto zewnętrzna, stanowiła kontrast z rysunkiem ust pełnych stanowczości, ze zdecydowanym charakterem całej fizjonomii. Chód trochę nierówny miał coś z jego sposobu mówienia. Oryginalności te przyczyniały się do potwierdzenia jego rzekomego szaleństwa. Mimo swego wykwintu margrabia był co do własnej osoby systematycznie oszczędny; nosił parę lat ten sam surdut, czyszczony nadzwyczaj pilnie przez starego lokaja.

Co się tyczy chłopców, obaj byli piękni i obdarzeni wdziękiem, który nie wykluczał wyrazu arystokratycznej wzdargy. Mieli ową żywą płeć, świeżość spojrzenia, przejrzystość cery, która świadczy o czystych obyczajach, regularnym trybie życia, systematyczności pracy i zabawy. Obaj mieli czarne włosy i niebieskie oczy, nos skrzywiony nieco jak u ojca, ale może po matce wzięli ową godność w słowie, spojrzeniu i wzięciu, dziedziczną w rodzie Blamont-Chauvry. Głos ich, świeży jak kryształ, posiadał wymowę i zniewalającą miękkość; był to głos, który kobieta chciałaby usłyszeć, uczuwszy płomień ich spojrzeń. Ci dumni chłopcy zachowali jakąś skromność, niewinną surowość, jakies *noli me tangere*<sup>53</sup>, które później mogłyby się zdać wyrachowaniem, tak bardzo wzięcie to budziło chęć poznania ich. Starszy, hrabia Klemens de Nègrepelisse, zaczynał szesnasty rok. Od dwóch lat porzucił zgrabną angielską kurteczkę, którą zachował jeszcze jego brat, wicehrabia Kamil d'Espard. Hrabia, który już od pół roku nie uczęszczał do kolegium Henryka IV, ubrany był jak młody człowiek kosztujący pierwszych rozkoszy elegancji. Ojciec nie chciał go skazywać bez potrzeby na rok filozofii; starał się dać jego wiadomościom kręgosłup w studium transcendentalfj matematyki. Równocześnie margrabia uczył go języków wschodnich, prawa dyplomatycznego Europy, heraldyki i historii; ale historii w jej źródłach, dokumentach, w autentycznych pomnikach, w zbiorze edyktów. Kamil przeszedł świeżo do retoryki.

Dzień, który sędzia Popinot obrał na przesłuchanie pana d'Espard, był to czwartek, dzień wolny. Zanim ojciec się obudził koło dziewiątej, chłopcy bawili się w ogrodzie. Klemens słabo się bronił naleganiom brata, który chciał iść pierwszy raz do strzelnicy i prosił Klemensa, aby go poparł u ojca. Wicehrabia nadużywał zawsze nieco swojej słabości, choć lubił dla zabawy walczyć z bratem. Zaczęli się kłócić i bić, bawiąc się jak uczniaki. Uganiając po ogrodzie, hałasem swoim zbudzili ojca, który ukazał się w oknie, nie spostrzeżony przez nich w zapale walki. Margrabia patrzył z przyjemnością na chłopców, którzy oplatali się o siebie jak węże, z buziakami zaczerwienionymi wysiłkiem. Twarze ich były białe i różowe, oczy rzucały błyskawice, członki ich skręcały się jak struny w ogniu; padali, podnosili się, zrywali jak dwaj atleci w cyrku, dając widokiem swoim ojcu szczęście, które nagrodziłoby najżywsze zgryzoty burzliwego życia. Dwie osoby, jedna na drugim piętrze, druga na pierwszym, wyglądały na ogród i oznajmiły zaraz, że stary wariat bawi się tym, aby kazać bić się z sobą dzieciom. Natychmiast liczne głowy ukazały się w oknach: margrabia spostrzegł to, rzekł coś synom, którzy natychmiast wdrapali się na okno i wskoczyli do jego pokoju, po czym Klemens uzyskał upragnione przez Kamila pozwolenie. A cały dom trząsł się od nowego szaleństwa margrabiego.

Kiedy Popinot zjawił się koło południa w towarzystwie swego pisarza i spytał w bramie o pana d'Espard, odzwierna zaprowadziła go na trzecie piętro, opowiadając, że pan d'Espard nie

---

<sup>53</sup> *Noli me tangere* (łac.) – nie dotykaj mnie (słowa te wyrzekł zmartwychwstały Chrystus do Marii Magdaleny).

dalej niż dziś rano kazał się bić swoim dzieciom i śmiał się – co za potwór! – widząc, jak młodszy ugryzł starszego do krwi: z pewnością chce, aby się pouśmiercali.

– Niech go się pan spyta, czemu! – dodała. – Sam nie wie.

W chwili gdy odźwierna wydawała ten ostateczny wyrok, sędzia znajdował się na trzecim piętrze na wprost drzwi, oblepionych afiszami oznajmiającymi kolejne ukazywanie się zeszytów „Historii Chin w obrazach”. Te zabłocone schody, ta brudna poręcz, te drzwi, na których drukarnia zostawiła swoje piętno, to okno poszczerbione i te sufity, na których chłopcy drukarscy malowali potworności dymiącym płomieniem swoich świec, stopy papierów i śmieci, nagromadzonych po kątach rozmyślnie albo z niedbalstwa, słowem, cały ten obraz tak dobrze godził się z faktami przytoczonymi przez margrabinę, że mimo swej bezstronności sędzia mimo woli uwierzył.

– Jest pan na miejscu; oto fabryka, gdzie Chińczyki zjadają tyle, ile by starczyło na wyżywienie całej dzielnicy.

Pisarz popatrzał na sędziego z uśmiechem; Popinot z pewnym trudem zachował powagę. Weszli do pierwszego pokoju, gdzie znajdował się starszy człowiek, pełniący widocznie obowiązki równocześnie woźnego, subiekta i kasjera. Starzec ten był to totumfacki Chin. Długie półki, na których piętrzyły się wydane już zeszyty, stroiły ściany tego pokoju. W głębi drewniane przepierzenie z kratką i zielonymi firankami tworzyło gabinet. Otwór przeznaczony na przyjmowanie lub wydawanie pieniędzy wskazywał siedzibę kasy.

– Pan d'Espard? – rzekł Popinot, zwracając się do tego człowieka, ubranego w szarą bluzę.

Woźny otworzył drzwi do drugiego pokoju, gdzie sędzia i jego pisarz ujrzeli czcigodnego starca z białymi włosami, w skromnym ubraniu, ozdobionego krzyżem Świętego Ludwika, siedzącego przy biurku. Starzec przerwał porównywanie kolorowych kartek, aby się przyjrzeć dwom przybyłym. Pokój ten to było skromne biuro, wypełnione książkami i korektami. Był tam czarny drewniany stół, gdzie z pewnością pracowała osoba nieobecna w tej chwili.

– Czy pan margrabia d'Espard? – rzekł Popinot.

– Nie, panie – rzekł starzec, wstając. – Czego pan sobie od niego życzy? – dodał, podchodząc i zdradzając swoim wzięciem wykwent form oraz doskonale wychowanie.

– Chcielibyśmy z nim mówić w sprawach ściśle osobistych – odparł Popinot.

– D'Espard, panowie chcą z tobą mówić – rzekł wówczas nieznajomy, wchodząc do ostatniego pokoju, gdzie margrabia siedział przy kominku i czytał dziennik.

W gabinecie tym znajdował się zniszczony dywan, okna były przybrane szarymi, płóciennymi firankami, było tam tylko kilka mahoniowych krzeseł, dwa fotele, sekretarzyk, biurko, na kominku tani zegar i dwa stare kandelabry. Starzec wprowadził Popinota i jego pisarza, podał im krzesła, jak gdyby był panem domu, a pan d'Espard pozwolił mu się wyręczać. Po wzajemnych ukłonach, w czasie których sędzia przyglądał się rzekomemu wariatowi, margrabia spytał oczywiście, jaki jest cel ich wizyty. Tu Popinot popatrzał na starca i na margrabiego z miną dość znaczącą.

– Sądzę, panie margrabio – odparł – że charakter moich czynności i badanie, które mnie tu sprowadza, żądają, abyśmy byli sami, mimo że jest w intencji prawa, aby w takich wypadkach przesłuchanie miało pewien rozgłos w domu. Jestem sędzią przy trybunale pierwszej instancji departamentu Sekwany, wydelegowanym przez pana prezydenta, aby pana przesłuchać co do faktów wyszczególnionych w prośbie o kuratele, przedłożonej przez margrabinę d'Espard.

Starzec wyszedł. Kiedy sędzia i jego podsądny znaleźli się sami, pisarz zamknął drzwi i usadowił się bez ceremonii przy biurku, gdzie rozwinął swoje papiery, i zabierał się do protokołu. Popinot nie przestał obserwować pana d'Espard; śledził wrażenie, jakie wywrze na nim to oświadczenie, tak okrutne dla człowieka w pełni władz. Margrabia d'Espard, którego twarz była zazwyczaj blada jak twarze blondynów, zaczerwienił się nagle z gniewu, wstrząsnął się lekko, usiadł, położył dziennik na kominku i spuścił oczy. Niebawem odzyskał arystokratycz-

ną godność; przyjrzał się sędziemu, jak gdyby szukając w jego fizjonomii znamion jego charakteru.

– W jaki sposób, panie sędzio, nie uprzedzono mnie o podobnej skardze? – zapytał.

– Panie margrabio... Ponieważ osobę, nad którą żąda się kurateli, uważa się za nie będącą przy zdrowych zmysłach, powiadomienie o skardze jest zbyt późne. Obowiązkiem trybunału jest przede wszystkim sprawdzić twierdzenia strony.

– Zupełnie słusznie – odparł margrabia. – A więc, panie sędzio, niech mi pan wskaże sposób, w jaki mam się zachować...

– Tylko odpowiadać na moje pytania, nie opuszczając żadnego szczegółu. Choćby przyczyny, które pana skłoniły do postępowania w sposób, który dostarczył pani d'Espard pozorów do jej skargi, były najdrażliwsze, niech pan mówi bez obawy. Zbyt późne będzie zwrócić pańską uwagę, że sąd zna swoje obowiązki i że w podobnych okolicznościach najgłębsza tajemnica...

– Panie sędzio – rzekł margrabia, którego rysy wyrażały szczerzy ból – gdyby z moich wyjaśnień wynikała nagana postępowania pani d'Espard, co by się wówczas stało?

– Trybunał mógłby dać wyraz tej naganie w motywach swego wyroku.

– Czy ta nagana jest warunkowa? Gdybym ułożył się z panem, zanim odpowiem, że nie wyniknie żadna przykrość dla pani d'Espard w razie, jeśli pańskie sprawozdanie będzie dla mnie korzystne, czy trybunał uwzględniłby moją prośbę?

Sędzia popatrzał na margrabiego; ci dwaj ludzie wymienili myśli jednako szlachetne.

– Noël – rzekł sędzia do pisarza – przejdź pan do drugiego pokoju. Kiedy będzie potrzeba, zawołam pana... Jeżeli, jak jestem skłonny przypuszczać, zachodzą w tej sprawie nieporozumienia, mogę panu przyrzec, panie margrabio, że na pańską prośbę trybunał postąpi sobie z całą oględnością – podjął sędzia, kiedy pisarz wyszedł. – Jest więc pierwszy fakt, przytoczony przez panią d'Espard, najpoważniejszy ze wszystkich, co do którego poproszę pana o wyjaśnienie – rzekł sędzia po pauzie. – Chodzi o trwonienie pańskiego majątku na korzyść niejakej pani Jeanrenaud, wdowy po przewoźniku, lub raczej na korzyść jej syna, pułkownika, któremu pan wystarał się o stanowisko, dla którego jakoby wyczerpał pan łaskę, jakiej zażywałeś u króla, wobec którego wreszcie posunąłeś swą opiekę tak daleko, iż nastęrczyłeś mu korzystne małżeństwo. Podanie pani margrabiny podsuwa myśl, że ta przyjaźń przekracza w swoim oddaniu wszystkie uczucia, nawet te, które moralność potępia...

Nagły rumieniec zabarwił twarz i czoło margrabiego; nabiegły mu nawet łzy do oczu, rzęsy jego zwilżyły; następnie słuszna duma zdławiła tę wrażliwość, która u mężczyzny uchodzi za słabość.

– W istocie, panie sędzio – odparł margrabia zmienionym głosem – stawia mnie pan w szczególnie trudnym położeniu. Pobudki mego postępowania miały umrzeć wraz ze mną... Aby o nich mówić, musiałbym panu odsłonić tajemne rany, wydać panu honor mojej rodziny i – rzecz delikatna, którą pan zrozumie – mówić o sobie. Mam nadzieję, panie sędzio, że to wszystko zostanie między nami. Potrafi pan znaleźć w formach sądowych sposób, który by pozwolił wydać wyrok bez poruszania moich zeznań...

– Pod tym względem wszystko jest możliwe, panie margrabio.

– Zatem, panie sędzio – rzekł pan d'Espard – w jakiś czas po moim małżeństwie żona moja poczyniła tak wielkie wydatki, że musiałem uciec się do pożyczki. Wie pan, jakie było położenie szlachty w czasie rewolucji. Nie wolno mi było mieć intendenta ani pełnomocnika. Dziś prawie wszyscy z nas muszą sami prowadzić swe interesy. Większość naszych dokumentów ojciec mój przewiózł z Languedoc, z Prowansji lub z Comtat do Paryża, w obawie, dosyć usprawiedliwionej, dochodzeń, jakie archiwa rodzinne i w ogóle to, co nazywano wówczas pergaminami arystokratów, ścigały na ich właścicieli. Nazywamy się z rodu Nègrepelisse. D'Espard to jest tytuł nabyty za Henryka IV drogą związku, który nam dał majątki i tytuły domu d'Espard, pod warunkiem, że pomieścimy nad naszym herbem tarczę d'Espardów, starej

rodziny bearneńskiej, spokrewnionej z domem d'Albret po kądzieli i mającej *Des partem leonis*<sup>54</sup> za dewizę. W dobie owego związku straciliśmy Nègrepelisse, małe miasteczko równie sławne w czasie wojen religijnych, jak sławnym był wówczas przodek mój noszący to nazwisko. Kapitana de Nègrepelisse zrujnował pożar jego majątków, protestanci bowiem nie oszczędzali przyjaciela Montluca<sup>55</sup>. Korona okazała się niesprawiedliwa wobec pana de Nègrepelisse; nie dostał ani buławy marszałkowskiej, ani zarządu prowincji, ani odszkodowania: król Karol IX, który go kochał, umarł nie zdoławszy go nagrodzić; Henryk IV zapewnił mu małżeństwo z panną d'Espard i wzbogacił go dobrami tego domu, ale wszystkie dobra Nègrepelisse'ów przeszły już w ręce wierzycieli. Mój praszczur, margrabia d'Espard, znalazł się, jak ja, dość młodo głową rodziny wskutek śmierci swego ojca, który, strwoniwszy majątki żony, zostawił mu jedynie substytuowane ziemie d'Espardów, ale obciążone wianem wdowim. Młody margrabia d'Espard był w tym cięższych warunkach, ile że piastował szarżę dworską. Szczególnie lubiany przez Ludwika XIV, znalazł w jego łasce drogę do fortuny. Tutaj, panie sędzio, padła na naszą tarczę herbową plama nikomu nie znana, okropna, plama z błota i krwi, którą ja staram się zmyć. Odkryłem tę tajemnicę w aktach dotyczących dóbr Nègrepelisse i w plikach korespondencji.

W tej uroczystej chwili margrabia nie jękał się mówiąc, słowa jego były wolne od zwykłych kołowań; każdy mógł zauważyć, że osoby, które w zwykłym toku dotknięte są tymi dwiema wadami, tracą je w chwili podniecenia.

– Przyszło odwołanie edyktu nantejskiego<sup>56</sup> – podjął. – Nie wie pan może, że dla wielu faworytów była to sposobność do fortuny. Ludwik XIV darował wielu magnatom dworu ziemie skonfiskowane protestanckim rodzinom, które nie dopełniły jakichś formalności przy sprzedaży swoich dóbr. Wielu faworyzowanych puściło się, jak mówiono wówczas, na polowanie na protestantów. Nabyłem pewności, że obecny majątek dwóch książęcych rodzin powstał z ziem skonfiskowanych nieszczęśliwym kupcom. Nie będę tłumaczył panu, prawnikowi, sztuczek użytych, aby zastawić pułapki uciekającym, którzy unosili z sobą wielkie fortuny: niech panu wystarczy wiadomość, że dobra Nègrepelisse, złożone z dwudziestu dwóch wiosek i praw nad miastem, że dobra Gravenges, które niegdyś należały do nas, znajdowały się w rękach rodziny protestanckiej. Mój dziadek doszedł do nich drogą darowizny z ręki Ludwika XIV. Donacja ta opierała się na aktach nacechowanych straszliwą niesprawiedliwością. Właściciel tych dwu majątków, sądząc, że będzie mógł wrócić do Francji, uczynił fikcyjną sprzedaż i udał się do Szwajcarii, do rodziny, którą tam wysłał naprzód. Chciał z pewnością skorzystać ze wszystkich terminów pozostawionych dekretem, aby uregulować swoje interesy. Człowieka tego zatrzymano na rozkaz gubernatora; posiadacz fideikomisu wyznał prawdę, biednego kupca powieszono, ojciec mój otrzymał oba majątki. Rad byłbym nie znać udziału, jaki przodek mój miał w tej intrydze, ale gubernator był jego wujem i przeczytałem na nieście list, w którym prosi go, aby się zwrócił do Deodata, imię umówione między dworakami, gdy mówili o królu. Panuje w tym liście, gdy mowa o ofierze, żartobliwy ton, który mnie przejął dreszczem. Wreszcie, panie sędzio, sumy wysłane przez rodzinę zbiegów, aby okupić życie biednego człowieka, utonęły w rękach gubernatora, który mimo to uśmiercił kupca.

Margrabia d'Espard zatrzymał się, jakby te wspomnienia były jeszcze dla niego zbyt ciężkie.

<sup>54</sup> *Des partem leonis* (łac.) – daj lwia część.

<sup>55</sup> Blaise de Montluc (1501–1577) – wódz francuski, brał udział we wszystkich wojnach Franciszka I, za Henryka II wstawił się obroną Sieny przeciw wojskom cesarskim (1555); podczas wojen religijnych z wielkim okrucieństwem zwalczał hugonotów; jest autorem „Komentarzy”, zawierających cenne przyczynki do dziejów ówczesnej Francji.

<sup>56</sup> Edykt nantejski – ogłoszony we Francji przez Henryka IV w r. 1598, zapewniał protestantom francuskim wolność religijną i prawa obywatelskie; odwołanie go w r. 1685 przyniosło Francji wielkie szkody pod względem politycznym i gospodarczym.

– Ten nieszczęśliwy nazywał się Jeanrenaud – podjął. – Nazwisko to powinno panu wytłumaczyć moje postępowanie. Nie mogłem bez najżywszego bólu myśleć o tajemnej hańbie, jaka ciążyła na mojej rodzinie. Ten majątek pozwolił memu dziadowi zaślubić pannę de Navarreins-Lansac, dziedziczkę młodszej linii, o wiele bogatszej wówczas niż starsza linia Navarreins. Mój ojciec stał się wówczas jednym z najbogatszych panów w kraju. Mógł zaślubić moją matkę, pannę de Grandlieu, z młodszej linii. Mimo iż źle nabyte, dobra te dziwnie nam wyszły na szczęście. Postanowiwszy rychło wynagrodzić zło, napisałem do Szwajcarii i nie miałem spokoju, dopóki nie znalazłem śladu spadkobierców protestanta. Dowiedziałem się wreszcie, iż Jeanrenaudowie, doprowadzeni do ostatecznej nędzy, opuścili Fryburg i wrócili do Francji. Wreszcie odkryłem w imię panu Jeanrenaud, prostym poruczniku kawalerii za Bonapartego, spadkobiercę tej nieszczęśliwej rodziny. W moich oczach, proszę pana, prawo tych Jeanrenaud było jasne. Dla faktu przedawnienia czyż nie trzeba było, aby grabież mogła być zaczepiona? Do jakiej władzy wychodźcy mieli się uciec? Ich trybunał był w niebie lub raczej, proszę pana, trybunał był tutaj – rzekł margrabia, uderzając się w serce. – Nie chciałem, aby moje dzieci mogły myśleć o mnie to, co ja pomyślałem o moim ojcu i o moich przodkach; chciałem im przekazać ojcowiznę i herb bez zmały, nie chciałem, aby szlachectwo było kłamstwem w mojej osobie. Wreszcie, politycznie biorąc, czy emigranci, którzy protestują przeciw konfiskatom rewolucyjnym, powinni sami zachować majątki będące owocem konfiskat uzyskanych przez zbrodnie? Natknąłem się u pana Jeanrenaud i jego matki na najsurowszą uczciwość: gdyby ich słuchać, pomyślałby ktoś, że to oni mnie obdzierają. Mimo moich nalegań przyjęli jedynie tę wartość, jaką miały ich dobra w dniu, gdy moja rodzina otrzymała je od króla. Ustaliliśmy wspólnie tę sumę na milion sto tysięcy franków, których spłatę zostawili do mojej możliwości, bez procentów. Aby to osiągnąć, musiałem się wyzuć z moich dochodów na długi czas. Tutaj, proszę pana, zaczęła się strata niektórych iluzji, jakie sobie czyniłem co do charakteru pani d'Espard. Kiedy jej zaproponowałem, aby opuścić Paryż i udać się na prowincję, gdzie z połową jej dochodów moglibyśmy żyć przyzwoicie i osiągnąć rychlej restytucję (o której jej powiedziałem, nie zdradzając wszakże całej doniosłości faktów), potraktowała mnie jak wariata. Poznałem wówczas prawdziwy charakter mojej żony: byłaby pochwaliła bez skrupułów postąpienie mojego dziada i byłaby sobie drwiła z hugonotów! Przerażony jej chłodem, jej obojętnością dla dzieci, które mi oddała bez żalu, postanowiłem jej zostawić majątek, po spłaceniu wspólnych długów. Nie jej zresztą rzeczą było płacić za moje głupstwa, rzekła. Nie mając dość środków na to, aby żyć i aby nastarczyć na wychowanie dzieci, postanowiłem wychowywać je sam i uczynić z nich dzielnych ludzi i szlachciców. Lokując moje dochody w rencie państwowej, zdołałem się wypłacić o wiele wcześniej, niż myślałem, wyzyskałem bowiem korzyści, jakie dała szybka zwyczajka renty. Zachowując cztery tysiące franków dla synów i dla siebie, mógłbym być płacić jedynie sześćdziesiąt tysięcy franków, co byłoby wymagało niemal osiemnastu lat, aby dopełnić dzieła oczyszczenia, podczas gdy niedawno spłaciłem resztę miliona stu tysięcy, które byłem winien. Tak więc mam to szczęście, iż dokonałem tej restytucji, nie wyrządzając żadnej szkody moim dzieciom. Oto, panie sędzio, powód sum oddawanych pani Jeanrenaud i jej synowi.

– Zatem – rzekł sędzia, hamując wzruszenie, jakim przejęła go ta opowieść – pani margrabina знаła pobudki pańskiego usunięcia się od świata?

– Tak, panie.

Popinot uczynił wymowny gest, wstał nagle i otworzył drzwi.

– Noël, możesz sobie iść – rzekł do pisarza. – Panie margrabio – rzekł sędzia – mimo że to, co pan mi powiedział, wystarcza, aby mnie oświecić, pragnąłbym pana wysłuchać w przedmiocie innych faktów przytoczonych w podaniu. Wszak prowadzi pan tutaj przedsiębiorstwo handlowe nie leżące w obyczaju ludzi pańskiej sfery?

– Nie możemy mówić o tej sprawie tutaj – rzekł margrabia, zapraszając gestem sędziego, aby wraz z nim wyszedł. – Nouvion – rzekł, zwracając się do starca – idę do siebie, chłopcy zaraz wrócą, zostaniesz z nami na obiedzie.

– Panie margrabio – rzekł Popinot na schodach – więc to nie jest pańskie mieszkanie?

– Nie, panie. Wynająłem te pokoje, aby w nich pomieścić biura tego przedsiębiorstwa. Widzi pan – dodał, pokazując afisz – ta historia wychodzi pod nazwiskiem jednego z najsławniejszych księgarzy w Paryżu, nie pod moim.

Margrabia wprowadził sędziego na parter mówiąc:

– Oto moje mieszkanie.

Popinot uczuł mimowolne wzruszenie pod wpływem poezji raczej znalezionej niż szukanej, która oddychała pod tym stropem. Czas był wspaniały, okna były otwarte, powietrze przynosiło z ogrodu wonie ziół, promienie słońca ożywiały i rozweselały boazerie, nieco ciemne w tonie. Na ten widok Popinot uznał, że wariat nie byłby zdolny stworzyć miłej harmonii, którą odczuwał w tej chwili.

„Zdałoby mi się podobne mieszkanie” – myślał. – Czy pan rychło opuści tę dzielnicę? – spytał głośno.

– Mam nadzieję – odparł margrabia – ale zaczekam, aż mój młodszy syn ukończy studia, aż charakter moich synów będzie zupełnie wyrobiony, zanim ich wprowadzę w świat i bliżej matki. Zresztą, dawszy im rzetelne wykształcenie, chcę je uzupełnić podróżami po Europie, pokazać im ludzi i świat i przyzwyczaić ich do mówienia językami, których się nauczyli. Proszę pana – rzekł, sadzając sędziego w salonie – nie mogłem panu mówić o wydawnictwie chińskim w obecności starego przyjaciela mojej rodziny, hrabiego de Nouvion, który wrócił z emigracji bez grosza i z którym podjąłem ten interes nie tyle dla siebie, ile dla niego. Nie zwracając mu pobudek mego usunięcia się od świata, powiedziałem mu, że jestem zrujnowany tak jak on, ale że mam jeszcze na tyle, aby podjąć przedsiębiorstwo, w którym mógłby z pożytkiem pracować. Moim preceptorem był ksiądz Grozier, którego na moje polecenie Karol X mianował swoim bibliotekarzem w bibliotece w Arsenale, powierzonej mu, gdy był jeszcze bratem króla. Ksiądz Grozier posiadał gruntowną znajomość Chin, ich zwyczajów i obyczajów; uczynił mnie swoim spadkobiercą w wieku, w którym trudno jest nie zapalić się do tego, czego człowiek się uczy. Mając dwadzieścia pięć lat, umiałem po chińsku i wyznaję, że nigdy nie mogłem się obronić uczuciu bezgranicznego podziwu dla tego ludu, który podbił swoich zdobywców, którego roczniki sięgają niewątpliwie epoki wiele starszej od czasów mitologicznych lub biblijnych, który przez swoje niewzruszone instytucje utrzymał całość terytorium, którego pomniki są olbrzymie, którego rząd jest doskonały, bezpieczny od rewolucyj; który uznał idealne piękno jako zasadę bezpłodnej sztuki, który doprowadził zbytek i przemyśl tak wysoko, że nie możemy ich przewyższyć w żadnej mierze, podczas gdy on nam dorównywa w tym, w czym my się uważamy za wyższych. Ale, proszę pana, jeżeli zdarza mi się często żartować, gdy porównywał z Chinami położenie państw europejskich, nie jestem Chińczykiem, jestem szlachcicem francuskim. Gdyby pan miał wątpliwości co do finansów tego przedsięwzięcia, mogę panu dowieść, że liczymy dwa tysiące pięćset subskrybentów na ten pomnik literatury, ikonografii, statystyki i religii, którego doniosłość powszechnie oceniono. Nasi subskrybenci należą do wszystkich narodów Europy: we Francji mamy ich tylko tysiąc dwustu. Nasze dzieło będzie kosztowało około trzystu franków, a hrabia de Nouvion znajdzie w nim sześć do siedmiu tysięcy renty, bo jego dobrobyt był ukrytą pobudką tego przedsięwzięcia. Co do mnie, mam na widoku jedynie możliwość zapewnienia moim dzieciom trochę przyjemności. Sto tysięcy franków, które zarobiłem bardzo mimo woli, opłacą ich lekcje fechtunku, ich konie, toaletę, teatr, dodatkowych nauczycieli, płótna, które zasmarują, książki, które chcą sobie kupić, słowem, wszystkie te drobne zachcenia, które rodzicom tak miło jest móc zaspokajać. Gdyby mi było trzeba odmawiać tych uciech moim biednym dzieciom, tak dzielnym, tak wytrwałym w pracy, ofiara, jaką czynię dla naszego nazwiska, byłaby

mi podwójnie ciężką. W istocie, panie sędzio, dwanaście lat, na które usunąłem się od świata, aby wychować moje dzieci, stały się przyczyną, że zupełnie zapomniano o mnie na dworze. Wycofałem się z kariery politycznej, straciłem całą moją historyczną fortunę, cały nowy blask, który mogłem przekazać dzieciom, ale nasz dom nic na tym nie straci, moi synowie będą wybitnymi ludźmi. O ile mnie minęło parostwo, oni zdobędą je szlachetnie, poświęcając się sprawom swego kraju, i oddadzą mu usługi, których się nie zapomina. Oczyszczając przeszłość naszego domu, zapewniałem mu zarazem chlubną przyszłość; czyż to nie jest piękne zadanie, mimo że spełnione tajemnie i bez sławy? Czy pan pragnie jeszcze jakich wyjaśnień?

W tej chwili tętent paru koni rozległ się w dziedzińcu.

– Oto oni – rzekł margrabia.

Niebawem dwaj młodzi ludzie, w stroju prostym i wykwintnym zarazem, weszli do salonu, w butach, w ostrogach, w rękawiczkach, machając wesoło szpicróżgą. Ożywione ich twarze oddychały świeżością powietrza, tryskały zdrowiem. Obaj przyszli uścisnąć rękę ojca, wymienili z nim przyjacielskie spojrzenie pełne wzajemnej czułości i skłonili się zimno sędziemu. Popinot uznał za zupełnie zbyteczne pytać margrabiego o stosunek z dziećmi.

– Dobrzeście się bawili? – zapytał chłopców margrabia.

– Tak, ojczu. Od pierwszego razu zwałem sześć lalek w dwunastu strzałach – rzekł Kamil.

– Gdzieście byli na spacerze?

– W Lasku, widzieliśmy mamę.

– Czy się zatrzymała?

– Jechaliśmy tak szybko, że nas pewno nie widziała – odparł młody hrabia.

– Czemuście nie zblżyli się sami?

– Uważałem, ojczu, że mama nie bardzo lubi, abyśmy się zblżyli do niej publicznie – rzekł Klemens po cichu. – Jesteśmy za duzi.

Sędzia miał dość bystry słuch, aby dosłyszeć to zdanie, które zachmurzyło nieco czoło margrabiego. Popinot z przyjemnością patrzył na obraz, jaki przedstawiał ojciec wraz z dziećmi. Oczy jego z niejakim rozrzewnieniem spoczęły na twarzy pana d'Espard, którego rysy, zachowanie i wzięcie przedstawiały uczciwość w jej najpiękniejszej postaci, uczciwość inteligentną i rycerską, uczciwość w całej jej krasie.

– Wi... widzi pan, panie sędzio – rzekł margrabia, wracając do zająkiwania – widzi pan, że sprawiedliwość może tu wejść w każdej porze, tak, w każdej porze może tu wejść sprawiedliwość. Jeżeli kto jest wariat, jeżeli kto jest wariat, to chyba te dzieci, które po trosze wariują za swoim ojcem, i ojciec, który bardzo wariuje za swymi dziećmi: ale to jest dobre wariactwo.

W tej chwili głos pani Jeanrenaud rozległ się w przedpokoju; zacna kobieta wpadła do salonu mimo przedłożeń lokaja.

– Ja nie chodzę manowcami! – krzyczała. – Tak, panie margrabio – rzekła, kłaniając się wokoło – muszę z panem pomówić, w tej chwili. Dalibóg, za późno przyszłam, skoro tu już jest pan sędzia kryminalny.

– Kryminalny! – wykrzyknęli dwaj chłopcy.

– To się tłumaczy, że pana nie zastałam w biurze, kiedy pan jest tutaj. A ba, sąd zawsze się znajdzie, kiedy chodzi o to, aby zrobić co złego. Przychodzę, panie margrabio, powiedzieć panu, żeśmy się porozumieli z synem, aby panu wszystko oddać, skoro tu chodzi o pański honor. Mój syn i ja wolimy raczej wszystko oddać niż panu sprawić najlżejsze zmartwienie. Doprawdy, trzeba być głupim jak garnek bez ucha, żeby chcieć pana brać pod kuratelę...

– Pod kuratelę? Ojca? – wykrzyknęli dwaj chłopcy, przytulając się do margrabiego. – Co się stało?

– Cyt, pani – rzekł Popinot.

– Moje dzieci, zostawcie nas – rzekł margrabia.



Dwaj młodzi ludzie udali się do ogrodu, nie czyniąc najmniejszej uwagi, ale pełni niepokoju.

– Pani – rzekł sędzia – sumy, które pani wręczył pan margrabia, należały się pani słusznie, mimo że je dano pani na zasadzie uczciwości bardzo daleko idącej. Gdyby ludzie posiadający dobra skonfiskowane w jakikolwiek sposób, nawet niegodziwy, byli po stu pięćdziesięciu latach zobowiązani do restytucji, niewiele by zostało we Francji prawych majątków. Dobra Jakuba Coeur<sup>57</sup> wzbogaciły dwadzieścia pańskich rodów; nieprawne konfiskaty zarządzane przez Anglików na rzecz swoich adherentów, kiedy Anglik posiadał część Francji, wzbogaciły wiele książęcych domów. Nasze prawodawstwo pozwala panu margrabiemu rozrządzać swoim dochodem swobodnie, bez możliwości oskarżenia go o marnotrawstwo. Kuratela opiera się na zupełnym braku rozsądku w czyichś postępkach; ale tutaj przyczyna restytucji, której pan dokonał, płynie z pobudek równie świętych jak zaszczytnych. Toteż może pani wszystko zachować bez wyrzutów i pozwolić światu źle tłumaczyć ten piękny postępek. W Paryżu najczystsza cnota jest przedmiotem najbrudniejszych potwarzy. Smutne to, że obecny stan naszego społeczeństwa czyni postępek pana margrabiego wzniosłym. Pragnąłbym, dla czci naszego kraju, aby podobne czyny uważano za zupełnie proste; ale obyczaje są takie, że w porównaniu z tym, co widzę, muszę uznać w panu d'Espard człowieka, któremu należałoby przyznać wieniec zamiast mu grozić kuratelą. Przez cały ciąg mego sądowiczego życia nie słyszałem ani nie widziałem nic, co by mnie bardziej wzruszyło niż to, com tu widział i słyszał. Ale nie dziw, że się spotyka cnotę w jej najpiękniejszej postaci, wówczas gdy ją wprowadzą w czyn ludzie należący do najwyższej klasy. Po tym, com powiedział, mam nadzieję, panie margrabio, że pan będzie pewien mego milczenia i że nie będzie pan miał żadnych obaw co do wyroku, jaki zapadnie, o ile przyjdzie do wyroku.

– Kiedy tak, to doskonale – rzekła pani Jeanrenaud – to się nazywa sędzia! Wie pan, drogi panie, gdybym nie była taka brzydka, uściskałabym pana za te złociutkie słowa.

Margrabia podał rękę Popinotowi, Popinot zaś uderzył w nią lekko swoją, obejmując tego nieznanego bohatera rozumnym i serdecznym spojrzeniem, na które margrabia odpowiedział miłym uśmiechem. Te dwie natury tak pełne, tak bogate, jedna mieszczańska i boska, druga szlachecka i wzniosła, dostroiły się do wspólnego tonu łagodnie, bez wstrząsu, bez błysku namiętności, tak jakby się złąły dwa czyste światła. Ojciec całej dzielnicy czuł się godny uścisnąć rękę tego człowieka po dwakroć szlachetnego, margrabia zaś uczuł w sercu drgnienie, które mu mówiło, że ręka sędziego jest z tych, z których płyną skarby niewyczerpanych dobrodziejstw.

– Panie margrabio – dodał Popinot, kłaniając się – szczęśliwy jestem mogąc panu powiedzieć, iż od pierwszych słów tego przesłuchania osądziłem, że mój pisarz jest zbyt cenny.

Następnie zbliżył się do margrabiego, pociągnął go ku oknu i rzekł:

– Czas, aby pan wrócił do domu; zdaje mi się, że w tej sprawie pani margrabina uległa wpływowi, które pan powinien natychmiast postarać się zwalczyć.

Popinot wyszedł, odwrócił się kilka razy na dziedzińcu i na ulicy, wzruszony wspomnieniem tej sceny. Należała ona do tych, które wrażają się w pamięć, aby rozkwitnąć w pewnych godzinach, gdy dusza szuka pociechy.

„To mieszkanie bardzo by mi się nadało – powiadał sobie, dochodząc do domu. – Jeżeli pan d'Espard je opuści, wezmę je po nim...”

Nazajutrz około dziesiątej rano Popinot, który w wilię ułożył swój raport, szedł do sądu w zamiarze wymierzenia rychłej sprawiedliwości. W chwili gdy wchodził do szatni, aby wziąć togię i włożyć rabat, woźny oznajmił mu, że prezydent trybunału prosi sędziego, aby zaszedł do jego gabinetu.

– Dzień dobry, mój drogi Popinot – rzekł prezydent pociągając go do okna.

---

<sup>57</sup> Jacques Coeur (1395–1456) – francuski kupiec wzbogacony na handlu ze Wschodem, był skarbnikiem Karola VII; na skutek intryg skazany został na wygnanie i konfiskatę dóbr

– Panie prezydencie, czy chodzi o coś poważnego?

– Głupstwo – rzekł prezydent. – Minister, z którym miałem zaszczyt jeść obiad wczoraj, wziął mnie na bok. Dowiedział się, że pan był na herbacie u pani d'Espard w sprawie, którą panu powierzono. Dał mi do zrozumienia, że byłoby właściwiej, gdybym oddał innemu sędziemu tę sprawę...

– Och, panie prezydencie, mogę zaręczyć, że wyszedłem od pani d'Espard w chwili, gdy wniesiono herbatę; zresztą moje sumienie...

– Tak, tak – rzekł prezydent – cały trybunał, obie Izby, cały sąd znają pana. Nie będę panu powtarzał tego, co powiedziałem o panu Jego Ekscelencji, ale wie pan: „żona Cezara nie powinna być nawet podejrzewana”<sup>58</sup>. Toteż nie róbmy z tego głupstwa kwestii dyscypliny, ale jedynie kwestię faktu. Mówiąc między nami, chodzi nie tyle o pana, co o trybunał.

– Ależ, panie prezydencie, gdyby pan znał sprawę – rzekł sędzia, próbując wydobyć z kieszeni swój raport.

– Jestem z góry przekonany, że pan zachowałeś w tej sprawie najściślejszą niezawisłość. I ja sam na prowincji jako prosty sędzia wypilem nieraz więcej niż szklanek herbaty z ludźmi, których miałem sądzić; ale wystarczy, że pan minister o tym wspomniał, że mogliby mówić o tym, aby trybunał wolał uniknąć dyskusji na ten temat. Wszelki konflikt z opinią zawsze jest niebezpieczny dla tego rodzaju instytucji, nawet kiedy ma słuszność za sobą, ponieważ broń jest nierówna. Dzienniki mogą wszystko mówić, wszystko przypuszczać, a nasza godność wzbrania nam wszystkiego, nawet odpowiedzi. Zresztą, porozumiałem się już z pańskim prezydentem; sprawę, której pan się zrzeknie, powierzono panu Camusot. Rzeczą załatwioną niejako w rodzinie. Słowem, proszę pana o to zrzeczenie się jako o osobistą przysługę, a w zamian otrzyma pan krzyż legii, który się panu od tak dawna należy; biorę to na siebie.

Widząc pana Camusot, świeżo powołanego z prowincji do Paryża, jak się przysuwa, kłaniając się sędziemu i prezydentowi, Popinot nie mógł się wstrzymać od ironicznego uśmiechu. Ten młody człowiek, wypełzły blondyn, wyglądał na człowieka gotowego powiesić lub odciąć ze sznurka, na życzenie możnych tego świata, zarówno niewinnego jak winnego. Popinot wyszedł skłoniwszy się prezydentowi i sędziemu, nie racząc nawet poruszyć kłamliwego podejrzenia, jakie nań rzucono.

Paryż, luty 1836

---

<sup>58</sup> Żona Cezara... – słowa Juliusza Cezara, który rozwiódł się z żoną, gdy padło na nią podejrzenie o niewierność, choć on sam nie wątpił w jej cnotę.

# KONTRAKT ŚLUBNY

---

*Przełożył*  
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*G. ROSSINIEMU*

Starszy pan de Manerville był to szlachcic normandzki, dobrze znany marszałkowi de Richelieu, który go wyswatał z jedną z najbogatszych panien w Bordeaux. Było to w epoce, gdy stary książę rezydował tam jako gubernator Guyenne. Oczarowany pięknnością zamku Lanstrac, uroczej siedziby należącej do jego żony, Normandczyk sprzedał swoje dobra w Bessin i zrobił się Gaskończykiem. W ostatnich latach panowania Ludwika XV kupił szarżę majora Straży Bram i żył aż do r. 1813, przebywszy bardzo szczęśliwie rewolucję. Oto jak. Pod koniec r. 1790 udał się na Martynikę, gdzie żona jego miała interesy. Prowadzenie swoich dóbr w Gaskonii powierzył uczciwemu dependentowi rejenta, nazwiskiem Mathias, skłaniającemu się wówczas do nowych poglądów. Za powrotem hrabia de Manerville znalazł swoje posiadłości nietknięte i doskonale gospodarowano. Spryt ten to był owoc szczepienia Gaskończyka na Normandzie. Pani de Manerville umarła w r. 1810. Pouczony o ważności interesów marnotrawstwem swej młodości i, jak wielu starców, przypisując im więcej miejsca, niż go naprawdę mają w życiu, pan de Manerville stał się stopniowo oszczędny, skąpy i kutwa. Nie pomnąc, iż skąpstwo ojców przygotowuje rozrzutność dzieci, nie dawał prawie nic synowi, mimo że ten był jedynakiem.

Paweł de Manerville, wróciwszy pod koniec r. 1810 z kolegium w Vendôme, pozostał pod władzą ojcowską przez trzy lata. Tyrania, jaką siedemdziesięciodziewięcioletni starzec gniótł swego spadkobiercę, musiała oddziaływać na nie ukształtowane jeszcze serce i charakter chłopca. Mimo iż nie pozbawiony odwagi fizycznej, która w Gaskonii jest niejako w powietrzu. Paweł nie śmiał walczyć z ojcem; stracił ową zdolność oporu, która rodzi odwagę moralną. Zdławione Jego uczucia schroniły się w sercu, gdzie przechował je, długo nie wyrażając ich; później, kiedy uczul, że są sprzeczne z zasadami świata, umiał dobrze myśleć, a źle czynić. Pojedynekowałby się o byle słówko, a drżał na myśl o odprawieniu służącego; nieśmiałość jego objawiała się w walkach wymagających ciągłości woli. Zdolny do wielkich rzeczy, aby uciec przed prześladowaniem, nie umiałby go ani uprzężyć systematycznym oporem, ani stawić mu czoła trwałym napięciem sił. Tchórzliwy w myśli, śmiały w uczynkach, zachował długo ową ukrytą naiwność, czyniącą z człowieka dobrowolną ofiarę rzeczy, którym pewne charaktery nie umieją stawić czoła, wołąc raczej cierpieć je niż się skarżyć. Zamknął się w starym pałacu ojca, bo nie miał dosyć pieniędzy, aby przestawać z miejscową młodzieżą; zazdrościł im zabaw, nie mogąc ich dzielić. Stary szlachcic wioził go co wieczór w starym powozie, ciągnionym przez stare konie w lichej uprzęży, w asyście nędznie odzianych starych lokajów, w towarzystwo rojalistyczne, złożone ze szczątków szlachty urzędniczej i szlachty rycerskiej. Owe dwa rodzaje szlachty, zjednoczone od rewolucji, aby stawić czoło wpływowi Cesarstwa, przeobraziły się w miejscową arystokrację. Przytłoczone ogromnymi i ruchliwymi majątkami portowych magnatów, owo Saint-Germain miasta Bordeaux odpowiadało wzgardą

na zbytek, jaki roztaczały wówczas handel, władze cywilne i wojskowość. Zbyt młody, aby rozumieć odcienie społeczne oraz potrzeby ukryte pod pozornymi błahostkami zrodzonymi z owych odcieni, Paweł nudził się wśród tych antyków, nie wiedząc, iż później młodzieńcze jego stosunki zapewnią mu arystokratyczną wyższość, jaką Francja zawsze będzie lubiła. Niejaką rozrywką po nudzie owych wieczorynek były mu ćwiczenia, w jakich smakują młodzi chłopcy, gdyż ojciec nakazywał mu je. Dla starego szlachcica robić broń, wybornie jeździć konno, grać w piłkę, mieć piękne maniery, słowem światowe wychowanie dawnej szlachty – było wszystkim. Paweł fechtował się co rano, chodził do rajszuli i strzelał z pistoletu. Resztę czasu czytywał powieści, ojciec bowiem nie uznawał wyższych studiów, którymi się dziś zwykle kończy wykształcenie. Tak jednostajne życie zabiłoby chłopca, gdyby śmierć ojca nie oswobodziła go z tej tyranii, w chwili gdy stała się nie do zniesienia. Paweł odziedziczył znaczne kapitały nagromadzone ojcowskim skapstwem oraz majątek w najlepszym stanie; ale nienawidził Bordeaux, a tak samo nie lubił Lanstrac, gdzie ojciec spędzał lato i gdzie go wodził po polowaniach od rana do wieczora.

Skoro tylko ukończono sprawy spadkowe, młody dziedzic, spragniony zabaw, ulokował kapitały w rencie, zostawił gospodarstwo staremu Mathias, rejentowi ojca, i spędził sześć lat z dala od Bordeaux. Przydzielony zrazu do ambasady w Neapolu, potem udał się jako sekretarz do Madrytu, do Londynu i w ten sposób objechał całą Europę. Poznawszy świat, straciwszy wiele złudzeń, strwoniwszy gotowiznę, którą zostawił mu ojciec, Paweł ujrzał chwilę, gdy, aby dalej wieść swój tryb życia, musiałby naruszyć dochody z majątku, które gromadził mu rejent. W tej krytycznej chwili powziął pewną myśl, rzekomo rozsądną: opuścić Paryż, wrócić do Bordeaux, objąć ster interesów, zamieszkać w Lanstrac, podnieść gospodarstwo, ożenić się i z czasem uzyskać mandat poselski. Paweł był hrabią, szlachectwo znów stawało się atutem matrymonialnym, mógł i powinien był dobrze się ożenić. O ile sporo kobiet pragnie zaślubić tytuł, więcej ich jeszcze chce męża, który by znał życie. Otóż, za cenę siedmuset tysięcy franków, schrupanych w sześć lat. Paweł nabył owo stanowisko, którego się nie da sprzedać, a które więcej jest warte niż urząd agenta giełdowego, które też wymaga długich studiów, praktyki, egzaminów, znajomości, przyjaciół, wrogów, zręcznej postawy, wykwinnych manier, ładnego i dobrze brzmiącego nazwiska; stanowisko, którego dochodem są miłostki, pojedynki, przegrane zakłady na wyścigach, rozczarowania, kłopoty, mozoły i mnóstwo niestrawnych przyjemności. Słowem, był światowcem. Mimo szalonej rozrzutności nigdy nie mógł zostać człowiekiem modnym. W komicznej armii światowców człowiek modny jest niejako marszałkiem Francji, elegant równa się szarzy generał-lejtnanta. Paweł posiadał pewną reputację eleganta i umiał ją podtrzymać. Służba jego przedstawiała się wzorowo, jego pojazdy podawano za wzór, kolacyjki miały pewien rozgłos, wreszcie garsoniera Pawła liczyła się do kilku, których zbytek dorównywał pierwszym domom w Paryżu. Ale nie unieszczęśliwił ani jednej kobiety, ale nie zgrywał się w karty, ale szczęściu jego brakowało rozgłosu, ale był zanadto uczciwy, aby oszukać kogo, nawet dziewczynę, ale nie gubił bilecików miłosnych i nie miał szkatułki z listami kobiet, w której by jego przyjaciele mogli gmerać czekając, aż on zawiąże krawat albo się ogoli. Tak samo, nie chcąc nadwerężyć swoich majątków ziemskich, nie miał owego rozmachu, który podsuwa wielkie decyzje i za wszelką cenę ściąga uwagę na młodego człowieka; nie pożyczał pieniędzy od nikogo, popełniał zaś ten błąd, że pożyczał przyjaciołom, którzy odsuwali się od niego i nie mówili już o nim ani źle, ani dobrze. Uporządkował niejako swój nierząd. Tajemnica jego charakteru tkwiła w tyranii ojcowskiej, która uczyniła zeń rodzaj Metysa. Za czym pewnego rana rzekł do swego przyjaciela nazwiskiem de Marsay, który z czasem stał się znakomitością:

– Mój drogi przyjacielu, życie ma sens.

– Trzeba dojść dwudziestu siedmiu lat, aby je zrozumieć – odparł drwiąco de Marsay.

– Tak, mam dwadzieścia siedem lat i właśnie dlatego chcę osiąść w Lanstrac i żyć po szlakońsku. Będę mieszkał w Bordeaux, w starym pałacu po ojcu, dokąd przeniosę swoje paryskie urządzenie, tu zaś będę spędzał trzy miesiące w zimie, w tym domu, który zachowam.

– I ożenisz się?

– I ożenię się.

– Jestem twoim przyjacielem, grubasie, wiesz o tym – rzekł de Marsay po chwili milczenia – otóż powiem ci: zostań dobrym ojcem i dobrym mężem, a ośmieszysz się do śmierci. Gdybyś mógł być szczęśliwy i śmieszny, rzecz warta byłaby rozważenia; ale nie będziesz szczęśliwy. Nie masz garści dość silnej, aby sterować małżeństwem. Oddaję ci sprawiedliwość: jesteś doskonałym jeźdźcem, nikt lepiej od ciebie nie umie trzymać cugli, spinać konia i siedzieć jak mur na siodle. Ale, mój drogi, małżeństwo to inna jazda. Widzę cię już ponoszonego przez hrabinę de Manerville, pędzącego wbrew woli częściej galopa niż trapa, niebawem wysadzonego z siodła, ba! Wysadzonego tak, że znajdziesz się w rowie, z połamanymi nogami. Słuchaj! Zostało ci czterdzieści i kilka tysięcy renty w ziemi. Dobrze. Zabierz swoje konie i swoją służbę, urządz pałac w Bordeaux, będziesz królem Bordeaux, będziesz tam ogłaszał wyroki wydane przez nas w Paryżu, będziesz ambasadorem naszych elegancji. Bardzo dobrze. Rób szaleństwa na prowincji, rób nawet głupstwa, jeszcze lepiej! Może staniesz się sławny. Ale... nie żęń się. Kto się żeni dzisiaj? Kupcy, aby zyskać kapitał obrotowy lub aby być we dwoje do ciągnięcia pługa; chłopci, którzy produkując masowo dzieci chcą zyskać robotników, agenci giełdowi albo rejenci, zmuszeni spłacić kancelarię, nieszczęśliwi królowie dla utrzymania nieszczęśliwych dynastii. My jedni jesteśmy wolni od zaprzęgu, i ty chcesz kłaść łeb w chomąto? Ostatecznie po co się żenisz? Winienes dać swoje racje najlepszemu przyjacielowi. Przede wszystkim, gdybyś się ożenił z panną równie bogatą jak ty, osiemdziesiąt tysięcy renty na dwoje to nie to samo co czterdzieści tysięcy na jednego: niebawem jest się we troje, a we czworo, skoro przyjdzie dziecko. Czy żywisz może taką miłość do tych głupich przyszłych Manerville'ów, którzy ci przyniosą same zgryzoty? Czy nie wiesz, co to jest być ojcem i matką? Małżeństwo, grubasku, to jest najgłupsza z ofiar społecznych; jedynie nasze dzieci korzystają z niego, a poznają jego wartość aż w chwili, gdy ich konie szczypią trawę porosłą na naszym grobie. Czy żałujesz swego ojca, owego tyrana, który gnębił twoją młodość? Jak sprawisz, aby twoje dzieci cię kochały? Twoje starania o ich wychowanie, troska o ich szczęście, twoja konieczna surowość odstrychną je od ciebie. Dzieci kochają ojca rozrzutnego albo słabego, którym będą pogardzały kiedyś. Masz wybór między strachem a wzgardą. Nie każdemu dane jest być dobrym ojcem rodziny! Rozejrzyj się po naszych przyjaciółach i powiedz, którego chciałbyś za syna? Zналиśmy takich, którzy hańbili swoje nazwisko. Dzieci stanowią towar, który trudno się przechowuje. Twoje dzieci będą aniołami, przypuścimy! Czyś zgłębił kiedy przepaść, jaka dzieli kawalera od człowieka żonatego? Słuchaj! Jako kawaler możesz sobie powiedzieć: „Będę miał tylko taką a taką sumę śmieszności, ludzie będą o mnie myśleli tylko to, co ja pozwolę im myśleć”. Będąc żonaty, wpadasz w bezkres śmieszności! Jako kawaler sam stanowisz o szczęściu, bierzesz je dziś, rzucasz jutro; jako żonaty bierzesz je takie, jak jest, w dniu zaś, w którym go zapragniesz, musisz się obejść smakiem. Stajesz się piernikiem, obliczasz posagi, prawisz o moralności i o religii, uważasz, że młodzi ludzie są niemoralni, niebezpieczni; słowem, stajesz się niby członek Akademii. Żal mi cię. Stary kawaler, na którego spadek czyhają, broniący się w ostatniej godzinie przed starą posługaczką i żebrzący na próżno szklanki wody, jest szczęśliwcem w porównaniu do człowieka żonatego. Nie mówię ci o wszystkim, co może być uciążliwego, nudnego, niecierpliwiącego, krępującego, pętającego, zaborczego, ogłupiającego, odurzającego, paralizującego w walce dwojga istot wciąż żyjących z sobą, związanych na wieki, istot, które wpadły obie, myśląc, że im będzie dobrze razem! Nie, to by znaczyło powtarzać satyrę Boileau, umiemy ją wszyscy na pamięć. Przebaczyłbym ci nawet twoją dziką myśl, gdybyś mi przyrzekł, że się ożenisz jak wielki pan, że stworzysz majorat ze swego majątku, skorzystasz z

miodowego miesiąca, aby mieć dwoje prawych dzieci, stworzysz żonie dom zupełnie odizolowany od twego, że będziecie się spotykali tylko w towarzystwie i że nigdy nie wrócisz z podróży nie oznajmiwszy się wprzód przez kuriera. Dwieście tysięcy funtów renty wystarcza na takie życie, twoja zaś reputacja pozwala ci stworzyć je sobie za pomocą bogatej Angielki spragnionej tytułu. Tak, to arystokratyczne życie wydaje mi się naprawdę francuskie, jedyne wielkie, jedyne, które może nam zdobyć szacunek, przyjaźń kobiety, jedyne, które nas odróżnia od dzisiejszego motłochu, jedyne wreszcie, dla którego młody człowiek może rzucić kawalerstwo. Tak postawiwszy rzeczy, hrabia de Manerville przyświeca swojej epoce, wznosi się ponad wszystko, może już zostać tylko ministrem albo ambasadorem. Śmieszność nie dosięgnie go nigdy, zyskał socjalne korzyści małżeństwa, a zachował przywileje kawalera.

– Ależ, drogi przyjacielu, ja nie jestem de Marsay, ja jestem całkiem po prostu, jak sam miałeś zaszczyt stwierdzić, Paweł de Manerville, dobry ojciec i dobry mąż, poseł z centrum, a może par Francji: los nadzwyczaj mierny, ale ja jestem skromny, to mi wystarczy.

– A żona – rzekł nielitościwy de Marsay – czy i jej to wystarczy?

– Żona, mój drogi, zrobi to, co ja będę chciał.

– Haha, biedaku, ty jeszcze w to wierzysz? Bądź zdrow, Pawełku. Od dziś odmawiam ci szacunku. Jeszcze jedno słowo, bo nie mogę się pogodzić spokojnie z twoją abdykacją. Zдай sobie sprawę, w czym tkwi siła naszej pozycji. Kawaler choćby miał tylko sześć tysięcy renty, choćby mu została za cały majątek jedynie reputacja eleganta, jedynie wspomnienie sukcesów... Otóż ten fantastyczny cień zawiera ogromne wartości. Życie przedstawia jeszcze widoki dla tego spłowiałego kawalera. Tak, pretensje jego mogą ogarniać wszystko. Ale małżeństwo, Pawle, to jest: Nie pójdiesz dalej, w sensie społecznym. Żonaty, możesz już być tylko tym, czym jesteś, chyba że twoja żona raczy się tobą zająć.

– Ależ – rzekł Paweł – ty mnie miażdżysz zawsze jakimiś wyjątkowymi teoriami! Ja mam już dość życia dla drugich, posiadania koni po to, aby je pokazywać, robienia wszystkiego pod kątem tego, co ktoś o tym powie, rujnowania się po to, aby głupiec, jakiś nie wykrzyknął: „Patrzcie, Pawełek ma wciąż ten sam powóz. Jak tam z jego majątkiem? Przejada go? Gra na giełdzie? Nie, jest milionerem. Pani ta a ta szaleje za nim. Sprowadził z Anglii zaprząg, dają słowo, najpiękniejszy w Paryżu. Zauważono w Longchamps czwórki panów de Marsay i de Manerville, doprawdy bajeczne”. Słowem, tysiąc głupstw, którymi masa głupców wodzi nas za nos. Zaczynam spostrzegać, że to życie, w którym się jeździ zamiast chodzić, zużywa nas i postarza. Wierzaj mi, drogi Henryku, podziwiam twoją siłę, ale jej nie zazdroszczę. Ty umiesz wszystko osądzić, umiesz myśleć i działać jak mąż stanu, stawiać się ponad prawa, ponad obowiązujące pojęcia, przesady, konwenanse; słowem, czerpiesz korzyści z sytuacji, której ja zawsze będę dźwigał jedynie przykrości. Twoje wywody, zimne, systematyczne, może realne, są w oczach tłumu potworną niemoralnością. Ja należę do tłumu. Muszę grać wedle reguł społeczeństwa, w którym mi trzeba żyć. Stając na szczycie rzeczy ludzkich, na tych cyplach lodowych, ty potrafisz czuć i żyć; ja bym tam umarł. Życie tłumu, do którego sobie po prostu należę, składa się ze wzruszeń, których obecnie potrzebuję. Często człowiek mający rzekome szczęście do kobiet kokietuje z dziesięcioma, a nie ma ani jednej; przy tym, jakakolwiek byłaby jego siła, zręczność, znajomość świata, zdarzają się chwile, w których czuje się zmęczony. Ja lubię życie spokojne i równe, pragnę miłej egzystencji, w której ma się wciąż kobietę przy boku.

– Małżeństwo to rzecz bardzo lekkomyślna! – wykrzyknął de Marsay.

Paweł nie dał się zbić z tropu i ciągnął dalej:

– Śmieję się, jeżeli chcesz, ja będę się czuł najszczęśliwszy w świecie, kiedy służący wejdzie do mnie, oznajmiając: „Jaśnie pani czeka pana ze śniadaniem”. Kiedy będę mógł wieczór, wróciwszy do domu, znaleźć serce...

– Wciąż za lekko, Pawełku! Nie jesteś jeszcze dość moralny, aby się zenić.

– ...Serce, któremu będę mógł zwierzyć swoje sprawy, opowiedzieć swoje sekrety. Chcę żyć z żoną tak blisko, aby nasze przywiązanie nie było zależne od lada błahostki, od sytuacji, w których najładniejszy chłopiec może się skompromitować w oczach kobiety. Wreszcie, czuję odwagę potrzebną, aby zostać, jak powiedziałeś, dobrym ojcem i dobrym mężem! Czuję się stworzony do szczęścia rodzinnego i chcę poddać się warunkom wymaganym przez społeczeństwo, aby mieć żonę, dzieci...

– Robisz na mnie wrażenie muchy w miodzie. Brnij dalej, będziesz dudkiem całe życie. Haha! Ty chcesz się żenić, aby mieć kobietę! Innymi słowy, chcesz rozwiązać najtrudniejszy z problemów, jaki istnieje w naszych mieszczańskich obyczajach stworzonych przez rewolucję: i zaczniesz od ucieczki na pustynię! Czy myślisz, że twoja żona nie będzie chciała tego życia, którym ty gardzisz? Że będzie do niego miała taki wstręt jak ty? Jeżeli nie chcesz pięknego stadła, którego program rozwinął przed chwilą przyjaciel twój de Marsay, posłuchaj ostatniej rady. Zostań jeszcze kawalerem trzynaście lat, używaj jak wściekły, po czym, w czterdziestym roku, za pierwszym napadem podagry, ożeń się z trzydziestosześcioletnią wdową: możesz być szczęśliwy. Jeżeli się ożenisz z młodą panną, skończysz na wścieklicznę.

– Ależ powiedz mi, czemu? – wykrzyknął Paweł, nieco dotknięty.

– Mój drogi – odparł de Marsay – satyra Boileau na kobiety to szereg upoetyzowanych banalności. Czemu kobiety nie miałyby mieć wad? Czemu je wyzuwać z najpewniejszego konta w bilansie ludzkiej natury? Toteż wedle mnie problem małżeństwa nie tkwi już tam, gdzie go pomieściła krytyka. Czy sądzisz, że z małżeństwem jest jak z miłością i że wystarczy mężowi być mężczyzną, aby być kochanym? Chodzisz tedy po buduarach tylko po to, aby z nich wynosić szczęśliwe wspomnienia? Wszystko w naszym kawalerskim życiu gotuje fatalną omyłkę człowiekowi żonatemu, o ile nie jest głębokim obserwatorem ludzkiego serca. W błogosławionych dniach młodości mężczyzna dzięki paradoksom naszych obyczajów zawsze daje szczęście; święci triumfy nad uwiedzionymi kobietami, które poddają się jego woli. Z jednej i z drugiej strony przeszkody wynikły z praw, z uczuć i z naturalnej obrony kobiety rodzą harmonię wrażeń, która mami powierzchownych ludzi co do przyszłych stosunków w małżeństwie, gdzie przeszkody już nie istnieją, gdzie kobieta cierpi miłość zamiast jej używać, odpycha często rozkosz zamiast jej pragnąć. Życie odmienia tam dla nas swą postać. Kawaler, wolny, swobodny, zawsze w stanie zaczepnym, nie lęka się niczego w razie porażki. W małżeństwie klęska jest nieunikniona. O ile kochanek może skłonić kobietę do cofnięcia nieprzychylnego wyroku, nawrót ten, mój drogi, to Waterloo mężów. Jak Napoleon, mąż skazany jest na zwycięstwa, które mimo swej liczby nie przeszkodzą, iż pierwsza porażka go obali. Kobieta, tak rada z natarczywości kochanka, tak szczęśliwa z jego gniewu, nazywa je brutalnością u męża. O ile kawaler wybiera teren, o ile wszystko mu jest dozwolone, wszystko wzbronione jest p a n u , a jego pole bitwy jest niezmiennie. Przy tym walka jest odwrócona. Kobieta skłonna jest odmawiać tego, co powinna, gdy jako kochanka używa tego, czego nie powinna. Ty, który chcesz się ożenić, czyś ty dumał kiedy nad kodeksem cywilnym? Ja nigdy nie walałem sobie nóg w tym bagnie komentarzy, w tym spichrzu gadulstwa, nazwanym wydziałem prawa; nigdy nie otworzyłem kodeksu, ale widzę jego zastosowanie w żywym świecie. Jestem logistą, jak klinicysta jest lekarzem. Choroba jest nie w książkach, jest w chorym. Kodeks, mój drogi, wziął kobietę w kuratelę, brał ją za małoletnią, za dziecko. Otóż jak prowadzi się dzieci? Obawą. W tym słowie, Pawle, mieści się wędzidło bydłatka. Zmacaj sobie puls! Zbadaj, czy zdołasz się przeobrazić w tyrana, ty, łagodny, dobry chłopiec, tak pełen ufności, ty, z którego śmiałem się zrazu, a którego kocham dziś na tyle, aby ci zdradzić swoją wiedzę. Tak, to wszystko płynie z wiedzy, którą Niemcy już nazwali antropologią. Ha! gdybym nie był rozwiązał życia przyjemnością, gdybym nie miał głębokiej antypatii do tych, co myślą miast działać, gdybym nie gardził głupcami dość głupimi, aby wierzyć w życie książki, gdy piaski afrykańskich pustyń narosły z pyłu nie wiem ilu Londynów, Wenecyj, Paryżów, Rzymów, nieznanych, spopielonych – napisałbym książkę o nowoczesnym małżeństwie, o wpływie



chrześcijaństwa; słowem, umieściłbym latarnię w kupie tych ostrych kamieni, w których się układają wyznawcy społecznego *multiplicamini*<sup>59</sup>. Ale czy ludzkość warta jest kwadransa mego czasu? A przy tym, jedynym racjonalnym użytkiem atramentu czyż nie jest mamienie serc za pomocą listów miłosnych? No i cóż? Obdarzysz nas hrabiną de Manerville?

– Może – odrzekł Paweł.

– Zostaniemy przyjaciółmi – rzekł de Marsay.

– O ile?... – odparł Paweł.

– Bądź spokojny, będziemy z tobą grzeczni, jak Maison-Rouge z Anglikami pod Fontenoy<sup>60</sup>

Mimo że ta rozmowa dała mu do myślenia, hrabia de Manerville postanowił wykonać swój zamiar i wrócił do Bordeaux w zimie r. 1821. Sumy, jakie włożył w restaurację i umeblowanie pałacu, podtrzymały godnie reputację wykwintu, która go poprzedziła. Od razu wprowadzony przez swoje dawne stosunki w rojalistyczny świat Bordeaux, do którego należał tak przez swoje przekonania. Jak przez nazwisko i majątek, uzyskał tam berło mody. Jego wzięcie, formy, jego paryskie wychowanie zachwyciły miejscową arystokrację. Pewna stara margrabina posłużyła się wyrażeniem niegdyś modnym na dworze na oznaczenie świetnych paniczek dawnej epoki, fircyków, których gwara i wzięcie nadawały ton: nazywała go *k w i a t m ł o d z i e ż y*. Liberalne towarzystwo podchwyciło to wyrażenie i uczyniło zeń przydomek, przyjęty tam przez drwiny, u rojalistów zaś w dobrym sensie. Paweł de Manerville dopełnił chlubnie zobowiązań, które mu nakładał jego przydomek. Zdarzyło mu się to, co się zdarza średnim aktorom, z chwilą gdy publiczność zwraca na nich uwagę: stają się prawie dobrzy. Czując się swobodny, Paweł rozwinął przymioty, których dopuszczały jego wady. Żart jego nie miał nic cierpkiego, obojęcie nie było wyniosłe, sposób rozmawiania z kobietami wyrażał szacunek, który kobiety lubią, ani za wiele czci, ani za wiele poufałości; dandyzm jego był jedynie sympatyczną dbałością o siebie. Miał względy dla starszych, młodym ludziom pozwalał na swobodę, której jego paryska wytrawność umiała położyć granice. Mimo iż tegi gracz na pistolety i szpady, miał kobiecą miękkość, która jednała mu sympatię. Jego średni wzrost i zażywność, która nie przechodziła jeszcze w otyłość – te dwie zapory do elegancji – nie przeszkadzały mu odgrywać roli miejscowego Brummela<sup>61</sup>. Biała cera ożywiona rumieńcem zdrowia, ładne ręce, ładna noga, niebieskie oczy z długimi rzęsami, czarne włosy, wdzięczne ruchy, sympatyczny męski głos wnikający do serca, wszystko zgodne było z jego przydomkiem. Paweł był w istocie owym delikatnym kwiatem, który wymaga starannej kultury, którego wdzięki rozwijają się jedynie w wilgotnym i podatnym gruncie: twarde obojęcie nie pozwala mu kiełkować, zbyt żywy promień słońca spali go, a przymrozek zabije. Był to jeden z owych ludzi raczej stworzonych, aby brać szczęście, niż aby je dawać, którzy mają dużo z kobiety, potrzebują, aby ich odgadywać, zachęcać, słowem, dla których miłość małżeńska musi mieć coś z opatrności. O ile ten charakter rodzi trudności w życiu domowym, ma on wiele wdzięku i uroku w towarzystwie. Toteż Paweł miał wielkie sukcesy w ciasnym kółku prowincjonalnym, gdzie dowcip jego, cały w półtonach, lepiej mógł być oceniony niż w Paryżu.

Urządzenie jego pałacu oraz odnowienie zamku Lanstrac, gdzie wprowadził zbytek i komfort angielski, pochłoneły kapitały, którymi od sześciu lat obracał rejent. Skazany wyłącznie na swoich czterdzieści kilka tysięcy franków renty, sądził, że daje dowód rozsądku, urządzając dom w ten sposób, aby nie wydawać nic ponadto. Kiedy Paweł obwiozł oficjalnie swoje ekwipaże, kiedy uraczył najdystyngowańszą miejscową młodzież i urządził parę polowań w

<sup>59</sup> *Multiplicamini* (łac.) – rozmnażajcie się.

<sup>60</sup> *Maison-Rouge* – tak nazwano niektóre pułki królewskie, od czerwonej barwy munduru; w bitwie pod Fontenoy w r. 1745 Francuzi pod dowództwem marszałka Maurycego Saskiego odnieśli zwycięstwo nad zjednoczonymi wojskami Anglików, Holendrów i Austriaków.

<sup>61</sup> George Bryan Brummel (1778–1840) – słynny dandys, faworyt króla angielskiego Jerzego IV.

odrestaurowanym zamku, zrozumiał, że życie na prowincji nie da się pomyśleć bez małżeństwa. Zbyt młody jeszcze, aby obracać czas na kombinowanie interesów, aby się zagrzebać w spekulacjach, melioracjach, w których mieszkańcy prowincji topią się w końcu, a których wymaga przyszłość dzieci, uczuł niebawem potrzebę rozrywek, będących nałogiem i życiem paryżanina. Nazwisko, spadkobiercy, którym mógłby przekazać majątek, parantele pomocne do stworzenia domu, gdzieby się mogły skupiać najznamienitsze rodziny okoliczne, nuda pokątnych miłostek, wszystko to nie było wszakże główną pobudką. Od chwili przybycia do Bordeaux Paweł zakochał się potajemnie w królowej Bordeaux, słynnej pannie Evangelista.

Z początkiem wieku bogaty Hiszpan nazwiskiem Evangelista osiedlił się w Bordeaux, gdzie jego rekomendacje zarówno jak majątek otworzyły mu dostojne salony. Żona przyczyniła się wiele do podtrzymania jego stanowiska wśród tej arystokracji, która może przygarneła go tak łatwo jedynie, aby podrażnić niższe towarzystwo. Pani Evangelista była to kreolka, przypominała owe kobiety, którym usługują niewolnice. Pochodziła zresztą z domu Casa Real, znakomitej rodziny hiszpańskiej, żyła jak wielka dama, nie znając wartości pieniędzy, nie powściągając swoich zachceń nawet najkosztowniejszych, gdyż zawsze czynił im zadość człowiek zakochany, kryjąc przed nią po rycersku mechanizm finansów. Szczęśliwy, że żonie podoba się w Bordeaux, gdzie więziły go interesy, Hiszpan nabył tam pałacyk, prowadził dom otwarty, przyjmował suto, rozwijając we wszystkim najlepszy smak. Toteż od 1800 do 1812 państwo Evangelista nadawali ton w Bordeaux. Hiszpan umarł w roku 1813, zostawiając trzydziestodwuletnią wdowę z olbrzymim majątkiem i prześliczną córką, dziewczynką jedenastoletnią, która zapowiadała się jako doskonałość i została nią w istocie. Mimo całej zręczności pani Evangelista Restauracja zmieniła jej pozycję; partia rojalistyczna stała się surowsza w doborze, kilka rodzin opuściło Bordeaux. Mimo że brakło głowy i ręki męża do interesów, do których odnosiła się z niedbalstwem Kreolki i nieudolnością światowej lali, nie chciała nic zmienić w trybie życia. W chwili gdy Paweł postanowił wrócić w swoje strony, panna Natalia Evangelista była osobą niepospolicie piękną i na pozór najbogatszą partią w Bordeaux. Nie wiedziano o stopniowym topnieniu kapitałów matki, która, aby przedłużyć swoje panowanie, strwoniła ogromne sumy. Wspaniałe zabawy i królewska stopa życia utrzymywały publiczność w przekonaniu o bogactwach domu Evangelista. Natalia miała dziewiętnaście lat, a żadna matrymonialna propozycja nie doszła ucha matki. Nawykła zadowalać swoje panięskie kaprysy, panna Evangelista nosiła kaszmiry, miała klejnoty i żyła wśród zbytku, który przerażał spekulantów w kraju i epoce, w której dzieci spekulują równie dobrze jak rodzice. To fatalne słowo: „Jedynie księżę mógłby się ożenić z panną Evangelista!” – krążyło w salonach i koteriach. Matki, matrony z wnuczkami do ulokowania, młode osoby zazdrosne o Natalię, która przygniatała je swoją elegancją oraz swą despotyczną pięknnością, podsycaly starannie tę opinię jadowitymi słówkami. Kiedy na balu słyszały którego z epuzerów, wykrzykującego z zachwytem na widok Natalii: „Boże, jaka ona piękna!” – „Tak – odpowiadały – ale droga”. Jeżeli jaki nowy przybysz zachwycił się panną Evangelista i powiadał, że ktoś, kto by szukał żony, nie mógłby zrobić lepszego wyboru, odpowiadano:

– Któż by miał odwagę żenić się z panną, która dostaje od matki tysiąc franków miesięcznie na toaletę, która ma swoje konie, swoją pannę służącą i nosi koronki? Peniuary ma obszyte brukselskimi koronkami. Za to, co ją kosztuje pranie, można by utrzymać skromny dom. Ma na rano pelerynki, za których prasowanie płaci się po sześć franków.

Te i tym podobne zdania, powtarzane często w formie pochwały, gasiły najżywsze pragnienia małżeńskie. Królowa wszystkich balów, znudzona komplementami, uśmiechami i zachwytemi, które zgarniała na swej drodze, Natalia nie знаła wcale życia. Żyła jak ptak, który lata, jak kwiat, który rośnie, znajdując dokoła siebie ludzi gotowych ziścić każde jej życzenie. Nie znała ceny niczego; nie wiedziała, skąd się czerpie, wydobywa i zabezpiecza dochody. Może myślała, że każdy dom ma kucharza, stangreta, pokojówki i służbę, tak jak na łące jest trawa, a na drzewach są owoce. Dla niej żebracy i ubodzy a powalone drzewa i jałowe

pola to było jedno. Jedynacze tej, pieszczonej przez matkę jak nadzieja, nigdy zmęczenie nie skaziło przyjemności. Toteż pędziła w świat, jak rumak pędzi po stepie, bez uzdy i munsztuka.

W pół roku po przybyciu Pawła w miejscowym wielkim świecie nastąpiło spotkanie kwiatu młodości i królowej balów. Te dwa kwiaty patrzyły na siebie na pozór chłodno, a oboje byli sobą zachwyceni. Mając powody śledzić efekt tego celowego spotkania, pani Evangelista odgadła w spojrzeniach Pawła uczucia, jakich doznawał, i powiedziała sobie: „To będzie mój zięć!” Toż samo Paweł na widok Natalii powiedział sobie: „To będzie moja żona”. Majątek państwa Evangelista, przysłowiowy w Bordeaux, pozostał w pamięci Pawła jako zabobon dzieciństwa, ze wszystkich zabobonów najbardziej niezniszczalny. Toteż względy pieniężne od razu odpadły, nie wymagając owych sporów i wywiadów, które jednakim wstrętem przejmują zarówno serca nieśmiałe, co serca dumne. Kiedy parę osób próbowało zaaplikować Pawłowi owe pochwalne frazesy, których niesposób było odmówić wzięciu, wymowie i urodzie Natalii, ale które kończyły się zawsze sceptycznymi horoskopami na przyszłość z powodu trybu życia obu pań, odpowiadał na to wzgardą, na jaką zasługiwała prowincjonalna ciasnota pojęć. Pogląd ten, puszczony w obieg, zamknął usta plotkom, ile że Paweł dawał ton pojęciom i językowi, zarówno jak formom i rzeczom. Wniósł angielski egoizm i jego lodowate bariery, bajronowską ironię, niezadowolenie z życia, pogardę dla świętych węzłów, angielskie srebra i dowcipy, lekceważenie prowincjonalnych obyczajów i starzyzny, cygaro, lakier, kucyki, żółte rękawiczki i galop. Zdarzyło się tedy Pawłowi coś przeciwnego niż wszystkim innym dotąd: żadna panna ani matrona nie próbowała go zrazić. Pani Evangelista zaprosiła go kilka razy na ceremonialny obiad. Czyż kwiatu młodości mogło braknąć na ucztach, na których była najdystygowańsza młodzież? Mimo chłodu, który udawał, a którym nie zwiódł ani matki, ani córki, Paweł wchodził drobnymi krokami na drogę małżeństwa. Kiedy Manerville przejeżdżał kabrioletem lub na pięknym wierzchowcu, niejednym młody człowiek przystanął i Paweł słyszał, jak mówiono:

– Szczęśliwy chłopak: bogaty, przystojny i, jak słyhać, ma się żenić z panną Evangelista. Są ludzie, dla których, można by rzec, świat jest umyślnie stworzony.

Kiedy się spotkał z powozem pani Evangelista, dumny był z wyróżnienia, jakie czytał w ukłonie obu pań. Gdyby Paweł nie był tajemnie zakochany w pannie, z pewnością świat byłby go ożenił bez jego woli. Świat, który nie daje nigdy nic dobrego, jest współnikiem wielu nie-szczęść; następnie, kiedy widzi wschodzące zło, które wyhodował po macierzyńsku, wypiera się go i mści się za nie. Arystokracja Bordeaux, przypuszczając milion posagu u panny Evangelista, dawała ją Pawłowi nie czekając na zezwolenie stron, jak dzieje się często. Majątki ich odpowiadały sobie równie jak osoby. Paweł nawykł do zbytku i wykwintu, w których żyła Natalia. Urządził dla siebie pałac tak, jak nikt w Bordeaux nie byłby urządził domu dla Natalii. Jedynie człowiek nawykły do paryskiej stopy życia i do kaprysów paryżanek mógł uniknąć ruiny, którą pociągało małżeństwo z tą istotą, równie Kreolką, równie wielką damą jak matka. Tam, gdzie mieszkawiec Bordeaux zakochany w pannie Evangelista zrujnowałby się, Manerville potrafi (powiadano) uniknąć wszelkiej szkody. Było to zatem małżeństwo pewne. Osoby z wysokich sfer rojalistycznych, kiedy była przy nich mowa o tym związku, rzucały Pawłowi owe zachęcające słówka, które głaskały jego próżność.

– Wszyscy cię tu swatają z panną Evangelista. Jeśli się z nią ożenisz, dobrze zrobisz; nie znajdziesz nigdzie, nawet w Paryżu, tak pięknej osoby; jest wytworna, pełna wdzięku i rodzi się z Casa Real przez matkę. Będzie z was cudowna para, macie podobne usposobienia, jednakie poglądy, będziecie mieli najprzyjemniejszy dom w Bordeaux. Twoja żona potrzebuje przenieść tylko swój nocny czepeczek. W takiej okoliczności urządzony dom to warte tyle, co posag. Jesteś też szczęśliwy, żeś spotkał teściową taką jak pani Evangelista. Ta kobieta, inteligentna, zręczna, będzie ci bardzo pomocna w życiu politycznym, w które musisz wejść. Po-

święciła zresztą wszystko dla córki, którą ubóstwia, a Natalia będzie z pewnością dobrą żoną, bo kocha matkę. Przy tym trzebaż wreszcie zrobić koniec!

– Wszystko to bardzo pięknie – odparł Paweł, który mimo swej miłości chciał zachować wolną wolę – ale trzeba zrobić koniec szczęśliwy.

Paweł bywał często u pani Evangelista, wiedziony potrzebą wypełnienia pustych godzin, trudniejszych dlań do zabicia niż dla każdego innego. Tam jedynie znajdował ową atmosferę przepychu, zbytku, do jakiej był przyzwyczajony. Czterdziestoletnia pani Evangelista miała piękność podobną zachodowi słońca w bezchmurny dzień. Jej nienaruszona reputacja dostarczała miejscowym kółeczkom wiekuiestej strawy rozmów, a ciekawość kobiet była tym żywsza, iż wdowa miała znamiona owego temperamentu, którym tak słyną Hiszpanki i Kreolki. Miała włosy i oczy czarne, nóżkę i kibić istic hiszpańską, ową wygiętą kibić, której ruchy mają w Hiszpanii swoją nazwę. Twarz, zawsze piękna, czarowała ową kreolską cerą, której żywość można odmalować jedynie przyrównując ją do muślinu rzuconego na purpurę, tak białość jej jest równo zabarwiona. Pełne jej kształty nęciły owym wdziękiem, który umie połączyć lenistwo i żywość, swobodę i siłę. Pociągała i imponowała, kusila, nic nie obiecując. Była wysoka, co dawało jej, gdy chciała, postawę królowej. Mężczyźni łapali się na jej rozmowę jak ptaki na lep; miała z natury ów dar, którego z konieczności nabywają intryganci zdobywała jedno ustępstwo po drugim, zbroila się tym, co jej przyznano, aby wymóc więcej, umiała się cofnąć o tysiąc kroków, kiedy od niej żądano czegoś w zamian. W gruncie bez wykształcenia, znała dwory Hiszpanii i Neapolu, sławnych ludzi z obu części Ameryki, wiele znamienitych rodzin w Anglii i na kontynencie; dawało jej to wykształcenie tak rozległe w swej powierzchowności, iż zdawało się bez granic. Prowadziła dom z owym smakiem, z owym przepychem, których nie da się nabyć, ale z których bogato obdarzone dusze mogą sobie uczynić drugą naturę, przyswajając sobie rzeczy dobre wszędzie, gdzie je spotykają.

O ile jej reputacja cnoty zdawała się niewytłumaczona, przydawała wszakże wiele autorytetu jej postępkom, słowom i charakterowi, Niezależnie od rodzinnych uczuć, córka i matka miały dla siebie wiele przyjaźni. Odpowiadały sobie we wszystkim, ich ciągle współżycie nigdy nie powodowało tarcia. Toteż wiele osób tłumaczyło sobie poświęcenie pani Evangelista jej miłością matczyną. Ale jeżeli Natalia pocieszała matkę w jej wytrwałym wdowieństwie, może nie zawsze była jego wyłączną pobudką. Pani Evangelista zakochała się, jak mówiono, w człowieku, któremu druga Restauracja wróciła jego tytuły i parostwo. Ten człowiek, który byłby z radością zaślubił panią Evangelista w r. 1814, zerwał z nią bardzo elegancko w r. 1816. Pani Evangelista, z pozoru najlepsza kobieta, miała przerażającą właściwość charakteru, którą da się wytłumaczyć jedynie dewizą Katarzyny Medycejskiej: *Odiate e aspettate*, nienawidź i czekaj. Nawykła do pierwszeństwa, zawsze mająca posłuch, podobna była do wszelkiej monarchii: miła, słodka, doskonała, łatwa, stawała się straszliwa, nieubłagana, kiedy ktoś uraził jej dumę kobiety, Hiszpanki i córki Casa Realów. Nie przebaczała nigdy. Ta kobieta wierzyła w potęgę swej nienawiści, czyniła z niej zły urok, który miał krążyć nad wrogiem. Zaciężyła ową złowrogą siłą nad człowiekiem, który z niej zadrwił. Wypadki, które jak gdyby potwierdzały działanie jej *iettatura*<sup>62</sup>, umocniły ją w zabobonnej wierze w siebie. Mimo że minister i par Francji, człowiek ten znalazł się na krawędzi ruiny i w końcu zrujnował się zupełnie. Jego majątek, jego reputacja polityczna i osobista, wszystko miało runąć. Pewnego dnia pani Evangelista mogła dumnie przejechać w swoim świetnym powozie, widząc go idącego pieszo przez Pola Elizejskie, i zmiażdżyć go spojrzeniem, z którego strzelały iskry triumfu. Przygoda ta nie pozwoliła jej wyjść za mąż, pochłaniając ją przez dwa lata. Później duma nasuwała jej zawsze porównanie między tymi, którzy się nastęrczali, a mężem, który ją kochał szczerze i tak bardzo. Doszła tedy poprzez zawody, rachuby, nadzieje i rozczarowania do epoki, w której kobieta nie ma już w życiu innej roli prócz roli mat-

---

<sup>62</sup> *Iettatura* (wł.) – rzucenie uroku wzrokiem, urzeczenie.

ki, kiedy poświęca się córce, przenosząc wszystkie swoje zainteresowania poza siebie samą, na rodzinę, ową ostatnią lokatę ludzkich przywiązań.

Pani Evangelista przeniknęła rychło charakter Pawła, a skryła mu swój własny. Paweł był dla niej idealnym człowiekiem na zięcia, odpowiedzialnym wydawcą jej przyszłej władzy. Spokrewniony był przez matkę z Maulincourami, a stara baronowa de Maulincour, przyjaciółka widama de Pamiers, żyła w samym sercu Dzielnicy Saint-Germain. Wnuk baronowej, August de Maulincour, miał piękną pozycję. Paweł nadawał się tedy znakomicie do wprowadzenia pań Evangelista w świat paryski. Wdowa jedynie z rzadka widywała Paryż Cesarstwa, chciała błyszczeć w Paryżu Restauracji. Tam skupiały się wszystkie elementy kariery politycznej, jedynej, w której kobiety światowe mogą godnie współdziałać. Pani Evangelista, skazana interesami męża na Bordeaux, nie lubiła tego miasta. Prowadziła tam dom: każdy wie, ile obowiązków ciąży wówczas na życiu kobiety; ale miała już dosyć Bordeaux, wyczerpała jego przyjemności. Pragnęła większej sceny, jak gracze śpieszą do grubszej gry. We własnym tedy interesie marzyła dla Pawła o wielkim losie. Zamierzała obrócić wszystkie swoje talenty, całą sztukę życia na korzyść zięcia, aby pod jego firmą kosztować rozkoszy władzy. Niejeden mężczyzna jest w ten sposób parawanem tajemnych ambicji kobiecych. Pani Evangelista miała zresztą rozmaite przyczyny do tego, aby zawładnąć zięciem. Paweł stał się nieodzownie łupem tej kobiety, która osiodłała go tym lepiej, iż wydawało się, że nie pragnie mieć nań najmniejszego wpływu. Użyła tedy całej swej mocy, aby sobie dodać blasku, aby dodać blasku córce i dać wszystkiemu cenę w swoim domu, chcąc zawczasu opanować człowieka, w którym widziała środek przedłużenia swego arystokratycznego życia. Paweł uczuł się dumny z siebie, odkąd wiedział, że obie panie go cenią. Uważał się za inteligentniejszego, niż był w istocie, kiedy widział, że jego najmniejsze uwagi i powiedzenia przypadają do smaku pannie Evangelista, która uśmiechała się lub subtelnie podnosiła głowę, oraz matce, u której pochlebstwo zawsze zdawało się mimowolne. Te dwie kobiety miały w stosunku doń tyle prostoty, tak był pewny, że się im podoba, władały nim tak dobrze, trzymając go na nitce miłości własnej, że niebawem cały czas swój spędzał u pań Evangelista.

W rok po swym osiedleniu, nie oświadczywszy się jeszcze, hrabia tak nadskakiwał pannie Natalii, że wszyscy brali go za starającego się. Ani matka, ani córka nie zdradzały niczym, że myślą o małżeństwie. Panna Evangelista miała z Pawłem swobodę wielkiej damy, która umie być czarująca i rozmawia przyjemnie, nie dopuszczając ani na krok bliżej. Ta dyskrecja, tak niezwykła na prowincji, podobała się Pawłowi. Ludzie nieśmiali są płochliwi, nagle propozycje przerażają ich. Uciekają przed szczęściem, gdy przychodzi z hałasem, a oddają się nieszczęściu, jeśli się zjawia skromnie, w półcieniu. Paweł zabrnął tedy sam z siebie, widząc, że pani Evangelista nie robi żadnego wysiłku, aby go przyciągnąć. Hiszpanka oczarowała go, powiadając mu pewnego wieczora, że u kobiety wyższej, jak u mężczyzny, przychodzi epoka, gdy ambicja zajmuje w życiu pierwsze miejsce.

„Ta kobieta zdolna jest – myślał Paweł, wychodząc – uzyskać mi jaką ładną ambasadę, nim jeszcze zostanę posłem”.

Jeżeli w każdej okoliczności człowiek nie krąży dokoła rzeczy lub idei, aby się im przyrzeć pod rozmaitym kątem, człowiek ten jest niezupełny i słaby, tym samym narażony na zgubę. W tej chwili Paweł był optymistą: widział dobre strony we wszystkim, nie zastanowił się, że teściowa z ambicją może być tyranem. Toteż co wieczór wychodząc, wyobrażał sobie, że już jest żonaty, mamł sam siebie i wdziewał nieznacznie pantofel małżeński. Po pierwsze, zbyt długo cieszył się wolnością, aby jej żałować; zmęczony był kawalerskim życiem, które nie dawało mu nic nowego, widział już tylko same jego braki, gdy w małżeństwie, o ile czasem myślał o jego kłopotach, częściej widział przyjemności; wszystko tu było dlań nowe.

„Małżeństwo – powiadał sobie – przykre jest jedynie dla biedaków; dla ludzi bogatych połowa jego niedoli znika”.

Z każdym dniem tedy jakaś szczęśliwa myśl powiększała listę korzyści zawartych dlań w tym małżeństwie.

„Do jakiegokolwiek pozycji bym doszedł, Natalia będzie zawsze na wysokości swej roli – powiadał sobie – a to niemała zaleta u kobiety. Iluż widziałem mężczyzn za Cesarstwa, którzy straszliwie cierpieli w ambicji przez swoje żony! Czyż to nie jest wielka szansa, że nigdy próżność, duma nie będą urażone w towarzyszce, którą się wybrało? Nigdy człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwy z kobietą dobrze wychowaną; nie ośmiesza go, umie mu być pożyteczna. Natalia będzie cudowną panią domu”.

Przechodził w pamięci najdystyngowańsze kobiety Saint-Germain, aby sobie powiedzieć, że Natalia może, jeżeli nie zaćmić je, to choć najzupełniej im dorównać. Wszelkie zestawienia wypadły na korzyść Natalii. Punkty porównań, czerpane w wyobraźni Pawła, naginały się do jego pragnień. Paryż nastroczyłby mu co dzień nowe fizjonomie, młode panny o rozmaitych typach piękności, a ta różnorodność zostawiłaby mu równowagę sądu; w Bordeaux Natalia nie miała rywalek, była jedynym kwiatem i pojawiała się zrećmiennie w chwili, gdy Paweł znajdował się pod naciskiem myśli, której ulega większość mężczyzn. Toteż te zestawienia połączone z argumentami miłości własnej i ze szczerym pragnieniem, które nie miało innej drogi zaspokojenia jak tylko małżeństwo, doprowadziły Pawła do niedorzecznej miłości. Miał na tyle rozsądku, że zachował tajemnicę jej dla siebie; udawał, że to po prostu chęć do żeniaczki. Silił się nawet obserwować pannę Evangelista jak człowieka, który nie chce narazić swej przyszłości, bo straszliwe słowa de Marsaya brzmiały mu niekiedy w uszach. Ale przede wszystkim osoby nawykłe do zbytku mają pozorną prostotę, która myli: gardzą zbytkiem, posługują się nim, jest on narzędziem, nie sprawą ich życia. Paweł nie wyobrażał sobie, widząc tryb życia tych pań tak zgodny z jego własnym, aby on mógł kryć bodaj jedną przyczynę ruiny. Następnie, o ile są ogólne reguły, aby złagodzić niedole małżeństwa, nie ma ani jednej, aby je przewidzieć ani aby się ich ustrzec. Kiedy nieszczęście stanie między dwojgiem istot, które podjęły umilić sobie wzajem życie i ułatwić jego dźwiganie, rodzi się ono z zetknięć wytworzonych nieustanną bliskością, która nie istnieje między dwojgiem młodych kandydatów do małżeństwa i nie może istnieć, dopóki prawa i obyczaje nie zmienią się we Francji. Wszystko jest oszustwem między dwojgiem istot gotujących się do zawarcia spółki, ale oszustwo ich jest mimowolne, niewinne. Każdy ukazuje się oczywiście w najlepszym świetle; oboje pozują na wyprzedki, oboje mają o sobie wzajem korzystne pojęcie, któremu potem nie umieją sprostać. Prawdziwe życie – jak dni atmosferyczne – składa się o wiele więcej z owych martwych i szarych chwil, które ściemniają przyrodę, niż z momentów, w których słońce błyszczący i ozłaca pola. Młodzi ludzie widzą tylko pogodę. Później przypisują małżeństwu nieszczęścia samego życia, jest bowiem w człowieku skłonność każąca mu szukać przyczyn swych niedoli w rzeczach lub w ludziach, z którymi styka się bezpośrednio.

Aby odkryć w postaci lub w fizjonomii, w słowach lub gestach panny Evangelista oznaki zdradzające porcję niedoskonałości, jakie zawierał jej charakter, jak charakter wszelkiej ludzkiej istoty, Paweł musiałby posiadać nie tylko wiedzę Lavatera i Galla<sup>63</sup>, ale i wiedzę, której żadna teoria nie istnieje, indywidualną wiedzę obserwatora, wymagającą wiadomości niemal uniwersalnych. Jak wszystkie młode osoby, Natalia miała rysy nie do przeniknięcia. Głęboki spokój i pogoda, jakie rzeźbiarze dają dziewczynom twarzom mającym wyobrażać Sprawiedliwość, Niewinność, wszystkie owe bóstwa nieświadome ziemskich wzruszeń, ów spokój jest największym urokiem młodej dziewczyny, jest znakiem jej czystości; nic jej jeszcze nie wzruszyło, żadna złamana namiętność, żaden życiowy zawód nie skaziły pogody jej wyrazu; jeżeli jest udany, młoda dziewczyna już nie istnieje. Żyjąc wciąż na łonie matki, Natalia

---

<sup>63</sup> Johann Kasper Lavater (1751–1801) – teolog i filozof szwajcarski, twórca pseudonaukowej teorii głoszącej związek między rysami człowieka a jego charakterem; Franz Joseph Gall (1758–1828) – lekarz niemiecki, stworzył modną w swoim czasie teorię, wedle której charakter człowieka można określić na podstawie kształtu jego czaszki.

otrzymała, jak zresztą każda kobieta w Hiszpanii, wychowanie czysto religijne i nieco nauk matczynych, pożytecznych dla roli, którą miała odegrać. Spokój jej twarzy był tedy naturalny. Ale tworzył on zasłonę, w którą kobieta była spowita jak motyl w swoją larwę. Mimo to człowiek biegle władający skalpelem analizy podchwyciłby u Natalii pewne zapowiedzi trudności, jakie charakter jej nastrojczy, skoro się znajdzie wobec małżeńskich i społecznych realności. Cudowna zaiste jej piękność wynikała z nadzwyczajnej regularności rysów harmonizujących z proporcjami głowy i ciała. Ta doskonałość jest złą wróżbą dla ducha. Mało spotyka się wyjątków w tej regule. Wszelka natura wyższa ma w swej formie lekkie niedoskonałości, i te stają się nieprzepartym urokiem, świetlnymi punktami, w których błyszczą sprzeczne uczucia, na których zatrzymują się spojrzenia. Doskonała harmonia zwiastuje chłód natur niepełnych. Natalia miała krągłą kibić – oznaka siły, ale niechybny znak woli, często przechodzącej w upór u osób, których inteligencja nie jest żywa ani rozległa. Ręce, godne greckiego posągu, potwierdzały wróżbę twarzy i postawy, zwiastując ducha nielogicznego despotyzmu. Brwi schodziły się; zdaniem obserwatorów, rys ten zdradza skłonność do zazdrości. Zazdrość istot wyższych jest współzawodnictwem, rodzi wielkie rzeczy; w małych duszach staje się nienawiścią. Matczyne *odiato e aspettato* było u niej bez obłudy. Oczy czarne na pozór, ale w gruncie ciemnopomarańczowe, tworzyły kontrast z włosami, których płowy kolor, tak ceniony u Rzymian, nazywa się *auburn* w Anglii; są to prawie zawsze włosy dzieci zrodzonych z dwojga brunetów, jak oboje państwo Evangelista. Biała i delikatna cera Natalii dawała temu kontrastowi włosów i oczu niewysłowiony urok, ale o subtelności czysto zewnętrznej; ilekroć bowiem rysom brak jest pewnej miękkiej krągłości, wówczas, mimo największej doskonałości szczegółów, nie czytacie w nich pomyślnych wróżb dla duszy. Te róże o zwodnej świeżości opadają z liści – i zdziwicie się w kilka lat później, widząc oschłość i twardość tam, gdzieście podziwiali wykwiń i szlachetność.

Mimo że owal jej twarzy miał coś dostojnego, podbródek Natalii był nieco *rozłany*: wyrażenie malarskie, zdolne dopomóc do wytłumaczenia uczuć, których siła miała się objawić dopiero o południu życia. Usta, nieco cofnięte, wyrażały gwałtowną dumę, zgodną z jej ręką, podbródkiem, brwiami i kibicią. Wreszcie – ostatni znak diagnostyczny, który zdecydowałby o wyroku znawcy – czysty głos Natalii, ten głos tak uroczy, miał tony metaliczne. Mimo iż obchodziła się bardzo łagodnie z tym mosiądzem, mimo słodczy, z jaką dźwięki jego biegły niby przez spirale rogu, organ ten zwiastował charakter księcia Alby<sup>64</sup>, od którego pośrednio wiedli się Casa Real. Oznaki te wróżyły namiętność bez tkliwości, gwałtowne oddanie, nieublagane nienawiści, spryt bez inteligencji oraz chęć panowania, naturalną u osób, które czują się niedorósłymi do swych pretensji. Wady te, zrodzone z temperamentu i z usposobienia, zrównoważone może przymiotami szlachetnej krwi, były zagrzebane w Natalii niby złoto w rudzie i miały się ujawnić dopiero pod szorstkim dotknięciem świata i pod tarciem, na jakie charakteru są w nim narażone.

W tej chwili powab i świeżość młodości, wykwiń obejścia, święta nieświadomość, wdzięk młodej dziewczyny barwiły jej rysy delikatną powłoką, która musiała zwieść ludzi powierzchownych. Następnie, matka wszczepiła jej zawczasu ów miły szczebiot, który udaje wyższość, który odpowiada na wszystko żarciem i urzeka wdzięczną paplaninką; pod nimi kobieta chowa martwicę swego mózgu, jak natura kryje swoje ugory pod przepychem nietrwałej roślinności. Wreszcie, Natalia miała wdzięk zepsutych dzieci, które nie znały cierpienia; zachwycała swą szczerością, nie miała owej sztywnej pozy, jaką matki narzucają pannom na wydaniu, wytyczając im niedorzeczny program słów i gestów. Była roześmiana i naturalna jak młoda dziewczyna, która nie wie nic o małżeństwie, spodziewa się po nim samych przyjemności, nie przewiduje żadnego nieszczęścia i sądzi, że przez nie nabędzie prawo czynienia zawsze swej woli. W jaki sposób Paweł, który kochał tak, jak się kocha wówczas, gdy żąda

<sup>64</sup> Książę Alba (1507–1582) – hiszpański wódz i mąż stanu, słynny z okrucieństwa, z jakim usiłował stłumić powstanie w Niderlandach.

potęguje miłość, poznałby w tej dziewczynie, olśniewającej go swą urodą, kobietę taką, jaką miała być w trzydziestym roku, skoro nawet bystry obserwator mógłby się omylić co do tych pozorów? Jeżeli trudno było znaleźć szczęście w małżeństwie z tą dziewczyną, nie było ono niemożliwe. Poprzez te zarodki wad błyszcząły przymioty. Pod ręką mistrza nie ma przymiotu, który, umiejętnie rozwinięty, nie zdusiłby wad, zwłaszcza u dziewczyny, która kocha. Ale aby zrobić tę tak oporną kobietę, trzeba by owej stalowej garści, o której mówił de Marsay. Paryski dandys miał słuszość. Lęk, natchniony miłością, jest niezawodnym narzędziem w powodowaniu duszą kobiety. Kto kocha, boi się; a kto się boi, bliższy jest przywiązania niż nienawiści. Czy Paweł będzie miał zimną krew, bystrość, stanowczość, konieczne w owej walce, której rozumny mąż nie powinien zdradzić kobiecie? A przy tym, czy Natalia kochała Pawła? Podobna większości młodych panien, Natalia brała za miłość pierwsze drgnienie instynktu oraz przyjemność, jaką sprawiała jej powierzchowność Pawła; nie wiedziała zresztą nic o małżeństwie ani o domu. Dla niej hrabia de Manerville, dyplomata znający dwory Europy, jeden z elegantów paryskich, nie mógł być człowiekiem pospolitym, bez siły moralnej, lęklwym i odważnym zarazem, energicznym może w obliczu przeciwności, ale bezbronny wobec przykrości, które psują szczęście. Czy będzie miała później na tyle wyczucia, aby odkryć przymioty Pawła wśród jego drobnych wad? Czy nie będzie przesadzała jednych, a zapominała o drugich, zwyczajem młodych kobiet nie mających pojęcia o życiu? Jest wiek, w którym kobieta przebacza przywary temu, kto jej oszczędzi przykrości, i w którym bierze przykrości za nieszczęścia. Jaka sympatyczna siła, jakie doświadczenie zdoła podtrzymać i oświecić to młode małżeństwo? Czy Paweł i jego żona nie będą sądzili, że się kochają, wówczas gdy będą dopiero tonąć w owych pieszczotliwych komedijkach, na jakie młode kobiety pozwalają sobie w początkach życia we dwoje; w owych komplementach, na jakie mężowie zdobywają się za powrotem z balu, w pełni uroków pożądania? Czy w tym położeniu Paweł nie podda się tyranii żony zamiast ustalić swoją władzę? Czy Paweł będzie umiał powiedzieć nie? Wszystko było tu pułapką dla człowieka słabego, tam gdzie i najsilniejszy nie byłby może bezpieczny.

Przedmiotem tego studium nie jest przejście od stanu kawalerskiego do małżeństwa; obraz ten, szeroko nakreślony, nie byłby pozbawiony powabu, jakiego burza naszych uczuć udziela najpospolitszym sprawom. Okoliczności, które spowodowały związek Pawła z panną Evangelista, są wstępem do utworu mającego za temat jedynie arcykomedię, która poprzedza wszelkie małżeństwo. Dotąd autorowie dramatyczni zaniedbali tę scenę, mimo iż dostarczyłaby ona nowego pokarmu ich werwie. Scena ta, która zaciążyła na przyszłości Pawła, a której pani Evangelista oczekiwała z lękiem, to dyskusja, do jakiej daje powód kontrakt ślubny w każdej sferze, pańskiej czy mieszczańskiej: interesy – wielkie czy małe – jednakowo wprawiają w ruch ludzkie namiętności. Komедie te, odgrywane w obliczu rejenta, wszystkie podobne są mniej więcej do tej oto, której klucz znajdzie się nie tyle na stronicach tej książki, ile we wspomnieniu żonkosiów.

Z początkiem zimy r. 1822 Paweł de Manerville poprosił o rękę panny przez swą cioteczną babkę, baronową de Maulincour. Mimo że baronowa nie spędzała nigdy więcej niż dwa miesiące w Médoc, została tam do końca października, aby dopomóc wnukowi w tej okoliczności i odegrać rolę matki. Zagaiwszy rzecz z panią Evangelista, ciotka, doświadczona kobieta, przysłała oznajmić Pawłowi rezultat swego kroku.

– Moje dziecko – rzekła – rzecz jest tak jak ubita. Poruszywszy sprawy majątkowe dowiedziałam się, że pani Evangelista nie daje nic córce ciepłą ręką. Panna Natalia wychodzi za mąż na zasadzie praw ojczystych. Żeń się, chłopcze! Ludzie mający do przekazania nazwisko i majątek, ród do utrwalenia, prędzej czy później muszą skończyć na tym. Chciałabym, aby mój drogi Guccio poszedł tą samą drogą. Ożenisz się doskonale beze mnie, mogę ci jedynie dać swoje błogosławieństwo. Kobiety stare jak ja nie mają co robić na weselu. Wracam jutro do Paryża. Kiedy wprowadzisz żonę w świat, będę ją mogła widywać u siebie wygodniej niż



tutaj. Gdybyś nie miał domu w Paryżu, znalazłbyś zawsze schronienie u mnie, urządziłabym chętnie dla was drugie piętro w swoim domu.

– Droga ciociu – rzekł Paweł – dziękuję ci. Ale co ty rozumiesz przez te słowa: matka nie daje nic za życia, panna wychodzi za mąż na zasadzie praw ojczystych?

— Matka, moje dziecko, to filut-baba, która korzysta z piękności córki, aby dyktować warunki i dać tylko to, czego nie może odjąć: majątek po ojcu. My, starzy ludzie, wielką przywiązujemy wagę do tego punktu; „Co on ma? Co ona ma?” Radzę ci dać dobre instrukcje swemu rejentowi. Kontrakt, moje dziecko, jest najświętszym z obowiązków. Gdyby twój rodzice nie byli dobrze ustali swego łóżka, byłbyś może dziś bez prześcieradeł. Będziesz miał dzieci, to są najpospolitsze skutki małżeństwa, trzeba tedy o tym myśleć. Pogadaj z panem Mathias, naszym starym rejentem.

Pani de Maulincour odjechała pogrążywszy Pawła w zamięcie. Teściowa filut-baba! Trzeba pilnować swoich interesów przy kontrakcie i w danym razie ich bronić: któż tedy chce je naruszyć? Paweł usłuchał ciotki i powierzył kontrakt rejentowi Mathias. Ale widoki tych spraw dręczyły go. Toteż nie bez żywego niepokoju zjawił się u pani Evangelista, aby jej oznajmić swoje intencje. Jak wszyscy ludzie nieśmiali, drżał, że zdradzi obawy, które ciotka mu podsunęła, a które wydawały mu się zniewagą. Aby uniknąć najłżejszego tarcia z osobą tak imponującą, wynalazł owe omówienia, naturalne u osób, które nie śmieją stawić czoła trudnościom.

– Pani – rzekł, korzystając z chwilowej nieobecności Natalii – pani wie, czym jest rejent w rodzinie; mój rejent to zacny starzec, dla którego byłoby prawdziwą zgryzotą, gdyby nie miał sporządzić kontraktu...

– Ależ, drogi Pawle – przerwała mu pani Evangelista – czyż kontraktów nie układają zawsze rejenci?

Czas, przez który Paweł siedział, nie wszczynając tej kwestii, pani Evangelista obróciła na zadawanie sobie pytania; „O czym on myśli?” – kobiety bowiem posiadają w wysokim stopniu wycucie tajemnych myśli odbijających się na fizjonomii. Odgadła rękę ciotki w zakłopotanym spojrzeniu, w drzeniu głosu, które zdradzały w Pawle wewnętrzną walkę.

„Nareszcie – powiedziała sobie w duchu – fatalny dzień nadszedł, zaczyna się kryzys, jaki będzie rezultat?” – Moim rejentem jest pan Solonet – dodała po pauzie – pańskim pan Mathias, zaproszę ich na obiad jutro, porozumieją się. Czyż nie jest ich zawodem godzić nasze interesy bez naszego udziału, tak jak kucharze gotują nam jeść?

– Prawda! oczywiście! – rzekł Paweł z westchnieniem ulgi.

Przez szczególną zamianę ról Paweł, wolny od wszelkiej zmyzy, drżał, a pani Evangelista wydawała się spokojna, przechodząc straszliwe wzruszenia. Wdowa winna była córce trzecią część majątku zostawionego przez pana Evangelista – milion dwieście tysięcy franków – i nie była w możności spłacić tego nawet wyprzedając się z całego majątku. Miała być tedy na łasce zięcia. O ile dałaby sobie rady z Pawłem samym, czy Paweł, oświecony przez rejenta, zgodzi się pokwitować ją z opieki? Gdyby się cofnął, całe Bordeaux znalazłoby powody; wszelkie małżeństwo Natalii stałoby się tam niemożliwe. Ta matka, która pragnęła szczęścia córki, ta kobieta, która od urodzenia żyła szlachetnie, pomyślała, że od jutra trzeba będzie stać się nieuczciwą. Jak owi wielcy wodzowie, którzy chcieliby wymazać ze swego życia chwilę, w której potajemnie stchórzyli, tak ona chciałaby móc wyrwać ten dzień z liczby swoich dni. Z pewnością niejeden włos pobiełał jej owej nocy, gdy w obliczu faktów wyrzucała sobie własną lekkomyślność, czując twardą konieczność położenia. Po pierwsze, musiała się wyświadczyć przed swoim rejentem, którego zamówiła na rano. Trzeba było wyznać rozpacz, do której nigdy nie chciała się przyznać przed sobą, bo zawsze, idąc ku przepaści, liczyła na jeden z owych przypadków, które nie zdarzają się nigdy. Zbudziło się w jej duszy przeciw Pawłowi lekkie uczucie, w którym nie było nienawiści ani niechęci, ani nic złego jeszcze; ale czy nie był on przeciwną stroną w tym tajemnym procesie? Czy nie stawał się bezwiednie

niewinnym wrogiem, którego trzeba było zwalczyć? Któż w świecie może kochać swą ofiarę? Zmuszona kręcić, Hiszpanka postanowiła, jak wszystkie kobiety, rozwinąć cały swój talent w tej walce, której hańbę mogło zatrzeć jedynie pełne zwycięstwo. W ciszy nocnej rozgrzeszyła się za pomocą argumentów, które podsuwała jej duma. Czy Natalia nie korzystała z jej mar-notrawstwa? Czy było w jej postępowaniu coś z owych niskich i szpetnych pobudek, które kalają duszę? Nie umiała liczyć, czyż to występki, zbrodnia? Czy Paweł nie powinien być aż nadto szczęśliwy, że dostaje dziewczynę taką jak Natalia? Czy skarb, który uchowała, niewart jest pokwitowania? Czy wielu mężczyzn nie kupuje ukochanej kobiety tysiącem poświęceń? Czemu miałoby się robić dla ślubnej żony mniej niż dla kurtyzany? Zresztą Paweł jest zero, człowiek bez zdolności; ona rozwinie dlań zasoby swej inteligencji, utoruje mu drogę, jej będzie zawdzięczał karierę, władzę; czy nie spłaci mu kiedyś hojnie swego długu? Byłby głupcem, gdyby się wahał! Wahać się dla paru talarów mniej lub więcej?... Byłby nikczemnikiem.

„Jeśli rzecz nie załatwi się od razu – powiała sobie – opuszczę Bordeaux i zawsze będę mogła zapewnić Natalii ładną przyszłość spieniężając to, co mi zostanie, pałac, diamenty, meble, oddając jej wszystko, a zachowując sobie jedynie pensję”.

Kiedy tęgi charakter zabezpieczy sobie schronienie, jak Richelieu w Brouage<sup>65</sup>, i wytyczy sobie wspaniały cel, czyni zeń punkt oparcia, który pomaga mu zwyciężyć. Ta decyzja na wypadek nieszczęścia uspokoiła panią Evangelista, która usnęła pełna ufności w swego sekundanta w tym pojedynku. Wiele liczyła na pomoc najzdolniejszego rejenta w Bordeaux, pana Solonet, młodego człowieka lat dwudziestu siedmiu, nagrodzonego legią honorową za czynną pomoc w drugim powrocie Burbonów. Szczęśliwy i dumny, że bywał u pani Evangelista nie tyle jako rejent, ile jako rojalista, Solonet powziął dla tego pięknego zachodu słońca namiętność, jaką kobiety takie jak pani Evangelista odtrącają, ale która im pochlebia i którą podtrzymują największe skromnisie. Próżny Solonet trwał w postawie pełnej szacunku oraz bardzo przyzwoitej nadziei. Rejent przybył nazajutrz ze skwapliwością niewolnika. Zalotna wdowa przyjęła go w sypialni, gdzie ukazała się w umiejętnie przygotowanym negliżu.

– Czy mogę – rzekła – liczyć na pańskie całkowite oddanie w dyskusji, która będzie się toczyła dziś wieczór? Domyśla się pan, że chodzi o kontrakt ślubny mojej córki.

Młody człowiek zaczął od komplementów i zapewnień.

– Do rzeczy – rzekła.

– Słucham – odparł, jakby się skupiając.

Pani Evangelista przedstawiła mu bez ogródek swoje położenie.

– To drobnostka, moja królowo – rzekł pan Solonet, przybierając minę pewną siebie, skoro pani Evangelista podała mu ściśle cyfry. – Na jakiej stopie jest pani z panem de Manerville? Tutaj kwestie moralne dominują nad kwestiami prawnymi i finansowymi.

Pani Evangelista wzięła rzecz z wysoka. Młody rejent dowiedział się z radością, że do dziś klientka jego zachowała w stosunkach z Pawłem całą godność, że wespół ze szczerą dumą, wespół przez bezwiedne wyrachowanie stale postępowała tak, jakby hrabia de Manerville był czymś niższym i jak gdyby ożenić się z panną Evangelista było dlań zaszczytem; ani jej, ani córki nie można było podejrzewać o interesowność; uczucia ich zdawały się wolne od wszelkich małostek, za najmniejszą trudnością wszczętą przez Pawła miały prawo się wycofać; słowem, posiadała na przyszłego zięcia wpływ nieograniczony.

– Skoro tak rzeczy stoją – rzekł Solonet – jakie jest ostatnie ustępstwo, do którego pani chce się posunąć?

– Możliwie najmniej – rzekła, śmiejąc się.

– Kobieca odpowiedź – zawołał Solonet. – Czy pani zależy na tym, aby wydać pannę Natalię?

– Tak.

---

<sup>65</sup> Richelieu w Brouage – Balzac popełnił tu omyłkę: Richelieu zbudował sobie siedzibę nie w Brouage, lecz w Saintonge, które było kolebką jego rodu.

– Czy chce pani dostać pokwitowanie z miliona stu pięćdziesięciu sześciu tysięcy, które pani będzie winna, wedle rachunków opieki, rzeczonemu zięciowi?

– Tak.

– Co pani chce ocalić?

– Co najmniej trzydzieści tysięcy franków renty – odparła.

– Trzeba zwyciężyć lub zginąć?

– Tak.

– A więc zastanowię się nad środkami; trzeba nam wiele zręczności, musimy oszczędzać siły. Skoro przyjdę wieczór, dam pani parę wskazówek, niech je pani wykona ściśle, a mogę z góry przepowiedzieć wygraną. Czy hrabia kocha pannę Natalię? – spytał, wstając.

– Ubóstwia.

– To nie dosyć. Czy jej pragnie jako kobiety, tak aby zamknąć oczy na pewne trudności pieniężne?

– Tak.

– Oto co uważam za czynny bilans młodej panny! – wykrzyknął rejent. – Niech się pani postara, aby była piękna dziś wieczór – dodał znacząco.

– Przygotowałyśmy czarującą toaletę.

– Suknia włożona w dzień kontraktu kryje, wedle mnie, połowę donacyj w swoich fałdach – rzekł Solonet.

Ten ostatni argument wydał się pani Evangelista tak ważny, że postanowiła być przy toalecie Natalii, zarówno aby jej przypilnować, co aby uczynić z córki niewinną współniczkę swej finansowej kombinacji. Uczesana *à la Sévigné*<sup>66</sup>, w białej kaszmirowej sukni z różowymi wstążkami, córka wydała się jej tak ładna, że uwierzyła w zwycięstwo. Kiedy pokojówka wyszła i kiedy pani Evangelista była pewna, że nikt nie słyszy, poprawiła parę pukli w uczesaniu córki; była to niejako przedmowa.

– Drogie dziecko, czy ty szczerze kochasz pana de Manerville? – rzekła głosem spokojnym na pozór.

Zmierzyły się szczególnym spojrzeniem.

– Czemu, mamusiu, zadajesz mi to pytanie właśnie dziś? Czemu pozwoliłaś mi go widywać?

– Gdyby się nam trzeba było rozstać na zawsze, czy upierałabyś się przy tym małżeństwie?

– Wyrzekłabym się go i nie umarłabym ze zgryzoty.

– Nie kochasz go, dziecko – rzekła matka, całując ją w czoło.

– Ale po co, mamusiu, ta inkwizycja?

– Chciałam wiedzieć, czy ci zależy na małżeństwie, choć nie szalejesz za mężem.

– Kocham go.

– Masz słuszność, jest hrabią, we dwie zrobimy z niego para Francji; ale będą trudności.

– Między ludźmi, którzy się kochają? Nie. Kwiat młodoży, droga mamusiu, zbyt dobrze się tu ulokował – rzekła, pokazując milusim ruchem serce – aby robić najmniejsze trudności. Jestem pewna.

– A gdyby było inaczej? – rzekła pani Evangelista.

– Pogrzebałoby się go w niepamięci – odparła Natalia.

– Dobrze. Jesteś prawdziwa Casa Real! Ale mimo że cię kocha jak szalony, gdyby zaszły trudności, którym nie on dałby początek, ale które musiałyby ze względu na nas przeskoczyć? Gdyby, bez obrazy konwenansów, trochę kokieterii mogło go skłonić? No, odrobina, słówko? Mężczyźni są już tacy, nie ustąpią w poważnej dyskusji, a padają pod jednym spojrzeniem.

– Rozumiem! Małe spięcie ostrogą, aby faworyt wziął przeszkodę – rzekła Natalia, czyniąc gest, jakby uderzała konia szpicrutą.

---

<sup>66</sup> *Uczesanie à la Sévigné* – tj. w loki upięte po bokach.

– Mój aniele, nie żądam od ciebie nic, co by mogło wyglądać dwuznacznie. Mamy poczucie kastylskiego honoru, który nie pozwala nam przekroczyć granic. Hrabia będzie znał moje położenie.

– Co za położenie?

– Nie zrozumiałabyś. A więc, gdyby ujrzawszy cię w całej chwale oczy jego zdradziły cię wahania – a będę go śledziła! – zrywam wszystko, potrafię zlikwidować swój majątek, opuścić Bordeaux i udać się do Douai do Claësów, którzy, mimo wszystko, są nasi krewni przez Temnincków. Następnie wydam cię za para Francji, choćbym miała osiąść w klasztorze po to, aby ci oddać wszystko, co mam.

– Mamo – rzekła Natalia – cóż trzeba robić, aby zapobiec takim nieszczęściom?

– Nigdy nie widziałam cię tak piękną, moje dziecko! Bądź trochę zalotna, a wszystko będzie dobrze.

Pani Evangelista zostawiła Natalię zadumaną i poszła dokończyć toalety, która by jej pozwoliła wytrzymać porównanie z córką. O ile Natalia miała być ponętna dla Pawła, czyż matce nie trzeba było rozpaść pana Solonet, swego szermierza? Obie panie były pod bronią, kiedy Paweł przyszedł z bukietem, który od kilku miesięcy zwykł był co dzień ofiarowywać Natalii. Zaczęli rozmawiać, czekając na rejentów.

Ten dzień był dla Pawła pierwszą utarczką długiej i nużącej wojny zwanej małżeństwem. Trzeba tedy ustalić siły obu stron, pozycje walczących i teren operacyjny. Aby stawić czoło walce, o której doniosłości nie miał pojęcia, Paweł miał za całą pomoc starego rejenta. Obaj mieli być zaskoczeni nieoczekiwanym wypadkiem, przyciśnięci przez nieprzyjaciela, który miał gotowy plan, i zmuszeni decydować się, nie mając czasu do namysłu. Nawet mając przy sobie samego Cujasa i Bartola<sup>67</sup>, któryż mężczyzna nie byłby uległ? Jak uwierzyć w przewrotność tam, gdzie wszystko wydaje się proste i naturalne? Co mógł Mathias sam przeciw pani Evangelista, przeciw Solonetowi i przeciw Natalii, zwłaszcza gdy jego zakochany klient przeszedłby na stronę nieprzyjaciela z chwilą, gdyby coś groziło jego szczęściu? Już Paweł brnął w komplementy zwyczajne między zakochanymi, ale którym jego namiętność dawała olbrzymią wagę w oczach pani Evangelista, pchającej go do tego, aby sobie przeciął odwrót.

Owi kondotierzy matrymonialni, którzy mieli się bić za swoich klientów i których siły były tak ważne w tym spotkaniu – dwaj rejenci – przedstawiali dawne i nowe obyczaje, dawny i nowy notariat.

Mathias był to starowina liczący sześćdziesiąt dziewięć lat, dumny z dwudziestu lat praktyki. Jego grube, podagryczne stopy były obute w trzewiki ze srebrnymi klamrami i stanowiły pocieszne zakończenie nóg tak cienkich, o rzepkach tak wystających, że kiedy je skrzyżował, rzeklibyście, dwie kości wyrte nad D. O. M.<sup>68</sup> Chude uda w szerokich czarnych płudrach ze sprzączkami zdawały się uginać pod ciężarem okrągłego brzucha oraz torsu wydatnego jak u ludzi wiodących siedzące życie. Była to wielka kula, wiecznie opatulona w zielony frak z kwadratowymi połami, którego nikt nie pamiętał nowym. Starannie wyczesane i upudrowane włosy splecione były w mały harcap, tkwiący między kołnierzem fraka a białą kamizelką w kwiaty. Ze swą okrągłą głową, twarzą kolorową jak liść wina, niebieskimi oczami, ryjkowatym nosem, grubymi wargami, dubeltowym podbródkiem zacny ten człeczyna budził wszędzie śmiech, jakim tak hojnie obdarza Francuz owe komiczne postacie, kaprysy przyrody, przesadzane jeszcze przez artystów w tym, co nazywamy k a r y k a t u r ą. Ale u pana Mathias duch święcił triumf nad formą; przymioty duszy zwyciężyły pocieszność ciała. Całe Bordeaux miało dlań szacunek i uznanie. Głos rejenta zdobywał serca mową uczciwości. Bez sztuczek szedł prosto do celu, krusząc złe myśli ścisłymi pytaniami. Bystry rzut oka, doświadcze-

<sup>67</sup> Jacques C u j a s (1522–1590) – francuski uczonec, teoretyk i historyk prawa, oraz B a r t o l, włoski prawnik z XIV w., cenieni byli jako wielkie autorytety w swej dziedzinie.

<sup>68</sup> D. O. M. (Deo -Optimo Maximo) – Bogu Najlepszeemu, Najwyższemu (napis na świątyniach rzymskich, potem na kościołach i grobowcach chrześcijańskich).

nie dawały mu ów dar, który pozwala wnikać w głąb sumień i czytać tajemne myśli. Mimo iż surowy w interesach, patriarcha ów posiadał patriarchalną wesołość. Lubił piosenkę przy stole, przestrzegał uroczystości rodzinnych, obchodził rocznice, urodziny babek i dzieci, święcił Boże Narodzenie; lubił dawać kolędy, robić niespodzianki i przysyłać jajko wielkanocne; brał serio obowiązki ojca chrzestnego, nie zaniedbywał żadnego z owych zwyczajów, które tyle dawały koloru dawnemu życiu. Mathias był to czcigodny szczątek owych rejentów, nieznanych wielkich ludzi, którzy brali miliony bez pokwitowania i oddawali je w tym samym worku, zawiązane tym samym sznurkiem, którzy wypełniali wiernie fideikomisy, skrupulatnie sporządzali inwentarze, zajmowali się po ojcowsku sprawami klientów, zastępowali niekiedy drogę marnotrawcom i posiadali tajemnice rodzin: słowem, jeden z owych rejentów, którzy się czują odpowiedzialni za błędy w swoich aktach i obmyślają je długo. Nigdy w czasie jego notariatu żadnemu klientowi nie przepadła lokata, niepewna albo źle zabezpieczona. Majątek swój, powoli, ale uczciwie nabyty, uciulał w ciągu trzydziestu lat oszczędności. Wychował na notariuszy czterestu dependentów. Religijny i dobroczynny po cichu, Mathias znajdował się wszędzie, gdzie było coś dobrego do zrobienia. Czynny członek komitetu szpitalnego i komitetu dobroczynności, zapisywał się na największą sumę w dobrowolnych podatkach na rzecz jakiegoś nieszczęścia lub nędzy, na stworzenie pożytecznej instytucji. Toteż ani on, ani jego żona nie mieli powozu, toteż słowo jego było święte, toteż piwnice jego przechowywały tyleż kapitałów, ile ich było w Banku, toteż nazywano go p o c z c i w y m M a t h i a s e m i kiedy umarł, było trzy tysiące osób na jego pogrzebie.

Solonet był to typowy młody rejent, który przychodzi, nucąc modny kuplet, przybiera dowcipną minę, twierdzi, że interesy doskonale da się załatwić na wesoło; kapitan Gwardii Narodowej, który nierad jest, kiedy go wezmą za rejenta, i który stara się o krzyż legii; który ma swój powóz i powierza sprawdzenie aktów dependentom; rejent, który chodzi na bale, do teatru, kupuje obrazy i grywa w *écarté*; który ma kasę, gdzie chowa depozyty, aby zwracać w banknotach to, co otrzymał w złocie; rejent, który idzie z duchem czasu i ryzykuje wątpliwe lokaty, spekuluje i chce się wycofać po dziesięciu latach notariatu z trzydziestoma tysiącami renty; rejent, którego wiedza płynie z jego dwulicowości, ale którego wielu ludzi lęka się jak współnika posiadającego ich sekrety; wreszcie rejent, który w swoim stanowisku widzi sposób przyżyczenia się do jakiejś posażnej jedynaczki.

Kiedy szczupły blondynek Solonet, ufrызowany, uperfumowany, obuty jak pierwszy amant z Vaudeville, ubrany jak dandys, którego najważniejszą sprawą w życiu jest pojedynek, wszedł przed swym starym kolegą, nieskorym wskutek podagry, dwaj ci ludzie ucieleśnili jedną z owych karykatur zatytułowanych „Niegdyś a dziś”, cieszących się takim powodzeniem za Cesarstwa. Jeżeli obie panie Evangelista, które nie znały z a c n e g o M a t h i a s a, miały zrazu lekką ochotę do śmiechu, ujął je niebawem wdzięk, z jakim starzec wygłosił swój powitalny komplement. Słowa pocziwca oddychały ową uprzejmością, jaką mili starszankowie umieją wlać zarówno w myśli, jak w ich wyraz. Młody i fircykowaty rejent był na tę chwilę pobity. Mathias dowiódł swej znajomości świata taktem, z jakim przywitał Pawła. Nie ponizając swoich siwych włosów, uczcił w młodym człowieku ród, wiedząc, że starośći należy się jakiś szacunek i że wszystkie prawa społeczne są solidarne. Przywitanie natomiast i ukłon Soloneta wyrażały ową zupełną równość, która musiała razić ludzi światowych, ośmieszając go w oczach osób naprawdę dystygowanych. Młody rejent dał poufny znak pani Evangelista, aby ją odciągnąć na chwilę rozmowy. Szeptali sobie do ucha śmiejąc się, zapewne aby tym pokryć doniosłość narady, w której pan Solonet poddał swojej monarchini plan bitwy.

– Ale – rzekł – czy pani będzie miała odwagę sprzedać pałac?

– Najzupełniej – odparła.

Pani Evangelista nie chciała zwierzyć swemu rejentowi źródeł tego heroizmu; zapal Soloneta mógłby ostygnąć, gdyby wiedział, że jego klientka ma opuścić Bordeaux. Nie wspo-

mniała nawet o tym Pawłowi, aby go nie przerażać rozległością szanów, jakich wymagały pierwsze prace życia politycznego.

Po obiedzie dwaj pełnomocnicy zostawili kochanków z matką i udali się do pokoju przeznaczanego na tę naradę. Rozegrała się tedy podwójna scena: w salonie przy kominku scena miłosa, w której życie zdawało się uśmiechnięte i radosne; obok scena poważna i ponura, w której obnażony interes zawczasu grał ową rolę, jaką odgrywa pod kwiecistymi pozorami życia.

– Drogi mistrzu – rzekł Solonet do Mathiasa – akt zostanie w pańskiej kancelarii, wiem, co jestem winien starszemu koledze.

Mathias skłonił się poważnie.

– Ale – ciągnął Solonet, rozwijając projekt zbytecznego aktu, który kazał naszkicować – ponieważ my jesteśmy, jako panna, stroną uciśnioną, ułożyłem kontrakt, aby panu oszczędzić trudu. Wychodzimy za mąż na zasadzie praw ojczystych, *ergo* wspólności majątkowej; dziedziczenie całego majątku przez współmałżonka pozostającego przy życiu na wypadek zgonu bez spadkobiercy, w innym wypadku użytkowanie jednej czwartej majątku, pełna zaś własność drugiej ćwierci; suma wniesiona do wspólnoty stanowić będzie jedną czwartą właściwego wkładu, pozostałym zaś przy życiu małżonkom przypadną ruchomości bez obowiązku inwentarza. Wszystko to jasne jak dzień.

– Ta ta ta ta – rzekł Mathias – ja nie załatwiam interesu tak, jak się śpiewa aryjkę. Jaki jest wasz stan posiadania?

– A wasz? – rzekł Solonet.

– Naszym wianem są dobra Lanstrac – odrzekł Mathias – dające dwadzieścia trzy tysiące funtów renty w gotowiznie, nie licząc produktów. *Item*, folwarki Grassol i Guadet, warte po trzy tysiące sześćset funtów renty. *Item*, winnica Belle-Rose przynosząca rokrocznie szesnaście tysięcy funtów: łącznie, czterdzieści sześć tysięcy dwieście franków renty. *Item*, pałac rodzinny w Bordeaux, opodatkowany w dziewięciuset frankach. *Item*, piękny dom z ogrodem w Paryżu przy ulicy de la Pépinière, opodatkowany w tysiącu pięciuset frankach. Te posiadłości, których tytuły własności znajdują się u mnie, pochodzą ze spadku po rodzicach, z wyjątkiem domu w Paryżu, który nabyliśmy sami. Musimy również policzyć urządzenie naszych dwóch domów oraz zamku w Lanstrac, oszacowane na czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Oto stół, obrus i pierwsze danie. Co dajecie na drugie danie i na deser?

– Nasz majątek – rzekł Solonet.

– Wyszczególnij go, drogi kolego – rzekł Mathias. – Co mi przynosicie? Gdzie jest inwentarz po śmierci pana Evangelista? Pokażcie mi likwidację, lokatę kapitałów. Gdzie są wasze kapitały, o ile jest kapitał? Gdzie posiadłość, o ile są posiadłości? Słowem, pokażcie nam rachunek z opieki i powiedzcie, co wam daje lub zapewnia matka.

– Czy hrabia de Manerville kocha pannę Evangelista?

– Chce ją pojąć, jeśli wszystkie okoliczności będą nam odpowiadały – rzekł stary rejent. – Nie jestem dziecko, chodzi tu o nasze interesy, nie o uczucia.

– Sprawa weźmie w łeb, jeśli nie okażecie się wspaniałomyślni. Oto czemu – rzekł Solonet. – Nie zrobiliśmy inwentarza po śmierci męża, jesteśmy Hiszpanką, Kreolką i nie znaliśmy praw francuskich. Zresztą, byliśmy pogrążeni w zbyt wielkiej bolesti, aby myśleć o nędznych formalnościach, które są wszystkim dla ludzi bez serca. Wiadomo, że nieboszczyk ubóstwiał nas i że oplakiwaliśmy go srodze. Jeśli mamy likwidację poprzedzoną przez inwentaryzację dokonaną w duchu powszechnej opinii, podziękujcie za to opiekunowi, który zmusił nas do ujawnienia stanu rzeczy i do przyznania córce określonego majątku, w chwili gdy konieczne było wycofać z Londynu angielską rentę od olbrzymiego kapitału, który chcieliśmy ulokować w Paryżu, gdzie podwojono nam procenty.

– Nie opowiadajcie nam głupstw. Istnieją sposoby sprawdzenia. Jaki wpłaciliście podatek spadkowy? Cyfra wystarczy nam do ustalenia. Idźmy prosto do rzeczy. Powiedzcie szczerze, coście wzięli i co wam zostało. Ano, jeżeli jesteśmy bardzo zakochani, zobaczymy.

– Jeśli się chcecie żenić z nami dla pieniędzy, możecie zaraz pakować manatki. Mamy prawo do przeszło miliona. Ale został naszej matce tylko ten pałac, meble i czterysta tysięcy, ulokowane około r. 1817 na pięć od sta, dające czterdzieści tysięcy franków dochodu.

– W jakież sposób prowadzicie dom pochłaniający sto tysięcy franków rocznie? – wykrzyknął Mathias przerażony.

– Córka kosztowała nas złote góry. Zresztą, lubimy wydatki. Koniec końców, wasze jere-miady nie wrócą nam ani szeląga.

– Mając pięćdziesiąt tysięcy franków renty panny Natalii, mogliście ją wychować suto, nie rujnując się. Ale, skoroście jedli z takim apetytem będąc panną, będziecie żreć wyszedłszy za męża.

– Zostawcie nas tedy w spokoju – rzekł Solonet – najpiękniejsza dziewczyna w świecie musi zawsze zjadać więcej, niż ma.

– Pójdę powiedzieć słówko memu klientowi – odparł stary rejent.

„Idź, idź, stary Kasandrze<sup>69</sup>, idź, powiedz klientowi, że nie mamy ani szeląga” – myślał Solonet, który w ciszy gabinetu rozłożył strategicznie wojska, odmierzył pozycje, wznosił szaniec dyskusji i przygotował punkt, w którym strony sądząc, że wszystko jest stracone, znajdują się w obliczu szczęśliwego rozwiązania, dającego triumf jego klientce.

Biała suknia z różowymi kokardami, loczki *à la Sévigné*, mała nóżka Natalii, jej zalotne spojrzenia, ładna rączka wciąż zajęta poprawianiem loków, które nie były zburzone, manewry młodej dziewczyny roztaczającej ogon niby paw na słońcu, doprowadziły Pawła do punktu, w którym pragnęła go ujrzeć teściowa: był pijany żądzą, pragnął swej oblubienicy tak, jak uczeń może pragnąć kurtyzany; spojrzenia jego zwiastowały na termometrze duszy stopień namiętności, w którym mężczyzna popełnia tysiące głupstw.

– Natalia jest tak piękna – szepnął teściowej – że pojmię szła, który każe nam opłacić rozkosz śmiercią.

Pani Evangelista odpowiedziała, potrząsając głową:

– Frazesy! Mąż nie opowiadał mi takich historii, ale wziął mnie bez majątku i przez trzynaście lat nie sprawił mi przykrości.

– Czy to lekcja? – rzekł Paweł, śmiejąc się.

– Wiesz, jak cię kocham, drogie dziecko! – rzekła, ściskając mu rękę. – Zresztą czyż nie trzeba bardzo cię kochać, aby ci dać moją Natę?

– Dać mnie, dać mnie! – rzekła dziewczyna, śmiejąc się i poruszając wachlarzem z piór indyjskich ptaków. – Co wy tam szeptacie?

– Mówiłem – odrzekł Paweł – jak bardzo panią kocham, skoro formy zabraniają mi wyrazić pani moich pragnień.

– Czemu?

– Lękam się siebie.

– Och, jest pan za sprytny, aby nie umieć dobrze oprawić klejnotów pochlebstwa. Chce pan, abym powiedziała, co myślę? A więc wydaje mi się pan zbyt inteligentny, bardziej, niż by przystało zakochanemu. Być k w i a t e m m ł o d z i e ż y i posiadać pańską gotówkę – rzekła, spuszczać oczy – to za wiele atutów; powinno się wybierać. Ja też się boję!

– Czego?

– Nie mówmy tak. Nie uważasz, mamó, że ta rozmowa jest niebezpieczna, póki kontrakt nie będzie podpisany?

– Za chwilę będzie – rzekł Paweł.

---

<sup>69</sup> K a s a n d e r – jedna z postaci dawnej komedii francuskiej: dobroduszny ojciec, oszukiwany przez dzieci i całe otoczenie.

– Chciałabym wiedzieć, co tam sobie mówią Achilles z Nestorem – rzekła Natalia, wskazując gestem dziecinnej ciekawości drzwi saloniku.

– Mówią o naszych dzieciach, o naszej śmierci i tym podobnych głupstwach; liczą nasze talary, aby nam powiedzieć, czy zawsze będziemy mieli pięć koni w stajni. Zajmują się też dotacjami, ale ja ich uprzedziłem.

– Jak to? – rzekła Natalia.

– Czyż nie oddałem się już cały? – rzekł, spoglądając na młodą dziewczynę, której piękność zdwoiła się, kiedy przyjemność spowodowana tą odpowiedzią ubarwiła jej twarz.

— Mamo, jak ja odwdzięczę tyle szlachetności?

– Dziecko, czyż nie masz całego życia, aby ją odplacić? Dawać szczęście każdego dnia, czyż to nie znaczy wnieść w dom niewyczerpane skarby? Ja nie miałam innego posagu.

– Lubi pani Lanstrac? – rzekł Paweł do Natalii.

– Jak mogłabym nie lubić czegoś, co należy do pana? – rzekła. – Chciałabym bardzo zobaczyć pański dom.

– Nasz dom – rzekł Paweł. – Chce pani zobaczyć, czy dobrze przeczułem pani gusty, czy się tam pani będzie podobało. Matka uczyniła zadanie twego męża, Natalio, bardzo trudnym, zawsze byłaś bardzo szczęśliwa; ale kiedy miłość jest nieskończona, nic nie jest jej zbyt trudne.

– Drogie dzieci – rzekła pani Evangelista – czyż wy moglibyście zostać w Bordeaux przez pierwsze dni po ślubie? Jeśli macie odwagę zetknąć się ze światem, który was zna, śledzi, krępuje, zgoda! Ale jeśli czujecie oboje ową wstydlivość uczuć, która ścisza duszę i nie da się wyrazić, pojedziemy do Paryża, gdzie życie młodego stadła gubi się w wirze stolicy. Tam jedynie możecie żyć jak para kochanków, nie obawiając się śmieszności.

– Masz rację, mamo, nie myślałem o tym. Ale zaledwie będę miał czas przygotować dom. Napiszę dziś jeszcze do mego przyjaciela de Marsaya, jedyne, na którego mogę liczyć, że popędzi robotników.

W chwili gdy, podobny młodym ludziom nawykłym zaspokajać swoje zachcenia bez poprzedniej rachuby, Paweł brnął niebacznie w kosza pobytu w Paryżu, stary Mathias wszedł do salonu i dał znak swemu klientowi, że chce z nim pomówić.

– Co takiego, drogi panie? – rzekł Paweł, idąc za rejentem ku oknu.

– Panie hrabio – rzekł poczciwiec – nie ma ani grosza posagu. Moja rada jest, aby odłożyć konferencję do innego dnia, iżby pan mógł się należycie zastanowić.

– Panie Pawle – rzekła Natalia – i ja chcę panu coś rzec na osobności.

Mimo że pani Evangelista zachowała spokój, nigdy żaden średniowieczny Żyd w kotle pełnym wrzącej oliwy nie cierpiał męk, jakie ona cierpiała w swej fiołkowej aksamitnej sukni. Solonet ręczył jej za małżeństwo, ale nie znała sposobów ani warunków sukcesu i przechodziła męczarnie niepewności. Zawdzięczała może swój triumf nieposłuszeństwu córki. Natalia rozważyła słowa matki, której niepokój był widoczny. Kiedy ujrzała skutek swej zalotności, tysiąc sprzecznych myśli owładnęło jej sercem. Nie potępiając matki, uczuła się niemal zawstydzona tą grą, której ceną miał być jakiś zysk. Następnie ogarnęła ją dosyć zrozumiała zazdrosna ciekawość. Chciała wiedzieć, czy Paweł kocha ją na tyle, aby pokonać trudności przewidywane przez matkę, a które zwiastowała jej chmurna fizjonomia pana Mathiasa. Te uczucia pchnęły ją do odruchu, szczerości, który zresztą wzmacniał jej pozycję. Najczarniejsza chytrość nie byłaby równie niebezpieczna jak ta niewinność.

– Pawle – rzekła po cichu, nazywając go tak pierwszy raz – gdyby jakieś trudności materialne mogły nas rozłączyć, pamiętaj, że zwalniam cię z zobowiązań i pozwalam ci zrzucić na mnie płamę wynikłą z zerwania. Tyle było godności w tym szlachetnym odruchu, że Paweł uwierzył w bezinteresowność Natalii, uwierzył, że ona nie zna faktów zdradzonych mu przez rejenta: ścisnęła rękę dziewczyny i ucałował ją jak człowiek, któremu miłość droższa jest niż majątek. Natalia wyszła.



– Tam do kata, panie hrabio, pan robi głupstwa – rzekł stary rejent, idąc za klientem.

Paweł zadumał się; spodziewał się mieć jakieś sto tysięcy franków renty, łącząc swój majątek z majątkiem Natalii; choćby zaś mężczyzna był najbardziej roznamiętniony, nie przechodzi bez wstrząsu od stu do czterdziestu sześciu tysięcy, biorąc żonę przywykłą do zbytku.

– Córki nie ma – rzekła pani Evangelista, zbliżając się królewskim krokiem do zięcia i rejenta – czy może mi pan powiedzieć, co zaszło?

– Proszę pani – odparł Mathias, przerażony milczeniem Pawła i chcąc przełamać lody – zachodzi przeszkoda... odwłoka...

Na te słowa pan Solonet wyszedł z saloniku i przerwał w pół słowa staremu koledze zdaniem, które wróciło życie Pawłowi. Przytłoczony pamięcią swoich miłosnych zakłęb i gestów, Paweł nie wiedział ani jak się ich zaprzeczyć, ani jak je odmienić; w tej chwili pragnąłby, aby się ziemia pod nim rozstąpiła.

– Jest sposób wyrównania rachunków pani na rzecz córki – rzekł młody rejent swobodnie. – Pani Evangelista posiada w papierach pięcioprocentowych czterdzieści tysięcy franków renty, której kapitał dojdzie niebawem *pari*<sup>70</sup>, o ile go nie przewyższy, możemy go zatem określić na osiemset tysięcy. Pałac i ogród warte są około dwustu tysięcy. Przyjąwszy ten fakt, może pani przelać w kontrakcie ślubnym czystą własność tych walorów na córkę, nie sądzę bowiem, aby leżało w intencjach pana de Manerville zostawić swoją teściową bez środków. Jeżeli pani schrupała swój majątek, zwraca pani majątek córki, z bagatelną różnicą.

– Kobiety są bardzo nieszczęśliwe, że nie mają pojęcia o interesach – rzekła pani Evangelista. – Mam czystą własność? Co to jest, dobry Boże!?

Paweł był jak w ekstazie, słysząc tę kombinację. Stary rejent widząc pułapkę, widząc, że klient już się złapał jedną nogą, stał jak skamieniały, powiadając sobie: „Zdaje mi się, że oni z nas sobie kpią!”

– Jeśli łaskawa pani usłucha mojej rady, zabezpieczy pani sobie spokój – ciągnął młody rejent. – Skoro pani robi to poświęcenie, trzeba bodaj, aby pani była wolna od wszelkich utrapień ze strony małoletnich. Nie wiadomo, kto żyje, a kto umiera! Pan hrabia uzna w kontrakcie, że otrzymał całkowitą sumę przypadającą pannie po ojcu.

Mathias nie mógł wstrzymać oburzenia, które błysło w jego oczach i zarumieniło mu twarz.

– A ta suma – rzekł, trzęsąc się – wynosi?...

– Milion sto pięćdziesiąt sześć tysięcy franków, wedle aktu...

– Czemu tedy nie żądać od pana hrabiego, aby oddał *hic et nunc*<sup>71</sup> majątek przyszłej małżonki? – rzekł Mathias. – To byłoby uczciwsze niż to, czego pan żąda ode mnie. Ruina hrabiego de Manerville nie spełni się pod moim okiem, ja się usuwam.

Zrobił krok ku drzwiom, aby oświecić swego klienta co do powagi sytuacji; ale wrócił i rzekł do pani Evangelista:

– Niech pani nie sądzi, że ja panią czynię odpowiedzialną za pomysł mego kolegi; uważam panią za uczciwą kobietę, za wielką damę, która nie ma pojęcia o interesach.

– Dziękuję kochanemu koledze – rzekł Solonet.

– Wie kolega dobrze, że między nami obraza nie istnieje – odparł Mathias. – Niech pani bodaj zna rezultat tej kombinacji. Jest pani jeszcze dość młoda, dość piękna, aby wyjść za mąż. Och, mój Boże – rzekł starzec w odpowiedzi na gest pani Evangelista – kto może ręczyć za siebie!

– Nie sądziłam, proszę pana – rzekła pani Evangelista – że przetrwawszy we wdowieństwie siedem pięknych lat i odtrąciwszy świetne partie przez miłość dla córki, będę podejrzana w trzydziestym dziewiątym roku o podobne szaleństwo! Gdyby pan nie był rejentem, wzięłabym to za impertynencję.

<sup>70</sup> *P a r i* – porównanie wartości pieniędzy różnych krajów przy pełnej ich wartości w zlocie.

<sup>71</sup> *H i c e t n u n c* (łac.) – tutaj i zaraz.

– Czy nie byłoby większą impertynencją sądzić, że pani nie może już wyjść za mąż?  
– Chcieć a móc, to dwie zupełnie różne rzeczy – rzekł dwornie Solonet.  
– A więc – rzekł Mathias – nie mówmy o pani małżeństwie. Może pani, i pragniemy tego wszyscy, żyć jeszcze czterdzieści pięć lat. Otóż skoro pani zachowuje dla siebie używalność majątku pana Evangelista, zatem na czas jej życia dzieci pani mają zawiesić zęby na kołku?  
– Co to znaczy to wszystko? – rzekła wdowa. – Co to ma być ta używalność i ten kołek?

Solonet, człowiek światowy, człowiek dobrego tonu, zaczął się śmiać.

– Zaraz to przetłumaczę – odparł pocziwiec. – Jeżeli pani dzieci chcą być rozsądne, pomyślą o przyszłości. Myśleć o przyszłości znaczy oszczędzać połowę dochodu w przypuszczeniu, że będzie się miało tylko dwoje dzieci, którym trzeba dać najpierw staranne wychowanie, a potem grube wiano. Pani córka i pani zięć będą tedy skazani na dwadzieścia tysięcy franków renty, a oboje wydawali dotąd po pięćdziesiąt. To jeszcze nic. Mój klient będzie musiał wypłacić kiedyś dzieciom milion sto tysięcy franków majątku po matce, a może ich nigdy nie otrzyma, o ile żona jego umrze, a pani będzie żyła jeszcze, co może się zdarzyć. Sumienie mówiąc, podpisać taki kontrakt czy nie znaczy rzucić się ze związanymi rękami i nogami w wodę? Chce pani zapewnić szczęście córce? Jeżeli kocha męża (uczucie, o którym rejentom nie wolno powątpiewać), będzie dzieliła jego zgryzoty. Proszę pani, z tego, co widzę, może umrzeć ze zmartwienia, bo będzie w nędzy. Tak, pani, dla ludzi, którym trzeba sto tysięcy rocznie, nędza to mieć tylko dwadzieścia tysięcy. Gdyby z miłości pan hrabia robił szaleństwa, żona zrujnowałaby go podniesieniem należnych jej sum w dniu, w którym zdarzyłoby się jakieś nieszczęście. Staję tu w obronie pani, ich, ich dzieci, wszystkich.

„Pocziwina wystrzelał całą amunicję” – pomyślał Solonet, dając oczami znak klientce, jakby jej chciał powiedzieć: „Naprzód, marsz!”.

– Jest sposób, aby pogodzić te interesy – odrzekła spokojnie pani Evangelista, – Mogę sobie zastrzec jedynie pensję konieczną, aby zamieszkać w klasztorze, i będziecie mieli mój majątek zaraz. Mogę wyrzec się świata, jeśli moja śmierć za życia zapewni szczęście córki.

– Pani – rzekł stary rejent – zostawmy sobie czas na spokojne rozważenie sposobu, który by pogodził wszystkie trudności.

– Och, Boże – rzekła pani Evangelista, która widziała zgubę w odwłóce – nie ma co rozważać. Nie wiedziałam, co to jest małżeństwo we Francji, jestem Hiszpanką i Kreolką. Nie wiedziałam, że nim wydam córkę za mąż, muszę wiedzieć liczbę dni, jakich Bóg mi jeszcze użyczy, że życie moje będzie nieszczęściem dla córki, że źle zrobiłam, że żyję i że żyłam. Kiedy mąż się ze mną żenił, miałam tylko swoje nazwisko i swoją osobę. Samo moje nazwisko było dla niego skarbem, przy którym bladły wszystkie jego skarby. Jaki majątek równa się wielkiemu nazwisku? Moim posagiem były piękność, cnota, szczęście, ród, wychowanie. Czy pieniądz daje te skarby? Gdyby ojciec Natalii słyszał naszą rozmowę, jego szlachetna dusza zgryzłaby się tym na wieki, szczęście jego w rajy byłoby zmaćcone. Roztrwoniłam, może na szaleństwa, kilka milionów, a on ani okiem nie mrugnął. Od jego śmierci zrobiłam się oszczędna i rozsądna w porównaniu z życiem, jakiego on chciał dla mnie. Zerwijmy tedy. Pan de Manerville jest tak przygnębiony, że...

Żadna onomatopeja nie zdoła odmalować zamętu, jakie to słowo „Zerwijmy” wniosło w rozmowę: wystarczy rzec, że te cztery osoby, tak dobrze wychowane, wszystkie mówiły na raz!

– W Hiszpanii żenia się po hiszpańsku i jak im się podoba; ale we Francji żenia się po francusku, rozsądnie i tak jak się da! – mówił Mathias.

– Och, pani – wykrzyknął Paweł, budząc się z osłupienia – pani się myli najzupełniej co do moich uczuć!

– Nie chodzi o uczucia – rzekł stary rejent, chcąc powstrzymać klienta – my tu załatwiamy interesy trzech pokoleń. Czy myśmy przejedli brakujące miliony? My pragniemy jedynie rozwikłać trudności, których jesteśmy niewinni.

– Bierzcie nas i nie handryczcie się – mówił Solonet.

– Handryczyć się, handryczyć! Pan nazywasz handryczeniem bronienie interesów dzieci, ojca i matki – mówił Mathias.

– Tak – ciągnął Paweł – żałuję marnotrawstwa mej młodości, które mi nie pozwala zamknąć tej dyskusji jednym słowem, tak jak pani żałuje swego niedoświadczenia i swej mimowolnej lekkomyślności. Bóg mi świadkiem, że nie myślę w tej chwili o sobie, skromne życie w Lanstrac nie przeraża mnie; ale czyż nie trzeba by pannie Natalii wyrzec się swoich upodobań, przyzwyczajęń? To zmienia naszą egzystencję.

– Skądże tedy mój mąż brał swoje miliony? – rzekła wdowa.

– Pan Evangelista prowadził interesy, rzucał się w wielkie spekulacje, puszczał okręty i zarabiał znaczne sumy; my jesteśmy właścicielem ziemskim, którego kapitał jest uwięziony, a dochody niewzruszone – odparł żywo stary rejent.

– Jest jeszcze sposób pogodzenia wszystkiego – rzekł Solonet, który, rzuciwszy to dyszkanterem, nakazał milczenie trojgu pozostałym, ściągając ich spojrzenia i uwagę.

Młody rejent podobny był do zręcznego woźnicy, który trzyma w ręku lejce czwórki koni i bawi się tym, aby je popędzać lub wstrzymywać. Rozpalał namiętności, to znów uspokajał je, trzymając w ciągłej emocji Pawła, którego życie i szczęście były raz po raz zagrożone, oraz swą klientkę, która nie orientowała się jasno w tych manewrach.

– Pani Evangelista – rzekł po pauzie – może oddać dziś jeszcze pięcioprocentową rentę i sprzedać swą realność. Wycisnę z tej nieruchomości trzysta tysięcy, sprzedając ją parcelami. Z tej sumy odda panu sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Tak więc matka da wam dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy natychmiast. Może to nie jest wszystko, co jest winna córce, ale czy dużo znajdziecie takich posagów we Francji?

– Dobrze – rzekł Mathias – ale co się stanie z panią?

Na to pytanie, które pozwalało przypuszczać zgodę, Solonet rzekł sobie w duchu: „Aha, stary niedźwiedziu, mamy cię!”

– Pani? – odpowiedział głośno młody rejent. – Pani zatrzyma sto pięćdziesiąt tysięcy ze sprzedaży pałacyku. Tę sumę, dołączoną do sumy sprzedażnej mebli, można umieścić na dożywocie, co pani da dwadzieścia tysięcy funtów rocznie. Hrabia urządzi pani mieszkanie u siebie. Lanstrac jest duże. Pan ma pałac w Paryżu – rzekł, zwracając się wprost do Pawła – teściowa może tedy żyć wszędzie z państwem. Wdowa, która nie mając ciężaru domu posiada dwadzieścia tysięcy franków renty, bogatsza jest, niż pani była wówczas, gdy posiadała cały swój majątek. Pani Evangelista ma tylko jedną córkę, hrabia jest również sam, spadkobiercy są jeszcze daleko, nie zachodzi obawa kolizji interesów. Teściowa i zięć w tych okolicznościach, co państwo, tworzą zawsze jedną rodzinę. Pani Evangelista uzupełni obecny deficyt pensją, którą wam będzie płacić ze swoich dwudziestu tysięcy dożywocia, co wam pomoże do życia. Zanadto znamy wielkoduszność, szlachetność uczuć pani, aby przypuszczać, że chciałyby być ciężarem swoim dzieciom. Tak więc będziecie państwo żyli zgodni, szczęśliwi, rozporządzając sumą stu tysięcy franków rocznie; suma wystarczająca, nieprawdaż, panie hrabio, aby zażywać przyjemności życia i zadowalać swoje kaprysy? I niech mi pan wierzy, młode małżeństwo nieraz czuje potrzebę kogoś trzeciego w swoim pożyciu. Otóż pytam się, któraż osoba trzecia może być miłsza niż dobra matka?...

Słuchając Soloneta, Paweł miał uczucie, że słucha anioła. Patrzył na Mathiasa, aby się przekonać, czy nie podziela jego podziwu dla wymowy Soloneta; nie wiedział, że pod udanymi wybuchami płomiennych słów rejenci, jak adwokaci, kryją chłód i nieustanną baczność dyplomatów.

– Mały raik! – wykrzyknął starzec.

Zdumiony radością swego klienta, Mathias siadł opodal na otomanie z głową w dłoni, w zadumie widocznie bardzo bolesnej. Znał tę ciężką frazeologię, w jaką fachowcy spowijają swoje sztuczki; nie był człowiekiem zdolnym złapać się na nią. Patrzył ukradkiem na swego kolegę i na panią Evangelista, którzy dalej rozmawiali z Pawłem, i starał się pochwycić oznaki spisku, którego tak mądrze usnuta sieć zaczynała się rysować.

– Panie rejencie – rzekł Paweł do Soloneta – dziękuję panu za gorliwość, z jaką pan stara się zgodzić nasze interesy. Ten układ rozwiązuje wszystkie trudności szczęśliwiej, niż się spodziewałem; o ile by jednak nie odpowiadał pani – rzekł, zwracając się do pani Evangelista – nie chciałbym niczego, co by i pani nie było pożądane.

– Ja!? – rzekła. – Wszystko, co da szczęście moim dzieciom, będzie dla mnie radością. Nie liczcie mnie za nic.

– Tak być nie może – odparł żywo Paweł. – Gdyby pani egzystencja nie była należycie zapatrzona, Natalia i ja cierpielibyśmy na tym bardziej od pani.

– Niech pan będzie bez obawy, panie hrabio – odpowiedział Solonet.

„Haha! – pomyślał Mathias – każą mu ucałować różgę, zanim mu dadzą w skórę”.

– Niech się pan uspokoi – ciągnął Solonet – robi się w tej chwili w Bordeaux tyle interesów, że łatwo o korzystną lokatę na dożywocie. Po wzięciu z ceny pałacyku i mebli stu pięćdziesięciu tysięcy franków, które panu będziemy winni, sądzę, iż mogę zaręczyć pani, że jej zostanie dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Podejmuję się umieścić tę kwotę na pierwszej hipotece na dobrach wartości miliona i uzyskać dziesięć procent, dwadzieścia pięć tysięcy renty. W ten sposób kojarzymy, z niewielką różnicą, równe majątki. W istocie, na pańskich czterdzieści sześć tysięcy franków renty panna Natalia wnosi czterdzieści tysięcy franków renty w pięćprocentowych papierach i sto pięćdziesiąt tysięcy franków w gotowiznie, które mogą jej dać siedem tysięcy franków renty, łącznie czterdzieści siedem.

– Ależ to oczywiste – rzekł Paweł.

Kończąc pan Solonet, spojrzął na swoją klientkę spod oka (spozrzegł to Mathias), co miało znaczyć: „Rzuć pani rezerwy”.

– Ależ prawda! – wykrzyknęła pani Evangelista w przystępie dobrze zagranej radości. – Mogę dać Natalii moje diamenty, z pewnością warte nie mniej niż sto tysięcy.

– Możemy je oszacować – rzekł rejent – to zmienia zupełnie postać rzeczy. Nic nie sprzeciwia się w takim razie, aby pan hrabia uznał, iż otrzymał w całości sumę przypadającą panie Natalii po ojcu, i aby małżonkowie przyjęli przy kontrakcie rachunek z opieki. Jeżeli pani, poświęcając się z iście hiszpańską lojalnością, dopełnia, z różnicą stu tysięcy franków, swych zobowiązań, słuszna jest ją pokwitować.

– Nic słusniejszego – rzekł Paweł – jestem tylko zawstydzony szlachetnością tego postępowania.

– Czyż córka to nie druga ja? – rzekła pani Evangelista.

Stary Mathias spozrzegł radość na twarzy pani Evangelista, skoro ujrzała, że trudności mniej więcej są wyrównane; ta radość i to zapomnienie o diamentach, które przybywały na plac niby świeże posiłki, potwierdziły jego podejrzenie.

„Przygotowali tę scenę, jak gracze karty do partii, w której ma się ograbić jakiegoś fryca – rzekł sobie stary rejent. – To biedne dziecko, na którego urodzenie patrzałem, ma być tedy oskubane żywcem przez teściową, upieczone na rożnie miłości i pożarte przez żonę? Ja, który tak pielęgnowałem te piękne grunta, mam patrzeć, jak się je schrupie w jeden wieczór? Trzy i pół miliona obciąży się milionem stoma tysiącami posagu, który te baby przejedzą”.

Odnajdując w duszy tej kobiety intencje, które, nie będąc występkiem, zbrodnią, kradzieżą, oszustwem, szalbierstwem, żadnym uczuciem złym ani nagannym, zawierały wszakże te uczucia w zarodku, stary Mathias nie uczuł ani bólu, ani szlachetnego oburzenia. Nie był Alcestem-mizantropem<sup>72</sup>, był starym rejentem, nawykłym do sprytnych kombinacji światow-

<sup>72</sup> Alcestem-mizantrop – bohater komedii Moliera „Mizantrop”.

ców, do zręcznych sztuczek, niebezpieczniejszych niż morderstwo popełnione na gościńcu przez biedaka, którego gilotynuje się z paradą. Dla wielkiego świata owe momenty życia, owe kongresy dyplomatyczne są niby ustęp, gdzie każdy składa swoje nieczystości. Pełen współczucia dla swego klienta, stary Mathias spoglądał w przyszłość i nie widział w niej nic dobrego.

„Wyruszymy w pole z tą samą bronią – powiedział sobie – i pobijmy ich”.

W tej chwili Paweł, Solonet i pani Evangelista, sparaliżowani milczeniem starego, uczyli, jak bardzo aprobata tego cenzora jest im potrzebna, i wszyscy troje spojrzeli nań równocześnie.

– No i cóż, drogi Mathias, co pan sądzi o tym? – rzekł Paweł.

– Oto co myślę – rzekł nieubłagany i sumienny rejent. – Pan nie jest dość bogaty, aby robić te szaleństwa. Lanstrac, oszacowane na trzy od sta, przedstawia więcej niż milion, licząc w to urządzenie; Grassol i Guadet, winnica Belle-Rose warte są drugi; pańskie dwa domy i ich urządzenie trzeci milion. Na te trzy miliony, dające czterdzieści siedem tysięcy dwieście franków renty, panna Natalia wnosi osiemset tysięcy w papierach i, przypuśćmy, sto tysięcy w diamentach, które mi się wydają wartością hipotetyczną, do tego sto pięćdziesiąt tysięcy gotówką; razem milion pięćdziesiąt tysięcy. I w obliczu tych faktów mój szanowny kolega powiada dumnie, że kojarzymy równe majątki! Chce, abyśmy przejęli ciężar stu tysięcy franków wobec naszych dzieci, skoro uznalibyśmy żonie, przyjmując rachunek z opieki, wkład miliona na stu pięćdziesięciu sześciu tysięcy franków, otrzymując jedynie milion pięćdziesiąt tysięcy. Pan słucha podobnych ambajów rozanielony i sądzi pan, że stary Mathias, który nie jest zakochany, może zapomnieć arytmetyki i nie podkreślić różnicy istniejącej między lokatą terytorialną, której kapitał jest ogromny i wciąż rośnie, a dochodami posagu, którego kapitał podlega ryzyku i zmniejszeniu procentów. Żyję dość długo, aby widzieć, jak pieniądze spadały, a ziemia rosła. Wezwał mnie pan, panie hrabio, abym bronił pańskich interesów; niech mi pan pozwoli ich bronić albo niech mnie pan uwolni.

– O ile pan szuka kapitału równego jego majątkowi – rzekł Solonet – nie mamy półczwarta miliona, to oczywiste. Jeżeli pan posiada trzy brutalne miliony, my możemy ofiarować tylko nasz skromny milionik, prawie nic! Trzykrotny posag arcyksiężniczki austriackiej. Bonaparte dostał dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków, żeniąc się z Marią Ludwiką.

– Maria Ludwika zgubiła Bonapartego – mruknął stary.

Matka Natalii zrozumiała sens tej repliki.

– Jeżeli moje ofiary nie zdadzą się na nic – wykrzyknęła – nie mam ochoty przeciągać tej dyskusji; liczę na dyskrecję pana hrabiego i zrzekam się zaszczytu jego ręki dla mej córki.

Po manewrach, jakie młody rejent wykreślił, ta bitwa na interesy doszła do punktu, w którym zwycięstwo miało przyspać pani Evangelista. Teściowa wypruła sobie żyły, oddawała swój majątek, była niejako oczyszczona. Pod groźbą uchybienia prawom szlachetności, skłamanie uczuciom przyszły małżonek musiał przyjąć te warunki, uchwalone z góry między rejentem Solonet a panią Evangelista. Jak wskazówka obracana sprężyną, Paweł przybył punktualnie do celu.

– Jak to – wykrzyknął Paweł – w jednej chwili byłaby pani zdolna zerwać...

– Ależ, proszę pana – odparła – komu ja jestem winna? Córce. Kiedy będzie miała dwa-dzieścia jeden lat, przyjmie moje rachunki i skwituje mnie. Będzie miała milion i będzie mogła, jeśli zechce, wybierać między synami wszystkich parów Francji. Czyż nie jest córką Casa Realów?

– Słusznie. Czemuż pani miałaby być w gorszym położeniu dziś niż za czternaście miesięcy? Nie pozbawiajcie jej, panowie, przywilejów macierzyństwa – rzekł Solonet.

– Mathias – wykrzyknął Paweł z bólem – istnieją dwa rodzaje ruiny, a pan mnie gubisz w tej chwili.

Postąpił ku rejentowi, aby mu powiedzieć, że chce, aby kontrakt sporządzono natychmiast. Stary rejent uprzedził tę klęskę spojrzeniem, które mówiło: „Niech pan zaczeka!” Ujrzał łzy w oczach Pawła, łzy wydarte wstydem, o jaki go przyprawiła ta dyskusja, oraz okrzykiem pani Evangelista, zwiastującym zerwanie. Rejent osuszył te łzy gestem, gestem Archimedesesa wołającego: *Eureka!* Słowo *par Francji* było dlań niby pochodnia w ciemnej piwnicy.

W tej chwili ukazała się Natalia promienna jak jutrzienka i rzekła z dziecinną minką:

– Czy jestem zbyt uczynna?

– Bardzo zbyt uczynna, dziecko – odrzekła matka z okrutną ironią.

– Pójdź, Natalio – rzekł Paweł, biorąc ją za rękę i prowadząc do fotela przy kominku – wszystko ułożone!

Niepodobna mu było znieść rozpadnięcia się najdroższych jego nadziei.

– Tak, wszystko jeszcze da się ułożyć – żywo zawołał Mathias.

Podobny do generała, który w jednej chwili obala kombinacje wroga, stary rejent ujrzał ducha Notariatu rozwijającego przed jego oczami legalną koncepcję, zdolną ocalić przyszłość Pawła i jego dzieci. Pan Solonet nie widział innego rozwiązania trudności poza decyzją dyktowaną młodemu człowiekowi przez miłość i do tej decyzji prowadził go przez burzę sprzecznych uczuć i interesów; toteż zdumiał go wykrzyknik starego kolegi. Ciekaw dowiedzieć się, co za lekarstwo znalazł Mathias na rzecz, która zdawała mu się zgubiona bez ratunku, rzekł:

– Co pan proponuje?

– Natalio, drogie dziecko, zostaw nas.

– Panna Natalia może zostać – odparł stary Mathias z uśmiechem – to, co powiem, obchodzi zarówno ją, jak pana hrabiego.

Zrobiła się cisza, w czasie której każdy, pełen niepokoju, z napięciem oczekiwał pomysłu starego rejenta.

– Dzisiaj – podjął pan Mathias po pauzie – rzemiosło rejenta zmieniło charakter. Przewroty polityczne rozstrzygają dziś o przyszłości rodzin, co nie istniało dawniej. Niegdyś egzystencja i stany były jasno określone...

– Nie chodzi tu o wykład ekonomii politycznej, ale o kontrakt ślubny – rzekł Solonet, przerywając gestem zniecierpliwienia.

– Proszę, niech pan pozwoli teraz mnie mówić – rzekł poczciwiec.

Solonet usiadł na otomanie, mówiąc cicho do pani Evangelista:

– Usłyszysz pani coś, co nazywamy galimatiasem.

– Rejenci obowiązani są tedy śledzić bieg wydarzeń politycznych, które obecnie ściśle są związane ze sprawami prywatnymi. Oto przykład. Niegdyś rodziny szlacheckie posiadały niewzruszone majątki, które prawa rewolucji skruszyły, a które obecny system sili się odbudować – ciągnął stary rejent, folgując elokwencji *tabellionaris boa constrictor*<sup>73</sup> (*boa notarius*). – Dzięki swemu nazwisku, talentom, majątkowi pan hrabia powołany jest, aby kiedyś zasiadł w Izbie posłów. Może losy jego zawiodą go do Izby dziedzicznej, znamy jego dane i wiemy, iż mogą usprawiedliwić nasze przewidywania. Czy pani nie podziela moich poglądów? – rzekł do wdowy.

– Odgadł pan moją najdroższą nadzieję – rzekła. – Manerville będzie parem albo umarłabym ze zgrzyoty.

– Wszystko zatem, co może prowadzić do tego celu... – rzekł stary Mathias, zagadując chytrą teściową dobrodusznym gestem.

– Jest – odparła – moim najdroższym pragnieniem.

– A więc – odparł Mathias – czyż małżeństwo nie jest naturalną sposobnością stworzenia majoratu? Fundacji, która z pewnością będzie przemawiała u rządu za nominacją mego

---

<sup>73</sup> *Tabellionaris boa constrictor*, *boa notarius* – żart Balzaka: notarialny boa dusiciel, boa notariusz.

klienta w chwili nowych mianowań. Pan hrabia poświęci na ten cel niezawodnie dobra Lanstrac, wartości miliona. Nie żądam od panny Natalii, aby przyczyniła się do fundacji równą sumą, to by nie było sprawiedliwe ale możemy na to obrócić osiemset tysięcy franków jej posagu. Wiem, że są w tej chwili na sprzedaż dwie posiadłości sąsiadujące z Lanstrac, w których umieszczone osiemset tysięcy dadzą kiedyś cztery i pół procent. Pałac w Paryżu również winien być objęty majoratem. Nadwyżka dwóch majątków, roztropnie administrowana, wystarczy na zaopatrzenie reszty dzieci. Jeśli obie strony zgodzą się na to postanowienie, pan hrabia może uznać rachunek z opieki i przejąć ciężar różnicy. Zgadzam się.

– *Questa coda non è di questo gatto* (ten ogon jest nie od tego kota)! – wykrzyknęła pani Evangelista spoglądając na swego współnika Soloneta i wskazując mu Mathiasa.

– Coś w trawie piszczy – odparł półgłosem Solonet, odpowiadając swojską gwarą na włoskie przysłowie.

– Po co ten cały zamęt? – spytał Paweł Mathiasa, wyprowadzając go do drugiego pokoju.

– Aby zapobiec pańskiej ruinie – odparł z cicha stary rejent. – Chce pan koniecznie brać córkę i matkę, które przejadły około dwóch milionów w siedem lat, przyjmuje pan *debet*<sup>74</sup> przeszło stu tysięcy wobec dzieci, którym będzie pan musiał wypłacić kiedyś milion sto pięćdziesiąt sześć tysięcy po matce, kiedy pan dziś otrzymuje ledwo milion. Naraża się pan na to, że majątek pański ulotni się w pięć lat i że zostaniesz goły jak święty turecki, będąc winien olbrzymie sumy żonie albo jej spadkobiercom. Jeśli pan chce siadać na ten statek, wolna droga, panie hrabio; ale niech pan choć pozwoli swemu staremu przyjacielowi ocalić ród Manerville.

– W jaki sposób ocali go pan na tej drodze? – spytał Paweł.

– Posłuchaj pan, panie hrabio; czy pan jest zakochany?

– Tak.

– Zakochany jest mniej więcej tak dyskretny jak wystrzał armatni, nie powiem tedy panu nic. Gdyby się pan wygadał, może by małżeństwo się zerwało. Biorę pańską miłość pod straż mego milczenia. Wierzy pan w moje oddanie?

– Czy wierzę!

– A więc niech się pan dowie, że pani Evangelista, Jej rejent i jej córka wzięli nas na fis i że to są spryciarze pierwszej klasy. Tam do licha, co za gracze!

– Natalia? – wykrzyknął Paweł.

– Nie dałbym ręki w ogień – rzekł starzec. – Chcesz ją pan, bierz ją pan! Ale wolałbym, żeby to małżeństwo spaliło na panewce bez pańskiej winy.

– Czemu?

– Ta dziewczyna strwoniłaby całe Peru. Przy tym jeździ konno jak berajterka i w ogóle jest emancypantką: takie dziewczyny to liche żony.

Paweł ścisnął rękę Mathiasa i rzekł, przybierając minę pewną siebie:

– Bądź pan spokojny! Ale na ten moment, co czynić?

– Niech pan się trzyma mocno tych warunków: zgodzą się, bo to nie narusza niczyich interesów. Zresztą pani Evangelista chce koniecznie wydać córkę, odgadłem jej grę, niech się pan ma przed nią na baczności.

Paweł wrócił do salonu, gdzie jego teściowa szeptała z Solonetem, jak on przed chwilą z Mathiasem. Natalia, odsunięta od tych dwóch tajemniczych konferencji, bawiła się ekraniem. Dosyć zakłopotana swą rolą, pytała sama siebie: „Co za dziwny obyczaj, że nic mi nie mówią o moich sprawach”.

Młody rejent ogarniał z grubsza odległe skutki targu opartego na miłości własnej stron, targu, w który jego klientka zabrnęła z zamkniętymi oczami. Ale o ile Mathias był już tylko rejentem, Solonet był jeszcze trochę człowiekiem i wnosił w interesy młodzieńczą ambicję. Często się zdarza, iż osobista próżność każe młodemu prawnikowi zapomnieć o korzyści

<sup>74</sup> *Debet* (łac.) – w buchalterii: winien.

klienta. W tej sytuacji Solonet, który nie chciał zostawić wdowy z mniemaniem, iż Nestor pobił Achillesa, radził szybko dobić układów. Mało mu zależało na przyszłej likwidacji tego kontraktu; dla niego zwycięstwem było pokwitowanie pani Evangelista z opieki, jej egzystencja zapewniona i małżeństwo Natalii.

– Bordeaux dowie się, że pani dała blisko milion sto tysięcy Natalii i że pani zostaje dwadzieścia pięć tysięcy renty – rzekł jej do ucha. – Nie sądziłem, że uzyskam tak piękny rezultat.

– Ale – rzekła – niech mi pan wytłumaczy, czemu majorat uśmierza tak szybko burzę?

– Nieufność do pani i do jej córki. Majorat jest nienaruszalny żadne z małżonków nie może go dotknąć.

– Ależ to jest zniewaga!

– Nie. My to nazywamy przezornością. Pocziwiec chwycił panią w pułapkę. Jeśli się pani nie zgodzi, powie nam: „Chcecie tedy roztrwonić majątek mego klienta, który dzięki majoratowi ubezpieczony byłby od wszelkiego zamachu, jako że młodzi pobierają się we wspólnocie majątkowej”.

Solonet uspokoił własne skrupuły powiadając sobie: „Te warunki mają znaczenie jedynie na przyszłość, wówczas zaś pani Evangelista będzie już nieboszczką”.

W danej chwili pani Evangelista zadowolila się wyjaśnieniami Soloneta, do którego miała pełne zaufanie. Zresztą nie znała praw; widziała córkę zamężną, rano zaś jeszcze nie marzyła o niczym więcej; była upojona. Tak więc, jak spodziewał się Mathias, ani Solonet, ani pani Evangelista nie ogarniali w całej rozciągłości koncepcji starego rejenta, opartej na niezwalczonych argumentach.

– A więc, panie Mathias – rzekła wdowa – wszystko jak najlepiej.

– Proszę pani, jeżeli pani i pan hrabia godzą się na to rozwiązanie, powinniście wymienić słowo. Zgodziliśmy się, nieprawdaż – rzekł, patrząc na nich oboje – że małżeństwo dojdzie do skutku jedynie pod warunkiem majoratu składającego się z Lanstrac i z pałacu przy ulicy de la Pépinière, należących do pana młodego, *item* z ośmiuset tysięcy franków posagu oblubienicy, obróconych na kupno ziemi? Daruje mi pani to powtórzenie: jasne i uroczyste zobowiązanie jest niezbędne. Utworzenie majoratu wymaga formalności, starań, dekretu, trzeba nam natychmiast przystąpić do nabycia ziemi, aby ją objąć w wyszczególnieniu dóbr, które dekret królewski uczyni niesprzedajnymi. W wielu rodzinach sporządzono by pisaną umowę, ale między państwem słowo wystarczy. Zgadza się państwo?

– Tak – rzekła pani Evangelista.

– Tak – rzekł Paweł.

– A ja? – rzekła Natalia, śmiejąc się.

– Jest pani małoletnia – odparł Solonet – niech się pani nie skarży na to.

Za czym postanowiono, że Mathias sporządzi kontrakt, że Solonet przygotuje rachunek z opieki i że te akty podpisze się, zgodnie z prawem, na kilka dni przed obrzędem ślubnym. Rejenci wstali z ukłonem.

– Deszcz pada. Panie kolego, chce pan, abym pana odwiózł? – rzekł Solonet. – Mam kabriolet.

– Mój powóz jest na pańskie rozkazy – rzekł Paweł, chcąc odprowadzić pocziwca.

– Nie chcę panu kraść ani chwili – rzekł starzec – przyjmuję propozycję kolegi.

– No i cóż – rzekł Achilles do Nestora, kiedy kabriolet potoczył się ulicą – był pan naprawdę patriarchalny. W istocie ci młodzi ludzie zrujnowaliby się.

– Przerażony byłem ich przyszłością – rzekł Mathias, zachowując sekret co do pobudek swej propozycji.

W tej chwili dwaj rejenci podobni byli do aktorów, którzy podają sobie ręce za kulisami, odegrawszy na teatrze scenę zniewagi i nienawiści.

– Ale – rzekł Solonet, który pamiętał o interesach zawodowych – czy nie moją rzeczą jest nabyć posiadłości, o których pan mówi? Czy to nie jest zużytkowanie naszego posagu?



– Jak zdoła pan włączyć w majorat hrabiego de Manerville dobra panny Evangelista? – odparł Mathias.

– Kancelaria rozstrzygnie tę trudność – rzekł Solonet.

– Ale ja jestem rejentem sprzedającego zarówno jak nabywcy – odparł Mathias. – Zresztą hrabia może nabyć w swoim imieniu. W chwili wypłaty zaznaczymy użytek sumy.

– Ma pan odpowiedź na wszystko, ojczulku – rzekł Solonet, śmiejąc się. – Był pan bajeczny dziś wieczór, pobił nas pan.

– Jak na starucha, który się nie spodziewał waszych kartaczownic, to było niezłe, co?

– Haha! – rzekł Solonet.

Wstrętna walka, w której szczęście rodziny postawiono na kartę, była już dla nich kwestią polemiki prawniczej.

– Nie darmo mamy za sobą czterdzieści lat palestry! – rzekł Mathias. – Słuchaj, Solonet, ja jestem zgodnym człowiekiem, możesz pan być obecny przy kontrakcie sprzedaży ziem włączonych do majoratu.

– Dziękuję, mój dobry Mathias. Przy pierwszej sposobności może pan liczyć na wzajemność.

Gdy dwaj rejenci jechali spokojnie bez innych wzruszeń prócz trochy chryпки w gardle, Paweł i pani Evangelista byli pastwą rozbujania nerwów, serdecznego wzburzenia, owych drgań w szpiku i mózgu, jakie odczuwają ludzie namiętni po scenie, w której interesy ich i uczucia doznały gwałtownego wstrząsu. U pani Evangelista ponad te ostatnie pomruki burzy przeleciała straszliwa myśl, czerwony błysk, który chciała rozjaśnić.

„Czy stary Mathias nie zburzył w kilka minut mojej półrocznej pracy? – mówiła sobie. – Czy nie wyrwał Pawła spod mego wpływu, nasuwając mu złe myśli w czasie ich narady w saloniku?”

Stała przy kominku wsparta o marmurowy blat, zamyślona. Kiedy brama zamknęła się za pojazdem rejentów, zwróciła się do zięcia, pragnąc rozjaśnić swoje wątpliwości.

– Oto najstraszliwszy dzień mego życia – wykrzyknął Paweł, szczerze uszczęśliwiony, że się te trudności załatwiły. – Nie znam nic twardszego niż ten stary Mathias. Oby go Bóg wysłuchał i obym został parem Francji! Droga Natalio, pragnę tego obecnie bardziej dla ciebie niż dla siebie. Ty jesteś całą moją ambicją, żyję tylko w tobie.

Słyszając te słowa płynące wprost z serca, zwłaszcza widząc błękit oczu Pawła, którego spojrzenie zarówno jak czoło nie zdradzało żadnej ukrytej myśli, pani Evangelista uczuła przypływ radości. Wyrzucała sobie ostre słowa, którymi bodła zięcia; w upojeniu triumfu postanowiła rozpogodzić przyszłość. Odzyskała spokój, nadała oczom wyraz słodczy, który jej przysparzał tyle uroku, i odparła:

– I ja mogę ci powiedzieć toż samo. Toteż, drogie dziecko, może moja hiszpańska natura poniosła mnie dalej, niż chciało serce. Bądź tym, czym jesteś, dobrym jak Bóg: nie chowaj do mnie urazy za parę niebaczących słów. Podaj mi rękę.

Paweł był zawstydzony, poczuwał się do tysięcznych win, uściskał panią Evangelista.

– Drogi Pawle – rzekła wzruszona – czemu te dwa gryziopiórki nie załatwiły tego wszystkiego bez nas, skoro wszystko miało się tak dobrze ułożyć?

– Nie byłbym wiedział – odparł Paweł – jaka pani jest szlachetna i wielka.

– Pięknie, Pawełku – rzekła Natalia, ściskając mu rękę.

– Mamy – rzekła pani Evangelista – kilka rzeczy do załatwienia, drogie dziecko. Córka i ja jesteśmy wyższe ponad głupstwa, do których niektórzy ludzie przywiązują tyle wagi. Tak więc Natalia nie potrzebuje wcale diamentów, daję jej swoje.

– Och, droga mamo, myślisz, że mogłabym je przyjąć? – wykrzyknęła Natalia.

– Tak, dziecko, należą do warunków kontraktu.

– Nie chcę, nie wyjdę za mąż – odparła żywo Natalia. – Zachowaj te klejnoty, które ojciec ofiarowywał ci z taką radością. Jak pan Paweł może wymagać?...

– Cicho bądź, drogie dziecko – rzekła matka, której oczy napelniły się łzami. – Moja nieznajomość interesów skazuje mnie na więcej jeszcze!

– Co takiego?

– Sprzedam swój pałacyk, aby spłacić to, co ci jestem winna.

– Co ty możesz mi być winna, mnie, która ci jestem winna życie? Czyż mogę kiedy wypłacić się wobec ciebie? Jeśli moje małżeństwo kosztuje cię najłżejsze poświęcenie, nie chcę wyjść za mąż.

– Dziecko!

– Droga Natalio – rzekł Paweł – zrozum, że to nie ja ani twoja matka wymagamy tych poświęceń, ale dzieci...

– A jeśli nie wyjdę za mąż? – przerwała.

– Więc mnie nie kochasz? – rzekł Paweł.

– Ej, ty mała wariatko, czy ty myślisz, że kontrakt ślubny to domek z kart, na który możesz, sobie dmuchać wedle zachcenia? Ty ciemna główko, nie wiesz, ile mieliśmy kłopotu, aby wykroić majorat dla twego najstarszego syna? Nie wtrącaj nas z powrotem w kłopoty, z których ledwośmy wybrnęli.

– Czemu rujnować mamę? – rzekła Natalia, spoglądając na Pawła.

– Czemu jesteś tak bogata? – odparł z uśmiechem.

– Nie kłóćcie się zanadto, dzieci, jeszczeście się nie pobrali – rzekła pani Evangelista. – Pawle – rzekła – nie trzeba tedy ani podarków ślubnych, ani klejnotów, ani wyprawy. Natalia ma wszystkiego pod dostatkiem. Pieniądze, które wydałbyś na podarki, zachowaj raczej na to, aby wam zapewnić na stałe trochę zbytku w domu. Nie znam nic głupszego, bardziej mieszczchańskiego, niż wydawać sto tysięcy franków na „koszyczek”, z którego nie zostaje z czasem nic oprócz starej szkatułki wyścielonej białym atłasem. Natomiast pięć tysięcy przydanych rocznie na toaletę oszczędza młodej kobiecie tysiąca kłopotów i zostaje jej na całe życie. Zresztą pieniądze, które byście obrócili na „koszyczek”, będą potrzebne na urządzenie twego pałacyku w Paryżu. Wrócimy do Lanstrac na wiosnę, bo w ciągu zimy Solonet zlikwiduje moje sprawy.

– Wszystko idzie jak najlepiej – rzekł Paweł uszczęśliwiony.

– Zobaczą tedy Paryż! – wykrzyknęła Natalia z akcentem, który słusznie przestraszyłby de Marsaya.

– Skoro się urządzamy w ten sposób – rzekł Paweł – napiszę do de Marsaya, aby wziął dla mnie łożę do Włoskiego i do Opery na zimę.

– Bardzo pan jest miły, nie śmiałam pana o to prosić – rzekła Natalia. – Małżeństwo to wielce sympatyczna instytucja, jeżeli daje mężom talent zgadywania pragnień swoich żon.

– Tak, to właśnie to – rzekł Paweł – ale już północ, trzeba się żegnać.

– Czemu tak wcześnie dzisiaj? – rzekła pani Evangelista, rozwijając ową przymilność, na którą mężczyźni są tak czuli.

Mimo że wszystko odbyło się gładko i wedle praw najwyborniejszej grzeczności, dyskusja ta zasiała wszakże u zięcia jak u teściowej ziarno nieufności i niechęci, gotowe wzejść przy najłżejszym promieniu gniewu lub w ogniu podrażnionego uczucia. W większości rodzin kwestie posagu oraz kontraktu ślubnego rodzą takie pierwotne wrogości, wszczęte z miłości własnej, z urażenia pewnych uczuć, z żalu o pewne ofiary i z ochoty zmniejszenia ich. Czyż skoro się nastęrcza trudność, nie musi istnieć zwycięzca i zwyciężony? Rodzice młodej pary starają się korzystnie załatwić ten interes, w ich oczach czysto handlowy, kryjący w sobie sztuczki, korzyści i zawody handlu. Przeważnie sam tylko mąż jest wtajemniczony w sekrety tych układów, a młoda żona zostaje, jak tutaj Natalia, obca targom, które ją czynią bogatą lub ubogą. Odchodząc Paweł myślał, że dzięki zręczności rejenta Mathias majątek jego jest prawie zupełnie zabezpieczony od ruiny. Jeżeli pani Evangelista nie rozstanie się z córką, dom

będzie rozporządzał przeszło stoma tysiącami rocznie; tak więc wszystkie przewidywania szczęśliwej przyszłości spełniały się.

„Moja teściowa robi wrażenie przecacnej kobiety – powiedział sobie, jeszcze pod urokiem przymilności, którą pani Evangelista starała się rozproszyć chmury nagromadzone podczas układów. – Mathias myli się. Ci rejenci to osobliwi ludzie, zatrują wszystko. Wszystkiego narobił ten gryziopiórek Solonet, który chciał bawić się w mędrka”.

Gdy Paweł kładł się spać, przechodząc w myśli korzyści odniesione w ciągu wieczora, pani Evangelista również przypisywała sobie zwycięstwo.

– No i cóż, mamu, jesteś zadowolona? – rzekła Natalia, towarzysząc matce do sypialni.

– Tak, kochanie moje, wszystko wedle moich pragnień. Czuję, że mi spadł z serca ciężar, który jeszcze rano mnie miazdżył. Paweł to bardzo poczciwy człowiek. Kochany chłopiec, stworzymy mu śliczną egzystencję. Ty mu dasz szczęście, ja biorę na siebie jego karierę. Ambasador hiszpański jest moim przyjacielem, nawiążę z nim, w ogóle nawiążę wszystkie stosunki. Och, znajdziemy się niebawem w centrum życia, wszystko będzie dla nas radością. Dla was słodczy miłości, drogie dzieci, dla mnie ostatnia strawa życia, rozkosze ambicji. Nie przestraszaj się tym, że sprzedaję mój pałacyk; czy myślisz, że my wrócimy kiedy do Bordeaux? Do Lanstrac, owszem. Ale będziemy spędzały każdą zimę w Paryżu, gdzie są teraz nasze prawdziwe interesy. No, widzisz, dziecko, czy to było tak trudno zrobić to, o co cię prosiłam?

– Mamusiu, chwilami było mi wstyd.

– Solonet radzi mi, żebym sprzedała swój pałacyk za dożywotnią rentę – rozważała pani Evangelista – ale trzeba zrobić inaczej, nie chcę ci ująć ani grosza z mego majątku.

– Widziałam, żeście byli wszyscy pogniewani – rzekła Natalia. – Jak uśmierzyła się ta burza?

– Ofiarą moich diamentów – odparła pani Evangelista. – Solonet miał słuszość. Z jakim on talentem poprowadził całą sprawę! Ale – rzekła – weźże te klejnoty, Natalio! Nigdy nie zastanawiałam się poważnie, co są warte te diamenty. Kiedy mówiłam sto tysięcy, byłam szalona. Wszak pani de Gyas utrzymywała, że kolia i kolczyki, które mi dał twój ojciec w dniu ślubu, warte były co najmniej tyle. Biedaczysko był taki hojny! A przy tym mój diament rodzinny, ten, który Filip II dał księciu Albie i który mi zapisała ciotka, zwany „Discreto”, szacowany był, zdaje mi się, niegdyś na cztery tysiące kwadrupli.

Natalia przyniosła na toaletę matki sznury pereł, diademy, bransolety, drogie kamienie i bawiła się nimi z przyjemnością, zdradzając nieokreślone uczucie, jakie ożywia pewne kobiety na widok tych skarbów, którymi, wedle komentatorów Talmudu, przekłete anioły uwiodły córki ludzi, czerpiąc z wnętrza ziemi owe kwiaty niebieskiego ognia.

– Tak – rzekła pani Evangelista – mimo iż, co się tyczy klejnotów, umiem jedynie przyjmować je i nosić, zdaje mi się, że to jest dużo pieniędzy. Przy tym skoro mamy prowadzić wspólny dom, mogę sprzedać swoje srebra, które na samą wagę warte są trzydzieści tysięcy. Kiedyśmy je przywieźli z Limy, przypominam sobie, że na komorze oszacowano je na tyle. Solonet ma słuszość! Poślę po Magusa. Żyd oceni mi te garnitury. Może nie będę musiała lokować resztek majątku na dożywocie.

– Śliczne perły! – rzekła Natalia.

– Mam nadzieję, że Paweł ci je zostawi, jeśli cię kocha. Powinien by to wszystko dać na nowo oprawić i ofiarować ci. Wedle kontraktu diamenty należą do ciebie. No, dobranoc, aniele. Po takim męczącym dniu potrzebujemy obie wypoczynku.

Elegantka, Kreolka, wielka dama niezdolna ogarnąć treści kontraktu, który jeszcze nie był ułożony, usnęła tedy szczęśliwa, widząc, że wydała córkę za człowieka łatwego do powodowania, który zostawi im rządy domu i którego majątek połączony z ich majątkiem pozwoli im nic nie zmieniać w trybie życia. Zdawszy rachunki córce, której cały majątek uznano, pani Evangelista jeszcze została zamożną kobietą.

„Wariatka byłam, zem się tak niepokoiła – mówiła sobie. – Chciałabym, żeby było już po ślubie”.

Tak więc pani Evangelista, Paweł, Natalia, dwaj rejenci, wszyscy byli zachwyceni tym pierwszym spotkaniem. Śpiewano „Te Deum” w obu obozach: niebezpieczna sytuacja! Przychodzi chwila, gdy kończy się pomyłka zwyciężonego. Dla wdowy zwyciężonym był jej zięć.

Nazajutrz rano Magus przybył do pani Evangelista. Z pogłosek o bliskim małżeństwie Natalii z hrabią Pawłem sądził, że chodzi o kupno klejnotów. Żyd zdziwił się, dowiadując się, że chodzi o urzędowe niejako oszacowanie diamentów teściowej. Instynkt żydowski jak również parę zręcznych pytań objaśniły go, że z pewnością wartość ta ma być wliczona w kontrakt ślubny. Ponieważ diamenty nie były na sprzedaż, oszacował je tak, jak gdyby je miał kupić człowiek prywatny u kupca. Jedynie jubilerzy umieją odróżniać diamenty azjatyckie od brazylijskich. Kamienie z Golkondy i z Wizapur wyróżniają się białością, czystością blasku, jakiego nie mają inne, których woda zawiera odcień żółty, co przy jednakiej wadze zmniejsza ich cenę. Kolczyki i kolie pani Evangelista, złożone wyłącznie z diamentów azjatyckich, Magus ocenił na dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Co się tyczy „Discreto”, był to, jego zdaniem, jeden z najpiękniejszych diamentów w prywatnym posiadaniu i wart był sto tysięcy. Dowiadując się o cenie, która zdradziła jej hojność mężowską, pani Evangelista spytała, czy mogłaby uzyskać tę sumę natychmiast.

– Proszę pani – odparł Żyd – jeśli pani chce sprzedać, dałbym tylko siedemdziesiąt pięć tysięcy za brylant, a sto sześćdziesiąt tysięcy za kolie i kolczyki.

– Czemu ta różnica? – spytała pani Evangelista zdumiona.

– Proszę pani, im diamenty piękniejsze, tym dłużej u nas leżą. Trudność sprzedaży rośnie w stosunku do wartości kamieni. Ponieważ kupiec nie może tracić oprocentowania kapitału, procenty te połączone z ryzykiem wahań wartości towaru tłumaczą różnicę cen kupna a sprzedaży. Straciła pani, od dwudziestu lat, procent od trzystu tysięcy. Jeżeli pani nosiła dziesięć razy rocznie swoje diamenty, kosztowały panią za każdy wieczór tysiąc talarów. Ileż pięknych toalet można mieć za tysiąc talarów! Ci, którzy trzymają diamenty, to są wariaci: ale szczęściem dla nas kobiety nie chcą zrozumieć tych cyfr.

– Dziękuję panu, że mi je pan przedstawił, skorzystam z nich!

– Chce pani sprzedać? – rzekł chciwie Żyd.

– Ile warta jest reszta? – spytała pani Evangelista. Żyd obejrzał złotą oprawę, wziął perły do światła, zbadał ciekawie rubiny, diademy, agrafki, bransolety, fermuary, łańcuchy i mrukał:

– Jest tu dużo diamentów portugalskich z Brazylii! To warte jest dla mnie tylko sto tysięcy. Ale między kupcami – dodał – te klejnoty poszłyby co najmniej w pięćdziesięciu tysiącach talarów.

– Nie sprzedamy ich – rzekła pani Evangelista.

– Źle panie robią – odparł Magus. – Z dochodu od tej sumy za pięć lat miałyby pani równie piękne diamenty, a zachowałyby się kapitał.

Ta osobliwa konferencja rozeszła się po mieście i potwierdziła wieści spowodowane dyskusją przy kontrakcie. Na prowincji wie się wszystko. Służba usłyszawszy podniesione głosy sądziła, że dyskusja była o wiele żywsza, niż była w istocie; plotki przeszły do ust innej służby, a z tych niskich sfer przedostały się do państwa. Uwaga wielkiego świata i miasta była tak bardzo zwrócona na małżeństwo dwojga osób jednako bogatych, wszyscy, wielcy i mali, zajmowali się nimi tak pilnie, że w tydzień później krążyły w Bordeaux najdziwniejsze pogłoski: pani Evangelista sprzedaje pałacyk, jest zrujnowana. Proponowała swoje diamenty Magusowi. Do niczego jeszcze nie doszło między nią a hrabią de Manerville. Czy to małżeństwo przyjdzie do skutku? Jedni mówili t a k, drudzy n i e. Dwaj rejenci, zapytywani, przeczyli tym potwarzom i mówili o czynnościach czysto formalnych, spowodowanych sprawą majoratu. Ale kiedy opinia raz pójdzie w jakimś kierunku, bardzo trudno zawrócić ją z drogi. Mimo że

Paweł co dzień bywał u pani Evangelista, mimo twierdzeń obu rejentów, obleśne potwarze szły swoim trybem. Wiele panien, ich matki lub ciotki, strapione małżeństwem marzonym przez nie lub przez ich rodziny, nie mogły przebaczyć pani Evangelista jej szczęścia, jak autor nie może darować powodzenia koledze. Ten i ów mścił się za dwadzieścia lat zbytku i wspaniałości, jakimi dom hiszpański ciążył na ich miłości własnej. Pewien wielki człowiek z prefektury twierdził, że i rejenci, i obie rodziny nie mogłyby inaczej mówić ani zachowywać się w razie zerwania. Czas, którego wymagało utworzenie majoratu, potwierdzał podejrzenia miejscowych polityków.

– Będą nam zawracali głowę całą zimę, po czym z wiosną pojedą do wód i. za rok dowiemy się, że małżeństwo się rozlało.

– Rozumiecie – powiadali jedni – że dla oszczędzenia honoru dwóch rodzin trudności nie będą pochodziły od żadnej z nich; to kancelaria królewska odmówi; zerwanie wyniknie z jakichś przeszkód tyczących majoratu.

– Pani Evangelista – mówili inni – prowadziła życie, na które kopalnia złota by nie wystarczyła. Kiedy trzeba było napełnić „koszyczek”, pokazało się, że już nic nie ma!

Znakomita okazja dla każdego, aby szacować wydatki pięknej wdowy celem kategorycznego ustalenia jej ruiny! Pogłoski doszły do tego, że robiono zakłady za i przeciw małżeństwu. W myśl kodeksu świata pogłoski krążyły bez wiedzy interesowanych. Nikt nie był na tyle wrogiem lub przyjacielem Pawła lub pani Evangelista, aby ich o tym uprzedzić. Paweł miał jakieś interesy w Lanstrac, skorzystał tedy z okazji, aby tam urządzić polowanie dla miejscowej młodzieży, rodzaj pożegnania z kawalerskim życiem. Te łowy uznano powszechnie za wymowne potwierdzenie krążących podejrzeń. W tych okolicznościach pani de Gyas, która miała córkę na wydaniu, uważała za właściwe zbadać teren i iść posmucić się radośnie z porażki poniesionej przez panię Evangelista. Natalia i jej matka były dość zdziwione, widząc obłudnie bolesną twarz margrabiny i spytały, czy jej się nie zdarzyło coś przykrego.

– Jak to! – rzekła. – Nie znacie pogłosek, jakie obiegają Bordeaux? Mimo że w nie nie wierzę, przyszedłam się dowiedzieć prawdy, aby je sprostować, jeśli nie wszędzie, to bodaj w kole mych przyjaciół. Być ofiarą albo współnikiem podobnej plotki to zbyt fałszywa pozycja, aby prawdziwi przyjaciele chcieli w niej pozostać.

– Ale cóż się dzieje!?! – wykrzyknęły obie panie. Pani de Gyas uczyniła sobie tę przyjemność, aby opowiedzieć wszystkie gadania, nie oszczędzając ani jednego pchnięcia sztyletu swoim serdecznym przyjaciółkom. Natalia i pani Evangelista patrzyły na siebie śmiejąc się, ale zrozumiały dobrze sens tego opowiadania i jego pobudki. Hiszpanka wzięła odwet mniej więcej podobny jak Celimena na Arsinoe<sup>75</sup>.

– Moja droga, znając, jak ty, prowincję, czy nie wiesz, do czego zdolna jest matka mająca na karku córkę, która nie wychodzi za mąż z braku posagu i konkurentów, z braku urody, dowcipu, czasem z braku wszystkiego razem? Ależ zatrzymałaby dyliżans, zamordowałaby człowieka, chwyciłaby mężczyznę na rogu ulicy, oddałaby się sto razy sama, gdyby była coś warta. Dużo jest w Bordeaux kobiet w tym położeniu, które z pewnością nam przypisują swoje myśli i postęпки. Przyrodnicy spisali obyczaje dzikich zwierząt, ale zapomnieli matki i córki w pogoni za mężem. To są hieny, które, wedle psalmisty, szukają, kogo by pożarły: z naturą bydłęcia łączą inteligencję człowieka i geniusz kobiety. To, że te małe pajęczki tutejsze, panna de Belor, panna de Trans etc., zajęte od tak dawna zastawianiem siatek i nie mogąc doczekać się muchy, nie słysząc najlżejszego poruszenia skrzydełek w pobliżu, są wściekłe, to rozumiem; przebaczam im ich zatrute słówka. Ale że ty, która wydasz córkę, kiedy będziesz chciała, ty, bogata, utytułowana, która nie masz nic z prowincji, ty, której córka jest inteligentna, pełna zalet, mogąca wybierać, ładna, że ty, tak różniąca się od innych swoim paryskim wdziękiem, podlegasz takim niepokojom, to nas doprawdy zdumiewa! Czy mam

<sup>75</sup> Celimena i Arsinoe – postaci z „Mizantropa” Moliera; Balzac czyni tu aluzję do ich pełnej złośliwości rozmowy w akcie III.

obowiązek zdawać publicznie sprawę z pertraktacji, które ludzie fachowi uznali za pożyteczne w sytuacji politycznej, jaka czeka mego zięcia? Czy mania publicznych roztrząsań ogarnia już rodzinę? Czy trzeba było zwołać na sejm rodziców z całej prowincji, aby asystowali debatom kontraktu ślubnego?

Potok złośliwości popłynął na Bordeaux. Pani Evangelista miała opuścić miasto: mogła uczynić przegląd swoich przyjaciółek, nieprzyjaciółek, skarykaturować je, wysmagać bez obawy. Toteż dała upust swoim tajnym spostrzeżeniom, swoim zapiekłym zemstom, dochodząc, jaki interes może mieć ta lub inna osoba w tym, aby przeczyć słońcu w jasne południe.

– Ale, moja droga – rzekła margrabina – pobyt pana de Manerville w Lanstrac, te zabawy dla młodzieży w podobnych okolicznościach...

– Moja droga – przerwała jej wielka dama – czy sądzisz, że my się trzymamy mieszczańskiego ceremoniału? Czy hrabiego trzyma kto na smyczy? Czy sądzisz, że go potrzeba strzec przez żandarmerię? Czy boimy się, że go nam wykradnie jakiś prowincjonalny spisek?

– Wierzaj mi, droga przyjaciółko, to, co mówisz, sprawia mi ogromną przyjemność...

Przerwał margrabinie lokaj oznajmiając hrabiego Pawia. Jak wszyscy zakochani, Paweł uważał, że to będzie cudownie zrobić cztery mile, aby spędzić godzinę z Natalią. Zostawił swoich przyjaciół na polowaniu i przybył w butach z ostrogami, ze szpicróżgą w dłoni.

– Drogi Pawle – rzekła Natalia – nie wiesz, jaką w tej chwili dajesz pani odpowiedź.

Kiedy Paweł dowiedział się, jakie oszczerstwa obiegają Bordeaux, zamiast się pogniewać, zaczął się śmiać.

– Ci zacni ludzie wiedzą może, że nie będzie owego weseliska i potarzyn, jakie są w zwyczaju na prowincji, ani ślubu w południe w kościele, i są wściekli. A więc, droga mamó – rzekł, całując w rękę panią Evangelista – ciśniemy im bal w wilię ślubu, jak się ciska ludowi festyn na Polach Elizejskich, i damy naszym serdecznym przyjaciołom bolesną przyjemność podpisania kontraktu takiego, jakie rzadko się zdarzają na prowincji.

Wydarzenie to miało wielką doniosłość. Pani Evangelista zaprosiła całe Bordeaux i postanowiła rozwinąć na swym ostatnim balu zbytek, który by był wspaniałym zaprzeczeniem głupich kłamstw miejscowego towarzystwa. Było to uroczyste zobowiązanie w obliczu miasta, że małżeństwo dojdzie do skutku. Przygotowania do balu trwały czterdzieści dni, nazwano go nocą kameliową. Była olbrzymia ilość tych kwiatów na schodach, w przedpokoju i w sali, gdzie podano wieczerzę. Zwłoka ta zeszła się w naturalny sposób z czasem, jakiego wymagały formalności małżeństwa oraz kroki czynione w Paryżu dla stworzenia majoratu. Dokonano kupna gruntów przylegających do Lanstrac, ogłoszono zapowiedzi, wątpliwości rozwiąły się. Przyjaciele i wrogowie myśleli już tylko o toaletach na zapowiadzaną uroczystość. Czas zajęty tymi wydarzeniami zatarł tedy trudności zrodzone z pierwszej konferencji, pograżając w niepamięć burzliwą dyskusję, do której dał powód kontrakt ślubny. Ani Paweł, ani jego teściowa nie myśleli już o tym. Czyż to nie była, jak mówiła pani Evangelista, sprawa dwóch rejentów? Ale komuż się nie zdarzyło, w chwili gdy życie pomyka tak szybko, że go nagle zbudzi wspomnienie, które się rodzi czasami za późno i uprzytamnia wam doniosły fakt, bliskie niebezpieczeństwo? Rano, w dniu, w którym miano podpisać kontrakt, jeden z owych błędnych ogników błysnął w duszy pani Evangelista, w chwili gdy na wpół jeszcze spoczywała we śnie. Owo zdanie: *Questa coda non è di questo gatto!* – wyrzeczone przez nią w chwili, gdy Mathias godził się na warunki Soloneta, zabrzmiało jej w uszach. Mimo swej nieudolności w interesach, pani Evangelista rzekła sobie w duchu: – „Jeżeli ten szczywany Mathias uspokoił się, to widać znalazł pokrycie kosztem jednego z małżonków”. Poszkodowanym musiał tu być nie Paweł, jak się tego spodziewała. Czyżby to majątek jej córki miał opłacić koszta wojenne? Postanowiła sobie zażądać wyjaśnień co do brzmienia kontraktu, nie zastanawiając się nad tym, co należy uczynić, w razie gdyby jej interesy były zbyt poważnie naruszone. Ten dzień tak bardzo wpłynął na pożytku Pawła, że konieczne jest wytłumaczyć niektóre okoliczności faktyczne, tak ważne w życiu ludzkim. Ponieważ pałac pań Evangelista

miało się sprzedać, teściowa hrabiego de Manerville nie cofnęła się przed żadnym wydatkiem na tę uroczystość. Dziedziniec był wysypany piaskiem, przykryty z turecka namiotem i strojny drzewkami mimo zimy. Owe kamelie, o których tyle mówiono od Angoulême po Dax, stroiły schody i sienie. Wybito ścianę, aby powiększyć salę, gdzie odbywała się uczta, i tę, gdzie tańczono. Bordeaux, które błyszczy zbytkiem tyłu kolonialnych fortun, żyło w oczekiwaniu przyrzeczonych cudów. Około ósmej, w momencie ostatnich dyskusji, ludzie, ciekawi oglądać strojne kobiety wysiadające z powozów, skupili się w dwóch rzędach koło bramy. Tak więc atmosfera przepychu i zabawy nastrajała dusze w chwili podpisywania kontraktu. W krytycznej chwili zapalone lampiony płonęły na drzewach, a turkot pierwszych powozów rozlegał się w dziedzińcu. Dwaj rejenci spożywali obiad z parą oblubieńców i teściową. Dependent Mathiasa, który miał zbierać podpisy, czuwając zarazem, aby nikt niedyskretnie nie przeczytał kontraktu, był również na obiedzie.

Każdy może przetrząsnąć swoje wspomnienia: żadna toaleta, żadna kobieta, nic nie da się porównać z pięknnością Natalii, która, strojna w koronki i atłasy, w tysiącnych puklach spadających, zalotnie na szyję, podobna była do kwiatu spowitego w liście. Pani Evangelista, w aksamitnej wiśniowej sukni (kolor zreczenie dobrany, aby uwydatnić jej wspaniałą cerę, czarne oczy i włosy), pani Evangelista w całej krasie kobiety czterdziestoletniej, miała na szyi sznur pereł spięty brylantem „Discreto”, aby zadać kłam oszczerstwom.

Dla zrozumienia sceny należy powiedzieć, iż Paweł i Natalia siedzieli sobie na kozetce przy kominku i nie słyszeli ani jednego punktu rachunków z opieki. Oboje jednak dzieci, jednak szczęśliwi, on swym pragnieniem, ona ciekawością i oczekiwaniem, widzący życie jak niebo bez chmurki, bogaci, młodzi, zakochani, szeptali sobie coś bez ustanku do ucha. Zbrojąc już swą miłość pancierzem legalności, Paweł ledwie pozwalał sobie ucałować końce palców Natalii, musnąć jej śnieżny grzbiet, otrzeć się o jej włosy, kradnąc wszystkim spojrzeniom rozkosze tej nielegalnej śmiałości. Natalia igrała wachlarzem z piór indyjskich, który jej ofiarował Paweł; dar, który, wedle zabobonów niektórych krajów, jest dla miłości wróżbą równie nieszczęśliwą jak darowane nożyczki albo jakikolwiek ostry instrument, co zapewne przypomina mityczne Parki. Siedząc koło dwóch rejentów, pani Evangelista słuchała z największą uwagą. Wysłuchawszy rachunku z opieki, misternie ułożonego przez Soloneta, który z trzech milionów i kilkuset tysięcy, zostawionych przez pana Evangelista, sprowadzał część Natalii do słynnego miliona stu pięćdziesięciu sześciu tysięcy, rzekła do młodej pary: – Ależ słuchajcie, dzieci, to wasz kontrakt! – Dependent wypił szklanekę wody z cukrem, Solonet i Mathias wytarli nosy. Paweł i Natalia popatrzyli, wysłuchali wstępu i zaczęli dalej rozmawiać. Ustalenie wkładów, darowizna generalna w razie bezdzietnej śmierci, donacja czwartej części dożywotnio, a czwartej na pełną własność dozwoloną przez kodeks bez względu na ilość dzieci, ustalenie funduszu wspólnoty, diamenty dla żony, biblioteka i konie dla męża, wszystko przeszło bez żadnych uwag. Przyszła sprawa majoratu. Tutaj, kiedy wszystko przeczytano i kiedy wypadało jedynie podpisać, pani Evangelista spytała, jaki będzie skutek tego majoratu.

– Majorat, proszę pani – rzekł Solonet – jest to majątek niezbywalny, utworzony z mienia dwojga małżonków i stworzony na rzecz najstarszego potomka w każdej generacji, bez pozbawienia go jego części w ogólnym dziale.

– Co z tego wyniknie dla córki? – spytała.

Stary Mathias, niezdolny ukryć prawdy, zabrał głos:

– Proszę pani, ponieważ majorat jest apanażem oddzielonym od dwóch fortun, przeto, jeśli przyszła małżonka umrze pierwsza zostawiając jedno albo więcej dzieci, z tych jedno płci męskiej, hrabia de Manerville zda przed nimi rachunek jedynie z trzystu pięćdziesięciu sześciu tysięcy franków, z których czwartą część odciągnie jako swoje dożywocie, a czwartą jako pełną własność. Toteż dług jego wobec nich sprowadza się w przybliżeniu do stu pięćdziesięciu tysięcy, nie licząc udziału we wspólności etc. W przeciwnym razie, gdyby umarł

pierwszy, zostawiając również dzieci płci męskiej, pani de Manerville będzie miała prawo jedynie do trzystu pięćdziesięciu sześciu tysięcy franków, do swoich donacji na dobrach pana de Manerville nie objętych majoratem, do odebrania swoich diamentów i do swojej części we wspólnocie.

Skutki głębokiej polityki pana Mathiasa ukazały się w pełnym świetle.

– Moja córka jest zrujnowana – rzekła cicho pani Evangelista.

Stary i młody rejent usłyszeli to.

– Czy to znaczy zrujnować się – odpowiedział półgłosem Mathias – stworzyć swej rodzinie niezniszczalną fortunę?

Widząc wyraz, jaki przybrała twarz klientki, młody rejent czuł się w obowiązku określić klęskę w cyfrach.

– Chcielibyśmy ich złapać na trzysta tysięcy franków, oni nam odebrali najoczywiściej osiemset tysięcy, kontrakt określa naszą stratę czterysta tysięcy franków na korzyść dzieci. Trzeba zerwać albo zgodzić się – rzekł Solonet.

Nie podobna opisać chwili milczenia, jakie zapadło. Stary Mathias czekał jak triumfator podpisu dwojga osób, które myślały, że obłupią jego klienta. Natalia, niezdolna pojąć, że traci połowę majątku. Paweł nieświadomy, że dom Manerville ją zyskuje, wciąż śmieli się i rozmawiali. Solonet i pani Evangelista patrzyli po sobie, on zachowując zimną krew, ona powściągając tłum wzburzonych myśli. Przeszedłszy okres niesłychanych wyrzutów, fazę, w której patrzyła na Pawła jako na przyczynę swej nierzetelności, znalazła wreszcie sofizmaty, aby przerzucić na niego błędy swej opieki, uważając go za swą ofiarę. I w jednej chwili spostrzegła, że tam, gdzie spodziewała się odnieść triumf, sama wpadła i że ofiarą jest jej własna córka! Stała się występna bez korzyści, padła ofiarą uczciwego starca, tracąc z pewnością jego szacunek. Czyż nie jej konszachty zrodziły pomysł starego Mathiasa? Straszliwa myśl! Mathias z pewnością oświecił Pawła. Jeśli dotąd nic nie mówił, z pewnością po podpisaniu kontraktu stary lis ostrzeże swego klienta o niebezpieczeństwach, które groziły, a których uniknął, chociażby po to, aby zgarnąć owe komplementy, na które wszyscy ludzie są łasi. Czyż go nie przestrzeże przed kobietą dość podstępna, aby maczać palce w tym spisku? Czy nie zniszczy władzy, jaką zdobyła na zięciu? Słabe natury, skoro raz się uprzedzą, zacinają się i nie zmieniają już sądu. Wszystko tedy stracone! W dniu, w którym zaczęły się targi, liczyła na słabość Pawła, na jego niemożność zerwania tak daleko posuniętego związku. W tej chwili ona sama o ileż mocniej była związana! Trzy miesiące wprzód Paweł mógł stosunkowo łatwo zerwać małżeństwo, ale dziś całe Bordeaux wie, że od dwóch miesięcy rejenci usunęli wszystkie trudności. Zapowiedzi spadły z ambony. Ślub miał się odbyć za dwa dni. Przyjaciele obu rodzin, całe towarzystwo wystrojone na bal schodziło się. Jak oznajmić, że wszystko odłożone? Przyczyna zerwania rozeszłaby się, nieskazitelna uczciwość starego Mathiasa znalazłaby wiarę. Publiczność byłaby przeciw paniom Evangelista, którym nie brakło zawistnych. Trzeba było tedy ustąpić! Te nieubłagane refleksje spadły na panią Evangelista jak huragan i zmiądzły ją. O ile zachowała powagę godną dyplomaty, broda jej zadrgała owym apoplektycznym ruchem, jakim Katarzyna II objawiła swój gniew w dniu, w którym na tronie, w obliczu dworu i w okolicznościach niemal że podobnych pozwolił sobie z niej zadrwić młody król szwedzki. Solonet zauważył tę grę mięśni, która zwiastowała skurcz śmiertelnej nienawiści, burzę głuchą i bez błyskawic! W tej chwili pani Evangelista uczyła istotnie ową nienasyconą nienawiść, której zarodek zostawili Arabowie w powietrzu Hiszpanii.

– Drogi panie – rzekła nachylając się do swego rejenta – pan nazywał to galimatiasem; otóż zdaje mi się, że nie ma nic jaśniejszego pod słońcem.

– Pozwoli pani...

– Proszę pana – ciągnęła wdowa, nie słuchając – jeżeli pan nie ocenił znaczenia tych warunków w czasie wspólnej konferencji, bardzo szczególne jest, że pan tego nie przemyślał w ciszy gabinetu. To nie może być nieudolność.



Młody rejent pociągnął klientkę do saloniku, powiadając sobie w duchu: „Mam więcej niż tysiąc talarów za rachunek z opieki, tysiąc za kontrakt, sześć tysięcy franków sperandy za sprzedaż pałacyku, razem piętnaście tysięcy franków do ocalenia: nie gniewajmy się”.

Zamknął drzwi, zmierzył panią Evangelista zimnym spojrzeniem rejenta, odgadł uczucia, które nią miały, i rzekł:

– Łaskawa pani, kiedy ja, być może, przekroczyłem dla pani granice sprytu, czy pani chce zapłacić moje oddanie w taki sposób?

– Ależ...

– Proszę pani, nie obliczyłem skutków donacji, to prawda, ale jeżeli pani nie chce hrabiego Pawła za zięcia, czy panią kto zmusza? Czy kontrakt podpisany? Niech pani przyjmie gości i odłóżmy sprawę. Lepiej zadrwić z całego Bordeaux niż dać zadrwić z siebie.

– Jak to usprawiedliwić przed całym towarzystwem, już uprzedzonym do nas?

– Omyłką popełnioną w Paryżu, brakiem jakiegoś dokumentu – rzekł Solonet.

– Ale nabyte grunty?

– Panu de Manerville nie zbraknie posagów ani partii.

– Tak, on nie straci nic, ale my wszystko!

– Panie – odparł Solonet – mogą mieć hrabiego tańszym kosztem, jeśli dla pani tytuł jest najwyższą racją.

– Nie, nie możemy igrać tak z naszym honorem. Złapałam się w potrzask. Całe Bordeaux będzie jutro trzęsło się od tego. Wymieniliśmy uroczyste słowo.

– Pani chce, aby panna Natalia była szczęśliwa – rzeki Solonet.

– Przede wszystkim.

– Być szczęśliwą we Francji – rzekł rejent – czyż to nie jest być panią w domu? Będzie prowadziła za nos tego dudka Manerville; to jest takie zero, że nie spostrzeże się na niczym. Gdyby teraz nie ufał pani, zawsze będzie ufał żonie. Jego żona, czyż to nie pani? Los hrabiego jest jeszcze w pani rękach.

– Gdyby pan mówił prawdę, nie wiem, czy mogłabym panu czego odmówić – rzekła z wybuchem, który zabarwił jej spojrzenie.

– Wracajmy – rzekł Solonet, pojmując swą klientkę – ale w każdej rzeczy niech mnie pani dobrze słucha! Później może mnie pani pomówić o nieudolność, jeśli pani zechce.

– Drogi kolego – rzekł za powrotem młody rejent do pana Mathiasa – m i m o s w e g o sprytu nie przewidział pan wypadku, gdyby pan de Manerville zmarł bezdziejnie ani też gdyby umarł, zostawiając same córki. W tych dwóch wypadkach majorat dałby powód do procesów z Manerville'ami. Uważam tedy za konieczne ustalić, że w pierwszym wypadku majorat zostanie włączony do generalnej donacji między małżonkami, w drugim zaś uzna się go za niebyły. Konwencja tyczy się jedynie przyszłej małżonki.

– Klauzula zupełnie słuszna – rzekł Mathias. – Co do jej ratyfikacji, pan hrabia porozumie się zapewne z kancelarią, o ile będzie trzeba.

Młody rejent wziął pióro i nakreślił na marginesie aktu tę straszliwą klauzulę, na którą Paweł i Natalia nie zwrócili uwagi. Pani Evangelista spuściła oczy, gdy stary Mathias ją odczytywał.

– Podpiszmy – rzekła matka.

Głos, który zdławiła pani Evangelista, zdradzał gwałtowne wzruszenie. Powiedziała sobie w tej chwili: „Nie! to nie moja córka będzie zrujnowana, ale on! Moja córka będzie miała nazwisko, tytuł i majątek. Jeżeli przypadkiem Natalia spostrzeże, że nie kocha męża, albo gdyby pokochała nieodparcie innego, Pawła wygna się z Francji! A moja córka będzie wolna, szczęśliwa i bogata”.

O ile stary Mathias rozumiał się na interesie, niewiele się rozumiał na analizie ludzkich namiętności; przyjął tę konkluzję jako akt skruchy zamiast w niej widzieć wypowiedzenie wojny. Gdy Solonet i jego dependent czuwali nad tym, aby Natalia podpisała i sparafowała

wszystkie akty, co wymagało czasu, Mathias pociągnął Pawła do okna i zdradził mu tajemnice punktów, które obmyślił, aby go ocalić od pewnej ruiny.

– Ma pan hipotekę stu pięćdziesięciu tysięcy franków na tym pałacu – rzekł kończąc: – jutro będzie podjęta. Mam u siebie obligacje renty matrykułowane moim staraniem na nazwisko pańskiej żony. Wszystko jest w porządku. Ale kontrakt zawiera pokwitowanie sumy w diamentach. Niech pan ich zażąda; interes interesem. Diamenty idą w tej chwili w górę, mogą spaść. Kupno dóbr Auzac i Saint-Froult pozwala panu spieniężyć wszystko, aby nie ruszyć obligacyj żoninych. Zatem, panie hrabio, bez fałszywego wstydu. Pierwsza rata płatna jest po dopełnieniu formalności, wynosi dwieście tysięcy, niech pan obróci na to diamenty. Będzie pan miał hipotekę na pałacu pani Evangelista na drugą ratę, a dochody z majoratu pomogą panu wypłacić się z reszty. Jeśli pan będzie miał ten hart, aby wydawać nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy przez trzy lata, odzyska pan dwieście tysięcy, które pan obecnie jest winien. Jeśli pan obsadzi winem górzyste grunty w Saint-Froult, podniesie pan dochód z tej posiadłości do dwudziestu sześciu tysięcy. Pański majorat, nie licząc pałacu w Paryżu, będzie kiedyś wart pięćdziesiąt tysięcy funtów renty, to będzie jeden z najpiękniejszych, jakie znam. Tak więc robi pan doskonałą partię.

Paweł uściśnął serdecznie ręce starego przyjaciela. Gest ten nie mógł ująć uwagi pani Evangelista, która podeszła, aby podać Pawłowi pióro. Dla niej podejrzenia stały się rzeczywistością, uwierzyła, że Paweł i Mathias są w zмовie. Fala wściekłości i nienawiści napłynęła do jej serca. Kości były rzucone.

Sprawdziwszy, czy wszystkie załączniki są zasygnowane, czy wszystkie osoby zawierające kontrakt położyły swoje inicjały u dołu każdej stronicy, stary Mathias popatrzył kolejno na Pawła i na teściową, i nie widząc, aby klient jego żądał diamentów, rzekł:

– Nie sądzę, aby oddanie diamentów przedstawiało trudności; jesteście państwo obecnie jedną rodziną.

– Byłoby właściwiej, aby pani je oddała; pan de Manerville wziął na siebie nadwyżkę rachunku opieki, nie wiadomo zaś, kto z brzegu – rzekł Solonet, który spostrzegł w tej okolicy sposób podjudzenia teściowej na zięcia.

– Och, mam – rzekł Paweł – to byłby wstyd dla nas wszystkich postępować w ten sposób. *Summum ius, summa iniuria*<sup>76</sup> – rzekł do Soloneta.

– A ja – rzekła pani Evangelista, która w przyływie swej nienawiści ujrzała zniewagę w aluzji Mathiasa – podrę kontrakt, o ile pan ich nie przyjmie!

Wyszła miotana ową krwawą wściekłością, która chciałaby wszystko zniszczyć, a którą bezsilność przywodzi do szaleństwa.

– Na imię nieba, weź. Pawle – rzekła mu Natalia do ucha. – Mama jest pogniewana, do wiem się wieczór, czemu, powiem ci, uspokojmy ją.

Rada z pierwszego podstępu, pani Evangelista zatrzymała kolczyki i naszyjnik. Kazała przynieść klejnoty oszacowane przez Magusa na sto pięćdziesiąt tysięcy. Nawykli oglądać rodzinne diamenty, stary Mathias i Solonet zbadali garnitur i okrzyknęli się z zachwytem.

– Nie traci pan ani grosza z posagu, panie hrabio – rzekł Solonet do Pawła, przyprowadzając go o rumieniec.

– Tak – rzekł Mathias – te klejnoty mogą opłacić pierwszą ratę nabytych posiadłości.

– I koszta kontraktu – rzekł Solonet.

Nienawiść, jak miłość, karmi się najdrobniejszymi rzeczami, wszystko jej jest dobre. Tak jak osoba kochana nie robi nic złego, tak samo osoba znienawidzona nie robi nic dobrego. Pani Evangelista widziała komedię w skrupułach, do jakich rozumiała wstydlivość skłoniła Pawła, który chciał jej zostawić diamenty i który nie wiedział, gdzie podziąć puzdra z klej-

---

<sup>76</sup> *Summum ius summa iniuria* (łac.) – najwyższe prawo, najwyższa krzywda, tzn. że zbyt formalnie ujęty wymiar sprawiedliwości bywa niekiedy najcięższą krzywdą.

notami; byłby je rad wyrzucić za okno. Widząc jego zakłopotanie, pani Evangelista nagliła go wzrokiem, zdając się mówić: „Niech je pan zabiera”.

– Droga Natalio – rzekł Paweł do narzeczonej – schowaj sama te klejnoty, są twoje, daję ci je.

Natalia schowała je do szuflady w konsolce. W tej chwili turkot powozów był bardzo głośny, a szmer rozmów w sąsiednich salonach zmusił Natalię i jej matkę do pokazania się. Salony były już pełne, bal się rozpoczął.

– Skorzystaj pan z miodowego miesiąca, aby sprzedać diamenty – rzekł stary rejent do Pawła na odchodnym.

Oczekując tańców, goście szeptali sobie do ucha o tym małżeństwie, ten i ów wyrażał wątpliwości co do przyszłości młodej pary.

– Już skończone? – spytał panią Evangelista jeden z miejscowych luminarzy.

– Mieliśmy tyle aktów do wysłuchania, żeśmy się spóźnili; ale można nam darować – odparła.

– Co do mnie, nic nie słyszałam – rzekła Natalia, przyjmując ramię Pawła, aby otworzyć bal.

– Oboje młodzi lubią wydawać pieniądze, a z pewnością nie matka ich powstrzyma – rzekła jakaś stara dama.

– Ale podobno utworzyli majorat z pięćdziesięcioma tysiącami rocznej renty.

– Ba!

– Widzę, że stary Mathias maczał w tym pałce – rzekł jakiś sadownik. – Jeżeli tak, to z pewnością dlatego, że poczwierć chciał ocalić przyszłość rodziny.

– Natalia jest za ładna, aby mogła nie być straszliwą kokietką. Skoro będzie miała za sobą dwa lata małżeństwa – mówiła młoda kobieta – nie ręczyłabym za szczęście Pawła.

– Czyżby k w i a t m ł o d z i e ż y miał zwiędnąć? – odparł pan Solonet.

– Mimo że się owinął o tę tyczkę – rzekła jakaś panna.

– Nie wydaje ci się, że pani Evangelista jest jakaś kwaśna?

– Ba, moja droga, ktoś mi mówił, że ona zachowała ledwie dwadzieścia pięć tysięcy renty, cóż to jest dla niej?

– Nędza, oczywiście.

– Tak, ogołociła się dla córki. Pan de Manerville podobno tak dusił...

– Szalenie! – odparł Solonet. – Ale będzie parem Francji. Maulincourowie, widam de Pamiers będą go popierać, należy do Dzielnicy Saint-Germain.

– Och, bywa tam tylko, to i wszystko – rzekła dama, która miała ochotę złowić go na zięcia. – Panna Evangelista, córka handlarza, nie otworzy mu z pewnością królewskich pokojów.

– Jest stryjeczną wnuczką księcia de Casa Real.

– Po kądzieli!

Wszystkie te gadania wyczerpały się rychło. Gracze siedli do kart, panny i kawalerowie zaczęli tańczyć, podano kolację. Zgiełk uciszył się nad ranem, gdy pierwsze brzaski dnia wdarły się przez okno. Pożegnawszy Pawła, który odszedł ostatni, pani Evangelista udała się do córki, bo jej pokój zagarnął architekt dla powiększenia terenu zabawy. Mimo iż Natalia i matka upadały ze zmęczenia, znalazłszy się same wymieniły kilka słów.

– Mamusku droga, co tobie?

– Mój aniele, dowiedziałam się dziś wieczór, jak daleko może iść czułość matki. Nie znasz się na interesach i nie wiesz, na jakie podejrzenia wystawiono moją uczciwość. Ale zdeptałam mą dumę; chodziło o twoje szczęście i o naszą reputację.

– Chcesz mówić o tych diamentach? On to oplakał, biedny chłopak. Nie chciał ich, ja je mam.

– Śpij, drogie dziecko. Pomówimy o interesach, skoro się obudzimy – rzekła z westchnieniem – bo mamy interesy z sobą, a teraz jest ktoś trzeci między nami.

– Ach, mamó. Paweł nie będzie nigdy przeszkodą do naszego szczęścia – rzekła Natalia, zasypiając.

– Biedne dziecko, nie wie, że ten człowiek ją zrujnował!

Pani Evangelista uczyła w duszy pierwsze drgnienia chciwości, jakiej pastwą stają się ludzie starsi. Pragnęła odbudować dla córki cały majątek zostawiony przez męża. Stało się to dla niej kwestią honoru. Miłość matczyzna uczyniła ją odtąd tak biegłą w rachunkach, jak była dotąd niedbała i marnotrawna. Myślała o tym, jak wyzyskać swoje kapitały, lokując ich część w rencie, która stała wówczas po osiemdziesiąt. Namiętność często odmienia w jednej chwili charakter: niedyskretny staje się dyplomata, tchórz staje się odważny. Nienawiść uczyniła tę rozrzutnicę skąpą. Majątek mógł posłużyć planom zemsty, jeszcze niewyraźnym i mętnym, które miały w niej dojrzeć. Zasnęła powiadając sobie: „Do jutra!” Mocą zjawiska nie zbadanego, ale dobrze znanego myślicielom, duch jej miał w czasie snu opracować jej myśli, rozjaśnić je, uporządkować, poddać jej sposób opanowania Pawła i dostarczyć planu, który wprowadziła w życie zaraz nazajutrz.

O ile zgiełk zabawy spłoszył zatroskane myśli, które chwilami oblegały Pawła, o tyle, kiedy się znalazł sam w łóżku, znowu zaczęły go dręczyć. „Zdaje się – powiedział sobie – że gdyby nie poczciwy Mathias, mamusia byłaby mnie wykierowała. Czy to podobna? Co za interes pchał ją do tego, aby mnie oszukać? Czyż nie mamy złączyć naszych majątków i żyć razem? Zresztą po co się tym kłopotać? Za kilka dni Natalia będzie moją żoną, interesy nasze są ściśle określone, nic nie może nas rozłączyć. Kości rzucone! Bądź co bądź, będę się miał na baczności. Gdyby Mathias miał słuszność, ostatecznie, nie biorę ślubu z teściową”.

W tej drugiej bitwie przyszłość Pawła bez jego wiedzy odmieniła fizjonomię. Z dwóch istot, z którymi się żenił, sprytniejsza stała się jego zaciętym wrogiem i obmyślała, jak oddzielić jego interesy od swoich. Niezdolny zrozumieć w teściowej charakteru Kreolki, Paweł tym bardziej nie umiał przejrzeć jej sprytu. Kreolka to stworzenie zupełnie odrębne; z Europejki ma inteligencję, z tropików nielogiczny impet namiętności, z Indii apatyczną beztroskę, z jaką czyni lub znosi zarówno dobre, jak złe; natura pełna wdzięku zresztą, ale niebezpieczna, jak niebezpieczne jest dziecko, o ile nad nim nie czuwać. Jak dziecko, kobieta taka chce mieć wszystko natychmiast; jak dziecko podpaliliby dom, aby ugotować jajko. W chwilach apatii nie myśli o niczym; myśli o wszystkim, gdy wchodzi w grę namiętność. Ma cos z perfidii Murzynów, którzy otaczają ją od kolebki, ale jest równie naiwna jak oni. Jak oni i jak dzieci, umie ch c i e ć z rosnącą siłą pragnienia, umie wysiadywać swoją myśl, aby dojrzała. Skojarzenie przymiotów i wad, które temperament hiszpański spotęgował jeszcze w pani Evangelista, a które grzeczność francuska pociągnęła swym polem. Ten charakter uspijony w szczęściu przez szesnaście lat, zajęty potem błahostkami świata, pod wpływem pierwszej nienawiści rozumiał własną siłę, obudził się jak pożar, wybuchnął w chwili, gdy kobieta traci swoje najdroższe przywiązania i żąda nowego elementu, aby podsyć płomień, który ją pożera. Natalia miała jeszcze być trzy dni pod wpływem matki! Zwyciężona pani Evangelista miała tedy przed sobą cały dzień, ów ostatni dzień, który córka spędza z matką. Słowem, Kreolka mogła oddziaływać na życie tych dwojga istot, przeznaczonych, aby iść razem przez chaszcze i drogi paryskiego świata, gdyż Natalia ślepo wierzyła w matkę. Jakie iż doniosłości miała nabyć każda rada w duszy tak nastrojonej! Całą przyszłość mogło wytyczyć jedno zdanie. Żaden kodeks, żadna instytucja nie zdołają zapobiec zbrodni moralnej, która zabija słowem. W tym ułomność sprawiedliwości ludzkiej; w tym różnica między obyczajami wielkiego świata a obyczajami ludu: jeden jest szczery, drugi obłudny; w jednym włada nóż, w drugim jad mowy lub myśli; jednemu śmierć, drugiemu bezkarność!

Nazajutrz koło południa pani Evangelista znalazła się, na wpół leżąc, na skraju łóżka Natalii. Całe rano spędziły na pieszczotach i na szczebiocie, na szczęśliwych wspomnieniach wspólnego życia, w czasie którego żaden rozdźwięk nie zmącił harmonii ich serc, zgodności myśli ani wspólnych uciech.

– Biedna mała – mówiła matka, płacząc szczerymi łzami – jakże roi nie być wzruszoną na myśl, że ty, której każde życzenie spełniam, masz od jutra należeć do człowieka, którego będzie ci trzeba słuchać.

– Och, mamusiu, słuchać Pawła! – rzekła Natalia, czyniąc mimowolny ruch głowy, który wyrażał pełne wdzięku powątpiewanie. – Śmiejesz się? – rzekła. – Czyż ojciec nie spełniał zawsze twoich kaprysów? Czemu? Bo cię kochał. Czyżby on mnie nie miał kochać?

– Owszem, Paweł cię kocha; ale jeśli mężatka nie ma się na bacności, nic nie ulatnia się równie szybko jak miłość małżeńska. Wpływ kobiety na męża zależy od początków; trzeba ci dobrej rady.

– Ależ ty będziesz z nami...

– Może, drogie dziecko! Wczoraj na balu wiele myślałam o niebezpieczeństwie naszego współżycia. Gdyby moja obecność miała ci szkodzić, gdyby postęпки, którymi winnaś pozwoli utrwać swą władzę, Paweł przypisywał memu wpływowi, czyż twoje małżeństwo nie stałoby się piekłem? Za pierwszym skrzywieniem, na które pozwoliby sobie twój mąż, czyż ja, przy mojej dumie, nie opuściłabym domu? Jeśli mam go opuścić kiedyś, wolę do niego nie wchodzić. Nie przebaczyłabym twemu mężowi rozdźwięku, jaki wniósłby między nas. Przeciwnie, kiedy będziesz już panią, kiedy twój mąż będzie dla ciebie tym, czym twój ojciec był dla mnie, nieszczęście to nie będzie już groziło. Choćby ta polityka miała być ciężka dla twojego młodego i kłiwego serduszka, szczęście twoje wymaga, abyś była u siebie absolutną panią.

– Czemu, droga mamo, powiadasz tedy, że ja powinnam go słuchać?

– Drogie dziecko, jeśli kobieta chce panować, musi zawsze udawać, że robi to, czego chce mąż. Gdybyś tego nie wiedziała, mogłabyś niewczesnym buntem zniszczyć swoją przyszłość. Paweł jest słaby; mógłby się dać opanować przyjacielowi, może nawet kobiecie... Uprzedź to, stając się panią w domu. Czyż nie lepiej, abyś nim rządziła ty niż kto inny?

– Zapewne – rzekła Natalia. – Ja mogę tylko chcieć jego szczęścia.

– Mnie, drogie dziecko, wolno myśleć wyłącznie o twoim i chcieć, abyś w sprawie tak poważnej nie znalazła się bez busoli wśród raf, które napotkasz.

– Ależ, mamusiu, czyż nie jesteśmy dość silne, aby zostać razem przy nim, nie obawiając się owego skrzywienia, którego ty się lękasz? Paweł cię kocha, mamo.

– Och! och! raczej się mnie boi, niż kocha. Obserwuj go dobrze dziś, kiedy mu powiem, że was puszczę do Paryża samych: choćby najbardziej udawał zmartwienie, zobaczysz, jak będzie w duchu uszczęśliwiony.

– Czemu?

– Czemu? Drogie dziecko! Powiem to jemu samemu i przy tobie.

– Ale jeśli wyjdę za niego jedynie pod tym warunkiem, że się z tobą nie rozstanę? – rzekła Natalia.

– Nasze rozstanie jest konieczne – odparła pani Evangelista – ponieważ wiele względów zmienia moją przyszłość. Jestem zrujnowana. Ciebie czeka w Paryżu świetna egzystencja, ja nie mogłabym tam przyzwoicie żyć, nie zjadając tej odrobiny, która mi została; mieszkając w Lanstrac będę dbała o wasze interesy i odbuduję sobie majątek oszczędnością.

– Ty, oszczędność? – wykrzyknęła drwiąco Natalia. – Nie róbże się od razu babunią. Jak to, ty miałabyś mnie opuścić z takich pobudek? Droga mamo, Paweł może ci się wydawać głupiutki, ale nie jest ani odrobinę interesowny.

– Och – odparła pani Evangelista głosem, który mówił wiele i który zaniepokoił Natalię – dyskusja nad kontraktem uczyniła mnie bardzo nieufną i budzi we mnie pewne wątpliwości. Ale bądź bez obawy, dziecko – rzekła, biorąc córkę za szyję i przyciągając ją do siebie – nie zostawię cię długo samej. Kiedy mój powrót nie będzie wam już niczym groził, kiedy Paweł wyrobi sobie o mnie opinię, wrócimy do naszego kochanego życia, do naszych gawęd...

– Jak to, mamusiu, potrafiłabyś żyć bez swojej Naty?

– Tak, aniele, bo będę żyła dla ciebie. Czy moje matczyne serce nie będzie wciąż się czuło szczęśliwe myślą, że przyczyniam się, jak jest moją powinnością, do waszego majątku?

– Ależ, mamusiu, więc ja mam zostać sama z Pawłem tak od razu? Co się ze mną stanie? Jak się to odbędzie? Co ja mam robić, czego nie mam robić?

– Biedna mała, czy ty myślisz, że ja cię tak opuszczę w pierwszej bitwie? Będziemy do siebie pisywały trzy razy na tydzień jak para kochanków i będziemy wciąż blisko, bliźniutko. Nie zdarzy ci się nic, o czym bym nie wiedziała, uchronię cię od wszelkiego nieszczęścia. A przy tym byłoby śmieszne, gdybym nie przyjechała was odwiedzić, to byłoby z ujmą dla twojego męża, spędzę zawsze u was w Paryżu jakiś miesiąc albo dwa.

– Sama, już sama, z nim! – rzekła Natalia ze zgrozą, przerywając matce.

– Czyż nie trzeba ci być jego żoną?

– Tak, wiem, ale przynajmniej powiedz mi, jak mam postępować! Ty, która robiłaś wszystko, co chciałaś, z moim ojcem, ty znasz się na tym, będę ci ślepo posłuszna.

Pani Evangelista ucałowała córkę w czoło; oczekiwała tej prośby.

– Moje dziecko, rady moje muszą dostrajać się do okoliczności. Mężczyźni nie są między sobą podobni. Między lwem a żabą mniejsza jest różnica niż między jednym a drugim mężczyzną. Czyż ja wiem dziś, co ci się zdarzy jutro? Mogę ci dać teraz jedynie ogólne wskazówki.

– Droga mammo, powiedz prędko wszystko, co wiesz!

– Przede wszystkim, dziecko, przyczyną zguby mężatek, które pragną zachować serce mężów... a – rzekła po pauzie – zachować ich serce lub panować nad nimi, to jedno i to samo... otóż, główna przyczyna nieporozumień tkwi w stałym współżyciu, które nie istniało niegdyś, a które rozpanoszyło się w tym kraju wraz z manią rodzinną. Od przewrotu, który się spełnił we Francji, mieszczańskie obyczaje wtargnęły do arystokratycznych domów. To nieszczęście sprawił jeden z ich pisarzy, Rousseau, bezecny heretyk, antyspołeczny mędrak, który, nie wiem, w jaki sposób, umiał usprawiedliwić największe nedorzecznosci. Utrzymywał, że wszystkie kobiety mają te same prawa i właściwości, że w życiu powinno się być posłusznym naturze, jak gdyby żona hiszpańskiego granda, jak gdybyśmy ty albo ja miały coś wspólnego z kobietą z ludu! Od tego czasu kobiety z towarzystwa zaczęły karmić dzieci, wychowywać córki i siedzieć w domu. Przez to życie skomplikowało się w taki sposób, że szczęście stało się prawie niemożliwe, bo zgodność charakterów, dzięki której my żyjemy z sobą jak dwie przyjaciółki, jest wyjątkiem. Ciągła styczność jest nie mniej niebezpieczna między dziećmi i rodzicami co między małżeństwem. Mało jest dusz, których miłość oparłaby się wszechobecności, ten cud przynależy tylko Bogu. Wzniesź więc między sobą a Pawłem zapory światowe, chodź na bale, do Opery, wyjeżdżaj na spacer rano, jadaj obiady poza domem, bywaj dużo, miej dla niego mało czasu. Dzięki tej metodzie nie stracisz ceny. Kiedy, aby iść razem do końca życia, dwoje istot ma tylko miłość, szybko wyczerpią się jej zasoby: obojętność, przesył, wstręt zjawia się niebawem. Co robić, gdy miłość zwiędnie? Wiedz, że miejsce wygasłego uczucia zastępuje jedynie obojętność lub wzgarda. Bądź tedy dla męża zawsze młoda i wciąż nowa. Że on cię znudzi, to może się zdarzyć, ale ty nie nudź go nigdy. Umieć się nudzić w porę – to tajemnica wszelkiej władzy. Nie zdołasz urozmaicić szczęścia ani troską o majątek, ani gospodarstwem; gdybyś tedy nie wciągnęła męża w swoje życie światowe, gdybyś go nie zabawiała, doszlibyście do najokropniejszej martwoty. Tu zaczyna się *spleen* miłości. Ale kocha się zawsze osobę, która nas bawi albo która nam daje szczęście. Dawać szczęście lub brać je to dwa systemy kobiece rozdzielone przepaścią.

– Droga mammo, słucham cię, ale nie rozumiem.

– Jeśli pokochasz Pawła do tego stopnia, aby robić wszystko, co on zechce, jeśli naprawdę da ci szczęście, wszystko przepadło, nie będziesz panią i najlepsze rady nie zdadzą się na nic.

– To już jaśniejsze, ale dowiaduję się reguły, nie umiem jej stosować – rzekła Natalia, śmiejąc się. – Mam teorię, praktyka przyjdzie z czasem.

– Moja biedna Natus – odparła matka, która uroniła szczerą łzę myśląc o małżeństwie córki i przycisnęła Natalię do serca – zdarzą ci się rzeczy, które utrwala twoją pamięć. Słowem – dodała po pauzie, w której objęły się serdecznym uściskiem – wiedz dobrze, moja Nato, że my wszystkie jako kobiety mamy swój los, jak mężczyźni swoje powołanie. Tak więc dana kobieta stworzona jest, aby być elegantką, uroczą panią domu, jak mężczyzna jest z urodzenia generałem lub poetą. Twoim powołaniem jest podobać się. Twoje wychowanie zresztą urobiło cię dla świata. Dziś kobiety powinno się wychowywać do salonu, jak niegdyś wychowywało się je do gineceum. Nie jesteś stworzona ani na matkę rodziny, ani na intendenta. Jeśli będziesz miała dzieci, mam nadzieję, że nie tak, aby ci zepsuły figurę nazajutrz po zamążpójściu; nie ma nic bardziej mieszczańskiego niż zająć w ciążę w miesiąc po ślubie, a zresztą to dowodzi, że mąż żony nie kocha prawdziwie. Będziesz miała tedy dzieci w parę lat po ślubie; więc cóż! guwernantki i preceptorzy wychowają je. Ty bądź wielką damą, która reprezentuje w domu zbytek i przyjemność, ale okazuj swą wyższość jedynie w rzeczach, które głaszczą próżność mężczyzn, a ukrywaj tę, której mogłabyś nabyć w poważnych sprawach.

– Ależ ty mnie przerażasz, mamo! – wykrzyknęła Natalia. – Jak ja zdołam sobie przypomnieć te nauki? W jaki sposób ja, taka roztrzepana, taka dziecinna, zdołam obliczać, zastanawiać się...

– Ależ, drogie maleństwo, ja ci powiadam jedynie to, czego byś się nauczyła później, ale opłacając swoje doświadczenie okrutnymi błędami, omyłkami, które przyprawiłyby cię o zgryzoty i spaczyłyby twoje życie.

– Ale od czego zacząć? – rzekła naiwnie Natalia.

– Instynkt cię poprowadzi – odparła matka. – W tej chwili Paweł o wiele bardziej cię popęda, niż kocha; miłość zrodzona z pragnienia jest nadzieją, a ta, która następuje po zaspokojeniu, jest rzeczywistością. Tu, dziecko, spoczywać będzie cała twoja władza; w tym kwestia. Któża kobieta nie jest kochana w wilię? Bądź kochana nazajutrz, a będziesz nią całe życie. Paweł to człowiek słaby, który łatwo nabiera przyzwyczajajeń; jeśli ci ustąpi pierwszy raz, będzie ustępował zawsze. Kobieta gorąco upragniona może wszystkiego żądać: nie popełniaj szaleństwa wielu kobiet, które, nie znając wagi pierwszych godzin swego panowania, zużywają je na głupstwa. Władzą, jaką da ci pierwsza namiętność męża, posługuj się na to, aby go przyzwyczaić do posłuchu. Ale aby nauczyć go ulegać, wybierz rzecz najnierozsądniejszą: zmierzysz granice swej potęgi rozmiarem ustępstwa. Co za zasługę będziesz miała, skłaniając go do rzeczy rozsądnej? Czy to tobie byłby posłuszny? Trzeba zawsze chwytać byka za rogi, powiada kastylskie przysłowie: skoro raz ujrzał bezcelowość swojej obrony i swojej siły, jest pokonany. Skoro mąż zrobi dla ciebie głupstwo, będziesz nad nim panowała.

– Mój Boże, po cóż...

– Ponieważ, dziecko, małżeństwo trwa całe życie, a mąż nie jest człowiekiem takim jak inni. Toteż nie rób nigdy tego szaleństwa, aby się w czymkolwiek zdradzić. Bądź zawsze wstrzemięźliwa w mowie i uczynkach, możesz nawet śmiało posunąć się do chłodu; chłód można dawkować wedle upodobania, podczas gdy nie ma nic ponad ostateczny wyraz miłości. Mąż, moja droga, to jedyny mężczyzna, z którym kobieta nie może sobie nic pozwolić. Nie ma zresztą nic łatwiejszego niż zachować swą godność. Te słowa: „Twoja żona nie powinna, twoja żona nie może zrobić ani powiedzieć tego a tego”, są wielkim talizmanem. Całe życie kobiety mieści się w owym: „Nie chcę! – Nie mogę!” *N i e m o g ę*, jest to nieprzeparty argument słabości, która się kładzie na ziemi, płacze i – zwycięża. *N i e c h c ę* jest ostatnim argumentem. Siła kobieca objawia się wówczas cała: toteż rozwijaj ją jedynie w ważnych okolicznościach. Powodzenie spoczywa w sposobie, w jaki kobieta posługuje się tymi dwoma słowami, jak je komentuje i odmienia. Ale istnieje sposób lepszy jeszcze niż te dwa, które pociągają za sobą dyskusję. Ja, moje dziecko, panowałam wiarą. Jeśli twój mąż będzie w ciebie wierzył, możesz wszystko. Aby go natchnąć tą religią, trzeba wmówić w niego, że ty go rozumiesz. I nie myśl, aby to była rzecz łatwa: kobieta może zawsze dowieść mężczyźnie, że

go kocha, ale trudniej jest wydobyć zeń przyznanie, że go rozumie. Winnam ci powiedzieć wszystko, moje dziecko, bo przed tobą jest życie i jego komplikacje. Życie, w którym dwie wole powinny się z sobą zgadzać, zacznij się dla ciebie jutro! Czy uprzytamniasz sobie tę trudność? Najlepszy sposób, aby pogodzić wasze dwie wole, to urządzić się tak, by istniała w domu tylko jedna wola, twoja. Wiele osób utrzymuje, że kobieta gotuje sobie nieszczęście, zamieniając niejako role; ale, moje dziecko, w ten sposób kobieta może kierować wypadkami zamiast się im poddawać, a to jedno obala wszystkie zarzuty.

Natalia ucałowała ręce matki, wilżąc je łzami wdzięczności. Jak kobiety, w których namiętność fizyczna nie podnosi temperatury moralnej, zrozumiała doniosłość tej polityki kobiecej; ale, podobna zepsutym dzieciom, które nie dadzą się pokonać silniejszym racjom i które trzymają się uparcie swego pragnienia, wróciła do ataku z argumentacją, jaką dzieciom podsuwa ich prosta logika.

– Droga mamó, przed kilku dniami tyle mówiłaś o karierze Pawła, którą ty jedna możesz pokierować; czemu odmieniasz zdanie, zostawiając nas samym sobie?

– Nie znałam ani rozmiaru swoich zobowiązań, ani cyfry swoich długów – odparła matka, która nie chciała zdradzić swego sekretu. – Zresztą za rok lub dwa odpowiem ci na wszystko. Paweł przyjdzie, ubierajmy się! Bądź przymilna, jak byłaś... pamiętasz? Owego wieczora, kiedyśmy dyskutowali ów nieszczęsny kontrakt; dziś chodzi o to, aby ocalić szczątek naszej fortuny i dać ci coś, do czego jestem zabobonnie przywiązana.

– Co takiego?

– „Discreto”.

Paweł przyszedł koło czwartej. Mimo iż witając się z teściową starał się nadać fizjonomii miły wyraz, pani Evangelista dostrzegła chmury, które nagromadziły się pod wpływem nocnych myśli oraz refleksji porannych.

„Mathias nagadał mu!” – pomyślała, obiecując sobie zniweczyć dzieło starego rejenta.

– Drogie dziecko – rzekła – zostawiłeś swoje diamenty w konsolce, a przyznam ci się, że nie chciałabym już widzieć rzeczy, które omal nie nagromadziły chmur między nami. Zresztą, jak to zaznaczył pan Mathias, trzeba je sprzedać, aby pokryć pierwszą ratę posiadłości, które nabyłeś.

– Brylanty nie są już moje, dałem je Natalii, abyś, mamó, widząc je na jej szyi, nie pamiętała przykrości.

Pani Evangelista ujęła rękę Pawła i uściśnęła ją serdecznie, wstrzymując łzę wzruszenia.

– Słuchajcie, dzieci – rzekła, spoglądając na Natalię i Pawła – jeżeli tak, to zaproponuję wam jeden interes. Jestem zmuszona sprzedać swoje perły i kolczyki. Tak, Pawle, nie chcę zmienić ani grosza majątku na dożywocie, nie zapominam, co wam jestem winna. Otóż, przyznaję się do mej słabości, sprzedać „Discreto” wydaje mi się klęską. Sprzedać diament, który ma przydomek Filipa II i który nosiła jego królewska ręka, kamień historyczny, którym przez dziesięć lat książę Alba zdobył rękę szpady – nie, to niemożliwe. Magus oszacował kolczyki i naszyjnik z górą na sto tysięcy, zamieńmy je na klejnoty, które ci oddaję, aby dopełnić zobowiązań wobec córki; zyskacie na tym, ale co mi to szkodzi, nie jestem interesowna. Zatem, Pawle, ty swoimi oszczędnościami zrobisz sobie tę przyjemność, aby złożyć Natalii diadem, diament po diamencie. Zamiast mleć owe fantazyjne stroiki, owe cacka, które są w modzie jedynie w małym świecie, twoja żona posiadzie wspaniałe diamenty, które jej będą prawdziwą rozkoszą. Skoro trzeba sprzedawać, czyż nie lepiej pozbyć się rupieci, a zachować w rodzinie te piękne kamienie?

– A ty, mamó? – rzekł Paweł.

– Ja – odrzekła pani Evangelista – ja nie potrzebuję już niczego. Tak, ja będę waszą gospodynią w Lanstrac. Czyżby to nie było szaleństwo jechać do Paryża w chwili, gdy mam tu likwidować resztki majątku? Robię się skąpa – dla wnuków.



– Droga mammo – rzekł Paweł wzruszony – czy ja mogę przyjąć tę ofiarę, której nie mam sposobu odwzajemnić?

– Mój Boże, czyż wy nie jesteście dla mnie czymś najdroższym na ziemi!? Czy sądzicie, że nie będzie szczęściem móc sobie powiedzieć przy kominku: „Natalia jedzie dziś strojna na bal do księżnej de Berry. Przeglądając się w swoim diamencie na szyi, z moimi kolczykami, czuje owo drgnienie miłości własnej, które tak przyczynia się do szczęścia kobiety, które sprawia, że jest wesoła, uprzejma!” Nic bardziej nie zasmuca kobiety jak to, co rani jej próżność. Nie widziałam jeszcze kobiety źle ubranej, aby była miła i w dobrym humorze. No! Bądź sprawiedliwy, Pawle! O wiele więcej odczuwamy szczęście przez kochaną istotę niż przez samych siebie.

„Mój Boże, co on sobie uroił, ten Mathias” – myślał Paweł. – Mamo – rzekł półgłosem – zgadzam się.

– A ja jestem zawstydzona – rzekła Natalia.

W tej chwili zjawił się Solonet, przynosząc klientce dobrą nowinę: wśród znajomych sobie spekulantów znalazł dwóch przedsiębiorców mających chrapkę na pałac, gdzie dzięki rozległym ogrodom można było budować.

– Dają dwieście pięćdziesiąt tysięcy – rzekł – ale jeśli się pani zgadza, mógłbym ich doprowadzić do trzystu tysięcy. Ma pani dwa morgi ogrodu.

– Mąż zapłacił za wszystko dwieście tysięcy, toteż zgadzam się; ale zastrzeże pan dla mnie meble, lustra...

– Ha, ha – rzekł, śmiejąc się Solonet – pani rozumie się na interesach.

– Niestety, muszę – rzekła, wzdychając.

– Słyszałem, że wiele osób wybiera się na mszę północną – rzekł Solonet, spostrzegając, że jest zbyt cichy, i żegnając się.

Pani Evangelista odprowadziła go do ostatnich drzwi i szepnęła mu do ucha:

– Mamy teraz za pięćdziesiąt tysięcy walorów; jeżeli uzyskam dla siebie dwieście tysięcy franków z ceny domu, mogę zgromadzić czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków kapitału. Chcę je ulokować najkorzystniej, liczę na pana w tej mierze. Zostanę prawdopodobnie w Lanstrac.

Młody rejent ucałował rękę klientki z gestem wdzięczności; akcent bowiem wdowy obudził w Solonecie wiarę, że ten związek natchniony interesem rozciągnie się nieco dalej.

– Może pani liczyć na mnie – rzekł – znajdę pani lokatę w towarach, na których pani nie ryzykuje nic, a może pani osiągnąć znaczne zyski...

– Do jutra – rzekła – bo pan jest naszym świadkiem wraz z margrabią de Gyas.

– Czemu, droga mammo – rzekł Paweł – nie chcesz jechać z nami do Paryża? Natalia dąsa się na mnie, jak gdybym ja był przyczyną...

– Myślałam nad tym długo, moje dzieci; krępowałabym was. Czulibyście się w obowiązku wciągać mnie do wszystkiego, co byście robili, a młodzi ludzie mają własne pojęcia, które ja mogłabym mimo woli zamącić. Jedźcie sami. Nie chcę rozciągać na hrabinę de Manerville słodkiej władzy, jaką miałam nad Natalią; trzeba ci ją zostawić całą. Widzisz, Pawle, istnieją między mną a Natą przyzwyczajenia, które trzeba skruszyć. Mój wpływ musi ustąpić twemu. Chcę, abyś mnie kochał, i wierz mi, że ja tu więcej biorę twoją stronę, niż sobie wyobrażasz. Młodzi mężowie są, prędzej czy później, zazdrośni o przywiązanie, jakie córka ma dla matki. Kiedy się już dobrze zżyjecie, kiedy miłość stopi wasze dusze w Jedno, wówczas, drogie dziecko, widząc mnie w swoim domu, nie będziesz się lękał niepożądanego wpływu. Znam świat i ludzi, widziałam wiele małżeństw zburzonych ślepą miłością matek, które stawały się równie nieznośne dla córek, co dla zięciów. Przywiązanie starych ludzi jest często dokuczliwe. Może nie umiałabym się dość trzymać na uboczu. Mam tę słabość, że jeszcze uważam się za ładną, są pochlebcy, którzy chcą we mnie wmówić, że jeszcze jestem kobietą, mogłabym was drażnić swoimi pretensjami... Pozwólcie mi uczynić jeszcze jedno poświęcenie dla waszego szczęścia: dałam wam swój majątek, chcę wam jeszcze ofiarować swoje ostatnie próż-

ności kobiece. Twój Mathias jest stary, nie mógłby czuwać nad twym majątkiem, ja zostanę twoim rządcą, stworzę sobie zajęcia, jakie, wcześniej czy później, przystały starym ludziom; potem, kiedy będzie trzeba, przyjadę do Paryża wspierać cię w twoich ambitnych projektach. No, Pawle, bądź szczerzy, moja propozycja jest ci na rękę, nieprawdaż?

Paweł za nic nie chciał przyznać, ale był bardzo rad, że zyskuje wolność. Rozmowa ta, którą pani Evangelista dalej wiodła w tym tonie, rozviała w jednej chwili podejrzenia, jakie w nim obudził stary rejent co do teściowej.

„Mama miała słuszność – rzekła sobie Natalia, która śledziła wyraz twarzy Pawła. – Jest bardzo rad, że się rozstaje z mamą, ale czemu?”

Czyż to c z e m u nie było pierwszym znakiem zapytania, jaki stawia nieufność, i czyż nie przydawało ono powagi naukom matczynym?

Są charaktery, które, na wiarę jednego dowodu, wierzą w przyjaźń. U takich ludzi wiatr północny spędza równie szybko chmury, jak wiatr zachodni je sprowadza; widzą jedynie skutki, nie sięgając do przyczyn. Paweł należał do owych natur z gruntu ufnych, bez złych uczuć, ale też bez zdolności przewidywania. Słabość jego wynikała bardziej z jego dobroci, z jego wiary w dobroć niż z niemocy duchowej.

Natalia była zamyślona i smutna, bo nie umiała się obejść bez matki. Paweł, z zarozumiałością, jaką daje miłość, śmiał się z melancholii przyszłej żony, powiadając sobie, że słodczye małżeństwa i Paryż rozproszą to. Pani Evangelista widziała z przyjemnością zaufanie Pawła, bo pierwszym warunkiem zemsty jest obłuda. Nienawiść jawna jest bezsilna. Kreolka uczyniła dwa wielkie kroki. Córka była już posiadaczką pięknego garnituru diamentów, który kosztował Pawła dwieście tysięcy i który Paweł z pewnością miał uzupełnić. Następnie, zostawiła dwoje dzieciaków samym sobie, bez innego doradcy poza ich nierozsądną miłością. Przygotowała w ten sposób swoją zemstę bez wiedzy córki, która wcześniej czy później stanie się jej współniczką. Czy Natalia pokocha Pawła? W tym tkwiła kwestia, której obrót mógł zmienić projekty pani Evangelista: zbyt szczerze kochała córkę, aby nie miała uszanować jej szczęścia. Przyszłość Pawła zależała tedy jeszcze od niego. Gdyby potrafił obudzić miłość, byłby ocalony.

Wreszcie nazajutrz o północy, po wieczorze spędzonym w rodzinie z czterema świadkami, których pani Evangelista uraczyła owym długim obiadem następującym po urzędowym akcie, młoda para i przyjaciele udali się na mszę przy pochodniach, na której była setka ciekawych. Małżeństwo święcone w nocy budzi zawsze w duszach posępne przeczucia; światło jest symbolem życia i przyjemności, którego wróżb w nocy brakuje. Spytajcie najbardziej nieustraszonej duszy, czemu jest zmrożona, czemu czarny chłód sklepień ją rozstraja? Czemu odgłos kroków ją przeraża? Czemu nasłuchuje krzyku sów i puchaczy? Mimo iż nie ma przyczyny drzeć, każdy drży; ciemność, obraz śmierci, zasmuca. Natalia, oderwana od matki, płakała. Dziewczynę obiegały wszystkie wątpliwości, które ogarniają na progu nowego życia, gdzie, mimo najpewniejszych rękojmi szczęścia, tysiąc paści czyha na kobietę. Zimno jej było, trzeba jej było podać płaszcz. Zachowanie pani Evangelista jak również młodej pary wzbudziło sporo uwag w wykwintnym tłumie, który skupił się koło ołtarza.

– Solonet mówił mi, że państwo młodzi jadą sami do Paryża, jutro z rana.

– Pani Evangelista miała zamieszkać z nimi.

– Paweł już się jej pozbył.

– Co za niezręczność – rzekła margrabina de Gyas. – Zamknąć drzwi matce żony, czyż to nie znaczy otwierać je kochankowi? Czy on nie wie, co to matka?

– Był bardzo twardy dla pani Evangelista, biedna kobieta sprzedała swój pałac i będzie mieszkała w Lanstrac.

– Natalia jest bardzo smutna.

– Czy chciałabyś nazajutrz po ślubie znaleźć się na gościńcu?

– To bardzo niewygodnie.

– Rada jestem, zem przyszła – rzekła jakaś dama. – To mnie przekonało o potrzebie otaczania małżeństwa całą pompą, całą tradycyjną uroczystością; tutaj wszystko wydaje mi się bardzo nagie, bardzo smutne. A jeżeli mam panu powiedzieć, co myślę – rzekła, nachylając się do sąsiada – ten ślub wydaje mi się nieprzyzwoity.

Pani Evangelista wzięła Natalię do swego powozu i zawiozła ją sama do Pawła.

– A więc, mam, stało się...

– Pomyśl, drogie dziecko, o moich ostatnich przestrojach, a będziesz szczęśliwa. Bądź zawsze jego żoną, nie kochanką.

Kiedy Natalia się położyła, matka odegrała małą komediijkę, rzucając się z płaczem w objęcia zięcia. Był to jedyny prowincjonalizm, na jaki sobie pozwoliła pani Evangelista, ale miała w tym swoje racje. Przez łzy i słowa, na pozór szalone i bezładne, uzyskała od Pawła ustępstwa, jakie czynią wszyscy mężowie. Nazajutrz wsadziła młodą parę do powozu i odprowadziła ich aż za prom, którym przebywa się Żyronde. Jednym słówkiem Natalia uspokoiła panią Evangelista, że o ile Paweł wygrał partię przy kontrakcie, o tyle teraz zaczyna się jej rewanż. Natalia uzyskała już od męża najdoskonalsze posłuszeństwo.

## KONKLUZJA

W pięć lat później, w listopadzie, pewnego popołudnia, hrabia Paweł de Manerville, zawinięty w płaszcz, z pochyloną głową, wszedł tajemniczo do reagenta Mathiasa w Bordeaux. Za stary, aby się zajmować interesami, pocziwiec sprzedał kancelarię i dożywał spokojnie dni w jednym ze swoich domów, gdzie osiadł. Pilna sprawa kazała mu wyjść z domu w chwili, gdy gość się zjawił; ale stara gospodyni, uprzedzona o przybyciu Pawła, zaprowadziła go do pokoju pani Mathias, zmarłej przed rokiem.

Strudzony długą podróżą. Paweł spał do wieczora. Wróciwszy starzec zaszedł spojrzeć na dawnego klienta i popatrzył na śpiącego, jak matka patrzy na dziecko. Joanna udała się za panem i stała przy łóżku, podpierając się pod boki.

– Rok temu, Joasiu, kiedy odbierałem w tym miejscu ostatnie tchnienie mojej drogiej żony, nie wiedziałem, że wrócę tu, aby zobaczyć pana hrabiego na wpół żywego.

– Biedny pan! Jęczy przez sen – rzekła Joasia.

Były reagent odpowiedział jedynie mruknięciem „Do paralusza!” – niewinnym zaklęciem, oznaczającym u niego zniechęcenie człowieka, który spotyka trudności nie do przewyciężenia.

„Bądź co bądź – powiedział sobie – ocaliłem mu Lanstrac, Auzac, Saint-Froult i pałac w Paryżu!”

Mathias policzył na palcach i wykrzyknął:

– Pięć lat, oto pięć lat w tym właśnie miesiącu, jak jego stara ciotka, dziś nieboszczka, godna pani de Maulincour, prosiła dla niego o rękę tego małego krokodyla przebranego za kobietę, która ostatecznie, jak się spodziewałem, zrujnowała go.

Przyjrząwszy się dobrą chwilę młodemu człowiekowi, pocziwy stary podagryk, wsparty na lasce, udał się wolnymi krokami na przechadzkę po ogródku. O dziewiątej dano wieczerzę, bo Mathias jadał wieczerzę. Starzec zdziwił się niepomąłu, widząc Pawła ze spokojnym czołem, z twarzą pogodną, mimo iż znacznie zmienioną. Jeżeli w trzydziestym trzecim roku hrabia de Manerville wyglądał na czterdziestkę, zmiana ta wyływała jedynie z przejść moralnych; fizycznie czuł się dobrze. Ujął ręce pocziwca, nie pozwalając mu wstać i uściśnął je serdecznie, mówiąc:

– Zaczny stary Mathias! I ty miałeś swoje zgryzoty!

– Moje były naturalne, panie hrabio, ale pańskie...

– Pomówimy o mnie za chwilę, przy wieczerzy.

– Gdybym nie miał jednego syna na urzędzie, a córki zamężnej – rzekł pocziwiec – niech mi pan wierzy, panie hrabio, znalazłby pan u starego Mathiasa coś więcej niż gościnność. W jaki sposób przybywa pan do Bordeaux, w chwili gdy na wszystkich murach przechodnie czytają ogłoszenia o zajęciu nieruchomości folwarków Grassol, Guadet, winnicy Belle-Rose i pańskiego pałacu? Nie mogę wyrazić zgryzoty, jakiej doświadczam widząc te obwieszczenia, ja, który czterdzieści lat pielęgnowałem owe posiadłości jak moje własne, ja, który jako trzeci dependent u godnego pana Chesneau, mego poprzednika, kupiłem je dla szanownej matki pańskiej i który własną ręką spisałem pięknym rondem akt na pergaminie! Ja, który mam akta prawne w kancelarii mego następcy, ja, który przeprowadzałem likwidacje! Ja, który widziałem pana ot tycim! – rzekł rejent, trzymając rękę o dwie stopy od ziemi. – Trzeba być rejentem przez lat czterdzieści jeden i pół, aby zrozumieć boleść, jaką mi sprawia widok mego nazwiska wydrukowanego pełnymi głoskami w obliczu Izraela na protokołach zajęcia i przepisaniu własności. Kiedy przechodzę ulicą i widzę ludzi czytających te okropne żółte afisze, wstyd mi tak, jak gdyby chodziło o moją własną ruinę i o mój honor. Są cymbały, którzy to sylabizują głośno, aby ściągnąć ciekawych, i silą się na najgłupsze komentarze. Czy każdy nie jest panem swego majątku? Pański ojciec schrupał dwie fortuny, nim odbudował tę, którą panu zostawił; nie byłby pan Manerville'em, gdyby pan nie szedł w jego „ślady. Zresztą zajęcie nieruchomości dało powód do całego rozdziału w kodeksie, jest przewidziane, znajduje się pan w wypadku dopuszczonym przez prawo. Gdybym nie był starcem o siwych włosach, który czeka jedynie trącenia łokciem, aby się zwalić do grobu, wytlukłbym tych, którzy przystają przed tą ohydą: „Na żądanie pani Natalii Evangelista, małżonki Pawła Franciszka Józefa hrabiego Manerville, będącej w separacji majątkowej, mocą wyroku trybunału pierwszej instancji departamentu Sekwany” etc.

– Tak – rzekł Paweł – a obecnie w separacji od stołu i łoża...

– A! – rzekł starzec.

– Och! wbrew woli Natalii – rzekł żywo hrabia – trzeba mi było ją oszukać, nie wie o moim wyjeździe.

– Pan wyjeżdża?

– Mam zapłacony bilet na pokładzie „Pięknej Amelii”, jadę do Kalkuty.

– Za dwa dni! – rzekł starzec. – Zatem nie zobaczymy się już, panie hrabio.

– Masz pan dopiero siedemdziesiąt trzy lata, drogi Mathias, i masz podagrę, prawdziwy dyplom długowieczności. Kiedy wrócę, zastanę cię na nogach. Pańska tęga głowa i pańskie serce będą jeszcze zdrowe, pomożesz mi odbudować zachwianą budowlę. Zrobię ładny majątek w siedem lat. Za powrotem będę miał dopiero czterdziestkę. Wszystko jest jeszcze możliwe w tym wieku.

– Pan – rzekł Mathias z mimowolnym gestem zdumienia – pan, panie hrabio, będzie się trudnił handlem, czy pan to mówi serio?

– Nie jestem już panem hrabią, drogi Mathias. Bilet mój opiewa na nazwisko Kamila, jedno z chrestnych imion mojej matki. Przy tym mam znajomości, które mi pozwolą zrobić majątek inaczej. Handel będzie ostatnią ucieczką. Wreszcie jadę z dość znaczną sumą, aby próbować szczęścia na wielką skalę.

– Gdzie jest ta suma?

– Przyjaciół ma mi ją wysłać.

Starzec upuścił widelec słysząc słowo przyjaciel, nie przez szyderstwo ani przez zdumienie; twarz jego wyrażała ból, jakiego doświadczal, widząc, że Paweł poddaje się złudzeniom zwodniczej nadziei; oko jego tonęło w otchłani, w której hrabia widział silny grunt pod nogami.

– Byłem blisko pięćdziesiąt lat rejentem, ale nie widziałem jeszcze, aby bankrutowi przyjaciel pożyczył pieniędzy!

– Nie znasz de Marsaya! W chwili gdy my tu rozmawiamy, jestem pewien, że on sprzedał rentę, jeśli trzeba, i że jutro dostanie pan czek na pięćdziesiąt tysięcy talarów.

– Życzę panu tego. Czyż ten przyjaciel nie mógł panu pomóc w interesach? Byłby pan żył spokojnie w Lanstrac z dochodów pani hrabiny przez sześć czy siedem lat.

– A kto zapłaciłby milion pięćset tysięcy długu, w których żona moja miała udział na pięćset pięćdziesiąt tysięcy?

– Jak to, w cztery lata zrobił pan milion czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków długu?

– Nic jaśniejszego, drogi Mathias. Czyż nie zostawiłem diamentów żonie? Czyż nie włożyłem stu pięćdziesięciu tysięcy franków, które nam przypadły ze sprzedaży pałacu teściowej, w urządzenie domu w Paryżu? Czy nie trzeba było tutaj spłacić naszych nabytków oraz kosztów połączonych z kontraktem ślubnym? Czyż wreszcie nie trzeba było sprzedać czterdziestu tysięcy funtów renty Natalii, aby spłacić Auzac i Saint-Froult? Sprzedaliśmy je po osiemdziesiąt siedem, zadłużyłem się tedy blisko na dwieście tysięcy od pierwszego miesiąca po ślubie. Zostało nam sześćdziesiąt siedem tysięcy funtów renty. Wydawaliśmy stale dwieście tysięcy franków ponadto. Dołącz do tych dziewięćset tysięcy nieco lichwiarskich procentów, a otrzymasz z łatwością milion.

– Do kata! – rzekł rejent. – A dalej?

– Ano cóż, najpierw chciałem dopełnić żonie garnitur rozpoczęty sznurem pereł spiętym na diament „Discreto”, rodzinny klejnot, i kolczykami matki. Zapłaciłem sto tysięcy franków za diadem z brylantów. Mamy już milion sto tysięcy. Dłużej jestem majątek mojej żony, który wynosi trzysta pięćdziesiąt tysięcy, jej posag.

– Ale – rzekł Mathias – gdyby pani hrabina była zastawiła swoje brylanty, a pan swoje dochody, miałby pan, wedle mego rachunku, trzysta tysięcy, którymi mógłby pan uspokoić swoich wierzycieli...

– Kiedy człowiek upadł, drogi Mathias, kiedy jego posiadłości są obciążone hipotekami, kiedy żona jego ma pierwsze miejsce przed wierzycielami ze swoją pretensją, kiedy wreszcie ten człowiek ma sto tysięcy franków weksli, które, mam tę nadzieję, znajdą pokrycie w cenie, jaką osiągną moje dobra, wówczas nic nie jest możliwe. A koszta wywłaszczenia?

– Straszne! – rzekł rejent.

– Szczęściem, zmieniono zajęcie w dobrowolną sprzedaż, aby przeciąć ogień.

– Sprzedać Belle-Rose – wykrzyknął Mathias – kiedy zbiór z roku 1825 jest w piwnicy!

– Nie ma rady!

– Belle-Rose warte jest sześćset tysięcy.

– Natalia je odkupi, poradziłem jej to.

– Szesnaście tysięcy franków w zwykły rok i możliwości takie jak rok 1825! Ja sam podbiję Belle-Rose do siedmiuset tysięcy, a każdy folwark do stu dwudziestu tysięcy.

– Tym lepiej, wypłacę się, jeżeli uda się sprzedać pałac w Bordeaux za dwieście tysięcy.

– Solonet da i więcej, ma na niego ochotę. Wycofał się z przeszło stoma tysiącami renty, zarobionymi na giełdzie. Sprzedał swoją kancelarię za trzysta tysięcy i żeni się z bogatą Mulatką. Bóg wie, na czym zrobiła pieniądze, ale powiadają, że ma miliony. Rejent grający na giełdzie, rejent żeniący się z Mulatką? Co za czasy! Obracał, powiadają, kapitałami pańskiej teściowej.

– Bardzo upiększyła Lanstrac i podniosła uprawę ziemi, płaciła mi regularnie czynsze.

– Nie byłbym jej nigdy posądzal, że potrafi się tak rządzić.

– Jest taka dobra i taka oddana, płaciła zawsze długi Natalii przez te trzy miesiące, które spędzała w Paryżu.

– Mogła sobie na to pozwolić, żyje z Lanstrac – rzekł Mathias. – Ona oszczędna! Co za cud! Kupiła świeżo, między Lanstrac a Grasol, dobra Grainrouge, tak że jeśli dociągnie aleję w Lanstrac aż do gościńca, mógłby pan zrobić półtorej mili swoim majątkiem. Zapłaciła sto

tysięcy franków gotówką za Grainrouge, które warte jest tysiąc talarów renty z zamkniętymi oczami.

– Zawsze jest piękna – rzekł Paweł. – Życie na wsi wybornie ją konserwuje. Nie pojedę się z nią pożegnać, upuściłaby sobie krwi dla mnie.

– Daremnie byś pan jechał, jest w Paryżu. Przybyła tam może właśnie w chwili, gdy pan odjeżdżał.

– Dowiedziała się z pewnością o sprzedaży mego majątku i przybyła mi na pomoc. Nie mogę się skarżyć na życie. Jestem kochany, to pewna, tak jak człowiek może być kochany na tej ziemi, przez dwie kobiety, które rywalizowały z sobą w oddaniu, były zazdrosne o siebie. Córka zarzucała matce, że mnie zanadto kocha, a matka wymawiała córce jej rozrzutność. To przywiązanie zgubiło mnie. Jak nie zadowalać najmniejszych kaprysów kobiety, którą się kocha? Jak się temu oprzeć! Ale też jak przyjąć jej poświęcenia? Tak, z pewnością, mogliśmy zlikwidować mój majątek i osiaść w Lanstrac, ale wolę raczej jechać do Indii i przywieźć stamtąd bogactwo niż wyrwać Natalię z życia, które lubi. Toteż to ja zaproponowałem separację majątkową. Kobiety to anioły, których nie trzeba nigdy mieszać do spraw materialnych.

Stary Mathias słuchał z wyrazem powątpiewania i zdziwienia.

– Nie macie dzieci? – spytał.

– Na szczęście – odparł Paweł.

– Ja inaczej pojmuję małżeństwo – odparł naiwnie stary rejent. – Żona powinna, moim zdaniem, dzielić dobry i zły los męża. Słyszałem, że w młodym małżeństwie, które kocha się jak kochankowie, nie bywa dzieci. Czyż więc przyjemność jest jedynym celem małżeństwa? Czy nie raczej szczęście i rodzina? Ale pan miał ledwie dwadzieścia osiem lat, a pani hrabina dwadzieścia, można zrozumieć, żeście myśleli tylko o miłości. Jednakże charakter pańskiego kontraktu ślubnego i pańskie nazwisko – wyda się panu, że rozumiem jak rejent! – wszystko skłaniało pana do tego, aby zacząć od tęgiego chłopaka. Tak, panie hrabio, a gdyby pan miał tylko córki, nie trzeba było poprzestawać, ażby pan miał chłopca dla umocnienia majoratu. Czy panna Evangelista nie była dość silna, czy groziło jej czym macierzyństwo? Powie mi pan, że to są stare metody naszych przodków; ale w szlacheckiej rodzinie, panie hrabio, prawa żona powinna mieć dzieci i dobrze je wychować; jak mówiła księżna de Sully, żona wielkiego Sully, kobieta nie jest narzędziem rozkoszy, ale honorem i cnotą domu.

– Nie znasz kobiet, dobry Mathias – rzekł Paweł. – Aby być szczęśliwym, trzeba je kochać tak, jak one chcą być kochane. Czyż nie jest coś brutalnego w tym, aby tak rychło pozbawiać kobietę jej przewag, niszczyć jej piękność, zanim się nią nacieszyła?

– Gdyby pan miał dzieci, matka byłaby powściągnęła rozrzutność kobiety, byłaby siedziała w domu...

– Gdybyś miał słuszość, mój drogi Mathias – rzekł Paweł, marszcząc brwi – byłbym jeszcze nieszczęśliwszy. Nie pomnażaj moich cierpień morałami poniewczasie, pozwól mi odjechać bez zagłębiań się w przeszłość.

Nazajutrz Mathias otrzymał przekaz na sto pięćdziesiąt tysięcy franków na okaziciela, przesłany przez Henryka de Marsay.

– Widzisz, mój stary, nie napisał ani słowa, zaczyna od tego, że spełnia, o co go proszę. Henryk to natura najdoskonalej niedoskonała, najnielegalniej piękna, jaką znam. Gdybyś widział, z jaką wyższością ten młody jeszcze człowiek wznosi się nad uczucia, nad interesy i co to za wielki polityk, zdumiałbyś się jak ja, widząc, ile on ma serca.

Mathias próbował zwalczać postanowienie Pawła, ale było ono nieodwołalne i usprawiedliwione tyloma poważnymi argumentami, że stary rejent nie próbował już wstrzymać swego klienta. Rzadkie jest, aby odjazd handlowych statków odbywał się punktualnie; ale, nieszczęsnym dla Pawła przypadkiem, wiatr był pomyślny i „Piękna Amelia” miała rozwinąć żagle nazajutrz. W chwili gdy statek odjeżdża, przystań zatłoczona jest krewnymi, przyjaciółmi, ciekawymi. Wśród osób, które się tam znalazły, niektóre znały Pawła. Katastrofa jego czyniła

go w tej chwili równie sławnym, jak był niegdyś przez swój majątek; ciekawość tedy była poruszona. Każdy miał tam coś do powiedzenia. Starzec odprowadził Pawła do portu i wiele musiał wycierpieć, słysząc niektóre z tych komentarzy.

– Kto by poznał w człowieku, którego widzisz tam koło starego Mathiasa, owego dandysa, zwanego kwiatem młodzi, który pięć lat temu nadawał ton całemu Bordeaux?

– Jak to, ten mały, gruby czelczyzna w alpagowym surducie, wyglądający na stangreta, to ma być hrabia de Manerville?

– Tak, moja droga, ten, który się ożenił z panną Evangelista. Teraz jest zrujnowany, nie ma złamanego szeląga i jedzie do Indii po złote runo.

– Ale jakim cudem się tak zrujnował? Był taki bogaty!

– Paryż, kobiety, giełda, gra, zbytek...

– A przy tym – rzekł inny – Manerville to zero, głuptas, miękki jak flak, dający się strzyc jak baran, nieudolny. On się już urodził zrujnowany.

Paweł uściśnął rękę starca i uciekł na statek. Mathias został na wybrzeżu, patrząc na dawnego klienta, który oparł się o parapet, wyzywając tłum spojrzeniem pogardy. W chwili gdy majtkowie podnosili kotwicę, Paweł spostrzegł, że Mathias daje mu znaki chustką. Stara gospodyni przybiegła z pośpiechem do swego pana, który wydawał się poruszony wydarzeniem niezmiernie wagi. Paweł prosił kapitana, aby zaczekał jeszcze chwilę i posłał czółno dla dowiedzenia się, czego chce rejent, który mu dawał energiczne znaki, aby wysiadł. Zbyt słaby, aby pospieszyć na pokład, Mathias oddał dwa listy jednemu z majtków, którzy przyплыли czółnem.

– Mój przyjacielu, ten pakiet – rzekł były rejent do majtka, pokazując mu list – widzisz, mój drogi, nie pomył się: ten pakiet przybył kurierem, który odbył drogę z Paryża w trzydzieści pięć godzin. Powiedz ten szczegół panu hrabiemu, nie zapomnij, to mogłoby wpłynąć na zmianę jego postanowienia.

– I trzeba by go wysadzić na ląd? – spytał majtek.

– Tak, mój przyjacielu – odparł nierozważnie rejent.

Majtek jest to we wszystkich krajach istota osobnego kroju, która prawie zawsze żywi niesłychaną pogardę dla mieszkańców lądu. Co się tyczy mieszczuchów, nie rozumie ich zupełnie, nie umie ich sobie wytłumaczyć, kpi sobie z nich, okrada ich, jeśli może, nie uważając, aby się mijał z uczciwością. Ten majtek to był przypadkowo Bretończyk, który wyciągnął tylko jeden wniosek z poleceń dobrego Mathiasa.

Aha! – powiedział sobie, wiosłując. – Wysadzić go na ląd! Pozbawić kapitana jednego pasażera! Gdyby się słuchało tych ananasów trzeba by tylko ich ładować i wysadzać. Czy on się boi, że synalek nabawi się kataru?”

Majtek oddał tedy Pawłowi listy, nie mówiąc nic. Poznając pismo żony i de Marsaya, Paweł domyślił się, co te dwie osoby mogą mu powiedzieć, i nie chciał dać na siebie wpływać propozycjami, które podsuwa im ich przywiązanie. Schował tedy z pozorną obojętnością listy do kieszeni.

– I po to oni nas niepokoją! Ot, głupstwa – rzekł majtek po bretońsku do kapitana. – Gdyby to było coś ważnego, jak mówił ten stary kirus, czy pan hrabia wpakowałby po prostu list za pazuchę?

Pochłonięty smutnymi myślami, które ogarniają najsilniejszych ludzi w takich okolicznościach, Paweł pogrążył się w melancholii, pozdrawiając ręką starego przyjaciela, żegnając się z Francją i patrząc na gmachy Bordeaux, które znikają szybko. Usiadł na zwoju lin. Noc zaskoczyła go zatopionego w dumaniach. Z mrokiem wieczornym ogarnęły go wątpliwości: zatapiał w przyszłość niespokojne oko; zgłębiając ją, widział same niebezpieczeństwa i niepewności; spytał sam siebie, czy mu nie zbraknie odwagi. Ogarnęły go nieokreślone obawy na myśl o Natalii zostawionej sobie; żałował swego postanowienia, żał mu było Paryża i minionego życia. Chwyliła go morska choroba. Każdy zna jej objawy: najstraszniejszym z tych

niewinnych cierpień jest zupełne unicestwienie woli. Niepojęty zamęt osłabia centra życia, dusza nie spełnia już swoich funkcji, wszystko staje się obojętne: matka zapomina dziecka, kochanek nie myśli już o ukochanej, najsilniejszy człowiek leży jak bezwładna masa. Zanie-siono Pawła do kabiny, gdzie leżał trzy dni jak kłoda, wymiotując i pojąc się grogiem poda-wanym przez majtków, nie myśląc o niczym i śpiąc; po czym przeszedł okres jakby rekon-walescencji: powoli powrócił do normalnego stanu. Rano, czując się lepiej, wyszedł na po-kład odetchnąć powiewem nowego klimatu; wkładając rękę do kieszeni, uczuł listy; chwycił je, aby odczytać; zaczął od listu Natalii. Aby dobrze zrozumieć list hrabiny de Manerville, trzeba przytoczyć ów, który Paweł napisał był do żony; brzmiał tak:

#### LIST PAWŁA DE MANERVILLE DO ŻONY

*Moja ukochana, kiedy będziesz czytała ten list, ja będę daleko: może już na statku, który mnie uniesie do Indii, gdzie odbuduję zrujnowany majątek. Nie miałem siły oznajmić Ci swe-go wyjazdu. Oszukałem Cię; ale czy nie było trzeba tak uczynić? Byłabyś się bezpotrzebnie dręczyła, chciałabyś mi poświęcić swój majątek. Droga Natalio, nie miej wyrzutów, ja nie mam ani chwili żalu. Gdybym przywiózł miliony, zrobiłbym jak Twój ojciec, położyłbym je u Twoich stóp, jak on u stóp Twej matki, powiadając: „Wszystko jest Twoje”. Kocham Cię do szaleństwa, Natalio; mówię Ci to bez obawy, iż posłużysz się tym wyznaniem dla wzmoczenia władzy, której lękają się ludzie słabi: Twoja władza była bez granic w dniu, w którym Cię poznałem. Moja miłość jest jedynym sprawcą mojej klęski. Stopniowa ruina dała mi poznać upajające rozkosze gracza. W miarę jak pieniądze moje topniały, szczęście moje rosło. Każda cząstka majątku, zmieniona dla Ciebie w jakąś drobną przyjemność, sprawiała mi niebiańskie rozkosze. Byłbym pragnął, abyś miała więcej kaprysów. Widziałem, że idę ku przepaści, ale szedłem ku niej z czołem uwieńczonym radością. To są uczucia, których nie znają ludzie po-spolicci. Postępowałem jak owi kochankowie, którzy się zamykają w małym domku nad jezio-rem na rok lub dwa i przyrzekają sobie zabić się zanurzywszy się wprzód w oceanie rozkoszy, umierając niejako w chwale swych złudzeń i swojej miłości. Ci ludzie zawsze wydawali mi się zadziwiająco rozsądni.*

*Ty nie wiedziałaś nic a nic o moich rozkoszach ani poświęceniach, Czyż nie mieści się słow-dycz w tym, aby skrywać ukochanej istocie cenę tego, czego pragnie? Mogę Ci wyznać te ta-jemnice. Będę daleko od Ciebie, gdy dojdzie Twoich rąk ten papier brzemienisty miłością. Je-żeli tracę skarby Twej wdzięczności, nie doświadczam owego skurczu serca, który by mnie chwycił, kiedy bym Ci mówił o tych rzeczach. A przy tym, ukochana, czy nie ma pewnej chy-trej rachuby w tym, aby Ci tak odstaniać przeszłość? Czyż to nie znaczy rozciągać naszą mi-łość na przyszłość? Czyżbyśmy potrzebowali podniet? Czyż nie kochamy się miłością czystą, której dowody są obojętne, która nie uznaje czasu, odległości i żyje sobą!*

*Ach, Natalio, wstałem od stołu, gdzie piszę przy kominku, zaszedłem zobaczyć Cię uśpioną, ufną, leżącą niby naiwne dziecko, z ręką wyciągniętą ku mnie. Uroniłem łzę na poduszkę, tego powiernika naszych rozkoszy. Jadę bez obawy na wiarę tego gestu, jadę zdobyć spokój, zdo-bywając majątek dość znaczny, aby nic nie mąciło naszego szczęścia, abyś mogła zaspokajać swe upodobania. Ani Ty, ani ja nie umielibyśmy się obejść bez życia, jakie pedzimy. Ja jestem mężczyzną, mam energię; moją rzeczą jest zebrać majątek, który nam jest konieczny. Może byłabyś poszła za mną, toteż kryję przed Tobą nazwę statku, miejsce i dzień odjazdu. Przyja-ciel powie Ci wszystko, kiedy już będzie za późno. Natalio, moje przywiązanie jest bez granic, kocham Cię, jak matka kocha swoje dziecko, jak kochanek swą kochankę, najbezinteresow-niej. Dla mnie trudy, dla Ciebie uciechy; dla mnie cierpienia, dla Ciebie szczęście. Baw się, zachowaj swoje przyzwyczajenia, chodź do teatrów, do Opery, bywaj tu w świecie, na balach, rozgrzeszam Cię ze wszystkiego.*



*Drogi aniele, kiedy wrócisz do tego gniazdka, gdzie kosztowaliśmy szczęśliwych owoców pięciu lat naszej miłości, pomyśl o swoim kochanku, pomyśl o mnie przez chwile, uśnij na moim sercu. Oto wszystko, o co proszę. Ja, droga wiekuista myśli, kiedy, zgubiony pod rozpalonym niebem, pracując dla nas dwojga, będę walczył z przeszkodami lub też zmęczony będę się kołysał nadzieją powrotu, będę myślał o Tobie, któraś jest moją poezją. Tak, będę się starał być w Tobie, powiem sobie, że Ty nie masz trosk ani przykrości, że jesteś szczęśliwa. Jak mamy nasze istnienie dzienne i nocne, jawę i sen, tak i ja będę miał swoje szczęsne istnienie w Paryżu, życie pracy w Indiach; ciężki sen, rozkoszną rzeczywistość: będę żył tak bardzo w Twojej rzeczywistości, że moje dni będą snem. Będę miał wspomnienia, będę powtarzał pieśń po pieśni ów pięcioletni poemat, będę sobie przypominał dni, w których błyszczałaś równie dobrze w toalecie jak w negliżu, odnawiającym Cię dla mych oczu. Odnajdę na war-gach smak naszych uczt miłości.*

*Tak, drogi aniele, jadę jak człowiek, który rzucił się w przedsięwzięcie mające mu dać piękną kochankę. Przeszłość będzie dla mnie jak owe plemienne marzenia, które poprzedzają posiadanie i które często posiadanie zawodzi, ale które Ty zawsze przewyższałaś. Wrócę, aby odnaleźć nową kobietę, bo czyż rozłąka nie doda Ci nowych wdzięków? O, moja cudna miłości, moja Natalio, niech ja będę religią dla Ciebie! Bądź, ach, bądź tym dzieckiem, które widzę uśpione. Gdybyś zdradziła ślepe zaufanie, Natalio, nie potrzebowałabyś się lękać mego gniewu, możesz być pewna; umarłbym w milczeniu. Ale kobieta nie oszukuje mężczyzny, który jej zostawia wolność, bo kobieta nigdy nie jest podła. Drwi z tyrana; ale gardzi zdradą łatwą i morderczą. Nie, nie myślę nawet o tym. Przebaczn ten krzyk, tak naturalny u mężczyzny. Drogi aniele, zobaczysz de Marsaya, on będzie lokatorem naszego pałacyku, zostawi Ci go. Ten udany najem byt potrzebny dla uniknięcia daremnych strat. Wierzycciele nie wiedząc, że ich uregulowanie jest kwestią czasu, mogliby zając meble. Bądź dobra dla de Marsaya, mam wiarę w jego zdolności, w jego prawość. Weź go za obrońcę i za doradcę, uczyni zeń swego dworzana. Choćby był nie wiem jak zajęty, zawsze znajdzie czas dla Ciebie. Polecam mu nadzór mojej likwidacji. Gdyby wyłożył jaką sumę, której by potem potrzebował, liczę, że mu ją zwrócisz. Pamiętaj, nie powierzam Cię de Marsayowi, ale Tobie samej; wskazuję Ci go, ale Ci go nie narzucam.*

*Niestety, nie podobna mi mówić z Tobą o Interesach, mam ledwie godzinę życia przy Tobie. Liczę Twoje oddechy, staram się czytać Twoje myśli w drgnieniach Twego snu. Twój oddech budzi cudne godziny naszej miłości. Za każdym biciem Twego serca moje serce leje Ci skarby, obrywam nad Tobą wszystkie róże mej duszy, jak dzieci sypią je przed ołtarzem w Boże Ciało. Polecam Cię wspomnieniom, którymi Cię przytłaczam, chciałbym przelać w Ciebie swoją krew, abys była zupełnie moja, aby Twoja myśl była moją myślą, aby Twoje serce było moim sercem, abym był cały w Tobie. Wydalaś cichy szept niby słodką odpowiedź. Bądź zawsze spokojna i piękna jak w tej chwili. Ach, chciałbym posiadać ową cudowną władzę, o której mówią bajki, chciałbym Cię zostawić uśpioną na czas mej nieobecności i wróciwszy obudzić Cię pocałunkiem. Ileż trzeba siły woli i jak bardzo trzeba Cię kochać, aby Cię porzucić, widząc Cię taką! Ty jesteś hiszpańska zakonnica. Ty uszanujesz ślub uczyniony we śnie, przy którym nie wątpiłem o twoim nie wyrażonym słowie. Żegnaj, droga, oto twój biedny kwiat młodości pomyka na wichry i burze; ale wróci do Ciebie na zawsze na skrzydłach fortuny. Nie, droga Nini, nie żegnaj się z Tobą, nie opuszczę Cię nigdy. Czy nie będziesz duszą moich czynów? Czy nadzieja przyniesienia Ci trwałego szczęścia nie będzie ożywiała mego zamiaru, nie będzie wiodła wszystkich moich kroków? Czy nie będziesz zawsze tutaj? Nie, to nie słońce Indii, ale ogień Twego spojrzenia będzie mnie oświecał. Bądź tak szczęśliwa, jak może być kobieta bez swego kochanka. Byłbym chciał uszczknąć na pożegnanie Twój nie tak bierny pocałunek, ale, ubóstwiany aniele, moja Nini, nie chciałem Cię budzić. Skoro się obudzisz, znajdziesz łzę na swym czole, niech Ci będzie talizmanem. Myśl, myśl*

*o tym, który może umrze dla Ciebie, z dala od Ciebie; myśl mniej o mężu niż o oddanym kochanku, który Cię powierza Bogu.*

### ODPOWIEDŹ HRABINY DE MANERVILLE

*Ukochany mój, w jakiejż zgryzocie pogrąża mnie Twój list! Czy Ty miałeś prawo, nie poradziwszy się mnie, powziąć postanowienie, które godzi w nas oboje? Czy jesteś wolny? Czy nie należysz do mnie? Czyż nie jestem na wpół Kreolką? Czy nie mogłam iść z Tobą? Dowiedleś mi, że nie jestem Ci nieodzowna. Co ja Ci zrobiłam, Pawle, abyś mnie pozbawił, moich praw? Co ja pocznę sama w Paryżu? Drogi aniele, bierzesz na siebie wszystkie moje winy. Czyż ja nie przyczyniłam się do tej ruiny? Czy moje szmatki nie ważyły na szali? Sprawileś, że przeklinam życie szczęśliwe, bez troski, jakie wiedliśmy od czterech lat. Wiedzieć, że jesteś wygnany na sześć lat, czyż to nie śmierć? Czy można zrobić majątek w sześć lat? Czy wrócisz? Dobrze miałam natchnienie, kiedy z uporem sprzeciwiałam się separacji majątkowej, której matka i Ty chcieliście z całej siły. Co wam mówiłam? Czyż to nie było ujmą dla Ciebie? Czyż to nie było ruiną Twego kredytu? Musiałeś się aż pogniewać, abym ustąpiła. Mój drogi Pawle, nigdyś nie był tak wielki w moich oczach, jak w tej chwili. Nie rozpaczać o niczym, jechać robić majątek?... Trzeba Twojego charakteru, i Twojej siły, aby postąpić w ten sposób. Jestem u Twoich nóg. Mężczyzna, który przyznaje się do swej słabości tak szczerze, który odbudowuje swój majątek z tych samych pobudek, dla jakich go strwonił, z miłości, z nieodpartej namiętności, och. Pawle, to wzniosłe! Idź bez obawy, lam przeszkody, nie wątpiąc o swej Nacie, bo to by znaczyło wątpić o sobie samym. Drogi mój biedaku, chcesz żyć we mnie? A ja, czyż nie będę zawsze w Tobie? Nie będę tutaj, ale wszędzie, gdzie Ty będziesz. O ile Twój list sprawił mi żywy ból, o tyle przepelnił mnie radością; dałeś mi w jednej chwili poznać dwa krańce: widząc, jak mnie kochasz, byłam dumna świadomością, iż dobrze odczuleś mą miłość. Chwilami zdawało mi się, że ja kocham więcej; obecnie uznaję się zwyciężoną, możesz dołączyć tę rozkoszną wyższość do wszystkich innych; ale czyż ja nie mam więcej przyczyn, aby Cię kochać? Twój list, ten drogi list, w którym Twoja dusza się odbija i który mi tak wymownie powiedział, że nic dla nas nie jest stracone, zachowam na sercu w czasie Twej nieobecności, bo cała Twoja dusza mieści się w nim; ten list to moja chluba! Osiądę w Lanstrac z mamą, przepadnę dla świata, będę oszczędzała nasze dochody, aby spłacić Twoje długie. Od dziś rana. Pawle, jestem inną kobietą, żegnaj się bezpowrotnie ze światem; nie chcę żadnej przyjemności, której byś Ty nie podzielił. Zresztą, Pawle, ja muszę opuścić Paryż, schronić się w samotnię. Drogie dziecko, dowiedz się, że masz podwójny cel zrobienia majątku. Gdyby Twoja odwaga potrzebowała bodźca, znalazłbyś go w tej chwili w sobie. Ukochany mój, czy nie domyślasz się? Będziemy mieli dziecko. Twoje najdroższe pragnienia ziszczą się, panie mój. Nie chciałam Ci dawać owej fałszywej nadziei, która zabija, zbyt wiele mieliśmy zgryzot z tego powodu, nie chciałam musieć odwoływać dobrej nowiny. Dzisiaj jestem pewna tego, co Ci zwiastuję, szczęśliwa, że wnoszę promień szczęścia w Twe zgryzoty. Dziś rano, nie podejrzewając nic, myśląc, żeś Ty wyszedł po prostu na miasto, poszłam do kościoła podziękować Bogu. Czy mogłam przewidzieć katastrofę? Wszystko uśmiechało mi się tego rana. Wychożąc z kościoła spotkałam matkę, dowiedziała się o Twoich nieszczęściach i przyjechała pocztą ze swymi oszczędnościami, trzydzieści tysięcy franków, w nadziei, że zdoła ułożyć Twoje interesy. Co za serce. Pawle! Byłam szczęśliwa, wracałam, aby Ci oznajmić te dwie dobre nowiny przy śniadaniu, pod namiotem naszej cieplarni, gdzie przyrządziłam Ci ulubione laskocie.*

*Augustyna oddała mi Twój list. List od Ciebie, kiedy spaliśmy razem, czyż to nie cały dramat? Przebiegł mnie śmiertelny dreszcz, potem przeczytałam!... Czytałam, płacząc i mama też zalewała się łzami! Czyż nie trzeba bardzo kogoś kochać, aby płakać? – bo lzy szpecą kobietę. Byłam na wpół żywa. Tyle miłości i tyle męstwa! Tyle szczęścia i tyle niedoli! Najbogatsze*

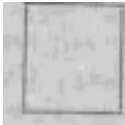
dary serca i chwilowa ruina! Nie móc przycisnąć do serca ukochanego, w chwili gdy podziw dla jego wielkości dławi nas, któraż kobieta oparłaby się tej burzy uczuć? Wiedzieć, żeś daleko ode mnie, kiedy Twoja ręka na mym sercu zrobiłaby tyle dobrego; nie było Cię tu, aby mnie obdarzyć owym spojrzeniem, które tak kocham, aby się cieszyć ze mną zniszczeniem Twych nadziei; i mnie nie było przy Tobie, aby złagodzić Twoje cierpienie ową pieśczętą, za którą tak kochasz swoją Nini, która Ci pozwala o wszystkim zapomnieć. Chciałam jechać, pędzić do Twoich stóp; ale mama zwróciła mi uwagę, że „Piękna Amelia” odjeżdża jutro; że jedynie poczta zdąży tak szybko i że w moim stanie byłoby szaleństwem narażać całą przyszłość w tym trzęsieniu. Mimo że już czułam się matką, zażądałam koni; mama oszukała mnie, pozwalając wierzyć, że zajadą. Postąpiła roztropnie, pierwsze objawy ciąży zaczęły się właśnie. Nie mogłam wytrzymać tylu wzruszeń, słabo mi się zrobiło. Piszę do Ciebie z łóżka, lekarze nakazali mi spoczynek przez pierwsze miesiące. Dotąd byłam płochą kobietką, teraz będę matką rodziny. Opatrzność jest bardzo dobra dla mnie, bo jedynie dziecko, które trzeba wykarmić, pielęgnować, wychować, może złagodzić ból, jaki mi sprawi Twoja nieobecność. Będę miała w nim drugiego Ciebie, będę je pieściła. Ogłoszę jawnie swą miłość, którą kryliśmy tak pilnie. Powiem prawdę. Matka zdołała już sprostować pewne oszczerstwa, które obiegały o Tobie. Obaj Vandenesse, Karol i Feliks, bronili Cię bardzo dzielnie, ale Twój przyjaciel de Marsay wszystko obraca w żarty; drwi z Twoich oskarżycieli zamiast im odpowiedzieć; nie lubię tego sposobu. Czy Ty się nie ludzisz co do niego? Mimo to będę Ci posłuszna, będzie moim przyjacielem. Bądź spokojny, ubóstwiany mój, co do wszystkiego, co tyczy Twego honoru. Czyż nie jest moim? Zastawię moje diamenty. Obrócimy z mamą wszystkie zasoby na to, aby spłacić Twoje długi i aby odkupić Twoją winnicę Belle-Rose.

Mama, która rozumie się na interesach jak adwokat, bardzo Ci miała za złe, żeś się jej nie zwierzył. Nie byłaby kupowała – myśląc, że Ci tym sprawi przyjemność – dóbr Grainrouge, wchodzących klinem w Twoje ziemie, i byłaby mogła Ci pożyczyć sto trzydzieści tysięcy. W rozpacz jest z powodu Twego postanowienia. Boi się dla Ciebie Indii. Błaga Cię, abyś uważał na siebie, abyś się nie dał skusić kobietom... Zaczęłam się śmiać. Jestem pewna mego Pawła tak jak samej siebie. Wrócisz bogatym i wiernym. Ja jedna znam Twoją kobiecą delikatność i Twoje tajemne uczucia, które czynią z Ciebie rozkoszny kwiat ludzki godny niebios. Bordeaux miało rację, że Ci dało Twój ładny przydomek. Któż będzie hodował mój delikatny kwiat? Serce przeszywają mi okropne myśli. Ja, jego żona, ja, jego Nini, jestem tutaj, kiedy on może już cierpi! A ja, tak zrosnięta z Tobą, nie mogę podzielić Twoich smutków, przygód, niebezpieczeństw! Komu je zwierzysz? Jak mogłeś się obejść bez uszka, któremu mówiłeś wszystko? Droga mimozo, unoszona wichrem, czemuś się wyrwała z jedyne gruntu, gdzie mogłaś roztaczać swoje wonie? Zdaje mi się, że jestem samotna od dwóch wieków, zimno mi w Paryżu. Bardzo płakałam! Być przyczyną Twej ruiny! Cóż za temat dumań dla kochającej kobiety! Tyś mnie traktował jak dziecko, któremu się daje wszystko, czego zażąda; jak kurtyzanę, dla której szaleni trwoni cały majątek.

Och, ta Twoja rzekoma delikatność była zniewagą! Czy myślisz, że nie mogłam się obejść bez toalet, bez balów, bez Opery, bez sukcesów? Czy ja jestem wietrznicą? Czy myślisz, że niezdolna byłam do poważnych myśli, że nie mogłam być narzędziem Twego losu, jak byłam narzędziem przyjemności? Gdybyś nie był daleko ode mnie, cierpiący i nieszczęśliwy, połajalabym Cię, mój panie, za taką impertynencją! Poniżać żonę w ten sposób! Boże, po cóż ja bywałam w świecie? Aby głaskać Twoją próżność; stroiłam się dla Ciebie, wiesz dobrze. Gdybym w czym zawiniła, byłabym bardzo ukarana; rozłąka z Tobą jest twardą pokutą za nasze serdeczne życie. Ta rozkosz była zbyt doskonała, trzeba ją było spłacić wielką boleścią, i oto przyszła! Po tych upojeniach, tak starannie ukrytych oczom świata, po tym nieustannym świecie przeplatany szaleństwem naszej miłości, nic nie jest możliwe prócz samotności. Samotność, drogi mój, karmi wielkie uczucia, tęsknię do niej. Co bym robiła w świecie? Komu powiecie swoje triumfy? Ach! żyć w Lanstrac, w tym majątku urządzonym przez Twego ojca, w

*zamku, który Ty odnowiłeś tak bogato, żyć tam z Twoim dzieckiem czekając na Ciebie, przesyłając Ci co wieczór, co rano modlitwę matki i dziecka, kobiety i anioła, czyż to nie będzie polowa szczęścia? Czy widzisz te drobne rączeta złożone w moich? Czy będziesz wspominał, jak ja będę wspominała co wieczór, owe słodycze, któreś mi przypomniał w swoim drogim liście? Och, tak, kochamy się jednak oboje. Ta słodka pewność to mój talizman. Tak samo nie wątpię o Tobie, jak Ty nie wątpisz o mnie. Jakż pociechę mogę Ci dać tutaj ja, zrozpaczona, złamana, ja, która widzę tych sześć lat jak pustynię? Nie, nie ja jestem bardziej niešťeśliwa; ta pustynia czyż nie będzie ożywiona naszym małenstwem? Tak, chcę Ci dać syna; trzeba, nieprawdaż? Żegnaj mi zatem, ubóstwiany mój, nasze modły i nasza miłość pójdą za Tobą wszędzie. Czy lzy, które spadły na ten papier, powiedzą Ci wszystko to, czego nie mogę wyrazić? Weź te pocałunki, które kładzie tam na dole, w tym kwadracie.*

TWOJA NATA



Ten list pogrążył Pawła w zadumie, spowodowanej zarówno upojeniem, w jakim go zanużyły te objawy miłości, jak rozmyślnie wywołanymi rozkoszami: przypominał je sobie kolejno, aby sobie wytłumaczyć ciężę żony. Im człowiek jest szczęśliwszy, tym bardziej drży. U dusz wyłącznie tkliwych – a tkliwość mieści w sobie trochę słabości – zazdrość i niepokój są proporcjonalne do szczęścia i jego rozmiarów. Dusze silne nie są ani zazdrosne, ani lęklive: zazdrość to jest wątplenie, obawa to małość. Wiara bez granic jest główną właściwością wielkiego człowieka: jeśli jest oszukany – siła bowiem zarówno jak słabość może uczynić człowieka ofiarą zdrady – wówczas wzgarda staje mu się siekierą, przecina wszystko. Ta wielkość jest wyjątkiem. Komuż nie zdarzy się być opuszczonym przez ducha, który podtrzymuje naszą wątłą machinę, i słuchać nieznanej potęgi przeczącej wszystkiemu? Paweł, oblegany paroma nieodpartymi faktami, wierzył i wątpił równocześnie. Zatopiony w myślach, wydany na łup straszliwej niepewności, mimowolnej, ale zwalczanej zakładem czystej miłości i wiarą w Natalię, odczytał dwa razy ten gadatliwy list, nie mogąc zeń nic wywnioskować. Miłość jest równie wielka gadulstwem jak zwieźłością.

Aby dobrze zrozumieć położenie, w jakim miał znaleźć się Paweł, trzeba go sobie wyobrazić bujającego na oceanie, tak jak bujał po bezkresach swej przeszłości, oglądając całe swoje życie jak niebo bez chmurki i wracając w końcu, po wirach wątplenia, do czystej, pełnej, niezmaconej wiary chrześcijanina, do wiary kochanka, którego upewnia głos serca. A przede wszystkim również konieczne jest przytoczyć tutaj list, na który odpowiadał Henryk de Marsay.

#### LIST HRABIEGO DE MANERVILLE DO MARGRABIEGO HENRYKA DE MARSAY

*Henryku, powiem Ci największe słowo, jakie człowiek może powiedzieć swemu przyjacielowi: jestem zrujnowany. Kiedy będziesz czytał ten list, ja będę się gotował do odjazdu do Kalkuty na pokładzie „Pięknej Amelii”. Znajdziesz u swego reagenta akt, który wymaga jedynie Twego podpisu, aby stać się prawomocnym, i w którym wynajmuję Ci fikcyjnie na sześć lat mój pałac; kontrrewers wręczysz mojej żonie. Muszę uciec się do tej ostrożności, iżby Natalia mogła zostać w domu bez obawy, że ją wypędzą. Przelewam również na Ciebie dochody z mego majoratu na cztery lata, wszystko za sumę stu pięćdziesięciu tysięcy franków, którą,*

proszę Cię, byś mi przestał w formie przekazu na któryś bank w Bordeaux, na zlecenie rejenta Mathiasa. Moja żona da Ci gwarancje w nadwyżce moich dochodów. Gdyby dochód mego majoratu spłacił Cię wcześniej, niż przypuszczam, policzymy się za moim powrotem. Suma, o którą Cię proszę, jest nieodzowna, abym mógł jechać próbować szczucia; o ile Cię dobrze znam, powinienem ją otrzymać bez jednego słowa w Bordeaux, w wilię swego wyjazdu.

Postąpiłem tak, jak Ty byś postąpił na mym miejscu. Wytrzymałem do ostatniej chwili. Bronilem się, nie pozwalając się domyślać ruiny. Następnie, kiedy wiadomość o zajęciu moich nie objętych majoratem majątków doszła do Paryża, wypuściłem za sto tysięcy weksli, aby spróbować gry. Jakiś szczęśliwy traf mógłby mnie ocalić. Przegrałem. W jaki sposób zrujnowałem się? Dobrowolnie, drogi Henryku. Od pierwszego dnia ujrzałem, że nie zdołam wytrzymać stopy życia, na jakiej się postawiłem; znałem rezultat, zamknąłem oczy, bo nie byłem zdolny powiedzieć żonie: „Opuszmy Paryż, osiadzmy w Lanstrac”. Zrujnowałem się dla niej tak, jak człowiek rujnuje się dla kochanki, ale świadomie. Mówiąc między nami, ja nie jestem głupiec ani człowiek słaby. Głupiec nie daje się z otwartymi oczami owładnąć namiętności; a człowiek, który jedzie odzyskać majątek do Indii zamiast sobie strzelać w łeb, taki człowiek ma charakter. Wrócę bogaty albo nie wrócę wcale. Tylko, drogi przyjacielu, ponieważ ja pragnę majątku jedynie dla niej, ponieważ nie chcę być ofiarą złudzeń, ponieważ sześć lat mnie nie będzie, powierzam Ci swoją żonę. Masz dosyć kobiet, aby uszanować Natalię i dać mi wszystkie rękojmie rzetelnego uczucia, które nas wiąże. Nie znam lepszego stróża. Zostawiam żonę bez dziecka, kochanek byłby dla niej niebezpieczny. Wiedz o tym, mój poczciwy Marsay, ja kocham do szaleństwa Natę, podle, bez wstydu. Przebaczyłbym jej, jak sądzę, niewierność, nie dlatego, że jestem pewien, iż potrafiłbym się zemścić, choćbym miał to życiem zapłacić! Ale dlatego, że zabiłbym się, aby ją zostawić szczęśliwą, gdybym sam nie mógł dać jej szczęścia.

Czego się obawiać? Natalia ma dla mnie ową prawdziwą przyjaźń niezależną od miłości, ale która utrwała miłość. Postępowałem z nią, jak z zepsutym dzieckiem. Znajdowałem tyle szczęścia w poświęceniach, jedno sprowadzało tak naturalnie drugie, że byłaby potworem, gdyby mnie zdradziła. Miłość rodzi miłość... Chcesz wiedzieć wszystko, drogi Henryku? Napisałem do niej list, w którym pozwalam jej wierzyć, że jadę z nadzieją w sercu, z pogodnym czołem, że nie czuję ani wątpliwości, ani zazdrości, ani obawy. Taki list piszą synowie, kiedy chcą ukryć matkom, że idą na śmierć.

Mój Boże, Henryku, miałem piekło w duszy, jestem człowiekiem najniezszczęśliwszym w świecie! Ty usłysz moje krzyki, zgrzytania zębów! Tobie zwierzam szlochły zrozpaczonego kochanka; wolałbym raczej, gdyby to było możliwe, sześć lat zamiatać ulicę pod jej oknami niż wrócić milionerem po sześciu latach rozłąki. Mam straszliwy lęk, będę się wił z bólu, póki nie napiszesz mi słówka, że przyjmujesz zlecenie, które Ty jeden możesz spełnić. O, mój Henryku, ta kobieta jest mi nieodzowna do życia, ona jest moim powietrzem, słońcem. Weź ją pod swoją pieczę, zachowaj mi ją wierną, choćby wbrew jej woli. Tak, byłbym jeszcze szczęśliwy z tego połowicznego szczęścia. Bądź jej opiekunem. Tobie ufam. Wykaż jej, że zdradzając mnie byłaby pospolita, podobna do wszystkich kobiet, że dowiedzie subtelności, zostając mi wierną. Ma chyba jeszcze dość majątku, aby wieść życie łatwe i bez troski; ale gdyby jej brakło czegoś, gdyby miała jakie zachcenia, zakredytuj jej, nie obawiaj się, wrócę bogaty. Ostatecznie, moje obawy są z pewnością próżne. Nata to anioł cnoty. Kiedy Feliks de Vandenesse, zakochany w niej na umór, pozwolił sobie na jakieś zaloty, potrzebowałem tylko zwrócić uwagę Natalii; podziękowała mi tak serdecznie, że byłem wzruszony do łez. Powiedziała mi, że nie przystoi jej godności, aby ktoś przestał u niej bywać tak nagle, ale że potrafi się go pozbyć; w istocie przyjmowała go bardzo zimno, wszystko obróciło się najlepiej. Nie mieliśmy Innego powodu do sprzeczki przez cztery lata, o ile w ogóle można nazwać sprzeczką rozmowę dwojga przyjaciół.

*Zatem, drogi Henryku, żegnam się z Tobą jak mężczyzna. Nieszczęście stało się. Z jakiej bądź nastąpiło przyczyny, jest faktem, schyliłem głowę. Nędza i Natalia to dwa pojęcia nie do pogodzenia. Będzie zresztą ścisła równowaga między pasywami a aktywami, tak więc nikt nie będzie mógł skarżyć się na mnie; ale gdyby honor mój znalazł się w niebezpieczeństwie, liczę na Ciebie. Wreszcie, gdyby zaszło coś poważnego, możesz pisać do mnie na ręce gubernatora w Kalkucie, łączą mnie pewne stosunki z jego domem, ktoś zachowa mi tam listy przychodzące do mnie z Europy. Drogi przyjacielu, pragnę Cię zastać za powrotem tym samym Henrykiem, który umie drwić ze wszystkiego, a który mimo to zdolny jest zrozumieć cudze uczucia, kiedy są na miarę wielkości, jaką czujesz w sobie samym. Ty zostajesz w Paryżu! W chwili, gdy Ty będziesz to czytał, ja będę wołał: – Do Kartaginy!*

#### ODPOWIEDŹ MARGRABIEGO HENRYKA DE MARSAY HRABIEMU PAWŁOWI DE MANERVILLE

*A zatem, panie hrabio, wpakowałeś się, pan ambasador zatonął. Więc tak pięknie się urządziłeś? Czemuś, Pawelku, krył się przede mną? Gdybyś mi rzekł słowo, biedny chłopcze, byłbym Cię oświecił co do Twego położenia. Twoja żona odmówiła mi swego podpisu. Oby to jedno mogło Ci otworzyć oczy! Gdyby to nie wystarczało, dowiedz się, że Twoje weksle zostały zaprotestowano na żądanie imć pana Lécuyer, eks-dependenta pana Solonet, a dziś re-jenta w Bordeaux. Ten obiecujący lichwiarz, przybyły z Gaskonii, aby uprawiać tu szacherki, jest podstawionym człowiekiem Twojej czcigodnej teściowej, istotnej wierzycielki stu tysięcy franków, za które poczciwa kobieta wypłaciła Ci podobno siedemdziesiąt tysięcy. W porównaniu z panią Evangelista stary Gobseck to flanela, aksamit, kojące ziółka, ciasteczko z kremem, dobrotliwy wujaszek. Twoja winnica Belle-Rose będzie łupem Twojej żony, której matka dopłaci różnicę. Pani Evangelista będzie miała Guadet i Grassol, a sumy wiszące na Twoim pałacyku w Bordeaux należą do niej pod nazwiskiem ludzi, których jej wynalazł Solonet. Tak więc te dwie rozkoszne istoty będą miały razem sto dwadzieścia tysięcy franków renty, sumę, której sięga dochód Twoich dóbr, połączony z trzydziestoma i kilkoma tysiącami franków w rencie, które te koteczki posiadają. Podpis Twojej żony był niepotrzebny. Rzeczony imć Lécuyer przyszedł dziś rano do mnie, aby mi ofiarować odkup sumy, którą Ci pożyczyłem: zbiór z roku 1825, który Twoja teściowa ma w Twoich piwnicach w Lanstrac, wystarczyłby, aby mnie spłacić. Tak więc Twoje panie obliczyły już, że Ty musisz być na pełnym morzu; ale ja wysyłam ten list kurierem, abyś zdążył jeszcze posłuchać rad, które Ci daję. Pociągnąłem za język Lécuyera. W jego kłamstwach, w tym, co mówił i czego nie mówił, pochwyliłem nitki, brakujące mi do odtworzenia całej sieci domowego spisku uknutego przeciw Tobie. Dziś wieczór w ambasadzie hiszpańskiej wyrażę zachwyt Twojej teściowej i Twojej żonie. Zacznę się zalecać do pani Evangelista, zdradzę Cię nikczemnie, rzucę parę sprytnych oszczerstw pod Twoim adresem, gdyż na czymś zbyt grubym poznałby się rychło ten wspaniały Maskaryl<sup>77</sup> w spódnicy. W jaki sposób obudziłeś jej nienawiść? To chciałbym wiedzieć! Gdybyś miał ten spryt, aby się zakochać w tej kobiecie przed małżeństwem z jej córką, byłbyś dziś parem Francji, księciem de Manerville i ambasadorem w Madrycie. Gdybyś się był do mnie zwrócił w epoce swego małżeństwa, byłbym Ci pomógł przejrzeć kobiety, z którymi się wiązałeś; z tych wspólnych spostrzeżeń wyszłyby jakieś pożyteczne wskazówki. Czyż nie byłem jedynym z przyjaciół zdolnym uszanować Twą żonę? Czyż mogłeś się mnie obawiać? Poznawszy mnie, te dwie kobiety zlekły się i rozdzieliły nas. Gdybyś nie był jak dudek dąsał się na mnie, nie byłyby Cię pożarły. Twoja żona wiele się przyczyniła do oziębienia stosunków między nami, a suflowała jej matka, do której Natalia pisywała dwa razy na tydzień, a Ty nigdy na to nie zwracałeś uwagi. Poznałem mego Pawła, kiedym się dowiedział o tym szczególe. Za miesiąc będę dość*

<sup>77</sup> Maskaryl – w dawnej komedii francuskiej typ wesołego, sprytnego lokaja.

*blisko z Twoją teściową, aby się dowiedzieć od niej o przyczynie włosko-hiszpańskiej nienawiści, jaką Ci przysięgła. Tobie, najlepszemu człowiekowi pod słońcem. Czy Cię nienawidziła, nim Twoja żona pokochała Feliksa de Van-denesse, czy też wypędza Cię aż do Indii, aby uczynić córkę równie wolną, jak jest we Francji kobieta separowana majątkowo i osobiście? W tym rzecz. Widzę, jak skaczesz w górę i ryczysz, dowiadując się, że Twoja żona kocha do szaleństwa Feliksa. Gdybym nie miał fantazji odbycia wycieczki na Wschód z panami de Montriveau, de Ronquerolles i paroma innymi próżniakami, których znasz, mógłbym Ci coś powiedzieć o tym romansie, który zaczynał się w chwili, gdy wyjeżdżałem; widziałem wówczas kielkujące nasiona Twego nieszczęścia. Ale któryż szlachcic byłby na tyle chamem, aby zaczynać podobny temat bez uprzednich zwierzeń? Kto odważyłby się szkodzić kobiecie? Kto stłukłby zwierciadło złudzeń, w którym przyjaciel pragnie oglądać mirażę szczęśliwego małżeństwa? Czy złudzenia nie są kapitałem serca? Czy Twoja żona, drogi przyjacielu, nie była w najszerszym pojęciu kobietą światową? Myślała tylko o swoich sukcesach, o stroju; chodziła do teatru, do Opery, na bale, wstawiała późno, jeździła do Lasku; bywała na obiadach lub sama dawała obiady. To życie jest dla kobiet tym, czym wojna dla mężczyzny; świat widzi tylko zwycięzców, zapomina o poległych. Jeżeli kobiety delikatne giną w tym rzemiośle, te, które się mu oprą, muszą mieć organizm żelazny; mało serca i doskonały żołądek. W tym tkwi przyczyna nieczułości, chłodu salonów. Piękne dusze żyją samotnie, słabe i tkliwe natury padają, zostają jedynie glazy, które utrzymują ocean społeczny w ruchu, obmywane i szlifowane przez fale, nie ścierając się.*

*Twoja żona opierała się doskonale temu życiu, zdawała się do niego stworzona, była wciąż świeża i piękna; dla mnie wniosek był bardzo prosty: nie kochała Cię, a Ty kochałeś ją jak szaleniec. Aby wykrzesać miłość z tej krzemiennej natury, trzeba było człowieka z żelaza. Ten, który wytrzymał zwycięsko starcie z lady Dudley, żoną mego prawdziwego ojca, Feliks, był mężczyzną dla Natalii. Nie sztuka było odgadnąć, że Ty byłeś żonie obojętny. Od tej obojętności do wstrętu jest tylko krok; prędzej czy później blahostka, sprzeczką, jedno słowo, jeden akt władzy mężowskiej mogły sprawić, że żona Twoja uczyniłaby ten krok. Mógłbym Ci opowiedzieć – tak, Tobie samemu – scenę, jaka się rozgrywała co wieczór w sypialni między wami. Nie masz dzieci, mój drogi. Czy ten fakt nie tłumaczy wielu rzeczy komuś, kto umie obserwować? Sam zakochany, nie umiałeś dostrzec chłodu naturalnego u młodej kobiety, którą przygotowałeś w sam raz dla Feliksa. Gdyby nawet żona wydała Ci się oziębła, idiotyczny kodeks wiedzy małżeńskiej kazał Ci przypisywać ten zaszczepny chłód jej niewinności. Jak wszyscy mężowie, sądziłeś, że zdołasz ją uchować w cnocie, w świecie, w którym kobiety tłumaczą sobie na ucho to, czego mężczyźni nie śmieją powiedzieć, gdzie wszystko, czego mąż nie mówi żonie, jest komentowane za wachlarzem wśród śmiechu i żartów, z powodu jakiegoś procesu albo awanturki. O ile żona Twoja ceniła socjalne korzyści małżeństwa, o tyle jego ciężary zdały się jej nieco przykre. Ciężar, podatek to byłeś Ty! Nie mając pojęcia o tym wszystkim, Ty szedłeś kopiąc przepaści i pokrywając je kwiatami, w myśl wiekuistej przenośni retorycznej; ulegałeś posłusznie prawu rządzącemu ogółem mężczyzn, a od którego ja chciałem Cię uchronić. Drogi chłopcze, aby być równie głupim jak mieszczuch, którego żona oszukuje i który się dziwi albo przeraża, albo oburza, brakło Ci tylko tego, abyś mi opowiadał o swoich poświęceniach, o swej miłości do Natalii i abyś mi powiedział: „Byłaby bardzo niewdzięczna, gdyby mnie zdradziła, zrobiłem to, zrobiłem owo, zrobię więcej jeszcze, pojedę dla niej do Indii” etc. Drogi Pawelku, czy Ty jesteś paryżaninem, czy Ty masz zaszczyt być przyjacielem Henryka de Marsay, aby nie znać rzeczy najpospolitszych w świecie, elementarnych zasad mechanizmu kobiety, alfabetu jej serca? Urób sobie ręce po łokcie, idź dla kobiety do więzienia, zabij dwudziestu dwóch ludzi, porzuć siedem dziewcząt, służ Labanowi, przebadź pustynię, otrzyj się o galery, okryj się sławą, okryj się hańbą, odmów jak Nelson wydatnia bitwy, aby ucałować ramię lady Hamilton, pobij jak Bonaparte starego Wurmsera, bij się na moście Arcole, szalej jak Orland, złam sobie nastawioną nogę, aby przez chwilę walcować z kobie-*

ta!... Mój drogi, co te rzeczy mają wspólnego z miłością? Gdyby o miłości rozstrzygały takie próby, człowiek byłby zbyt szczęśliwy, kilka bohaterstw dokonanych w chwili pożądania dawałoby mu upragnioną kobietę.

Miłość, drogi grubasku, ależ to wiara, taka jak wiara w Niepokalane Poczęcie: przychodzi albo nie przychodzi. Co pomogą strumienie przelanej krwi, kopalnie złota, sława, aby zrodzić uczucie mimowolne, niewytłumaczone? Ludzie tacy jak Ty, którzy chcą być kochani wedle zasad buchalterii, mają dla mnie coś z ohydneho lichwiarza. Nasze prawe żony winne nam są dzieci i cnotę, ale nie miłość. Miłość, Pawle, to świadomość wzajemnej rozkoszy, pewność, że śle ją daje i bierze; miłość to pragnienie wciąż żywe, wciąż sycone i wciąż niesyte. W dniu, w którym Vandenesse poruszył w sercu Twojej żony strunę pragnienia, którą Ty zostawiłeś nie-  
tkniętą. Twoje fanfaronady miłosne, Twoje strumienie mózgu, i pieniądze przestały być nawet wspomnieniem. Twoje małżeńskie noce usiane różami – dym! Twoje oddanie – wyrzut poświęcony kochankowi! Twoja osoba – ofiara zarżnięta na ołtarzu! Twoje dawniejsze życie – ciemność! Jeden dreszcz miłości unicestwił skarby uczucia, które były już tylko starym żelastwem. On, Feliks, miał wszystkie piękności, wszystkie poświęcenia, może gratis, ale w miłości wiara równa się rzeczywistości. Twoja teściowa była tedy oczywiście po stronie kochanka przeciw mężowi; tajemnie lub jawnie zamykała oczy lub otwierała je; nie wiem, co robiła, ale była za córką a przeciw Tobie. Od piętnastu lat, przez które przyglądam się światu, nie znam ani jednej matki, która by w takiej okoliczności opuściła córkę. Ta pobłażliwość to puścizna przekazywana z kobiety na kobietę. Któryż mężczyzna może im ją wyrzucać? Chyba jaki autor kodeksu cywilnego, widzący formuły tam, gdzie istnieją tylko uczucia! Rozrzutność, do jakiej Cię parło jej życie światowej kobiety, Twój miękki charakter, może i próżność, pomogły im pozbyć się Ciebie drogą zręcznie ukartowanej ruiny. Z tego wszystkiego, mój dobry przyjacielu, wyciągnij wniosek, że zlecenie, jakim mnie obarczyłeś i z którego byłbym się wywiązał tym chlubniej, iż byłoby mnie bawiło, jest bezprzedmiotowe i daremne. Nieszczęście stało się, consummatum est. Daruj mi, mój przyjacielu, że piszę à la de Marsay, jak mawiałeś, o rzeczach, które Tobie muszą się wydawać poważne. Nie mam ochoty tańczyć na grobie przyjaciela, jak spadkobiercy na grobie krewniaka. Ale napisałeś mi, żeś się stał mężczyzną; wierzę Ci i traktuję Cię jak polityka, nie jak zakochanego. Czyż ten wypadek nie jest dla Ciebie niby piętno na barku, które pcha galernika do tego, aby się rzucić w systematyczny bunt i zwalczać społeczeństwo? Jesteś bodaj wyzwolony z jednej troski: małżeństwo władało Tobą, teraz Ty władasz małżeństwem. Pawle, jestem Twoim przyjacielem w pełnym znaczeniu słowa. Gdybyś miał mózg w spiżowej czaszce, gdybyś miał energię nabytą zbyt późno, byłbym Ci dowiódł swej przyjaźni zwierzeniami, które by Ci pozwoliły kroczyć po ludzkości jak po dywanie. Ale kiedyśmy rozmawiali o kombinacjach, dzięki którym mogłem zabawiać się z paroma przyjaciółmi na łonie paryskiej cywilizacji jak byk w składzie porcelany, kiedy, pod romantyczną formą, opowiadałem Ci prawdziwe przygody mej młodości, Ty brałeś je w istocie za romans, nie rozumiejąc ich wagi. Toteż mogłem Cię uważać jedynie za mą nieszczęśliwą miłość. Otóż, daję Ci słowo honoru, w tej chwili Ty masz piękną rolę; nic nie straciłeś w moich oczach, jak mógłbyś przypuszczać. O ile podziwiam wielkich szalbierzy, cenię i kocham ludzi oszukanych. Z okazji owego lekarza, który skończył na szafocie dla swojej kochanki, opowiedziałem Ci o wiele piękniejszą historię o biednym adwokacie, który żyje kędyś na galerach, napiętnowany za fałszerstwo, a który chciał dać swojej żonie – żonie także ubóstwianej! – trzydzieści tysięcy funtów renty; ale żona zadenuncjowała go, aby się go pozbyć i aby móc żyć z innym jegomością. Okrzyknąłeś się Ty i paru dudków, którzy byli z nami na kolacji. I ot. Ty jesteś tym adwokatem, tylko że bez galer. Twoi przyjaciele nie oszczędzą Ci opinii, która w naszym świecie tyle znaczy, co galery. Pani de Listomère, siostra dwóch Vandenesse, i cała jej koteria, do której wkręcił się młody Rastignac, hultaj, który zaczyna się wybijać, pani d'Aiglemont i jej salon, gdzie króluje Karol de Vandenesse, Lenoncourtowie, hrabina Ferraud, pani d'Espard, Nucingenowie, ambasada hiszpańska, słowem, cały światek zręcznie podszczuwany bryzga na



Ciebie wstrętnymi oszczerstwami. Jesteś ladaco, gracz, rozpustnik, który idiotycznie przehulał majątek. Zapłaciwszy Twoje długie kilka razy, żona, anioł cnoty, wykupiła świeżo za sto tysięcy weksli, mimo separacji majątkowej. Szczęściem sam wydałeś na siebie wyrok, znikając. Gdybyś brnął dalej, byłbyś ją przywiódł do torby żebraczej, padłaby ofiarą swego poświęcenia. Kiedy człowiek dojdzie do władzy, ma wszystkie cnoty jak na nagrobku; niech wpadnie w nędzę, ma więcej przywar niż sam syn marnotrawny; nie wyobrażasz sobie, ile świat użył Ci grzechów w stylu don Juana. Grałeś na giełdzie, miałeś zboczenia, które kosztowały Cię olbrzymie sumy, a których szczegóły i żarty na ten temat wprawiają kobietę w zadumę. Płaciłeś potworne procenty lichwiarzom. Dwaj Vandenesse opowiadają ze śmiechem, jak Gigonnet wpakował Ci za sześć tysięcy franków okręcik z kości słoniowej i odkupił go za sto talarów przez Twego służącego, aby Ci go sprzedać znowu, i jak go zniszczyłeś uroczyście, spostrzegłszy, że mógłbyś mieć prawdziwy okręt za pieniądze, które Cię kosztował. Historia zdarzyła się Maksymowi de Trailles przed dziewięciu laty; ale nadała się dla Ciebie tak dobrze, że Maksym na zawsze stracił dowództwo swej fregaty. Nie mogę Ci opowiedzieć wszystkiego, bo wypełniłbyś całą encyklopedię plotek, którą kobiety z umysłu pomnażają.

W tym stanie rzeczy czyż najcnotliwsza nie usprawiedliwiałaby słabostki do hrabiego Feliksa (ojciec umarł mu wreszcie wczoraj)? Twoja żona jest w pełni powodzenia. Wczoraj pani de Camps powtarzała mi wszystkie te piękne rzeczy w teatrze Włoskim. „Niech mi pani nic nie mówi – odparłem – wy nic nie wiecie! Paweł okradł Bank Francuski i naruszył skarbiec królewski. Zamordował Ezzelina<sup>78</sup>, uśmiercił trzy Medory<sup>79</sup> z ulicy Saint-Denis, a posądzam go (to mówię między nami), że należy do bandy Dziesięciu Tysięcy<sup>80</sup>. Jego pomocnikiem jest słynny Jakub Collin, którego policja nie może pochwycić od czasu, jak znów wymknął się z galer. Paweł ukrywał go w swoim pałacu. Widzi pani, zdolny jest do wszystkiego: oszukuje rząd. Pojechali obaj, aby operować w Indiach i okraść Wielkiego Mogola”.

Paniusia zrozumiała, że kobieta dystygnowana jak ona nie powinna zmieniać swoich pięknych ust w brązową paszczę wenecką<sup>81</sup>. Słyszac te tragikomedie, wielu ludzi nie chce w nie wierzyć; bronią człowieka i jego szlachetności i twierdzą, że to baśnie. Mój drogi, Talleyrand powiedział wspaniałe słowo: „Wszystko się zdarza!” Z pewnością dzieją się w naszych oczach rzeczy jeszcze osobliwsze niż ten spisek domowy, ale świat ma tyle powodów, aby im przeczyć, aby krzyżeć, że go spotwarzono; przy tym te wspaniałe dramaty rozgrywają się tak naturalnie, tak wykwinnie, że często muszę przecierać szkła lornetki, aby widzieć samą treść rzeczy. Ale, powtarzam Ci, kiedy ktoś liczy się do moich przyjaciół, kiedyśmy wzięli razem chrzest szampańskiego wina, kiedyśmy komunikowali razem na ołtarzu Wenery, kiedy nas bierzowały zakrzywione palce Gry i kiedy mój przyjaciel znajduje się w opalach, zniszczę dwadzieścia rodzin, aby go ratować. Widzisz z tego, że Cię kocham; czy pamiętasz kiedy, abym napisał list takich rozmiarów? Czytaj tedy uważnie to, co Ci mam jeszcze do powiedzenia.

Niestety, Pawelku, trzeba mi oddać się pisaninie, muszę się zaprawić do stylizowania depesz. Władzę w politykę. Chcę mieć za pięć lat tekę ministra albo jakąś ambasadę, gdzie mógłbym kręcić sprawami publicznymi wedle fantazji. Przychodzi wiek, w którym najpiękniejszą kochanką na usługi człowieka jest własny naród. Staję w szeregach tych, którzy wywracają obecny system, zarówno jak obecne ministerium. Słowem, wpływam na wody pewnego księcia<sup>82</sup>, który utyka tylko na nogę i którego uważam za genialnego polityka, przeznaczonego, by urósł w oczach potomności; człowiek tak pełny, jak może być wielki artysta. Jest nas cała

<sup>78</sup> Ezzelino – postać z „Lary” Byrona.

<sup>79</sup> Medora – postać z „Korsarza” Byrona.

<sup>80</sup> O bandzie Dziesięciu Tysięcy i wspomnianym dalej Jakubie Collin opowiada Balzac m. in. w „Ojcu Goriot” i „Ostatnim wcieleniu Vautrina”.

<sup>81</sup> Brązowa paszcza – w dawnej Wenecji istniały urny w kształcie paszcz, gdzie wrzucano anonimowe donosy na obywateli.

<sup>82</sup> Wpływam na wody pewnego księcia... – mowa o Talleyrandzie.

*paczka: Ronquerolles, Montriveau, obaj Grandlieu, La Roche-Hugon, Sensy, Ferraud i Granville, wszyscy zjednoczeni przeciw klerykałom, jak ich inteligentnie nazywa stronnictwo dudków reprezentowane przez „Constitutionnel”. Chcemy obalić Vandenesse'ów, książąt Lenoncourt, Navarreins, Langeais i wielki Konsystorz. Aby zwyciężyć, gotowiśmy się połączyć z La Fayette'em, z orleanistami, z lewicą, z ludźmi, których trzeba nam będzie wyróżnić naza-jutrz po zwycięstwie, bo wszelki rząd jest niemożliwy przy ich zasadach. Jesteśmy zdolni do wszystkiego dla szczęścia kraju i naszego. Kwestie osobiste tyczące króla to są dziś sentymentalne głupstwa, trzeba oczyścić z nich politykę. Pod tym względem Anglicy ze swoim rodzajem doży są postępowsi od nas. Polityka nie zasadza się już na tym, mój drogi. Tkwi ona w tym, aby dać narodowi impuls, stwarzając oligarchię, w której by żyła stała myśl rządu i która by prowadziła sprawy publiczne po dobrej drodze, zamiast pozwalać szarpać kraj w tysiącu kierunków, jak to robiono z nami od czterdziestu lat w pięknej Francji, tak inteligentnej i tak głupiej, tak szalonej i tak mądrej, której trzeba by raczej systemu niż ludzi. Cóż znaczą osoby w tej wielkiej sprawie? Jeśli cel jest wielki, jeżeli lud będzie żył szczęśliwszy i bez wstrząśnień, coż znaczą masom zyski naszej hegemonii, nasze majątki, nasze przywileje i przyjemności?*

*Ja stoję teraz silnie na nogach. Mam dziś sto pięćdziesiąt tysięcy dochodu w rencie trzy procentowej i rezerwę dwustu tysięcy na pokrycie ewentualnych strat. To mi się zdaje jeszcze bardzo mało w kieszeni człowieka, który wyrusza lewą nogą, aby zdobyć władzę. Szczęśliwy wypadek rozstrzygnął o mym wstąpieniu na drogę, która mi się niezbyt uśmiechała, bo Ty wiesz, jak ja lubię życie Wschodu. Po trzydziestu pięciu latach snu moja czcigodna matka przebudziła się, przypominając sobie, że ma syna, który jej przynosi zaszczyt. Często, kiedy się wydrze szczep winny, w parę lat potem kilka pędów pojawia się nad ziemią; otóż, mój drogi, mimo że matka wyrwała mnie prawie całkowicie z serca, odrosłem w jej głowie. W pięćdziesiątym ósmym roku czuje się zbyt wiekowa, aby móc myśleć o innym mężczyźnie niż własnym synu. W tym stanie ducha spotkała, nie wiem już, w jakich kąpielach, rozkoszną starą pannę. Angielkę, mającą dwieście czterdzieści tysięcy funtów renty, i jako dobra matka podsunęła jej śmiałą ambicję zostania moją żoną. Panienka trzydziestosześcioletnia, na honor, wychowana w najlepszych zasadach purytańskich, istna kwoczek, która utrzymuje, że cudzołożne żony powinno się palić publicznie. „Skąd nastarczono by drzewa?” – odpowiedziałem. Byłbym ją oczywiście posłał do wszystkich diabłów, zważywszy, że dwieście czterdzieści tysięcy funtów renty nie są żadną ceną mojej wolności, mojej wartości fizycznej i moralnej ani mojej przyszłości. Ale ona jest jedyną spadkobierczynią starego podagryka, jakiegoś londyńskiego piwowara, i ten, w dość określonym czasie, ma jej zostawić majątek co najmniej równy temu, który już posiada ta pieszczoszka. Poza tymi zaletami ma czerwony nos, oczy zdechłej kozy, kibić, która mnie przejmuje strachem, by się nie złamała na troje, jeżeli upadnie; wygląda na źle pomalowaną lalkę; ale jest bajecznie oszczędna; ale będzie ślepo ubóstwiała męża; ale ma charakter angielski; będzie mi prowadziła mój pałac, moje stajnie, mój dom, moje dobra lepiej od wszelkiego intendenta. Ma wzniosłą godność cnoty; trzyma się prosto jak powiernica z Komedii Francuskiej; jestem święcie przekonany, że ją nigdy wbito na pal i że pal złamał się jej w ciele. Miss Stevens jest zresztą na tyle biała, aby nie było zbyt przykrym poślubić ją, skoro trzeba będzie koniecznie. Ale – szczególnie wzruszający! – ma ręce dziewicy cnotliwej jak Arka święta; są tak czerwone, że nie wyroilem jeszcze sposobu wybielenia ich bez zbyt dużych kosztów; nie wiem też, jak jej ostrugać palce, podobne do kiełbasek. Och, ma absolutnie coś z piwowara przez swoje ręce i z arystokracji przez swoje pieniądze; ale nadaje sobie zbyt wielkie tony, jak bogate Angielki, które chcą uchodzić za wielkie damy, i nie dość pilnie chowa swoje homarze łapy. Inteligencji ma w sam raz tyle, ile jej dozwalam mieć kobiecie. Jeśli istnieje gdzieś istota głupsza, chętnie wybiorę się na poszukiwania. Nigdy ta kobieta, która się nazywa Dina, nie ośmieli się mnie sądzić; nigdy mi się nie sprzeciwi; będę jej Izbą Parów, jej lordem, jej Izbą Gmin.*

Słowem, Pawle, ta pannica jest niezaprzeczoną dowodem geniuszu angielskiego; przedstawia produkt mechaniki angielskiej na szczycie doskonałości; z pewnością sfabrykowano ją w Manchester, między fabryką stalówek Perry a fabryką maszyn parowych. Je, chodzi, pije, potrafi mieć dzieci, pielęgnować je, wychowywać cudownie i odgrywa kobietę tak, iż można uwierzyć, że to jest kobieta. Kiedy matka zapoznała nas z sobą, tak dobrze nakręciła tę maszynę, tak wypolerowała tryby, tyle napuściła oliwy, że nic nie skrzypiało; potem, kiedy ujrzała, że nie krzywię się nadto, pocisnęła ostatni guzik: ta dziewczyna przemówiła! Wreszcie i matka puściła ostatnie słowo. Miss Dina Stevens wydaje tylko trzydzieści tysięcy franków rocznie, podróżuje od siedmiu lat dla oszczędności. Istnieje zatem drugi skarbczyk, i to w gotówce. Sprawa jest tak posunięta, że wyszły zapowiedzi. Jesteśmy na, my dear love<sup>83</sup>. Miss robi do mnie oczy zdolne wrzucić drwala. Wszystko ułożone: nie ma, mowy o moim majątku, miss Stevens poświęca część swego na stworzenie majoratu w ziemi, z dochodem dwustu czterdziestu tysięcy franków, i na kupno pałacu, który nim będzie objęty; posag zakontraktowany, za który będę odpowiadał, wynosi milion. Nie może się skarżyć, zostawiam jej w całości wujaszka. Pocziwy piwowar, który zresztą przyczynił się do majoratu, omal nie pękł z radości, dowiadując się, że jego siostrzenica zostaje margrabiną. Zdolny jest upuścić sobie krwi dla mego pierworodnego. Sprzedam całą swoją rentę z chwilą, gdy dojdzie osiemdziesięciu, i umieszczę wszystko w ziemi. Do dwóch lat mogę mieć czterysta tysięcy franków dochodu w ziemi. Skoro raz pochowam piwowara, mogę liczyć na sześćset tysięcy franków renty. Widzisz, Pawle, daję przyjaciółom jedynie takie rady, których się trzymam dla siebie. Gdybyś mnie był posłuchał, miałbyś Angielkę, córkę jakiego nababa, która by Ci zostawiła swobodę kawalerską i swobodę myśli, potrzebną, aby zasiąść do wista ambicji. Odstąpiłbym Ci swoją przyszłą żonę, gdybyś nie był żonaty. Ale tak się nie skończy. Nie jestem człowiekiem, który by Ci kazał przeżywać przeszłość. Ten wstęp był potrzebny, aby Ci wytłumaczyć, że będę miał warunki potrzebne tym, którzy chcą się do grubej gry. Nie opuszczę Cię, mój chłopcze. Zamiast się marnować w Indiach, o wiele prostsze jest żeglować ze mną po wodach Sekwany. Wierzą mi, Paryż jest jeszcze ziemią, gdzie fortuna tryska najobficiej. Kalifornia leży przy ulicy Vivienne lub de la Paix, przy placu Vendôme lub ulicy Rivoli. W każdej innej krainie trud materialny, mozoły pośrednika, kroki, zabiegi konieczne są do zbudowania fortuny; ale tutaj wystarczy myśli. Tu każdy człowiek, nawet umiarkowanie inteligentny, spostrzega kopalnię złota, wkładając pantofle, wykalając zęby po obiedzie, kładąc się spać, wstając. Znajdź miejsce w świecie, gdzieby dobry pomysł, odpowiednio głupi, więcej przyniósł i prędzej był zrozumiany niż tutaj? Jeśli się wdrapię na szczyt drabiny, czy sądzisz, że byłbym zdolny odmówić Ci pomocnej ręki, słówka, podpisu? Czyż nam, młodym chwatom, nie trzeba przyjaciela, na którego moglibyśmy liczyć, choćby po to, aby go skompromitować w nasze miejsce, aby go posłać na śmierć jak prostego żołnierza dla ocalenia generała? Polityka jest niemożliwa bez człowieka honoru, z którym by można wszystko mówić i wszystko robić. Oto więc co Ci radzę. Puść kantem „Piękną Amelię”, wróć tutaj jak piorun, ja Ci urządzę pojedynek z Feliksem de Vandenesse, będziesz miał pierwszy strzał i ustrzelisz go jak gołębia. We Francji mąż obrażony, który zabije rywala, staje się człowiekiem poważanym i szanowanym. Nikt sobie zeń nie żartuje. Strach, mój drogi, to czynnik społeczny; środek powodzenia dla tych, co nie spuszczają oczu pod niczym spojrzeniem. Ja, który dbam o życie tyle, co o szklanek oślego mleka, i który nigdy nie znalazłem drgnienia lęku, zauważyłem, mój drogi, osobliwe skutki, jakie to uczucie sprawia w naszych nowoczesnych obyczajach. Jedni drżą, że stracą przyjemności, w których nawykli się taplać; drudzy drżą, że stracą kobietę. Dawny junacki obyczaj, kiedy to ciskało się życie jak ogryzek, nie istnieje już! U wielu odwaga to z ręczne spekulowanie na strach przeciwnika. Jedni Polacy w Europie biją się dla przyjemności bicia, uprawiają jeszcze sztukę dla sztuki, a nie przez wyrachowanie. Zabij Vandenesse'a, a żona Twoja będzie drżała, teściowa będzie drżała i publiczność będzie drżała, i zrehabilitujesz się, i obwieścisz swoją szaloną

<sup>83</sup> My dear love (ang.) – moje drogie kochanie.

*miłość do żony, i uwierzą Ci, i staniesz się bohaterem. Taka jest Francja. Nie chodzi między nami o głupie sto tysięcy; zapłacisz najpilniejsze długi; wstrzymasz ruinę sprzedając swoje dobra z prawem odkupu, bo będziesz miał szybko pozycję, która Ci pozwoli spłacić wierzycieli jeszcze przed terminem. Następnie, raz znając prawdziwy charakter żony, będziesz panował nad nią jednym słowem. Kochając ją, nie mogłeś z nią walczyć; nie kochając jej już, będziesz miał niezwalczoną siłę. Uczynię Ci Twoją teściową gibką jak rękawiczka; chodzi wszak o to, aby Ci odzyskać sto pięćdziesiąt tysięcy renty, które te kobiety sobie zachowały. Daj więc pokój ekspatriacji, która jest dla inteligentnych ludzi tym, czym piecyk z węglami dla szwaczki. Wyjechać czy to nie znaczy dać wygraną potwarzy? Gracz, który idzie po pieniądze, aby wrócić do gry, przegrywa wszystko. Trzeba mieć złoto w kieszeni. Robisz na mnie wrażenie, że jedziesz po świeże wojsko do Indii. Na nic! Jesteśmy dwaj gracze przy zielonym stole polityki, między nami pożyczka jest obowiązkiem. Tak więc bierz ekstrapocztę, wracaj do Paryża i zacznij partię na nowo; wygrasz ją, grając z Henrykiem de Marsay, bo de Marsay umie chcieć i umie uderzać. Oto jak rzeczy stoją. Mój prawdziwy ojciec jest ministrem w Anglii. Będziemy mieli stosunki w Hiszpanii przez Evangelistów; bo skoro raz zmierzmy się na pazury z teściową, uznamy oboje, że nie ma żadnego interesu, aby czart zjadał czarta. Montriveau, mój drogi, jest generałem dywizji; będzie kiedyś ministrem wojny, bo jego wymowa daje mu wielki wpływ w Izbie. Ronquerolles zostaje ministrem stanu i rady przybocznej. Marcjak de la Roche-Hugon został świeżo ambasadorem w Niemczech i parem Francji; przynosi nam w posagu marszałka księcia de Carigliano i cały kuper Cesarstwa, który uczeplił się tak głupio kregosłupa Restauracji. Sérisy wodzi za nos Radę Stanu, gdzie jest nieodzowny, Granville trzyma sądownictwo, w którym ma dwóch synów; Grandlieu są świetnie sytuowani u dworu; Ferraud to dusza koterii Gondreville'a, podłych intrygantów, którzy zawsze są na górze, nie wiem czemu. Z takim oparciem czegoż możemy się lękać? Mamy nogę w każdej stolicy, oko we wszystkich gabinetach, siedzimy w rządzie bez jego wiedzy. Czy kwestia pieniężna nie jest głupstwem, niczym wobec tych wielkich sprężyn? Co to jest zwłaszcza kobieta? Czy zawsze będziesz studentem? Czym jest życie, mój drogi, kiedy kobieta jest całym życiem? To statek, nad którym się nie panuje, który płynie wedle oszalałej busoli, ale nie bez magnesu, którym miotają przeciwne wiatry i gdzie człowiek jest istnym galernikiem, skutym nie tylko przez prawo, ale i przez kaprys dozorczy, bez możliwości odwetu. Tfu, rozumiem, że wiedziony namiętnością lub szukając rozkoszy, jaką daje mu złożenie swej mocy w białe rączki, mężczyzna poddaje się władzy kobiety; ale poddać się Medorowi<sup>84</sup>? W takim razie rezygnuję z Angeliki. Wielki sekret alchemii społecznej, mój drogi, to wyciągnąć możliwie najwięcej z każdego wieku, który przeżywamy, mieć wszystkie liście na wiosnę, wszystkie kwiaty w lecie, wszystkie owoce w jesieni. Nabawiliśmy się, paru urwisów i ja, przez dwanaście lat jak istni muszkietrowie, nie odmawiając sobie niczego, nawet małego korsarstwa tu i ówdzie; teraz zaczniemy strząsać dojrzałe śliwki w wieku, w którym doświadczenie ozłociło zbiory. Chodź z nami, będziesz miał częśćkę w puddingu, który upieczemy. Przybywaj, a znajdziesz sercem oddanego przyjaciela w skórze Twego*

HENRYKA DE M.

W chwili gdy Paweł de Manerville kończył ten list, którego każde zdanie było niby uderzenie młota w gmach jego nadziei, jego złudzeń, jego miłości, znajdował się za Azorami. Wśród tych ruin chwyciła go zimna, bezsilna wściekłość.

– Co ja im zrobiłem? – pytał.

To pytanie to jest okrzyk głupców, ludzi słabych, którzy, nie umiejąc nic widzieć, nie mogą nic przewidzieć. Krzyczał: – Henryku, Henryku! – do wiernego przyjaciela. Wielu ludzi

<sup>84</sup> Medor i wspomniana niżej Angelika – postaci z poematu „Orland szalony” Ariosta (1474–1533).

byłoby oszalało. Paweł położył się spać i usnął owym głębokim snem, jaki następuje po ogromnych klęskach, snem, który ogarnął Napoleona po bitwie pod Waterloo.

Paryż, wrzesień–październik 1835

# DRUGIE STUDIUM KOBIETY

---

*Przełożył*  
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*DEDYKOWANE LEONOWI GOZLAN  
W DOWÓD SZCZEREGO  
KOLEŻEŃSTWA LITERACKIEGO*

W Paryżu bal czy raut składa się właściwie z dwóch wieczorów. Najpierw wieczór oficjalny, w którym biorą udział osoby zaproszone, dystyngowany świat, który się nudzi. Każdy pozuje dla sąsiada. Większość młodych kobiet przychodzi tylko dla kogoś jednego. Kiedy każda upewniła się, że jest dla tego kogoś najpiękniejsza i że pogląd ten podziela jeszcze kilka osób, wówczas, po wymianie obojętnych zdań w rodzaju: „Czy wybierasz się wcześniej na wieś?” – „Pani de Portenduère ładnie dziś śpiewała!” – „Kto jest ta damulka, która ma tyle brylantów?” – lub też owych ulotnych spostrzeżeń, które sprawiają krótką przyjemność albo zadają trwałe rany, grupy przeredzają się, obojętni odchodzą, świece dopalają się do końca. Wówczas pani domu zatrzymuje kilku artystów, ludzi wesołych, przyjaciół, mówiąc: „Zostańcie, zjemy kolacyjkę w swoim kółku”. Wszyscy skupiają się w saloniku. Zaczyna się drugi, prawdziwy wieczór, wieczór, na którym, jak za dawnych dobrych czasów, każdy słyszy, co się mówi, gdzie rozmowa jest ogólna, gdzie każdy musi być dowcipny i przyczynić się do ogólnej zabawy, wszystko nabiera wyrazu, szczerzy śmiech zaciera nadęte miny, które w dużym towarzystwie osmucaly najładniejsze twarze. Słowem, przyjemność zaczyna się z chwilą, gdy raut się kończy. Raut, ta zimna rewia zbytku, ta defilada próżności, jest jednym z owych angielskich wymysłów, dążących do z m e c h a n i z o w a n i a innych narodów. Anglii, zdawałoby się, zależy na tym, aby cały świat nudził się tak jak ona i tyle, co ona. Ten drugi wieczór jest tedy we Francji, w paru domach, szczęśliwym protestem dawnego ducha naszego wesołego kraju; ale, nieszczęściem, mało osób protestuje!

Przyczyna tego jest bardzo prosta: Jeśli mało kto dziś wydaje kolacje, to dlatego, że nigdy, pod żadnym rządem nie było mniej ludzi ustalonych, usytuowanych, spokojnych niż pod panowaniem Ludwika Filipa, w którym rewolucja zaczęła się legalnie. Wszyscy pędzą dziś do jakiegoś celu, gonią za majątkiem. Czas stał się drogi; nikt nie może sobie pozwolić na tę rozrzutność, aby wracać do domu rano i wysypiać się do późna. Te drugie wieczory odbywają się tedy już tylko u kobiet dość bogatych na to, aby prowadzić dom otwarty, od lipca zaś r. 1830 kobiety te można policzyć na palcach. Mimo milczącej opozycji Dzielnicy Saint-Germain, parę kobiet – między nimi margrabina d'Espard i panna des Touches – nie chciały się wyrzec władzy, którą sprawowały w Paryżu, i nie zamknęły salonów.

Salon panny des Touches, sławny zresztą w Paryżu, jest ostatnim przytułkiem, gdzie się schronił dawny dowcip francuski ze swą ukrytą głębią, swymi tysiącnymi inwencjami i wyborną grzecznością. Tam możecie spotkać wdzięk mimo wyszukanej formy, swobodną gawędę mimo oględności wrodzonej ludziom dobrze wychowanym; zwłaszcza rozrzutność myśli. W tym domu nikt nie myśli o tym, aby zachować swój pomysł na dramat; opowiadając nikt nie myśli o spożytkowaniu tematu w książce. Słowem, nie jawi się tam wciąż ohydny szkielet literatury, węszącej za strawą przy lada szczęśliwym koncepcie lub zajmującej historii.

Wspomnienie jednego z takich wieczorów szczególnie utkwiło mi w pamięci, nie tyle nawet z powodu zwierzenia, w którym znakomity de Marsay odsłonił jeden z najgłębszych zakamarków serca kobiety, ile z powodu uwag, jakie wywołało jego opowiadanie. Uwagi te są komentarzem do zmian, jakie w kobiecie francuskiej spowodowała nieszczęsna rewolucja lipcowa.

Przypadek zgromadził na tym wieczorze sporo osób, które dzięki swym niezaprzeczoną wartościom zyskały europejską reputację. Nie jest to pochlebstwo pod adresem Francji, bo było tam kilku cudzoziemców. Ci, którzy najbardziej tam błyszczeli, nie byli zresztą najślawniejsi. Cięte odpowiedzi, subtelne spostrzeżenia, przednie koncepty, sylwetki kreślone z cudowną precyzją migotały i tłoczyły się bez przymusu, rzucone niedbale, a cudownie odczute i pojmowane. Światowcy zwłaszcza odznaczeni się wdziękiem i werwą godną artystów. Możecie spotkać gdzie indziej w Europie wytworne maniery, uprzejmość, wiedzę, ale jedynie w Paryżu, w tym salonie – i w paru, o których wspomniałem – istnieje ów swoisty dowcip, stwarzający z wszystkich tych przymiotów miłą i kapryśną całość, jakaś płynność, która pozwala kłębić się obfitości myśli, aforyzmów, opowiadań, dokumentów historycznych. Tylko Paryż, ta stolica dobrego smaku, zna sztukę zmieniania rozmowy w turniej, w którym każda inteligencja skupia się w jednym rysie, gdzie każdy rzuca jedno zdanie i zamyka swoje doświadczenie w jednym słowie, gdzie każdy się bawi, odpoczywa i uczy się. Toteż tylko tam może istnieć wymiana myśli; tam nie dźwigasz, jak ów delfin z bajki<sup>85</sup>, jakiejś małpy na grzbiecie; tam będziesz rozumiany i nie narazisz się na to, aby stawiać w grze złoto przeciw liczmanom. Tam wreszcie delikatnie zdradzone sekrety, lekkie a głębokie gawędy mieniają się, falują, przybierają nowy wygląd i nową barwę za każdym zdaniem. Żywa dyskusja, zwięzłe opowiadania zająbiają się o siebie wzajem. Wszystkie oczy słuchają, gesty pytają, a fizjonomia odpowiada. Wszystko tam jest; w jednym słowie: duch i myśl.

Nigdy nie byłem tak silnie pod urokiem daru słowa, umiejętnego, celowego, które stanowi siłę aktora czy opowiadacza. Nie ja jeden byłem wrażliwy na tyle czarów; spędziliśmy wszyscy rozkoszny wieczór. Rozmowa, przybrawszy charakter gawędy, pociągała swoim szybkim biegiem ciekawe zwierzenia, mnóstwo portretów, tysiące wybryków, które czynią tę uroczą improwizację czymś zgoła nie do przetłumaczenia. Ale skoro zostawimy rzeczom ich naturalny smak, ich bieg, ich kapryśne falowanie, może zrozumiecie wówczas wdzięk wieczoru naprawdę francuskiego, pochwyconego w momencie, gdy w atmosferze najmilszej swobody każdy zapomina o swoich interesach, o swej ambicji lub, jeśli wolicie, o swoich pretensjach.

Okolo drugiej rano, w chwili gdy kolacja się skończyła, znajdowało się koło stołu już tylko bliskie kółko, wypróbowane w kilkunastoletniej zażyłości, albo też ludzie wytrawni, dobrze wychowani i znający życie. Mocą niemego i ściśle przestrzeganego układu przy kolacji każdy zrzekał się swojej rangi społecznej. Panowała najzupełniejsza równość. Nie było tam zresztą nikogo, kto by nie był bardzo dumny, że jest sobą. Pani d'Espard zaprowadziła zwyczaj, że siedzi się przy stole do końca wieczoru, zauważyła bowiem nieraz, jaką zmianę nastroju pociąga zmiana miejsca. W przejściu między jadalnią a salonem czar pryska. Zdaniem Sterne'a, myśli autora, który się ogolił, mają inną barwę niż przed wykonaniem tej czynności. Jeżeli Sterne ma rację, czyż nie można śmiało twierdzić, że nastrój ludzi przy stole inny jest, niż kiedy ci sami ludzie wrócą do salonu? Opar nie bije już do głowy, oko nie ma już przed sobą owego miłego nieładu stołu przy deserze, straciło się rozkosz tego lenistwa, tej życzliwości, ogarniającej ludzi najedzonych, tonących w miękkich krzesłach, jakie wyrabia się dzisiaj. Po prostu ludzie chętniej rozmawiają przy deserze, przy kieliszku dobrego wina, w rozkosznej chwili, gdy każdy może oprzeć się łokciami na stole i wesprzeć głowę na dłoni. Nie tylko wszyscy lubią wówczas mówić, ale i słuchać. Trawienie, prawie zawsze absorbujące, bywa

---

<sup>85</sup> D e l f i n z b a j k i – aluzja do bajki Lafontaine'a pt. „Małpa i delfin” (księga IV, 7): delfin uratował z tonącego okrętu małpę, myśląc, że to człowiek; dopiero jej głupie odpowiedzi przekonały go, „że wydobyl z toni nie człowieka, lecz małpisko”.



zależnie od usposobienia rozmowne albo milczące. Każdy znajduje wówczas coś dla siebie. Czy nie trzeba było tego wstępu, aby was wtajemniczyć w urok poufnego zwierzenia, w jakim nie żyjący już sławny człowiek odmalował niewinny jezuityzm kobiety: a uczynił to z subtelnością właściwą ludziom, co wiele widzieli. Przymiot ten sprawia, iż wszyscy mężowie stanu cudownie opowiadają, kiedy, jak Talleyrand i Metternich, raczą opowiadać.

De Marsay, mianowany od pół roku pierwszym ministrem, dał już dowody niepospolitych zdolności. Mimo iż ci, którzy go znali od dawna, nie zdziwili się, patrząc, jak rozwija wszystkie talenty i przymioty męża stanu, można było sobie zadać pytanie, czy on wiedział, że jest wielkim politykiem, czy też dojrzał w ogniu okoliczności. Takie pytanie zadał mu właśnie, w intencji na wskroś filozoficznej, bystry i inteligentny człowiek, którego świeżo minister zamianował prefektem, a który przedtem był długo dziennikarzem. Podziwiał de Marsaya bez owej domieszki kwasu, który w Paryżu służy inteligentnemu człowiekowi za usprawiedliwienie, że podziwia drugiego człowieka.

– Czy w twoim dawniejszym życiu był jaki fakt, myśl, pragnienie, które zdradziły ci twoje powołanie? – spytał Emil Blondet. – Wszyscy podobno mamy, jak Newton, nasze jabłko, które spada i ściąga nas na grunt, na którym rozwijają się nasze zdolności...

– Owszem – rzekł de Marsay – opowiem wam to.

Ładne kobiety, dandysi, artyści, starcy, przyjaciele de Marsaya poprawili się wygodnie w krzesłach i patrzyli na ministra. Czy trzeba dodać, że służba już się nie kręciła, drzwi były zamknięte, portiery zasunięte? Cisza była tak głęboka, że słychać było w dziedzińcu szmer woźniców, tupot i parskanie koni, którym tęskno było do stajni.

– Człowiek polityczny, moi drodzy, istnieje tylko jednym przymiotem – rzekł minister, bawiąc się złotym nożykiem w oprawie z perłowej masy – umieć zawsze panować nad sobą, robić w każdej chwili bilans każdego faktu, choćby najbardziej przypadkowego, słowem, kryć w sobie istotę zimną i bezinteresowną, która przygląda się jak prosty świadek drganiom naszego życia, naszym namiętnościom, uczuciom i podsuwa nam w każdej chwili wykaz wszystkich pozycji.

– Objaśniasz nam tym samym, czemu mężowie stanu tak rzadcy są we Francji – rzekł stary lord Dudley.

– Z punktu uczuciowego to jest rzecz okropna – odparł minister. – Toteż kiedy ten fenomen ziści się w młodym człowieku (Richelieu, który, ostrzeżony listownie o niebezpieczeństwie Conciniego<sup>86</sup>, spał do południa, gdy jego dobroczyńcę miano zamordować o dziesiątej), taki młody człowiek, nazwijmy go Pitt<sup>87</sup> albo Napoleon, jeśli chcecie, jest czymś potwornym, prawda? Ja stałem się bardzo wczesnie takim potworem, i to dzięki kobiecie.

– Myślałam – rzekła z uśmiechem pani de Montcornet – że my więcej psujemy politykę, niż ją robimy.

– Potwór, o którym mówię, jest potworem tylko dlatego, że się wam opiera – odparł minister ironicznie, schylając głowę.

– Jeżeli chodzi o przygodę miłosną, żądam, aby jej nie przerywano żadnymi refleksjami – rzekła baronowa de Nucingen.

– Refleksja jest tu bardzo nie na miejscu – wykrzyknął Józef Bridau.

– Miałem siedemnaście lat – podjął de Marsay. – Restauracja zaczynała się ustalać; moi starzy przyjaciele wiedzą, jaki byłem wówczas porywczy i gorący. Kochałem pierwszy raz i – mogę to dziś powiedzieć – byłem jednym z najładniejszych chłopców w Paryżu. Miałem urodę, młodość, dwa przymioty, które zawdzięczamy przypadkowi, a z których jesteśmy dumni jak z własnej zasługi. Resztę trzeba mi pokryć milczeniem. Jak wszyscy młodzi ludzie kochałem się w kobiecie o sześć lat starszej ode mnie. Nikt z państwa – rzekł, wodząc okiem dokoła stołu – nie może się domyślać jej nazwiska ani jej odgadnąć. Jedyny Ronquerolles

<sup>86</sup> Concini -patrz przypis 51.

<sup>87</sup> William Pitt (1759–1806) zwany Młodszym – angielski mąż stanu, zacięty wróg Napoleona.

przeniknął w owym czasie moją tajemnicę i dochował jej; bałbym się jego uśmiechu, ale poszedł – dodał minister, spoglądając wkoło.

– Nie chciał zostać na kolacji – rzekła pani de Sérisy.

– Od pół roku pogrążony w tej miłości, a nieświadom, że namiętność moja jest tak silna, oddawałem się owemu cudownemu bałwochwalstwu, które jest triumfem, a zarazem kruchym szczęściem młodości. Chowałem jej znoszone rękawiczki, piłem odwar z kwiatów, które ona nosiła, wstawałem w nocy, aby iść patrzeć w jej okna. Wszystkie krew zbiegała mi do serca, kiedy wdychałem zapach jej perfum. Byłem o tysiąc mil od świadomości, że kobiety to są piece z nagłówkiem z marmuru.

– Och, niech nam pan oszczędzi swoich okropnych określeń – rzekła pani de Camps z uśmiechem.

– Sądzę, że byłbym zmiądzzył wzgardą filozofa, który sformułował tę straszliwą, a tak głęboko trafną myśl – odparł de Marsay. – Jesteście państwo wszyscy zbyt inteligentni, abym wam potrzebował mówić więcej. Tych kilka słów przypomni wam własne szaleństwa. Mój ideał była to wielka dama co się zowie, wdowa i bez dzieci (ideał pod każdym względem!); otóż moje bóstwo zamykało się w domu, aby znaczyć własnoręcznie moją bieliznę swoimi włosami; słowem, odpłacała moje szaleństwa niegorszą monetą. Jak nie wierzyć w miłość, kiedy rękojmnią jej jest szaleństwo? Obróciliśmy oboje całą naszą inteligencję na to, aby ukryć przed światem tak pełną i piękną miłość, i udało się nam. Ileż uroku miały nasze schadzki! O niej nie powiem wam nic; wówczas była czymś doskonałym, dziś jeszcze uchodzi za jedną z najładniejszych kobiet w Paryżu, ale wtedy ludzie daliby się zabić, aby uzyskać jedno jej spojrzenie. Położenie jej majątkowe było zupełnie wystarczające jak na kobietę ubóstwianą i zakochaną, ale nie było ono w proporcji z jej nazwiskiem, któremu Restauracja przydała nowego blasku. Co do mnie, młodzieńcza moja próżność nie dopuszczała żadnych podejrzeń. Mimo iż zazdrość moja byłaby wówczas starczyła na stu dwudziestu Otellów, straszne to uczucie drzemało we mnie niby złoto w rudzie. Byłbym się kazał wygrzmocić służącemu, gdybym popełnił tę nikczemność, aby podejrzewać czystość tego anioła, tak wątego, a tak silnego, tak jasnego i naiwnego, czystego, niewinnego, którego błękitne oko, cudownie podając się memu spojrzeniu, pozwalało wnikać w głąb serca. Nigdy najmniejszego zawahania w pozie, w spojrzeniu, słowie; zawsze biała, świeża, gotowa do oddania się niby wschodnia lilia z „Pieśni nad pieśniami”... Och, moi drodzy – wykrzyknął boleśnie minister, stając się z powrotem młodzieńcem – trzeba bardzo mocno wyrznąć głową o marmur, aby się ocknąć z tych złudzeń!

Ten szczerzy wykrzykownik, który znalazł echo w sercu słuchaczy, podrażnił ich ciekawość, i tak już umiejętnie pobudzoną.

– Co rano, siedząc na owym pięknym Sułtanie, któregoś mi przysłał z Anglii – rzekł do lorda Dudley – mijałem jej kolaskę, która umyślnie jechała stępa, i czytałem rozkaz dzienny, wypisany kwiatami w jej bukietach na wypadek, gdybyśmy nie mogli wymienić paru słów. Mimo iż widywaliśmy się prawie co wieczór w towarzystwie i że ona pisywała do mnie co dzień, przyjeśliśmy pewien system mający oszukać spojrzenia i zmylić domysły. Nie patrzeć na siebie, unikać się, mówić źle o sobie wzajem, podziwiał się i chwalić, i pozować na wzgardzonego kochanka, wszystkie te stare sztuczki niewarte są jednej, polegającej na tym, aby udawać miłość dla osoby obojętnej, a obojętność dla prawdziwego bóstwa. Jeśli para kochanków puści się na tę grę, zawsze uda im się oszukać świat, ale muszą być wówczas bardzo pewni siebie wzajem. Jej parawanem był pewien dworak cieszący się najwyższą łaską, zimny nabożniś, który zresztą nie bywał u niej w domu. Graliśmy tę komedię ku uciechu salonowych gapiów, którzy się z niej śmiali. Nie było mowy o małżeństwie między nami: sześć lat różnicy musiało jej dawać do myślenia, nie wiedziała też o moim majątku, który z zasady zawsze ukrywałem. Co do mnie, byłem tak oczarowany jej dowcipem, wzięciem, wykształceniem, sztuką towarzyską, że byłbym się z nią ożenił bez wahania. Jednakże ta delikatność podobała

mi się. Gdyby ona pierwsza natrąciła o małżeństwie, może wydałoby mi się to czymś pospolitym, niegodnym tej idealnej duszy. Sześć miesięcy pełnych i całkowitych, diament najczystszej wody – oto moja porcja miłości na tym padole.

Pewnego rana, zaziębiony, czując nieco gorączki, napisałem do niej słówko, aby odłożyć jedną z naszych sekretnych uczt miłości, utajonych na poddaszu paryskim niby perła na dnie morza. Skoro wysłałem list, nawiedził mnie wyrzut: „Nie uwierzy, że jestem chory”, pomyślałem. Ona udawała zazdrosną i podejrzliwą. Kiedy zazdrość jest szczerą – wtrącił de Marsay – jest ona nieomylnym znakiem jedynej miłości...

– Czemu? – spytała żywo księżna de Cadignan.

– Miłość jedyna i szczerą – rzekł de Marsay – stwarza pewną apatię fizyczną nastrajającą do dumań. Mózg zaczyna wówczas wszystko komplikować, zagłębia się w sobie, roi sobie chimery, zmienia je w rzeczywistość, dręczy się; jest to zazdrość równie urocza, jak nieznośna.

Pewien zagraniczny poseł uśmiechnął się, stwierdzając w świetle jakiegoś wspomnienia prawdę tej refleksji.

– Zresztą, powiadałem sobie, jak można wyrzec się chwili szczęścia? – ciągnął de Marsay. – Czyż nie lepiej iść mimo gorączki? Bałem się przy tym, iż gdyby wiedziała, że jestem chory, byłaby zdolna przybiec i narazić się. Zdobywam się na wysiłek, piszę drugi list i odnoszę go sam, bo mego zaufanego człowieka już nie było. Mieszkała po drugiej stronie rzeki; musiałem przebyć cały Paryż; wreszcie, w przyzwoitej odległości od jej domu, chwytam posłańca, każę mu natychmiast zanieść list i wpadam na pomysł, aby przejechać w dorożce pod bramą, dla przekonania się, czy przypadkiem oba listy nie przyjdą na raz. W chwili gdy przybywam o drugiej, brama otwiera się, aby przepuścić powóz, czyj?... „parawana”! Jest temu już piętnaście lat... otóż, w chwili gdy wam to opowiadam, ja, zużyty mówca, minister wysuszony polityką, czuję jeszcze wrzenie w sercu i żar we wnętrzościach. Za godzinę wracam; powóz wciąż stoi w dziedzińcu! Bilecik mój został zapewne u odźwiernego. Wreszcie o wpół do czwartej powóz odjechał. Mogłem się przyjrzeć fizjonomii mego rywala: był poważny, nie uśmiechał się, ale kochał, i z pewnością było coś między nimi. Idę na schadzki, królowa mego serca przybywa, jest spokojna, czysta i pogodna. Tu muszę się państwu przyznać, że Otello zawsze wydawał mi się nie tylko głupcem, ale człowiekiem bez smaku. Jedynie Murzyn czy Metys zdolny jest zachować się w ten sposób. Szekspir czuł to zresztą doskonale, skoro dał sztuce tytuł „Murzyn wenecki”. Widok ukochanej kobiety jest czymś tak błogim, że musi rozproszyć ból, zwątpienie, zgryzotę; cały mój gniew pierzchnął, odzyskałem uśmiech. Tak więc to zachowanie się, które w moim wieku byłoby najstraszliwszą obłądą, było wynikiem mojej miłości i młodości. Raz pogrzebawszy zazdrość, mogłem obserwować. Mój chorobliwy stan był widoczny, a straszliwe podejrzenia, które mnie nękały, potęgowały go jeszcze. Wreszcie znalazłem sposobność, aby wsunąć te słowa: „Czy nie miałaś dzisiaj żadnej wizyty?” – motywując je niepokojem, jaki zbudziła we mnie obawa, iż mogła rozrzucić popołudniem po moim pierwszym bileciku.

– Och! – rzekła – trzeba być mężczyzną, aby przypuszczać coś podobnego! Ja miałabym myśleć o czym innym niż o twoim cierpieniu? Do chwili, w której przyszedł twój drugi list, myślałam tylko o tym, jak pobiec do ciebie.

– I byłaś sama?

– Sama – rzekła, patrząc na mnie z zupełną niewinnością. Taka musiała być minka, która skłoniła Murzyna do zabicia Desdemony.

Ponieważ ona sama zajmowała cały dom, było to ohydne kłamstwo. Jedno jedyne kłamstwo niweczy owo bezwzględne zaufanie, które dla pewnych dusz jest zasadą miłości. Aby wam powiedzieć, co się działo we mnie w tej chwili, trzeba by przyjąć, że mamy w sobie wewnętrzną istotę, której widzialne ja służy za futerał; że ta istota, lśniąca jak światło, jest delikatna jak cień... otóż to piękne ja okryło się wówczas na zawsze kirem. Tak, uczułem, iż

zimna i koścista ręka obleka mnie w całun doświadczenia, nakłada mi ową wiekuiastą żalobę, jaką wnosi w naszą duszę pierwsza zdrada.

Spuściłem oczy, aby nie zdradzić przed nią błysku myśli, tej dumnej myśli, która wróciła mi nieco sił: „Jeśli cię oszukuje, zatem jest niegodna ciebie!” Rumieniec mój i łzy, które zakręciły mi się w oczach, złożyłem na karb niedomagania; słodka istota ofiarowała się odwieźć mnie do domu w dorożce ze spuszczoneymi storami. Po drodze okazywała mi tyle czułości i troskliwości, że byłaby oszukała nawet weneckiego Murzyna. W istocie, jeśli to wielkie dziecko zawaha się jeszcze dwie sekundy, każdy inteligentny widz rozumie, że za chwilę poprosi Desdemonę o przebaczenie. Bo też zabijać kobietę to istny czyn dziecka.

Płakała, kiedyśmy się rozstawali; tak była nieszczęśliwa, że nie może mnie pielęgnować! Chciałaby być moim lokajem, zazdrościła losu temu człowiekowi, a wszystko w słowach, och, godnych listu jakiejś szczęśliwej Klaryssy<sup>88</sup>. Jest dużo z małpki w najładniejszej, najbar dziej anielskiej kobiecie pod słońcem!

Tu wszystkie kobiety spuściły oczy, jakby zranione tą okrutną prawdą, wyrażoną w tak okrutny sposób.

– Nie powiem wam nic o nocy ani o tygodniu, jaki spędziłem – ciągnął de Marsay – uczułem się mężem stanu.

Było to tak dobrze powiedziane, iż mimo woli wydarł się nam gest podziwu.

– Przechodząc z isticie piekielną inteligencją sposoby, w jakie można się zemścić na kobiecie – ciągnął de Marsay – (a przy takiej miłości jak nasza istniały sposoby straszliwe, nie do zagojenia) gardziłem sobą, wydawałem się sam sobie podły, skłaniałem się bezwiednie do okropnego kodeksu pobłażania. Mścić się na kobiecie czyż to nie znaczy uznać, że istnieje tylko ona jedna, że nie umielibyśmy się bez niej obejść? A wówczas czyż zemsta jest sposobem odzyskania jej? Jeśli nie jest nam nieodzowna, jeśli istnieją inne, czemu nie zostawić jej prawa do zmienności, które przyznajemy sobie? To, oczywiście, odnosi się tylko do miłości; inaczej byłoby to antyspołeczne; nic lepiej nie dowodzi potrzeby nierozzerwalnego małżeństwa niż kruchość uczuć. Dwie płcie powinny być skute jak dzikie bestie, którymi są w istocie, prawem nieugiętym, głuchym i niemym. Usuńcie zemstę, a zdrada jest w miłości niczym. Ci, którzy sądzą, że istnieje dla nich tylko jedna kobieta, muszą być za zemstą, a wówczas istnieje tylko jedna: zemsta Otella. Oto jaką wybrałem ja.

Te słowa wywołały w sali owo nieznaczące poruszenie, które sprawozdawcy sejmowi określają w ten sposób: (G ł ę b o k i e   w r a ż e n i e).

– Wyleczony ze swego kataru oraz z czystej, absolutnej i boskiej miłości, nawiązałem miłośćkę, której heroina była urocza, w zupełnie innym typie niż mój zdradziecki anioł. Nie było mi zresztą w głowie zrywać z ową kobietą tak wytworną i tak dobrą aktorką; nie wiem bowiem, czy prawdziwa miłość daje rozkosze równie łube, co misterne udanie. Taka obłuda warta jest tyle, co cnota (nie mówię tego do was. Angielek, milady – rzekł ciszej minister, zwracając się do lady Barimore, córki lorda Dudley). Słowem, starałem się być wciąż tym samym kochankiem. Musiałem oprawić dla mego nowego anioła pukle swoich włosów i udałem się w tym celu do biegłego artysty, który mieszkał wówczas przy ulicy Boucher. Człowiek ten miał jako specjalność podarki z włosów; polecam go tym, którzy nie mają za wiele tej ozdoby; posiada zapas we wszelkim gatunku i kolorze. Skoro mu wytłumaczyłem, czego potrzebuję, pokazał mi swoje prace. Ujrzałem arcydzieła cierpliwości, przewyższające wszystko, co się czyta w bajkach, a także przewyższające prace wykonane przez więźniów. Wtajemniczył mnie w kaprysy mody panujące w artykule włosów. „Od roku – powiadał – jest szła znaczenia bielizny włosami; na szczęście, miałem ładne kolekcje włosów i wyborne robotnice.” Tknęło mnie podejrzenie: wydobywam chusteczkę i mówię: „Zatem to jest robione u pana, z fałszywych włosów?”

<sup>88</sup> Klaryssa – bohaterka głośnej powieści w formie listów pt. „Klaryssa Harlowe” Samuela Richardsona (1689–1761), szlachetna dziewczyna, prześladowana przez rodzinę i uwiedziona przez Lovelace'a.

Obejrzał chusteczkę i rzekł:

– Och, ta dama była bardzo grymaśna, najstaranniej dobierała odcień. Moja żona sama znaczyła te chusteczki. Ma pan jeden z najpiękniejszych wyrobów, jakie istnieją.

Przed tym ostatnim szczegółem byłem zdolny w coś wierzyć, słowo kobiety było dla mnie czymś. Wychodząc stamtąd wierzyłem jeszcze w rozkosz, ale na punkcie miłości zrobiłem się ateuszem jak matematyk. W dwa miesiące później siedziałem koło owej eterycznej kobiety na sofie w jej buduarze; trzymałem ją za rękę (miała bardzo ładne ręce) i drapaliśmy się na Alpy sentymentów, zrywając najpiękniejsze kwiatki, obrywając margerytki (zawsze jest chwila, w której się obrywa margerytki, nawet kiedy się jest w salonie i kiedy nie ma margerytek)... W największym paroksyzmie uczuć, kiedy dwoje ludzi najbardziej się kocha, miłość ma tak silne poczucie swej nietrwałości, iż czujemy niezwykłą potrzebę pytania: „Czy kochasz? Czy będziesz kochać zawsze?” Chwytam ten liryczny moment, tak ciepły, tak bujny, tak bosko rozkwitły, aby ją wyciągnąć na najpiękniejsze kłamstwa w cudownym stylu owej miłośnej gaskonady. Szarlota roztoczyła wszystkie kwiaty swego kłamstwa: nie może żyć beze mnie, jestem jedyny, który dla niej istnieje; boi się, że mnie znudzi, bo moja obecność odbiera jej wszelki dowcip; przy mnie cała jej inteligencja wchodzi w miłość; jest zresztą zbyt uczuciowa, aby się nie obawiać; szuka od pół roku sposobu przywiązania mnie do siebie na wieki, jedynie Bóg zna tę tajemnicę; słowem, jestem jej bogiem!...

Słuchając de Marsaya, kobiety były niemal dotknięte, że je podpatrzył tak dobrze; słowem tym towarzyszyły minki, przechylenia głowy i mizdrzenia naśladujące do złudzenia te gierki.

– W chwili gdy miałem uwierzyć w te cudowne kłamstwa, naraz, wciąż trzymając w dłoni jej wilgotną rękę, rzekłem:

– Kiedy wychodzisz za księcia?...

Cios był tak nagły, oczy moje tak były wtopione w jej oczy, jej ręka tak miękko spoczywała w mojej, że nie mogła ukryć swego drżenia, mimo iż było bardzo lekkie; spojrzenie jej ugięło się pod moim, słaby rumieniec ubarwił jej lica.

– Za księcia! Co tobie się roi? – odparła, udając zdumienie.

– Wiem wszystko i moim zdaniem nie powinnaś zwlekać: jest bogaty, książę, ale jest więcej niż bigot, jest religijny! Toteż jestem pewny, że byłaś mi wierna dzięki jego skrupułom. Nie masz pojęcia, jak ważne jest, abyś go skompromitowała wobec Boga i jego samego; inaczej nie dojdiesz z nim końca.

– Czy ja śnię? – rzekła, dotykając włosów i czoła, na piętnaście lat przed Malibran<sup>89</sup>, przed owym sławnym gestem Malibranki.

– No, nie rób dziecka, mój aniołku – rzekłem, chcąc ją wziąć za rękę.

Skrzyżowała ręce na piersiach skromnym i obrażonym gestem.

– Niech p a n i wyjdzie za niego, pozwalam – rzekłem, odpowiadając na jej gest owym ceremonialnym „pani”. – Więcej jeszcze radzę.

– Ależ – rzekła, padając do mych kolan – tu jest jakaś straszliwa omyłka; ja kocham tylko ciebie, żądam dowodów, jakich zechcesz.

– Wstań, moja droga, i zrób mi ten zaszczyt, aby być szczerą.

– Jak z Bogiem.

– Czy wątpisz o mojej miłości?

– Nie.

– O mej wierności?

– Nie.

– Otóż ja popełniłem największą ze zbrodni, zwątpiłem o twojej miłości i wierze. Między dwiema chwilami upojenia zacząłem się rozglądać spokojnie dokoła.

– Spokojnie! – krzyknęła z westchnieniem. – To wystarczy. Henryku, ty mnie już nie kochasz.

---

<sup>89</sup> Maria Felicia Garcia, zamężna M a l i b r a n (1808–1836) – głośna śpiewaczka pochodzenia hiszpańskiego.

Już znalazła, jak widzicie, furtkę. W tego rodzaju scenach przysłówki jest rzeczą bardzo niebezpieczną. Ale, na szczęście, przez ciekawość dodała:

– I co zobaczyłeś? Czy widywałeś kiedy księcia inaczej niż publicznie? Czyś dojrzał w moich oczach?...

– Nie, ale w jego oczach. I sprawiłaś, że byłem osiem razy u Św. Tomasza z Akwinu, aby cię oglądać, jak słuchasz tej samej mszy co on.

– Och! – krzyknęła wreszcie – więc doprowadziłam cię do tego, żeś się stał zazdrosny!

– Ba! chciałbym nim być – rzekłem, podziwiając gibkość tej inteligencji oraz te cyrkowe sztuczki, które udają się jedynie wobec ślepych. – Ale z tego chodzenia do kościoła zrobiłem się wielkim niedowiarkiem. W dniu mego pierwszego kataru i twego pierwszego kłamstwa, kiedy myślałaś, że leżę w łóżku, był u ciebie książę, a powiedziałaś mi, że nie było nikogo.

– Czy ty wiesz, że twoje postępowanie jest ohydne?

– W czym? Uważam, że małżeństwo z księciem to wyborny interes: daje ci ładne nazwisko, jedyną pozycję, która jest ciębie godna, pozycję świętą, zaszczytną. Będiesz królową Paryża. Krzywdę bym ci wyrządził, gdybym stawał w poprzek tym układom, temu czcigodnemu życiu, tym dostojnym związkom. Och, kiedyś, Szarloto, oddasz mi sprawiedliwość, pojmując, jak różny jestem od innych... Byłabyś zmuszona mnie oszukiwać... Tak, byłabyś w wielkim kłopotcie, jak zerwać ze mną, bo on cię szpieguje. Czas, byśmy się rozstali, książę to jest człowiek surowej cnoty. Musisz zostać cnotliwa, radzę ci. Książę jest próżny, będzie dumny ze swej żony.

– Och! – rzekła, zalewając się łzami – Henryku, gdybyś ty się oświadczył! Tak, gdybyś był chciał (to była moja wina, rozumiecie?), spędzilibyśmy całe życie w jakimś kąciku, połączeni, szczęśliwi w obliczu świata.

– Trudno, za późno już – odrzekłem, całując jej rękę i przybierając minę ofiary.

– Mój Boże, ależ ja mogę wszystko zerwać – odparła.

– Nie, za daleko już zaszłaś z księciem. Trzeba nawet, abym wyjechał, chcę ci ułatwić to rozstanie. Musielibyśmy oboje walczyć ze swoją miłością...

– Czy p a n sądzi... Henryku, że książę coś podejrzewa?

(Byłem jeszcze Henrykiem, ale już nie t y).

– Nie sądzę – odparłem, przybierając ton i gest przyjaciela – ale zrób się do gruntu nabożna, pojednaj się z Bogiem, bo książę czeka dowodów, waha się, trzeba go skłonić.

Wstała, przeszła parę razy po buduarze w udanym lub szczerym podnieceniu, po czym znalazła zapewne pozę i wzrok w harmonii z nową sytuacją, bo zatrzymała się, podała mi rękę i rzekła wzruszonym głosem:

– Wiesz, Henryku, jesteś zacny, szlachetny i przemiły chłopiec, nigdy ci tego nie zapomnę.

Było to arcydzieło strategii. Była czarująca w tym przejściu, nieodzownym w danej sytuacji. Przybrałem minę i pozę człowieka tak głęboko strapionego, iż ujrzałem, że jej nazbyt świeża godność mięknie: popatrzyła na mnie, ujęła mnie za rękę, przyciągnęła mnie, niemal miękko rzuciła mnie na kanapę i rzekła po chwili milczenia:

– Jestem bardzo smutna, moje dziecko. Kochasz mnie?

– Och, tak.

– I cóż się z tobą stanie?

(Tu wszystkie kobiety wymieniły spojrzenie).

Jeżeli cierpiałem jeszcze, przypominając sobie jej zdradę, śmieję się jeszcze z tego głębokiego przeświadczenia oraz ze słodkiego zadowolenia wewnętrznego, z jakim była przekonana, jeśli nie o mej śmierci, to przynajmniej o wiekuiestej melancholii – podjął de Marsay. – Och, nie śmiejcie się jeszcze – rzekł do obecnych – będzie coś lepszego. Po pauzie spojrzałem na nią bardzo miłośnie i rzekłem:

– Właśnie o tym myślałem.

– I cóż, co zrobisz?

– Zadałem sobie to pytanie nazajutrz po owym katarze.

– I?... – rzekła z wyraźnym niepokojem.

– I zabezpieczyłem się u tej damulki, do której miałem niby to się umizgać.

Karolina zerwała się z sofy jak spłoszona sarna, drżała jak liść, objęła mnie spojrzeniem, w którym kobiety zapominają o całej swej godności, wstydzie, subtelności, wdzięku nawet, błyszczącym spojrzeniem osaczonej żmii, i rzekła:

– I ja kochałam! I ja walczyłam! Ja...

(Tę trzecią fazę, której tekstu pozwałam się wam domyślać, wyposażyła najpiękniejszym *tremolo*<sup>90</sup>).

– Mój Boże! – wykrzyknęła – jakież my jesteśmy nieszczęśliwi! Mężczyzna nigdy nie umie kochać. Nie umiecie brać serio naszych najczystszych uczuć. Ale wierzaj, nawet wtedy, kiedy chcecie nas oszukać, jesteście przy nas dudki.

– Widzę to – rzekłem tonem skruchy. – Zbyt wiele jest inteligencji w twoim gniewie, aby serce twoje miało cierpieć.

Ten skromny przycinek podwoił jej wściekłość i wycisnął jej łzy żalu.

– Odzierasz mi ze czci świat i życie – rzekła – odbierasz mi wszystkie złudzenia, kalasz mi serce.

Rzekła mi wszystko to, co ja miałem prawo powiedzieć jej, i to z całą prostotą bezczelności, z naiwnym zuchwalstwem, które z pewnością byłoby przygwoździło innego niż ja.

– Cóż my pocniemy, biedne kobiety, w społeczeństwie, które jest owocem konstytucji Ludwika XVIII!... (Osądźcie, dokąd ją zawiodła frazeologia!) Tak, jesteśmy zrodzone, aby cierpieć. W miłości my jesteśmy zawsze powyżej, a wy poniżej uczciwości. W waszym sercu nie ma iskry rzetelności. Miłość to dla was gra, w której szachrujecie zawsze.

– Drogie dziecko – rzekłem – brać coś serio w dzisiejszym społeczeństwie to byłoby tyle, co bawić się w idealną miłość z aktorką.

– Cóż za nikczemna zdrada, jak wyrozumowana...

– Nie, tylko rozumna.

– Żegnam pana, panie de Marsay, oszukał mnie pan haniebnie...

– Czy księżna pani – odparłem, przybierając pokorną postawę – będzie pamiętała obrazę Szarloty?

– Z pewnością – odrzekła cierpko.

– Zatem nienawidzi mnie pani?

Skinęła głową, ja zaś pomyślałem sobie: „Dobrze rozegrane”.

Wyszedłem w nastroju, który zostawił jej uczucie, że ma się o co mścić. Tak, moi drodzy, wiele studiowałem żywotów ludzi, którzy mieli powodzenie u kobiet; ale nie sądzę, aby marszałek de Richelieu ani Lauzun, ani Ludwik de Valois wykonali pierwszy raz bardziej mistrzowski odwrót. Co się tyczy mego umysłu i serca, stężały odtąd na zawsze, a władza, którą w owej chwili umiałem osiągnąć nad odruchami będącymi źródłem tylu głupstw, dała mi tę zimną krew, którą znacie.

– Jakże mi żal tej drugiej! – rzekła baronowa de Nucingen.

Niedostrzegalny uśmiech, który przewinał się po białych wargach de Marsaya, przyprawił o rumieniec Delfinę de Nucingen.

– Jag do zię zabomina! – wykrzyknął baron de Nucingen.

Naiwność słynnego bankiera miała taki sukces, że żona jego, która była ową drugą de Marsaya, mimo woli roześmiała się ze wszystkimi.

– Jesteście wszyscy gotowi potępić tę kobietę – rzekła lady Dudley – otóż ja rozumiem, że ona nie uważała swego małżeństwa za niewierność! Mężczyźni nie umieją rozróżnić stałości i wierności. Znam kobietę, której historię opowiedział nam pan de Marsay, to jedna z waszych ostatnich wielkich dam!...

---

<sup>90</sup> Tremolo – w śpiewie: drżenie głosu.

– Niestety, milady, ma pani słuszność – odparł de Marsay. – Od pięćdziesięciu lat jesteśmy świadkami ciągłego upadku wyżyn społecznych; powinniśmy byli ocalić kobiety z tego powszechnego rozbicia, ale kodeks przejechał po ich głowach strychnicem swoich paragrafów. Mimo iż te słowa brzmią strasznie, nie ma co ukrywać: księżne giną i margrabiny także! Co się tyczy baronowych, to – z przeproszeniem pani de Nucingen, która zostanie hrabiną, kiedy jej mąż będzie parem Francji, baronowych nigdy nie brało się na serio,

– Arystokracja zaczyna się od wicehrabiny – rzekł Blondet z uśmiechem.

– Hrabiny zostaną – odparł de Marsay. – Światowa kobieta będzie zawsze mniej albo więcej hrabiną, hrabiną Cesarstwa, hrabiną wczorajszą, hrabiną starej daty albo, jak mówią we Włoszech – hrabiną z grzeczności. Ale co się tyczy wielkiej damy, ta umarła wraz ze wspaniałą ramą zeszłego wieku, z pudrem, muszkami, czerwonymi obcasami, gorsetami strojnymi w pęki wstążek. Księżne mieszcza się dziś we drzwi, nie potrzeba otwierać na oścież, aby przepuścić ich robiony. Z Cesarstwem minęły ostatnie suknie z ogonami! Dotąd nie umiem pojąć, w jaki sposób monarcha, który chciał, aby mu zamiatano dziedziniec atłasem lub aksamitem sukien książęcych, nie ustanowił dla pewnych rodzin niewzruszalnego prawa starszeństwa. Napoleon nie przewidział następstw kodeksu, z którego był tak dumny. Ten człowiek, stwarzając swoje księżne, dał początek naszym k o b i e t o m z t o w a r z y s t w a , które są pośrednim produktem jego prawodawstwa.

– Myśl, brana jako młot i przez smarkacza wypuszczonego ze szkoły, i przez pokątnego gazeciarza, zwała przepychy społeczne – rzekł hrabia de Vandenesse. – Dziś lada chłystek, który umie przyzwoicie nosić głowę na karku, okryć potężną męską pierś niby pancerzem paru łokciami atłasu, wzniesić czoło, na którym błyszczy wątpliwy geniusz pod bujną czupryną, kołysać się na lakierowanych trzewikach zdobnych jedwabną skarpetką po sześć franków para, zatyka szkiełko w oko i choćby był prostym pisarkiem u rejenta, synem kupca lub podrzutkiem bankiera, mierzy impertynencko wzrokiem najpiękniejszą księżną, taksuje ją na schodach w teatrze i powiada do przyjaciela, ubierającego się u Buissona<sup>91</sup> jak my wszyscy i obutego jak pierwszy lepszy książę: „Patrz, mój drogi, to jakaś kobieta z towarzystwa”.

– Nie umieliście – rzekł lord Dudley – stać się stronnictwem i na długo odcięliście się od polityki. Mówicie dużo we Francji o zorganizowaniu pracy, a jeszcze nie zorganizowaliście własności. Oto co się z wami dzieje: jakiś książę (bywali jeszcze za Ludwika XVIII albo za Karola X tacy, którzy mieli dwieście tysięcy funtów renty, wspaniały pałac, bogatą służbę), otóż taki książę mógł żyć jak wielki pan. Ostatnim z tych wielkich panów francuskich był książę de Talleyrand. Taki książę zostawia czworo dzieci, z tych dwie córki. Przypuściwszy, że wydał je za mąż i pożenił bardzo szczęśliwie, każdy z jego dziedziców ma dziś nie więcej niż sześćdziesiąt tysięcy franków renty; każdy z nich znowuż ma kilkoro dzieci, tym samym musi mieścić się na jednym pięttrze, z największą oszczędnością. Żona jego najstarszego syna, która jest księżną tylko z tytułu, nie ma ani swego powozu, ani liberii, ani swej łoży, ani wolnego czasu; nie ma ani apartamentu we własnym pałacu, ani majątku, ani fatalaszków, zażrebała się w swym małżeństwie jak mieszcza w sklepie, kupuje pończochy swoim drogim maleństwom, karmi je i wychowuje córki zamiast jak dawniej chować je w klasztorze. Wasze najwyżej urodzone kobiety zmieniły się w ten sposób w czcigodne wylegarnie.

– Niestety, tak – rzekł Józef Bridau. – Nasza epoka nie posiada już owych pięknych kwiatów niewieścich, które stworzyły wielkie epoki francuskiej monarchii. Wachlarz wielkiej damy złamał się. Kobieta nie umie rumienić się, obmawiać, szeptać, zasłaniać się, odsłaniać. Wachlarz służy już tylko do wachlowania się. Kiedy jakaś rzecz jest już tylko tym, czym jest, jest zbyt użyteczna, aby mogła być zbytkiem.

– Wszystko we Francji spiknęło się, aby wydać kobietę z towarzystwa – rzekł Daniel d'Arthez. – Arystokracja zgodziła się na to przez ucieczkę do swoich majątków, gdzie się zażrebała, aby umrzeć, emigrując wewnątrz kraju przed ideami, jak niegdyś za granicę przed

<sup>91</sup> B u i s s o n – słynny krawiec paryski, u którego, przeważnie na kredyt, ubierał się Balzac.



ludem. Kobiety mogły stworzyć europejskie salony, kierować opinią, wywracać ją jak rękawiczkę, królować nad światem panując nad artystami lub myślicielami, którzy mieli nad nim zapanować; otóż popełniły ten błąd, że opuściły pole, wstydząc się walczyć z mieszczaństwem upojonym władzą i walącym się na arenę świata po to, aby paść może z ręki barbarzyńców, którzy im depcą po piętach. Toteż tam, gdzie mieszczenie chcą widzieć księżniczki, widzi się jedynie młode osoby z t o w a r z y s t w a . Dziś monarchowie nie mają już wielkich dam, które by mogli skompromitować; nie mogą nawet dać blasku kobiecie wziętej z byle kąd. Księżę de Bourbon jest ostatni, który posłużył się tym przywilejem.

– I sam Bóg wie, ile go to kosztuje – rzekł lord Dudley.

– Dziś księżęta krwi mają kobiety „przyzwoite”, zmuszone brać łożę do spółki z przyjaciółkami; kobiety, którym fawor królewski nie przydałby ani cala; które żeglują skromnie między mieszczaństwem a szlachtą, ni to szlachcianki, ni to mieszczańki – rzekła z goryczą margrabina de Rochefide.

– Prasa wzięła spadek po kobiecie – wykrzyknął Rastignac. – Kobieta nie ma już uroków mówionego felietonu, rozkosznej obmowy, strojnej pięknym językiem. Czytamy felietony pisane gwarą, która zmienia się co trzy lata, świstki zabawne jak karawan i lekkie jak ołów drukarski. Słynna rozmowa francuska odbywa się z jednego końca Francji na drugi, w narzeczu patagońsko-rewolucyjnym, na długich kolumnach drukowanych w pałacach, gdzie skrzypią obecnie prasy w miejsce wykwinnych zebrań, które błyszczały tam niegdyś.

– Dzwon pogrzebowy arystokracji dzwoni, czy słyszycie? – rzekł księżę rosyjski. – A pierwszym jego uderzeniem jest to wasze modne słowo: k o b i e t a z t o w a r z y s t w a !

– Masz słusność, księżę – rzekł de Marsay. – Ta kobieta, która wyszła ze szlachty lub wykwitła z mieszczaństwa, wyrosła z wszelkiego gruntu, nawet z prowincji, jest wyrazem obecnej epoki, ostatnim słowem smaku, dowcipu, wdzięku, dystynkcji, zebranych razem, ale skarłowaciałych. Nie ujrzymy już wielkich dam we Francji, ale będą przez długi czas kobiety z towarzystwa, słane przez opinię publiczną do wysokiej Izby kobiecej i będące dla płci pięknej tym, czym jest *gentleman* w Anglii.

– I nazywają to postępem! – rzekła panna des Touches. – Chciałabym wiedzieć, w czym jest postęp.

– Oto w czym – rzekła pani de Nucingen. – Dawniej kobieta mogła mieć głos przekupki, chód grenadiera, czoło zuchwałej kurtyzany, włosy zaczesane gładko, grubą nogę, wielką rękę i była mimo to wielką damą; ale dziś, choćby nawet była urodzoną Montmorency – o ile panny de Montmorency mogą być takie – nie byłaby kobietą z towarzystwa.

– Ale co pani rozumie pod kobietą z towarzystwa? – spytał naiwnie hrabia Adam Łagiński.

– To wytwór nowoczesny, oplakany triumf systemu wyborczego w zastosowaniu do płci pięknej – rzekł minister. – Każda rewolucja ma swoje hasło, które ją streszcza i które ją maluje.

– Ma pan słusność – rzekł rosyjski księżę, który przybył po to, aby sobie wyrobić reputację literacką w Paryżu. – Wytłumaczyć pewne słowa, narastające z wieku na wiek w waszym pięknym języku, to by znaczyło napisać wspaniałą historię. O r g a n i z o w a ć , na przykład, to jest słowo Cesarstwa i streszcza całego Napoleona.

– Wszystko to nie tłumaczy mi, co to jest kobieta z towarzystwa! – wykrzyknął młody Polak.

– A więc ja panu wyjaśnię – odparł Blondet. – Pewnego pięknego poranka wałęsa się pan po Paryżu. Jest już po drugiej, ale piąta jeszcze nie wybiła. Widzisz zbliżającą się piękną kobietę; pierwszy rzut oka na nią jest niby przedmowa do pięknej książki; zapowiada cały świat delikatnych i subtelných wrażeń. Jak botanik wędrujący przez góry i doliny za swymi ziołami, tak i pan, wśród pospolitości Paryża, spotkałeś wreszcie rzadki kwiat. Albo tej kobiecie towarzyszy dwóch bardzo dystyngowanych mężczyzn, z których jeden przynajmniej ma wstążeczkę legii, albo służący w skromnej liberii idzie za nią o dziesięć kroków. Nie nosi ani jaskra-

wych kolorów, ani ażurowych pończoch, ani zbyt bogatej klamry u paska, ani haftowanych majteczek falujących dokoła kostki. Widzisz, że ma na nogach albo prunelowe trzewiczki ze wstążkami opasującymi cieniutką nicianą lub szarą jedwabną pończoszkę, albo też niesłychanie skromne ciżemki. Ładna, a niezbyt kosztowna materia wyróżnia jej suknię, której krój intryguje niejedną mieszczkę. Nieznajoma ma swój odrębny sposób, w jaki otula się w szal lub mantylkę; umie zawinąć się od krzyżów do szyi, czyniąc z szala rodzaj pancerza, który zmieniłby mieszczkę w żółwia, ale pod którym ona umie ujawnić najpiękniejsze kształty, niby to zasłaniając je. Jakim sposobem? To jej tajemnica, mimo że bez patentu.

Idąc posuwa się skupionym i harmonijnym ruchem, od którego drżą pod materia jej słodkie lub niebezpieczne kształty, niby wąż pod zieloną gazą drgającej trawy. Czy zawdzięcza aniołowi, czy diabłu ten wdzięczny falisty ruch igrający pod jedwabnym płaszczkiem, poruszający frędzlami, rozlewający balsamiczną woń, którą nazwałbym chętnie zefirem paryżanki? Ramiona jej, kibić, szyja dają linię najoporniejszej materii; rzekłbyś, starożytna Mnemozyna. Ach, cóż za – darujcie mi to wyrażenie – k r ó j c h o d u u tej kobiety? Zważcie ten sposób wysuwania nogi, którą suknią oblepia z tak niewinną dokładnością, że budzi u przechodnia podziw zmieszany z pożądaniem, ale powściągany szacunkiem. Kiedy Angielka spróbuje tego chodu, wygląda na grenadiera, który rusza na redutę. Paryżanka ma geniusz chodu! To też miasto jej zawdzięcza asfalt. Ta nieznajoma nie potrąca nikogo. Nim przejdzie, czeka z dumną skromnością, aby jej zrobiono miejsce. Dystynkcja właściwa dobrze wychowanym kobietom objawia się zwłaszcza w sposobie, w jaki zawija na piersiach szal albo mantylkę. Idąc ma minkę godną i pogodną, niby Madonna Rafaela. Poza jej, spokojna i wzgardliwa, zmusza najzuchwalszego dandysa, aby jej ustąpił. Uderzająco prosty kapelusz zdobią świeże wstążki. Czasem i kwiaty, ale u najwykwintniejszych tylko kokarda. Pióra wymagają powozu, kwiaty nadto zwracają uwagę. Pod kapeluszem ujrzysz świeżą i wypoczętą twarzą kobiety pewnej siebie, ale bez zarozumiałości, kobiety, która nie widzi nic i widzi wszystko, której nasycona próżność rozlewa na fizjonomii drażniącą obojętność. Wie, że na nią patrzają; wie, że prawie wszyscy, nawet kobiety, odwracają się, aby się jej przyjrzeć jeszcze. Toteż snuje się przez Paryż niby babie lato, biała i czysta.

Piękny ten gatunek wybiera najgorętsze, najczystsze okolice Paryża: znajdziecie ją między 10 a 110 arkadą ulicy Rivoli, pod zwrotnikiem bulwarów, od równika Panoramy, gdzie kwitną produkty Indii, gdzie rozkwitają najegzotyczniejsze wytwory przemysłu, aż do przylądka Św. Magdaleny: w najschludniejszych strefach mieszczaństwa, między 30 a 150 numerem ulicy Faubourg-Saint-Honoré. W zimie lub terasę des Feuillants i chętnie przebiega jej bitumowe chodniki. Zależnie od pogody, rada buja w alei Pól Elizejskich, ograniczonej od wschodu placem Ludwika XV, od zachodu aleją Marigny, od południa gościńcem, od północy ogrodami Przedmieścia Saint-Honoré. Nigdy nie spotkacie tej ładnej odmiany kobiety w podbiegunowych strefach ulicy Saint-Denis; nigdy na Kamczatce ulic błotnistych, małych lub handlowych; nigdy nigdzie w niepogodę. Te kwiaty Paryża rozwijają się w porze słońca, nasycają wonią promenadę i po godzinie piątej stulają się jak niewiastka. Kobiety, które spotkacie później, mają coś z ich wzięcia, silą się małpować je; to kobiety dla towarzystwa, podczas gdy piękna nieznajoma, twoja dzisiejsza Beatrycze, to kobieta z towarzystwa. Niełatwo jest cudzoziemcom, drogi hrabio, pochwycić różnice, po których starzy znawcy je odróżniają, gdyż kobieta jest dobrą aktorką; ale paryżan biją one w oczy: to złe ukryte agrafki, to pożółkłe sznurowadła wyglądające przez szczelinę sukni, znoszone trzewiki, odprasowane kokardy na kapeluszu, suknia zbyt odęta, ruchy zbyt sztywne. Zauważycie pewien wysiłek w pretensjonalnym spuszczeniu powiek. Jest coś sztucznego w pozie.

Co się tyczy mieszczi, nie podobna jej pomylić z kobietą z towarzystwa: stanowi ona jej cudowny kontrast; tłumaczy czar, jaki rzuciła twoja nieznajoma. Mieszcza śpieszy się, jest zafrasowana, wychodzi w każdy czas, idzie, drepce, wraca, patrzy, nie wie, czy wejść, czy nie wejść do magazynu. Tam, gdzie kobieta z towarzystwa wie dobrze, czego chce i co robi,

mieszczka jest niezdecydowana, podnosi suknię, aby przejść przez rynsztok, wlecze za sobą dziecko, dla którego musi uważać na powozy, jest matką publicznie, rozmawia ze swoją córką, ma pieniądze w torbie i ażurowe pończochy na nogach; w zimie ma boa na futrzanej peleyrnie, w lecie szal i chusteczkę: mieszczka ma d a r p l e o n a z m ó w w toalecie.

Swoją piękną nieznaną ujrzysz we Włoskim, w Operze, na balu. Wówczas jawi się pod tak odmienną postacią, iż rzekłbyś: dwa zupełnie różne stworzenia. Kobieta wyszła ze swych tajemniczych szat niby motyl z jedwabistej larwy. Podaje jak smakołyk twoim zachwyconym oczom kształty, których rano suknia jej ledwie pozwoliła się domyślać. W teatrze nie znajdziesz jej powyżej drugiego piętra, wyjąwszy we Włoskim. Możesz wówczas studiować do syta kunsztowną powolność jej ruchów. Szelmeczka posługuje się kobiecymi sztuczkami ze swobodą, która wyklucza wszelkie przypuszczenie sztuki i intencji. Jeśli ma cudowną rękę, najsprytniejszy człowiek uwierzy, że było bezwarunkowo konieczne, aby kręciła, poprawiała lub rozsuwała bransoletki lub kolczyki. Jeśli ma piękny profil, będziecie mieli wrażenie, że rozsypuje skarby dowcipu lub wdzięku dla swego sąsiada, pozując się tak, aby wywołać ów ulubiony wielkim malarzom e f e k t p r o f i l u , który skupia światło na twarzy, rysuje kontur nosa, różowi nozdrza, przecina czoło, śle w przestrzeń wszystkie iskierki spojrzenia, błyskiem światła ożywia owal podbródka. Jeśli ma ładną nogę, rzuci się na kanapę z zalotnością kotki grzejącej się w słońcu, z wysuniętymi nóżkami, ale tak, że nie ujrzycie w jej pozie nic poza najrozkoszniejszym znużeniem. Jedynie kobieta z towarzystwa czuje się swobodna w swej toalecie, nic jej nie krępuje. Nigdy nie zajdziecie jej na tym, aby jak mieszczka poprawiała niesforne ramiączko, aby obciągała nieposłuszną bryklę, aby spoglądała, czy bruścik spełnia zadanie niewiernego stróża dwóch lśniących białością skarbów, aby się przeglądała w lustrze dla sprawdzenia koafiury. Toaleta jej jest zawsze w harmonii z charakterem; miała czas zgłębić, w czym jej do twarzy, bo wie od dawna, w czym jej nie do twarzy. Nie ujrzycie jej przy wyjściu, znika przed końcem przedstawienia. Jeśli przypadkiem zjawi się spokojna i szlachetna na czerwonym kobiercu schodów, wówczas jest pastwą gwałtownych uczuć. Jest tam z rozkazu albo musi wymienić ukradkowe spojrzenie, albo otrzymać jakąś obietnicę. Może schodzi wolno, aby zaspokoić próżność jakiegoś niewolnika, którego słucha czasami. Jeśliście się spotkali na balu lub na wieczorze, zbierzesz udany lub naturalny miód jej chytrego głosu, będziesz oczarowany jej czczą wymową, której umie dać pozór myśli za pomocą niepochwytnej sztuki.

– Aby być kobietą z towarzystwa, trzeba inteligencji? – spytał polski hrabia.

– Nie podobna nią być, nie mając dużo smaku – rzekła pani d'Espard.

– A we Francji smak to więcej niż inteligencja – rzekł Rosjanin.

– Inteligencja tej kobiety to triumf sztuki plastycznej – ciągnął Blondet. – Nie wiesz, co powiedziała, ale jesteś oczarowany; Potrząśnię głową, wzruszy z wdziękiem białymi ramionami, ozłoci nieznaczące zdanie uśmiechem lub minką lub zamknie cały dowcip Woltera w jednym: t a k ! albo: a ! albo: p r a w d a ? Jedna minka zastąpi najenergiczniejsze pytanie; ruch, jakim potrząśnię wiszącym u pierścionka puzderkiem, będzie miał głębokie znaczenie. To są wyżyny sztuki osiągnięte przez szczytne drobiazgi: opuści szlachetnie rękę niby kroplę rosy zwisającą z płatka kwiatu i powiedziała tym wszystko, wydała wyrok zdolny wzruszyć najnieczulszego człowieka. Umie słuchać, dostarcza panu sposobności roztoczenia dowcipu, a – odwołuję się do pańskiej skromności – te chwile są rzadkie.

Naiwna mina młodego Polaka, do którego zwracał się Blondet, sprawiła, że wszyscy parsknęli śmiechem.

– Nie zdarzy ci się rozmawiać pół godziny z mieszczką, aby nie wysunęła w jakiej bądź formie swego m ęż a – ciągnął Blondet, który zachował poważną minę – natomiast kobieta z towarzystwa, jeśli wiesz nawet, że jest zamężna, ma tę delikatność, aby tak utaić swego męża, że trzeba pracy Krzysztofa Kolumba, aby go odkryć. Często człowiek nie dokona tego sam. Jeśli nie zdołałeś u nikogo zasięgnąć języka, z końcem wieczoru ujrzysz ją, jak bystro patrzy

na człowieka w średnim wieku, z czerwoną wstążeczką, który spuszcza głowę i wychodzi. Zażądała powozu i jedzie. Wracasz do domu i kładziesz się spać pod złoconym baldachimem rozkosznego marzenia, które będzie się snuło dalej, kiedy sen ciężkim palcem otworzy bramę z kości słoniowej świątyni rojen. U siebie żadna kobieta z towarzystwa – kiedy przyjmuje – nie jest widzialna przed czwartą. Jest na tyle sprytna, aby zawsze kazać ci czekać. Znajdziesz w jej domu wszystko w dobrym smaku; zbytek jej jest rzeczą codzienną, odświeżaną w porę. Nie ujrysz tam nic pod szklanym kloszem, żadnego pokrowca. Na schodach będzie ciepło. Wszędzie kwiaty uwesela twoje spojrzenia; kwiaty, jedyny podarek, jaki przyjmuje, i to tylko od kilku osób; bukiet żyje tylko jeden dzień, daje przyjemność i wymaga, aby go zmieniać; kwiaty są dla niej, jak na Wschodzie, symbolem, obietnicą. Modne kosztowne drobiazgi rozrzucone są wszędzie, ale nie robiąc z pokoju muzeum ani antykwarni. Zastaniesz ją przy ogniu, na kanapce, z której przywita cię nie wstając. Rozmowa jej będzie inna niż wówczas na balu. Gdzie indziej ona była twoją wierzycielką, u siebie ona winna uraczyć cię dowcipem. Kobiety z towarzystwa rozumieją się doskonale na tych odcieniach. Ceni w tobie człowieka, który ma powiększyć jej kółko, przedmiot starań i trudów, jakie sobie dziś zadają kobiety z towarzystwa. Toteż, aby cię utrzymać w swoim salonie, rozwinie czarującą kokieterię. Czujesz tam, jak kobiety są dziś osamotnione, czemu chcą mieć mały światek, którego by były słońcem. Rozmowa jest niemożliwa bez uogólnień, bez filozofii

– Tak – rzekł de Marsay – dobrze uchwyciłeś wadę naszej epoki. Aforyzm, ta książka w jednym słowie, nie pada już jak w osiemnastym wieku na ludzi ani na rzeczy, ale na mizerne wypadki i umiera wraz z dniem.

– Toteż inteligencja kobiety z towarzystwa – ciągnął Blondet – O ile ją ma, polega na tym, aby o wszystkim wątpić, jak inteligencja mieszczeni na tym, aby wszystko twierdzić. Oto wielka różnica między tymi dwiema kobietami: mieszczeni jest na pewno cnotliwa, kobieta z towarzystwa nie wie, czy jest nią jeszcze, czy będzie nią zawsze; waha się i opiera, gdy tamta odmawia wręcz, aby upaść na płask. To wahanie w każdej rzeczy to ostatni wdzięk, jaki jej zostawiła nasza okropna epoka. Rzadko chodzi do kościoła, ale umie pięknie mówić o religii i będzie cię nawracać, o ile masz ten dobry smak, aby odgrywać niedowiarka, otworzyłeś bowiem kran z e stereotypowymi frazesami, minkami i gestami wspólnymi wszystkim tym kobietom: „Och! fe! Sądziłam, że pan jest zbyt inteligentny na to, aby się rzucać na religię! Społeczeństwo się wali, a pan mu usuwa jego podporę. Ależ religia w tej chwili to pan i ja, to własność, to przyszłość naszych dzieci. Och! nie bądźmy egoistami. Indywidualizm to choroba epoki, religia to jedyne na nią lekarstwo; łączy rodziny, które wasze prawa dzielą”, etc. I kropi rozprawę neochrześcijańską, przypudrowaną polityką, coś, co nie jest ani protestanckie, ani katolickie, ale moralne, och, moralne jak wszyscy diabli, i w czym poznajesz kawałki ze wszystkich materii wyrabianych przez nowoczesne teorie w opałach.

Kobiety nie mogły się wstrzymać od śmiechu z mizdrzeń, którymi Emil ilustrował swoją parodię.

– Wywód ten, drogi hrabio – rzekł Emil, spoglądając na Polaka – wykaże ci, że kobieta z towarzystwa przedstawia nie mniejszy bigos polityczny jak intelektualny, tak samo jak okryta jest brylantami i nietrwałymi produktami przemysłu, który stara się bez ustanku niszczyć swe wytwory, aby je zastąpić nowymi. Wychodząc od niej powiadasz sobie: „Ani słowa, niepospolita kobieta!” Uwierzysz w to tym mocniej, iż delikatną ręką zmacała twoje serce i twoją myśl, wydobyła z ciebie twoje sekrety, bo kobieta z towarzystwa udaje, że nie wie nic, aby się dowiedzieć wszystkiego, a są rzeczy, których nie wie nigdy, nawet kiedy je wie. Równocześnie będziesz zaniepokojony: nie wiesz nic o stanie jej serca. Niegdyś wielkie damy ogłaszały swą miłość niejako afiszem, anonsowały ją w dzienniku; dziś kobieta z towarzystwa ma swoją miłość poliniowaną jak papier nutowy, z jego znakami całymi i półtonami, ozdobnikami, krzyżykami, kasownikami. Ta słaba kobieta nie chce narazić ani swej miłości, ani swego męża, ani przyszłości dzieci. Dzisiaj nazwisko, stanowisko, majątek nie są już flagą na tyle

szanowaną, aby mogła pokryć wszelki towar. Arystokracja nie wyrusza w komplecie, aby służyć za parawan kobiecie, która poblądzi. Kobieta z towarzystwa nie ma tedy, jak niegdyś wielka dama, wojowniczej postawy; nie może nic zdeptać nogą: ją by zdeptano. Toteż jest to kobieta jezuickich *mezzo termine*, najpodejrzańszych kompromisów, strzeżonych pozorów, lawirujących zręcznie sekretnych miłostek. Boi się służby jak Angielka, która zawsze jest pod grozą procesu o cudzołóstwo. Ta kobieta, tak swobodna na balu, tak ładna na przechadzce, jest niewolnicą w domu; niepodległa jest jedynie przy zamkniętych drzwiach albo w myśli. Chce pozostać kobietą z towarzystwa. To jej przewodnia myśl. Otóż dziś kobieta porzucona przez męża, o szczupłej pensyjce, bez powozu, bez zbytku, bez łoża w teatrze, bez boskich akcesoriów toalety nie jest już ani kobietą, ani dziewczyną, ani mieszczką; jest unicestwiona, staje się rzeczą. Karmelitanki nie chcą kobiety zamężnej, to byłaby bigamia; czy kochanek będzie chciał jej zawsze? – oto pytanie. Kobieta z towarzystwa może być przedmiotem potwarzy, ale nigdy obmowy.

– Wszystko to... to okropna prawda – rzekła księżna de Cadignan.

– Toteż – podjął Blondet – kobieta z towarzystwa jest czymś między angielską obłudą a uroczą francuską szczerością zeszłego wieku; połowiczność będąca znamieniem czasu, w którym nic z tego, co jest, nie jest podobne do tego, co znika, gdzie nic nie prowadzi do niczego, gdzie istnieją tylko odcienie, gdzie wielkie postacie znikają, a różnice są czysto indywidualne. Wedle mnie niemożliwe jest, aby kobieta, choćby się nawet urodziła w pobliżu tronu, posiadała przed dwudziestym piątym rokiem encyklopedię błahostek, sztuczek, ważnych drobiazgów, odcieni głosu i harmonii kolorów, anielskich szelmostw i niewinnych podstępów, mowy i milczenia, powagi i żartu, inteligencji i głupstwa, sprytu i naiwności, które stanowią kobietę z towarzystwa.

– W programie, który pan nakreślił – rzekła panna des Touches gdzież pan pomieści kobietę-autorkę? Czy to jest kobieta z towarzystwa?

– O ile nie jest genialna, niech nas Bóg broni od jej towarzystwa – odparł Blondet, podkreślając tę odpowiedź spojrzeniem, które mogło uchodzić za komplement pod adresem Kamila Maupin. – To nie mój pogląd, ale Napoleona – dodał.

– Och, darujcie to Napoleonowi – rzekł Canalis z przesadnym gestem – to była jedna z jego małostek, że był zazdrosny o talent literacki: bo on miał swoje małostki. Kto zdoła kiedy wytłumaczyć, odmalować lub zrozumieć Napoleona? Człowiek, którego się maluje z założonymi rękami, a który wszystko zrobił, który był najpiękniejszą władzą, jaką znamy, władzą najbardziej skupioną, najwnikliwszą, najostrzejszą ze wszystkich; osobliwy geniusz, który wszędzie powiódł zbrojną cywilizację, a nie ustalił jej nigdzie; człowiek, który mógł zrobić wszystko, bo chciał wszystkiego; zdumiewający fenomen woli zwalczający chorobę za pomocą bitwy, a który miał wszakże umrzeć z choroby, w łóżku, spędziwszy życie wśród kul i kartaczy! Człowiek, który miał w głowie kodeks i szablę, słowo i czyn; jasnowidzący umysł, który przewidział wszystko z wyjątkiem swego upadku! Szczególny polityk, który rzucał ludzi garściami na śmierć dla oszczędności, a uszanował trzy głowy; Talleyranda, Pozzo di Borgo i Metternicha, dyplomatów, których śmierć byłaby ocaliła Cesarstwo, a którzy wazyli dłań więcej niż tysiące żołnierzy! Człowiek, któremu przez rzadki przywilej natura zostawiła serce w ciele z brązu; człowiek wesoły, dobry o północy w gronie kobiet, a rano puszczający w ruch Europę, niby dziewczyna chlapiąca wodę w kąpieli! Obłudny i szlachetny, lubiący świecidła i prostotę, bez smaku a popierający sztuki; i mimo tych przeciwieństw wielki we wszystkim z instynktu lub z natury. Cezar w dwudziestym piątym roku, Cromwell w trzydziestym, wreszcie, niby mieszczuch z Père Lachaise, dobry ojciec i dobry mąż. Zaimprovizował pomniki, państwa, królów, kodeksy, wiersze, romanse, a wszystko bardziej ważkie niż trafne. Czyż nie chciał zrobić z Europy Francji? I sprawiwszy, żeśmy zaciążyli na ziemi tak, iż – można rzec – zmieniliśmy prawa ciężenia, zostawił nas biedniejszych niż w dniu, w którym położył na nas swoją rękę. I on, który wziął Cesarstwo wraz ze swoim imieniem, stracił

swoje imię na brzegu swego Cesarstwa, w morzu krwi i żołnierzy. Człowiek, który był cały myślą i cały czynem, który rozumiał Dessaix'a i Fouchégo!

– Arbitralność i sprawiedliwość, wedle okoliczności: prawdziwy król! – rzekł de Marsay.

– Co za, przyjemność trawić słuchając was – rzekł baron de Nucingen,

– Ba! czy pan myśli, że to, co my panu dajemy, to byle co? – rzekł Józef Bridau. – Gdyby było trzeba opłacać przyjemność rozmowy, jak pan opłaca przyjemność tańca lub muzyki, pański majątek me wystarczyłby na to! Nie ma dwóch przedstawień dla jednego konceptu lub dla jednej myśli.

– Czy myśmy w istocie tak zmały, jak ci panowie sobie wyobrażają? – rzekła księżna de Cadignan, zwracając się do kobiet z uśmiechem powątpiewającym i drwiącym zarazem. – Dlatego że dziś, pod panowaniem, które zdrabnia wszystko, lubicie małe obiady, małe mieszkanie, małe obrazki, małe artykułiki, małe dzienniczki, małe książeczki, czy to znaczy, że i kobiety muszą być mniejsze? Czemu serce ludzkie miałoby się pomniejszyć? Dlatego że wy zmieniacie ubranie? We wszystkich epokach namiętności będą te same. Znam cudowne poświęcenia, ofiary, wzniosłe cierpienia: brak im tylko rozgłosu, sławy – jeśli wolicie – która uświetniała niegdyś błędy kobiet. Ale mimo że ktoś nie ocalił króla Francji, i tak może być Agnieszka Sorel<sup>92</sup>. Czy myślicie, że nasza droga margrabina d'Espard gorsza jest od pani Doublet albo od pani du Deffand<sup>93</sup>, w której domu robiło się i mówiło tyle złego? Czy Taglioni gorsza jest od Camargo<sup>94</sup>? Czy Malibran nie jest warta takiej Saint-Huberti<sup>95</sup>? Czy nasi poeci nie są wyżsi od poetów osiemnastego wieku? Jeżeli w tej chwili, z winy sklepikarzy, którzy wami rządzą, nie mamy własnego stylu, czyż Cesarstwo nie miało swego piętna, tak samo jak wiek Ludwika XV, i czy nie miało swoich przepychów? Czy nauki upadły?

– Jestem pani zdania, księżno – odparł generał de Montriveau kobiety naszej epoki są naprawdę wielkie. Kiedy nas ujrzą w perspektywie czasu, czyż pani de Récamier<sup>96</sup> nie zyska proporcji równych najpiękniejszym postaciom minionych czasów? Napłodziliśmy tyle historii, że zabraknie historyków! Wiek Ludwika XIV miał tylko jedną panią de Sévigné<sup>97</sup>; my mamy dziś w Paryżu tysiąc kobiet, które z pewnością piszą lepiej od niej, a nie wydają swoich listów. Czy kobieta francuska nazywa się kobietą z towarzystwa czy wielką damą, zawsze będzie kobietą w każdym calu. Blondet odmalował nam powaby dzisiejszej kobiety; ale ta kobieta, która się mizdrzy, popisuje, wdzięczy, która szczebioce pożyczane myśli, może być w potrzebie heroiczna! I, powiedzmy to, moje panie, błędy wasze są tym poetyczniejsze, im większym będą otoczone niebezpieczeństwem. Wiele widziałem świata; nauczyłem się obserwować go może za późno, ale w okolicznościach, w których nielegalność naszych uczuć była do usprawiedliwienia; otóż widziałem działanie jakiegoś trafu, wolno go wam nazwać Opatrznością – karzącego nieuchronnie te, które nazywamy kobietami lekkimi.

– Mam nadzieję – rzekła pani de Vandenesse – że my możemy być wielkie inaczej...

– Och, pozwól margrabiemu de Montriveau mówić nam morały! – wykrzyknęła pani d'Espard.

– Tym bardziej że poparł je w życiu przykładem – rzekła baronowa de Nucingen.

<sup>92</sup> Agnieszka Sorel (1422–1450) – faworyta Karola VII.

<sup>93</sup> Pani Doublet – prowadziła za panowania Ludwika XV głośny salon; margrabina Marie du Deffand (1697–1780) – znana była z inteligencji, korespondowała z Horacym Walpole, Wolterem itd. i gromadziła w swym salonie wybitne osobistości owej epoki.

<sup>94</sup> Maria Taglioni; (1804–1884) – słynna tancerka włoska, w Paryżu występowała w latach 1827–1847; Marie-Anne Camargo (1710–1790) – wybitna tancerka Opery paryskiej.

<sup>95</sup> Saint-Huberti (Anne-Antoinette Clavel, 1756–1812) – ceniona śpiewaczka, debiutowała w Operze paryskiej w r. 1777.

<sup>96</sup> Jeanne-Françoise-Julie Récamier (1774–1849) – żona francuskiego bankiera, słynna z urody i inteligencji, za Restauracji prowadziła salon, w którym zbierało się wiele wybitnych osobistości owych czasów.

<sup>97</sup> Pani de Sévigné (1626–1696) – autorka „Listów”, dających barwny obraz życia Francji za czasów Ludwika XIV.

– Tak – rzekł generał – ze wszystkich dramatów, bo wy lubujecie się dziś w tym słowie – dodał, spoglądając na Blondeta, ze wszystkich dramatów, w których objawił się palec Boży, najstraszliwszy z tych, które widziałem, był niemal ze moim dziełem...

– O, niech nam pan opowie – wykrzyknęła lady Barimore. – Ja tak lubię drzeć!

– Upodobanie godne cnotliwej kobiety – wtrącił de Marsay, patrząc na uroczą córkę lorda Dudley.

– W czasie kampanii r. 1812 – rzekł generał de Montriveau – stałem się mimowolną przyczyną okropnego nieszczęścia, które może ci się przydać, doktorze Bianchon, tobie, który zajmujesz się wiele duchem ludzkim, zajmując się ciałem – w roztrząsaniu problemów woli. Była to moja druga kampania; lubiłem niebezpieczeństwo i śmiałem się ze wszystkiego, ot jak młokos i prosty porucznik artylerii, którym byłem wówczas. Kiedyśmy przybyli nad Berezynę, w armii – jak wam wiadomo – nie było już dyscypliny, subordynacja znikła. Była to kupa ludzi wszelkich narodowości, ciągnących instynktownie z północy na południe. Żołnierze pędzili precz od ognia generała w łachmanach i boso, kiedy im nie przynosił drzewa ani jada. Po przejściu tej słynnej rzeki rozpręczenie było niemniejsze. Wynurzyłem się spokojnie, sam, bez zapasów, z bagien zembieńskich i puściłem się szukać domu, gdzieby mnie chciano przyjąć. Nie znalazłszy nic albo też wypędzony z domów, które napotkałem, spostrzegłem szczęśliwie pod wieczór małą polską zagrodę, o której nic wam nie może dać pojęcia, chyba żeście widzieli drewniane domki w Dolnej Normandii albo najbiedniejsze chałupy w Beauce. Mieszkania te składają się z jednej izby przedzielonej z jednego końca przepierzeniem z desek, przy czym mniejsza izdebka służy za spiżarnię. Mimo zmierzchu ujrzałem z dala lekki dym wznoszący się z dachu. Spodziejając się znaleźć tam kolegów skłonniejszych do współczucia niż ci, do których zwracałem się dotąd, szedłem dzielnie aż do zagrody. Wszedłszy zastałem nakryty stół. Kilku oficerów, wśród nich jedna kobieta – obraz dosyć częsty jedli kartofle, koninę upieczoną na węglach oraz przemarznięte buraki. Poznałem paru kapitanów artylerii pierwszego pułku, w którym służyłem. Przyjęto mnie gościnnym „hura!”, które byłoby mnie bardzo zdziwiło z tamtej strony Berezyny; ale w tej chwili zimno było mniej dotkliwie, koledzy odpoczywali, było im ciepło, jedli, a izba wymoszczona słomą przyrzekała rozkoszną noc. Nie byliśmy wówczas wymagający. Koledzy moi mogli być filantropami gratis, jedna z najczęstszych form filantropii.

Siadłem na wiązce siana i zacząłem jeść. Na końcu stołu, od strony drzwi wiodących do izdebki pełnej siana i słomy, siedział mój dawny pułkownik, jeden z najniezwykleszych ludzi, jakich spotkałem. Był to Włoch. Otóż kiedy w owych południowych stronach uda się piękny typ, wówczas jest boski. Nie wiem, czyście zauważyli cudowną białość Włochów, kiedy są biali... To wspaniałe, zwłaszcza w świetle. Kiedy przeczytałem fantastyczny portret pułkownika Oudet, pióra Karola Nodier<sup>98</sup>, w każdym z jego wytwornych zdań odnalazłem własne wrażenia.

Był to Włoch, jak większość oficerów w jego pułku, wypożyczony przez cesarza z armii księcia Eugeniusza<sup>99</sup>, człowiek dobrego wzrostu sześć stóp bez jednego lub dwóch cali wspaniale zbudowany, może nieco za tęgi, ale zdumiewającej siły, zwinny i rączy jak chart. Czarne włosy, wijące się w puklach, uwydatniały kobiecą białość cery. Miał małe ręce, ładną nogę, ładnie wykrojone usta, cienki orli nos, którego koniec marszczył się i bladł w gniewie, co zdarzało się często. Drażliwość jego przechodziła wszelką miarę: nic wam nie powiem, osądzicie sami. Nikt nie czuł się przy nim spokojny. Ja jeden może się go nie bałem; prawda, iż powziął dla mnie taką przyjaźń, że wszystko, co robiłem, było dobre. Kiedy go chwycił gniew, czoło marszczyło się w kształt litery Y. Ten znak przerażał obecnych więcej niż

<sup>98</sup> Charles N o d i e r (1780–1844) – jeden z wcześniejszych romantyków francuskich, poeta, powieściopisarz i nowelista.

<sup>99</sup> Książę E u g e n i u s z (de Beauhamais, 1781–1824) – pasierb Napoleona, syn Józefiny z pierwszego małżeństwa, za Cesarstwa był wicekrólem Włoch.

magnetyczne błyskawice niebieskich oczu. Całe jego ciało drżało wówczas, a siła jego, niepospolita już w zwykłym stanie, była wówczas niemal bez granic. Mówił z akcentem, a głos miał co najmniej równie potężny jak głos owego Oudet u Karola Nodier, zwłaszcza gdy komenderował lub kiedy był wzburzony. Trzeba go było słyszeć! Kiedy pułkownik był spokojny, błękitne jego oczy wyrażały anielski spokój, a gładkie czoło miało wyraz słodczy. W czasie parady nikt w całej armii włoskiej nie mógł się z nim mierzyć. Sam Orsay, piękny Orsay, zgasł przy naszym pułkowniku podczas ostatniej rewii, jaką odbył Napoleon przed wejściem do Rosji. Wszystko było sprzecznością w tym wyjątkowym człowieku. Namiętność żyje kontrastami. Toteż nie pytajcie mnie, czy ten człowiek wywierał na kobiety ów nieodparty wpływ, pod którym natura wasza – tu generał spojrzął na księżnę de Cadignan – mięknie niby szkło pod ogniem dmuchawki. Ale osobliwym trafem (obserwator umiałby może wyjaśnić to zjawisko) pułkownik mało liczył miłosnych podbojów lub może nie dbał o nie.

Aby wam dać pojęcie o jego gwałtowności, opowiem wam w dwóch słowach coś, na co patrzyłem w takim napadzie. Prowadziliśmy armaty drogą bardzo wąską; po jednej stronie było dość strome zbocze, po drugiej las. W połowie drogi spotykamy się z drugim pułkiem artylerii, przed którym jechał pułkownik. Pułkownik każe się cofnąć naszemu kapitanowi, jadącemu na czele pierwszej baterii. Oczywiście kapitan odmawia; pułkownik daje baterii znak, aby jechała naprzód. Mimo że podoficer starał się wziąć nieco w las, koło armatnie chwyciło nogę naszego kapitana i złamało mu ją strącając z konia. Wszystko to stało się w jednej chwili. Nasz pułkownik, znajdujący się opodal, zgaduje sprzeczkę, nadjeżdża galopem, skacząc, przeciskając się między armaty a drzewa, narażając się na skręcenie karku. Wpada wprost na tamtego pułkownika, w chwili gdy nasz kapitan krzyczał: „Do mnie!”... – spadając z konia. Nie, nasz włoski pułkownik to już nie był człowiek!... Piana wychodziła mu z ust, mruczał jak lew. Niezdolny wyrzec słowa ani nawet wydać krzyku, uczynił straszliwy gest, pokazując przeciwnikowi las i dobywając szabli. Dwaj pułkownicy weszli w las. W dwie sekundy ujrzelśmy tamtego na ziemi, z głową rozwaloną na dwoje. Żołnierze z tamtego pułku cofnęli się, och! w szybkim tempie! Ów kapitan, którego o mało nie zabito i który jęczał w bajorze, gdzie go rzuciło koło armatnie, miał za żonę cudną Włoszkę z Mesyny, która nie była obojętna naszemu pułkownikowi. Ta okoliczność zdwoiła jego wściekłość: mąż miał prawo do jego opieki, winien był go tak bronić jak samej żony.

Otóż w chacie, gdzie spotkałem się z tak dobrym przyjęciem, ów kapitan siedział wprost mnie, a żona jego na drugim końcu stołu naprzeciwko pułkownika. Była to drobna kobietka, bardzo czarna, w jej dużych czarnych oczach lśnił cały żar sycylijskiego słońca; na imię jej było Róży na. W tej chwili była przeraźliwie chuda, twarz jej była okryta kurzem niby owoc leżący na gościńcu. Odziana w nędzne łachmany, zmęczona marszem, z włosami rozczochranymi i zlepionymi pod strzępem szala, zachowała jednak kobiecość: ruchy jej były ładne, buzia różowa i wdzięczna, zęby białe; figura, biust, wdzięki, których nędza, zimno i zaniechanie nie zniekształciły jeszcze, mówiły o miłości tym, którzy zdolni byli myśleć o kobiecie. Rozyna była zresztą jedną z owych natur wątych na pozór, ale pełnych nerwu i siły. Twarz męża, piemontckiego szlachcica, wyrażała jakąś kpiącą dobroduszość, o ile wolno łączyć te dwa słowa. Ten człowiek odważny, wykształcony zdawał się nie wiedzieć o stosunkach, jakie łączyły jego żonę i pułkownika blisko od trzech lat. Przypisywałem tę obojętność włoskim obyczajom lub jakiejś tajemnicy małżeńskiej; ale było w fizjonomii tego człowieka coś, co budziło we mnie zawsze mimowolny niepokój. Jego dolna warga, cienka i bardzo ruchliwa, opadała w kątach, co zdradzało grunt okrucieństwa w charakterze na pozór flegmatycznym i gnuśnym.

Możecie sobie państwo wyobrazić, iż w chwili gdy przybyłem, rozmowa nie była zbyt ożywiona. Koledzy moi, zmęczeni, jedli w milczeniu. Oczywiście zadali mi kilka pytań, opowiedzieliśmy sobie swoje nieszczęścia przeplatając je uwagami o kampanii, o generałach i ich błędach, o Rosjanach i o mrozie. W chwilę po moim przybyciu pułkownik, skończywszy



chudy posiłek, wyciera wąsy, życzy nam dobrej nocy, spogląda swoim czarnym okiem na Włoszkę i mówi: „Rozyno?” Po czym, nie czekając odpowiedzi, idzie się położyć do małego spichrza. Sens tego wezwania łatwo było odgadnąć. Toteż młoda kobieta uczyniła niepodobny do oddania gest, w którym malowała się i przykrość, jaką musiał jej sprawić ten brak poszanowania jej ludzkiej godności, i zniewaga wyrządzona jej jako kobiecie albo jej mężowi; ale w skurczu jej twarzy, w gwałtownym ściągnięciu brwi było też jakby przecucie: może zgadywała swój los. Rozyna została spokojnie przy stole. W chwilę później, prawdopodobnie kiedy pułkownik ułożył się na słomie, powtórzył: „Rozyno?”... Ton tego drugiego wezwania był jeszcze brutalniejszy niż za pierwszym razem. Akcent, z włoska rozciągający samogłoski, wyrażał cały despotyzm, niecierpliwość, wolę tego człowieka. Rozyna zbladła, ale wstała, wysunęła się zza stołu i poszła. Koledzy zachowali głębokie milczenie, ale ja, na nieszczęście, zacząłem się śmiać popatrzawszy po wszystkich, a mój śmiech powtórzył się z ust do ust.

– *Tu ridi*<sup>100?</sup> – rzekł mąż.

– Na honor, kolego – rzekłem, odzyskując powagę – źle uczyniłem, przepraszam cię stokrotnie, a jeśli ci to nie wystarczy...

– To nie ty jesteś winien, to ja! – odparł zimno.

Ułożyliśmy się w izbie i niebawem spaliśmy głębokim snem. Nazajutrz każdy nie budząc sąsiada, nie szukając towarzysza podróży puszcza się samopas w drogę z owym egoizmem, który uczynił z naszej klęski jeden z najokropniejszych dramatów osamotnienia, smutku i grozy, jaki kiedykolwiek rozegrał się pod słońcem. Jednakże o kilkaset kroków odnaleźliśmy się prawie wszyscy i szliśmy razem niby gęsi pędzone stadem przez ślepy despotyzm dziecka. Pchała nas jedna konieczność. Skorośmy przybyli na wzgórze, z którego można było jeszcze widzieć zagrodę, gdzie spędziliśmy noc, usłyszeliśmy krzyk podobny do ryku lwa na pustyni, do ryczenia byków; ale nie, tego głosu nie da się porównać z niczym. Dosłyszeliśmy wszakże słaby krzyk kobiecy, zmieszany z tym złowrogim i okropnym wyciem. Obróciliśmy się wszyscy pod wpływem nieokreślonej grozy; nie ujrzeliśmy już domu, ale wielki stos. Chata, którą wprzód zabarykadowano, stała w płomieniach. Kłęby dymu, niesione wiatrem, przynosiły nam i chrapliwe dźwięki, i jakiś wnikliwy zapach. O kilka kroków od nas szedł kapitan, który się przyłączył spokojnie do naszej karawany. Patrzyliśmy nań w milczeniu, nikt nie śmiał go pytać, ale on, zgadując naszą ciekawość, skierował palec prawej ręki ku piersi, lewą zaś wskazując pożar, rzekł: – *Son'io*<sup>101!</sup> – Szliśmy dalej, nie czyniąc żadnej uwagi.

– Nie ma nic okropniejszego niż zbuntowany baran – rzekł de Marsay.

– Byłoby okropne zostawić nas z tym strasznym obrazem w pamięci – rzekła pani de Portenduère. – Przyśni mi się...

– A jaka będzie kara owej pierwszej pana de Marsay? – rzekł z uśmiechem lord Dudley.

– Kiedy Anglicy żartują, opatrują florety gałeczką – rzekł Blondet.

– Pan Bianchon może nam to opowiedzieć – rzekł de Marsay, zwracając się do mnie – bo widział ją umierającą.

– Tak – rzekłem – a jej śmierć jest jedną z najpiękniejszych, jakie znam. Spędziliśmy z księciem ostatnią noc przy umierającej. Zapalenie płuc w ostatnim stadium nie zostawiało żadnej nadziei; w wilię przyjęła sakramenty. Księżę zasnął. Księżna, obudziwszy się koło czwartej rano, dała mi ze wzruszającym swą dobrocią uśmiechem znak, abym poszedł spocząć; a przecież miała umrzeć! Wychudła do ostatnich granic, ale twarz jej zachowała cudowną czystość linii. Błada skóra podobna była do porcelany, za którą postawiono światło. Żywe oczy oraz rumieńce odbijały od tej delikatnej cery; fizjonomia oddychała spokojem. Zdawało się, że współczuje z księciem, a uczucie to płynęło ze wzniosłej czułości, która w obliczu śmierci nie miała już granic. Panowała głęboka cisza. Pokój, oświecony łagodnym

<sup>100</sup> *Tu ridi?* (wł.) – śmiejesz się?

<sup>101</sup> *Son'io* (wł.) – Jestem.

światłem lampy, podobny był do wszystkich pokojów chorych w chwili śmierci. Wtem zegar wybił godzinę. Książę zbudził się w rozpaczy, że zasnął. Nie widziałem gestu zniecierpliwienia i żalu, iż strwonił ostatnie chwile, przez które dane mu było oglądać żonę, ale to pewna, że kto inny niż umierająca mógłby się omylić. Ten mąż stanu, zaprzątnięty sprawami Francji, miał mnóstwo owych dziwactw, przez które ludzie genialni uchodzą za szaleńców, ale których wytłumaczenie znajduje się w niezwykłej ich naturze i w walkach ich ducha. Usiadł koło łóżka żony i patrzył na nią. Umierająca wysunęła nieco rękę, ujęła dłoń męża i uściśniła ją lekko, po czym łagodnym, mimo iż wzruszonym głosem rzekła:

– Drogi mój, któż teraz cię zrozumie?

Po czym, patrząc nań, umarła.

– Historie, które opowiada doktor – rzekł książę de Rhétoré – robią zawsze głębokie wrażenie.

– Ale łagodne – odrzekła panna des Touches.

– Och, pani – rzekł doktor – mam straszne historie w swoim repertuarze, ale każda ma swoją godzinę, w myśl tego ładnego powiedzenia, które przytoczył Chamfort<sup>102</sup>, zwrócone do księcia de Fronsac: „Między twoją anegdotą a obecną chwilą jest dziesięć butelek szampana”.

– Ale jest już druga, a historia Rozyny przygotowała nas – rzekła pani domu.

– Niech pan opowie, panie Bianchon!... – błagano ze wszystkich stron.

Skoro doktor uczynił gest zgody, zapanowało milczenie.

– O jakie sto kroków od Vendôme, nad brzegami rzeki Loir – rzekł – znajduje się stary, ciemny dom z wysokim dachem, a tak zupełnie samotny, że nie ma w pobliżu ani cuchnącej garbarni, ani lichej oberży, jaką widuje się prawie pod każdym miasteczkiem. Przy domu jest ogród dochodzący do rzeki, w którym dawne szpalery rosną obecnie dziko. Wierzby, kąpiące się korzeniami w rzece, wyrosły szybko niby żywopłot i zasłaniają prawie zupełnie dom. Bujne chwasty stroją wody. Drzewa owocowe, zanedbane od dziesięciu lat, przestały dawać owoce, a dziczki ich tworzą zarośla. Podobnie wyglądają szpalery. Ścieżki, niegdyś gracowane, zarosły zielskiem; po prawdzie nie ma już ani śladu ścieżek. Z góry, na której sterczą ruiny starego zamku książąt Vendôme, jedyne miejsca, skąd oko może jeszcze zajrzeć w tę posiadłość, widzi się, że w epoce, którą trudno jest oznaczyć, zakątek ów tworzył mały raik jakiegoś posiadacza zajętego różami, tulipanami, ogrodnika, ale zwłaszcza lubiącego się w owocach. Widać też altankę, a raczej jej szczątki, a wśród nich stół, któremu czas nie dał jeszcze rady. Z ruin tego ogrodu, którego już nie ma, odgaduje się leniwe rozkosze prowincji, tak jak zgaduje się życie pocziwego kupca, czytając napis na jego grobie.

Jakby dla dopełnienia smutnych i cichych myśli, które ogarniają duszę, na jednej ze ścian znajduje się kompas ozdobiony tym zbożnym napisem: *ULTIMAM COGITA*<sup>103</sup>. Dach na tym domu jest straszliwie pozapadany, żaluzje zawsze spuszczone, balkony pokryte gniazdami jaskółek, drzwi stale zamknięte. Bujna trawa znaczy zielonymi liniami szczeliny w kamiennych schodach, żelazne poręcze pordzewiały. Księżyc, słońce, zima, lato, śnieg wyżłobiły drzewo, spaczyły deski, zżarły malowania. Głuchą ciszę, która tam panuje, mącą jedynie ptaki, koty, kuny, szczury i myszy, mogące tam swobodnie uganiać, bić się, zjadać się wzajem. Niewidzialna ręka wypisała wszędzie to słowo: T a j e m n i c a .

Gdybyście, parci ciekawością, zechcieli obejrzeć ten dom od ulicy, ujrzelibyście wielką bramę zaokrągloną od góry, w której dzieciaki okoliczne porobiły pełno dziur. Dowiedziałem się później, że brama ta nie otwiera się od dziesięciu lat. Przez te otwory moglibyście stwierdzić harmonię między dwiema fasadami domu. To samo zapuszczenie. Pęki ziół strzelają spomiędzy kamieni. Olbrzymie jaszczurki pełzają po murze, którego szerniały grzbiet oplatają festony pomurnika. Schody są ochwierutane, sznurek u dzwonka przegniły, rynny poła-

<sup>102</sup> Sébastien-Roch-Nicolas Chamfort (1741–1794) – pisarz francuski, autor znakomitej książki „Charaktery i anegdoty”.

<sup>103</sup> *Ultimam cogita* (łac.) – myśl o rzeczy ostatecznej (tj. o śmierci).

mane. Cóż za ogień niebieski przeszedł tamtędy? Co za trybunał kazał zasypać solą to mieszkanie? Czy tam znieważono Boga? Czy zdradzono Francję? Oto jakie sobie człowiek zadaje pytania. Gady pełzają nie dając odpowiedzi. Ten pusty i niszczały dom to olbrzymia zagadka, której klucza nie posiada nikt.

Niegdyś było to małe lenno i nosiło nazwę Grande Bretèche. Przez czas mego pobytu w Vendôme, gdzie Desplein zostawił mnie dla pielęgnowania chorego bogacza, widok tego osobliwego mieszkania stał się jedną z moich najżywszych przyjemności. Czyż to nie było coś więcej niż ruina? Z ruiną wiążą się niekiedy wspomnienia o niewątpliwej autentyczności; ale ten dom, jeszcze trzymający się, mimo iż zwolna obracany wniwecz mściwą ręką, zawierał sekret, tajemną myśl, zdradzał co najmniej czyjś kaprys. Niejeden raz wieczorem kazałem się wieźć łódką do zdiczalego żywopłotu, który okalał posiadłość. Nie zważałem na podrapania, wchodziłem do tego bezpiecznego ogrodu, do tej własności, która nie była już ani publiczna, ani prywatna; trawiłem tam godziny całe, spoglądając na tę ruinę. Nie zadałbym ani jednego pytania jakiemuś gadatliwemu tubylcowi, aby się dowiedzieć historii, która tkwiła niewątpliwie na dnie tego osobliwego obrazu. Układałem tam rozkoszne powieści, oddawałem się czarującej rozpuście melancholii. Gdybym znał przyczynę – może pospolitą – tego opuszczenia, straciłbym nie napisane poezje, którymi się upajam. Dla mnie ustron ta przedstawiała najróżnorodniejsze obrazy życia ludzkiego zaćmionego nieszczęściami; to znów robiła na mnie wrażenie klasztoru, choć bez mnichów; to działała jak spokój cementarza, bez umarłych, którzy mówią do nas językiem swoich nagrobków. Raz był to dom trędowatych, to znów dom Atrydów<sup>104</sup>; ale zwłaszcza była to prowincja z ciasnotą swoich horyzontów, ze swym życiem wedle klepsydry. Często płakałem tam – nie śmiałem się nigdy. Nieraz odczuwałem mimowolny lęk, słysząc nad głową głuchy świst skrzydeł pomykającego grzywacza.

Grunt jest tam mokry, trzeba nie bać się jaszczurek, żmij, żab, które się przechadzają z absolutną swobodą; trzeba zwłaszcza nie lękać się zimna, gdyż w jednej chwili czuje się lodowaty płaszcz, kładący się na ramionach niby ręka komandora na szyi don Juana. Jednego wieczora zadrżałem: wiatr obrócił zardzewiałą chorągiewkę, a skrzyp jej podobny był do jęku wydanego przez dom, w chwili gdy kończyłem dość okropny dramat, którym ilustrowałem sobie ten pomnik rozpacz. Wróciłem do gospody oblegany czarnymi myślami. Kiedy skończyłem wieczerzę, weszła do mego pokoju gospodyni i rzekła tajemniczo:

– Proszę pana, przyszedł pan Renault.

– Co za pan Renault?

– Jak to, pan nie zna pana Renault? To zabawne – rzekła, odchodząc.

Ujrzałem człowieka wysokiego, chudego, ubranego czarno, z kapeluszem w rękę; zjawił się niby tryk gotowy runąć na swego rywala, ukazując mi spadziste czoło, małą spiczastą głowę oraz bladą twarz, dość podobną do szklanki brudnej wody. Wyglądał na woźnego z ministerium. Nieznajomy miał stare ubranie, bardzo zużyte na szwach, ale miał diament w żabocie koszuli i złote kolczyki w uszach.

– Z kim mam zaszczyt? – rzekłem.

Usiadł, rozparł się na krześle przed kominkiem, położył kapelusz na stole i rzekł, zacieraając ręce:

– Straszne dziś mamy zimno. Jestem Renault.

Skłoniłem się mówiąc do siebie: „*Il bondo cani*”<sup>105</sup>! Szukaj”.

– Jestem – dodał – rejent w Vendôme.

<sup>104</sup> Dom Atrydów – aluzja do greckiego podania o królu Agamemnonie, potomka Atreusza, który po powrocie z wojny trojańskiej został zamordowany przez żonę, Klitemnestrę, i jej kochankę, Egistę; pomścił go syn, Orestes, zabijając matkę i Egistę.

<sup>105</sup> „*Il bondo cani*” – w operze komicznej Boieldieu pt. „Kalif bagdadzki” jest to znany tylko policji przydomek, pod którym ukrywa się krążący incognito po kraju władca.

– Serdecznie mnie to cieszy – wykrzyknąłem – ale nie mogę sporządzić testamentu dla szczególnych a mnie wiadomych przyczyn.

– Chwileczkę – rzekł, podnosząc rękę, jakby mi chciał nakazać milczenie. – Niech pan pozwoli. Dowiedziałem się, że pan zachodzi czasem do ogrodu w Grande Bretèche.

– Tak, w istocie.

– Chwileczkę – dodał, powtarzając swój gest – uczynek ten jest formalnym przestępstwem. Przychodzę oto jako wykonawca testamentu hrabiny de Merret i w jej imieniu prosić pana o poniechanie swoich wizyt. Chwileczkę! Ja nie jestem żaden Herod i nie mam panu tego za złe. Zresztą wolno panu nie znać przyczyn, które zniewalają mnie dopuścić do ruiny najpiękniejszy pałacyk w Vendôme. Mimo to wygląda pan na człowieka wykształconego i musi pan wiedzieć, że prawo zabrania pod surowymi karami wdzierać się do zamkniętej posiadłości. Płot to tyle co mur. Ale stan, w jakim znajduje się dom, może służyć za usprawiedliwienie pańskiej ciekawości. Bardzo by mi było miło zostawić panu swobodę odwiedzania tego domu, ale, obowiązany wykonywać wolę testatorki, mam zaszczyt prosić pana, abyś już tam nie chodził. Ja sam, proszę pana, od chwili otwarcia testamentu nie przekroczyłem progu tego domu, należącego, jak miałem zaszczyt powiedzieć, do sukcesji po hrabinie de Merret. Stwierdziliśmy jedynie ilość drzwi i okien, aby ustalić podatki, które płacę z kapitałów przeznaczonych na ten cel przez nieboszczkę. Och! drogi panie, jej testament narobił dużo hałasu w Vendôme.

Tu godny człowiek zatrzymał się, aby utrzyć nos. Uszanowałem jego wymowę, rozumiejąc, że spadek pani de Merret był najważniejszym wydarzeniem w jego życiu, całą jego reputacją, jego chwałą, jego Restauracją. Trzeba było się pożegnać z mymi rojeniami, romansami; nie oparłem się tedy pokusie dowiedzenia się prawdy w sposób oficjalny.

– A czy byłoby niedyskrecją – rzekłem – spytać o przyczyny tego dziwactwa?

Na te słowa twarz rejenta oblekła się w wyraz szczęścia, jakiego doznaje każdy człowiek, gdy może osiągnąć swego konika. Z ważną miną poprawił kołnierz u koszuli, dobył tabakerki, tworzył ją, poczęstował mnie tabaką, kiedy zaś odmówiłem, sam wziął sporą szczyptę. Był szczęśliwy! Człowiek, który nie ma swego konika, nie zna całej sumy szczęścia, jaką można wyciągnąć z życia. Konik to złoty środek między namiętnością a monomanią. W tej chwili zrozumiałem to piękne wyrażenie Sterne'a w całej jego rozciągłości i odczułem w pełni radość, z jaką wuj Tobiasz dosiadał przy pomocy Trima<sup>106</sup> swego konika.

– Panie – rzekł pan Regnault – byłem pierwszym dependentem rejenta Roguin w Paryżu. Wspaniała kancelaria, o której pan może słyszał? Nie? a wszakże nieszczęśliwe bankructwo wślawiło ją... Nie mając dostatecznego funduszu, aby traktować o coś w Paryżu, gdzie ceny kancelarii wzrosły w r. 1816 niepomierne, przybyłem tutaj, aby nabyć kancelarię swego poprzednika. Miałem krewnych w Vendôme, między innymi bardzo bogatą ciotkę, która oddała mi swoją córkę.

Uczył krótką pauzę i ciągnął:

– W trzy miesiące po mianowaniu mnie rejentem, pewnego wieczora, gdy miałem się kłaść do łóżka (nie byłem jeszcze żonaty), wezwała mnie hrabina de Merret do swego zamku. Pokojówka jej, poczciwa dziewczyna, która służy dziś w tej gospodzie, czekała u bramy z karetą. A! chwileczkę! Trzeba panu powiedzieć, że hrabia de Merret umarł w Paryżu na dwa miesiące przed moim przybyciem tutaj. Skończył tam nędznie, oddając się wszelakiej rozpuście. Rozumie pan? W dniu jego wyjazdu hrabina de Merret opuściła Grande Bretèche i usunęła z niej meble. Niektórzy twierdzą nawet, że spaliła meble, dywany, słowem – wszystkie pomienne przedmioty stanowiące ruchomość realności, obecnie zajmowanej przez... (Co ja gadam? Przepraszam, zdawało mi się, że dyktuję kontrakt najmu...).

---

<sup>106</sup> Wuj Tobiasz... Trim – postacie z powieści „Życie i myśli JW. Pana Tristrama Shandy” Laurence Sterne'a (1713–1768).

– ...że je spaliła – ciągnął – na łące w Merret. Czy pan był kiedy w Merret? Nie – rzekł, odpowiadając sam za mnie. – Ładna miejscowość.

– Blisko od trzech miesięcy – podjął, potrząsając głową – hrabiostwo żyli z sobą bardzo osobliwie: nie przyjmowali już nikogo, pani mieszkała na parterze, pan na pierwszym piętrze. Kiedy hrabina została sama, nie pokazywała się nigdzie prócz w kościele. Później u siebie w zamku nie przyjmowała nikogo. W chwili gdy opuściła Grande Bretèche, aby zamieszkać w Merret, była już bardzo zmieniona. Ta zacna pani... (Mówię z a c n a, bo ten diament, co go mam, to od niej, zresztą widziałem ją tylko raz w życiu!). Zatem ta zacna pani była bardzo chora; zapewne straciła wszelką nadzieję wyzdrowienia, bo umarła nie pozwoliwszy zawołać lekarza, tak że wiele osób u nas myślało, że ona jest trochę niespełna rozumu. Skorom się tedy dowiedział, że pani de Merret potrzebuje moich usług, obudziło to we mnie żywą ciekawość. Nie ja jeden zainteresowałem się tą sprawą. Tego samego wieczora, mimo iż było późno, całe miasto wiedziało, że pojechałem do Merret. Na pytania, które zadawałem w drodze, pokojówka odpowiadała dość mgliście: powiedziała mi, bądź co bądź, że pani jej przyjęła sakramenty i że prawdopodobnie nie przeżyje nocy. Przybyłem do zamku około jedenastej. Wszedłem głównymi schodami. Minawszy kilka wielkich sal, wysokich, ciemnych, zimnych i wilgotnych jak diabli, znalazłem się w sypialni pani hrabiny. Wedle tego, co gadano o tej pani (nie skończyłbym, gdybym powtarzał wszystko, co opowiadano na jej rachunek!), wyobrażałem ją sobie jako lafiryndę. Niech pan sobie wyobrazi, że z trudem dojrzałem ją w wielkim łóżku, w którym leżała. Prawda, że w tym olbrzymim staroświeckim pokoju, ze staroświeckimi fryzami, zakurzonymi tak, że kichało się na sam ich widok, paliła się tylko jedna oliwna lampa. A, ale pan nie był w Merret! Więc trzeba panu wiedzieć, że to łóżko to jest takie staroświeckie łóżko, z wysokim baldachimem, z wzorzystą kotarą wełnianą. Koło łóżka stał nocny stolik, a na nim „Naśladowanie Chrystusa”, które, nawiasem mówiąc, kupiłem dla żony, zarówno jak tę lampę. Była tam też wielka berżerka dla zaufanej kobiety i dwa krzesła. Na kominku nie paliło się. Oto całe umeblowanie. Nie zajęłoby ani dziesięciu wierszy w inwentarzu. Ach, drogi panie, gdyby pan był widział, jak ja widziałem wówczas, ten duży ciemny pokój, sądziłby pan, że pana przeniesiono w jakąś scenę z romansu. Było w tym coś lodowatego, więcej powiem, pogrzebowego – dodał, podnosząc rękę teatralnym gestem i czyniąc pauzę.

– Wreszcie – podjął – zbliżywszy się do łóżka ujrzałem panią de Merret, i to dzięki blaskowi lampy, której światło padało na poduszki. Twarz była żółta jak воск i podobna do dwóch złożonych rąk. Hrabina miała koronkowy czepeczek, spod którego widać było jej włosy, piękne, ale białe jak nici. Siedziała na łóżku i z widocznym trudem trzymała się w tej pozycji. Wielkie czarne oczy, wyczerpane zapewne gorączką i prawie już martwe, z trudem poruszały się w oczodołach. O, tu – rzekł, pokazując na swoich oczach. – Czoło było wilgotne. Wychudłe ręce podobne były do kości obleczonych delikatną skórą; widać było każdą żyłkę, każdy mięsień. Musiała być kiedyś bardzo piękna, ale w tej chwili!... dziwne uczucie ogarnęło mnie na jej widok. Nigdy, zdaniem tych, co ją grzebali, żywa istota nie doszła do takiego stopnia chudości. Strasznie było patrzeć! Choroba tak stoczyła tę kobietę, że był to już tylko szkielet, widmo. Kiedy odezwała się do mnie, sine jej wargi zdawały się nieruchome. Mimo iż zawód mój oswoił mnie z tego rodzaju widokiem (często wypada mi znaleźć się u łóżka umierających, aby przyjąć ich ostatnią wolę), wyznaję, iż rodziny we łzach i agonii, które widziałem, były niczym w porównaniu z tą samotną i milczącą kobietą w tym wielkim zamku. Nie słyszałem najmniejszego szmeru, nie widziałem owego niedostrzegalnego ruchu, w jaki oddech chorej musiał wprawiać prześcieradła; stałem nieruchomy, patrząc na nią w osłupieniu. Zdaje mi się, że jeszcze tam jestem. Wreszcie jej wielkie oczy poruszyły się, próbowała podnieść prawą rękę, która opadła na łóżko, a te słowa wyszły z jej ust niby oddech, głos jej bowiem to już nie był głos:

– Oczekiwałam pana z niecierpliwością.

Policzki jej zarumieniły się. Mówić to był dla niej wysiłek.

– Pani...

Dała mi znak, abym milczał. Równocześnie podniosła się stara gospodyni i rzekła mi do ucha:

– Niech pan nie mówi, pani hrabina nie może znieść najmniejszego szmeru, a to, co by pan powiedział, mogłoby ją rozdrażnić.

Siadłem. W chwilę później pani de Merret zebrała resztki sił, aby podnieść prawą rękę, włożyła ją z trudem pod poduszkę, trzymała ją tak chwilę, po czym zrobiła ostatni wysiłek, aby wyjąć rękę. Kiedy wyjęła zapieczętowany papier, krople potu spływały jej z czoła.

– Powierzam panu swój testament – rzekła. – Och, mój Boże! Och!

To było wszystko. Chwyciła krucyfiks, który leżał na łóżku, przycisnęła go szybko do ust i umarła. Wyraz jej martwych oczu przejmuję mnie jeszcze dreszczem, kiedy go sobie przypominę. Musiała bardzo cierpieć. Była radość w jej ostatnim spojrzeniu, a uczucie to utrwaliło się w jej martwych oczach. Zabrałem testament; kiedy go otwarto, okazało się, że hrabina de Merret mianuje mnie jego wykonawcą. Cały swój majątek, poza paroma legatami, zapisała na szpital w Vendôme. Ale oto Jakie wydała zlecenia co do Grande Bretèche. Nakazała mi, abym przez okrągłe pięćdziesiąt lat począwszy od dnia jej śmierci zostawił ten dom w stanie, w jakim znajduje się w chwili jej zgonu, zabraniając wstępu do mieszkania komukolwiek, zabraniając podejmować najmniejszej reparacji, wyznaczając nawet rentę, gdyby było trzeba nająć stróżów, aby zapewnić ściśle wykonanie jej woli. Po upływie tego terminu, jeśli wola testatorki będzie dochowana, dom ma należeć do moich spadkobierców (bo wiadomo panu, że rejentowi nie wolno jest przyjmować legatu); w przeciwnym razie Grande Bretèche przypadnie temu, kogo prawo wyznaczy, ale pod warunkiem, iż spełni warunki wskazane w kodycyli, dołączonym do testamentu, który to kodycyli ma być otworzony aż po upływie rzeczonych pięćdziesięciu lat. Testamentu nie zaczępiono, zatem...

Przy tych słowach, nie kończąc zdania, chudy rejent popatrzył na mnie z triumfem. Dopełniłem miary jego szczęścia mówiąc mu parę komplementów.

– Panie rejencie – rzekłem w końcu – odmalował mi to pan tak żywo, iż mam wrażenie, że widzę tę umierającą, bledszą niż prześcieradło, boję się jej błyszczących oczu, będzie mi się śniła w nocy. Ale pan musiał zapewne wysnuć jakieś domysły co do życzeń objętych tym szczególnym testamentem?

– Panie – odparł z komiczną uroczyością – nigdy nie pozwalałam sobie sądzić postępowania osób, które mnie tak chlubnie obdarowały diamentem.

Rychło rozwiązałem język skrupulatnego rejenta, który, nie bez długich kołowań, udzielił mi spostrzeżeń poczynionych przez głębokich polityków obojej płci, rozstrzygających o wszystkim w Vendôme. Ale spostrzeżenia te były tak sprzeczne, tak rozwlekłe, że omal nie usnąłem, mimo zainteresowania, jakie budziła we mnie ta autentyczna historia. Ciężki i monotony głos rejenta, nawykłego zapewne słuchać samego siebie i zniewalać do słuchania klientów lub krajanów, zwyciężył mą ciekawość. Na szczęście poszedł sobie.

– Ha, ha, panie, wiele osób – rzekł do mnie na schodach – chciałoby jeszcze żyć czterdzieści pięć lat; ale chwileczkę! – (tu zrobił chytrą minę, przyłożył wskazujący palec prawej ręki do nosa, jakby chciał powiedzieć: Niech pan dobrze uważa!). – Aby ciągnąć tak długo, tak długo – rzekł – trzeba mieć mniej niż sześćdziesiątkę.

Zamknąłem drzwi, wyrwany z apatii tą refleksją, którą rejent uważał za bardzo dowcipną. Następnie siadłem w fotelu, z nogami wspartymi o kominek. Utonąłem w powieści *à la* pani Radcliffe<sup>107</sup>, zbudowanej na prawniczych danych pana Regnault, kiedy drzwi, pchnięte silną ręką kobiecą, otwały się. Ujrzałem moją gospodynię, zażywną i roześmianą kobietę, która chybiła powołania: była to Flamandka, która powinna się była urodzić na obrazie Teniersa.

<sup>107</sup> Anna Radcliffe (1764–1823) – pisarka angielska, autorka pełnych fantastyki i grozy powieści, które wywarły dość znaczny wpływ na twórczość Balzaka.

– I cóż, proszę pana? – rzekła. – Pan Regnault pewno panu odklepał swoją historię o Grande Bretèche.

– Tak, pani Lepas.

– Cóż panu powiedział?

Powtórzyłem w kilku słowach ciemną i zimną historię pani de Merret. Za każdym zdaniem gospodyni wyciągała szyję, spoglądając na mnie z przenikliwością oberżystki, coś pośredniego między instynktem żandarma, chytrą szpiega i sprytem handlarza.

– Moja dobra pani Lepas – rzekłem w końcu – mam wrażenie, że pani wie coś więcej o tej sprawie. Co? Inaczej po co by pani tu przyszła?

– Ależ słowo uczciwej kobiety, jak prawda, że się nazywam Lepasowa...

– Niech się pani nie przysięga, z oczu pani wyziera tajemnica. Znała pani hrabiego de Merret. Co to był za człowiek?

– Ba ba, hrabia de Merret to był piękny mężczyzna, wysoki, bardzo wysoki, godny szlachcic, rodem z Pikardii, raptus, że niech ręka boska broni! Płacił wszystko gotówką, żeby nie mieć z nikim kłopotów. Żywy był jak iskra! Wszystkie tutejsze panie chwaliły go, że bardzo miły człowiek.

– Dlatego, że taki żywy? – wtrąciłem.

– Może, może – rzekła. – Rozumie pan przecież, że musiał coś w sobie mieć, aby się ożenić z panią de Merret, która, nie ubliżając innym, była najpiękniejsza i najbogatsza osoba w okolicy. Miała blisko dwadzieścia tysięcy funtów renty. Całe miasto było na ślubie. Panna młoda była śliczniutka i milutka, istny cukiereczek. To była wtedy śliczna para!

– Czy byli szczęśliwi z sobą?

– Hm hm, i tak, i nie, o ile można się domyślać, bo rozumie pan, że my, prości ludzie, nie byliśmy z nimi w konfidencji. Pani de Merret to była dobra kobieta, bardzo miłusia, która miewała nieraz ciężkie chwile z żywością swego męża, ale choć to był człek nieco dumny, lubiliśmy go. Ba! takiego go już Pan Bóg stworzył; cóż pan chce: szlachcic...

– Ale musiała przecież zajść jakaś katastrofa, że państwo de Merret tak gwałtownie się rozeszli?

– Ja nie powiedziałam, że była jakaś katastrofa. Ja nic nie powiedziałam.

– Dobrze. Teraz jestem pewien, że pani wie wszystko.

– No więc dobrze, proszę pana, powiem wszystko. Kiedym widziała, że do pana idzie rejent, zaraz zgadłam, że będzie mówił o pani de Merret, niby z racji Grande Bretèche. To mi nasunęło myśl, aby się poradzić pana (niby że mi pan się wydaje człowiek z wykształceniem i niezdolny zdradzić biednej kobiety, która nigdy nie ukrzywdziła nikogo, a którą przecie dręczą wyrzuty sumienia). Dotąd nie odważyłam się zwierzyć nikomu z tutejszych, to wszystko gaduły, złe języki... A dotychczas nie było tu jeszcze podróznego, który by tak długo jak pan bawił w gospodzie i któremu mogłabym opowiedzieć historię piętnastu tysięcy franków...

– Moja droga pani Lepas – odparłem, wstrzymując potok jej wymowy – jeśli pani zwierzenie jest tego rodzaju, że mogłoby mnie wprowadzić w fałszywe położenie, za nic w świecie nie chciałbym...

– Niech się pan nie obawia – przerwała. – Zobacz pan.

Skwapliwość ta obudziła we mnie podejrzenie, że nie mnie jednemu dobra gospodyni zwierzyła sekret, którego miałem być jedynym depozytariuszem; pozwoliłem jej mówić.

– Proszę pana – rzekła – kiedy cesarz przysłał tutaj Hiszpanów, jeńców wojennych i innych, miałam w gospodzie, na rachunek rządu, młodego Hiszpana, zesłanego do Vendôme na słowo. Mimo tego słowa codziennie chodził meldować się w podprefekturze. To był grand hiszpański; bagatela! Nazywał się jakoś na *os* i na *dia*, coś niby Bagos de Feredia. Mam jego nazwisko w swoich rejestrach, może pan sobie przeczytać. Śliczny był chłopiec jak na Hiszpana, bo powiadają, że to są wszystko wielkie brzydale. Nie był nadto wysoki, ale kształtny; małe rączki, a wypielegnowane, to warto było widzieć! Miał tyle szczotek do samych rąk, ile

kobieta do wszystkiej toalety. Miał długie czarne włosy, oko ogniste, cera śniada trochę, ale i tak niczego. Bieliznę miał taką, jakiej jeszcze u nikogo nie widziałam, mimo że mieszkały u mnie książęta, między innymi pan generał Bertrand, oboje księstwo d'Abrantès, pan Decazes i król hiszpański. Nie wszystko chciał jeść, ale był taki grzeczny, taki milusi, że nie można się było o to gniewać. Och! bardzo go lubiłam, chociaż się prawie nic nie odzywał i nie podobna było go rozgadać. Kiedy się do niego mówiło, nie odpowiadał; to taki ich obyczaj, niby taka ich mania, wszyscy podobno są oni tacy. Czytał brewiarz jak jaki ksiądz i chodził regularnie na mszę, na wszystkie nabożeństwa. W kościele klękał o dwa kroki (zauważyliśmy to później) od kaplicy pani de Merret. Ponieważ obrał to miejsce od pierwszego razu, kiedy zaszedł do kościoła, nikt nie myślał, aby to było umyślnie. Zresztą, biedny chłopczyzna ani nosa nie odrywał od książki do modlenia. Wieczorem zawsze się przechadzał w górach, w ruinach zamku. To była jedyna rozrywka, jaką miał; biedactwo, to mu przypominało rodzinne strony. Powiadają, że Hiszpania to same góry! Od pierwszych dni zaczął wracać późno do domu. Z początku niepokoiłam się widząc, że wraca aż po północy, ale później przyzwyczailiśmy się do jego fantazji, brał klucz i nie czekaliśmy już na niego. Mieszkał w domu, który mamy przy ulicy Koszarowej. Parobek powiedział nam, że jednego wieczora, kiedy płaścił konie, ujrzał z dala mego granda pływającego w rzece jak ryba. Skoro wrócił, powiedziałam mu, żeby uważał na wodorosty; zdawał się nierad, że go widziano w wodzie. Wreszcie, proszę pana, jednego dnia, a raczej jednego rana, nie zastaliśmy go w pokoju, nie wrócił. Pótym szperała, aż ujrzałam pismo w szufladzie, gdzie było schowane pięćdziesiąt sztuk hiszpańskich dukatów, co to je nazywają portugalami i które warte były około pięciu tysięcy franków, i także diamentów na dziesięć tysięcy franków w zapieczętowanej skrzynce. W piśmie stało, że w razie, gdyby nie wrócił, zostawia nam te pieniądze i te diamenty pod warunkiem, żeby ufundować msze na podziękowanie Bogu za jego ucieczkę i też za jego zbawienie. W owym czasie żył jeszcze mój stary, pobiegł go szukać. I tu dopiero historia! Przyniósł ubranie Hiszpana, które znalazł pod wielkim kamieniem, w palisadzie nad rzeką od strony zamku, prawie na wprost Grande Bretèche. Mąż wyszedł z domu tak rano, że nikt go nie widział. Przeczytawszy list spalił ubranie i oznajmiliśmy, wedle życzenia hrabiego Feredia, że umknął. Podprefekt wypuścił za nim całą żandarmerię, ale ba! ani siadu. Lepas sądził, że Hiszpan się utopił. Ja, proszę pana, nie sądzę: raczej przypuszczam, że to było coś w związku z hrabiną de Merret. Rozalia mówiła mi, że krucyfiks, do którego jej pani była tak przywiązana, iż się z nim kazała pochować, był hebanowy ze srebrem; otóż w pierwszych czasach swego tu pobytu pan Feredia miał właśnie taki krucyfiks, którego później już u niego nie widziałam. A teraz, prawda, proszę pana, że ja nie mam co mieć wyrzutów o tych piętnaście tysięcy franków i że one są sumieniem moje?

– Oczywiście. Ale czy pani nie próbowała wypytać Rozalii? – rzekłem.

– Jakżeby nie! Ale, widzi pan, ta dziewczyna to istna skala. Coś wie, ale nie podobna z niej wyciągnąć.

Pogwarzywszy jeszcze jakiś czas, gospodyni zostawiła mnie na łup mętnych i mrocznych myśli. Ogarnęła mnie romantyczna ciekawość, zabobonny lęk, dość podobny do uczucia, jakie nas chwyta, w chwili gdy wchodzimy w nocy do ciemnego kościoła, w którym widzimy mdłe światło migocące pod arkadami: przesuwa się jakiś mglisty cień, słychać szelest sutanny lub sukni, dreszcz nas przeszedł. Grande Bretèche i jej wysokie trawy, jej zaryglowane okna, zardzewiałe zawiasy, zamknięte drzwi, opustoszałe pokoje, wszystko to stało mi nagle fantastycznie przed oczyma. Siliłem się wnikać w tajemnicze mieszkanie, szukając węzła owego groźnego dramatu, który zabił troje osób. Rozalia stała się w mych oczach najbardziej interesującą osobą w Vendôme. Przyglądając się jej, odkryłem w niej ślady tajemnej myśli, mimo wspaniałego zdrowia, jakie tryskało z pulchnej twarzy. Było w niej coś... wyrzut czy nadzieja... zachowanie się jej zwiastowało tajemnicę niby zachowanie się dewotki modlącej się bez przerwy albo dzieciobójczyni, która wciąż słyszy ostatni krzyk dziecka. Poza tym



dziewczyna zdawała się gruba i pospolita, głupawy uśmiech nie miał nic zbrodniczego, każdy by ją rozgrzeszył już na sam widok wielkiej chustki w czerwono-niebieskie kraty okrywającej jędrny biust, wtłoczony w suknię w białe i fioletowe prążki.

„Nie – pomyślałem – nie opuszczę Vendôme wprzód, aż poznam całą historię Grande Bretèche. Aby dojść do celu, gotów jestem rozkochać Rozalię, jeśli trzeba”.

– Rozalio – rzekłem pewnego wieczora.

– Co, proszę łaski pana?

– Czy Rozalia nie jest zamężna?

Zadrżała lekko.

– Och, nie zbraknie mi chłopców, kiedy mi przyjdzie ochota szukać guza! – odrzekła, śmiejąc się.

Opanowała szybko wzruszenie; wszystkie kobiety, od wielkiej damy do pomywaczki, mają ową sobie tylko właściwą zimną krew.

– Dość jest Rozalka świeża, apetyczna, aby jej nie brakło kawalerów! Ale powiedz mi, Rozalko, czemu, opuściwszy panią de Merret, zgodziłaś się do gospody? Czy pani nie została ci jakiego funduszu?

– Och, owszem! Ale, widzi pan, to najlepsze miejsce w całym Vendôme.

Była to jedna z tych odpowiedzi, które w języku sędziów i adwokatów nazywają się uchyleniem pytania. Rozalia wydawała mi się w tej całej historii niby pionek, o którego rozgrywa się partia szachów; znajdowała się w samym centrum intrygi i prawdy; byłem pewny, że jest wpleciona w węzeł. To nie była zwykła miłostka, był w tej dziewczynie ostatni rozdział powieści; toteż od tej chwili Rozalia stała się przedmiotem mych szczególnych starań. Przyglądając się bacznie dziewczynie, zauważyłem w niej, jak u większości kobiet, którym poświęcimy szczególną uwagę, mnóstwo zalet. Była czysta, staranna, była ładna, to rozumie się samo przez się: posiadała niebawem wszystkie zalety, jakich żądza nasza używa kobiecie bez względu na jej stanowisko. W dwa tygodnie po wizycie rejenta, pewnego wieczora, lub raczej pewnego rana, bo było bardzo wcześnie, rzekłem do Rozalki:

– Słuchaj, opowiedz mi wszystko, co wiesz o pani de Merret.

– Och – odparła ze zgrozą – niech pan ode mnie tego nie żąda, panie Horacy!

Ładna jej twarz zachmurzyła się, kolory zbladły, oczy straciły swój niewinny połysk.

– Więc dobrze – rzekła – skoro pan chce koniecznie, opowiem, ale niech mi pan dochowa sekretu!

– Nie bój się, dobre dziecko, dochowam ci wszystkich sekretów jak złodziej: to najwyższy stopień rzetelności, jaki istnieje.

– Jeżeli to panu wszystko jedno, wolę już pańską własną rzetelność.

Poprawiła chusteczkę na głowie i przybrała odpowiednią pozę; istnieje bowiem niewątpliwie poza „wyrażającą ufność, niezbędną przy opowiadaniu. Najlepiej się opowiada o pewnej godzinie, tak jak my tu siedzimy przy stole. Nikt nigdy nie opowiadał, stojąc albo na czczo. Ale gdybym miał wiernie powtórzyć wymowę Rozalki, nie starczyłoby i temu... Otóż, ponieważ wypadek, który mi opowiedziała dość mętnie, znajduje się między gadaniną rejenta a wersją pani Lepas, równie ściśle jak średnie człony proporcji arytmetycznej znajdują się między skrajnymi, wystarczy, jeżeli to państwu streszczę w krótkich słowach. Skracam tedy.

Pokój, który pani de Merret zajmowana w Grande Bretèche, znajdował się na parterze. Alkova, mniej więcej na cztery stopy głęboka, wyżłobiona w murze, służyła jej za gotowalnię. Na trzy miesiące przed wieczorem, którego dzieje państwu opowiem, pani de Merret zanie mogła dość poważnie, do tego stopnia, że mąż zostawił ją samą i przeniósł się na pierwsze piętro. Niepodobnym do przewidzenia trafem wrócił tego wieczora o dwie godziny później niż zwykle z klubu, gdzie chodził na dzienniki i na dysputy polityczne. Żona myślała, że już dawno wrócił że się położył, że śpi. Ale najazd na Francję był przedmiotem bardzo ożywionej dyskusji, partyjka bilardu zrobiła się gorąca, szlachcic przegrał czterdzieści franków, sumę

ogromną jak na Vendôme, gdzie wszyscy ciułają grosze i gdzie obyczaje odznaczają się chwalebłą skromnością, będącą może źródłem prawdziwego szczęścia, nie znanego paryżanom. Od jakiegoś czasu pan de Merret poprzestawał na pytaniu się Rozalii, czy pani śpi; otrzymawszy odpowiedź nieodmiennie twierdzącą, szedł do siebie ze spokojem zrodzonym z ufności i przyzwyczajenia.

Tym razem przyszła mu ochota zejść do żony, aby jej opowiedzieć swoje nieszczęście, może i pocieszyć się po nim. Przy obiedzie uważał, że żona przystroiliła się bardzo zalotnie; wracając z klubu myślał sobie, że już jest zdrowa, że wypiękniała po chorobie. Spostrzegł to, jak mężowie spostrzegają wszystko, nieco późno.

Zamiast zawołać Rozalię, która w tej chwili była w kuchni i przyglądała się partyjce kucharki z woźnicą, pan de Merret skierował się do pokoju żony przy blasku latarki, którą postawił na schodach. Krok jego, nietrudny do poznania, rozległ się pod sklepieniem.

W chwili gdy szlachcic ujął klamkę, zdawało mu się, że drzwi od alkowy (o której wspominałem) zamykają się: ale kiedy wszedł, pani de Merret była sama, stała przy kominku. Mąż pomyślał naiwnie, że to pewnie Rozalia jest w alkwie. Jednakże mgliste podejrzenie przemknęło mu przez głowę, spojrzał na żonę i ujrzał w jej oczach coś niepewnego, dzikiego.

– Późno dziś wracasz – rzekła.

Głos jej, zazwyczaj tak czysty-i słodki, wydał mu się lekko zmieniony. Nie odpowiedział nic, bo w tej chwili weszła Rozalia. Miał uczucie, że piorun w niego strzelił. Przechadzał się po pokoju jednostajnym ruchem, chodząc z założonymi w tył rękami od jednego okna do drugiego.

– Czyś miał jaką przykrość, czyś może cierpiący? – spytała nieśmiało żona, gdy ją Rozalia rozbierała.

Milczał.

– Idź, Rozalko – rzekła pani de Merret – sama zakręcę papiloty.

Z twarzy męża wyczytała jakieś nieszczęście i chciała z nim zostać sama. Kiedy Rozalia poszła lub udała, że poszła (została bowiem parę chwil w korytarzu), pan de Merret zbliżył się do żony i rzekł spokojnie:

– Jest ktoś u ciebie w alkwie?

Spojrzała na męża spokojnie i rzekła po prostu:

– Nie, mój drogi.

To „nie” przywiodło pana de Merret do rozpaczy, nie uwierzył; mimo to nigdy żona nie wydawała mu się bardziej czysta i święta niż w tej chwili. Wstał, aby otworzyć alkowę; pani de Merret ujęła go za rękę, spojrzała nań smutno i rzekła głosem niezwykle wzruszonym:

– Jeśli nie znajdziesz nikogo, pomyśl, że wszystko między nami skończone!

Niewysłowna godność bijąca z twarzy żony wróciła szlachcicowi głęboką cześć dla niej i natchnęła go jednym z owych postanowień, którym brak tylko szerokiej sceny, aby przejść do nieśmiertelności.

– Nie – rzeki – Józefino, nie pójdę. Tak czy owak wszystko byłoby między nami skończone. Słuchaj, ja znam czystość twojej duszy, wiem, że żyjesz jak święta, nie chciałabyś popełnić grzechu śmiertelnego ani za cenę życia.

Tu pani de Merret popatrzyła na męża błędnym wzrokiem.

– Masz, oto twój krucyfiks – dodał ten człowiek. – Przysięgnij przed Bogiem, że nie ma tam nikogo, a uwierzę ci, nie otworzę tych drzwi nigdy.

Pani de Merret wzięła krucyfiks i rzekła:

– Przysięgam.

– Głośniej – rzekł mąż – i powtarzaj: „Przysięgam -w obliczu Boga, że nie ma nikogo w tej alkwie”. Powtórzyła bez zmieszania.

– Dobrze – rzekł zimno pan de Merret. Po chwili milczenia dodał: – Masz, widzę, bardzo ładną rzecz, której nie znałem – rzekł, oglądając hebanowy krucyfiks, wykładany srebrem i rzeźbiony bardzo artystycznie.

– Kupiłam go u Duviviera. Kiedy prowadzono tędy transport jeńców, nabył go od hiszpańskiego księdza.

– A, tak – rzekł pan de Merret wieszając krucyfiks i zadzwonił.

Rozalia zjawiała się niebawem. Pan de Merret wyszedł naprzeciw niej, pociągnął ją do okna, które wychodziło na ogród, i rzekł z cicha:

– Wiem, że Gorenflot chce się z tobą żenić i że bieda tylko stoi na przeszkodzie waszym planom. Powiedziałaś mu, że nie wyjdiesz za niego, o ile nie uda mu się zostać majstrem. Idź więc po niego i powiedz mu, żeby tu przyszedł z kielnią i z narzędziami. Postaraj się, aby nie budził nikogo; obsypię go dostatkiem ponad wasze marzenia. Tylko ani słowa nikomu, bo inaczej...

Tu zmarszczył brew. Rozalia pobiegła, odwołał ją.

– Weź mój klucz – rzekł. – Janie! – krzyknął w korytarzu pan de Merret grzmiącym głosem.

Jan, który był równocześnie woźnicą i totumfackim hrabiego, rzucił partyjkę i przybiegł.

– Idźcie spać wszyscy – rzekł pan dając mu znak, aby się zbliżył; po czym dodał cicho:

– Kiedy wszyscy będą spali, spali, rozumiesz mnie, przyjdiesz tu i dasz mi znać.

Wydając te rozkazy pan de Merret ani na chwilę nie tracił z oczu żony: siadł spokojnie przy ogniu koło niej i zaczął opowiadać historię partyjki bilardu oraz dyskusje w klubie. Kiedy Rozalia wróciła, ujrzała, iż państwo rozmawiają z sobą spokojnie. Szlachcic dał właśnie świeżo tynkować wszystkie pokoje na parterze. Gips jest bardzo rzadki w Vendôme, transport podnosi jego cenę, toteż pan de Merret sprowadził od razu sporą ilość, wiedząc, że zawsze znajdzie nabywców na to, co zostanie. Ta okoliczność podsunęła mu pomysł, który prowadził w czyn.

– Proszę pana, Gorenflot już jest – rzekła Rozalia cicho.

– Niech wejdzie – odparł hrabia głośno.

Widząc wchodzącego murarza, pani de Merret lekko zbladła.

– Gorenflot – rzekł jej mąż – idź przynieś cegiel z wozowni; weź dosyć, aby zamurować drzwi do tej alkowy; użyjesz gipsu, który mi został od tynkowania.

Następnie, przyciągnąwszy do siebie Rozalię i robotnika, szepnął:

– Słuchaj, Gorenflot, będziesz tu spał tej nocy. Jutro rano dostaniesz paszport i udasz się za granicę, do miasta, które ci wskażę. Dam ci sześć tysięcy franków na podróż. Zostaniesz w tym mieście dziesięć lat; gdyby ci się tam nie podobało, będziesz się mógł przenieść do innego, byle w tym samym kraju. Pojedziesz przez Paryż, gdzie zaczekasz na mnie. Tam zapewnię ci kontraktem drugich sześć tysięcy franków, które ci wypłacą za powrotem, w razie jeśli dopełnisz warunków naszej umowy. Za tę cenę zachowasz głębokie milczenie o wszystkim, co będziesz tu robił tej nocy. Co się ciebie tyczy, Rozalio, dam ci dziesięć tysięcy franków, które ci wyliczę w dzień ślubu pod warunkiem, że zaślubisz Gorenflota, ale jeśli się chcesz pobrać, musicie milczeć; inaczej kwita z posagu.

– Rozalio – rzekła pani de Merret – chodź mnie uczesać.

Mąż przechadzał się spokojnie, pilnując drzwi, murarza i żony, ale nie zdradzając niczym nieufności. Gorenflot musiał robić hałas. Pani de Merret pochwyciła chwilę, w której murarz rzucał cegły, a mąż był na drugim końcu pokoju, aby szepnąć Rozalii:

– Masz u mnie tysiąc franków renty, drogie dziecko, jeżeli zdołasz szepnąć Gorenflotowi, aby zostawił szparę u dołu.

Po czym rzekła głośno z zupełnym spokojem:

– Idźże mu pomóc!

Przez cały czas, przez który Gorenflot zamuroвывwał drzwi, państwo de Merret milczeli. Milczenie to było rozmyślne u męża, który nie chciał dać żonie sposobności rzucenia jakiegoś słowa mogącego być wskazówką; u pani de Merret była to ostrożność lub duma. Kiedy mur stanął do połowy, sprytny murarz skorzystał z chwili, gdy hrabia był odwrócony plecami, aby uderzyć kielnią w szybę drzwi. Postępek ten zdradził pani de Merret, że Rozalia porozumiała się z Gorenflotem. Wszyscy troje ujrzeli wówczas smagłą twarz mężczyzny o ciemnych włosach i płomiennym spojrzeniu. Zanim mąż się odwrócił, biedna kobieta zdążyła dać znak głową obcemu, dla którego gest ten znaczył: „Miej nadzieję!”

O czwartej, kiedy zaczęło świtać (było to we wrześniu), robotę skończono. Murarz został pod strażą Jana, a hrabia położył się spać w pokoju żony. Nazajutrz rano wstając, rzekł nie dbale:

– Ach, prawda, muszę iść do merostwa w sprawie tego paszportu.

Włożył kapelusz, zastanowił się chwilę, wziął krucyfiks. Żona zadrżała ze szczęścia.

„Pójdzie do Duviviera” – pomyślała.

Zaledwie hrabia wyszedł, pani de Merret zadzwoniła na Rozalię, po czym krzyknęła straszliwym głosem:

– Motykę! Motykę! I do roboty! Widziałam, jak Gorenflot robił wczoraj, będziemy miały czas zrobić dziurę i znowu ją zatkać!

W mgnieniu oka Rozalia przyniosła swej pani narzędzie; z żywością, której nic nie zdołaby opisać, pani de Merret zaczęła burzyć mur. Już wyważyła kilka cegieł, kiedy, biorąc rozmach, aby zadać silniejszy cios, ujrzała za sobą pana de Merret; zemdląca.

– Połóżcie panią do łóżka – rzekł zimno hrabia. Przewidując, co zajdzie w jego nieobecności, zastawił na żonę pułapkę: napisał po prostu do mera i posłał po Duviviera. Jubiler nadszedł w chwili, gdy naprawiano nieład w mieszkaniu.

– Duvivier – spytał hrabia – czyś pan kupował jakie krucyfiksy od Hiszpanów, których prowadzono tędy?

– Nie, panie hrabio.

– Dobrze, dziękuję ci – powiedział, rzucając na żonę dzikie wejrzenie.

– Janie – rzekł, zwracając się do swego faktotum – będziesz mi przynosił jedzenie do pokoju pani hrabiny, jest słaba, nie opuszczaj jej, aż przyjdzie do siebie.

Nieludzki szlachcic został trzy tygodnie w pokoju żony. W pierwszych dniach, kiedy było słyhać jakiś szmer w zamurowanej alkowie i pani chciała go błagać za umierającym nieznanym, odpowiadał tylko, nie pozwalając jej rzec ani słowa:

– Przysięgałaś na krucyfiks, że nie ma tam nikogo.

Po tym opowiadaniu kobiety wstały od stołu; zrobił się ruch, czar, pod jakim Bianchon je trzymał, pierzchnął. Mimo to niektóre przebiegł dreszcz przy ostatnich słowach.

Paryż, czerwiec 1839–1842

## NOTY O WAŻNIEJSZYCH POSTACIACH „KOMEDII LUDZKIEJ”

### PULKOWNIK CHABERT

Derville – patrz noty do „Pierwszych kroków” w t. II.

Hrabina de Perraud – była, jak czytamy w „Urzędnikach”, ostatnią faworytą Ludwika XVIII i była dobrze widziana na dworze jego następcy, Karola X.

Franciszek Klaudiusz Maria Godeschal – patrz noty do „Pierwszych kroków” w t. II.

Ludwik Vergniaud – patrz noty do „Wendety” w t. III.

### MSZA ATEUSZA

Horacy Bianchon – patrz noty do „Podwójnej rodziny” w t. III.

Desplein – patrz noty do „Modesty Mignon” w t. II.

### KURATELA

Desroches – patrz noty do „Pierwszych kroków” w t. II.

Margrabina d'Espard (Atenais de Blamont-Chauvry) – patrz noty do „Listów dwóch młodych mężatek” w t. I.

Sędzia Jan Juliusz Popinot – opiekuje się swym bratankiem Anzelmem („Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”), poza tym wzmianki o nim znajdziemy w „Błaskach i nędzach życia kurtyzany”, „Honorynie”, „Drobnomieszczanach” i „Krzywym zwierciadle historii współczesnej”.

### KONTRAKT ŚLUBNY

Eliasz Magus – Żyd holenderski, lichwiarz i handlarz obrazów, około r. 1818 zatrudnił Ginevrę Porta przy kolorowaniu rycin („Wendeta”), zamawiał kopie arcydzieł malarstwa u Józefa Bridau („Kawalerskie go-

spodarstwo”), a także u Piotra Grassou („Piotr Grassou”); nabył po bardzo niskiej cenie arcydzieła z kolekcji Ponsa („Kuzyn Pons”).

Hrabia Paweł de Manerville – patrz noty do „Balu w Sceaux” w t. I.

Hrabina Natalia de Manerville – porzuciła Feliksa de Vandenesse, gdy dowiedziała się o jego idealnej miłości ku pani de Mortsauf („Lilia w dolinie”); powodowana chęcią zemsty, wzięła udział w intrydze przeciw żonie Feliksa, Marii („Córka Ewy”).

Henryk de Marsay i hrabia Feliks de Vandenesse – patrz noty do „Balu w Sceaux” w t. I.

## DRUGIE STUDIUM KOBIETY

Daniel d'Arthez – patrz noty do „Listów dwóch młodych mężatek” w t. I.

Emil Blondet – przybył z Alencon na studia do Paryża w 1818 r. („Stara panna”, „Gabinet starożytności”) i szybko zrobił karierę jako dziennikarz; przyjaźnił się z Lucjanem de Rubempre („Wielki człowiek z prowincji w Paryżu”, „Blaski i nędze życia kurtyzany”); za monarchii lipcowej bywał w salonie margrabiny d'Espard („Sekrety księżnej de Cadignan”); przez długie lata łączyła go przyjaźń z hrabiną de Montcornet, którą, jako wdowę, poślubił w r. 1838 („Chłopi”); wzmianki o nim znajdziemy też w „Urszuli Mirouet”, „Jaszczurze”, „Córce Ewy”, „Banku Nucingena”, „Muzie z zaścianka” i in.

Józef Bridau – patrz noty do „Listów dwóch młodych mężatek” w t. I.

Księżna de Cadignan (Diana d'Uxelle, księżna de Maufriqueuse) – patrz noty do „Listów dwóch młodych mężatek” w t. I.

Lord Dudley – zamieszkały od r. 1816 w Paryżu; jego nieprawym synem był Henryk de Marsay („Dziewczyna o złotych oczach”, „Lilia w dolinie”, „Gabinet starożytności”, „Córka Ewy”).

Panna des Touches – patrz noty do „Honoryny” w t. IV.